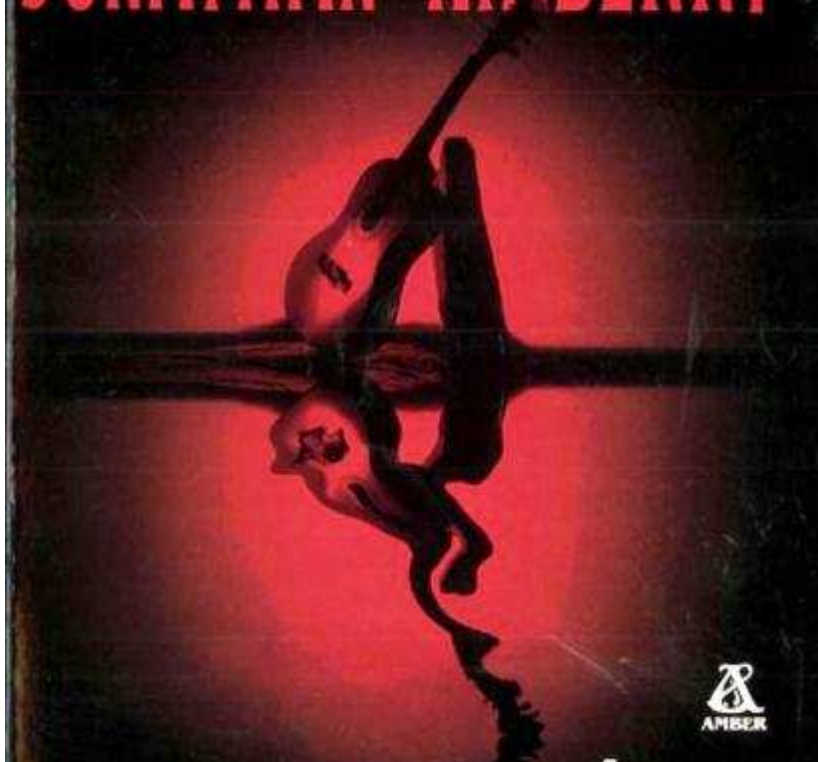


Nagroda Brama Stokera 2006 dla najlepszego debiutu

JONATHAN MABERRY



BLUES DUCHÓW

Zło nie umiera...

Trzydzieści lat temu psychopatyczny morderca wyruszył na potworne żniwa, znacząc krwią swój szlak przez spokojne miasteczko. Dziś Pine Deep uczyniło z tamtych wydarzeń atrakcję turystyczną, z głównym punktem programu – parkiem grozy „Najbardziej przerażającego miasta Ameryki”.

...czeka przyczajona w ciemności

Ale w przeddzień wielkiego festynu na Halloween koszmara powraca. Ożywa okrutne zło, by niepodzielnie zawładnąć miastem. Tym razem jednak jest potężniejsze. I ma wiele twarzy...



Blues duchów rozpoczyna szokującą brutalnością trylogię amerykańskiego mistrza horroru. JONATHAN MABERRY, dwukrotny laureat nagrody Brama Stokera, wykładowca i nauczyciel powieściopisarstwa, to autor powieści, komiksów i kilkunastu książek popularnonaukowych, m.in. *Vampire Universe*. Jest konsultantem Stowarzyszenia Autorów Horrorów i członkiem wielu amerykańskich stowarzyszeń literackich.

W jego horrorach makabryczne obrazy z klasycznych powieści grozy przeplatają się z jeszcze bardziej zatrważającą grozą realnego świata.

W przygotowaniu 2 kolejne tomy:

Song umarłych

Wschód złego księżyca

Patronat medialny

carpe noctem

www.carpe-noctem.pl



GILDIA.PL



www.wydawnictwoamber.pl



Cena det. zł 34,80

JONATHAN
MABERRY

BLUES
DUCHÓW

Przekład MIŁOSZ URBAN



Redakcja stylistyczna

Beata Kozak

Korekta

Anna Tenerowicz

Elżbieta Szelest

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Foniok

Zdjęcie na okładce

Images Etc Ltd/Alamy

Skład

Wydawnictwo Amber

Jerzy Wolewicz

Druk

Opolgraf S.A. Opole

Tytuł oryginału Ghost Road Blues

Copyright © 2006 by Jonathan Mabeny.

All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2009 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 978-83-241-3400-7

Warszawa 2009. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp, z o.o.

00-060 Warszawa,

ul. Królewska 27

tel. 620 40 13,620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Jak zawsze...
Sarze Jo.

PROLOG

MIESIĄC PRZED HALLOWEEN
TEGO ROKU

Wielką przysługę oddały mi narzędzia mroczne.

Edward George Earle Lytton Bulwe-Lytton, (pierwszy Baron Lytton) *Richelieu*

*Zło łatwo zdusić w zarodku;
jeśli zwlekasz, rośnie w siłę.*

Cycero *Filipiki*

*Nie mogę przystanąć i się nie zatrzymam
Blues spada na mnie jak grad, blues spada na mnie jak grad.
Mmm, blues spada na mnie jak grad, blues spada na mnie jak grad.
Nieubłaganie czas pcha mnie do przodu, ogar z piekła podjął mój ślad.
Ogar z piekła podjął mój ślad, ogar z piekła podjął mój ślad.*

Robert Johnson *Hellhound on my trail* (Ogar z piekła podjął mój ślad)

1.

Ej, dajcie spokój, tam przecież nikogo nie ma... - To były jego ostatnie słowa.

W następnej chwili ponad burtami przyczepy wystrzeliły dwie pary trupiobladych rąk, zacisnęły się na jego ramionach i karku i pociągnęły go w mrok. Billy krzyczał, wierzgał i szukał czegoś, czego mógłby się złapać, lecz na próżno. Z ciemności wynurzyły się dalsze postaci i zabrały go ze sobą.

Claire krzyczała tak głośno, jak potrafiła. Wszyscy krzyczeli. Nawet kierowca traktora.

Ale najgłośniej wrzeszczał Billy.

Claire zeskoczyła z brykietu siana, na którym jeszcze przed chwilą siedzieli i trzymali się za ręce. Wychyliła się nad barierką i rozcapierzonymi palcami chwytając powietrze, jakby mogła dosięgnąć chłopaka i wciągnąć go z powrotem. Kilkanaście metrów dalej sześć mrocznych postaci rzuciło Billy'ego na ziemię, przytrzymało go trupimi łapskami i zakrzywionymi jak szpony palcami zaczęło rozrywać ciało. Czarne usta ledwie skrywały wygłodniałe poźółkłe zęby, a martwe i puste oczy nie wyrażały absolutnie niczego.

- Billy! - krzyczała Claire. Wyrывała się, odpychała ręce, które nie pozwalały jej zeskoczyć na ziemię. Błagała, żeby ktoś mu pomógł. Osiemnaście osób, większość z jej liceum, stało przerażonych, wczepionych w drewniane burty, lub skulonych na podłodze za balami słomy. Błagała ich o pomoc. Kilkoro pokręciło głowami. Reszta krzyczała. Największy z nich, awanturnik z wyglądu, chciał się podnieść, ale dziewczyna i kumple uczepili się jego kurtki i pociągnęli go z powrotem na podłogę.

Claire z odrazą splunęła w ich kierunku i się odwróciła. Darła się na całe gardło. Widziała drgające konwulsyjnie ciało Billy'ego. Popatrzyła na kierowcę, ale był w szoku. Wyglądał, jakby chciał wyskoczyć z szoferki i uciec.

Wtem jedna z białych postaci pochyliła się nad chłopakiem. Claire nie mogła zobaczyć, co robi, ale mrozący krew w żyłach agonálny kwik mówił sam za siebie. Billy zatrzepotał rękami i nogami i znieruchomiał.

Na sekundę wszystko zamarło.

Stwór, który go porwał, podniósł głowę i spojrzał w stronę traktora z przyczepą pełną dzieciaków. Potem rozległ się warkot - głęboki i budzący grozę, taki, jaki wydaje pies, kiedy ktoś zbliży się nieopatrznie do jego miski. Zjawa odsłoniła poźółkłe zęby, w których tkwił poszarpany kawał zakrwawionego mięsa wyrwany ze zmasakrowanego ciała.

Przeraźliwy pisk Claire narastał, wznosił się nad ciemną drogą, nad bezkresnymi polami kukurydzy i ulatywał w ciemne niebo, wypełniając czernią nocy. W oddali rozległy się chrapliwe nawoływania kruków. Kierowca gwałtownie wdepnął pedał gazu. Silnik ryknął z umęczonym charkotem i traktor szarpnął do przodu.

Trzy z pożywiających się stworzeń zwabione dźwiękiem uniosły głowy. Ich twarze pokrywała lepka czerwona maź i kawałki poszarpanego mięsa. Nie przestawały żarłocznie poruszać szczękami. Traktor przesunął się kilkanaście centymetrów i znieruchomiał. Koła kręciły się w miejscu uwięzione w głębokiej kałuży błota, w której utknęli kilka minut wcześniej. Zjawy ruszyły w ich kierunku, czując woń świeżego mięsa. Żywego mięsa.

Znów rozległy się wrzaski przerażenia. W stronę kierowcy poleciały krzyki i przekleństwa. Dalej! Ruszaj! No, już! W końcu koła złapały przyczepność i traktor dosłownie wyskoczył do przodu, z każdą sekundą nabierając prędkości. Białe

upiory porzuciły rozszarpane zwłoki i zainteresowały się uciekającymi dzieciakami. Z początku poruszały się powoli, lecz przyspieszyły, gdy zrozumiały, że może ominąć je kolejny posiłek.

- Szybciej! - Ryknął awanturnik, a reszta dzieciaków do niego dołączyła.

Zjawy truchtały za nimi i były jeszcze bardziej przerażające. Doganiały ich.

Droga lekko zakręcała, omijając starą wierzbę płaczącą, ale prowadzący traktor nie zwalniał.

- Są coraz bliżej! - pisnęła Claire.

Traktor nabierał prędkości, a zimny wiatr rozwiewał włosy nastolatków. Potwory były dwadzieścia metrów za nimi. Piętnaście. Dziesięć.

- Nie, to się nie dzieje naprawdę! - jęknął największy chłopak. - To nie może być prawda... - Szlochał wtulony w ramię swojej dziewczyny.

Kierowca wziął zakręt, nie używając hamulca, a przyczepa niebezpiecznie się zakołysała. Pasażerowie przelecieli na jedną stronę.

Wyjechali na prostą, na której końcu majaczyły światła zabudowań. Nie przedstawiali krzycheć. Wreszcie traktor z rykiem silnika wtoczył się między budynki. Ludzie, którzy tam stali, zatrzymali się, zaskoczeni niespodziewaną wrzawą.

Claire odważyła się spojrzeć do tyłu, lecz zjawy pochłonęła ciemność. Wyglądało na to, że horror się skończył. Może... może upiory dały za wygraną?

Opadła na siano i wtuliła się w rękaw najbliższej osoby.

- Billy! - zaszlochała, nie mogąc powstrzymać łez. - Billy...

Traktor szarpnął i się zatrzymał, a przyczepę otoczyli ludzie. Kierowca wstał, odwrócił się, spojrzał na pasażerów i uśmiechnął od ucha do ucha.

- I to by było na tyle - powiedział i się uklonił.

Dzieciaki patrzyły na niego, nie rozumiejąc, co się dzieje.

Pierwsza zerwała się Claire. Rozejrzała się i uśmiechnęła słodko, po czym zrobiła ukłon i z pomocą jednego z gapiów zeskoczyła na ziemię.

Na przyczepie wszyscy tkwili przerażeni i bez ruchu.

Malcolm Crow, który prowadził traktor, był niewysokim facetem o ciemnych włosach, ciemnych oczach i zawadiackim uśmiechu. Zdjął kapelusz i wskazał nim jeden z budynków.

- Przy stoisku z pamiątkami czeka na was poczęstunek. Jeśli wam mało, zapraszam jeszcze do nawiedzonego domu. Tylko pięć dolców, a ze strachu możecie narobić w gacie.

Jeszcze raz skinął głową w kierunku pobielających ze strachu twarzy i zeskoczył z szoferki na ziemię.

Do przyczepy podeszło dwóch gości z obsługi ubranych w czarne koszulki z fosforyzującym napisem „Pine Deep Nawiedzone Przejazdźki! Największe, Najlepsze, Najstraszniejsze!” Mieli pomóc klientom zeskakiwać na ziemię.

Tyle że na przyczepie nikt nie mógł się ruszyć.

Spojrzeli na siebie.

- Stary, nie chcę przesadzić, ale Crow chyba tym razem przegiął - uśmiechnął się wyższy.

Z uznaniem spojrzeli na Malcolma, który nieco dalej pomagał kolejnej grupie zająć miejsca na drugiej przyczepie. W tym samym czasie inny traktor zniknął w ciemnościach za bramą. Obok szefa stała Claire i popijając pepsa light, radośnie trąkotała, zdając relację z najciekawszych momentów.

- Myślisz? - mruknął niższy.

Dobrych kilka minut uspokajali roztrzęsionych nastolatków i przekonywali, że nic im nie grozi. Pierwszy podniósł się z miejsca awanturnik. Zmusił się do sztucznego śmiechu, który miał chyba oznaczać, że od początku świetnie się bawił.

- Oni to sobie zaplanowali - wyjaśnił. - Ta dwójka. No, wiecie, dziewczyna i chłopak, który zginął... To było tylko na potrzeby przedstawienia. - Poklepał swoją sympatię po ramieniu. - Mówię ci, od początku wiedziałem, że to na niby.

Dziewczyna spojrzała na niego z pogardą i wstała.

- Tommy... piszczałeś jak baba.

Zeskoczyła z przyczepy i na miękkich nogach poszła do toalety. Tommy nie wiedział, jak się zachować, ale na wszelki wypadek nadal udawał chojraka. I może udałoby mu się przekonać innych, gdyby nie był blady jak ściana i mokry od potu, choć temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni Celsjusza.

Z drugiej strony stodoły Malcolm Crow podał kluczyki do traktora starszemu mężczyźnie o surowym wyrazie twarzy, ze znoszoną czapką Strachów z Pine Deep na głowie.

- Coop - powiedział, nie przestając się uśmiechać - powinieneś być widzieć ich miny! Słodki Jezu, to było coś! - Zgiął się w pół, uderzając dłońmi w uda. Nie mógł powstrzymać śmiechu, choć robił, co mógł. - Claire i Billy! Mówię ci, chłopie, za mało im płacimy. Oni zasługują na Oscara. Cholera, stary, dzisiaj sam zacząłem się bać!

Coop uśmiechnął się półgębkiem i pokiwał głową. Mimo to wciąż wyglądał na niezadowolonego. Nawet w swoich najlepszych latach nie był zbyt bystry i z zasady nie lubił niczego, co odbiegało od przeciętności. Ale tym razem nie był jedynym, który uważał, że Crow przesadził z nowymi atrakcjami. Pamiętał jeszcze czasy,

kiedy „Nawiedzone Przejazdki” nie oferowały nic poza kilkoma dzieciakami w maskach, które wyskakiwały z krzaków, wrzeszcząc „buuu!” Nic specjalnego. Żadnej sztucznej krwi i wleczonych po polu flaków. A teraz, oprócz dodania nowych rekwizytów, zatrudnili jeszcze sześcioro nastolatków z koła teatralnego w Pine Deep. Po jednej parze na każdy wóz.

Coop uważał, że właściciel też by nie był zachwycony. Problem polegał jednak na tym, że Terry Wolfe był jednocześnie burmistrzem miasteczka i nigdy, ale to przenigdy nie zbliżał się do „Nawiedzonych Przejazdek”. Traktował je jak inwestycję, która miała przynosić zysk, i dał Malcolmowi wolną rękę.

Crow był zadowolony tylko wtedy, gdy dzieciaki wracały na farmę ledwo żywe z przerażenia. Coop słuchał jego śmiechu, a kiedy ich oczy się spotkały, też wykrzywił usta.

- A co zrobisz, jeśli przyjedzie tutaj jakiś narwaniec z Filadelfii ze spluwą za paskiem? - zapytał. - Dzisiaj połowa dzieciaków nosi do szkoły gnaty. Pif, paf i masz na głowie trupa Billy'ego albo jednej ze zjaw. Wtedy nie będzie ci już do śmiechu.

Crow przewrócił oczami.

- Nie ma mowy. To się nie zdarzy. Przecież każdy wie, że to tylko zabawa. Oni czekają, aż coś napędzi im strachu. Po to tu przyjeżdżają.

- No, może.

Crow spojrzął na zegarek.

- Chyba pojedę jeszcze z grupą o dwudziestej pierwszej piętnaście, a potem znikam. Dasz sobie radę przez resztę wieczoru?

- Poradzę sobie - odpowiedział Coop, dając do zrozumienia, że przez czternaście poprzednich lat, zanim Wolfe mianował Crowa szefem, noc w noc woził dzieciaki i nic złego się nie wydarzyło.

Nawet jeśli Malcolm wychwycił aluzję, nie dał tego po sobie poznać. Klepnął Coopa w ramię i ruszył w kierunku biura.

Wszedł do środka, usiadł w obrotowym skórzanym fotelu, oparł nogi na stercie kartonów z firmowymi koszulkami i wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Kciukiem przytrzymał przycisk szybkiego wybierania i przybliżył słuchawkę do ucha.

Odebrała po drugim sygnale.

- Cześć - rzuciła zdyszana, lekko ochrypłym głosem.

- Mmm - mruknął. - Mówisz, jakbym przeszkodził ci w jakiejś seksualnej przygodzie.

Val Guthrie prychnęła wymownie.

- Aha. Właśnie uprawiałam dziki i wyuzdany seks ze stepperem.

- Ty nierządnicco!

- Ćwiczę już tyle czasu, że chyba wdrapałabym się na Mount Rainier. Cała spływałam potem, za to pośladki mam jak ze stali.

- Podczas gdy ja swoją siłę zawdzięczam czystości.

- Crow, jeśli to jest źródło twojej siły, to nie byłbyś w stanie podnieść bukietu kwiatów.

- Taka młoda, a taka pyskata. - Cmoknął kilka razy.

- Wracasz do domu czy zostajesz tam i zwiększasz obroty psychoterapeutów w całym stanie?

- Niedługo będę, kochanie. Ale... powinnaś posłuchać ich wrzasków. Mówię ci, ta pułapka, którą ostatnio wymyśliłem... wiesz, ta z zombi wyciągającymi dzieciaka z traktora. Rany, to dopiero było coś!

Na chwilę zapadła cisza, a Crow wiedział, że Val teraz wzdycha i kręci zrezygnowana głową.

- Jesteś bardzo, ale to naprawdę bardzo, bardzo dziwnym człowiekiem.

- Co masz na myśli?

- Oj, nie gadaj już tyle, tylko wracaj do domu, to zajmiemy się czymś ciekawszym, niż taplanie się we krwi i flakach.

- Uuu... - sapnął, sugerując, co ma na myśli.

- Teraz idę pod prysznic, a kiedy wrócisz, będę czyściutka i różowiutka.

- Sam nie wiem. Chyba wolę cię spoconą.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby znów się spocić.

Zaśmiała się słodko i rozłączyła.

Crow oparł się wygodnie i wyobraził ją sobie. Szczupła, silna, z czarnymi włosami i lekko zadartym nosem. Ma najinteligentniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widział. Oczy, które zachodzą mgłą, kiedy się kochają.

Zjawy i zakrwawione wnętrzości zeszły na drugi plan.

Spojrzał na zegarek. Czas na ostatni kurs, po którym wsiądzie w samochód i pojedzie na farmę Val. Może nawet pójdą na długi spacer do miejsca, które oboje uwielbiali. Czasem kochali się tam pod gwiazdami. Czasem nawet w takie zimne noce jak dziś.

Crow wstał, wsunął telefon do kieszeni spodni i ruszył na miejsce zbiórki kolejnej grupy między stodołą a polami kukurydzy. Pracownicy zajęci już byli sadzeniem dzieciaków na belach słomy na przyczepie traktora. Znał ich i wiedział, że nie musi niczego sprawdzać. Stał i spojrzał na wschód. Gdzieś tam jest farma Val. Daleko, daleko, kilometry stąd, za polaciami falujących zbóż i pól pękających dyń, choć z tego miejsca nie było widać żadnych świateł. Zapowiadała się bezgwiezdna noc. Niebo było czarne i sprawiało wrażenie, że sięga nieskończoności.

Czuł się cudownie szczęśliwy. „Przejażdżki” kierowane jego ręką stały się sukcesem, nawet jeśli czasem posuwał się nieco za daleko, czemu nie przeczył. Był z Val Guthrie, najcudowniejszą kobietą na świecie.

Nagle, bez żadnego powodu, przeszedł go dreszcz. Poczł takie zimno i mrowienie, że całe ramiona pokryły się gęsią skórką, a włosy na głowie stanęły dęba. Gdzieś daleko, pod osłoną ciemności, rodził się grzmot, a on to poczuł. Oznaka zbliżającej się burzy. Rozproszony odległością, brzmiał jak śmiech. Jak smutny chichot dobywający się z głębi klatki piersiowej.

Zadrzał.

- Coś się kroi - powiedział na głos.

W oddali znów rozległ się chichot grzmotu, a niebo przecięła pojedyncza błyskawica, żłobiąc w ciemności czerwona pulsującą pręgę.

Z prawej strony usłyszał krzyki nastolatków, które w nawiedzonym domu napotkały duchy. Z jakiegoś powodu nie spodobał mu się ten dźwięk.

2.

Dziwna zapowiedź nadchodzącej burzy ulotniła się z jego myśli, gdy tylko wsiadł do samochodu i pognął przez ciemność do Val. Tak jak zaplanował, poszli na spacer, kochali się na dworze, a potem zasnął w jej ramionach. Już w łóżku, mimo oplatających go ramion ukochanej kobiety i jej ciepłego, wtulonego w szyję oddechu, Crow znalazł się pośrodku zagmatwanego, starego snu. Nie dlatego starego, że już dawno go nie śnił - nie, on był wrośnięty w tkankę jego mózgu jak zgrubienia od łopaty w skórę rąk grabarza. Część koszmaru była prawdziwa, składała się ze wspomnień. Reszta była zlepkiem jego wyobrażeń, domysłów i tego, do czego doszedł lub czego się domyślił przez lata, od kiedy śnił o tym po raz pierwszy. Treść snu miała w sobie jakąś szatańską moc przyciągania, fascynacji złem, które każe nam stać bez ruchu i napawać oczy widokiem płonącego domu sąsiadów. Crow wiedział, że musi prześnić cały sen, przeżyć każdy moment wspomnień, powtórzyć każdą myśl i dojść do tych samych wniosków, co zawsze. Dopiero wtedy senne widziadła dawały mu spokój. Nieświadomie zacisnął zęby i bezradnie dał się porwać nurtowi, który zabrał go ponad trzydzieści lat wstecz.

3.

JESIEŃ 1976

Szkielet zabił diabła gitarą.

Ściagał go po drogach i przez pola kukurydzy. Dopadł diabła w niewielkiej dolinie między dwiema górami, gdzie mieszkaly cienie. Jej dno stanowiło bagno,

powietrze roilo się od wygłodniałych komarów, a spod nóg uciekały brązowe jak ziemia węże.

Prawda jednak była taka, że ścigali się nawzajem. Czasem to diabeł był górą i miał dość siły, by gonić Szkieleta. Wymachiwał wtedy niemieckim lugerem, którego dostał wiele, wiele lat temu. Kiedy skończyły mu się kule, wyciągnął ostry jak brzytwa nóż. Choć Szkielet nie wyglądał potężnie, był silnym mężczyzną, na jego ramionach wyraźnie rysowały się mięśnie wyrzeźbione dwudziestoma latami ciężkiej pracy w polu. Mięśnie pleców przypominały stalowe pręty związane marynarską liną. Starli się na szczycie wzgórza obok leśnego parkingu, gdzie nastoletni chłopcy przywozili swoje dziewczyny. W obu kipiała krew i pulsował gniew, księżyc nie pojawił się jeszcze na niebie, a diabeł wciąż był tylko człowiekiem. Szkielet był znacznie silniejszy. Nóż diabła szerokim łukiem wyleciał w powietrze i wylądował w chaszczach, a on sam stracił grunt pod stopami. Spadał, turlał się po zboczu, obijał. Kiedy udało mu się stanąć na nogach, ruszył szaleńczym pędem. Przez cały czas biegł w dół, szukając schronienia w ciemności spowijającej Mroczny Jar.

Szkielet stał nad krawędzią i ciężko dyszał. Przez krótką chwilę patrzył na zachodzące słońce, by ocenić, ile dnia mu jeszcze zostało. Musi zrobić swoje. Zostało mu tylko tyle życia, ile dnia do zachodu słońca... Chyba że wcześniej dopadnie diabła. Kiedy na niebie pojawi się księżyc, bieg wydarzeń się odwróci. Będzie gorzej.

Wciąż miał przewieszoną przez plecy gitarę - podskakiwała i obijała się przez całą pogoń i podczas walki, lecz wciąż tam była. Kropelki potu łączyły się w strugi, spływały po jego brązowej twarzy i błyszcząły jak okruchy szkła w gęstwinie fryzury afro.

Zebrał się w sobie, skoczył ponad krawędzią, wylądował dwa metry niżej i pognał z boczem z taką prędkością, że nie zdążył się nawet przewrócić. Nie nosił skarpet, a wokół prawej kostki miał zawiązany rzemień z pięciocentówką. Przy każdym kroku moneta błyszcząca w promieniach zachodzącego słońca. Dała mu ją ciotka z Baton Rouge w Luizjanie, a Szkielet, choć nie wierzył w wudu, nie był głupi i nosił ją, by chroniła go przed złem. Zbocze miało trzysta metrów i było strome jak ścianka kufla do piwa. Szkielet słyszał diabła przedzierającego się przez krzaki kilkanaście metrów przed sobą.

Biegł coraz szybciej, nie zważając na uderzenia gałęzi i kolce roślin. Musi dopaść diabła zanim pojawi się księżyc.

Wpadł do jaru z takim impetem, że runął na kolana. Krzyknął z bólu i natychmiast się zerwał, bo wiedział, że krzykiem nic nie zdziała. Zacisnął zęby, by odegnać ból i strach, i wbiegł w krzaki, mrugając, by jak najszybciej przyzwycząić wzrok do ciemności. Szukał diabła - i niemal natychmiast go znalazł. Stał, siłując

się z gałęzią. Chciał ją urwać i użyć jako broni, lecz gałąź była jeszcze zielona i nie chciała umierać w jego dłoniach.

Szkielet nie miał lugera, nie miał też noża. Miał jedynie gitarę. Nie namyślając się długo, zsunął pasek z ramion i przelożył instrument nad głową. W tej samej chwili diabłu udało się urwać gałąź. Obrócił się, by stawić czoło przeciwnikowi, a Szkielet mógłby przysiąc, że jego oczy zmieniły kolor z niebieskiego na żółty, a potem na czerwony. Tak po prostu. Żrenice zwięzły się w szparki. Diabeł zaśmiał się, szeroko otwierając usta pełne ociekających śliną zębów. Spojrzał na gałąź, lecz widząc, że jego ręce się zmieniają, uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem i odrzucił ją na bok.

Szkielet nie zatrzymał się i nie zawahał, choć serce niemal zamarło mu w piersi. Złapał gitarę za gryf i, pokonując kilka ostatnich metrów, uniósł ją wysoko nad głowę. Diabeł nic sobie z niego nie robił. Zmieniał się i wiedział, czym się zaraz stanie. Był dumny, był diabłem, a pycha jest niebezpieczna nie tylko dla ludzi.

Gitara świsnęła w powietrzu, a poruszone gwałtownym zamachem struny zadźwięczały dziwnie. Instrument pędził gnany całą siłą, jaką Szkielet w sobie znalazł. Pudło grzmotnęło diabła w twarz i rozprysło na tysiąc kawałków. Struny pękły z żalobnym jękiem, a różany gryf rozszczępił na dwie części. Na ułamek sekundy przed uderzeniem, które posłało go na ziemię, z twarzy diabła zniknęła pycha i zastąpiło ją zwykłe ludzkie niedowierzanie. Padając, obrócił się plecami do napastnika, wrzeszcząc w szoku i plując krwią i zębami. Przemiana nie doszła jeszcze do etapu, na którym zbyłyby takie uderzenie uśmiechem. Wciąż jeszcze był bardziej człowiekiem niż drapieżcą.

Padł na grząską ziemię jaru. Jego czerwone oczy błyszczały jak świece, a zmasakrowana twarz pokryta krwawą mazią wyrażała nienawiść i cierpienie.

Szkielet stanął nad nim, trzymając gryf w obu dłoniach. W ciemnościach Mrocznego Jaru brakowało boskiego światła słońca, a gdzieś dalej, nad wzgórzami, pojawił się właśnie księżyc. Czubki rosnących dookoła drzew pokryło nocne srebro.

Nawet teraz, pobity i krwawiący diabeł, powalony na ziemię i poniżony, był o krok od zwycięstwa. Gdyby dostał pocałunek księżycowego światła, zmieniłby się do końca, a noc należałaby do niego.

Twarz Szkieleta pokrywał pot, a z oczu płynęły łzy. Był delikatnym człowiekiem, ale delikatnością nic by tutaj nie wskórał. Zmusił serce, by zamieniło się w nieczuły kamień, i uniósł ręce z resztkami gryfu. Końcówki strun i kołki znalazły poświatę księżycza i zapłonęły srebrzystym płomieniem.

- Wracaj do piekła! - krzyknął i wbił ostro zakończony kawałek twardego drewna w plecy diabła. W ten cios włożył całą swoją siłę, napiął każdy mięsień ciała i naparł każdym kilogramem wagi. Gryf przebił skórę i rozpychając żebra, szukał serca diabła.

Powietrze rozdarł krzyk tak przeraźliwy i donośny, że ze wszystkich drzew w okolicy zerwały się kruki, a echo długo błędziło między pniami drzew pokrywającymi zbocza Mrocznego Jaru. Wrzask ogłuszył Szkieleta, który puścił gryf i zasłonił uszy, zataczając się do tyłu. Był tak straszny, że w okolicznych bagnach w jednej chwili pozdychały wszystkie żaby, robaki zbieleły, a metan z rozkładających się roślin wystrzelił spod dna. Szyszki spadały z drzew i zaczynały płonąć, jeszcze zanim dotknęły ziemi. Szkielet zakasłał, a z ust i nosa pociekła mu krew.

Diabeł miotał się w błocie. Usiłował sięgnąć do tyłu i wyrwać sterczący z pleców kawałek drewna, ale miał za krótkie ręce. Znow krzyknął, potem jeszcze raz i jeszcze, ale teraz krzyczał już jak człowiek. I znacznie ciszej. Zniknęła też czerwień jego oczu, potem żółć, aż w końcu znow miały kolor lodu. Nie było w nich jednak śladu człowieczeństwa. Ani grama miłości czy strachu, tylko czysta nienawiść, która uderzyła Szkieleta, mimo że oczy diabła zaczynały gasnąć.

Diabeł padł na błotnisty skraj bagna. Jeszcze raz otworzył usta, lecz zamiast krzyku wystrzeliła z nich kaskada czarnej krwi i zalala leżące dookoła liście.

Szkielet opadł na kolana i wsparł się na dłoniach. Z jego ust i nosa cienkimi stróżkami płynęła krew, a w głowie roilo się od świecących punkcików. Długo, naprawdę długo wpatrywał się w diabła... patrzył, jak umiera.

Zimne światło księżyca padło na martwego diabła. Ale teraz nie miało to już znaczenia.

4.

Szkielet przeszukał kieszenie diabła. Znalazł trochę gotówki, ale jej nie wziął. Otworzył portfel i spojrział na zdjęcie na prawie jazdy. Tak, to on. Okrutny uśmiech uwieczniony przez aparat. Na prostokątnym kawałku plastiku widniało jego imię: Ubel Griswold. Szkielet podejrzewał, że to nie jest prawdziwe imię. Nie znalazł niczego bardzo osobistego, więc wyrwał mu parę włosów, zawinął je w liść z kilkoma plamkami krwi i schował do kieszeni. Kiedy wróci do siebie, wymiesza włosy, krew i specjalne zioła i pochowa je koło kościoła. Wiedział, że zło trudno jest zabić, a on chciał pokonać nie tylko ciało diabła, ale też jego ducha. W przeciwnym wypadku powróci.

Zaciągnął ciało Ubela Griswolda do bagna i wepchnął pod parującą powierzchnię. Znalazł na ziemi zieloną gałąź, którą odłamał, i wcisnął nią zwłoki jak najgłębiej w zalegający na dnie głodny muł. Zajęło mu to dużo czasu, jednak w końcu całe ciało zniknęło w czarnej gęstej zupie. Teraz już nikt go nie znajdzie, poza robakami. Szkielet uważał, że tak powinno być.

Splunął na patyk i rzucił go między drzewa, a brudne ręce wytarł w robocze spodnie.

Zebrał części roztrzaskanej gitary - wszystkie, z wyjątkiem gryfu, który tkwił wbity w plecy Ubela Griswolda - i je zakopał. Żal mu było instrumentu. Wcześniej należał do jego ojca, który też dostał go od kogoś z rodziny. Grał na nim bluesa, zaczynał w Missisipi, ale od tamtego czasu przemierzył cały kraj. Kiedyś sam Charley Patton pożyczył gitarę od jego przodka i zagrał na niej *Missisipi Boweavil Blues* na kościelnym pikniku w Bentonii. Ponoć położył ją sobie na kolanach jak gitarę hawajską i akompaniował, śpiewając głośno pieśni gospel. Kiedy indziej ojciec Szkieleta, Virgil Morse, zagrał na niej podkład na kilku płytach Mose'a Vinsona, wydanych przez Sun Records. Tak, ta gitara miała swoją historię, Szkielet, czy Oren Morse, bo tak się nazywał, też miał niemały wkład w jej życie. Grywał na niej w setkach klubów i pubów - od Pocahontas i Missisipi, przez malutkie wioski w stanie Nowy Jork, aż po zadymione kluby dla czarnych w Filadelfii. Teraz leżała przed nim w drzazgach, a cała muzyka i magia gdzieś uleciały.

Miała w sobie dość mocy, by zabić nią diabła. Swoją drogą, czegoż więcej można wymagać od zwykłej gitary?

Klepnął dłonią ziemię i wstał. W świetle księżyca odnalazł drogę powrotną. Bolały go nogi, a serce wciąż waliło napędzane strachem, którego doświadczył.

Szedł pod górę i szedł, a w jego głowie kołatała się jedna jedyna myśl - że już po wszystkim.

Raz za razem musiał wyrwać nogawki zaczepione o kolczaste krzewy porastające gęsto zbocza. Nie zauważył, że przy którymś szarpnięciu pękł rzemień ze szczęśliwą pięciocentówką. Dawny czar, który chronił go przez te wszystkie lata, zginął na zawsze gdzieś w trawie.

Na szczycie wzniesienia znalazł się akurat w chwili, kiedy ciemna chmura z południa zasłoniła niebo szczelnym welonem, odgradzając ziemię od światła księżyca i gwiazd. Z Passion Pit do głównej drogi A-32 prowadził szutrowy trakt. Ale mógł też pójść na skróty, przez pola kukurydzy, i wyjść prosto na farmę Guthriego. Gdzieś tam, za morzem rozchwianych łądyg, stał dom Henry'ego Guthriego, a jeszcze kawałek dalej stodoła, w której Szkielet miał swój siennik.

- Już po wszystkim - powiedział do siebie i ruszył w stronę pola kukurydzy.

Nagle ciemność nocy rozdarły światła reflektorów.

Cztery samochody i niebieskoczerwone światła radiowozu. Wszystkie naraz. On znalazł się pośrodku. Zamarł, słysząc trzask drzwi i skrzypienie żwiru pod butami.

- Stój tam, gdzie stoisz, chłopcze.

„Chłopcze”. Znów się zaczyna. Poczul się, jakby byli na południu Stanów. Wiedział, że to oznacza kłopoty.

Nie ruszał się z miejsca. Stał z opuszczonymi rękami, a z ciemności wynurzyło się siedmiu mężczyzn, formując luźny krąg. Byli duzi i silni. Znał ich wszystkich. Policjantem był posterunkowy Bernhardt, młody zwalisty chłopak z psią twarzą i świńskimi oczkami. Prawą rękę trzymał na wyłożonej orzechowym drewnem kolbie służbowego rewolweru, a lewą bawił się uchwytem pałki. Trzymał ją wysuniętą z kółka przy pasku, jakby w razie potrzeby chciał szybciej ją wyciągnąć. Był jedynym gliną w tym towarzystwie.

Pozostali mieszkali w mieście. Wszyscy byli młodzi, zaczynając od siedemnastoletniego Vica Wingate'a. Mimo że najmłodszy, budził największy strach. Ilekroć zdarzyło im się spotkać, Vic wyzywał go od czarnuchów. Szkielet go unikał. Najstarszy był dowcipny Jimmy Crow - lecz tym razem jego oczy nie były wesołe. Obok stał Eddi Holownik, największy z nich. Szkielet nie wiedział, jak się nazywa. Miał około dwudziestu lat i niemal dwa metry wzrostu. Eddi Holownik nigdy go nie przeżywał i nie używał rasistowskich obelg. Zawsze był uprzejmy i jego obecność trochę podniosła Szkieleta na duchu, bo wiedział, że regularnie chodzi do kościoła, a czasem nawet widywał go w miejskim parku, jak przesiadywał na ławce z Biblią na kolanach. Pozostała trójka to po prostu miastowi. Jim Polk, który niedawno zaczął naukę w college'u, i jeszcze Phil i Stosh, ale ich nie znał i nie wiedział, jak się nazywają.

Siedmiu mężczyzn, siedem wrogich twarzy.

Szkielet był spisywany i rewidowany przez każdego glinę, gdziekolwiek się pojawił, więc wiedział z doświadczenia, że bezpieczniej jest czekać spokojnie na rozwój wydarzeń.

- Ty jeźdź Morse, co nie? - stwierdził posterunkowy Bernhardt.

Znów ten protekcjonalny ton, choć pytający miał dobrych dziesięć lat mniej niż Szkielet.

- Tak jest, proszę pana. - Kiedy się bał, mówił z akcentem chłopaka z południa.

- Co tu robisz, czarnuchu? - zapytał Vic Wingate.

Szkielet pomyślał, że dobrze by im zrobiło, gdyby zepchnął ich wszystkich ze wzgórza. Chciał też rzucić się do ucieczki.

- Byłem na spacerze - odpowiedział.

- Na spacerze? - powtórzył Jimmy Crow. - Pierdolonym spacerku?

- Może przylazł tu podglądać białe dzieciaki, jak się obmacują w autach? - zasugerował Polk i roześmiał się, łapiąc się za krocze.

- Nie, proszę pana. - Szkielet starał się mówić jak najspokojniej. Nie zamierzał się podkładać tej bandzie. - Nie jestem podglądaczem. Poza tym tu nikogo nie ma.

I przez ostatnie tygodnie też nikt się tu nie pojawiał. Przecież wiecie.

Któryś z nich poruszył się gwałtownie, a Szkielet niemal się skulił.

- A skąd ty to wiesz, do cholery? - warknął Crow.

- Wszyscy to wiedzą. Od kiedy zaczęły się morderstwa, nikt się tutaj nie zapuszcza. Nikt nie wychodzi z domu wieczorem.

Vic zrobił pół kroku naprzód.

- Ale ty się nie boisz, co?

Szkielet nie odpowiedział.

- Gówno prawda. - Crow mówił ze stężałą twarzą. Jego najstarszy syn, Billy, był trzecią ofiarą mordercy. W oczach ojca widać było ból.

- No, chłopcze, dlaczego się nie boisz? - nastawa! Bernhardt.

Morse zacisnął zęby, by nie dać po sobie poznać narastającej wściekłości. „Chłopcze”? Co sobie ten prymityw myśli? Że jest 1956? Wciąż nie chciało mu się wierzyć, że znacznie więcej rasistowskich wieśniaków spotyka tutaj, w Pensylwanii, niż na południu Stanów.

- Nie boję się chodzić na spacer - wydusił w końcu.

- To naprawdę dziwne... - uznał Vic. - Wszyscy się boją, nikt nie wychodzi po zmroku, bo morderca może się gdzieś tutaj czaić... a ty masz to gdzieś. Dlaczego?

Szkielet milczał.

- No, dalej, Morse, dlaczego się nie boisz? Jak to jest, że taki chudziutki czarunuszek jak ty jest jedyną osobą w mieście, która za nic ma seryjnego mordercę grasującego gdzieś w okolicy, co?

Polk roześmiał się obleśnie.

- Może się nie boi, bo jak morderca ma po ciemku zauważyć smolucha, co?

Część mężczyzn ryknęła śmiechem. Vic i Eddie Holownik się nie przyłączyli. Eddie sprawiał wrażenie zamyślnego, ale nie powiedział ani słowa. Natomiast Vic machnął ręką na pozostałych, żeby ich uciszyć.

- Nie pierdol, Jimmy. Ten mały skurwiel nie boi się wychodzić, bo to właśnie on czai się w ciemności.

Polkowi i reszcie zajęło dobrych kilka sekund zrozumienie sensu tych słów. Eddie Holownik nabrał głęboko powietrza i wypuścił je przez nos, powoli i głośno.

- Przestań chrzanić! - Szkielet nie wierzył, w to co usłyszał. - Przecież dobrze wiesz, że to nieprawda! - Powiedział, patrząc Vicowi prosto w oczy.

- Doprawdy? - Crow warknął, a Vic kłapnął zębami. - To skąd masz krew na ubraniu, co?

Szkielet odruchowo spojrzał na koszulę. Była cała we krwi, choć w ciemności wyglądała, jakby była mokra i czarna.

- No i co teraz powiesz? Że zaciąłeś się przy goleniu? - sztychł Polk.

- O cholera... - mruknął Stosh, który dopiero teraz zauważył ciemne plamy. Szkielet pokręcił głową.

- Przestańcie, przecież to nieprawda... Ja...

- Czy to twoja krew?- zapytał Eddie Holownik. Mówił głębokim, miękkim głosem, który w innych okolicznościach brzmiałby nawet miło.

- Nie, ale...

- To czyja? - Bernhardt nie pozwolił mu dokończyć.

Nagle nad ich głowami rozległ się grzmot burzy. Szkielet przesunął oczami po ich twarzach, a potem zwilżył językiem spierzchnięte usta.

- Słuchajcie... musicie mi uwierzyć...

- A w co niby mamy ci uwierzyć? - zapytał Eddie cichym i wciąż jeszcze miękkim głosem.

- Tu rzeczywiście chodzi o mordercę... odkryłem, kto wypatroszył te wszystkie dzieciaki. - Znów oblizał usta. - Odkryłem.

- Odkryłeś - mruknął Bernhardt. - Ty? Czarny robol od zbierania kukurydzy znalazł seryjnego zabójcę, którego nie mogła złapać cała policja stanowa? - Roześmiał się. - Akurat uwierzę w te pierdoły.

Vic podszedł bliżej, zaciskając pięści. W jego oczach widać było napięcie.

- W takim razie powiedz, kto to niby jest? - zapytał cichym złowrogim szeptem.

Szkielet zaczął wymawiać imię Ubela Griswolda, lecz kiedy pierwszy dźwięk wydobył się z jego ust, Vic uderzył go pięścią z tak wielką siłą, że Szkielet nie dokończył. Jak szmaciana lalka poleciał w tył i uderzył w pick-upa Eddiego. Miał wrażenie, jakby wyrznął głową w mur.

- Pierdol się! - krzyczał Vic. - Czyją krew masz na ciuchach? Coś ty zrobił, co?!

- Nie panował nad sobą, jakby coś uruchomiło w nim taką reakcję. Dосkoczył do Szkieleta i raz za razem uderzał go pięścią w głowę.

- Czy ten kawałek gówna zabił mojego chłopaka?! - ryknął Crow, a okrucieństwo wypisane na jego twarzy zmieszało się z prawdziwą furią. - Vic, zostaw go mnie... - Ale ten nic nie słyszał, jak w transie masakrując twarz Morse'a.

- Stójcie! - wrzasnął Szkielet, plując krwią z rozbitych ust. - Jezu Chryste, proszę, zabierzcie go! - Usiłował się zasłonić, podnosząc oba ramiona, jak bokser podczas walki, starał się skulić na ziemi, ale Vic, mimo że w ogóle nad sobą nie panował, potrafił się bić. Używał sierpowych, by ominąć gardę Szkieleta, walił go hakami w podbródek, a kiedy Szkielet nie mógł już się zasłaniać, jego ciosy spadały na twarz i gardło. Pięści Vica Wingate'a poruszały się jak stalowe młoty, rozpryskując krew.

Eddie Holownik podszedł do Szkieleta, objął go ramionami i osłonił przed kolejnymi ciosami. Pozostali mężczyźni, zaszokowani niewytłumaczalnym wybuchem Vica, nie znajdowali w sobie już takiej wściekłości, jak na początku. Zniknęła ich porywczność, a jej miejsce zajęły zakłopotanie i zmieszanie. Ostatnie uderzenie wymierzone w Szkieleta odbiło się od niewiarygodnie szerokich ramion Eddiego.

Szkielet czuł, jak uginają się pod nim nogi, ale nie upadł, bo Eddie trzymał go za koszulę na piersiach i unosił do góry. Pochylił się i spojrział na niego oczami rozpalonymi jakimś dziwnym światłem.

- Panie Morse - powiedział miękko i tak cicho, że tylko Szkielet i Vic mogli go usłyszeć. Głowa Szkieleta zwisała, oparta na ramieniu, a on sam czuł eksplozję bólu tuż za oczami. Dzwony w jego uszach były z taką siłą, jakby wzywały wiernych na niedzielne nabożeństwo. - Panie Morse, co pan zrobił dziś w nocy? I czyja to krew? Muszę to wiedzieć.

Szkielet spoglądał na niego, choć ból nagłymi falami odbierał mu zdolność widzenia. Starał się skupić na jego błękitnych oczach. Szukał w nich współczucia, zrozumienia, a może nawet pomocy...

- Proszę, nie rób mi krzywdy - wyszeptał i zaraz zawstydził się swojego tchórzostwa. Niecałą godzinę temu gonił samego diabła i pokonał go w walce, a teraz skamlał o życie przed zbieraniną prymitywów z Pensylwanii.

- Słucham, panie Morse.

- Eddie, daj spokój, do cholery. Oddaj go mnie! - Vic nie mógł się uspokoić i starał się dosięgnąć Szkieleta. Eddie obrócił się tak, by nie mógł go dotknąć. Oparł chłopaka o półcieńczarówkę i zbliżył twarz do jego twarzy.

- Powiedz mi wszystko, jak było, a szybko to skończę, panie Morse - szepnął.

Szkieletowi wydało się, że zobaczył w jego oczach coś przyjaznego. Obrócił lekko głowę i wypluł krew, której miał pełne usta.

- To był Griswold - wycharczał przez ściśnięte gardło.

Twarz Eddiego się nie zmieniła.

- Co on powiedział?! - Bernhardt i Crow krzyknęły w tej samej chwili.

- To był Ubel Griswold! - powtórzył Szkielet, zdesperowany i przestraszony. - To był on, przysięgam, że to on. Ten właściciel farmy świń po drugiej stronie miasta. - Obliznął spuchnięte wargi. - On zabił te niewinne dzieciaki.

Jego głos nie był głośniejszy od szeptu i tylko Eddie Holownik mógł go usłyszeć. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jego zakrwawioną twarz. Myślał. W Szkielecie zaczęła budzić się nadzieja, że jeszcze nie wszystko stracone. Potem Eddie pokręcił głową.

- Nie - powiedział.

- C...CO?

- Powiedziałem „nie”. To niemożliwe. Griswold chodzi do mojego kościoła. Jest prawym człowiekiem. Wierzy w Boga. - Nie przestawał wpatrywać się w pokiereszowaną twarz Szkieleta. - Natomiast ciebie w kościele nigdy nie widziałem. W co ty wierzysz?

- Słucham?

- Szatan jest ojcem kłamstwa. - Oczy Eddiego Holownika były zimne jak lód. Szkielet zrozumiał, że szukanie w nich nadziei i ratunku było tragiczną pomyłką. - Vic ma rację, to musiałeś być ty - stwierdził, a jego twarz wydawała się niemal smutna.

- Ale ja...

- Jesteś diabłem, Morse, bestią z piekła - szepnął. - Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Eddie Holownik uderzył. Uniósł prawą rękę, odsunął ją ledwie na dwadzieścia centymetrów i spuścił na twarz Szkieleta, wkładając w uderzenie całą swoją siłę, masę i moc.

W głowie chłopaka eksplodowała wielka kula białego światła. Nogi w końcu się poddały i Szkielet upadł na ziemię. Leżał obok półciężarówki i nie mógł się ruszyć ani wydobyć z siebie głosu. Miał złamany nos i zgruchotaną szczękę. Uderzenie zmiażdżyło też trzy kręgi na wysokości karku. Nie mógł oddychać, bo gardło szybko wypełniała krew.

Eddie Holownik odwrócił się do reszty mężczyzn. Najbliżej stał Vic. Ich oczy się spotkały i wpatrywali się w siebie przez chwilę.

Vic obliznął usta w taki sam sposób, w jaki przed chwilą zrobił to Szkielet.

- Same łgarstwa. Wszystko, co powiedział, to szatańskie kłamstwa - oznajmił Eddie.

W oczach Vica pojawiła się zupełnie niewytłumaczalna ulga. Walczył z nią przez kilka sekund i dopiero kiedy się uporał z tym dziwnym wyrazem twarzy, spojrzął na pozostałych. Na Jimmy'ego Crowa.

- Jimmy - powiedział - strasznie mi przykro, ale... to on zabił twojego Billy'ego. Właśnie to wyznał.

Tym razem to Eddie był zdziwiony. Już chciał coś powiedzieć, ale zawahał się, zamknął usta i odszedł na bok. Wszyscy wpatrywali się w Szkieleta. Oczy, które jeszcze przed chwilą były pełne wątpliwości, teraz stężały i pulsowały nienawiścią. Przez niemal piętnaście sekund nikt się nie ruszył, wszyscy obserwowali wykrwawiającego się na śmierć człowieka. Wreszcie ciszę przerwało uderzenie plastiku o metal, kiedy Gus Bernhardt wyciągnął policyjną pałkę z kółka przy pasku.

Eddie Holownik zszedł im z drogi i wszyscy rzucili się naprzód. Nie musieli już się zastanawiać. Pozostało im tylko dokończenie dzieła.

5.

Nikt nigdy nie został oskarżony o zabicie Orena Morse'a, którego ciało znaleziono na skrzyżowaniu A-32 i Hollow Road, przywiązane do stracha na wróble, z niewielką karteczką wepchniętą do kieszeni koszuli. Na skrawku papieru wypisane zostały imiona szesnastoorga dzieci, które zamordowano tej jesieni. Tak zakończyły się Czarne Żniwa 1976 roku i niemal wszyscy zaakceptowali oczywistą nieprawdę, że Szkielet był mordercą. Przecież był nikim. Wędrowny robotnik, który pochwalił się przynajmniej jednej osobie, że w 1970 roku uciekł przed wojskiem. A to uczyniło go kryminalistą. Niewielu zauważało subtelny brak związku między ucieczką przed przymusowym wysłaniem na wojnę a byciem seryjnym mordercą dzieci. Normalna logika nie znajdowała w tym przypadku zastosowania.

Nigdy nie odnaleziono ciała Ubela Griswolda, farmera, który osiadł w Pine Deep osiem lat wcześniej. Przyjęto, że był ostatnią ofiarą mordercy, Rozpruwacza, bo takie przezwisko nadała mu jedna z lokalnych gazet.

Pogrzebem Szkieleta zajął się Henry Guthrie, właściciel farmy, na której znaleziono przywiązane ciało, który wcześniej zatrudnił Orena Morse'a jako sezonowego robotnika. Był jednym z niewielu, którzy nie wierzyli w jego winę. Ale nie mówił o tym głośno. Jedną z ofiar mordercy był jego kuzyn, a mimo to nawet przez chwilę nie uwierzył, że Oren Morse tego dokonał.

Z bratem George'em zawieźli ciało na stary cmentarz prezbiteriański i je pochowali. Kościół spłonął czterdzieści lat wcześniej i nikt nie zajmował się starymi grobami. Nikomu też nie zrobiło różnicy, że pojawiła się tam nowa mogiła. Bracia Guthrie na wszelki wypadek nikomu o tym nie wspomnieli. Pary z ust nie puściła też dwójka dzieciaków, która brała udział w świeckiej ceremonii - dziesięcioletnia córka Henry'ego, Val, i jej najlepszy przyjaciel, Malcolm Crow. Brat Malcolma, Billy, był jedną z pierwszych ofiar mordercy, a chłopak nigdy nie miał się dowiedzieć, że jego ojciec uczestniczył w zlincowaniu Morse'a. Malcolm był też jednym z niewielu mieszkańców miasteczka, którzy wiedzieli, że Szkielet nikogo nie zabił. Ale nikt nie chciał go słuchać. Wcześniej Morse - albo Szkielet, jak na niego wołali, bo był taki chudy - uratował Malcolmowi życie w sytuacji, która dała im jasną odpowiedź, kto był zabójcą.

Dzieciaki uwielbiały Szkieleta. Pracowały razem z nim w polu, a on nauczył je wszystkiego, co wiedziały o bluesie. Dlatego błagały Guthrie'go, by pozwolił im iść na pogrzeb przyjaciela. Obiecały, że nigdy nikomu o tym nie wspomną.

Przez całe lato i długą jesień Szkielet nieraz siadał na werandzie i grał im na gitarze, by powstrzymać noc i odegnać czające się w ciemnościach strachy. Opowiadał im różne historie o swoich przygodach w drodze i o nieprawdopodobnych

spotkaniach z legendarnymi bluesmanami. Guthrie nie miał pojęcia, czy to prawda, ale nie dbał o to. Muzyka Orena była piękna, i choć smutna, pomogła wszystkim przebrnąć przez ten mroczny czas - Czarne Żniwa, które zaczęły się od zarazy zżerającej plony, a skończyły serią brutalnych morderstw. W jakiś dziwny sposób czar gitary stał się ochroną przed złem. Teraz muzyk był martwy i tylko dobry Bóg wiedział, co się stało z jego gitarą.

Guthrie kupił nagrobek w innym mieście i przywiózł go na cmentarz. Odmówił kilka modlitw, przeżegnał się i już nigdy w to miejsce nie wrócił. Lata później Malcolm Crow próbował odnaleźć mogiłę, ale bez powodzenia.

Zaraza się skończyła i nadeszła pora deszczów. Mieli przed sobą długie miesiące sinogranatowego nieba i codziennych burz.

Zbiory w następnym roku były już normalne, a kukurydza wyrosła wysoka i soczysto zielona. Nikt nie rozmawiał o morderstwach. Jednak nie zapomniano o nich - tyle że w kolejnych latach przezwisko Rozpruwacz zastąpiono przezwiskiem Szkielet, przypisując mu całą winę za tamte wydarzenia.

A na dnie Mrocznego Jaru leżały kości diabła, zasiane jak nasiona zła i nienawiści. Czekały na dobry czas do kiełkowania.

CZEŚĆ I

NA ROZSTAJU DRÓG

*Wyszedłem na rozstaje, upadłem na kolana,
Wyszedłem na rozstaje, upadłem na kolana,
Miej litość, ocal Boba,
Błagałem mego Pana.*

Robert Johnson *Crossroads Blues* (Na rozstaju dróg)

Na dróg rozstaju, formując diabłu kule.

Tom Waits i William Burroughs *Crossroads* (Na rozstaju dróg)

*Demony deptczą mi po piętach
Ja stoję na progu piekła
Rozglądam się na wszystkie strony,
Zewsząd się we mnie wbijają szpony.*

Tracy Chapman *Crossroads* (Na rozstaju dróg)

ROZDZIAŁ I

DZIEŃ DZISIEJSZY

1.

Malkom Crow udawał, że śpi, bo nie było innego sposobu, żeby popatrzeć na nagą Val. Oddychał spokojnie, regularnie i leżał z zamkniętymi oczami, czekając, aż jego dziewczyna wstanie i pójdzie do łazienki. Wtedy powoli unióś powieki, ale tylko na tyle, żeby zobaczyć ją stojącą przy umywalce, nagą i niewinną. Gdyby tylko wiedziała, że patrzy, natychmiast włożyłaby koszulę nocną albo szlafrok.

Doprowadzała go tym do szaleństwa. Nie miała żadnych problemów z nagością, kiedy kochali się w nocy, ponieważ twierdziła, że mrok dobrze ją skrywa - nie doceniała jego zdolności widzenia w ciemnościach. Ale kiedy kochali się w dzień, tu, w jej sypialni, zawsze coś na siebie wkładała.

Crow nie mógł tego zrozumieć. Val miała czterdzieści lat i wyglądała doskonale. Była szczupła, wysoka, opalona i gibka od wykonywania codziennych farmerskich czynności - choć oczywiście jej zadania ograniczały się już raczej do doglądania wszystkiego i wydawania poleceń. Była silna i wysportowana, miała cudowny biust, ledwie muśnięty oznakami średniego wieku. Jej brzuch był zupełnie płaski, a uda szczupłe i muskularne, choć nie tak chude, jak u modelki. Pupa, w jego ocenie popartej wieloletnim doświadczeniem w obserwacji tej części ciała, miała doskonały kształt. Czarne proste włosy nosiła związane w koński ogon wyciągnięty najczęściej przez otwór w bejsbolówce Johna Deera. Włosy łonowe przycięła w kształt serca - zrobiła mu taki prezent na walentynki, a on ubłagał, by niczego nie zmieniała, choć mógł liczyć jedynie na ukradkowe spojrzenia, kiedy kochali się w ciemnościach. Jediną rzeczą, którą miała teraz na sobie, był delikatny srebrny krzyżyk na cienkim łańcuszku.

Val Guthrie była doskonała w każdym calu. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości, kiedy oglądał ją myjącą zęby. Ramiona wprawiała w ruch piersi, a to z

kolei przyprawiało Crowa o przyspieszone bicie serca. Poczuł, że dostaje erekcji, i miał nadzieję, że przez luźne bokserki nie będzie to aż tak widoczne, w razie gdyby na niego spojrziała.

Crow wiedział, że jego dziewczyna ma straszne kompleksy na punkcie swoich bliźni. Nie docierały do niej jego tłumaczenia, że kogo one obchodzą, a poza tym, że są bardzo seksowne. Piętnaście lat temu Val rok po roku zdemolowała trzy motocykle, za każdym razem odnosząc jakieś obrażenia. Na brzuchu miała dziesięciocentymetrową bliznę, wyraźne ślady po zagojonych już ranach na kolanach i łokciach i kilkadziesiąt mniejszych punkcików wzdłuż lewego ramienia, piersi i żeber. No i jeszcze kilka plam po zaleczonych oparzeniach. Ostatni wypadek, jaki miała, był naprawdę groźny. Po nim Val zrezygnowała z harleyów i przesiadła się do relatywnie bezpieczniejszego pojazdu, tym razem na czterech kołach, z dachem i karoserią. Wybrała dodge'a vipera.

Val skończyła szorować zęby. Wypluła resztki pasty, wypłukała usta, przemyła twarz i opłukała ręce. Crow był już maksymalnie podniecony i liczył na to, że szybko wróci do łóżka, a on uda, że właśnie się obudził z erotycznego snu z nią w roli głównej. Wiedział, że musi spokojnie odczekać, aż Val położy się obok niego.

Zgasiła światło i stanęła w drzwiach sypialni, by sprawdzić, czy Crow wciąż jeszcze śpi. Malcolm wzbijał się na wyżyny gry aktorskiej. Chyba ją przekonał, bo na paluszkach pokonała drogę do wielkiego łóżka. Zwinnie wsunęła się pod koldrę i przysunęła jak najbliżej niego. Układała się wygodnie do chwili, gdy biodrem natrafiła na bokserki Malcolma.

Zamarła, czując coś zupełnie innego niż rozluźnione mięśnie śpiącej osoby.

Crow wstrzymał oddech, czekając, czy wyśle go pod zimny prysznic, czy zachowa się jeszcze okrutniej, po prostu ignorując jego gotowość i uda, że zasypia.

- Położyłeś się spać z pistoletem za paskiem, czy po prostu cieszysz się, że mnie widzisz? - zapytała cichym, głębokim głosem.

Malcolm udał, że właśnie się budzi, ale Val nie dała się zwieść i delikatnie szturchnęła go łokciem w żebra.

- Marny z ciebie aktor, Crow.

- Bo ja jestem kochankiem, a nie aktorem.

Val uśmiechnęła się, obróciła i pocałowała go niewinnie w czoło.

- Podglądałeś, co? Przyznaj się.

- Kto, ja?

Sięgnęła pod koc i dotknęła jego członka.

- Detektor kłamstw mówi co innego.

- No to wpadłem... Co mi teraz zrobisz, polejesz zimną wodą?

- Wiedziałam! Ty podglądaczu jeden! - Uśmiechała się. Jej oczy stały się błyszczące i jeszcze bardziej niebieskie niż zazwyczaj.

Poranek za oknem rozjaśniał ciemność nocy, a zbudzone ptaki rozpoczęły codzienne trele. Crow słyszał szelest łodyg kukurydzy poruszanych delikatnymi powiewami wiatru. Dźwięk przypominał mu szum fal łagodnie rozbijających się o piasek plaży.

Val nie cofnęła dłoni.

- Przyznaję się do winy, wysoki sędzie. Proszę o łagodny wymiar kary - powiedział skruszony.

Jej uśmiech płynnie zmienił się z zasnętego na niegrzeczny.

- Wybacz, ale ten sąd nie zna litości dla złoczyńców. - Mówiąc to, podniosła się i usiadła na nim okrakiem. Nawet w takiej chwili pamiętała, by zakryć się kocem.

- Jeśli za minutę nie zejdziecie na śniadanie, wasze jedzenie wyląduje u krów!
- Głos, który wołał dwa piętra niżej, dotarł do nich w momencie, gdy Crow wiązał sznurówki, a Val dopiero wychodziła spod prysznic.

- Twój ojciec nas woła! - krzyknął do niej, bo tym razem zamknęła za sobą drzwi do łazienki. - Już któryś raz.

- Kocham cię!

- Ja ciebie też!

Crow z uśmiechem na ustach zbiegł po schodach, nucąc pod nosem *Black Ghost Blues* Lightin'a Hopkinsa. Od kilku dni ta piosenka chodziła mu po głowie, aż w końcu postanowił, że wieczorem spróbuje ściągnąć ją z sieci.

Malcolm Crow był mężczyzną o zwartej budowie ciała, ledwie kilka centymetrów wyższy od Val, szczupły, ale nie chudy. Poruszał się sprężysto jak dzieciaki o połowę młodsze od niego, a kiedy grał w kosza, biegał po całym boisku tak szybko, że więksi i lepsi gracze nie nadążali i padali ze zmęczenia. Jego czarne włosy były gładkie i błyszczące, co sprawiało, że wyglądał, jakby w jego żyłach płynęła indiańska krew, i było dość dziwne, zważywszy na jego szkockie korzenie. Crow miał białe jak śnieg zęby i chętnie je pokazywał w uśmiechu, który rzadko schodził z jego twarzy. Tym bardziej teraz, kiedy wchodził do kuchni domu Henry'ego Guthriego.

Ojciec Val stał przy kuchence i drewnianą szpatułką nakładał francuskie tosty na metalową tacę. Na stole już czekały plastry smażonego boczku, kiełbaski i jajecznica.

- Jeśli już przestałeś psuć i zadrećcać moją córkę, to mam nadzieję, że zostało ci dość siły, żeby przenieść to na stół - odezwał się Guthrie surowo.

- Moja siła ma swe źródło w czystości - powiedział Crow, biorąc tacę. - Wszyscy o tym wiedzą.

- To musisz być słaby jak nowo narodzony kociak.

- Aha! - Malcolm odstawił tosty i wśliznął się na masywną ławę stojącą przy końcu dębowego stołu, na którym leżały brudne talerze i sztucce, jednoznacznie wskazujące na to, że niejedna osoba zdążyła już zjeść śniadanie i pójść do pracy. Crow wiedział, że kuchnia Guthrie'go jest niemal przez cały czas pełna sezonowych robotników, nadzorców, członków rodziny i sporej grupy ludzi, którzy akurat znaleźli się na farmie - od komiwojażerów po mleczarza. Ten ostatni był żywym dowodem na to, że groźby Henry'ego są tylko groźbami - na farmie nie było krów.

Guthrie nalał mu kubek kawy, potem sobie, i usiadł na dużym, wygodnym krześle naprzeciwko.

- Jakie masz plany na dzisiaj? - zapytał, oglądając się za siebie, by sprawdzić, czy nadchodzi córka. Uspokojony sięgnął po prawdziwy cukier i tłuste mleko.

- Muszę jechać do „Przejażdżek” - odpowiedział niewyraźnie Crow z pełnymi ustami. - Mam tam trochę do zrobienia. Kilka niespodzianek jest uszkodzonych. - „Nawiedzone Przejażdżki” były największą tego typu atrakcją w całym kraju. Właścicielem był jego przyjaciel, Terry Wolfe, ale to Crow wszystko zaprojektował i pilnował wysokiego poziomu. Osobiście obmyślał najlepsze „pułapki”, czyli miejsca, w których nagle wyskakiwały potwory i straszły przejeżdżających gości. Każda z nich była starannie przemyślana. - Potem - powiedział, sięgając po smażony boczek - pojedę do miasta, żeby otworzyć sklep.

- Interes się kręci?

- Tak, nie narzekam. - Kolejnym przedsięwzięciem Crowa był niewielki sklep z rękodziełem i pamiątkami przy głównej ulicy miasteczka. Sprzedawał tam artystyczne drobiazgi, albumy, a nawet wełnę do robienia na drutach. Teraz, z powodu pory roku, przestawił się niemal wyłącznie na asortyment związany z Halloween. Mimo zarazy, która toczyła uprawy, i problemów farmerów, którzy bardzo dostawali przez to po kieszeni, Halloween pozostawało jedną z najważniejszych imprez w Pine Deep. Turyści oznaczali przecież pieniądze.

Żując boczek, Crow przyjrzał się uważnie gospodarzowi. Ojciec Val się starzał. Mimo techniki, która ułatwiała uprawę roli, minione kilkadziesiąt lat ciężkiej pracy odcisnęło na nim swoje piętno. Wyglądał na swoje sześćdziesiąt cztery lata, ba, może nawet na nieco więcej. Jego czarne krzaczaste brwi zrobiły się bardziej nastrożone i przyprószone siwizną, a gdy matka Val zmarła przed dwoma laty, jego czarne niegdyś włosy zmieniły kolor na jasnoszary. Mimo to w błękitnoniebieskich oczach wciąż widać było młodego ducha i ochotę do żartów.

- W przyszłym tygodniu chciałem wziąć Val do New Hope. Na jeden dzień, maksymalnie dwa. Nie będziesz miał nic przeciwko temu?

- Cóż... - Guthrie udał, że się zastanawia. - Bez niej farma upadnie. Będę zrujnowany, a banki zmuszą mnie, bym zamieszkał w kartonach gdzieś pod mostem. Poza tym nie widzę żadnych przeciwwskazań, żebyście wyskoczyli sobie na miły weekend.

- Super.

- A właśnie, wpadłem na twojego kumpla. Jego wysokość, znaczy się.

- Na Terry'ego? Gdzie go spotkałeś?

Guthrie miał na końcu języka, że siedzieli obok siebie w poczekalni u psychiatry, do którego obaj chodzili - Henry na lekcje kontrolowania gniewu, a Terry... kto wie, po co? Nie był jednak pewny, czy Crow w ogóle wie o terapii burmistrza, więc szybko zmienił wersję.

- W mieście. Miałem tam kilka spraw do załatwienia.

Crow kiwnął głową i nałożył sobie kolejną porcję boczku.

- Nie wygląda za dobrze - dodał Guthrie.

- Niestety. Mówił mi, że ma problemy ze snem. Jakieś koszmary i takie tam. - Malcolm nie patrzył na niego. Sam miewał takie sny i nie chciał, by wyjątkowo czujne oczy Henry'ego wychwyciły choćby cień jego obaw.

- Mam nadzieję, że to przejściowe. Ale Terry zawsze wydawał mi się spięty.

Barowe drzwi, jakby żywcem przeniesione z saloonu na Dzikim Zachodzie, skrzyknęły i do kuchni wszedł Mark Guthrie, brat Val. Był od niej o kilka lat młodszy, ale zupełnie nie dbał o formę. Miał wielki brzuch, szybko się męczył, i w przeciwieństwie do ojca, już teraz zaczynał łysieć. Ubrany był w ciemny garnitur, w rękę trzymał lokalną gazetę.

- Cześć, tato, cześć, Malcolmie.

- Cześć - odpowiedział Crow, machając do niego widelcem z nabitą kiełbaską.

- Śniadanie na stole - powitał syna Henry. - Siadaj i chociaż napij się z nami kawy.

Mark skorzystał z zaproszenia, a rozmowa zeszła na lokalne interesy. Mówili o kryzysie w miasteczku, ale żaden nie wspomniał ani słowem o zarazie atakującej zbiorę. Jak dotąd, na polach Guthrie'ego nie zauważono jej śladów, choć kilku sąsiadów straciło przez nią niemal wszystko. Mark, miły, acz dość pedantyczny facet, mówił przede wszystkim o tym, jak rozwiązać problemy finansowe, dobierając właściwe sposoby inwestowania. Guthrie potakiwał, jakby się z nim zgadzał, choć było wręcz odwrotnie, a Crow pochłaniał ogromne ilości jedzenia. Brat Val był szefem wydziału wsparcia finansowego dla studentów w lokalnym college'u, więc czuł się ekspertem uprawnionym do autorytatywnej wypowiedzi na każdy temat związany z ekonomią.

Crow mu nie przerywał, pomrukując i potakując, ilekroć ten robił przerwę. Gdy na dłuższą chwilę zapadła cisza, wstał i podziękował za posiłek.

- Nienawidzę zrywania się zaraz po jedzeniu, ale muszę lecieć. Mark, trzymaj się. Henry, my się pewnie jeszcze dzisiaj zobaczymy. Val zapowiedziała, że ugotuje dla mnie obiad, więc będę jakoś pod wieczór.

Ojciec i syn spojrzeli na niego z takim niedowierzaniem, jakby oznajmił im, że tego roku urodzą się jedynie fretki o niebieskim futerku.

- Val? - powtórzył Henry.

- Ugotuje? - Mark dołączył do ojca.

I wybuchnęli dzikim śmiechem.

- Gdy jej to powtórzę, dostaniecie za swoje. - Pogroził im, chociaż wiedział, że mają rację. Przez te wszystkie lata, kiedy się znali i spotykali, Val tylko kilka razy coś dla niego ugotowała i za każdym razem źle się to kończyło.

Wciąż się śmiali, kiedy wbiegł na górę, odsunął delikatnie suszarkę do włosów i pocałował swoją dziewczynę w taki sposób, że oboje poczuli dreszcze. Na dole Mark i Henry opowiadali sobie straszne historyjki o jej wyczynach kulinarnych. Młodszy Guthrie był czerwony jak burak i dusił się ze śmiechu, wspominając zdarzenie, w którym ciasto z dyni łączyło się z rozwodnieniem.

Crow, gwizdząc pod nosem, przeszedł przez wysypane żwirem podwórze i stanął obok starego chevroleta. Złapał za klamkę, nie przestając powtarzać melodii *Black Ghost Blues*, choć nie do końca zdawał sobie z tego sprawę.

2.

Terry Wolfe przewrócił się na drugi bok, jakby chciał uciec przed snem, który mu się śnił. Na próżno. Sen podążał za nim tak samo nieubłaganie, jak każdej z poprzednich dziesięciu nocy. Okrutnie natarczywy i bezlitosny, pojawiał się i zniknął na pewien czas tylko po to, by powrócić. Tym razem pojawił się wraz z zarazą.

Twarcz i szyja ociekały mu potem. Obok spała Sara, też niespokojnie, jakby strach i koszmar w jakiś sposób przenosiły się na nią i zatruwały jadem jej spokojny sen. Nie śniła go jednak - była świadoma jego istnienia, ale nie tego, czego dotyczył.

Terry złapał przez sen poduszkę i z nieludzką siłą wbił w nią zakrzywione palce...

We śnie Terry nie był Terrym. We śnie Terry był kimś... czymś innym.

Czymś.

Zupełnie.

Innym.

We śnie Terry nie leżał obok swojej żony. We śnie zawsze się budził i odwracał do Sary, a wtedy...

Część Terry'ego wiedziała, że to tylko sen, i cała się wzdrygała i spinała, widząc, co robi to coś, czym jest śniący Terry. Część, która wiedziała, że to sen, wyła, płakała i jęczała, widząc to coś, jak odsuwa koc przykrywający Sarę i pochyła się nad nią, połyskując ciemnymi oczami i rozkoszując się jej bezbronnością. Część Terry'ego, która obserwowała wszystko, otwierała usta do krzyku, widząc, jak to coś też otwiera usta... Jego śpiące ciało zachowywało się tak samo. To coś obnażało zęby i patrząc głodnym wzrokiem, pochylało się coraz niżej nad Sarą, a ślina kapiała na jej twarz.

Nie! - krzyczał Terry, ale tylko we śnie... Tak naprawdę wydawał ciche westchnienie.

Ale to wystarczyło. Zaciśnięte gardło i desperacka próba krzyku odsunęły koszmar i sen odszedł. Terry leżał mokry od potu i nie mógł złapać tchu.

Zza zaciągniętych zasłon dobiegał śpiew ptaków obwieszczający piękny, słoneczny poranek. Najchętniej wzięłby strzelbę i je pozabijał.

Usiadł na łóżku. Bolały go mięśnie napięte przez kilka godzin koszmaru. Sara spała spokojnie, zwinięta w kłębek. Nie widział jej twarzy ukrytej pod rozrzucenymi czarnymi włosami. Wstał i spojrział na nią, na jej ukochane ciało. W powietrzu unosił się delikatny zapach perfum. Kochał ją tak bardzo, że z oczu popłynęły mu łzy. Nie po raz pierwszy pomyślał, że aby ją chronić, powinien popełnić samobójstwo.

Każdego ranka ta myśl wracała z większą siłą, a on znajdował coraz więcej argumentów za - wydawało mu się, że to najlepsza rzecz, jaką może zrobić dla Sary.

Oderwał od niej wzrok i poczłapał do łazienki. Oparł się obiema rękami o zimny brzeg umywalki i zapatrzył w swoje odbicie. Codziennie, zanim odważył się spojrzeć w lustro, ogarniał go strach - co będzie, jeśli zamiast swojej twarzy zobaczy twarz bestii? Jeśli ze szklanej tafli będzie spoglądała twarz, która prześladowała go w koszmarach?

Zobaczył siebie. Szeroka kwadratowa szczęka, kręcone rude włosy i krótka bródka, której nie przycinał już tak starannie, jak kiedyś. Przekrwione niebieskie oczy spoglądające na niego były pełne niepokoju i winy, chociaż nie potrafił powiedzieć, z jakiego powodu. Za pięć tygodni skończy czterdzieści lat, ale do niedawna wszyscy dawali mu pięć lat mniej. Teraz wyglądał na zmęczonego pięćdziesięciolatka. A może nawet jeszcze starzej.

Otworzył apteczkę i zaczął nerwowo przesuwając pomarańczowe pojemniczki z lekarstwami. W końcu znalazł clozapinę, wsypał prosto do ust kilka tabletek i popił czterema szklankami zimnej wody z kranu. Leki przeciwko psychozie sprawiały, że odczuwał wielkie pragnienie. Kilka pastylek przełożył do niewielkiego

plastikowego pojemniczka, dosypał trochę xanaksu i zatrzasnął wieczko. Miał poczucie winy, że to robił. Znów spojrzął w lustro.

- Witam, panie burmistrzu - powiedział, czując nienawiść do twarzy, która na niego spoglądała. Zabrał się do szorowania, golenia i przycinania, by zamienić ją w twarz znaną wszystkim mieszkańcom miasta.

3.

Crow wyjechał z farmy Guthriego i ruszył na północny wschód międzystanową A-32 w kierunku Old Mill Road i „Nawiedzonych Przejazdów”, wciśniętych między kampus college'u i południową odnogę Parku Narodowego Pine Deep. Przestał gwizdać, kiedy włączył płytę Nicka Cave'a i zaczął śpiewać razem z nim. Jego stary Chevrolet, Missy, toczył się spokojnie między polami kukurydzy, a Crow na cały głos wtórował Bad Seeds w obscenicznej piosence *Stagger Lee*, której nie mógł puszczać w obecności innych, bo wywoływała zażenowanie. Osobiście nie widział niczego niewłaściwego w rozpoczynaniu pięknego wrześniowego poranka balladą o masowych morderstwach i pederastach.

Crow śpiewał równie głośno, jak fałszywie, mijając kolejne zakręty z wprawą kogoś, kto pokonał tę drogę już setki razy.

W pewnym momencie minął furgonetkę pełną sezonowych robotników jadących na farmę Henry'ego. Zatrąbił, witając kierowcę i szefa ekipy. Kilku robotników poznało go i pomachało, a on odpowiedział tym samym. Wielu z nich pochodziło z Haiti, a kilku pracowało tak dobrze, że stary Guthrie rozważał zatrudnienie ich na stałe.

Za furgonetką jechały dwa samochody pełne ludzi, których też znał, a potem jeszcze pierwszy szkolny autobus. Była już prawie siódma rano i miasto budziło się do życia. W tych okolicach nikt nie spał długo.

Telefon komórkowy rozdzwonił się motywem, który sam ustawił - piosenką *I Got My Mojo Working*.

- Dzień dobry, szkoła pani Beechum, w czym mogę pomóc? - przywitał się.

- Cześć! - roześmiała się Val. - Właśnie sobie przypomniałam coś bardzo, bardzo przyjemnego...

Ściszył muzykę, żeby ją dobrze słyszeć.

- Cześć, kochanie... ja też nie zapominałem. Jesteś najbardziej smakowitą kobietą na świecie, wiesz o tym?

- Mmm - mruknęła jak kotka. - Może i jest pan cymbałem, panie Crow, ale to, co pan ze mną zrobił... o rany...

- I nawzajem. Trzy razy między dwudziestą trzecią trzydzieści a szóstą rano. Czuję się, jakbym znów miał osiemnaście lat.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że przez cały dzień będę myślała o poranku. Pa, pa - pożegnała się i rozłączyła.

Uśmiech, który pojawił się na twarzy Malcolma, był bardziej promienny niż słońce nad otaczającymi go bezkresnymi polami dookoła.

4.

W snach zawsze zmieniał się w Żelaznego Mike'a Sweeneya, Pogromcę Zła. W snach nie miał czternastu lat - był dorosłym i bardzo umięśnionym mężczyzną. Nikt nie mógł go pokonać i nikt nie ważył się podnieść na niego ręki. Był superbaterem toczącym niekończącą się walkę z siłami zła i chaosu. Był milczącym podróznikiem, który przybywał do niewielkich miasteczek wstrząsanych falami przemocy i przynosił im surową sprawiedliwość, wymuszaną żelaznymi pięściami, silnymi kopniakami i szerokim arsenałem najnowszej broni. Był nieśmiertelnym Żołnierzem Światła, który niósł pochodnię wiedzy i zrozumienia przez mroki nocy spowijającej słaby świt. Demony czmychały na jego widok, a wampiry zamieniały w chmury popiołu, gdy tylko skierował na nie promienie swojej broni. Mocarne androidy z Mrocznego Zakonu nie miały szans, by stawić czoło jego twardym pięściom. Żelazny Mike Sweeney był najpotężniejszym wojownikiem, jakiego kiedykolwiek nosiła ziemia.

Nawet teraz, jako Wróg Zła, bronił przejścia do Gelderhausu przed siłami księcia Victora i jego bandami mutantów uzbrojonych w laserowe miecze i paralizatory.

Walka trwała przez całą noc, lecz Żelazny Mike Sweeney nie czuł zmęczenia. Kolejne uderzenia mieczem były równie silne i celne, jak na samym początku, kiedy wydobył tytanowe ostrze i stanął w rozkroku przy wejściu na most, by chronić bezbronnych mieszkańców Gelderhausu. Mutanci atakowali falami, lecz za każdym razem Żelazny Mike potężnymi uderzeniami rozłupywał czaszki kolejnych wrogów i nie oddawał przejścia. Ziemia poniżej usłana była coraz wyższymi stertami ciał, a ich radioaktywna krew barwiła rzekę na czerwono.

Kiedy odparł natarcie kolejnej fali mutantów, książę Victor ruszył, by osobiście poprowadzić następny atak. W rycerskiej rękawicy dzierżył miecz, słynny Deathpall. Zatrzymał się na tyle daleko, by ich broń jeszcze nie mogła się skrzyżować, i zlustrował Żelaznego Mike'a oczami błyszczącymi nienawiścią i wzrastającą frustracją.

- Nie przejdiesz! - ryknął z całych sił Żelazny Mike Sweeney, a echo powtórzyło jego okrzyk z podwójną mocą.

Książę Victor uniósł miecz, sycząc z nienawiści i...

- ...złaź, do ciężkiej cholery, na dół albo ja wejdę do ciebie!

Krzyk sprawił, że Mike w jednej chwili odpędził resztki snu, a jego ciało zareagowało, jeszcze zanim umysł zdążył ogarnąć sytuację.

- Czy ty mnie, kurwa, słyszysz?

Mike był w połowie drogi do szafy z ubraniami.

- Już pędzę! Już! - krzyknął, nerwowo sięgając po spodnie i koszulkę.

Przy schodach, z nogą na pierwszym stopniu, stał jego ojczym, Vic Wingate. Silną rękę gniewnie zacisnął na poręczy.

- Głuchy jesteś? Muszę trzy razy wrzasnąć na ciebie, zanim raczysz dać znać, że słyszysz? Co ja, do cholery, jestem pokojówka, czy jak?

Mike musiał się spieszyć, by zejść na dół, zanim ojczym naprawdę się wścieknie. Co prawda poranne bicie nie należało jeszcze do codzienności, ale niewiele było trzeba, by wyprowadzić ojczyma z równowagi.

- Przepraszam, Vic. Byłem w ubikacji i miałem zamknięte drzwi.

Vic przyjrzał mu się uważnie i złość powoli ustąpiła miejsca obleśnemu uśmiezkowi.

- Taa, domyśliłem się... przecież jesteś z gówna, to gdzie masz być, nie? Zbieraj dupę na dół i biegiem na śniadanie. Nie chcę słyszeć, że spóźniłeś się do szkoły.

- Tak jest.

- Masz jakieś zajęcia po szkole?

- Tak.

- Dobrze. Gdy skończysz, masz wracać prosto do domu. I nie spóźnij się. - Mocno zaakcentował ostatnie słowa.

- Będę na czas.

Vic rzucił jeszcze okiem, czy dzieciak wyszedł ze swojego pokoju, i ruszył do kuchni. Mike oparł się o framugę drzwi i głęboko westchnął.

Słyszał, jak Vic na parterze wrzeszczy na jego matkę, a potem rozległo się trzaskanie drzwiami. Pojechał do pracy. Vic był szefem mechaników w warsztacie Shanahana i nigdy się nie spóźniał, choć nikogo nie obchodziło, kiedy się tam zjawi. Shanahan, jak zresztą większość ludzi, która go znała, bał się Vica i, jak Mike, nigdy nie odważyłby się go celowo wyprowadzić z równowagi.

- Obyś jak najszybciej zdechł - mruknął chłopak w stronę zamkniętych drzwi.

- Kochanie! - Zawołała mama. Jeszcze nie było siódmej rano, a ona już była po pierwszym kieliszku. Chociaż może nie, może po prostu nie wytrzeźwiała od wczoraj. - Śniadanie na stole!

- Dzięki! Zaraz będę! - Mike wiedział, że śniadanie to kartonik z płatkami śniadaniowymi i drugi z sokiem pomarańczowym. Wrócił do pokoju i usiadł na brzegu łóżka. Splótł palce, zgarbił się i wbił wzrok w skomplikowany wzór, jaki słońce wyrysowało na dywanie. Próbował przypomnieć sobie swój sen, ale było już za późno. Wiedział tylko, że było w nim coś o moście, ale niczego więcej nie pamiętał.

- Po prostu kolejny zwykły dzień - mruknął do siebie. Powtarzał to niemal każdego ranka, za każdym razem w ten sam, całkowicie pozbawiony entuzjazmu sposób.

Tym razem się mylił.

5.

Eddie Holownik każdy dzień zaczynał na kolanach. Gdy tylko zwlekał się z łóżka, nawet, jeśli musiał do łazienki, najpierw kłekał na zimnej drewnianej podłodze i składał ręce. Kiedyś przygotował sobie listę modlitw, które musiał powtórzyć, zanim rozpoczynał osobistą rozmowę z Bogiem. *Ojcze Nasz* odmawiał starannie, dokładnie czternaście razy, bo to dwa razy siedem. A siedem jest liczbą Boga, większą od szatańskiej szóstki. Potem przychodziła kolej na różaniec i dwanaście *Pod Twoją obronę*. Żegnał się siedem razy znakiem krzyża, kładł płasko na podłodze i czekał, aż usłyszy w głowie głos Boga.

Czasem musiał leżeć godzinę, zanim Pan się odezwał - a wtedy niemal pękał mu pęcherz. Jednak od niedawna Bóg zaczynał przemawiać znacznie szybciej. Eddie Holownik wiedział, że to dobry znak. Liczył, że już niedługo Pan objawi mu Świętą Misję, jaką będzie miał wypełnić.

Tego ranka ledwie dotknął głową podłogi, a głos Boga wypełnił każdy zakamarek jego mózgu.

„Dziś nastał ten dzień, moje dziecko!” - usłyszał. Głos Boga był zbyt głośny i Eddie bał się, że pęknie mu od tego czaszka.

- Mów, mój Panie, jestem narzędziem w Twoich rękach. Objaw mi Twoje przeświète zamiary.

„Jesteś moim wiernym sługą”, oznajmił Bóg. „I moim narzędziem na ziemi. Wiedziałeś o tym?”

- Tak, mój Panie.

„Jesteś wrogiem Bestii. Wiedziałeś o tym?”

- Tak, mój Panie.

„Jesteś karzącą ręką sprawiedliwości. Wiedziałeś o tym?”

- Tak, mój Panie.

„Jesteś Mieczem Boga. Wiedziałaś o tym?”

- Tak, mój Panie! O, tak!

„Kiedy karząca ręka sprawiedliwości sięga do gardła Bestii, to po co to czyni?”

- By ją zniszczyć, mój Panie. Jestem sługą Boga!

„A jeśli Bestia przyjmie inną postać?”

- Szatan jest ojcem wszelkiego kłamstwa. Bestia jest ojcem wszelkiego kłamstwa. Z Bożą pomocą przejrzę jego sztuczki i poznam Bestię. A wtedy sięgnę i ją zniszczę, jeśli taka będzie wola Boga.

„A jeśli Bestia przybierze postać normalnego człowieka?”

- To zniszczę go, ponieważ Bestia jest ojcem wszelkiego kłamstwa. Taka jest wola Pana.

„A jeśli Bestia przybierze postać kobiety?”

- To zniszczę ją pod postacią kobiety, ponieważ Bestia jest ojcem wszelkiego kłamstwa! Taka jest wola Pana.

„A jeśli Bestia przybierze postać dziecka?”

- Zniszczę ją pod postacią dziecka, ponieważ Bestia jest ojcem wszelkiego kłamstwa. Taka jest wola Pana.

Za każdym razem powtarzali tę samą litanie. Tylko raz, jeden jedyny raz, na początku, Eddie Holownik zawahał się przy tym właśnie punkcie. Potem nie miał już wątpliwości. Dziś jego głos był mocny i pewny siebie. Zdecydowany.

„Czy jesteś gotowy poświęcić życie dla tej świętej misji?”

- Jestem narzędziem w rękach Pana. Jego wola jest moją. Chcę służyć Panu całym moim śmiertelnym ciałem i nieśmiertelną duszą.

„Pan znajduje upodobanie w swoim wiernym słudze”.

Wdzięczność wypełniała serce Eddiego. Zapłakał ze szczęścia, nie mając odwagi podnieść głowy.

„Przyjrzyj się tej twarzy. Taką postać przybrała kiedyś Bestia”.

W jego umyśle pojawiła się twarz mężczyzny. Chudy, wysoki czarny chłopak w ubraniu zaplamionym krwią. Eddie go pamiętał. To była Bestia we wcieleniu, które spotkał trzydzieści lat temu. Wtedy szatan rękami tego człowieka dokonał strasznej rzezi w miasteczku. Eddie spotkał go i dał mu szansę, by wyznał swoje grzechy, ale nadaremno. Ten człowiek skłamał. A Bestia to ojciec wszystkich kłamstw. Eddie zniszczył wtedy Bestię. Byli z nim inni, żeby pomóc w dziele, ale najsilniejsze uderzenie zadał sam. Śmiertelny cios zadała jego pięść.

„Bestia powróciła i ma nową twarz”.

Eddie podskoczył. Dotychczas litanie zawsze kończyła się przypomnieniem tamtego czynu. Dziś Głos Boga dodał nowe zdanie. Wypełniająca go wdzięczność

momentalnie ustąpiła miejsca podnieceniu i gotowości. Głos Boga przepelniony był furią, która przyprawiała Eddiego o drżenie.

„Oto nowa twarz Bestii. Przyjrzyj się jej uważnie i zapamiętaj ją, by nie dać się zwieść”.

Eddie Holownik uniósł głowę o centymetr, dwa, potem jeszcze wyżej, ale niczego nie zobaczył. Nagle pojawiła się twarz - nie zawieszona w powietrzu przed nim, jak się spodziewał, ale płonąca ogniem w jego mózgu. Zobaczył drobną, niechlujną postać ubraną w za duże ciuchy. To był młody chłopak, z kręconymi rudymi włosami i ciemnoniebieskimi oczami. Nie mógł mieć więcej niż trzynaście czy czternaście lat. Jechał na rowerze drogą, którą Eddie doskonale znał - A-32.

„Powstrzymaj Bestię!” - ryknął głos w jego głowie z taką mocą, że z nosa zaczęła mu ciurkiem lecieć krew.

Eddie nie zwrócił na to uwagi. Wytarł ją niedbale rękawem i wpatrywał się w obrazy zsyłane przez Boga.

- Jestem mieczem w rękach Pana - wystękał, pokonując przeraźliwy ból rozsadzający czaszkę. - Jestem Jego narzędziem i Jego wola jest moją wolą. Ciałem, sercem i duszą chcę służyć mojemu Panu.

„Oto twoja święta misja... oto przyczyna, dla której się narodziłeś”. Krew szerokimi strumykami wypływała z obu dziurek nosa i spływała po jego brodzie. Zakrzuszył się, kiedy wpłynęła do ust i zalała mu gardło.

- Jestem mieczem w rękach Pana - wyjąkał przez łzy. - Niech się spełni wola Twoja.

6.

- Jak było wczoraj wieczorem? - zapytał Crow, kiedy skończył tankowanie jednego z firmowych quadów. Coop przycupnął nieopodal, na stopniu drewnianej werandy, przez którą wchodziło się do sklepu z pamiątkami. - Terry wspomniał coś o dzieciakach z Doylestown?

- Tak, przyjechało kilka autobusów. Przywieźli cały rocznik - potwierdził Coop. Był szwagrem Terry'ego i chociaż nie należał do największych bystrzaków w okolicy, Crow go lubił. - O jakieś osiem procent przekroczyliśmy dzienną średnią, co Terry'emu na pewno się spodoba. Tobie bardziej spodoba się wiadomość, że trzy dziewczyny wpadły w histerię i nie można było ich uspokoić.

Crow uśmiechnął się i zakręcił bak.

- Naszym celem jest zadowolony klient.

- Myślisz, że Terry kiedyś tu wpadnie, żeby zobaczyć, co zrobiłeś z tym miejscem?

„Nawiedzone Przejazdźki” Pine Deep były największą i najbardziej dochodową atrakcją tego typu w całym kraju. Terry zatrudniał ponad stu pracowników, młodzież i dorosłych. Bilety były drogie, w sklepiku sprzedawało się wszystko, co wiązało się z horrorami i strachem, począwszy od napojów mlecznych o smaku dyni po zombiburgery, a gotówkę z utargu do banku trzeba było wozić taczka. Każdego roku w różnych gazetach ukazywało się kilka artykułów o „Nawiedzonych Przejazdźkach”, a ekipy telewizyjne z całego Wschodniego Wybrzeża przyjeżdżały kręcić reportaże. Mimo to Terry nigdy się tam nie pokazywał. Ani razu nie przyjechał na inspekcję, nawet w dniu, kiedy wszystko było jeszcze zamknięte.

- Nie ma mowy. Znasz go przecież.

Pięć lat temu wyłożył na stół grubą gotówkę i przekonał Crowa, że powinien zająć się projektem „Przejazdźek”. Potem zatrudnił go jako konsultanta. Terry ignorował istnienie tego miejsca - jedyne, co robił, to podpisywał listę płac i przelewał pieniądze. Crow się śmiał, że Pine Deep jest jedynym miastem w całej Ameryce, w którym brak zainteresowania okropnościami i krwią jest uważany za coś nienormalnego.

- Byłem u niego na obiedzie - mówił Coop - i zapytałem go o to. Chcesz wiedzieć, co mi odpowiedział?

- Nie muszę zgadywać. Słowo w słowo mogę ci to powtórzyć. „»Przejazdźki« to dla mnie tylko interes”.

- Dokładnie.

- Powtarza to jakieś pięćdziesiąt razy w sezonie.

- Aha.

- Dobra, Coop. Jadę teraz na cmentarz zombie. - Crow zakończył rozmowę i wsiadł na quada. - Naprawię generator dymu, bo jakoś słabo działał. Jeśli dam radę, poprawię też krew na drzwiach do krypty.

- Tylko niech nie będzie zbyt realistyczna. Jeszcze nam ktoś zejdzie na zawał.

Crow pokręcił głową.

- Dla mnie ideałem byłaby sytuacja, w której klienci przed jazdą wykupują ubezpieczenie, a pojeździe my serwujemy im darmowy masaż defibrylatorem. Jeśli do tego dojdziemy, będę szczęśliwym człowiekiem.

Uruchomił silnik i przegazował.

- Cholera, to już całkiem niedługo! - wykrzyknął Coop.

- Ale to nie znaczy, że zwolnimy tempo! - odrzyknął Crow, pomachał mu na pożegnanie i wyrzucając fontanny piasku spod kół, ruszył drogą między polami. Choć silnik wszystko zagłuszał, nucił pod nosem *Black Ghost Blues*. I znów w ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy.

ROZDZIAŁ 2

Tego roku potwory przybyły do miasta na cały miesiąc przed Halloween. Nie nosiły przebrań. Nie było widać kostiumów Shreka, Rycerza Jedi, Harry'ego Pottera, Aragorna czy kapitana Jacka Sparrowa. Potwory nie wyglądały jak duchy odziane w białe prześcieradła z wyciętymi otworkami na oczy. Nie przypominały też psychopatów z filmów, którzy w hokejowych maskach czają się w ciemnościach, szukając ofiar. Nie chodziły od domu do domu, zbierając cukierki i prezentując głowy wycięte z dyni.

Mimo to przyjezdni byli potworami.

Przybyli do miasteczka z wiatrem, który zwiastuje nadejście Halloween. Przybyli jedyną drogą, która prowadziła do Pine Deep, przez most i między polami kukurydzy. Przyjechali czarnym wozem z krwawymi plamami na drzwiach i klamkach i z pojedynczą dziurą od strony kierowcy, która ziała czarną złowrogą pustką. Zwyródniały przybyli do miasta tak, jak nadchodzi gwałtowna burza, pchając przed sobą masy zimnego powietrza, za sobą ciągnąc nieprzeniknioną czerń nocy.

W samochodzie było ich trzech. Dwóch siedziało z przodu, trzeci zwinął się z tyłu. Wszyscy ukrywali twarze za postawionymi kołnierzami płaszczy i nasuniętymi na oczy kapeluszami. Milczeli. Potwór z tylnego siedzenia obnażył zęby, pokazując strach i desperację. Potwór za kierownicą zrobił to samo, kierowany bólem i przeczuciem, że nic go już nie uratuje. Tylko potwór na siedzeniu pasażera wyszczerzył zęby w pełnym zadowolenia uśmiechu.

Czarny samochód pędził drogą niczym kruk przez przestworza. Brakowało mu tylko precyzji tego ptaka: zataczał się od pobocza do pobocza, przyhamowywał i przyspieszał, jakby potwór za kierownicą nie umiał jeszcze jeździć. Gnał z zawrotną szybkością, nie przestając się zataczać. W ten sposób trzy milczące potwory dotarły do Pine Deep, przywożąc noc, która żelazną pięścią chwyciła miasto za gardło.

Ale nie byli jedynymi potworami, które tej nocy pojawiły się w Pine Deep. Doprawdy, to dziwne miasto.

Pozostali nie musieli przyjeżdżać zakrwawionymi czarnymi samochodami. Oni już tam byli, o wiele wcześniej. Byli od zawsze. Jeden krążył każdego dnia po mieście potężnym samochodem do holowania z błyszczącym hakiem. Drugi całymi dniami leżał pod drogimi wozami i ciężarówkami i je naprawiał. Nie ustawał też w wysiłkach, by zniszczyć serca i dusze tych, którzy byli od niego choć trochę zaleźni.

Trzeci przemierzał chodniki i się uśmiechał. Ten nie miał pojęcia, że w jego ciele mieszka potwór i patrzy na świat przez błękitne oczy, czekając na właściwy moment...

Jeden z nich, ten najpotężniejszy, czekał, ukryty pod gnijącym brudem. Właśnie się zbudził po długim, bardzo długim śnie.

Pine Deep dosłownie roilo się od potworów.

Czekali. Wszyscy czekali na właściwy moment.

2.

Błyskawica wyłowiła z ciemności potężne burzowe chmury, lecz deszcz nie zaczął jeszcze padać. W oddali przetoczył się grzmot, potrząsając drzewami i strasząc nocne ptaki. Zerwały się, zatoczyły koło i wróciły na swoje gałęzie.

Jeden odłączył się od reszty i zniżył lot. Niemal muskał czubki kukurydzy. Nie musiał machać skrzydłami, bo niosła go nocna bryza. Ptaszysko trudno było zobaczyć - w mroku nocy wyglądało bardziej na przesuwający się cień niż na kawałek żywej materii. Ptak leciał coraz dalej, zbliżając się do skraju pola kukurydzy. Kiedy znalazł się nad terenem kolejnej farmy, skręcił gwałtownie w lewo, prześlizgując się zwinnie nad zagonami dyń. Było już po zbiorach i wszystkie pomarańczowe głowy trafiły do filadelfijskich supermarketów, oczekując na przerobienie na lampiony ze świeczkami. Te, które nie dołączą do obchodów Halloween, trafią zapewne do ciast dyniowych sprzedawanych przez lokalne piekarnie. Na polach pozostały najbrzydsze sztuki. Poprzerastane i zbyt zdeformowane, by trafiły do sprzedaży jako dekoracja, i skażone zarazą, tak że nikt nie odważy się ich zjeść.

Ten rok był wyjątkowo pechowy. Na polach pozostało więcej chorych dyń, niż zebrano zdrowych. Dookoła Pine Deep leżały setki ton gnijącej masy. Zwożono też zawrotne ilości psującej się kukurydzy i robaczywych jabłek. Tak, to był czas zarazy. Starsi mieszkańcy odkurzyli opowieści o Czarnych Żniwach sprzed trzydziestu lat. Złe czasy wróciły.

Zepsute i gnijące dynie leżały rząd za rządem albo piętrzyły się w stosach jak głowy wojowników po strasznej i krwawej bitwie. Czarny ptak okrążył największą górę odrażających chorych dyń i pofrunął w stronę wstęgi drogi A-32. Leciał wzdłuż niej, aż dotarł do kilku wzniesień. Po obu stronach rozciągały się pola kukurydzy, gdzieś stały domy farmerów i zabudowania gospodarskie. Właściciele po kolei zapalali światła, by ochronić się przed naporem cieni i mroku. Lampy wcale nie uczyniły ich domów przyjaznymi i bezpiecznymi - sprawiły, że wyglądały jeszcze bardziej samotnie pośród zielonego morza pogrążających się w mroku pól. Zupełnie jakby każda farma była samotnym wszechświatem zagubionym

pośród bezkresnego, szumiącego, zielonego oceanu.

Nocny ptak wydał dziwaczny wysoki dźwięk. Nie było to krakanie - bardziej przypominało kwilenie dziecka, które zgubiło się w ciemnościach. Wywołujący ciarki na plecach krzyk wędrował przez nocne powietrze, a mieszkańcy farm, którzy go słyszeli, mieli wrażenie, że coś mrocznego i wyjątkowo odrażającego musnęło ich skórę paskudnym oddechem. Tej nocy nikt nie zapomni zamknąć drzwi i przekręcić zamka, to pewne. Nawet w sercach tych, którzy nie słyszeli nocnego wołania, kiełkował podświadomy strach.

Jedna z farm, starsza niż pozostałe i bardziej zaniedbana, smagana przez zimne wiatry, stała na skraju bezkresnego oceanu kukurydzy. Przylegało do niej kilka akrów ziemi otoczonej niewysokim kamiennym murkiem. Za pokrytym mchem ogrodzeniem znajdował się stary i zaniedbany cmentarz. Rzędy nagrobków wyrastały spomiędzy niewysokich krzaków i zielska, które już dawno wzięło to miejsce w posiadanie. Nocny ptak znów zapłakał i obniżył lot, zataczając koła nad starymi, pokruszonymi kamieniami nagrobnymi z piaskowca. W oknach zapuszczonego domu nie paliło się światło. Od miesięcy, a może nawet od wielu lat nikt tam nie zaglądał. Dom zamieszkiwały tylko cienie, których spokój burzył czasem mroźny oddech starych duchów z cmentarza. Ptak raz jeszcze krzyknął i usiadł na poskręcanej gałęzi zwieszającej się nad nagrobkami. Za dnia żółknące liście mogły być obietnicą piękną jesieni, lecz w bezgwiezdną noc zlewały się w jedną nieprzeniknioną czarną masę, w której nocny ptak zniknął i rozpląnął się bez śladu.

Ptaszysko skierowało uważne spojrzenie na przekrzywiony nagrobek, który wyrastał spośród chwastów dokładnie pod drzewem. Ktoś, kto go tam ustawił, zrobił to równo, lecz przez wiele lat korzenie drzewa wysadziły go z ziemi i sprawiły, że się przechylił. Mimo to nie przewrócił się - na miejscu trzymała go waga i jeden z rogów, który wciąż tkwił zakopany w ziemi. To był zwykły nagrobek, kawał ociosanego kamienia, szary i tani. Trzydzieści zim, które spędził na cmentarzu, odcisnęło na nim swoje piętno. Na froncie kamieniarz prostymi literami wyciosał imię i nazwisko: „Oren Morse”.

Poniżej dodano jedynie: „Spoczywaj w pokoju”. I nic więcej, ani daty urodzenia, ani daty śmierci... nic. Tylko gładki kamień. Wiatr zgarnął zeschnięte liście i przewiał je z jednej strony na drugą. Jeden wleciał nieco wyżej i zatrzymał się na krawędzi nagrobka. Chwiał się tam przez moment, a po chwili już go nie było. Zniknął w ciemnościach razem z pozostałymi. Poza cichym szumem wiatru i szepcącym liści kukurydzy płynącym z okolicznych pól panowała cisza. Nawet ptak milczał.

Potem na cmentarzu pojawił się człowiek.

Po prostu wyszedł z cienia. Ptak zapłakał i zatrzepotał skrzydłami, ale nie wzbił się w powietrze. Nieznajomy stał w ciemnościach i wpatrywał się w nagrobek. Bezgłośnie poruszył ustami, odczytując napis. Przeraźliwie chudy, ubrany był w ubłocone czarne spodnie i marynarkę. Nie miał płaszcza i nie nosił kapelusza. Jego skóra była równie szara jak nagrobki dookoła. Księżyc nie świecił, więc nie można mu się było przyjrzeć. Mimo to, jego skóra wydawała się emanować poświatą. Ręce trzymał opuszczone, a długie, zwinne palce co pewien czas poruszały się, jakby coś łapał, albo jakby za czymś tęsknił.

Schylił się nagle i sięgnął za nagrobek. Kiedy się wyprostował, trzymał w ręku stary, zniszczony gryf równie starej bluesowej gitary. Przełożył pasek przez głowę, poprawił pudło na piersiach i z lubością przesunął palcami po srebrnych strunach. Dźwięk, jaki wydobył, przypominał otwieranie drzwi zawieszonych na zardzewiałych zawiasach.

Nagle cmentarz zaala jaskrawe białe światło reflektorów, kiedy pędzący samochód wjechał na szczyt pobliskiego wzniesienia. Nie było wątpliwości, że kierowca zmierza w tym kierunku. Światła tańczyły po okolicznych drzewach i rozświetlały wysoko rosnącą kukurydzę, pogrążając resztę terenu w jeszcze głębszym mroku. Szary człowiek odwrócił się i uważnie obserwował, jak pojazd się zbliża do cmentarza, mija go i jedzie dalej. Kimkolwiek był kierowca, sprawiał wrażenie pijanego - pędził z ogromną prędkością, zataczając się od pobocza do pobocza. W środku siedziały trzy mroczne postacie. Jedna zwinięta na tylnym siedzeniu, dwie z przodu. Opony piszczały na zakrętach. W końcu jakimś cudem auto uspokoiło się na chwilę i popędziło środkiem jezdni, jakby w ostatniej rozpaczliwej próbie złapało się przerywanej linii biegnącej środkiem jezdni. Minęli wielki billboard z reklamą lokalnych atrakcji:

„Pięć kilometrów do Pine Deep

Najbardziej nawiedzzonego miasta w całej Ameryce

Tu strach ma naprawdę wielkie oczy!”

Nawet jeśli kierowca czy pasażerowie auta zauważyli go, w żaden sposób nie dali tego po sobie poznać. Silnik nie zmniejszył obrotów, a oni nie odwrócili głów. Wspięli się na kolejne wzgórze, przez którego szczyt prowadziła droga, i już po chwili tylne światła auta zmniejszyły się do niewielkich czerwonych kropeczek przypominających oczy szczura. Potem zniknęły. Minutę później ucichł również warkot silnika.

Mężczyzna na cmentarzu wpatrywał się w dal, czekając, czy światła samochodu pojawiają się jeszcze gdzieś w ciemnościach. Na próżno. Potem na chwilę zatrzymał wzrok na tablicy z reklamą i uśmiechnął się ironicznie.

Znów w oddali zamigotała błyskawica, oświetlając nisko wiszące chmury. Ptak na gałęzi rozłożył skrzydła i zapłakał.

Tajemniczy mężczyzna rzucił ostatnie spojrzenie na nagrobek i przesunął gitarę na plecy, tak że gryf znalazł się poniżej jego prawego biodra. Potem odwrócił się i ruszył przed siebie. Szedł spokojnie, jakby każdy krok był przemyślany i celowy. Nigdzie się nie spieszył. Kiedy znalazł się na drodze, ruszył w tym samym kierunku, w którym pędził samochód z mrocznymi pasażerami. Podeszwy jego butów nie wydawały żadnego dźwięku. W oddali błysnęło, potem jeszcze raz, lecz burza szalała gdzie indziej. Błyskawica obudziła natomiast szereg kształtów wzdłuż drogi i oświetliła niewysoki cmentarny murek i poskręcane drzewo między nagrobkami. Wszystko rzucało cień. Wszystko, z wyjątkiem mężczyzny idącego szosą.

Powoli wszedł na szczyt wzniesienia i zniknął w ciemnościach po drugiej stronie. Noc i ptak podążyły za nim.

3.

- Jezu Chryste, Tony! - krzyczał przerażony Boyd, kurczowo trzymając się zdrową ręką fotela kierowcy. - Uważaj!

Tony Macchio siłował się z kierownicą, zmuszając auto do zjechania na prawy pas. O centymetry minął jadącą z przeciwka ciężarówkę załadowaną pniami ściętych drzew. Samochód zakołysał się na miękkim zawieszeniu, kiedy kierowca drętwiejącymi rękami usiłował ustabilizować kierunek jazdy. Jego palce pokrywała krew. Tracił w nich czucie i robiło mu się coraz zimniej. Niemal nie czuł karbowanej powierzchni kierownicy.

- Co się z tobą dzieje, do kurwy nędzy, co?! - Boyd był naprawdę przestraszony, ale odezwał się dopiero wtedy, gdy znaleźli się na właściwym pasie i popędzili naprzód, wspinając się na wysokie wzniesienie.

Tony zakasłał, ale nie odpowiedział. W żołądku czuł gorąco i coraz większe pieczenie. W gardle wzbierała mu flegma. Pokręcił tylko głową. Obok niego siedział Karl Ruger. Wyglądał, jakby nic złego się nie działo. Jego oczy przypominały kawałki lodu, ale się uśmiechał. Zimne spojrzenie i uśmiechnięte usta wyglądały, jakby należały do dwóch zupełnie różnych twarzy. Dolna część promieniowała ciepłem i spokojem, podczas gdy górna musiała należeć do pozbawionego uczuć drapieżnika. Oczy miały ciemny, nieco wyblakły kolor, jak stara szkolna tablica wielokrotnie zapisywana kredą i wycierana gąbką. Ruger miał wąski długi nos, który kończył się nisko nad górną wargą i przypominał grzbiet bardzo ostrego noża. Spiczasta broda nie pasowała do silnie zarysowanej szczęki. Zapadnięte policzki jeszcze bardziej uwydatniały i tak wystające kości policzkowe. Zdjął kapelusz i przyglądał się nażelowane włosy. Gdyby miał przyjemniejszą twarz, wyglądałby jak magik, który wyczarowuje na scenie króliki. Mimo to miał w sobie coś magicznego,

aurę, która go otaczała. Tyle że była to czarna magia przypisana do jego twarzy, duszy i przeznaczenia. Czarna magia czaiła się też na opuszkach długich białych palców i w jego czarnym sercu.

Karl Ruger patrzył na Tony'ego i uśmiechał się, widząc, jak powoli umiera.

Zafascynowany przyglądał się kompanowi rozpaczliwie starającemu się nie trać przytomności, okłamującemu się, że nie czuje podstępного bólu trawiącego wnętrzości, gdzie trafiła kula wystrzelona przez handlarzy narkotyków. Postrzały w brzuch kończyły się powolną i bolesną śmiercią. Ruger to wiedział i nie mógł wyjść z podziwu, że Tony próbuje taranem pokonać cierpienie, które musi być straszne. Beznamiętnie zastanawiał się, czy duży ubytek krwi jakoś Tony'emu pomaga, ponieważ częściowo pozbawia go czucia. A musiał stracić bardzo dużo krwi. Nie dość, że całe siedzenie kierowcy nasączone było gęstym czerwonym płynem, to pod jego nogami zdążyła się już zebrać spora kałuża. Słodkawy zapach, do złudzenia przypominający świeżo ciętą miedź, drażnił zmysły Rugera i sprawiał, że nie po raz pierwszy w życiu zastanawiał się, dlaczego nikt jeszcze nie wymyślił płynu po gołeniu o takiej nucie.

Kiedy mijali tablicę „Witamy w Pine Deep!”, Karl poczuł zimne ostrze niepokoju przesywające jego serce. Ktoś inny zwariowałby ze strachu, a on się tym rozkoszował. Bezgłośnie poruszył ustami, smakując na języku nazwę miasteczka. Tak. Zamknął na moment oczy i przez jedną ulotną chwilę wydawało mu się, że słyszy w głowie głos: „Ruger, jesteś moją lewą ręką”. Ale kto miałby to powiedzieć? Otworzył oczy i spojrzał na czarną drogę przed sobą, czując wzbierające podniecenie i napięcie, choć nie miał pojęcia ani czego dotyczy, ani skąd się wzięło.

Boyd znów zapytał, co się, do cholery, dzieje, a Ruger z zainteresowaniem obserwował, jak Tony próbuje coś odpowiedzieć. Z posiniałych ust wydobyła się jedynie bańka czerwonej krwi zmieszanej ze śliną. Karlowi szalenie podobała się błyszcząca powierzchnia bąbelka, który stawał się coraz większy, wypełniając się umęczonym oddechem kompana. W końcu pękł, a na przedniej szybie osiadła czerwona mgielka.

- No, Tony! - Boyd był wściekły.

- Boyd, weź się w końcu przymknij - syknął Ruger. Niemal zawsze mówił szeptem. Nie mógł wydobyć normalnego głosu, od kiedy jeden ze współwięźniów w Holmesburgu rozplątał mu gardło w czasie niewielkiej sprzeczki pomiędzy Aryjskim Bractwem i grupą brązowych i czarnych więźniów z Bloku. Meksykanin chciał go zabić - chciał tego tak bardzo, że kiedy wbijał w jego gardło zaostrzoną łyżkę, z podniecenia dostał erekcji. Ruger poczuł twardego, stojącego kutasa swojego niedoszłego mordercy, kiedy z całej siły zacisnął pięść na jego kroczu. Nie zważał na to, że w jego gardle tkwiło zrobione chałupniczym sposobem ostrze. Gwałtownym ruchem urwał mu małego, zanim ktoś z Bractwa rozplątał

okaleczonemu nieudacznikowi gardło kawałkiem metalu wykradzionym z warsztatu terapeutycznego. Na tego kogoś spadła potem odpowiedzialność za śmierć Meksykanina, a Ruger nie oponował, bo czas jego odsiadki nie wydłużył się nawet o jeden dzień. Rana nie była zbyt groźna - ostrze uszkodziło struny głosowe, trochę bolało. Nic wielkiego. Ból nic nie znaczył. Był jedną z tych rzeczy, które się czasem zdarzają, i nie zajmował żadnego szczególnego miejsca. A że jego głos był teraz mieszaniną okropnej chrypy i szeptu? Wielkie mi coś. Wielu srało w gacie, jeszcze zanim cokolwiek zrobił, więc był nawet zadowolony, bo wcześniej nikt nie słuchał tak uważnie, co ma do powiedzenia.

- O co ci chodzi, Karl? Przecież ten idiota o mało nie zderzył nas z tą ciężarówką!

- Daj mu spokój - szepnęła Ruger. - Dobrze sobie radzi.

Tony odwrócił się i spojrział na niego z twarzą wykrzywioną bólem i mokrą od potu.

- Akurat! - Boyd nie wyglądał na przekonanego. - Przecież dostał wcześniej kulkę, to jak ma sobie dobrze radzić, co?

- Ty też dostałeś. I co z tego?

- Tak, ale mnie tylko drasnęli w ramię, a poza tym nie pchałem się z tym za kółko! Popatrz na tego popaprańca! Przecież on jest już jedną nogą po drugiej stronie!

Chyba oboma, pomyślał Ruger, ale nie powiedział tego głośno.

- Nie martw się o niego, dobrze sobie radzi. Nie, Tony? Wszystko w porządku, co?

Tony znów na niego spojrział, ale płonące gorączką oczy nie widziały połowy rzeczy, na które patrzyły. Chciał coś powiedzieć i zgodzić się z Boydem, bo rosło w nim przekonanie, że powinien oddać kierownicę któremuś z nich. Boyd dostał czysty postrzał w lewy biceps, gdyby wszedł za kółko, nie miałby żadnych problemów z prowadzeniem. Rugera kule omijały z daleka, ale kiedy spojrział w jego lodowato zimne, okrutne oczy drapieżnika, nie znalazł w sobie dość odwagi, by wycharczeć choć jedno słowo. Czuł, że te złe oczy i kula, która rozszarpała mu pół brzucha, wysysają z niego resztki sił. Nie rozumiał, dlaczego Rugerowi tak bardzo zależało, by to właśnie on prowadził. To przecież bez sensu. Karl był typem gościa, który z każdej opresji wychodzi bez szwanku, więc dlaczego ryzykował śmierć w tak głupi i bezsensowny sposób? Tony nigdy go nie rozumiał, a ostatnio jeszcze trudniej było mu z nim wytrzymać. Zdawał sobie sprawę, że Ruger to kawał sukkinsyna, ale tym razem trochę przesadził.

Nawet więcej niż trochę.

Boyd widział, jak Ruger wpadł w szal, gdy robili w supermarkecie interesy z Jamajczykami. Niemal wszystkich sam zastrzelił, a potem, kiedy ludzie przy zdrowych

zmysłach wiali, gdzie pieprz rośnie, ten pokręcony idiota podszedł spokojnie do bagażnika, wyjął łopatę i zaczął masakrować ich ciała. Boyd nie wytrzymał tego widoku i się porzygał. Spróbował go odciągnąć, ale ten chory psychopata odwrócił do niego opryskaną krwią twarz i spojrzał tak, że mało brakowało, a zeszczałby się w spodnie.

- Tony, wszystko w porządku, nie? - Ruger powtórzył pytanie, dotykając długim bladym palcem jego ramienia.

Tony przytaknął szybko, ale bez przekonania, i skupił się na drodze. Przez kilka minut udawało mu się jechać względnie prosto, ale z każdą mijającą minutą i każdym przebytym kilometrem było coraz gorzej. Miał wrażenie, że jedzie drogą, która istnieje tylko w jego wyobraźni.

Boyd pokręcił głową i opadł na oparcie. Ramię bolało jak cholera, ale przynajmniej przestało krwawić. Wcześniej owinął ranę ręcznikiem i bez przerwy uciśkał ją zdrową ręką. Oczy piekły go od powstrzymywanych łez, więc obrócił głowę i udawał, że przygląda się ciemności za oknem, żeby Ruger tego nie zauważył.

Ale niewiele rzeczy umykało Karlowi. Oczywiście, że je widział. Widział łzy na policzkach Boyda tak samo dokładnie, jak widział życie ulatujące z rozerwanych trzewi Tony'ego. Uśmiechnął się jeszcze radośniej, a z jego gardła wydobył się zdławiony śmiech, na tyle cichy, że pozostała dwójka go nie usłyszała.

Trzy minuty później Tony rozbił samochód.

ROZDZIAŁ 3

1.

Chryste, co za rzeźnia.

Detektyw sierżant Frank Ferro pokiwał głową, ale zachował milczenie. Stał ramię w ramię z detektywem Vince'em LaMastrą w wejściu do supermarketu. Ferro był wysoki, a jego młodszy partner jeszcze wyższy. Cienie obu kładły się długimi ciemnymi liniami na zakrwawionej podłodze. Wszędzie w zasięgu wzroku leżały poskręcane zwłoki i łuski po pociskach. W powietrzu unosił się przenikliwy zapach prochu, ale ich doświadczone nosy od razy wychwyciły przytłumioną woń świeżej krwi podobną do zapachu ciętej miedzi.

Ferro klepnął w ramię policjanta w mundurze, który ze skupieniem malującym się na twarzy robił rysunek sytuacyjny i nanosił na niego położenie zwłok.

- Al, kogo wezwaliście?
Policjant podniósł głowę.
- O, witam, sierżancie. Niezły burdel, co?
- Taa... to kogo wezwaliście?
- Koroner jest już w drodze, a fotograf obcykał teren i zabiera się do zwłok.
Wszystkie radiowozy otrzymały opis wozu Rugera. Będą mieli oczy szeroko otwarte.

- Jesteście pewni, że to był Ruger?
- Nie ma wątpliwości. Zespół obserwacyjny go zlokalizował i chcieli wezwać posiłki, ale rozpętali tutaj piekło.

- Gdzie są?
- W szpitalu. Ruger jakoś ich wyczuł, bo gdy zwiewał, władował cały magazynek w ich furgonetkę.

- Jim i Nelly mocno oberwali?

Al prychnął.

- Mają szczęście jak jasna cholera. Skaleczenia od rozbitych szyb. Po pierwszym strzale leżeli na podłodze, więc kule tylko podziurawiły karoserię. Ani jednego postrzału.

- A Johnston?

Policjant pokręcił głową.

- Leży za rogiem.

Twarz detektywa Ferro skurczyła się w grymasie żalu i bólu. Szybko spojrzał na LaMastrę. Wyraźnie widział, że młodszemu koledze drży szczęka.

Al poprowadził ich na tyły, gdzie leżał Johnston. Miał szeroko rozłożone ręce i nogi, a ziemia dookoła była mokra od krwi. Fotograf nie zwracał uwagi na detektywów i metodycznie robił kolejne zdjęcia ich martwego kolegi.

- Skończyłeś już? - zapytał Ferro, a ten strzelił jeszcze jedno zdjęcie, zanim zdecydował się odpowiedzieć.

- Tak - mruknął w końcu, wieszając aparat na piersiach. - Teraz idę do środka.

Kiedy Ferro i LaMastra zostali sami, przykucnęli przy zwłokach.

- Jezu Chryste. - LaMastra głęboko oddychał.

Przez kilka minut żaden z nich się nie odezwał. Patrzyli na zwłoki, myśleli intensywnie o tym, co się tu wydarzyło, i pilnowali, by ich twarze wyrażały chłód i profesjonalizm gliny na służbie. Zdradzały ich jednak oczy.

- Ruger - powiedział niepotrzebnie LaMastra.

- Tak.

- Sukinsyn.

- Aha.

- Teraz ma glinę na sumieniu.

- Dokładnie. - Głos detektywa Ferro brzmiał głucho. LaMastra wciąż nie mógł opanować drżenia szczęki. Po chwili zza rogu wynurzył się policjant w mundurze.
- Sierzancie!
- Co jest? - zapytali jednocześnie Ferro i LaMastra.
- Ruger... znaleźli go!

2.

Vic Wingate zasnął w wygodnym rozkładanym fotelu stojącym naprzeciwko telewizora. Leżał ze skrzyżowanymi nogami, w jednej ręce trzymał butelkę zwietrzałego piwa, a drugą położył sobie na kroczu. Miał na sobie tylko stare bokserki i rozciągniętą koszulkę lokalnej drużyny softballu. Nigdy nie grał w softball, po prostu nosił ciuchy, które zostały po pierwszym mężu Lois, Wielkim Johnie Sweeneyu.

Vic śnił, a jego twarz była mokra od potu. Oczy skryte pod powiekami wykonywały gwałtowne ruchy to w jedną, to w drugą stronę, a ręka na kroczu raz po raz zaciskała się na jądrach...

Vic stał pośrodku lasu w ciemnościach skrywających dno Mrocznego Jaru. Jego robocze buty zapadały się w lepkie błoto. Schylał się nad lśniącą powierzchnią bagna i szeptał.

- Już prawie - syczał. - Wszystkie elementy są już na swoich miejscach.

Odpowiedziała mu cisza, jeśli nie liczyć bezustannego bzyczenia komarów i dalekiego pohukiwania sowy.

Vic stracił równowagę i przykleknął, gwałtownie wymachując rękami, by uchronić się przed upadkiem. Mimo że bardzo kochał tego, który leżał pogrzebany pod gnijącymi szczątkami roślin i błotem, nie chciał go dotykać. Jeszcze nie nadszedł czas powitania.

- Zrobiłem wszystko tak jak chciałeś - szeptał Vic, wycofując się na czworakach na bardziej stabilny grunt. Obliznął usta i się uśmiechnął. - Już wszystko... jeszcze tylko kilka drobiazgów. Ale zatroszczyłem się już o to.

W górze zakrakał kruk, po czym rozłożył skrzydła i sfrunął, lawirując między gałęziami, na sam dół. Usiadł na przeciwległym brzegu bagna. Przekrzywił główkę i spojrzał na Vica oczami tak czarnymi i pozbawionymi wyrazu jak kawałki szlifowanego onyksu.

Wingate wpatrywał się w niego przez kilka sekund, a potem opuścił głowę i wbił wzrok w spokojną lśniąca powierzchnię. Zanurzył w niej palce i rozsunał na boki szlam i kawałki gałązek.

- Świat się bardzo zmienił - powiedział. - Muszę zrobić jeszcze kilka rzeczy, których wcześniej nie przewidzieliśmy.

Ptaka zatrzepotał skrzydłami. Vic skierował na niego gniewny wzrok, zezując na bagno.

- Wiele się zmieniło.

Ptaka też na niego popatrzył.

Vic znów opuścił oczy.

- Ale wszystkim się już zająłem. - Przerwał, a na jego ustach pojawił się lodowaty uśmiech. - Wszystkim.

Vic siedział w fotelu i uśmiechał się przez sen. Pod zaciśniętą dłońią pojawiła się erekcja.

3.

Ruger zauważył, co się dzieje, w samą porę, by ocalić życie. To, że uratował też pozostałą dwójkę, było wypadkiem przy pracy. Zobaczył, co się święci, bo od dłuższego czasu czekał na ten moment. Chciał, żeby do tego doszło. To musiało się stać, było konieczne i wiedział, że się zbliża, od kiedy przeczytał na przydrożnym znaku nazwę miasteczka i usłyszał w głowie obcy głos. Nie miał co prawda pojęcia, co ma się zdarzyć, ani nawet nie wiedział, że roztrzaskają samochód, ale wiedział, że coś ma się stać i że to coś jest nieuniknione.

Od tygodni czuł, że śmierć depcze mu po piętach i że prędzej czy później wskoczy mu na plecy. Wiedział też, że wtedy znajdzie sposób, by się odwrócić i napluć jej w twarz. Czuł, że za bardzo ryzykuje. Choćby dziś, kiedy pozwolił umierającemu kumplowi prowadzić samochód, którym uciekali z miejsca strzelaniny. I zamiast drzeć przed nadchodzącym niechybnie końcem, jemu się to podobało. Odczuwał niemalże erotyczne podniecenie na myśl, że balansuje na samej granicy. Serce biło mu o wiele szybciej niż po strzale w żyłę, a przecież żył na takim haju już od jakiegoś czasu - przynajmniej od chwili, kiedy zaczął nagrywać interes z Jamajczykami. Potem była strzelanina w supermarkecie, a teraz wypadek.

Czuł się wspaniale, ale nie miał złudzeń, że to się musi skończyć bardzo boleśnie. Gnał na sam skraj przepaści, starając się przejąć kontrolę nad biegiem wydarzeń, jak tyle razy wcześniej, jak przez całe życie. Zawsze udawało mu się nagiąć rzeczywistość do swojej woli. Ale nigdy nie był w takim kotle. Kiedy Tony dał ciała, poczuł, że czas złapać Panią Śmierć za cycki i porządnie ścisnąć. Tak właśnie to widział. Chwycić ją za cycki i ścisnąć. Nie, pomyślał ułamek sekundy przed tym,

jak auto wypadło z drogi. Nie przelecisz mnie tak łatwo, suko. Tym razem sama się pierdol.

To, że przeżył wypadek, zawdzięczał nieludzko silnej woli. I przekonaniu, że słowa starej Cyganki - że jest wyjątkowy i nie czeka go zwyczajna śmierć - to święta prawda. Doszedł do wniosku, że może nawet jest nieśmiertelny - nie uważał tego za absurd. Gdyby jednak zginął... co tam, nic takiego by się nie stało. Zanurzyłby się w nieskończonej czerni, z wackiem na baczność i uśmiechem na ustach, i przekonałby się, czy ciemność potrafiłaby go zatrzymać.

Oto, jak doszło do wypadku. Czarny wóz ściał zakręt i znalazł się na prostym odcinku drogi biegnącej przez niekończące się pola kukurydzy. Łodygi uschniętych roślin po obu stronach szeleściły poruszane podmuchem spowodowanym przez pędzące auto. Tony ścisnął kierownicę tak mocno, że zbieleły mu kostki - w każdym razie tam, gdzie skóra wycierała spod skrzepów krwi. Próbował schwycić ją jeszcze mocniej, ale w końcu dłonie odmówiły posłuszeństwa - nie czuł już palców ani dłoni - pozostały mu dwa martwe kawałki mięsa umieszczone na końcach ramion. Z wyrazem niedowierzania na twarzy wpatrywał się w kierownicę tylko po to, żeby się upewnić, że ją jeszcze trzyma.

Zbliżali się do skrzyżowania, gdzie międzystanową przecinała droga lokalna. Tony wpatrywał się w swoje dłonie, kiedy spomiędzy łądyg kukurydzy, po prawej stronie, niespodziewanie wynurzył się człowiek i stanął na samym środku ich pasa. Kierowca podniósł głowę w samą porę, by zobaczyć go w świetle reflektorów. Może to tylko refleks, a może jego upośledzona z upływu krwi zdolność widzenia, ale był przekonany, że człowiek - wysoki bladej mężczyzna z gęstymi blond włosami - był zbudowany z samej mgły, a przednie światła przechodziły przez jego ciało, które nie rzucało cienia.

Mężczyzna uśmiechnął się, widząc nadjeżdżający samochód. Jego skóra była biała jak śnieg - nie różowawa i nawet nie blada jak u albinosa. Była bielutka jak kokaina w bagażniku czarnego samochodu, jak kostki dłoni Tony'ego zaciśnięte kurczowo na kierownicy, biała jak zęby Rugera, kiedy się uśmiechał. Stał na środku z rozwianymi blond włosami i uśmiechem tak samo złym jak uśmiech Karla.

Tony wrzasnął z przerażenia. Ruger oderwał od niego wzrok i zobaczył młodą kobietę przed samochodem. Przez ułamek sekundy pomyślał, że go rozpoznaje. Ta myśl przeszła jego mózg jak pocisk z pistoletu.

- Ruger - usłyszał głos mówiący z ciężkim akcentem. - Ruger, jesteś moją lewą ręką.

Czas w jednej chwili zwolnił.

Samochód niemal stanął w miejscu, a Tony i Boyd wyglądali jak plastikowe manekiny; siedzieli z otwartymi ustami upozowanymi do krzyku śmiertelnego

przerażenia - tyle że nie wydobywał się z nich żaden dźwięk, a oni trwali nieruchomo. Tylko człowieka na środku drogi otaczał czas biegnący naturalnym tempem. Uniósł dłoń i skinął na Rugera.

Usta Karla otworzyły się zupełnie bez udziału jego woli i wypowiedziały jedno słowo:

- Griswold.

Miał wrażenie, że dobrze zna to nazwisko.

- Vic Wingate był moim Janem Chrzcicielem... - przemówiła zjawą. - On postował ścieżki przede mną. Ale ty, Karl... ty będziesz moim Piotrem, moją opoką, na której zbuduję swój Kościół. - Głos w głowie Rugera pulsował kpina, ale czuł, że uwielbia jego dźwięk.

Nagle czas wrócił do normalnego tempa i samochód popędził na spotkanie człowieka na drodze, zanim kierowca zdążył nadepnąć na hamulec czy choćby ruszyć kierownicą. Tony wrzasnął i w jednej chwili było po wszystkim. Jego ręce poruszyły kierownicą, a Ruger natychmiast wiedział, co to oznacza. Samochód zatoczył się jak pijany w prawo, kiedy kierowca chciał ominąć zjawę, ale upływ krwi pozbawił go czucia w rękach i momentalnie wpadli w poślizg. Minęli ducha o centymetry i wylecieli z drogi. Ruger obiema rękoma złapał kierownicę, brutalnie przyciskając Tony'ego do ziemi. Walczył z wyrrywającym się spod kontroli wozem, próbując nie dopuścić do dachowania. Gwałtownie podskoczyli, kiedy przednie koła wpadły w rów melioracyjny. Mało brakowało, a wbiłoby się maską w niewielką skarpe po drugiej stronie, ale Ruger chwilę wcześniej zdążył skontrować i przelecieli nad nią pod odpowiednim kątem. Kiedy tylne koła z impetem uderzyły w drugi brzeg, za którym rozciągało się pole, samochód stracił część impetu, z jakim wypadł z drogi. Zła wiadomość była taka, że Tony wciąż trzymał nogę na wduszonej do samej podłogi pedale gazu. Runęli więc między wysokie łądygi, taranując je jak wykolejony pociąg pospieszny. Kolby kukurydzy uderzały w przednią szybę i ginęły pod kołami w chrzęszczącej agonii.

- Zdejmij, kurwa, nogę z pedału! - syknął Ruger. Kiedy Tony nie posłuchał, z potężną siłą wyrznął go łokciem w twarz. Najpierw raz, a kiedy nic to nie dało, jeszcze raz. Kości nosa nie wytrzymały i z obrzydliwym chrzęstem ustąpiły, a krew szerokim strumieniem zalała bladą twarz. Nieprzytomny Tony osunął się na drzwi, a jego noga bezwładnie spadła z pedału gazu.

Ruger doskonale się bawił. Z uśmiechem wdepnął w końcu pedał hamulca. Samochód zanurkował przodem i gwałtownie szarpnął, rzucając go na deskę rozdzielczą, a Boyda na oparcie siedzenia kierowcy. Tony, jak szmaciana lalka, z nieprzyjemnym trzaskiem uderzył głową w kierownicę.

Chwilę później rozległ się znacznie głośniejszy trzask i wóz znieruchomiał.

Silnik zwolnił, jakby zdziwiony tym, co się stało.

Ruger zgramolił się z deski rozdzielczej i po ciemku odszukał dźwignię automatycznej skrzyni biegów. Przesunął ją na pozycję „parkowanie”, a potem przekręcił kluczyk w stacyjce. Otoczyła ich cisza, przerywana tylko jednostajnym cykaniem stygnącego ośmiocylindrowca i odległymi pomrukami burzy.

ROZDZIAŁ 4

1.

Długie czarne ślady opon na asfalcie znaczyły miejsce, w którym samochód wypadł z drogi i wbił się w kukurydzę. Przez długi czas mężczyzna o białej skórze stał tam, gdzie jedna z czarnych krech wpadała na trawę, i patrzył. Na ustach miał okrutny uśmiech triumfu. Mimo ciemności i braku księżyca jego skóra i włosy wydawały się błyszczeć delikatnym wewnętrznym światłem.

Wyciągnął rękę i tak ułożył palce, by widzieć między nimi tył unieruchomionego samochodu. Potem powoli zacisnął pięść. Wiatr zmienił kierunek i zaczął wiać w stronę pola i wraku.

Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy, bo poczuł, że ktoś stoi za jego plecami. Powoli opuścił rękę i odwrócił się, spoglądając oczami wypełnionymi dziwną i mroczną poświatą. Po drugiej stronie drogi, na skraju lasu, stał inny mężczyzna. Miał skórę szarą jak kurz pod nogami, a jego czarny garnitur był brudny od ziemi. Twarz blondyna zmieniła wyraz.

Człowiek w czarnej marynarce otworzył usta i zaczął mówić, a mimo to nie wydobywał się z nich najcichszy choćby dźwięk. Wyglądał na sfrustrowanego i zdeenerwowanego. Spróbował ponownie, tym razem z wyraźnym wysiłkiem.

Blondyn pokręcił głową i się roześmiał.

- Żałosne - powiedział głosem zimnym jak lodowaty wiatr gwizdzący w gałęziach uschniętego drzewa.

Drugi mężczyzna dopiął swego i z niemałym wysiłkiem wypowiedział dwa słowa:

- Dorwę... cię...

To wszystko, na co było go w tej chwili stać. Zmęczony opuścił ramiona. Ułożył jeszcze usta do słowa „sukinsynu”, ale choć wypowiedziane, pozostało bezgłośnie.

- A ty myślałeś, że wygrasz, co?

Mężczyzna na skraju lasu nie mógł odpowiedzieć. Poruszał ustami i stał w miejscu. Sprawiał wrażenie, że nie ma siły, by się poruszyć.

- Nawet nie masz pojęcia, co zrobiłeś. Dzięki tobie zyskałem moc, której nie potrafisz sobie wyobrazić. - Zbliżył się kilka kroków. Stał teraz zaledwie parę metrów od niego. - Więc sam rozumiesz... Od teraz każda kropla przelanej krwi obciąża twoje sumienie. Każda. Kropla. Krwi.

Jego oczy zapłonęły i zmieniły kolor z lodowato zimnych na czerwone jak ogień w przedsiönku piekła.

Szary mężczyzna uciekł przerażony. Zniknął w cieniu drzew i już po chwili nie było po nim śladu.

Niebo przecięła błyskawica, zalewając drogę kaskadą trupiego światła. Kiedy ciemność powróciła, oba pasy były puste.

2.

Malcolm Crow trzymał w rękach wyrwane z ciała pokiereszowane ramię. Nie miał pomysłu, co z nim zrobi. Dołożyć do pozostałych? A może wystawić za okno?

Wybrał to drugie.

Wymachując nim dla zabawy, podszedł do długiej lady, która pełniła funkcję wystawy, i przyjrzał się stosom czaszek, szurów, pajaków, nagrobków i innych trupich rekwizytów starannie ułożonych za grubym szkłem. Ściągnął brwi, szukając najwłaściwszego miejsca dla ramienia. W końcu zdecydował się ułożyć je obok największego z nagrobków, na którym napisano:

„Hrabia Drakula

Ur. 1472

Zm. 1865

Zm. 1900

Zm. 1923

Zm. 1988

Zm. 2007”

Upewnił się jeszcze, czy plakietka z ceną jest dobrze widoczna.

Wrócił do swojego biurka i gwizdząc *Ghost Road Blues* za odtwarzaczem CD, zabrał się do otwierania kolejnych kartonów z ponurymi zabawkami. Wszystkie paczki, które miał przed sobą, opatrzone były wyraźną pieczęcią z trupią czaszką oznaczającą firmę Czaszka Jorika: Odrażające Repliki, Inc. Wyjął cztery kolejne zmasakrowane ramiona, nakleił karteczki z cenami i ułożył na półce między zmiażdżonymi dłońmi, wyrwanymi sercami i świecącymi w ciemnościach czaszkami.

Kiedy rozległ się dzwonek przy drzwiach, spojrzął przez ramię, nie odrywając się od pracy.

- Witaj, Wolfman! - Crow uśmiechnął się i pomachał urwaną ręką.

Terry Wolfe w odpowiedzi pokazał zęby, które wyglądały jak biała przerwa w rudoczerwonej brodzie. Był wysokim mężczyzną miał niemal metr dziewięćdziesiąt, silne ramiona i szeroki tors. Mimo atletycznej budowy ubierał się z wyszukaną elegancją - miał na sobie ciemnoniebieski wełniany garnitur Giampaola Desantiego w delikatne białe paseczki, jasnoniebieską koszulę i doskonale dobrany krawat. Wypucowane buty błyszczały jak lustro, a szopa rudych loków została starannie ułożona przed lustrem, choć nie uszło uwagi Crowa, że powinien już iść do fryzjera. Zazwyczaj strzygł włosy i brodę raz na tydzień, ponieważ kręcone loki szybko wymykały się spod kontroli. Malcolm starał się nie przypatrywać zbyt uważnie przyjacielowi, ale i tak zauważył, że jego uśmiech przypomina wymuszony grymas, a oczy ma nabiegłe krwią.

- Co tam masz? - zapytał Terry, zaglądając do kartonu. - Co za okropieństwo! - jęknął, wyciągając rozjechanego czarnego szczura leżącego w czerwonej kałuży krwi i wnętrzności.

- Słodziutkie, nie? - Crow był zachwycony nowym asortymentem.

- Dobry Boże, co ty zamierzasz z tym robić?

- Nie z tym, tylko z całą gromadką - poprawił go Crow. - Mam ich sześć.

- Po co ci one?

- Sprzedam je.

- A kto kupi coś tak paskudnego?

- Dzieciaki. Pierwsza partia towaru rozeszła się w mig. W tym roku rozjechane szczury są towarem pierwszej potrzeby. Jeśli nadepniesz, piszczą. Dzieciaki to uwielbiają. Podobnie jak rozplątane czaszki, wyrwane kończyny, wyłupione oczy i wypatroszone psy.

- Gdy my byliśmy dziećmi, bawiliśmy się plastikowymi kurczakami.

- Stary, nie zapominaj, że mieliśmy też *Koszmar z ulicy Wiązów*, Jasona i jeszcze kilku.

- Połącz ich nazwiska i masz kancelarię prawniczą z piekła rodem.

- Twój problem jest taki, że nigdy nie chodziłeś z nami do kina na horrory, Wolfman, więc nie pamiętasz postaci z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Figurki zombie, obrazki z masakrami - my to kochaliśmy, a ciebie to ominęło. Tamte czasy odeszły w przeszłość, ale co kilka lat trzeba robić małą powtórkę z rozrywki, żeby nikt nie zapominał, co jest naprawdę dobre. Dzisiejsze dzieciaki trudno jest wystraszyć czy pokazać im coś obrzydliwego. To one przesuwają granicę, nie ja.

- Co nie zmienia faktu, że to obrzydliwe - fuknął Terry z dezaprobatą.

Potał oczy.

- Ciężki dzień w biurze? A może zmęczyłeś się, siedząc całą noc i licząc miliony w bankach?

Terry ziewnął.

- Myślisz, że bym tak nie wołał? Może mam ci opowiedzieć, jak paskudny tydzień mam za sobą, co?

- Nie mam ochoty...

- Skoro pytasz - na początek pieprzona zaraza kukurydzy, przez którą upadnie przynajmniej dziesięć, nie, piętnaście farm w naszej okolicy, a większość pozostałych będzie musiała wziąć kredyty pod zastaw pól, żeby przetrwać. Gil Sanders nie dalej, jak wczoraj, powiedział mi, że całe jego zbiory trafił szlag. Wszystko. Choroba nazywa się skandynawska zaraza, ale nie dlatego, że taka jest, tylko dlatego, że nie mają pojęcia, co to za paskudztwo. W jego przypadku to ponad dwadzieścia ton plonów, które trzeba będzie spalić. Mówił, że musi zacząć myśleć o sprzedaży ziemi deweloperom i wyniesieniu się stąd. I nie on jeden jest w takiej sytuacji.

- Zupełnie jak trzydzieści lat temu - mruknął Crow. - Jak w czasie Czarnych Żniw.

- Mój Boże, nawet o tym nie myśl! - Terry ukrył twarz w dłoniach. - Mam nadzieję, że tym razem nie będzie tak źle jak wtedy. Są tu dwaj goście z sanepidu i jakiś profesorek z akademii rolniczej w Pineland. Pobiera próbki i będzie myślał, co dalej. Może wpadną na coś mądrego. A poza tym... - zaczął, ale zbył to machnięciem dłoni.

- Co?

Terry uśmiechnął się kwaśno.

- Wiem, że to tylko stres, ale ostatnio nie mogę spać. Leżę całymi godzinami i gapię się w sufit, a kiedy w końcu mi się uda, mam tak dziwaczne sny, że wołę nie zasypiać. Cholera wie, ale to chyba są już koszmary, jeśli gość w moim wieku może mieć jeszcze koszmary.

Ja nie jestem za stary, bo ciągle mnie męczą, pomyślał Crow, ale nie powiedział tego głośno, bo do sklepu wszedł klient. Terry obserwował, jak Malcolm sprzedaje dzieciakowi wampirze zęby i dwie tubki sztucznej krwi. Wytłumaczył jeszcze, jak ją nakładać w kącikach ust, by wyglądała realistycznie, i chłopak wyszedł uszczęśliwiony. Tyle że oni nie wrócili już do wcześniejszej rozmowy.

Terry pokiwał smutno rudą głową.

- Jesteś chorym człowiekiem z poważnymi zaburzeniami, Malcolmie Crow.

- Dzięki za komplement. Mów mi po prostu panie Halloween.

- Niestety, są inne przezwiska, które bardziej do ciebie pasują. A tak na marginesie, co Valerie myśli o twojej pasji? - zapytał i jeszcze raz rozejrzał się po sklepie.

- Uważa, że jestem czubkiem. - Crow wzruszył ramionami.
- I teraz spróbuj zgadnąć, dlaczego nie jestem zaskoczony?
- Ale - ciągnął Crow, unosząc palec wskazujący - jestem jej ukochanym i bardzo seksownym czubkiem.
- W to akurat nie wątpię - prychnął Terry. - Stary, chyba za bardzo się w to wszystko wczuwasz i przez to tracisz kontakt z rzeczywistością. No, sam rozumiesz... Wiesz chociaż, kto jest teraz prezydentem?
- Kto jest kim?

Przez większą część roku sklepik Crowa był szanowanym i modnym miejscem, w którym można było kupić wszystko, co wiązało się ze sztuką i rękodziełem. Ale pod koniec każdego lata, kiedy pogoda stawała się coraz gorsza, z półek znikwały ręcznie robione klatki dla ptaszków i kleje do wycinanek, a ich miejsce zajmowały mroczne siły. Tak przynajmniej widział to Terry. Całoroczny towar czekał na swoją kolej ułożony starannie w skrzynkach na zapleczu, a główne pomieszczenie brały we władanie wszelkiej maści okropieństwa i potwory. Na ścianach pojawiały się gumowe twarze z horrorów wiernie oddające wszystkie szczegóły anatomiczne morderców i ich ofiar. Terry był zaskoczony tym, jak dokładnie są wykonane, choć spodziewał się widzieć trolli czy wilkołaków. Tymczasem tamte straszdyła, znane mu z czasów dzieciństwa, zostały całkowicie wyparte przez nieforemne potwory o wyłupiastych oczach, dziwacznych minach i wyszczerzonych zębach, demony ze świecącymi oczami i krwawiącymi ranami, ofiary makabrycznych zbrodni z obnażonymi mózganami, seryjnych morderców, obcych o wielkich owadzych oczach, smoki, zombie o nadgniłych twarzach z otworami po kulach, mumie, z których zsunęły się bandaże, ukazując makabrycznie zdeformowane szczątki, i jeszcze wiele, wiele innych, które okropieństwem przewyższały nawet te ostatnie.

Na półkach i regałach stały pudełka z zestawami „mały zombie”, w eleganckich beczułkach czekały na klientów breloczki do kluczy w kształcie gałek ocznych, gumki do mazania do złudzenia przypominające odrąbane siekierą kciuki i plastikowe robactwo wszystkich gatunków. Na wieszakach wisiały przerażające kostiumy, a pod spodem leżały wszystkie akcesoria, które były potrzebne do osiągnięcia przerażającego image'u. W ten sposób za kilka dolarów miejscowe dzieciaki mogły uzbroić się w plastikowe noże rzeźnicze, widły, rękawice z ostrzami, jakie nosił Freddy Kruger, maski hokejowe Jasona, latające miotły, kolczaste kule na łańcuchach, strzały ze specjalną opaską, dzięki której można było je założyć na głowę, co wyglądało jakby przebiły czaszkę na wylot. Przebranie uzupełnić należało odpowiednim makijażem. Crow oferował duży wybór kosmetyków, w tym czarne i pomarańczowe szminki zmieniające każdego dziesięciolatka w zjawę z sennych koszmarów. Malcolm był z nich naprawdę dumny. Dzieciaki też je uwielbiały. Tylko Terry Wolfe uważał, że są zbędne i paskudne.

Jedynym miejscem, które bronilo się przed wyglądającymi z każdej dziury potwornościami, był niewielki stolik zavalony pudełkami z pagerami i telefonami komórkowymi. Crow był lokalnym sprzedawcą usług jednej z sieci komórkowych i twierdził, że zyski z tej działalności pokrywają cały czynsz za wynajem lokalu, chociaż współpraca z operatorem nie była pasmem sukcesów. Sporo musiał się nasłuchać od klientów, bo jedyna w miasteczku stacja przekaźnikowa ostatnio coraz częściej była zepsuta. I nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje. A na dodatek wystarczyło wyjechać tuż za miasto, by znalezienie miejsca z zasięgiem graniczyło z cudem.

- Właśnie sobie o czymś przypominałem. - Terry podszedł do stolika i dotknął kolorowego pudełka. - Podładuję baterię - oznajmił, wyciągając komórkę z pokrowca przy pasku. - Cały dzień wisiałem na telefonie i już się nawet nie włącza. - Crow podłączył komórkę do ładowarki po swojej stronie lady i wrócił do układania towaru na półkach. Coś mu się nie podobało w wyglądzie Terry'ego i zastanawiał się, czy może ma jakieś problemy z Sarą. Gdyby tak było, to w połączeniu z zarazą i kłopotami finansowymi stawiłoby go w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

No i jeszcze Halloween za pasem. Terry nigdy nie był fanem tego święta, a Crow wiedział o tym najlepiej. Tradycja i strachy przerażały go niemal do szaleństwa, od kiedy skończył dziesięć lat. Czyli od dnia, w którym w czasie Czarnych Żniw Terry został okrutnie pokaleczony. Wprawdzie tylko on odniósł rany, ale tamto wydarzenie odcisnęło piętno na nich obu. Wcześniej morderca pozbawił życia Billy'ego, brata Malcolma, i siostrę Terry'ego. Niewiele brakowało, a zamordowałby także jego.

Terry i Crow byli jedynymi mieszkańcami miasteczka, którzy widzieli twarz mordercy i przeżyli. I obaj doskonale wiedzieli, że nie był to robotnik sezonowy z farmy Guthriego, Oren Morse. Ten, na którego wołali Szkielet. Bluesman, którego mieszkańcy miasteczka oskarżyli o masakrę i w końcu zamordowali bez sądu.

Terry i Crow wiedzieli, kto mordował, ale przez trzydzieści lat, które minęły od tamtego czasu, nie zamienili ze sobą nawet jednego zdania na ten temat. Z nikiem innym też. I w znacznej mierze był to wybór Terry'ego. Zebrał wszystkie swoje wspomnienia z tamtej jesieni w jednym miejscu, opatrzył je napisem „nie zbliżać się” i zepchnął w najrzadziej odwiedzany zakątek mózgu. Crow radził sobie w inny sposób. Przez minione trzydzieści lat myślał o tym niemal codziennie. Najpierw starał się utopić wspomnienia w burbonie. Alkohol nie pomógł, i niewiele brakowało, a zrujnowałby mu życie. Potem zmienił strategię i zaczął się z nich śmiać. Ośmieszał je, sprzedając maski z horrorów i projektując atrakcje typu „Naviedzzone Przejazdźki”. Uważał, że ma to w sobie coś z egzorcyzmów, choć do dziś nie potrafił się przemóc, by porozmawiać z psychologiem.

Jednym z efektów tak różnych sposobów radzenia sobie z rzeczywistością i wspomnieniami było to, że Terry bał się ciemności, a Crow światła. Gdyby porozmawiali i skonfrontowali swoje doświadczenia, mogliby dojść do wspólnych wniosków i na pewno rozwiązałyby niejeden problem. Teraz, niezależnie od dręczących ich koszmarów, obaj wyczuwali ironię sytuacji - Terry bał się Halloween, a był burmistrzem miasteczka obwołanego przez magazyn „Time” „najbardziej nawiedzonym miastem w całej Ameryce”. Pine Deep należało do tych nielicznych miejsc, w których mieszkańcy zgodnie pielęgnowali wiarę w istnienie duchów i zdarzeń nadprzyrodzonych. I nie dotyczyło to jedynie lokalnych ekscentryków - nie, wszyscy byli przekonani, że tak jest. Historia strachów w mieście sięgała czasów pierwszych osadników. Z tamtego okresu pochodziły przekazy, jakoby duchy Indian z wymordowanego plemienia Lenni Lenape nawiedzały domy pierwszych przybyszów z Europy. Legendy nie przestawały krążyć. Z czasem stawały się coraz mniej legendami, a coraz bardziej prawdą historyczną, choć przekazywaną z ust do ust. I właśnie to stało się fundamentem, na którym miasteczko od lat budowało swój dobrobyt.

Trzydzieści lat temu, po Czarnych Żniwach, które doprowadziły do bankructwa ponad połowę farm w okolicy, miasteczko zaczęło się zmieniać. Deweloperzy wykupili pola i zbudowali osiedla domków jednorodzinnych i okazałych rezydencji. Pojawili się bogaci inwestorzy i nowi mieszkańcy, artyści i pisarze, szukający spokoju z dala od wielkich miast, i rękodzielnicy, którzy w niewielkich sklepikach sprzedawali swoje wyroby. Szybko pojawili się turyści i coraz większy strumień dolarów. Pisarze wczuli się w lokalną atmosferę i pisali horrory i powieści grozy, które wspinały się po listach bestsellerów, malarze malowali ponure obrazy, a rzemieślnicy ręcznie wyrabiali przeróżne drobiazgi, od tanich drewnianych strachów na wróble po drogą biżuterię, taką jak wampirze łyzy, czyli krwistoczerwone rubinowe kolczyki, które za sprawą jednej z aktorek pojawiły się nawet na okładce ogólnokrajowego magazynu dla kobiet. Atmosfera miasta i jego historia zdawały się nastrajać wszystkich w charakterystyczny, mroczny sposób, a turyści uwielbiali miejsca, których magnetyzm opiera się na zimnych dreszczach przechodzących po plecach.

Terry miał naturalny zmysł do robienia interesów. Kiedy tylko wyczuł koniunkturę, dołączył do tych, którzy swoim kapitałem budowali obraz nawiedzonego miasteczka, by później czerpać z niego pełnymi garściami. Ludzie spragnieni mrocznych rozrywek z całego Wschodniego Wybrzeża zaczęli tłumnie ścigać do Pine Deep. A miasto miało im dużo do zaoferowania: paradę z okazji Halloween, cykl *Straszne Koncerty*, sklepy tematyczne i jarmarki. Miesiąc przed wigilią Wszystkich Świętych lokale zmieniały barwy na czerń. Pine Deep potrafiło wykorzystać swoją szansę i dzięki ludziom, którzy lubili się bać, stało się bogatym i

dobrze prosperującym miastem. Za prawdziwą ironię losu można uznać fakt, że burmistrzem tego nawiedzonego miasta został Terry Wolfe - człowiek, który nosił w sobie ukryty strach przed wszystkim, co wiązało się z mrokiem.

Ale największą zagadką i najzabawniejszą rzeczą było to, że Terry był przy okazji właścicielem najbardziej przerażającej w całych Stanach atrakcji dla turystów, czyli „Nawiedzonych Przejazdów”.

Rozmyślenia Crowa przerwał dzwonek telefonu.

- Tak? Nie ma sprawy, przez przypadek jest tutaj. - Uśmiechnięty rzucił bezprzewodowy telefon przyjacielowi. - Do ciebie. Biuro szeryfa.

- Uuu! - Terry z niepokojem przyłożył telefon do ucha, a Crow taktownie zostawił go samego i wrócił do swoich zajęć.

- Cześć Gus, co tam? - Terry słuchał przez chwilę w milczeniu. - Nie, rozładowała mi się bateria. A co jest takiego pilnego? - Znow zamilkł, ale po chwili zaczął raz za razem powtarzać „Chryste”. Terry był wyjątkowo zrównoważonym człowiekiem i takie słowo w jego ustach wiele znaczyło. Crow spojrzał zdziwiony na burmistrza, ale ten uniósł palec i nakazał mu milczenie. - Dobra... co się stało z tymi trzema?

Crow uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

- Jezu Chryste! - Terry znow wezwał imię Pana i był przy tym bardzo przekonujący. - Dobra, Gus. Będę u ciebie za kilka minut. Trzymaj się.

Nacisnął przycisk kończący rozmowę, ale nie ruszył się z miejsca. Stał i myślał, przygryzając dolną wargę i uderzając telefonem o udo.

- Co się dzieje?

- Nie uwierzysz, ale właśnie dzwoniли do Gusa z komendy głównej w Filadelfii. Ogłosili czerwony alarm dla wszystkich miejscowości do samej granicy stanu, ponieważ trzech psychopatów podziurawiło kilku Jamajczyków i zwiąło samochodem pełnym prochów i kasy.

- Nieźle! - Crow uśmiechnął się trochę wbrew sobie.

- Słuchaj dalej. Nie rozplynęli się we mgle - kilka osób ich widziało, a z ich relacji wynika, że z zupełnie niejasnych dla mnie przyczyn pędzą w naszą stronę. A właściwie to już powinni nas minąć jakieś pół godziny temu. Na całej trasie są rozstawione blokady, mamy też łączność z Crestville i Black Marsh. Filadelfia przysyła swoich ludzi, żeby przejęli kierowanie akcją. Gus twierdzi, że nie mógł się do mnie dodzwonić, więc pomyślał, że pewnie jestem u ciebie. I miał rację. Ale mniejsza z tym. Gus z pozostałymi zorganizowali na szybko coś w rodzaju stanowisk obserwacyjnych wzdłuż drogi. Nie ma mowy, żeby przemknęli się niezauważeni. I chce ich zatrzymać.

- Zatrzymać?

- Tak. Uwierzysz w to? - prychnął Terry. - Gus Bernhardt chce zatrzymać prawdziwego złoczyńcę. Koniec świata.

- Chyba byłoby lepiej, gdybyśmy zatrudnili do tego braci Marx, bo Gus jest raczej specjalistą od mandatów za złe parkowanie.

- Tak, to mu naprawdę dobrze wychodzi. Szkoda, że nic poza tym. - Terry potarł oczy.

Crow widział, że przyjaciel jest coraz bardziej zdenerwowany. Jego twarz z bladości zrobiła się purpurowa.

- No, więc generalnie miało nie być żadnych problemów. Nasi chłopcy zatrzymują samochód, aresztują złych gangsterów i przekazują ich dobrym policjantom z Filadelfii. I wszyscy rozchodzą się do domów. Pojawił się jednak problem... Nasi psychopaci minęli punkt obserwacyjny w Black Marsh i most już ponad godzinę temu. I tu się zaczyna niepokojąca część. Nie dotarli do punktu w Crestville.

- Ups!

Pine Deep było bardzo dogodnie położone przy drodze międzystanowej. Z przedmieściami tworzyło kształt trójkąta otoczonego hurtowniami, sklepami, a dalej farmami. Leżało w pobliżu rzeki Delaware, która oddzielała Pensylwanię od New Jersey, a tereny dookoła przecinały liczne strumienie i kanały. Droga A-32 meandrowała między tymi dwoma stanami, przekraczając rzekę stalowymi i murewanymi mostami i biegnąc prosto przez pola, zbliżała się do miasta, przecinając je niemal dokładnie na pół. Black Marsh leżało na trasie przed Pine Deep, a Crestville nieco za, na północy. A-32 była jedyną drogą, która łączyła te miasteczka. Pozostałe drogi były lokalnymi traktami łączącymi poszczególne farmy. Samochód, który przejechał przez Black Marsh i zmierzał w kierunku Crestville, musiał przejechać przez Pine Deep.

- Mają potwierdzenie, że byli w Black Marsh?

- Tak, tamtejsi gliniarze nie mają wątpliwości. Wszyscy się spodziewali, że wpadną na blokadę w Crestville. Przygotowali już komitet powitalny, osiem czy dziewięć radiowozów, barykady, kolczatki i broń długą. Ale się nie pojawili...

- O cholera...

- No właśnie. Z tego, co powiedział Gus, będziemy musieli zarządzić poszukiwania na naszym terenie.

- Żartujesz? Terry, powiedz mi, że żartujesz. Poszukiwania? Jak na filmach? - Crow się roześmiał.

- Takie same. No, wiesz, Richard Kimble i cała reszta uciekinierów... Musiałeś to oglądać. Tylko z Gusem jest problem, bo na podporucznika Gerarda to on nie wygląda. Mam tylko nadzieję, że gliny z Filadelfii wiedzą, czym to się je. - Terry pokręcił głową i spojrzał na Crowa. - Wolalbym, żebyś przestał się szczyrzyć. To poważna sprawa.

Ale Crow pokręcił głową.

- Nie sądzę. Gus po prostu wpadł w histerię. Zobaczysz, będzie tak, że wszyscy zaczną biegać w kółko i wrzeszczeć, a potem się okaże, że tych trzech pajaców znaleźli gdzieś na północny zachód od Scranton. Wybacz, stary, ale ja po prostu nie wierzę, żeby to było choćby w połowie tak poważne, jak przedstawia to nasz panikarz.

- No cóż, ja mam inne zdanie. - Terry powiedział to takim tonem, że nawet Malcolmowi zrzedła mina. - Tym razem to nie sprawa Gusa. Naprawdę są u nas detektywi z Filadelfii i naprawdę wygląda to dość poważnie.

- Dobra, Terry - powiedział Crow, unosząc ręce. - Wyluzuj i nie złość się na mnie. Po prostu znam Gusa nieco lepiej niż ty i dopóki nie zobaczę tych typków, jak się toczą dostojnie główną ulicą naszego miasta, nie kupię jego bajeczki. I tyle.

Terry'emu zaczęła nerwowo drgać prawa powieka, a na czoło wystąpiły duże krople potu. Wytarł twarz rękawem drogiej marynarki, zawahał się i zmusił do czegoś, co przypominało uśmiech.

- Dobra już, dobra. Słuchaj, muszę lecieć, ale mam do ciebie małą prośbę. Zrobisz coś dla mnie?

- Dla ciebie wszystko. Wal.

- Pojedź, proszę, do „Przejażdżek” i daj znać Coopowi, co się dzieje. Pewnie lepiej będzie nie otwierać dziś wieczorem. I nie patrz tak na mnie. Tak powinniśmy zrobić, biorąc pod uwagę dzisiejsze wydarzenia. „Przejażdżki” są przy Old Mill, a to zaraz w bok od A-32. Nie chcę, żeby tak blisko niebezpiecznego terenu gromadzić dzieciaki... Mam nadzieję, że rozumiesz, o co mi chodzi.

Terry starał się mówić spokojnie, ale Malcolm znał go na tyle dobrze, by umieć rozpoznać, kiedy jest spięty. Teraz był.

- Najpierw spróbuj się do niego dodzwonić, chociaż obaj wiemy, że nie odbierze. Nigdy nie odbiera. Czeka na automatyczną sekretarkę i nagranie. Sam nie wiem, co mam z nim zrobić.

- Jest kuzynem Sary.

- Nepotyzm to jedyna rzecz, która utrzymuje jego nazwisko na liście płac. Przecież to idiota.

Crow nie znalazł jednego słowa nieprawdy w tej wypowiedzi.

- Dobra. Zamknę sklep i tam pojedę. Tak czy inaczej, miałem dziś jechać do Val, więc nie nadłożę dużo drogi.

- Dzięki, że chociaż udajesz grzecznego pracownika. - Terry'emu wyraźnie ulżyło. - A, i jeszcze coś.

- O co chodzi, skarbie?

- Bądź ostrożny. I nie śmieję się jak idiota. Mówię poważnie.

Crow nadal szczyrzył zęby.

- Rany, burmistrzu, czy to znaczy, że mogę wziąć moją wierną pukawkę?

- Oczywiście, że tak. - W głosie Terry'ego nie było nawet śladu radości. Malcolm z uśmiechem czekał na pointę.
- Serio?
- Jak cholera. - Wolfe chrząknął. - Słuchaj, Crow, te wszystkie gliny, nasi i zamiejscowi, będą się starali ogarnąć ten bałagan. Gdybym tylko mógł, wysłałbym jednego z nich, a nie ciebie, chociaż żaden nie jest wart pączków, które zjada przez tydzień. A ty byłeś kiedyś policjantem...
- Terry, w tym mieście wszyscy, z wyjątkiem mojej prababki, byli przy różnych okazjach policjantami. Ona zresztą też by wzięła tę robotę, gdyby nie reumatyzm.
- No cóż, w takim razie wyobraź sobie, że zostałeś czasowo powołany do służby.
- Jako glina? A ty w ogóle możesz zrobić coś takiego?
- Jestem tu szefem. Mogę robić, co chcę.
- Hmm, Sara mówiła co innego.
- I tu się mylisz. Moja żona uważa, że jestem supermanem. - Terry znów otarł czoło i spojrzał na przyjaciela. - Crow, posłuchaj, zrób to dla mnie szybko i bezpiecznie. Dobra?
- Crow uśmiechnął się, ale widział, że Terry jest naprawdę zdenerwowany tym, co się dzieje, więc zrezygnował z dalszych żartów.
- Nie musisz się o nic martwić. A co się tyczy tych uciekinierów... Nie przejmuj się nimi aż tak bardzo, bo ostatnim miejscem, do którego chciałoby trafić trzech morderców zwiewających przed policją, jest park rozrywki wypełniony po brzegi dzieciakami z trzech sąsiednich stanów. Sam wiesz, świadkowie i tak dalej...
- Terry wszedł za ladę i odłączył telefon od ładowarki, mimo że bateria była w połowie pusta.
- Niby tak, ale po prostu uważaj.
- Przyrzekam, że będę bardzo grzeczny. Najlepszym gościem do takiej roboty jest sprytny tchórz, więc, chłopie, trafiłeś w dziesiątkę za pierwszym razem - powiedział Crow i zasalutował.
- Terry pokręcił głową, ale po chwili wyprostował się, zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę.
- Dzięki.
- Crow wziął gumową zmasakrowaną dłoń i podał ją przyjacielowi. Ten odsunął ją delikatnie na bok i z rezygnacją zamknął oczy.
- Chryste, Crow, jesteś naprawdę stuknięty. - Zrobił dziwny grymas i wyszedł ze sklepu.
- Przez pełną minutę Malcolm gapił się w ciemność za wielkim oknem wystawowym, a na jego ustach błędził lekki uśmieszek. W końcu podrapał się urwaną ręką po policzku.
- Co tam, do diabła - powiedział głośno i poszedł na zaplecze po broń.

3.

Sekundy przesuwały się dookoła samochodu jak nieprzerwana armada mrówek. W końcu ciszę przerwał zachrypnięty głos Boyda:

- Tony? Ruger?

Karl coś odburknął. Czuł jeszcze resztki potężnej dawki adrenaliny, którą uwolnił wypadek. Włosy na głowie stały mu dęba i na całym ciele miał gęsią skórę. Drżały mu palce, kiedy sprawdzał puchnące w zastraszającym tempie policzki i czoło. Jeszcze nie czuł bólu, ale wzmagające się łaskotanie zwiastowało jego nadejście. Przesunął językiem po zębach i poczuł smak świeżej krwi. Łapczywie przełknął ślinę.

- Co z Tonym?

Denerwował go fakt, że Boydowi nic się nie stało. Spojrzał na kierowcę bezwładnie rzuconego na kierownicę.

- A kogo to obchodzi? - zapytał.

- Co to było?

- Tony zjechał z drogi, przeleciał przez rów i wpięprzył nas w kukurydzę. A ty, myślałeś, że co, kurwa?

- Cholera... no niech to jasna cholera!

- No. - Ruger szukał w pamięci obrazu człowieka, którego zobaczył na środku drogi. Był pewien, że skądś go zna, ale im bardziej się starał, tym mniej był w stanie sobie przypomnieć. W końcu wszystko zniknęło. Poczuł ukłucie straty.

„Ruger, jesteś moją lewą ręką”.

Szarpnął za klamkę, nogą otworzył drzwi na całą szerokość i znieruchomiał, czekając, aż coś go zabolii. W końcu wysiadł z samochodu i zamknął oczy, starając się złapać równowagę na trzęsących się nogach. Miał wrażenie, że wszystko się kiwa. Kiedy udało mu się uspokoić, powoli unióśł powieki i się rozejrzał. Wysokie łądygi roślin kołysały się lekko, ale tym razem od wiatru. Przyszło mu do głowy, że mógł się nabawić wstrząsu mózgu. Poprzednio, gdy miał wstrząs mózgu, czuł się jak pijany. To było bardzo miłe.

- Co z wozem? Nadaje się do jazdy?

Ruger pochylił się i zajrzał pod spód.

- Nie.

Boyd podszedł do niego, niepewnie stawiając kroki. Obaj wpatrywali się w przednie prawe koło - wyrwane leżało płasko przygniecione masą wozu. Opona była cała, ale przegub łączący piastę z resztą zawieszenia pękł przy samej główce.

- Ale gówno - stęknął Boyd.

- No.

- Nie damy rady tego naprawić.

- No, co ty...
- I co teraz?
- Przecież masz obie nogi, nie? - Ruger łypnął na niego.

Boyd nie wierzył własnym uszom. Z wrażenia zamachał zdrowym ramieniem.

- No, teraz to, cholera, przesadziłeś. Mam iść? Genialny pomysł. Wiesz już może dokąd? Do Filadelfii? A może do New Hope? Ja bym polecał spacerek przez pola do Lambertville, ponoć serwują tam świetne steki. - Pokręcił głową. - No, śmiało, wybieraj.

- Nigdzie daleko. Zostajemy tutaj.

- Też superpomysł. Jesteśmy pośrodku Zadupia Wielkiego w Pensylwanii. Przecież tutaj wszędzie jest daleko!

- Założę się, że coś tu jest, Boyd. - Ruger był spokojny. - Zawsze coś jest.

- A co, jesteś teraz pieprzonym przewodnikiem wycieczek? Znasz te okolice? Przecież tutaj naprawdę nic nie ma!

- Słuchaj, ty kaczy mózdzku, myślisz, że ta kukurydza dookoła sama się wysiała? Jeśli są uprawy, to w pobliżu musi być gospodarstwo. A rolnicy mają samochody i to nawet jeśli mieszkają w Zadupiu Wielkim. Pójdziemy tam, poprosimy grzecznie i może nawet pożyczą nam wóz. - Wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Krew ci leci z ust.

Ruger obliznął wargi.

- Wiem - powiedział miękko, nie przestając się uśmiechać.

Boyd chciał dodać coś jeszcze, ale zamknął się, pochylił i zerknął do środka samochodu, na Tony'ego.

- Nie żyje? - zapytał.

- Należało się debilowi.

- To dlaczego pozwoliłeś mu prowadzić?

- Pierwszy wsiadł za kółko. - Karl wzruszył ramionami.

- Tak, ale gdy pytałem, to powiedziałeś, że może prowadzić.

Ruger znów wzruszył ramionami.

- Może powinniśmy sprawdzić, czy na pewno nie żyje, co? - Boyd pochylił się jeszcze niżej i wsunął głowę do środka. Złapał Tony'ego za rękaw i pociągnął za rękę.

- Hej, Tony, słyszysz mnie?

Żadnej reakcji.

Boyd znów spróbował. Nic się nie stało. Dopiero za trzecim razem Tony podniósł powoli głowę i z wysiłkiem próbował skupić na nim wzrok. Dolna część jego twarzy tonęła we krwi i smarkach, a złamany nos wręcz leżał na policzku.

- No, Tony, już myślałem, że koniec z tobą.
- B... Boyd?
- Dajesz radę, stary?
- Boyd? - Tony z trudem wydobywał z siebie głos. Mówił ochryple i tak cicho, że Ruger przy nim niemal krzyczał. Co chwila przerywał, bo gardło zalewała mu krew. - Musicie mi pomóc. Musicie... jestem w głębokiej dupie...

- Fakt, masz niezły bilans: najpierw cię postrzelili, a potem rozwaliliś brykę. Nie ma innej opcji, jesteś w głębokiej dupie. - Boyd nawet się uśmiechnął. - Stary, możesz chodzić?

- Ja... nie wiem... nie czuję nóg.

Boyd spojrział przez ramię na Rugera, który stał spokojnie obok wozu i palił pall maila. W oddali przetoczył się grzmot, niebo rozświetliła błyskawica.

- Będziemy musieli go nieść.

Ruger głęboko zaciągnął się papierosem i spojrział z troską na Boyda, a oczy miał jeszcze zimniejsze niż zwykle.

- Słuchaj no, Boyd - zagaił łagodnie - czy ty naprawdę wyobrażasz sobie, że któryś z nas weźmie tego żalostnego popaprańca na ramiona i gdzieś go zanieś?

- Co?

- To, co słyszałeś. Widzisz nas z tym żalostnym popaprańcem na plecach? Tak sobie wyobrażasz naszą dalszą ucieczkę? Bo ja nie. Ja widzę to tak: bierzemy z bagażnika kasę i prochy i spieprzamy, gdzie pieprz rośnie. Taki mam plan. Mamy dość kłopotów, żeby jeszcze targać ze sobą gościa, który i tak bardziej przypomina zwłoki.

Boyd wyprostował się i spojrział na Karla, lekko się uśmiechając.

- Odbiło ci, Karl. Przecież nie możemy go tutaj zostawić!

- A to dlaczego?

- Bo tak się nie robi.

Ruger znów zaciągnął się dymem. Kiedy mówił, z jego nosa i ust sączyły się niebieskie smużki.

- Tak się nie robi? Tak uważasz, Boyd? Że ja niby nie mam racji? A może powiesz mi w takim razie, jak się robi, co?

- Słuchaj, Ruger, jesteśmy zespołem. Razem przygotowaliśmy numer, razem wdepnęliśmy w gówno i teraz nadal powinniśmy trzymać się razem. Niezależnie od tego, co się dzieje, powinniśmy trzymać się razem.

- I tak się robi, tak? W takim razie, dlaczego nie wrócimy na miejsce, żeby pochować naszych kumpli, Nicka i Lestera? Tak się przecież powinno robić, nie?

- Boyd... - zawołał słabo ze środka wraku Tony, ale kiedy ten się schylił, oczy rannego zniknęły pod powiekami. Boyd wyprostował się i spojrział na Rugera.

- Tony żyje.
- Już niedługo.
- Jeszcze żyje, więc nie możemy go tak zostawić.
- Co chcesz w takim razie zrobić, co? Czuwać przy nim, aż się przekreśli?

Wiesz równie dobrze jak ja, że nie ma szans. Dostał prosto w brzuch. A do szpitala go przecież nie zawieziemy. Stąd do Harrisburga nie ma gabinetu lekarskiego, który by nie został powiadomiony o naszej ucieczce! A tak czy inaczej, gdy ktoś widzi ranę postrzałową, pierwsze, co robi, to dzwoni na policję. W takim razie, słucham, co proponujesz? A może wiesz, jak leczyć takie rany, co? Co ty się zrobiłeś taka pieprzona doktor Queen?

- Dobra, rozumiem, ale przecież coś musimy zrobić!

- Racja. Musimy zadbać o własne dupska. Nic innego się nie liczy. Tony zdał sobie sprawę z ryzyka i gdyby nie jego durne pomysły, toby nie oberwał. Ale oberwał i nie ma o czym mówić. Nie mam zamiaru stać i trzymać go za rączkę, żeby nie czuł się samotny, umierając. Popelniliśmy morderstwo, stary. To nie była kradzież snickersa. A poza tym Tony nie jest rodziną dla żadnego z nas.

Boyd pokręcił głową.

- Znajdziemy gdzieś lekarza i zmusimy go, żeby poskładał Tony'ego do kupy. Albo go przekupimy. Mamy dość szmału.

- Jeśli myślisz, że zmarnuję choćby centa z mojej części na trupa, to znaczy, że jesteś głupszy, niż wyglądasz. Dzielimy kasę i prochy i spadam stąd.

Ruger chciał się odwrócić, ale zamarł, kiedy Boyd rozchylił płaszcz i pokazał mu wysadzaną macią perłową rękojeść rewolweru. Ruger spojrzął na spluwę, a potem powoli podniósł wzrok i popatrzył kompanowi w oczy. Nie bał się. Uśmiechnął się, gdy stwierdził, że samym patrzyeniem sprawia mu ból.

- Musimy coś z nim zrobić - powtórzył Boyd powoli głosem, który zdradzał znacznie więcej na temat jego emocji, niż Boyd chciał.

Ruger powoli pokiwał głową.

- Dobra, stary. Miejmy to już za sobą. - Spokojnie wyjął papierosa z ust, strzepnął popiół, odsunął Boyda i zajrzał do samochodu.

- Tony? - zapytał.

Powieki Toniego zadrżały i w końcu się podniosły.

- Ruger? Musisz mi pomóc, Ruger. Dostałem w brzuch. Paskudnie mnie poszatkowali. Musisz mi pomóc.

- No pewnie, Tony. Zajmiemy się tobą.

Wyciągnął zza paska rewolwer, trzydziestkę dwójkę z krótką lufą, i przycisnął ją do boku Tony'ego, tuż obok pierwszej krwawiącej rany.

- Miło było cię znać, stary, ale prowadzisz jak dupa.

Nacisnął spust.

Siła strzału złożyła ciało kierowcy na pół. Znów uderzył zmasakrowaną twarzą w koło kierownicy.

- Jezu! - Boyd złapał Rugera za ramię, wyciągnął z samochodu, oparł plecami o tylne drzwi i uniósł zdrową rękę, by go uderzyć. Ale Karl był szybszy. Nie czekał na cios, tylko zrobił krok do przodu i przycisnął lufę pistoletu do gardła kumpla.

- Uderz albo cofnij rękę - syknął z demonicznym uśmiechem.

Boyd zamarł.

- Jeśli chcesz umrzeć, to dalej. Jeśli nie, opuść rękę. Nie mam teraz ochoty na takie gierki. Nie mamy całej nocy. - Jego głos ani przez moment nie był głośniejszy niż szept.

Boyd powolutku, walcząc ze sobą, opuścił rękę.

- Bardzo rozsądnie. A teraz się cofnij.

Boyd zrobił kilka kroków do tyłu, a potem odwrócił się i ruszył przed siebie. Zatrzymał się przy ścianie kukurydzy i ciężko oddychając, starał się opanować.

- Kurwa! - ryknął na cały głos.

- Widzisz, jak bardzo przejąłem się tym, żeby sam tutaj nie siedział. Poza tym już nie musimy nosić tego żalostnego patalacha - oznajmił Ruger. - I łatwiej będzie dzielić kasę. Nie na pięć części, nie na cztery i nie na trzy. Na dwa. To po pół melona na łebka i prochów przynajmniej drugie tyle. Będziemy mogli za to wysłać niejedną pocztówkę żonie i dzieciakom naszego szofera. Poza tym to powinno złagodzić nieco ból, jaki teraz czujesz po stracie przyjaciela, więc zapomnij już, że byłeś przez chwilę Matką Teresą i bierz dupę w troki.

Boyd powoli odwrócił się do Rugera. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, choć w jego oczach coś błysnęło.

- Jesteś zasranym sukinsynem, Ruger.

- A to jakaś nowość? - Wzruszył ramionami.

Boyd splunął na ziemię i powoli podszedł do samochodu.

Rozdzielenie poplamionych krwią plików dolarów i torebek z kokainą zajęło im niecałe pięć minut. Boyd usiłował zmasać czerwone plamy, które wsiąkały w używane banknoty, ale Ruger stwierdził, że nie warto zwracać sobie tym głowy.

- Nie ma teraz czasu. Wszystko jest brudne. Gdzieś znajdziemy pralkę i je wypierzemy. Słyszałem, że zimna woda zmywa krew.

Boyd patrzył na niego i nie potrafił zrozumieć, jak Karl może być tak spokojny. Poczul ciarki na plecach.

- Dobra, ruszamy. - Ruger puścił do niego oko.

Potem pomógł Boydowi przełożyć paski plecaka przez zranione ramię i wyregulował ich długość. Ze swoim bagażem zrobił to samo i nie poświęcając nawet

jednego spojrzenia samochodowi z Tonym w środku, ruszył przed siebie. Boyd stał przy wozie chwilę dłużej i wpatrywał się w skulone za kierownicą ciało.

- Przepraszam, stary - szepnął i ruszył za Rugerem.
Kukurydza zamknęła się za ich plecami.

4.

Minuty mijały w ciszy, którą przerywał jedynie szelest zeschniętych liści.

- Boyd... pomocy... - rozległ się cichy szept.
I znów zapadła cisza.

ROZDZIAŁ 5

1.

Kiedy za Terryem zamknęły się drzwi, Crow nie ruszył się z miejsca, tylko stał i przez kilka dobrych minut analizował wszystko, co się stało. Wiele rzeczy wydarzyło się niemal jednocześnie - dowiedział się o uzbrojonych i niebezpiecznych zbiegach mordercach w Pine Deep, został przywrócony do służby w policji (choć tylko na jeden wieczór) i dostał polecenie awaryjnego zamknięcia „Nawiedzonych Przejazdek”.

Żadna z tych rzeczy nie pasowała do jego planów na wieczór. Była dziewiętnasta trzydzieści, chciał zamknąć o dwudziestej, by zdążyć na spotkanie Anonimowych Alkoholików w kościele metodystów - dzisiaj mieli przerabiać krok piąty. A potem czekała na niego Val z obiadem, który, miał nadzieję, nie okaże się aż tak zły, jak przewidywał jej brat. Na sam koniec zaplanował wylądowanie w łóżku ze swoją dziewczyną. Chciał ją namówić na wspólny weekend w New Hope, co było preludium do gruntownie przemyślanej strategii oświadczyń. Pracował nad tym przez pięć ostatnich lat, a jedyne, do czego doszedł, to pierścionek, kolacja i dobry hotel. Miał nadzieję, że w ostatniej chwili wpadnie na coś wyjątkowego, co sprawi, że oboje zapamiętają ten moment na całe życie. Nieszczególnie przejmował się tym, że wszyscy w mieście wiedzą, że w końcu się jej oświadczy - choć to oczywiście psuło niespodziankę, bo Val też to wiedziała. Niejeden raz, gdy wpadał wieczorem zabrać ją na kolację do dobrej restauracji, brat i ojciec uśmiechali się znacząco i puszczali do niego oko. Nawet żona Marka, Connie, równie błyskotliwa jak

Coop, wiedziała, że poprosi ją o rękę. A skoro nawet ona wiedziała, to tym bardziej Val zdawała sobie z tego sprawę.

Chciał ją jednak czymś zaskoczyć, ale na razie do niczego nie doszedł. Miał jednak nadzieję, że dzisiejszy wieczór z wcześniejszym obiadem i łóżkiem da mu odpowiedź, co Val naprawdę lubi. Crow kupił pierścionek - piękny, niemalże dwukaratowy kwadratowy diament, mniejsze diamenty dookoła i platyna. Wiedział, że jest uważany za dziwaka, ale przynajmniej nikt nie może go oskarżyć o skąpstwo. Wciąż miał wątpliwości, jak jej go wręczyć. Val nie przepadała za słodkim różowym kolorem, kwiatkami i pluszakami, a tradycyjny romantyzm bardziej ją denerwował, niż rozczulał. Crow szukał czegoś absolutnie wyjątkowego i bardzo, bardzo sprytnego.

Tymczasem, zamiast spotkania z dziewczyną, miał wziąć swój stary pistolet i znów bawić się w policjantów i złodziei. Wiedział, że Val będzie zachwycona.

Rozejrzał się po sklepie i zgasił światła. Przeszedł na zaplecze, a stamtąd wewnętrznymi drzwiami do swojego mieszkania - niewielkiego, nieposprzątanego i zawalonego całą masą dziwacznych przedmiotów. W rogu salonu stała odcięta przednia część volkswagena garbusa, pierwszego samochodu Crowa, z sentymentu przerobionego na ekstrawagancką szafkę na sprzęt muzyczny. Stolik do kawy był jeszcze dziwniejszy i składał się z deski do snowboardu położonej na dwóch pustakach. Zegar był dokładną repliką spływającego zegara z obrazu Dalego, a każdy centymetr kwadratowy ściany pokrywały zdjęcia portretowe przyjaciół i tragiczne akwarele malowane przez Val w czasie pojawiającego się sporadycznie zainteresowania sztuką.

Kiedy wszedł do środka, koło jego nóg natychmiast pojawiły się trzy koty - Pinetop, Muddy Whiskers i Koko. Domagały się kolacji.

- Hej, dzieciaki, stęskniłyście się troszkę?

Pinetop zamruczał charakterystycznie i znacząco oddalił się w kierunku kuchni. Crow z poczuciem winy poszedł za nim, wyjął z szafki dwie puszki karmy, podzielił ją na trzy porcje i postawił miseczki na podłodze.

Mrucząc pod nosem, sięgnął do lodówki po puszkę napoju czekoladowego i wypił, wpatrując się w różne pojemniczki walające się po półkach. Zawierały tajemnicze resztki mięsa, zapomniane makarony i całkowicie obce sosy, które od tak dawna tam tkwiły, że nie pamiętał już, skąd się wzięły. Przyjrzał się obłemu przedmiotowi zawiniętemu w folię aluminiową. To mógł być kabaczek, ale wcale nie musiał. Nie miał pewności, co jest w środku, i bał się tego dotknąć. W końcu wybrał kawałek selera naciowego, który jeszcze dało się zidentyfikować, i zaniósł go do terrarium, w którym siedziała dziwaczna świnka morska o imieniu Profesor Długowłos. Crow uniósł przykrycie i włożył do środka jedzenie. Świnka uniosła

jedną powiekę i całkowicie lekceważąc podwiędły i wiotki seler, wróciła do medytacji. Crow stanął przy lodówce i sięgnął po następną porcję napoju. Pijąc, zastanawiał się, czy z produktów walających się między puszkami, butelkami gatorade i red bulla może się narodzić jakaś nowa, niebezpieczna forma życia. Zamknął lodówkę, trochę zły na siebie, że zamiast się spieszyć, marnuje czas. Wtedy zadzwonił telefon.

- Chciałbym zamówić dużą pizzę z grzybami i dodatkowym serem i duże frytki - powiedział, kiedy podniósł słuchawkę.

- Ty palancie - odezwał się miękki, roześmiany głos.

- Przykro mi, proszę pani, jednak osoba, do której chciała się pani dodzwonić, nie jest normalna. Proszę spróbować później.

- Dobrze. Pa, pa.

- Nie! Poczekaj, kochanie.

- Cześć, wariacie.

- Zawsze mnie przelicytujesz.

- Prawda. I zawsze mam rację.

- Aha... Co przygotowujesz?

- Siebie.

- Mniam.

- Ale będzie też obiad. Zupa. Z indyka. Wpadniesz, prawda? - Przez chwilę nie odpowiadał. - Malcolmie Crow, tylko nie mów mi, że się dzisiaj nie pojawisz.

- Ja...

- Cholera, Crow!

- Kochanie, służba wzywa.

- Służba? Jaka służba? Ktoś złożył pilne zamówienie na gumowe wymiociny? A może nie przeżyje nocy bez psiego gówna świecącego w ciemnościach?

- Nie, na szczęście nic aż tak poważnego. Tylko trzech psychopatów ze spluwami, którzy zwiewają po udanym morderstwie.

- Naprawdę nie mogłeś wymyślić niczego lepszego? Od piątej gotuję. Aż się spociłam, tak ciężko pracuję.

- Wytarzałaś się we krwi i wnętrznościach tego indyka?

- Nie, ale poplamiałam sobie sosem bluzkę.

- Musisz się nauczyć panować nad pragnieniem wykonywania domowych obowiązków, zanim staną się dla ciebie obsesją.

- Cha, cha, cha - mruknęła.

Crow przypomniał ją sobie rano, nagą, w łazience.

- Kochanie, naprawdę muszę jeszcze spełnić obywatelski obowiązek. - W kilku słowach streścił jej najważniejsze wydarzenia wieczoru i prośbę Terry'ego. Po drugiej stronie zapanowała cisza. - Val? - zapytał po chwili.

Cisza nie była już taka wroga, jak na początku.

- A więc zgodziłeś się wesprzeć swoją spluwą Gusa Bernhardta... czy to nie ironia losu? - stwierdziła w końcu.

- Nie Gusa. Terry mnie o to poprosił, ale nie znaczy to, że wracam do policji. O to by mnie przecież nie prosił. Chce tylko, żebym pojechał i zamknął „Przejażdżki”.

- Ale z pistoletem za paskiem.

- A ty byś wolała, żebym jechał bez broni?

- Ja bym wolała, żebyś wcale tam nie jechał.

- Ktoś musi.

- A słyszałeś o tym nowym cudownym wynalazku? Czekaaj, jak to się nazywało... a już mam. Telefon.

- Próbowałem dodzwonić się do Coopa. Nie odbiera. Pewnie pojechał z dziećmi albo jest gdzieś w terenie... a może rzeczywiście jest zbyt głupi, żeby odebrać. Poza tym nie chcę zostawiać takich wiadomości na automatycznej sekretarce. Potrafisz sobie wyobrazić tego barana, jak sam próbuje zorganizować awaryjne zamknięcie „Przejażdżek”?

Val nie miała innego wyjścia, jak przyznać mu rację. George Cooper nadawał się do doglądania poszczególnych atrakcji w „Przejażdżkach”, ale kiedy musiał podjąć jakąś decyzję, nadawał się do tego jak kurczak z właśnie obcięta głową. Terry powiedział nawet kiedyś, że Coop jest jedyną znaną mu osobą, która potrafi wywołać panikę w pustym pomieszczeniu.

- Dobra, ktoś tam musi jechać. Dlaczego akurat ty?

- Bo jestem jedynym facetem, który się do tego nadaje. Krawężniki dla odmiany muszą przestać żreć pączki i poudawać dzisiaj prawdziwych policjantów. A Terry potrzebuje kogoś, kto ma głowę na karku.

- To dlaczego wybrał cię?

- Aha, panno Guthrie, a więc zaczynamy teraz jeździć po bezbronnym człowieku, tak?

Znów zapadła cisza, tym razem było w niej nieco żalu.

- Dobrze już, dobrze. Ale przyrzeknij mi, że będziesz ostrożny.

- Ja? Ostrożny? Tak mam przecież na drugie imię!

- Ale ja mówię poważnie, Crow.

Pociągnął nosem.

- Dobrze, kochanie. Obiecuję. Żadnych wygłupów i zgrywania bohatera. A wiesz dlaczego? Bo nie będzie okazji. Jadę tylko tam i z powrotem.

- To dobrze.

- Super.

- Potem przyjeżdżasz prosto do mnie?

- A zostaną jakieś resztki?

- Słuchaj, no, pacanie, nikt jeszcze nie nazwał mnie resztkami!

- Kobieto! Myślałem o stawie dla mojego brzucha!
- A ja myślałam o stawie dla czegoś na południe od brzucha...
- Aaaa, rozumiem. To w takim razie biorę de w troki i pędzę. Im wcześniej wywałę stamtąd dzieciaki, tym wcześniej...
- ...tym wcześniej będziesz u mnie i spróbujesz moich przysmaków.
- Boże, kobieto, ależ ty dzisiaj masz nastrój!
- Uznaj to za program lojalnościowy, żebym miała pewność, że wrócisz tutaj tak szybko, jak to tylko możliwe.
- Policz do trzech i możesz otwierać drzwi.

Nazwała go wariatem i się rozłączyła. Spojrzał na telefon, uderzył głową o ścianę i odłożył słuchawkę.

- No to co? - powiedział głośno do siebie, czując, że wolałby zostać tutaj, a nie słuchać Terry'ego. - To co? Trzeba się zbierać...

Wszedł do sypialni, otworzył dużą szafę i po omacku zaczął czegoś szukać na najwyższej półce, aż w końcu natrafił na ciężki przedmiot zawinięty w ręcznik. Położył go na łóżku i ostrożnie rozwinął. Pod miękkim materiałem frotte, owinięta w jeszcze jedną szmatkę, pachnąca smarem do broni, leżała beretta 92F, dziewięciomilimetrowy pistolet automatyczny, i kilka pełnych magazynków. Crow usiadł na łóżku, wziął go do ręki, obejrzał ze wszystkich stron i się zamyślił. Nie czuł jego wagi w ręku od dnia, kiedy rzucił pracę w policji, i mimo że przestał pić na długo, zanim podjął tę decyzję, pistolet kojarzył mu się ze złymi i nieszczęśliwymi czasami. Pił tak dużo, że Val zerwała z nim na całe dwa lata, a potem nie zgadzała się na jego powrót przez niemal cały pierwszy rok trzeźwości. Crow nie uważał, żeby sam fakt bycia trzeźwym był powodem do dumy - znacznie bardziej przemawiało do niego to, jak się czuł, kiedy Val i całe miasto uważało go za wykolejence bez nadziei na poprawę. Postanowił, że jej nie zawiedzie. Nigdy i w żaden sposób, i to niezależnie od tego, jak bardzo będzie chciał się napić.

Westchnął, ułożył broń w dłoni, a drugą ręką odciągnął zamek i upewnił się, że w komorze nie ma pocisku. Potem podszedł do szafy i wyjął z niej kartonik z nabojami. Nigdy nie trzymał pełnego magazynka, ponieważ uważał, że bezustanny nacisk może doprowadzić do zmęczenia materiału, z którego zrobiona jest sprężyna. A już bardzo długo nie używał broni. Po kolei umieścił pociski na swoim miejscu, wsunął magazynek w kolbę i upewnił się, że bezpiecznik pozostaje wciśnięty.

- Jupii jo! - wykrzyknął i wcisnął broń za pasek od spodni. A potem podskoczył, bo poczuł na skórze zimną stal. - Auć!

Zdjął koszulę i włożył podkoszulek z wielką podobizną Sona Housa na pierśiach, namalowaną przez R. Crumba. Włożył ją w spodnie i dopiero wtedy wsunął broń za pasek, a na wierzch zarzucił flanelę.

Stojąc w drzwiach, zawahał się i spojrzął na trzy koty, które najedzone do syta lizały łapki i myły pyszczki.

- Tylko nie siedzicie za długo. Idźcie szybko spać... i żadnych pornoli z kabłówki. - Pogroził im palcem.

Tylko Pinetop podniósł wzrok i spojrzął na niego z wyraźnym współczuciem. Crow zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz.

2.

Terry pędził ulicą Corn Hill do biura szeryfa, które zajmowało cały parter budynku sądu. Kiedy przechodził przez kolejne plamy światła, jego cień się kurczył i wydłużał, jakby zwinnie przeskakiwał z miejsca na miejsce. Potem znikał i pojawiał się w najmniej oczekiwanym momencie, kiedy tylko Wolfe wchodził w kolejną plamę światła.

Samochody pędziły tam i z powrotem, połyskując wypolerowanymi chromami i przyciemnionymi szybami. Terry spoglądał na nie, co pewien czas witając kierowcę uniesieniem ręki. Na co dzień był bardzo otwartym człowiekiem, gotowym zatrzymać się co kilka kroków, żeby porozmawiać ze spotkanymi znajomymi, przywitać się i zażartować. Jako burmistrz starał się zawsze być jak najbliżej swoich wyborców. Dopiero od niedawna zaczęło się to zmieniać. Opuścił go dobry humor, uśmiech na twarzy pojawiał się rzadko, a jego utrzymanie wymagało silnej woli.

Czuł się tak, jakby ściany jego życia zaczynały pękać, a on sam z przerażeniem oczekiwał na to, co dostanie się do środka, kiedy tylko dziury staną się dostatecznie duże. Nerwy, stres i depresja rozpoczęły się pod koniec wakacji wraz z pierwszymi oznakami zarazy, która niemal dojrzałą pszenicę na polach zamieniła w trujące zielsko nadające się jedynie do spalenia. Na początku specjalnie się tym nie przejmował, bo w okolicach miasteczka nie uprawiano wiele zboża. Uspokoił się zupełnie po tygodniu czy dwóch uważnej obserwacji kukurydzy, bo ta wyglądała zdrowo i dorodnie. Potem wszystko potoczyło się bardzo gwałtownie. Zaraza zatakowała dziewięć farm naraz, a od tamtego czasu ponad połowa zbiorów wszystkich rolników w okolicach nadawała się do spalenia. Kolejnymi ofiarami choroby okazały się dynie - znacznie łatwiej się zarażały. Potem dołączyły jabłka, kapusta i cała reszta.

Wtedy też pojawiły się sny.

Terry od zawsze miał skłonności do koszmarów. No dobra, może nie od zawsze, ale od czasu, kiedy skończył dziesięć lat i kilka tygodni po śmierci siostry przeleżał w śpiączce. Sny, które pojawiły się teraz, były jednak inne i trwały przez całe noce. Były właściwie dwa, choć dotyczyły tego samego. W pierwszym szedł przez płonące Pine Deep, między ciałami mieszkańców, porzuconymi na ulicach, i pośród huku

wybuchów i trzasku płomieni. Wszędzie dookoła czyhała śmierć i ból. Ci, których kochał, leżeli rozciągnięci na ziemi, z podciętymi gardłami i szeroko otwartymi oczami, którymi oskarżali go o to, co się działo. Co pewien czas widział swoją twarz w kawałkach porzbijanych witryn sklepowych: swoją, ale obcą, wykrzywioną i bestialską. Kiedy we śnie próbował przyjrzeć się sobie z bliska, obraz stawał się wyraźniejszy, a Terry budził się z krzykiem, zlany potem i śmiertelnie przerażony.

Drugi sen, i jak na razie najczęstszy, zaczynał się od scenki, w której leży w łóżku obok Sary. Czuje, jak jego ciało zaczyna się powoli zmieniać i przybiera kształty czegoś okropnego i przerażającego, ale w taki sposób, że Terry nie miał pojęcia, co to może oznaczać. I niezależnie od tego, jak bardzo się starał, żadnego z tych snów nie rozumiał.

Czasem sny pojawiały się nawet dwa, trzy razy tej samej nocy, a on miał wrażenie, że to już za dużo, że znalazł się na krawędzi. Poszedł z tym do psychologa, opowiedział mu o snach i czekał na pomoc, ale lekarz uznał je za efekt życia w stresie w mieście, gdzie strach i duchy nie są niczym nadzwyczajnym. Siłę snów intensyfikowały dodatkowo ogromne problemy finansowe mieszkańców i farmerów, których dobrobyt zależał od zbiorów, a on, jako burmistrz, bierze na siebie zbyt wielką odpowiedzialność za to, co się dzieje, choć nie ma wpływu na przykład na pojawienie się czy zniknięcie zarazy. Lekarz wymienił jeszcze lokalnych biznesmenów przygotowujących Pine Deep do największej atrakcji w kalendarzu, czyli wielkiej parady z okazji Halloween, i już mamy powód koszmarów i stresu. Terry pracował średnio po czternaście godzin dziennie, a w łóżku spędzał ledwie cztery czy pięć godzin. Wolfe wysłuchał z uwagą, co lekarz miał do powiedzenia, nawet potakiwał głową, kiedy ten wymieniał przygotowane dla niego ćwiczenia relaksacyjne, takie jak joga, medytacja i jeszcze kilka innych, a potem wyciągnął rękę po recepty: leki antydepresyjne i lekkie psychotropy na poprawę humoru. Trzy filary jego obecnej diety.

A teraz jeszcze musi sprawdzić, o co dokładnie chodzi z tym telefonem od Gusa Berahardta. Przez niego, a może dzięki niemu, zapomniał o wszystkim, co dręczyło go jeszcze przed chwilą.

Kryminaliści?

W Pine Deep?

Z jednej strony nie mógł się powstrzymać od śmiechu na samą myśl, że w Pine Deep mogłoby się coś takiego wydarzyć, z drugiej jednak strony czuł nieprzyjemne łaskotanie w brzuchu. Do Halloween zostało raptem dwadzieścia kilka dni. Jedna trzecia sklepów miała wystawy przygotowane na nadchodzące żniwa w biznesie, a plany dotyczące samej parady i kostiumów zostały już dawno zapięte na ostatni guzik. Mimo to Terry wciąż miał na głowie milion drobniagów, o które ktoś musiał zadbać. Udało mu się zaprosić do honorowego współprowadzenia parady Davida

Boreaneza i Jamesa Marstersa, i to za znacznie mniejszą sumę, niż gotów był zapłacić. Najpopularniejsza audycja radiowa w całych Stanach, *Good Morning America*, miała transmitować tego ranka program właśnie z Pine Deep, z głównego gmachu magistratu, i jednocześnie toczyły się rozmowy z ludźmi od Regisa Philbensa na temat przygotowania krótkiego reportażu z „Przejażdżek”. Szkolne autobusy przywoziły setki dzieciaków do parku rozrywki i na spotkania z lokalnymi hodowcami dyni, choć zdrowe warzywa trzeba było w wielu przypadkach przywozić z Crestville i Black Marsh, ponieważ w Pine Deep większość zmarniała przez zarazę. A wytwórca strasznych łakoci, Pine Deep Authentic Candy Corn, sprzedawał swoje wyroby na połowie Wschodniego Wybrzeża, od Nowego Jorku po Baltimore, i nie mógł nadażyć z realizacją zamówień.

Mimo zarazy Terry był bardziej zavalony pracą niż w poprzednich latach. Dużo się działo, a on czuł potężny ciężar odpowiedzialności, kiedy próbował równoważyć skutki finansowego kryzysu wśród farmerów niespodziewanym boorem na miejscowe „straszne” atrakcje. A teraz niktąd pojawia się samochód wypełniony uzbrojonymi mordercami. Terry Wolfe i jego spokojne nawiedzone miasteczko nie potrzebują ich tutaj. Sama myśl, jak takie wydarzenie może wpłynąć na obroty lokalnego biznesu i liczbę odwiedzających, sprawiała, że z wściekłości zgrzytał zębami. Im więcej o tym myślał, tym szybciej szedł. Zły na los, zaciskał potężne pięści, aż pobiełały mu kostki.

Przeszedł na drugą stronę Wolfe Lane, odruchowo spoglądając na miejsce, gdzie od czasów kolonialnych mieszkała jego rodzina. To już ponad sto dwadzieścia lat temu Mordechaj Wolfowitz ułożył bruk, na którym teraz stukwały obcasy drogich włoskich butów Terry'ego Wolfe'a. Wnuk Mordechaja, Aaron, który jako pierwszy zmienił nazwisko na Wolfe, zasadził szpaler dębów, które do dziś rosną po południowej stronie ulicy prowadzącej do magistratu. Kiedy Terry znalazł się przy krawężniku po drugiej stronie, zwolnił na ułamek sekundy i wyobraził sobie, że widzi swoją młodszą siostrzyczkę, Mandy, jak biegnie mu na spotkanie. Jej rude loki falują na wietrze, zielone oczy błyszczą humorem, a z ust wydobywa się głośny śmiech.

Wspomnienie było tak krótkie, jak zawsze. I tak samo bolesne.

Na Wolfe Lane nie było nikogo. Zmrok poprzecinany tu i ówdzie światłem z zabytkowych latarni ustawionych wzdłuż chodnika i z jego domu na samym końcu ulicy. Wydawało mu się, że słyszy cichy i radosny śmiech siostry...

Potem minął swoją uliczkę i widok zasłoniły mu domy stojące wzdłuż głównego traktu. Pierwszą wystawą, na którą padł jego wzrok, była witryna ze strasznymi słodyczkami przygotowanymi specjalnie na Halloween.

Uśmiechnął się, widząc ten dziwny asortyment, a kiedy właściciel pomachał mu ze środka drewnianą szpatułką oblepioną karmelem, mruknął coś na powitanie. Terry maszerował pod górę, przecinając kolejne plamy światła padającego z wystaw i okien. Zmierzał do biura szeryfa. Gdyby się odwrócił, zauważyłby, że skrzyżowanie z Wolfe Lane pogrąża się w mroku, a im bliżej jego domu, tym ciemność wydawała się gęstsza i gęstsza. Na początku uliczki, pod pniem pierwszego dębu, przysiadł rudy kocur Terry'ego, Party Cat. Wpatrywał się zielonymi oczami w martwego szpaka leżącego na ziemi. Przygotował się do skoku i nagle zamarł z obnażonymi zębami, zanim zdążył wbić je w ciało ptaka. Szeroko otworzył oczy, a futerko na grzbiecie się zjeżyło. Party Cat wpatrywał się w wirującą i gotującą się ciemność i w coś, co z niej wypełzło. Jego wrzask przeciął powietrze. Był pełen przerażenia.

Kształt, który się pojawił, zdawał się być częścią cieni, ale im bliżej był, im szybciej się poruszał, tym bardziej stawał się wyraźny, namacalny i oddzielony od ciemności. Party Cat zasyczał i wysunął pazurki. Spojrzał w błyszczące żółte oczy zjawy, która odwróciła głowę i spojrzała na kocura. Wykrzywiony pyszczek zwierza zadrżał, mięśnie zaczęły odmawiać posłuszeństwa, futerko położyło się płasko na grzbiecie, kły zniknęły, a kociak nie wiedział, co się z nim dzieje. Zjawa stała bez ruchu i oczami, które nie wiadomo kiedy stały się zielone, obserwowała zwierzę. Party Cat zaczął węszyć, szukając jakiegoś zapachu, a potem rozpaczliwie zamiaucał, kiedy znalazł to, czego szukał - odór zakopanych zwłok i świeżo ciętej miedzi.

Zjawa odwróciła głowę i zrobiła krok do przodu w kierunku światła latarni. Teraz było ją widać wyraźniej. Nie była wysoka, nie wyższa niż półtora metra. Chłodny wiatr poruszał strzępkami zielonej tkaniny, brudnej i poszarpanej, w której niemal nie dało się już rozpoznać ubrania, i rudymi lokami okalającymi bladą, śmiertelnie bladą twarz. Bładą, lecz poza miejscami, gdzie ciemnoczerwone rany otwierały skórę, ukazując żywe mięso.

Postać patrzyła na szerokie plecy Terry'ego, oddalające się pod górę.

Po chwili ruszyła za nim.

3.

Żelazny Mike Sweeney był Wrogiem Zła.

Tak, odpowiedzialność, jaką dźwigał na swoich barkach, mogłaby przytłoczyć dorosłego, a on miał przecież zaledwie kilkanaście lat. Miał też jednak pewien sekret. W jego wątłym ciele zamieszkał umysł tysiąca wojowników ze wszystkich wymiarów i wszechświatów zebranych razem. Był dla nich soczewką, skupiał ich siłę i mądrość i działał w ich imieniu. Miał umięśnione i doskonale wytrenowane

ciało. Był śmiertelną bronią, wojownikiem doskonałym.

Przemierzał ulice Pine Deep na Maszynie Wojennej, którą chronił najdoskonalszy kamuflaż. Dzięki niemu, ludzie widzieli najzwyczajniejszy rower górski o dwunastu przełożeniach. Jednak rury ramy wypełniała szczerlnie najnowocześniejsza mikro-technologia, która pozwalała kontrolować niewyobrażalnie wielką moc i transmitować ją do każdej komórki ciała Żelaznego Mike'a. Dzięki temu jego organizm zyskiwał zdolność samouzdrawiania, jeśli nikczemni wrogowie zadaliby mu jakąś ranę lub został poparzony w niekończących się pojedynkach z Mocami Ciemności. Kierownica została szczerlnie owinięta izolacją antyradiacyjną, która wprawdzie wyglądała jak najzwyczajniejsza czarna taśma izolacyjna, jednak dawała tak doskonałą osłonę, że niezależnie od tego, ilu wrogów nękałoby go wiązkami laserów, nigdy by się przez nią nie przebili. Dwanaście przełożeń pozwalało osiągać prędkości bliskie prędkości światła. Była to technologia, którą Mike zapożyczył z jednego ze zniszczonych przez siebie okrętów wroga i udoskonalił. Kiedy Żelazny Mike dosiadał swojej maszyny i kładł ręce na kierownicy, stawał się z nią jednością, ta jego część, która była cyborgiem, czerpała z niej energię w taki sam sposób, w jaki jego mózg czerpał wiedzę z Nieskończonego Umysłu przez interfejs, który nosił przy pasku. Nieskończony Umysł został zakamuflowany tak, aby przypominał najzwyczajniejszego walkmana firmy Sony, jednak zawierał najpotężniejszy we wszechświecie superkomputer, zaprojektowany przez tę samą rasę przybyszów z kosmosu, która zaprojektowała napęd jego maszyny. Cała wiedza Nieskończonego Umysłu dostępna była w czasie rzeczywistym, co nie raz i nie dwa uratowało mu życie.

Żelazny Mike Sweeney był przygotowany do zbliżającej się walki. Czuł się gotowy, jak jeszcze nigdy wcześniej. W tysiącu wcześniejszych bitew udoskonalił taktykę walki, a dzięki naukom mistrza zen, Shinobiego, miał umysł chłodny i spokojny.

Siedział na Maszynie Wojennej zaparkowanej na samym szczycie Kukurydzianego Wzgórza i obserwował miasto poniżej. Nadchodziła noc, a Żelazny Mike, Wróg Zła, był gotowy. Energia krążyła w obwodach maszyny. Mike przewiesił przez ramię torbę wypełnioną bombami termojądrowymi. Każdą starannie owinął w miękką, przejrzysty materiał izolacyjny i zabezpieczył niezrywalną opaską, która z wyglądu przypominała zwykłą gumkę recepturkę. Żelazny Mike zabezpieczył się na wszelki wypadek i nadał bombom kształt najzwyczajniejszych gazet. Uśmiechnął się pod nosem zadowolony z własnej przebiegłości. Nikt z Wrogów Dobra nie będzie się spodziewał, że oto zaczął się atak. Popędzi między ich bunkrami i pod próg każdego z nich rzuci jedną bombę termojądrową. Potem przyspieszy i będzie

gnał, aż znajdzie się w bezpiecznej odległości minimum tysiąca kilometrów, i zdetonuje ładunki. A wtedy całe Pine Deep, pulsujący matecznik zła i nieprawości, zamieni się w potężny grzyb atomowy wypełniony ogniem i pyłem. Nawet pojedyncze cząsteczki Zła nie przetrwają. Dzięki niemu pozostali mieszkańcy będą mogli zasnąć spokojnie, nie nękani przez Siły Ciemności. Ciała i dusze dobrych ludzi znalazły obrońcę w osobie Żelaznego Mike'a, więc mogą czuć się bezpiecznie.

Przyczajony na szczycie wzgórza, oczami czujnymi jak u drapieżnego ptaka, po raz ostatni ogarnął okolicę i spojrzął na kwarcowy chronometr na swoim nadgarstku.

Już czas.

Bardzo ostrożnie wyciągnął z kieszeni interfejs łączący jego mózg z Nieskończonym Umysłem i starannie umieścił go w uszach, tak by nie było żadnych zakłóceń w transmisji danych. Potem przyciskiem uruchomił przepływ informacji, które w zakodowanej postaci natychmiast dotarły do jego uszu. Nieskończony Umysł był jednym z jego najdoskonalszych i najbardziej przydatnych wynalazków. Uśmiechnął się. Wszystkie wiadomości na temat nadchodzącej bitwy docierały do niego pod postacią zakodowanej muzyki, którą on, cyborg walczący ze Złem w każdym wymiarze, natychmiast rozpoznał jako Beasty Boys.

- Do dzieła - powiedział do siebie Żelazny Mike Sweeney lodowatym głosem. Zawsze wypowiadał te słowa, kiedy zbliżało się starcie.

Musnął niewidzialny przycisk na kierownicy zwalniającej jałowy bieg, na którym pracowały silniki maszyny, i kolejny, dzięki któremu uzyskał połączenie między swoim umysłem a nimi. Napędy mruczały jak wielkie koty. Kciuk aktywował przednie pola siłowe. Nigdy nie używał tylnych - był w końcu Żelaznym Mike'em. Wróg nie będzie miał okazji zobaczyć jego pleców. Zawsze będą widzieli jego twarz, kiedy zbliża się i zaprowadza sprawiedliwość, rozrywając ich gardła.

- Do dzieła! - powtórzył, oblizując usta. Obnażył zęby w uśmiechu wojownika.

Maszyna Wojenna ruszyła, płynnie przyspieszając. Kiedy zbliżył się do bunkra pierwszego ze Złych, sięgnął do przewieszanej przez ramię torby.

- Masz za swoje, szumowino! - krzyknął i rzucił bombę ze śmiertcioną precyzją. Przecięła ciemność, błysnęła w świetle ulicznych latarni i zniknęła za postrzępionym żywopłotem. Żelazny Mike widział, że tak naprawdę nie są to żywopłoty, tylko holograficzne projekcje mające ukryć wojska obcych. Jego nie nabiorą. Bomba termojądrowa minęła hologramy i z głuchym łupnięciem uderzyła w czerwone drzwi wejściowe. Odbiła się od nich i wylądowała na wycieracze. Zbyt wczesnej eksplozji zapobiegła przezroczyista otulina, o którą wcześniej zadbał.

Wyznawcy Zła dowiedzą się dzisiaj w nocy wielu, bardzo wielu złych rzeczy, pomyślał ze złośliwym uśmiechem.

Przyspieszył i skierował się do następnego celu. Kolejny ładunek został precyzyjnie umieszczony i czekał na detonację. Mike zaśmiał się triumfalnie. Nad miastem zaczęły formować się czarne chmury, a w oddali błysnęła błyskawica.

Żelazny Mike Sweeney, Wróg Zła, pędził w dół Kukurydzianego Wzgórza i rozmieszczał kolejne ładunki, wkładając w tę misję całą swoją moc.

Bitwa o ocalenie ludzkości się rozpoczęła!

4.

- Witam. - Wszedł do biura szeryfa. - Czy któryś z was chciał mnie przyprawić o zawał?

W pomieszczeniu znajdowało się kilkunastu policjantów, mężczyzn i kobiet. Część z nich siedziała i przeglądała akta, część chodziła tam i z powrotem między biurkami, a kilkoro rozmawiało przez telefon. Większość piła kawę z plastikowych kubeczków z logo Pine Deep. Kiedy Terry wszedł, wszystkie głowy jak na komendę odwróciły się w jego stronę. Natychmiast zauważył, że czwórka z zebranych nie jest stąd. Pozostałą ósemkę znał aż za dobrze. Pierwszą postacią, która rzuciła się w oczy, był Gus Bernhardt - nie dlatego, że rozciągał jakąś wyczuwalną aurę dominacji. Nie, tu chodziło raczej o jego rozmiary. Mężczyzna był wielkości przyzwoitej furgonetki, a do tego łysy jak kolano i wiecznie czerwony na twarzy. Szeryf miał zwaliste cielsko Buddy, wciśnięte w mundur z błyszczącymi od polerowania guzikami i plakietkami. I chyba tylko te kawałki metalu były jako tako utrzymane, bo cała reszta Gusa, łącznie z nim samym, wyglądała, jakby spędziła noc zwinięta na tylnym siedzeniu radiowozu. Tak, Gus Bernhardt był leniwym i nieudolnym szefem lokalnej policji. Ale z drugiej strony przemawiały za nim dwa argumenty - po pierwsze, był w ten czy inny sposób spokrewniony z niemal każdą rodziną w mieście, a po drugie, nikt poza nim nie chciał tej pracy. Bo, między Bogiem a prawdą, jedynym ekscytującym zajęciem czekającym na lokalnego glinę było wystawianie mandatów za przekroczenie prędkości na A-32. Poza tym obowiązki obejmowały kontrolę miejsc parkingowych, łapanie dzieciaków kradnących gumy do żucia i gonienie po chaszczach nastolatków, którzy spotykali się, by pić wódkę albo uprawiać seks w Mrocznym Jarze. Terry wiedział, że Gus większość czasu spędza najeźdzeniu, czytaniu brudnych ze starości harlequinów i drzemaniu.

Pozostałych policjantów można było sklasyfikować od „poniżej krytyki” do „jako takich”. Jim Polk i Dixie MacVey pracowali z Gusem od zawsze - imponowała

im sama odznaka, bo zadań dla prawdziwego policjanta w Pine Deep nie było żadnych. Shirley O'Keefe i Rhoda Thomas były studentkami prawa z college'u stanowego, które zatrudniły się na część etatu, żeby w ogóle zobaczyć, na czym polega łapanie złodziei, ale bardzo szybko się zorientowały, że w Pine Deep przestępczość niemal nie istnieje, a praca w policji raczej nie ma wiele wspólnego z serialem *Miami Vice*. Pozostałych trzech policjantów, Golub, Brayer i Shanks, to miejscowi. Chłopaki świeżo po studiach, którzy wzięli tę robotę, bo nic innego im się akurat nie nawinęło. Poza tym byli młodzi, inteligentni i uprzejmi, a służbę traktowali z czymś w rodzaju poświęcenia. Akurat w ich przypadku można było nawet mówić o kompetencjach. Terry kiwnął im głową na powitanie, a potem uściśnął pulchną dłoń Gusa. Czwórka obcych obserwowała go z obojętnym wyrazem twarzy, najpewniej dlatego, że nie miał na sobie munduru, a to oznaczało, że musiał być cywilem. Ściana nieufności między mundurowymi a cywilami była dla niektórych nie do pokonania.

Gus wystąpił w roli gospodarza i przedstawił Terry'ego najbliższemu z zamiejscowej czwórki. Podobnie jak reszta jego zespołu, był w średnim wieku i zaczynał tyć. Poza tym miał na sobie takie samo ubranie, jak pozostali - ciemnoniebieską nylonową wiatrówkę z niewielkim napisem „Policja” na piersiach i znacznie większym na plecach. Terry pomyślał, że wygląda jak Morgan Freeman bez poczucia humoru.

- Terry, to jest detektyw sierżant Frank Ferro z wydziału antynarkotykowego komendy w Filadelfii. Detektywie, to jest nasz burmistrz.

Oczy policjanta z Filadelfii wyraźnie złagodniały, kiedy usłyszał, z kim ma do czynienia. Najwyraźniej uznał go za „jednego ze swoich”. Wyciągnął szczupłą, ale zadziwiająco silną dłoń.

- Miło mi pana poznać. To jest mój partner, detektyw Vince LaMastra. - Tym razem rękę wyciągnął postawny młody człowiek o bujnej blond czuprynie, intensywnej opaleniznie i uścisku zapaśnika. Był jednym z tych atletycznych młodych ludzi, którzy pod opaloną skórą skrywają potężne mięśnie, nadające im charakterystyczny kanciasty wygląd. Szeroki uśmiech i niebieskie oczy miały za zadanie łagodzić wrażenie ogromnej siły. Podobnie jak Ferro, LaMastra miał na sobie niebieską wiatrówkę włożoną bezpośrednio na białą koszulę z krawatem. Terry pomyślał, że skoro pierwszego z nich porównał do Morgana Freemana, drugi też powinien mieć odpowiednika z filmów, i jego wybór padł na Howiego Longa. Wolfe od dawna stosował tę sztuczkę - kojarzenie nowo poznanych osób z twarzami aktorów pozwalało mu zapamiętywać długą listę imion i nazwisk. Jakiś czas temu przestał nawet myśleć o tym, że to robi. Weszło mu to w nawyk, choć do dziś nie mógł wymyślić, do jakiego aktora jest podobny on sam.

Pozostałych dwóch mężczyzn miało na sobie mundury.

- Oficer Chermos z Crestville. - Gus wskazał pierwszego z nich, a Terry podał mu rękę. Policjant miał nieco mniej niż pięćdziesiąt lat, grecki typ urody i białoczarny policyjny uniform.

Ostatni z gości przywitał się, zanim Gus zdążył go przedstawić.

- Jimmy Castle.

- Jeden z najlepszych z Black Marsh - oznajmił Gus z krzywym uśmiechem.

- Bez dwóch zdań. - Uśmiech Jimmy'ego był jak najbardziej szczery. Miał jasnoblonde włosy, piegi i ujmujący sposób bycia. Pozostali policjanci, wszyscy z Pine Deep, stali nieruchomo, onieśmieleni pojawieniem się dwóch ważniaków z Filadelfii.

- Bardzo mi miło. - Terry jeszcze raz się rozejrzył. - Kto mi w takim razie zreferuje, na czym stoimy?

Gus otworzył usta, ale sierżant Ferro nie dał mu dojść do słowa.

- Jeśli pan pozwoli. Sytuacja wygląda następująco - z niewielkiego gangu zostało trzech podejrzanych, reszta nie żyje. Robili interesy z Jamajczykami, kupowali od nich prochy. Nic nadzwyczajnego, w półświatku takie biznesy są na porządku dziennym. Standardowa półhurtowa ilość kokainy, opuszczony magazyn na przedmieściach... codzienność. Prawie nigdy nie ma z tym problemów, bo jakiegokolwiek zakłócenia przerwałyby intratny dla obu stron handel, a przecież towar musi płynnie przechodzić z rąk do rąk, bo każdy chce się wzbogacić. To dla nich interes, jak każdy inny.

- Dobrze, na razie wszystko rozumiem. - Terry usiadł na brzegu biurka Gusa. Starał się, aby jego mina wyrażała zainteresowanie, lecz dołączył do niej uniesienie brwi, którym zawsze dawał znać podwładnym, że to on jest szefem. Czekał na dalszą część raportu. Tak, ta taktyka doskonale działała w jego biurze i wyglądało na to, że równie dobrze zadziałała na detektywa Ferro. Terry czuł jednak, że jego serce wali jak oszalałe, ale starał się tego nie okazywać.

Gliniarz kontynuował:

- Interes mieli sfinalizować w Filadelfii, co tłumaczy naszą obecność tutaj. Nasz wydział antynarkotykowy należy do sieci dochodzeniowej całego Wschodniego Wybrzeża, przez co często współpracujemy z policją stanową i federalną, szczególnie kiedy w grę wchodzi przepływ prochów między stanami. A ponieważ spotkanie z Jamajczykami zakończyło się totalną strzelaniną, w której zginął jeden z naszych, chcieliśmy brać udział w śledztwie. - Kiedy to mówił, jego oczy nie straciły nic z początkowej twardości. Nikt nie powiedział ani słowa. - Zapytałem szeryfa Bernhardta, czy nie miałby nic przeciwko temu, żebym wezwał kilka zespołów z Filadelfii, by pomogli w poszukiwaniach. Będą tutaj za pół godziny... jeśli oczywiście i pan nie ma nic przeciwko temu, panie burmistrzu.

Terry chciał zapytać, czy Pine Deep dostanie rachunek za nadgodziny policjantów z Filadelfii, ale w porę ugryzł się w język. Taka uwaga nie dość, że w złym guście, byłaby zupełnie nie na miejscu.

- Oczywiście - powiedział, starając się, by zabrzmiało to nieco mniej oschle niż jego poprzednie słowa. Zmusił się nawet do uśmiechu. - Jeśli będzie to konieczne, sprowadźcie nawet Gwardię Narodową. Zróbcie wszystko, żeby te szumowiny nie pałętały się po moich ulicach.

- Dziękuję. Cóż, nie byliśmy przygotowani na taki rozwój wydarzeń. Przez czysty przypadek mieliśmy tych Jamajczyków na oku. Nie będę pana zamęczał szczegółami obserwacji, bo trwała kilka miesięcy, ale w skrócie wygląda to tak, że szukaliśmy trasy przerzutowej, którą prochy trafiają z wysp do Miami, a potem dalej, do nas. Nazywamy ją Kokainową Aleją. Ich kurierzy kursują 1-95. Jeżdżą rodzinnymi autami, furgonetkami i kombiakami. Kierowcy, którzy dostarczają towar do Filadelfii, są zawsze czysto i schludnie ubrani, a do przeładunku wykorzystują gigantyczne anonimowe parkingi pod supermarketami.

- Zaczęliśmy od dealerów na ulicach i mieliśmy nadzieję, że idąc dalej, dorwiemy kilku kurierów - włączył się do rozmowy LaMastra. - Ale teraz mamy to gównno. - Machnął ręką.

Ferro pokiwał głową.

- Mieliśmy zespół obserwacyjny zaraz obok parkingu, dwójkę ludzi w vanie. Dodatkowo jeden z naszych był na miejscu z przenośną kamerą. W samym supermarkecie czekały zespoły techników w cywilu, żeby transmitować dźwięk i obraz z dobijania interesu. Nie wysyłaliśmy tam żadnych funkcjonariuszy operacyjnych, bo nie planowaliśmy aresztowań. Na razie zbieraliśmy obrazki, żeby od ogona trafić do głowy tej hydry. Nie da się ukryć, że nie byliśmy przygotowani na to, co się tam rozegrało.

- Pieprzenie - przyznał detektyw LaMastra, a Ferro posłał mu spojrzenie pełne dezaprobaty, które ten całkowicie zignorował.

- Teraz to nie ma już znaczenia - ciągnął Ferro. - Kupcami okazali się lokalni kryminaliści. Pięciu silnych gości z południowych dzielnic Filadelfii. Obejrzelśmy nagrania i bez problemów wszystkich zidentyfikowaliśmy. Dziwne jednak było to, że oni dotychczas nie zajmowali się prochami. Zazwyczaj odwalali brudną robotę dla szefów, ściągali haracze i zmuszali do spłacania lichwiarskich pożyczek. Kupno prochów było dla nich pierwszym krokiem do kariery. Chcieli wejść na nowy rynek, ale całkowicie skrewili. Z początku wszystko wyglądało normalnie. Interes jak wiele innych. Ale potem nagle nasi chłopcy wyciągnęli spluwy i w ułamku sekundy wszyscy strzelali do wszystkich.

- Powinien pan zobaczyć nagranie - powiedział LaMastra z kwaśną miną. - Wyglądało jak film Quentina Tarantino.

- Chryste - westchnęła jedna ze studentek prawa.

Terry spojrzął na nią.

Dwadzieścia jeden lat, około metra sześćdziesięciu. Wyglądała jak przestraszony dzieciak przebrany na Halloween w mundur i przepasany za ciężkim pasem z kaburą. Był ciekaw, czy kiedykolwiek zdarzyło jej się wypalić z półautomatycznego pistoletu, który miała obowiązek nosić na biodrze. Potem uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, czy którykolwiek z ludzi Gusa kiedykolwiek strzelał ze służbowej broni.

Ferro wyciągnął z kieszeni notatnik i zajął do niego.

- Podejrzanych zidentyfikowaliśmy w takiej kolejności: Nicholas Scilini, trzydzieści lat i Lenny DiCavellio, dwadzieścia osiem, obaj zmarli w wyniku wielokrotnego postrzału z broni palnej. Pozostali, którym udało się zwać, to Kenneth Boyd i Tony Macchio, niewiele znaczyli w półświatku. Szkoda na nich marnować czas i siły.

- A trzeci? Mówił pan, że było ich trzech?

Gus Bernhardt spojrzął niepewnie na burmistrza, a potem na Ferro, którego twarz zrobiła się spięta i przejęta prawdziwą troską, przez co jeszcze bardziej przypominał Morgana Freemana. Tego młodszego i ponurego Morgana Freemana z *Siedem*, a nie późniejszego z *Bruce'a Wszchemogącego*.

- To właśnie ten trzeci uciekinier jest prawdziwym problemem, burmistrzu Wolfe. On jest powodem, dla którego się tu pojawiliśmy i dla którego staramy się rozwiązać nasz problem najbardziej profesjonalnie, jak się tylko da.

- Dobra, niechże pan wreszcie zdradzi, kto to jest? Kuba Rozpruwacz? - Terry uważał, że Ferro przesadza.

Nikt się nie zaśmiał... Więcej, nikt się nawet zdawkowo nie uśmiechnął.

- Mielibyśmy szczęście, gdyby to był tylko on. - Ferro był bardzo poważny.

- Co ma pan na myśli? - Terry zupełnie stracił ochotę do żartów. Nie podobały mu się pełne strachu spojrzenia, które widział, na kogokolwiek zerknął. Takie spojrzenia nic a nic nie pomagały jego i tak napiętym nerwom, a łomot w piersiach stał się gwałtowny jak solówka na perkusji podczas rockowego koncertu.

- Ten trzeci nazywa się... - Ferro uznał, że atmosfera już dojrzała - Karl Andermann Ruger.

Mówiąc to, spojrzął znacząco na Terry'ego, ale ten wzruszył ramionami i pokręcił głową, ponieważ nie miał pojęcia, o kim mowa i dlaczego ten ktoś wzbudza aż takie emocje.

- Zeszły rok. - Gus nachylił się i półgłosem podsunął wskazówkę: - Latarnia w Cape May.

Terry powoli odwrócił głowę i spojrzął na szeryfa. Miał wrażenie, że w pomieszczeniu zrobiło się zimno jak w chłodni do przechowywania mięsa.

Wszyscy wyglądali na bardzo przejętych i równie przestraszonych.

- Mamy powody przypuszczać, że to było jego dzieło - potwierdził Ferro.
- Jezu Chryste... - szepnął Terry.

5.

Val postawiła garnek z zupą na gazie i poszła do siebie, żeby się jeszcze przebrać. Przez ostatnie dwa tygodnie była wyjątkowo zmęczona. Nie tylko z przepracowania, bo od kiedy mogli sobie pozwolić na zatrudnienie pomocników, zarządzanie farmą nie było już tak absorbujące jak dawniej. Po prostu czuła się wykończona. I to nawet rano, jak wstawała z łóżka. Dziś, zaraz po wyjściu Crowa, poczuła takie mdłości, że pobiegła do łazienki i zwymiotowała.

W tym tygodniu poranne mdłości zdarzyły jej się już po raz drugi i zaczynało ją to martwić. Co prawda miała w apteczce test ciążowy, ale nie znalazła w sobie dość odwagi, by go użyć. Nie dość, że brała pigułki, to na wszelki wypadek używali jeszcze prezerwatyw. Przecież nie mogła zająć w ciążę przy takich środkach zapobiegawczych!

Zsunęła jeansy i krótką koszulkę i w samej bieliźnie wsunęła się pod koc. Leżała w łóżku i wsłuchiwała się w szum wiatru w kukurydzy. Zbliżała się burza, więc podmuchy były coraz silniejsze. Kiedy zamknęła oczy, wyobraziła sobie fale, a jednostajny szum szybko ją uspił.

Po chwili pojawiły się sny.

Pierwszy był słodki i przyniósł jedynie wspomnienia nocy i poranka z Crowem. Przypomniała sobie każdą chwilę ich spotkania, od wspólnego wieczornego spaceru wzdłuż pól obsianych kukurydzą, przerywanego co kilka kroków pocałunkiem. Niecałe półtora kilometra od domu zatrzymali się na niewielkiej polance przy ogrodzeniu, gdzie kiedyś z bratem postawiła stracha na wróble. W tym miejscu po raz pierwszy całowała się z Malcolmem i po raz pierwszy drżącymi, niedoświadczonymi rękami dotykali swoich ciał. Ostatniej nocy Crow miał ze sobą koc, który rozłożył na ziemi, jak wiele, wiele razy wcześniej. Na bezchmurnym niebie roilo się od gwiazd, które do spółki z księżycem oświetlały ich delikatnie, kiedy rozbierali się nawzajem, całowali i kładli na kocu. Niektóre noce były spokojne i pełne czułości, inne z kolei wypełniała gwałtowność i namiętność. Wczoraj w ich krwi buzowała żądza i nawet nie zdążyli powiesić ubrań na płocie, tylko rzucili je na ziemię.

Crow położył się na ziemi i posadził na sobie Val. Ona chętnie przystała na jego tempo. Była niemal tego samego wzrostu, a pożądaniem na pewno mu dorównywała. Ich pocałunki były gorące i zapierające dech w piersiach... nie mieli czasu na

słowa. Sięgnęła do jego krocza, złapała wyprężoną męskość i poprowadziła w głąb swego ciała. Była gorąca i wilgotna, a kiedy się w nią wbił, oboje jęknęli z rozkoszy.

Kilka minut później krzyczała, dochodząc, a echo jej głosu unosiło się długo nad łąkami kukurydzy. Po kilku minutach krzyczeć zaczął Malcolm, dochodząc tam, gdzie zmierzał, przeżywając intensywność orgazmu. Zbliżali się do niego każdym gwałtownym ruchem bioder. Val doszła po raz kolejny równo z nim, łącząc się w krzyku ze swoim kochankiem.

Potem przyszedł czas na czułość, dotyk i miękkość, a sen zaczął się rozmywać jak miłosna scena w filmie. Po niej przyszła ciemność i Val przez pewien czas dryfowała spokojnie we śnie bez obrazów.

Potem przyszedł tamten sen.

Ten, który śniła regularnie od kilku tygodni. Ten, w którym pojawiał się mężczyzna o bardzo jasnej karnacji. Przychodził do Val już od wielu lat, ale rzadko, i zawsze trzymał się z daleka. Teraz był tam ciągle, prawie jej nie opuszczał. Czekał tylko, aż przymknie oczy, i się pojawiał. Czasem był to szereg pojedynczych obrazów, jak przebłysk pomiędzy innymi, spokojnymi snami, a czasem była to zwarta historia, długa i wyrazista, a kiedy tak było, ogarniała ją panika, bo czuła się jak w matni, z której nigdy nie będzie dane jej się wyrwać. Po takiej nocy pobudka była jak ułaskawienie dla skazańca, który przypięty do krzesła elektrycznego czeka już na egzekucję.

Teraz, kiedy wieczór wypierał dzień, a ona drzemała, pojawił się jeden z tych złych, wyrazistych snów. Intensywnością przyćmił wszystkie dobre uczucia i nastroj, który pozostał po poprzednim.

Najpierw pojawił się wysoki mężczyzna o czarnych włosach i jasnej skórze. Nie potrafiła go rozpoznać, bo miał rozmazaną twarz, jakby ktoś przy robieniu zdjęcia poruszył aparatem. I choć sen trwał, on przez cały czas wyglądał tak samo. Jedyłą częścią twarzy, którą Val w końcu zobaczyła wyraźnie, były usta.

Uśmiechał się czerwonymi wargami, pokazując dwa rzędy białych ostrych zębów.

We śnie szła przez puste pokoje i korytarze wielkiego rodzinnego domu. Z początku po prostu szła, przed niczym nie uciekała. Ale z czasem pojawiało się uczucie presji, coś sprawiało, że zaczynała biec. Za każdym razem, kiedy się odwracała, widziała za sobą wysokiego mężczyznę, jak stara się zniknąć z jej pola widzenia.

Potem nagle biegła przez pole obsiane kukurydzą, a po jej twarzy spływały zimne krople deszczu. Była naga, ociekała krwią i błotem zmieszonym z wodą z kałuż. W jednej ręce trzymała plik banknotów w bankowej banderoli, a w drugiej pistolet. Broń śmierdziała prochem, z lufy wydobywał się dym.

Biegła przez pola, bezbronna, przerażona i zagubiona. A obcy mężczyzna podążał jej śladem.

Scena była jakby żywcem wyjęta ze starych filmów grozy klasy B: biegła szybko, a jej prześladowca szedł spokojnym krokiem, jakby za każdym razem zastanawiał się, gdzie postawić stopę. I nieważne, jak szybko pędziła i jak wolno on posuwał się za nią - odległość między nimi malała, zamiast się zwiększać... Za każdym razem, kiedy odwracała głowę, był tak blisko, że niemal mógł ją złapać.

Nie przestawała uciekać.

W końcu się zatrzymała, odwróciła i wycelowała w goniącego ją mężczyznę. Poczuli gwałtowne szarpnięcie, kiedy pociągnęła za spust. Kula opuściła lufę, a jej nie udało się utrzymać pistoletu, który poszybował łukiem w powietrze. Wszystkie kule trafiły w cel.

Równie dużo by zdziałała, rzucając kamieniami w drzewa. Wysoki mężczyzna tylko się uśmiechnął. Postrzały nie spowolniły jego marszu ani tym bardziej go nie przerwały. Za każdym razem, kiedy trafiała go kula, uśmiechał się coraz szerzej. W końcu wyglądał, jakby miał paszczę aligatora - wielką, z niezliczonymi ostrymi zębami. Wyglądał absurdalnie, bo szczęka była zbyt wielka i nie pasowała do całości.

Zbliżył się, ociekając deszczem, a Val znów rzuciła się do ucieczki.

Mężczyzna z przerażającym uśmiechem ruszył za nią powolnym i miarowym krokiem i, jak poprzednio, był coraz bliżej i bliżej. Wyciągnął rękę, i kiedy jego białe palce zaczęły zaciskać się na jej nagim ramieniu...

...Val się obudziła.

Zadrżała i nie podnosząc się z łóżka, zaczęła przesuwać się w stronę ściany, aż pod plecami poczuła chłodne drewno wezglowia. Twarz, szyję i całe ciało miała mokre od potu, który przez chwilę pachniał jak deszczówka.

ROZDZIAŁ 6

1.

Boyd!

Cichy jęk znalazł drogę na zewnątrz samochodu i wpełzł między łodygi kukurydzy. Kilka zdeorientowanych kruków zatrzepotało skrzydłami i rozejrzało się dookoła martwymi, pustymi oczami. Siedziały rzędem na poziomej żerdzi, z której zrobione były ramiona stracha na wróble. Ptaki czekały... słuchały.

Panowała cisza rozpraszana jedynie szelestem kołyszącej się kukurydzy.

- Och... Jezu... - znów szept. Tym razem bezdźwięczny i ochrypy, zbyt cichy, by kruki nastroszyły pióra.

Potem cisza. Znacznie dłuższa niż poprzednio. Ptaki zaczęły się wiercić niespokojnie.

I znów dźwięk, delikatny zgrzyt metalu stawiającego opór. Kruki podskoczyły i zaczęły się rozglądać. Poniżej stał przyczajony wrak samochodu, na wpół zakopany w połamanych łodygach wyrosniętej kukurydzy. Metalowa skóra wozu wyglądała jak ubranie rzucone na skały. Nie świecił księżyc, a gwiazdy skryły się za chmurami. Samochód nie odbijał więc żadnego światła. Stał tam, na poprzetrącanych kołach, porzucony i samotny.

Kruki patrzyły. Były głodne. Wiedziały, na co czekają.

Prastarymi czarnymi oczami obserwowały, jak drzwi wozu powoli się otwierają, popychane od środka. Wygięte zawiasy zapiszczały jak zarzynane prosię, ale w końcu ustąpiły.

Wokół wraku zapanowała znów cisza. Niemal dziesięć minut musiało upłynąć, zanim wewnątrz ktoś się poruszył. Kruki wyglądziły piórka, starając się zapomnieć o pustych brzuchach. Jeden z nich otworzył dziób, jakby chciał głośno zakrakać, ale nie wydał żadnego dźwięku.

Najpierw na zewnątrz pojawiła się ręka. Ciemna od krwi, sięgnęła do drzwi i drżącymi palcami złapała ramę okna. Wilgotna skóra ślizgała się po gładkim metalu, ale w końcu dłoń przeniosła się na dach i znieruchomiła uczepona rynienki ciągnącej się wzdłuż przednich i tylnych drzwi. Pod skórą napięły się mięśnie, a cała ręka zadrżała, kiedy właściciel chciał się na niej wesprzeć. Wyraźnie zarysowały się więzadła na nadgarstku, a biceps się skurczył, kiedy ranny mężczyzna próbował wysunąć się na zewnątrz. Problemem były prawa fizyki, ponieważ ramię teoretycznie powinno być zbyt słabe, by mieć dość siły na wyciągnięcie całego ciała z samochodu, a na dodatek w żyłach krążyło zbyt mało krwi. Nawet adrenalina niewiele pomagała. Mimo to, pod czujnym wzrokiem kruków, Tony Macchio powoli, z wysiłkiem i ogromnym bólem wysunął się na zewnątrz.

Kruk, który siedział najbliżej, zakrakał cicho i ironicznie, nagradzając ten wysiłek. Pozostałe czarne ptaszyska obserwowały rannego z wyraźnym zniecierpliwieniem. Umiera zdecydowanie zbyt wolno, a z powodu ich pustych żołądków czas dłużył się niemiłosiernie.

Całe pięć minut zajęło Tony'emu ustawienie się w pozycji niemal wyprostowanej. Nie wytrzymał tak długo i zgął się wpół, bo nogi odmówiły udziału w tym chorym i ponad jego siły przedsięwzięciu i po prostu przestały podtrzymywać resztę ciała. Tony nie cofnął ramion i zawisł jak krwawiący ukrzyżowany Chrystus, zjedną ręką opartą o dach, a drugą o drzwi. Zakaszłał, najpierw ostro, potem

znacznie słabiej. Zmiażdżony nos był spuchnięty i purpurowy. Krew kapiała na usta i na klatkę piersiową, ale nie zostawiała na niej śladów - ginęła w potężnej, niemal czarnej plamie sięgającej od szyi do samego krocza. Dwie kule przeszły jego trzewia, a z ran bezustannie sączyła się krew. Gdyby serce miało jeszcze co pompować, krew płynęłaby pewnie wartkim strumieniem. Z medycznego punktu widzenia z takimi obrażeniami nie miał prawa żyć, ale choć jego ciało zdawało się potwierdzać tę diagnozę, on uparcie trzymał się życia i balansował na granicy ciemności. Niewiele brakowało, by odszedł, lecz ze światem łączyła go wciąż pojedyncza nitka - a była nią paląca nienawiść, która przepelniała jego duszę.

Pozostała ze zmiażdżonych ust zakrwawiona masa uformowała się w jedno słowo.

- Karl! - powiedział bezgłośnie, ale ładunek emocjonalny można by porównać do przekleństwa wykrzyzanego na całe gardło. Samo wypowiedzenie tego imienia tchnęło nową moc w jego umierające mięśnie. Może nie było jej dużo, ale za to była świadoma, po co się pojawiła, i zdeterminowana, by tego dokonać. Zmusiła nogi do podjęcia zaniechanego obowiązku podtrzymywania ciała, a potem pozwoliła Tony'emu oderwać się od samochodu i stanąć obok. Ciało było już zbyt słabe, i żeby nie wyrznąć twarzą w ziemię, musiał przytrzymać się brzegu dachu. Nie, nie może pozwolić sobie na upadek. Wiedział, że już by się nie podniósł. A dopóki stał, wciąż mógł jeszcze odnaleźć Rugera. A gdy go odnajdzie, zabije sukinsyna.

To był plan, który ułożył w swoim z trudem pracującym mózgu. Wydawał mu się doskonały, jedyny, jakiego kiedykolwiek naprawdę potrzebował. Prosty, jednoznaczny i w razie realizacji, dający ogromną satysfakcję. Znaleźć Karla Rugera i wyrwać mu z piersi czarne serce. Albo może poszatkować jego ciało kulami, najlepiej na sycylijską modłę - najpierw przestrzelić mu stopy, potem kostki, kolana i posuwać się dalej, coraz wyżej. Trzeba przy tym uważać, by nie uszkodzić żadnej tętnicy... Ruger ma żyć tak długo, jak tylko się da, ma błagać o litość, o kulę prosto w czaszkę. Ale nie... może lepiej będzie tak nie kończyć? Może ciekawsze będzie obserwowanie, jak podziurawiony się wykrwawia. Takie małe zawody na koniec, który z nich pierwszy się przekreśli... Mimo życia, które uciekało z niego z każdą kroplą krwi, jaka mu została, był przekonany, że uda mu się wygrać w tym pojedyńku. Nie miało znaczenia, czy będzie żył dłużej o sekundę czy dwie - to nieważne. I tak dorwie go potem w piekle.

Pieprzony sukinsyn!

Tony centymetr po centymetrze przesuwiał się wzdłuż samochodu, w kierunku bagażnika. Potrzebował czegoś, co można by zastosować jako bandaż. Wiedział, że musi chronić ostatnie krople krwi, jakie jeszcze krążą w jego żyłach. Ma cel. Musi znaleźć Rugera. Miał nadzieję, że w kufrze znajdzie jakiś ręcznik, choćby i brudny

od smaru. Tony jakoś nie przejmował się niebezpieczeństwem zakażenia ran. Niedługo umrze i nie będzie walczył z tą świadomością - chciał pożyć tylko chwilkę dłużej. Naprawdę tylko chwilkę.

Niepewnie stawiał stopy na grudach ziemi wyrwanej z pola przez podwozie samochodu. Zachwiał się, ale nie upadł. Raz czy dwa razy był bliski, ale rękami zawsze udawało się znaleźć wystarczające oparcie, by przywrócić ciału równowagę.

Kłapa bagażnika była podniesiona i kiedy udało mu się podejść na tyle blisko, żeby zajrzeć do środka, zobaczył, że zniknęły torby z narkotykami i pieniędzmi. Nie spodziewał się, że zostawią mu jego działkę - przecież dlatego Ruger go postrzelił, żeby nie musiał się z nim dzielić łupem. Najwyraźniej Boyd też brał w tym udział.

Tony zacisnął zęby i poczuł palące łyzy. Boyd był przecież jego przyjacielem, a nie zrobił absolutnie nic, żeby powstrzymać tego sukinsyna. Po prostu wziął jego część kasy i zwiął.

Cóż, Tony, pomyślał, w takim razie mamy jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Tak, tak, trzeba też dorwać drugiego sukinsyna, Boyda. Jego i Rugera. Obu. Zastrzelić. A może zabawić się w Spartakusa i dać im noże, a potem zmusić, żeby ze sobą walczyli? Niech się tną, aż jeden zginie. To byłoby coś. Pieprzony Spartakus. Wykończcie się nawzajem, skurwysyny!

Pochylił się i zajrzał do bagażnika. Żaróweczka oświetlająca wewnątrz dawała niewiele światła, ale i tak dojrzał rączkę klucza do kół, puszkę sprayu do zaklejania dziur w oponach, pękatą lufę strzelby i...

...i brzeg dwudziestodolarówki.

Tony się uśmiechnął. Banknot wystawał spod wykładziny przykrywającej zapasowe koło. Złapał ją i unióś. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Ruger przeoczył trochę szmalu.

Osiem plików dwudziestek leżało rozrzuconych przy samej krawędzi opony. Każda paczka owinięta była papierową banderolą, podpisaną przez kogoś, kto je przeliczył. I każda była czerwona od krwi - ale banknoty nie traciły przez to wartości. No, proszę, proszę... a co my tutaj mamy? Uśmiech Tony'ego był niemal radosny i napręzał pozbawioną krwi skórę twarzy, odsłaniając poźółtkłe zęby. Dookoła paczek banknotów leżała warstwa białego proszku. Cała masa. Może z pół kilograma. Jeden z woreczków musiał pęknąć i w bagażniku spadł śnieg.

Proszę, proszę...

Tony wziął paczkę dwudziestek. Przysunął ją do oczu i przyglądał się jej zafascynowany. Gdyby mógł zobaczyć swoje oczy, przeraziłby się. Światło, które się w nich pojawiło, nie było po prostu blaskiem - przypominało raczej szalony neon, migoczący i wyginający się, nabierający najbardziej szalonych kształtów. Powąchał je, łapczywie wciągając biały proszek głęboko do płuc. Znieczulające działanie

kokainy niemal natychmiast dało o sobie znać.

Z uśmiechem rozsunał poły podziurawionej kulami koszuli i włożył za pasek plik banknotów, umieszczając go jak kompres na ranie. Sztywny papier przycisnął poszarpane i poparzone brzegi skóry, ale Tony nie odczuwał bólu. Sięgnął po kolejną paczkę i w ten sam sposób zaaplikował sobie drugi, wart pół tysiąca dolarów opatrunek. Warstwa rozsypanego narkotyku, który pokrywał pieniądze, będzie przez jakiś czas działała jak znieczulenie miejscowe, choć Tony o tym nie myślał. Nie marnował czasu na myślenie. Poprawił pas, żeby kompresy lepiej przylegały do ran, i zaczął chichotać na samą myśl o Boydzie i Karlu, jak tną się nawzajem nożami w nadziei, że zwycięzca pozostanie przy życiu. Chichot był cichy, pełen okrutnej satysfakcji, a przede wszystkim mokry od krwi bulgoczącej mu w gardle.

Tony znów sięgnął do środka bagażnika i nabrał pełną dłoń narkotyku. Najlepsza jakość, powiedział głośno, po czym zanurzył w niej twarz, głęboko wciągając powietrze resztkami nosa. Uderzenie było niesamowite.

Zakasłał, kiedy kokaina podrażniła mu gardło, a po chwili zaniósł się chrypiącym kaszlem. Lekceważącym ruchem ręki strzepnął resztę białego proszku do wnętrza bagażnika.

Potem wziął strzelbę. Była naładowana. Nie musiał sprawdzać, bo w czasie dobijania interesu z Jamajczykami on był za nią odpowiedzialny. Jeden pocisk w lufie i cztery w magazynku. Chichot przeszedł w śmiech, kiedy odsunął się od samochodu i ruszył na poszukiwanie byłych kompanów.

- Poczekajcie na mnie, koledzy. - Uśmiechnął się jowialnie. - Zaraz was dogonię.

Zrobił jeden zdecydowany krok w stronę zwartej ściany kukurydzy i upadł na twarz. Strzelba wypaliła, kiedy odruchowo zacisnął palec na spuście, a pocisk oczyścił ramiona stracha na wróble z kruków. Zakrwawione pióra, niektóre jeszcze z kawałkami ciała, zawirowały w powietrzu, by po chwili zniknąć między wysokimi roślinami.

Tony leżał na brzuchu, z twarzą i oczami oblepionymi błotem, i śmiał się, dopóki nie wymiotował krwią.

Nie drgnął do chwili, gdy w jego źrenice uderzył jasny promień światła latarki. Wtedy zadrżał i uniósł głowę. Usłyszał powoli zbliżające się kroki, a w coraz mniej sprawnym mózgu uzmysłowił sobie, że gdzieś w oddali, po lewej stronie, najpewniej na drodze, z której wpadli między kukurydzę, stoi samochód z włączonym silnikiem. Zmusił się, by unieść powieki, ale i tak jedyne, co zobaczył, to masywna postać, która była coraz bliżej niego. Wpatrywał się w nią, kiedy krok za krokiem, oświetlając sobie drogę latarką, szła w jego stronę. Było w niej coś dziwnego. Niby kształtem przypominała człowieka, ale też dużego goryla. Kimkolwiek był nieznamy,

musiał być nadzwyczaj masywny i silny. Miał długie krzywe nogi i kiwał się na boki.

Mroczna postać podeszła jeszcze bliżej i znieruchomiła. Tony starał się przebić wzrokiem światło latarki, ale nie był w stanie.

- Jesteś ranny - odezwał się nieznamy bezdźwięcznym głosem. I nie było to pytanie, a raczej stwierdzenie.

- Zostałem... postrzelony...

Potężne ramię sięgnęło w stronę Tony'ego i ostrożnym ruchem przewróciło go na plecy. Potem obcy cofnął się o krok i przykucnął. Tony zakrztusił się i wypłuł kolejną porcję krwi. Nie mógł uwierzyć, że jeszcze ma czym płuć.

- Zostałem postrzelony - powtórzył.

- Widzę.

- Pomożesz mi?

Postać milczała przez kilka sekund, a potem odpowiedziała:

- Mógłbym... tak, mógłbym. - Ale wbrew swoim słowom, obcy się nie poruszył. Kucnął i obserwował Tony'ego. Wydawało się, że na coś czeka.

Myślenie przychodziło rannemu z coraz większym trudem. Dlaczego on tam kuca, zamiast go ratować? Nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

- Potrzebuję pomocy! - powiedział, unosząc dłoń w daremnej próbie chwyceńnięcia koszuli obcego. Nie miał nawet dość siły, by ją wyprostować.

- Aha.

- Czy... - zaczął, ale musiał przerwać, bo jego ciałem wstrząsnął atak kaszlu. Kiedy w końcu się uspokoił, chciał dokończyć pytanie, ale miał tak słaby głos, że nie było go słyhać. - Czy przyszedłeś... mi pomóc?

- Nie - odpowiedział mężczyzna i wyciągnął do niego ręce.

2.

Terry Wolfe wpatrywał się w detektywa Ferro i przez długi czas szukał właściwych słów. Kiedy nie udało mu się ich znaleźć, wstał i podszedł do ekspresu do kawy, nalał sobie gorącego napoju, i stojąc tyłem do policjantów, starał się zapanować nad wyrazem twarzy. Do plastikowego kubka wysypał cukier, nalał śmietany i przelknął parę łyków, by zwilżyć gardło, które było suche jak pieprz. Kiedy znów obrócił się w stronę gości, jego twarz nie wyrażała niczego. Spojrzał twardo w oczy detektywowi Ferro i zatrzymał się na chwilę.

Ferro też czekał, przyzwyczajony do takich reakcji. Podobnie zachowali się wcześniej szeryf Bernhardt i jego podwładni, kiedy usłyszeli nowinę, z jaką do nich przyjechał. Każdy tak reagował - bo czy dało się inaczej? Morderstwo w latarni w Cape May przebiło się na pierwsze strony wszystkich krajowych gazet i większości

gazet na świecie. Powstały nawet książki na ten temat, a Jonathan Demme kręcił film oparty na tamtych wydarzeniach. W rolach głównych występowali Don Cheadle i Colin Farrell.

- Co pan wie na temat tamtego morderstwa? - zapytał Ferro, zapalając papierosa metalową zapalniczką Zippo z wygrawerowanym symbolem filadelfijskiej policji.

Terry znów poczuł suchość w gardle. Kawa nie pomogła na długo.

- To samo, co wszyscy - odpowiedział. - Jakiś szaleniec rozerwał na strzępy całą grupę emerytów, którzy przyjechali zwiedzać latarnię morską w Cape May. Najpierw zmusił ich do wejścia na poziom obserwacyjny, a potem nożem pociął ich na drobne kawałki, zostawiając jakieś obłąkane informacje na ścianach, napisane ich krwią. Ponoć osiemnaście ciał, z czego dwie osoby miały być torturowane, zanim zostały poszatkowane.

- Tak, oddał pan ogólny sens tego, co się tam stało.

- Ale ponoć nikt nie wie, kto to zrobił... ale zaraz, czy to znaczy, że wiecie jednak, kto był sprawcą?

Ferro miał smutny wyraz twarzy, z którego przebijał również żal.

- Ta sprawa należy do policji z południowego Jersey i FBI, więc nie wiemy wiele, ale część informacji i tak do mnie dotarła. Wiem na przykład, że ich zespół dochodzeniowy już od miesięcy szukał Karla Rugera, ale podobno to jedna z tych sytuacji, kiedy wiedzą znacznie więcej, niż są w stanie udowodnić. Większość informacji to relacje świadków... Wie pan, jakiś były skazaniec powiedział coś tam, potem jakaś dziwka powiedziała coś jeszcze i elementy układanki zaczęły wskakiwać na swoje miejsce. Niemal wszyscy są przekonani, że to on za tym stoi, choć wciąż nie ma pewności, czy działał w pojedynkę, czy w grupie. Jedna z teorii mówi, że Ruger był tylko wynajętym cynglem.

Gus miał wątpliwości.

- A po jaką cholereę ktoś miałby płacić za zrobienie takiej jatki?

Ferro wypuścił powietrze przez nos.

- To skomplikowane. Jestem przekonany, że wie pan doskonale o tarciach między poszczególnymi rodzinami w Filadelfii. Osiemnaście miesięcy temu na raka płuc zmarł jeden z głównych szefów mafii, a że nie miał synów, każdy, kto twierdzi, że teraz tytuł należy się właśnie jemu, próbuje przejąć go siłą. Dobrze, żeby nie przedłużać...

Terry uniósł dłoń.

- Detektywie Ferro. Policjanci pewnie słuchaliby pana z wypiekami na twarzach, ale mnie to mało obchodzi. Proszę do rzeczy: jaki to wszystko ma związek z moim miastem?

Ferro gwałtownie zamknął usta i po raz pierwszy było widać, że traci nad sobą panowanie. Terry domyślał się, że zawsze grał pierwsze skrzypce i teraz też nie może się doczekać możliwości opowiedzenia o zawilościach przestępczego świata

Filadelfii. Tylko że Terry czuł pulsujący ból w czaszce i uznał, że streszczenie poprzednich odcinków *Rodziny Soprano* nikomu się do niczego nie przyda.

Do rozmowy włączył się LaMastra i dokończył za partnera:

- Mamy podstawy przypuszczać, że Rugera wynajęła jedna z rodzin, która chciała uderzyć w członków drugiej. I przedobrzyli.

- Trafna uwaga - mruknął Terry. - Więc Ruger otrzymuje nagrodę Hannibala Lectera za zabójstwo dekady. I...

Ferro zagryzł usta i nad czymś się zastanawiał.

- Cóż - odezwał się w końcu - przemoc i bezmiar okrucieństwa, którymi charakteryzowała się tamta masakra, i to, co zobaczyliśmy na nagraniu z kamery po dzisiejszej strzelaninie, każą nam zakładać, że Ruger to niezrównoważony psychopata, niebezpieczny jak żaden inny przestępca przebywający na wolności.

- A ja słyszałem, że tacy goście to nic nadzwyczajnego.

Ferro zignorował ton, jakim burmistrz rzucił ostatnią uwagę.

- Ucieka i wie, że depczemy mu po piętach. Najwyraźniej też zatrzymał się gdzieś w pańskim mieście. Kiedy wykonywał wyrok w New Jersey, zginęło wielu przypadkowych i niewinnych ludzi.

Terry pokiwał głową.

- Dobra, już rozumiem. Wytlumaczcie mi w takim razie, dlaczego on w ogóle chodzi jeszcze po ulicach?

- Mówiłem przecież, że to, iż coś wiemy, nie oznacza wcale, że będziemy to w stanie udowodnić przed sądem. Morderca z Cape May nie zostawił żadnych śladów, a już tym bardziej żadnych bezpośrednich świadków, którzy mogliby wskazać na Karla Rugera. Myślę, że przy obecnych postępach śledztwa dopiero za jakieś dwa tygodnie mielibyśmy dość materiału dowodowego, żeby go zamknąć na dobre.

- A w jaki sposób psychopatyczny morderca trafił do branży narkotykowej?

- W Filadelfii robi się coraz ciasniej - znów włączył się do rozmowy LaMastra.

- Zaczęły krążyć plotki, że Ruger mógł być tym cynglem, a to oznaczało, że prędzej niż później znaleźlibyśmy przysypane ziemią zwłoki z połamanymi rękami związanymi na plecach, odciętym kutasem wciśniętym do gardła i...

- Ja... uch... rozumiem, do czego pan zmierza. - Terry poczuł, że musi mu przerwać, i znacząco spojrzął na Shirley.

Ferro uciszył partnera wzrokiem, a potem przeprosił burmistrza i Gusa skinieniem głowy.

- Mogę założyć, że po prostu jeszcze nie wszyscy dowiedzieli się, że to on, albo raczej wiadomość nie dotarła do tych, którzy pociągają za sznurki. Gdyby tak było,

składalibyśmy go z kawałków znalezionych we wszystkich pięćdziesięciu stanach. Najprawdopodobniej nikt nie wiedział tego na pewno aż do wczorajszego wieczoru albo dzisiejszego ranka. Potem wiadomość obiegła cały półświatek. Kiedy Ruger dowiedział się, że zaczęli o tym mówić na mieście, zorganizował interes z prochami, żeby mieć za co zniknąć. To, że nawiązał współpracę z Boydem, tylko potwierdza tę teorię.

- A to dlaczego?

- Ponieważ Boyd zajmował się załatwianiem spalonym bandytom nowych miejsc i tożsamości. Coś jak biuro podróży - wyjaśnił LaMastra. Terry wyglądał, jakby nie do końca zrozumiał, więc policjant mówił dalej: - Kiedy sytuacja wymyka się spod kontroli, Boyd organizuje transport i wywozi ich ze stanu czy nawet z kraju. Lewe paszporty, lewe prawa jazdy, pełny wybór. A że jest w tym dobry, nikt go nie tyka, bo z jego usług korzystają wszyscy.

Sierżant Ferro pokiwał głową.

- To, że pracują razem, jest jasnym sygnałem, że Boyd stara się wywieźć Rugera poza Stany. Ukradli razem kupę szmalu, a to oznacza operacje plastyczne i lewe papiery na najwyższym poziomie. Są na świecie miejsca, w których z nową twarzą, nowymi papierami i milionem w kieszeni można zniknąć w tłumie.

- Zwiął wam i krąży teraz gdzieś w pobliżu Pine Deep, tak? - upewnił się Terry.

Ferro i LaMastra spojrzeli na niego hardo.

- Tak - potwierdzili.

Terry przeniósł wzrok na Gusa, który wzruszył ramionami i pokręcił głową.

- Co teraz?

Ferro wyduł wargi.

- Reszta naszych chłopaków powinna się tu zjawić w ciągu pół godziny. Mają najnowsze zdjęcia Karla, Boyda i Macchia. Gdy dojadą, zatroszczę się, żeby wszyscy je dostali. Posterunek w Crestville ich nie zauważył, więc musimy zakładać, że zatrzymali się gdzieś w tej okolicy i najprawdopodobniej będą chcieli się tu zamelinować na jakiś czas. Musimy rozpocząć akcję poszukiwawczą i ich złapać.

- Eee, sierżancie, ale to nie jest akcja, w której mielibyśmy jakiegokolwiek doświadczenie. - Gus wyraźnie wątpił w swoje możliwości. - To znaczy, jak dotychczas nie musieliśmy jeszcze zarządzać poszukiwań i pościgów za kryminalistami.

Ferro wyglądał na rozbawionego.

- Proszę się nie martwić, szeryfie. Otrzyma pan pełne wsparcie ze strony naszego zespołu. Chyba możemy liczyć też na obecność policji stanowej, a jutro pojawi się tu FBI plus jednostki z pobliskich miast. Mamy doświadczenie w takich

akcjach. Nie ma oczywiście mowy, żebyśmy wtrącali się w pana jurysdykcję, ale znamy kilka sposobów, jak zarządzać sytuacjami kryzysowymi, więc jeśli pan pozwoli, pokierujemy całą imprezą za pana. - Spojrzał na Terry'ego. - Czy ma pan coś przeciwko, burmistrz?

- No pewnie, że nie! Już mówiłem, że jeśli tak będzie lepiej, to macie wezwać nawet Gwardię Narodową. Róbcie wszystko, co konieczne. Szeryf Bernhardt będzie zachwycony, mogąc czerpać z waszego doświadczenia. - Spojrzał na Gusa, który zamiast mieć pretensję, że właśnie został pozbawiony władzy, wyglądał, jakby mu ulżyło. - Wy mówcie nam, co i jak, a my będziemy robili, co trzeba - zakończył.

Ferro kiwnął głową.

- Dziękuję, burmistrzu Wolfe. Dobra. - Klasnął w dłonie. - Bierzymy się do roboty.

3.

Holownik wyglądał jak połyskująca, groteskowa bestia. Od reflektorów z czerwonymi obwódkami, przypominających przekrwione szczurze oczy, przez wciągającą czerń przyciemnionych okien. Stwarzał wrażenie wrogości i zagrożenia, szczególnie kiedy przesuwiał się bezgłośnie drogą. Wypolerowane dwuczęściowe felgi niemal świeciły w ciemnościach, podobnie jak chromowane zakończenie rury wydechowej i relingi do złudzenia przypominające trumienne ozdoby. Bliźniaki na tylnych osiach popychały Behemota ze straszną prędkością. Mijał ścierniska, niezbrane zboża i kukurydzę, słupy telefoniczne i wjazdy do ciemnych o tej porze farm. Poza cichym szumem opon i pomrukiem doskonale utrzymanego silnika, holownik nie wydawał żadnych innych dźwięków. Z pewnej odległości można go było pomylić z nocnym wiatrem.

W kabinie siedział Eddie Holownik, dziwacznie poskręcany, z napiętymi do granic wytrzymałości mięśniami. Potężne bicepsy, ścięgnię szyi i szerokie bary nadawały mu wygląd wielkiego kłębka. Nawet twarz miał napiętą, jakby dostał szczękościsku. Prowadził w całkowitej ciszy, skupiony, prawie nie zwracał uwagi na wstęgę asfaltu, która przesuwała się błyskawicznie w świetle reflektorów. Wielgachne łapska z morderczą siłą ścisnęły obszytą skórą kierownicę.

Nie wydawał żadnych dźwięków i nie słuchał radia. Słuchał za to uważnie głosu w swojej głowie, głosu, który nie przestawał szeptać.

Na wierzchu potężnych dłoni kierowcy wciąż jeszcze błyszczała świeża krew, w której odbijało się światło padające z deski rozdzielczej. W ustach też czuł smak ciała człowieka, którego przed chwilą zamordował. Jego wargi wykrzywiło coś na

kształt uśmiechu, kiedy pędząc drogą, przypomniał sobie, co się właśnie wydarzyło. Ta noc należała do niego.

Przesunął językiem po zębach, rozkoszując się smakiem krwi swojej ofiary. Pierwszy raz w życiu zwrócił uwagę na jej smak, ale instynktownie czuł, że go oczyszcza i uświęca. Była wspaniała. Ciekawe, czy będzie mu dane jeszcze jej zakosztować? W jego głowie rozległ się głos Boga, który zapewnił go, że tak, jeszcze się jej napije. I to wkrótce.

Eddie Holownik prowadził wóz, a Bóg przemawiał do niego szeptem. Mówił o chwale, która jest jego udziałem, i chwale, która ma dopiero nadejść. Przypomniał mu też o jego misji - celu, dla którego żyje. Ma odnaleźć Bestię i ją zniszczyć.

„Jesteś mieczem w rękach Pana”.

To zdanie huczało mu bez przerwy w głowie.

Gdzieś w ciemności, w zupełnie nieoczekiwanym miejscu, czeka na niego przeznaczenie. Przeznaczenie pod postacią Bestii - stworzenia przebiegłego i potężnego, któremu ma się przeciwstawić, ba, które ma pokonać! Jest mieczem w rękach Pana i taka jest jego święta misja, przyczyna, dla której Bóg uświęcił jego życie. Dziś wie, że czas już nadszedł. Gdzieś w ciemnościach na drodze czeka Bestia. Mają się zmierzyć i walczyć, mają stoczyć walkę Dobra ze Złem, Nieba z Piekłem. To właśnie powiedział mu głos w głowie. Słyszał go wciąż od nowa, bez końca.

Roześmiał się na cały głos, a jego śmiech był eksplozją niepokromionej radości, oto bowiem rozpoczął realizację świętej misji powierzonej mu przez Boga! Od zawsze żył ze świadomością, iż Pan skieruje go na właściwą ścieżkę. Modlił się o to przez całe lata. Wiedział o swoim przeznaczeniu od wczesnego dzieciństwa. Jeśli jest tym, kim się spodziewał, że jest - a nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości - to głos, który do niego mówi, może należeć tylko i wyłącznie do samego Ojca. Do Boga.

Znów się roześmiał i zlustrował poboczne w poszukiwaniu Bestii.

Holownik przecinał noc jak nóż rzeźnicki, zostawiając za sobą przepołowioną i płaczącą ciemność.

4.

- Jezu Chryste, Karl! Poczekaj na mnie!

Ruger nie odpowiedział i ani trochę nie zwolnił. Pędził naprzód, przedzierając się przez gęstą kukurydzę. Najdziwniejsze, że nie robił tyle hałasu, ile powinien. Jak wąż przesmykiwał się między wysokimi łodygami i szerokimi liśćmi.

Kukurydza była niewiarygodnie wysoka i rosła we wszystkich kierunkach jak okiem sięgnąć. Boyd biegł za Rugerem, potykając się co chwila i zataczając.

Rozgarniał ramionami rośliny, czując na policzkach bolesne ukłucia i draśnięcia ostrymi jak brzytwa brzegami liści. Wiatr był lodowaty i wilgotny i sprawiał, że Boyd trząsł się z zimna. Bezwładne postrzelone ramię miał zgięte i schowane pod koszulą, ciężki plecak przyciskał go do ziemi. Bieg kosztował go dużo wysiłku. Mimo zimna czuł strugi potu spływające po plecach i zalewające oczy. Miał też wrażenie, że nie niesie pieniędzy, tylko kamienie.

- Człowieku, czy ty chociaż masz pojęcie, dokąd idziemy?

Tym razem Ruger się zatrzymał. Odwrócił się do kompana, ale jego twarz pozostała ukryta w cieniu.

- Tak, Boyd. Oczywiście, że wiem, dokąd zmierzam. - Kciukiem wskazał za siebie. - Tam. Masz jeszcze jakieś pytania?

Boyd zamknął się, przełykając wszystkie słowa, których nie miał odwagi wypowiedzieć, choć paliły go w język jak rozgryzione ziarenka pieprzu. Mamrocząc coś, Ruger odwrócił się i ruszył przez kukurydzę. Po kilku sekundach ociągania jego towarzysz podążył za nim. Przez jakiś czas szedł w milczeniu jego śladem, aż po niecałych stu metrach wpadł do dziury, łamiąc sobie obie kości prawej nogi nieco poniżej kolana.

Nie zauważył dziury w ziemi i mimo braku tchu i głośnego trzasku łamanej nogi z początku nie mógł się zorientować, co się stało. Zauważył jedynie, że kukurydza nagle stała się znacznie wyższa, jakby lodygi dookoła wystrzeliły w górę. Potem jego twarz napotkała ziemię. W ostatniej chwili usiłował złagodzić upadek, ale na wezwanie z mózgu odpowiedziała tylko jedna ręka, i to zdecydowanie za późno. Poczul w ustach brudną, twardą ziemię. Zabolały go oczy, przygryzł sobie język, a od wstrząsu zawirowało mu w głowie. Właściwie to nie usłyszał nawet głośnego trzasku kości, a jedyną rzeczą, jaką czuł, była obolała twarz... Ból nogi uderzył sekundę później. I miał siłę huraganu - przebiegł przez każdą końcówkę nerwową, biorąc początek w pozrywanych naczyniach krwionośnych i mięśniach, aż dotarł do głowy. Boyd zawył. Zawył najgłośniejszym, jak potrafił, a przerażający dźwięk wydobywający się z jego gardła niósł się wysoko, wysoko nad falującą kukurydzą. Nabral powietrza w płuca i już otworzył usta do kolejnego wrzasku, ale nie zdążył, bo surowa skóra rękawicy Rugera, ukrywająca pod spodem kościstą pięść, wyrznęła go z taką siłą i wściekłością, że krzyk wyparował z jego ust, a w oczach pojawiły się łzy. Przez chwilę poruszał ustami, nie mogąc złapać tchu. Potem Ruger złapał go za włosy i gwałtownym ruchem odgiął jego głowę w tył. Boyd nawet nie próbował wydać z siebie dźwięku, widząc wycelowaną w swoją twarz lufę pistoletu.

- Jeszcze raz krzykniesz, a rozpieprzę ci łeb na drobne kawałki po całym polu.

- Syk Karla był zimny jak lufa broni tuż obok twarzy.

- Moja... noga...

- Słyszysz, Boyd?!

- Jezu, Karl! Złamałem nogę! - Boyd mówił gwałtownie, ale najciszej, jak potrafił w takiej sytuacji.

- Nie pieprz. Jesteś chirurgiem, czy coś?

- Złamałem, kurwa, nogę!

Ruger natychmiast przycisnął lufę do jego czoła.

- Ciiii... znów zaczynasz wrzeszczeć. Ciiii...

- Musisz mi pomóc, Karl. - Boyd zajączał i nagle jego źrenice stały się bardzo duże. - Nie... Karl... poczekaaj...!

- O co znowu chodzi?

- Nie załatwiaj mnie! Proszę! Nie załatwiaj mnie, błagam!

Ruger odsunął broń i udał, że te słowa go zraniły.

- Chryste, Boyd, co ty sobie myślisz, że co ja, cholera, jestem? - Puścił włosy kompana i niezgrabnym ruchem nawet je przyglądził.

- Nie załatwiaj mnie...

Ruger się uśmiechnął. Po kilku sekundach zabezpieczył pistolet i wcisnął go za pasek.

- Tylko nie zeszczaj się ze strachu, dobra? Nic ci nie zrobię pod warunkiem, że będziesz cicho. Przecież nie biegam w kółko, mordując wszystkich, którzy mi się nawiną, nie? Mam jakieś zasady.

Boyd nie odważył się tego skomentować. Jego strach przed nieobliczalnym partnerem był znacznie silniejszy niż ból przeszywający nogę. Ruger w końcu westchnął, zdjął plecak, odstawił go na bok i wyprostował się, patrząc to na rannego, to rozglądając się dookoła. Kilka metrów od nich było widać krawędź płotu, do którego przymocowano stracha na wróble. Złachmaniony strażnik pół wisi na drewnianych tyczkach jak ukrzyżowany Chrystus i spoglądał na wszystko z góry. Ubrany był w podarty brązowy garnitur, kuchenne rękawice i starą roboczą koszulę. Zamiast głowy z jutowego worka wypchanego sianem, ktoś umieścił dynię z wyciętym uśmiechem, zwiastującą rychłe nadejście Halloween. Za strachem na wróble płot ginął w ciemnościach. Ruger zagryzł usta i zastanowił się, po czym spojrział na Boyda.

- Myślę, że tu w pobliżu musi być jakaś farma. Widzisz ten płot? Wygląda mi na granicę. Pewnie oddziela pola dwóch gospodarstw. Pójdę wzdłuż niego i zobaczymy, dokąd dojdę.

- Pogięło cię? Przecież nie możesz mnie tu zostawić! - syknął Boyd, skracając się w nieludzkiemu bólu. Po całej jego twarzy ściekały kropelki potu.

- Jeśli chodzi o to, czego nie mogę, to nie mogę cię nieść. Jesteś za ciężki. Zresztą, nawet gdybym mógł, nie dałbym rady ciągnąć ze sobą ciebie i obu plecaków. Nie, stary, zrobię, co mogę, żebyś się tutaj dobrze poczuł, a potem pójdę szukać jakiejś pomocy.

Boyd niemal szlochał.

- Chcesz mnie wykończyć, prawda? Chcesz mnie wykończyć. Najpierw mnie zastrzelisz, a potem weźmiesz moją dłoń z interesu!

- Nie, wcale nie.

- Chcesz mnie wykończyć i...

Ruger poruszył się szybko jak błyskawica. Wyrzwał Boyda w twarz otwartą dłoń, a potem poprawił wierzchem z drugiej strony. Ostrzegawczo unióś palec i celując nim w nos kompana, powiedział:

- Przestań pieprzyć, skończony idioto. Zamknij mordę albo... - Karl urwał w pół zdania, bo nie było sensu kończyć.

Boyd i tak wiedział, co się może stać. Zamknął się więc, ale ból i przerażenie wypełzyły na jego twarz, wykręcając usta i zaciskając powieki. Wyglądał, jakby nosił groteskową maskę. Ruger przykucnął obok niego i naciskając palcem na jego brodę, podniósł mu twarz tak, że znalazła się kilka centymetrów od jego nosa.

- A teraz uważnie mnie posłuchaj. Nie mam powodów, by cię okłamywać. Gdybym wolał, żebyś był martwy, rozwalilibym ci łeb już dawno temu. Takie życie, stary, i nie ma co się o to gniewać. Tymczasem cię potrzebuję. Po pierwsze, sam wszystkiego nie przeniosę, a nawet jeśli, to ty masz o niebo lepsze znajomości, dzięki którym możemy zniknąć z kraju. Potrzebuję cię, Boyd, więc będziesz żył. Nie musisz mi wierzyć, chociaż mam w dupie, co sobie myślisz. Nie robię tego z braterskiej miłości. Pozostając przy życiu, ułatwisz mi to samo - proste jak dwa plus dwa. Żadnych sentymentów i pieprzenia o miłosierdziu i lojalności. Czysty interes. Łapiesz to? Ja potrzebuję ciebie, a ty mnie. Koniec, nie było tematu. Teraz przeciągnę cię pod ogrodzenie, tuż obok stracha na wróble. Dzięki temu nie będę miał problemów ze znalezieniem cię. Nastawię ci nogę najlepiej, jak potrafię, a ty możesz się zesrać z bólu, jeśli ci to pomoże. Potem zostawię cię samego na chwilę... ale wrócę. - Wycelował palcem w twarz Boyda. - Zrozumiałeś wszystko?

Ranny próbował skupić wzrok na oczach Rugera i znaleźć w nich kłamstwo albo ślad okrutnego poczucia humoru, lecz nie zobaczył w nich niczego poza pozbawioną jakichkolwiek emocji determinacją drapieżcy, który wie, że jak najszybciej musi znaleźć sobie kryjówkę. Uwierzył mu.

- Dobra... tak, stary.

Ruger uśmiechnął się chytrze.

- No, to tę część mamy już za sobą. I dobrze! - Pokiwał głową i sięgnął po plecak Boyda. - Najpierw cię nieco odciążę.

Kiedy zdjął ciężar z barków Boyda, obszedł go dookoła, przykucnął za nim i wsunął mu ręce pod pachy. Zanim go podniósł, zbliżył usta do ucha kompana.

- Zaraz wyciągnę cię z tej dziury. Jeśli krzykniesz, poderżnę ci gardło. Myślisz, że żartuję?

- N... nie... - Boyd był przerażony.
- Rozsądnie. Słuchaj, teraz zaboli jak jasna cholera. Ale musisz to znieść. Pieprz ten ból tak, jakbyś pieprzył dziwkę. Słyszysz? Wypieprz go na wieki wieków amen.

- Postaram się...

- Dobra, zaczynamy.

Uniósł Boyda i wyciągnął go z dziury.

Ranny nie krzyczał. Niemal zaczął... Bóg jeden wie, jak bardzo chciał się rozwrzeszczeć, ale z całych sił zacisnął zęby, przegryzając wargi. W ustach czuł kaskady krwi. Było jej tak dużo, że lała się po brodzie i kapiała na ziemię. Świat zaczął się kołysać i był rozmazany, a w uszach słyszał dzwonięcie i szum potężnego wodospadu. Zachciało mu się wymiotować, a z oczu popłynęły łzy. Rugera to nie wzruszało. Podniósł wielkiego i masywnego Boyda tak wysoko, jak tylko mógł. Trzymając go w żelaznej obręczy ramion wokół klatki piersiowej, pociągnął w kierunku płotu. Opuścił go na ziemię i oparł o drewniany kołek, który pełnił jednocześnie rolę słupka ogrodzenia i podstawy dla stracha na wróble. Postarał się nawet posadzić go tak, żeby było mu jak najwygodniej. Z punktu widzenia Boyda wszystko to trwało jakieś tysiąc lat.

- Chryste Panie, ile ty, do jasnej cholery, ważysz? - Ruger z trudem łapał powietrze. Zaczął chodzić w kółko, wyginając plecy i przeciągając się. Wreszcie wrócił z obydwojoma plecakami. Skrzyżował nogi i usiadł na ziemi naprzeciwko Boyda.

- D... daj mi papierosa - poprosił Boyd, zlizując krew z warg. - Chryste, potrzebuję papierosa.

Ruger zaczął klepać się po kieszeniach w poszukiwaniu paczki pall malli. Po chwili zapalił jednego i podał Boydowi, który rzucił się wygłodniały na używkę. Jego twarz miała barwę kwaśnego mleka. Perliły się na niej kropelki tłustego potu.

- Ruger, moja noga...

- Tak, tak, twoja noga. Chwila, moment. Masz, weź to. Lepsze niż nowokaina.
- Podał mu plastikową torebkę zamykaną na suwak i banknot dwudziestodolarowy. Boyd wziął od niego rulonik i pochylił się nad kokainą, po czym wciągał proszek długo i głęboko.

- Naprzód, kowboju! - W głosie Rugera dało się wyczuć prawdziwy szacunek, kiedy współnik zaciągnął się drugi i trzeci raz.

- O rany, o rany, o rany, o rany, o rany, o rany... - wdychał Boyd z zamkniętymi oczami, oparty o płot.

Ruger uśmiechnął się do niego szeroko jak lekarz na widok posłusznego pacjenta biorącego witaminy.

- Śniadanie mistrzów.

- Tak mi dobrze.

- Tak? To się dobrze składa, bo zaraz nastawię ci nogę.

Boyd wzruszył ramionami.

- Z tym towarem możesz mi ją nawet odciąć.

Z promiennym uśmiechem Ruger wyjął z kieszeni nóż i go otworzył. Był to buck z drewnianą rączką i ośmiocentymetrowym składanym ostrzem, ostry i naoilwiony. Z łatwością przeciął gruby materiał spodni Boyda od kostki do połowy uda. Ruger odciął nogawkę, po czym pociął ją na pasy, które ułożył obok siebie. Przyświecając sobie zapalniczką, obejrzał złamanie. Cała noga była sina i spuchnięta.

- Hm - popatrzył Ruger. - Śliczne.

- Jak to wygląda?

- Kiepsko.

- Dasz radę nastawić?

- Dam, ale chyba powinien zobaczyć to lekarz. Nieźle ją załatwiłeś. Ty jak się za coś bierzesz, to musisz dać z siebie wszystko, nie? - Bawił się płomieniem zapalniczki.

- Nie jest źle. Boli tylko trochę.

- Nie na długo. Dalej, weź jeszcze jedną działkę - powiedział Ruger i ujmując obiema rękoma goleń, zapałł się stopą o jego klatkę piersiową.

- Sekundka... - poprosił Boyd, zaglądając do torebki z kokainą. - Po prostu daj znać, kiedy chcesz to zrobić, dobra?...

Ruger zrobił to właśnie w tamtym momencie. Z całej siły przydepnął nogę rannego kompana i rzucił się w tył. Wewnątrz uszkodzonej łydki końcówki złamanych kości przesunęły się, rozrywając mięśnie i ścięgna, a potem, puszczone, wróciły na swoje miejsce.

- Teraz - powiedział, ale Boyd stracił przytomność. Źrenice uciekły do góry, szczeka opadła bezwładnie, a potem przewrócił się na bok.

- Nie ma za co - uśmiechnął się Ruger.

Usiadł i skończył papierosa, a niedopałek zgasił na ziemi. Z rozbawieniem przyglądał się Boydowi, jak ze znieczulającego omdlenia powoli wraca do bolesnej przytomności. Czekał na tę jedną chwilę, w której receptory bólu w mózgu rannego znów zaczną odbierać sygnały z makabrycznie uszkodzonej nogi. Boyd nagle wytrzeszczył oczy i wydał syk przepojony agonalnym cierpieniem, a Ruger zamknął oczy, rozkoszując się tym momentem. Mógłby przysiąc, że poczuł w ustach jego wspaniały smak.

- Aaa... Chryste...! - jęknął Boyd, sięgając zdrową ręką do złamania. Drżącymi palcami wyczuł na nodze coś obcego - miał założone łupki z kawałków drewna obwiązane podartymi dżinsami.

- Cześć, stary. - Ruger się przywitał. - Jak się spało?

- Moja noga...

- ... jest już nastawiona. Mniej więcej. Na razie starczy, ale potem i tak musisz to pokazać lekarzowi. Czekalem, aż się obudzisz. Na mnie już czas. Idę szukać właściciela tych pól.

- Stary, nie możesz mnie tak po prostu zostawić...

- Hej... hej! Przecież jesteśmy już dalej niż bliżej. Zostawiam cię, ale wrócę. Żebyś wiedział, że nie kombinuję, zostawiam cię z ładunkiem. Kasa, koka... wszystko pod twoją opieką. Teraz już chyba nie masz wątpliwości, że wrócę, co?

Boyd popatrzył na niego długo i niepewnie, lecz w końcu pokiwał głową. Ruger wpakował do ust gumę owocową i przez kilkanaście sekund żuł ją w milczeniu. Ciemnymi oczami lustrował twarz Boyda.

- Dobra. Koniec dyskusji. Ty zostajesz tutaj i zabawiasz pana stracha na wróble, a ja idę zobaczyć, co mogę tutaj skolować. Może uda się znaleźć jakąś taczkę albo co. Przewiózłbym twoje pokraczne dupsko. Może będziemy mieli szczęście i znajdę jakiś przyzwoity wóz. Pick-upa albo terenówkę... coś, czym będziemy mogli jechać polnymi drogami. Nie mam zamiaru zbliżać się do naszych niebieskich przyjaciół.

- Tylko się pospiesz.

Ruger uśmiechnął się, pokazując zęby.

- Będę z powrotem, zanim zdążysz się stęsknić.

Wstał, przeciągnął się i rozejrzył powoli, szukając właściwego kierunku. Pomachał Boydowi, kazał mu grzecznie czekać i ruszył przed siebie spokojnym krokiem, ignorując wołania kompana, żeby się pospieszył. Po kilku sekundach zniknął za zakrętem.

Boyd patrzył za nim oczami mokrymi od łez. Nad jego głową, w podmuchach zimnego burzowego wiatru łopotało ubranie stracha na wróble. Nie widział tego i nie widział też długiej i w miarę szerokiej procesji mrówek, żuków, gąsienic, pająków i wszelkiego innego robactwa, które zbiegało się ze wszystkich stron. Ciemny strumień maszerował w górę słupa, na którego szczycie wisiał strach na wróble, i zniknął w nogawce starego garnituru. Nie wszystkie ruchy ubrania kukły były powodowane wiatrem. Teraz poruszała nim noc we własnej osobie.

5.

Żelazny Mike Sweeney, wróg wszelkiego zła, spojrzął na swój chronometr. Już prawie wpół do ósmej. Ma pół godziny, żeby dostać się do domu.

- O rany... - szepnął do siebie. - Nie mogę się spóźnić.

Był już kawał drogi za farmą starego Guthriego, na A-32. Do domu musiał jechać przez wzniesienia, a tyle kilometrów, ile miał do pokonania, byłoby przeszkodą

nawet na płaskim terenie. Pchnął do przodu Maszynę Wojenną i jak szalony nadeptał na pedały.

- Cholerka! - krzyknął głośno. Robił wszystko, co mógł, żeby się nie spóźnić, ale gazety, które zazwyczaj czekały na niego, jeszcze zanim skończył zajęcia w szkole, tym razem spóźniły się o godzinę. Pędził na złamanie karku, żeby zdążyć je rozwieźć, a na koniec zostawił sobie A-32, bo wołał, kiedy szosa jest wieczorem niemal pusta. Jego dom stał po drugiej stronie miasta, a droga do niego prowadziła w większej części przez strome wzgórze. Nie miał szans, by zdążyć na czas.

Tak, lanie było nieuniknione.

Przyspieszając jak szalony, zjechał w dół i starając się wykorzystać rozpęd, zaczął kolejny podjazd. Grawitacja nie kazała na siebie długo czekać. Już po kilku chwilach pot ściekał wielkimi kroplami po jego twarzy i plecach. Pochylił się nad kierownicą i myślał tylko o domu, od którego dzieliło go tysiąc i siedem kilometrów. Nie, milion i siedem. O domu, w którym czeka na niego mama i Vic. Mama siedzi pewnie przy drzwiach, ściskając w rękę wysoką szklanę, czekając, aż pojawi się w ogrodzie. Spróbuje go kryć, ale to bezcelowe. Vic jak zawsze będzie leżał w fotelu, z papierosem w kąciku ust i pilotem niemal przyrośniętym do drugiej dłoni. Kiedy ogląda telewizję, skacze z kanału na kanał. Vic o wielkich twardych dłoniach mechanika i kpiącym uśmiešku, który pojawia się tylko wtedy, kiedy Mike coś przeskrobie. Co zdarzało się bardzo często, jeśli oceniać jego działania przez pryzmat zakazów i nakazów ojczyrna. Ojczyrna, który żądał nazywania siebie „panem”, a posłuszeństwo wymuszał bolesnymi razami pasa. Któremu podobało się, że ma ciężką rękę, i który lubił prędkość, z jaką uderza. Ojczyrna, który lubił zadawać ból i krzywdzić.

Mike spoglądał na długą drogę przed sobą i przyrzekł sobie, że nie będzie płakał. Nie tym razem. Nie teraz i nie potem, kiedy będzie już po wszystkim. Nieważne, jak nieznośny będzie ból, nie pozwoli temu choremu psychopacie zobaczyć swoich łez, choć wiedział, że Vic tym mocniej będzie próbował go do nich zmusić.

Ale przecież był Żelaznym Mike'em Sweeneyem, Wrogiem...

Poczuł, jak wilgotnieją mu oczy, i ze złością wytarł je rękawem.

- Idź do diabła! - krzyknął nagle na cały głos, zmuszając zmęczone płuca do ogromnego wysiłku.

Potem, wciąż gnany czystą złością, minął szczyt wzgórze i runął zjazdem po drugiej stronie, szaleńczo pedałując i zmuszając rower do nabrania jeszcze większej prędkości. Nie robił tego, żeby szybciej znaleźć się w domu, ale żeby dać ujście furii, która rozsadzała jego wnętrze. Jego Maszyna Wojenna stała się rozmytym pociskiem, kiedy mknęła z naddźwiękową prędkością w dół.

Przednie światła samochodu zobaczył na ułamek sekundy, zanim pojazd minął szczyt wzniesienia. Rozświetliły niebo, by potem gwałtownym zwrotem opaść wraz z maską wozu w dół i zalać drogę, którą Mike miał się zaraz wspinać pod górę. Kierowca jechał z zawrotną prędkością, mimo iż szosa była bardzo kręta.

Reflektory oświetliły jaskrawą żółtozieloną kurtkę chłopaka i białą czapkę z daszkiem, którą nosił, żeby wszyscy dobrze go widzieli. Pojazd - Mike nie był w stanie rozpoznać, czy to ciężarówka, czy samochód osobowy - pędził prosto na niego, nie odsuwając się ani na centymetr, żeby zrobić mu miejsce. Potem zobaczył rząd czerwonych światełek i nie miał już wątpliwości, że to ciężarówka. Szeroko rozstawione światła przednie też to potwierdzały, ale Mike nie mógł zrozumieć, dlaczego ktoś miałby tak pędzić i dlaczego nie zrobił miejsca dla rowerzysty? Czyżby go nie widział? Zbliżał się jego stroną drogi, zawadzając kołami o pobocze. Mike zdecydował się w końcu gwałtownie skrócić i uciec na drugi pas. Wóz przyspieszył, a chłopakowi przebiegła przez głowę gorączkowa myśl, że kierowca jednak z jakiegoś powodu go nie widział. W ciągu kilku ostatnich sekund, jakie dzieliły go od niechybnego zderzenia, gwałtownie złożył rower do skrzyżowania w lewo i zostawił ciężarówce tyle miejsca, ile tylko mógł.

Następne chwile minęły jak z bicza strzelił. Kiedy Mike zmienił kierunek jazdy, samochód przyspieszył i też skrzyżował, a chłopak ze zgrozą stwierdził, że znów jedzie prosto na niego. Mimo że miał teraz dosyć miejsca, przeciął żółtą linię na środku i znów próbował go uderzyć!

Mike chciał minąć potężną maskę, ale silnik zawył jeszcze gwałtowniej i świat wokół nagle się zmieniło. Wszystko stało się jaśniejsze i wyraźniejsze, jakby na miejsce, w którym się znajdował, skierowano całą baterię reflektorów. W jakiś sposób wiedział, że iluminacja nie pochodzi z przednich świateł ciężarówki. Miał wrażenie, że zapaliły się jakieś inne, wewnętrzne światła, i jednocześnie czas zwolnił. Siedział na siedelku pochylony nad kierownicą i wpatrywał się w coraz bliższy, potężny zderzak. Nie słyszał żadnych dźwięków. Widział chromowaną stal tak blisko siebie, że dotknąłby jej, gdyby tylko wyciągnął rękę. Szarpnął gwałtownie kierownicą i to była chyba jedyna rzecz, jaka się wtedy wydarzyła - wszystko inne stało w miejscu. Potem rzucił się całym ciałem naprzód, wkładając w to siłę i rozpęd, który zyskał, panicznie pedałując, by uniknąć zderzenia. W ułamku sekundy, kiedy ciężarówka niemal go dotknęła, Mike szarpnął jeszcze raz rowerem i przechylił się na lewo, o centymetry mijając narożnik błotnika i stal zderzaka.

W następnej chwili czas znów płynął jak zwykle. Wóz runął z rykiem tuż obok niego, a pęd powietrza, który powodowała jego masywna konstrukcja, rzucił chłopakiem na pobocze. Jego Maszyna Wojenna wystrzeliła z drogi prosto do rowu melioracyjnego i dalej, w zwały zepsutych dyń, które leżały na skrawku pola.

Przednie koło wbiło się w ziemię i rower momentalnie się zatrzymał. W przeciwieństwie do Mike'a, który nie zatrzymał się, tylko nadal pędził naprzód.

Minał kierownicę, zrobił pełne salto nad przednim kołem i prawie udało mu się wylądować na nogach. Gdyby tak się stało, zasłużyłby na stojącą owację... Niestety, kiedy leciał nad kierownicą, zahaczył butem o rączkę i zepsuł końcówkę obrotu. Wprawdzie w ziemię uderzył piętami, ale zabrakło mu rozpędu, by przewrócić się do przodu, i runął na plecy. Upadł pośladekami na wielką dynię, która pod jego ciężarem rozbryzgnęła się na wszystkie strony, a końcówka łożyska, z której została odcięta, boleśnie wbiła mu się w kość ogonową. Potem wyrzwał plecami w stos twardych, niedojrzałych owoców, każdy o wielkości mniej więcej piłki do baseballa. Poczul pękające żebro, przynajmniej jedno, a potem eksplozję gorącego czerwonego bólu, który odebrał mu zdolność oddychania, żywcem wyrwał zakończenia nerwowe z kręgosłupa i zacisnął gorącą pięść wokół jego serca. Tyłem głowy uderzył w kamień.

Wszystko się zatrzymało. Dźwięki, ruch... wszystko. Jedyne, co pozostało, to wszechogarniająca ciemność, przeszywający ból i ogniki przed oczami, po potężnym grzmotnięciu potylicą.

Mike poruszał ustami jak ryba, starając się dostarczyć płucom powietrza, ale czuł się tak, jakby się znalazł w próżni.

Leżał bez ruchu przez kilka tysięcy lat.

Kiedy jego mózg odzyskał zdolność działania w absolutnie podstawowym zakresie, pierwszą myślą, jaka się pojawiła, było: O cholera... cholera... teraz to już na pewno się spóźnię. Boże, już jestem trupem.

Odrzucił głowę w kierunku, w którym oddalała się ciężarówka. Stwierdził jedynie, że to musiał być holownik. Czerwone światła pozycyjne odbijały się licznymi refleksami w wielkim wypolerowanym haku. Silnik zawył, wóz przyspieszył i zniknął za kolejnym wzgórzem.

Mike wciąż leżał, ogłuszony i obolały, i starał się przetrwać pierwsze fale paniki.

Kiedy ciężarówki nie było już słychać, chłopak spojrzał w czarne bezgwiazdne niebo. W oddali uderzyła błyskawica, zalewając chmury czerwoną poświatą.

Starał się zebrać myśli. Nie rozumiał, co się właśnie wydarzyło. Czuł się pokonany, głupi i jednocześnie zaskoczony. Tak, zaskoczony. Idiota w holowniku próbował rzucić go z drogi! Naprawdę to zrobił. Zmieniał pasy, żeby go zepchnąć, Mike nie miał co do tego wątpliwości. Ale i tak niczego nie rozumiał.

Spróbował się poruszyć, ale jeszcze nie mógł. Leżał więc, skupiając się na myśleniu, żeby jak najdalej odsunąć od siebie ból.

Pewnie, że widział już wcześniej narwańców, którzy bawili się z rowerzystami w grę, kto pierwszy stchórzy - ale nigdy nie robili tego do samego końca. Nigdy w nocy, na pustej drodze, przy takiej prędkości i z tak wyraźnym zamiarem zepchnięcia kogoś z drogi. Albo może nie, może on wcale nie miał zamiaru zepchnąć go na pobocze? Może chciał go... uderzyć? Nie, to niedorzeczne. Mike uznał, że to niemożliwe.

Jego płuca powoli zaczynały pracować.

- Jeszcze minutka i wstanę - powiedział na głos, ale sam nie wierzył w te słowa.

Mogłem być już trupem, pomyślał. Gdybym nie jechał tak szybko, byłbym martwy. Przypomniawszy sobie każdy szczegół niesamowitej ucieczki przed rozpędzonym holownikiem. Przypomniawszy sobie, jak czas nagle zwolnił, dzięki czemu udało mu się uciec w bok. Dziwne, bardzo dziwne...

Żyje tylko dzięki temu, że odpowiednio się zachował. Myślał o tym przez długi czas, co chwila odtwarzając w głowie całą sytuację. Mimo bólu czuł, że się uśmiecha. Żyje, bo w odpowiednim czasie zachował się tak, jak powinien się zachować. I na dodatek zrobił to błyskawicznie, bez wahania i bezbłędnie. Żadnych gier. Umysł pokazał mu drogę, a on nią podążył, unikając obrażeń. Żelazny Mike Sweeney, Pogromca Zła we własnej osobie.

Spróbował się poruszyć, ale w jego plecach eksplodowała kula ognia i bólu wielkości Północnej Dakoty.

Jeszcze tylko minutka, pomyślał. Wstanę i już mnie tu nie ma. Ale jeszcze minutkę poleżę.

Gdyby nie uciekł w bok, potężne koła holownika zrobiłyby z niego miazgę. Mokrą plamę. Świadomość, czego uniknął, nie cieszyła go jakoś szczególnie, bo na pierwszy plan wysuwała się myśl, że kierowca chciał go zabić.

Żebro zaczynało naprawdę boleć. Czas mija, a Vic pewnie coraz bardziej się niecierpliwi. Pewnie przygotował już skórzany pas i bawi się nim, trzymając w wielkich łapach, szczęśliwy, że już tak późno. Uczucie dumy natychmiast zniknęło. Strach przed ojczymem był przemożny.

Nadal leżał bez ruchu i starał się zebrać w sobie, żeby wstać. Myślał też o chwili, która zadecydowała o jego życiu, czyli momencie, kiedy wypadł z drogi. Przypominał sobie, co wtedy czuł. Ani przez chwilę nie była to panika. Nie, ta nie pojawiła się nawet na ułamek sekundy. To musiało być coś znacznie prostszego i głębszego. Zrobił to, co powinien, chłodny, doskonale wyliczony ruch. Drobiazg albo wielkie zwycięstwo - nieważne, jak to oceniać, zadecydowało o życiu Mike'a Sweeney'a.

Usiadł powoli i ostrożnie. Kiedy to zrobił, ból zelżał, a on obrócił się i z ulgą stwierdził, że bolesne klucie w plecach nie było wywołane jakimiś strasznymi

obrażeniami, a sztywnym zielonym zakończeniem łodygi dyni. Zakręcony kawałek twardej gałązki wbijał się mu w plecy i sprawiał okropny ból. Mimo to był przekonany, że jedno lub dwa żebra są przynajmniej pęknięte, choć gdy siedział, czuł się znacznie lepiej. Wziął to za dobrą monetę, mimo że uczucie ulgi mieszało się z rozczarowaniem. Gdyby wbił coś sobie w plecy, mógłby przynajmniej jedną noc spędzić poza domem, w szpitalu.

- No cóż - powiedział do siebie, ostrożnie wstając. Zajęło mu to sporo czasu. Bolały go obie kostki, choć nie były skręcone. Nabral też pewności, że jedno żebro jest złamane. Przy każdym oddechu czuł, jakby wbijał sobie w bok rozpalone żelazo.

Pokuśtykał do Maszyny Wojennej. Leżała na boku, ubrudzona kawałkami dyni i błota. Bardzo ostrożnie ukucnął, złapał rower i postawił go na kołach. Na wpół się na nim opierając, na wpół go prowadząc, wyszedł na drogę i w świetle niemal nieustającej kanonady piorunów zaczął przeprowadzać inspekcję zniszczeń. Rama była cała, a kiedy popchnął go kilka razy w tył i w przód, z ulgą stwierdził, że koła pozostały proste, mimo potężnego uderzenia. Jak rower przetrwał taką kraksę, pozostawało dla niego tajemnicą, ale biorąc pod uwagę, jak sam się czuł, nie zamierzał zaglądać w zęby darowanemu koniowi.

Usiadł na siodełku, krzywiąc się niemiłosiernie z bólu, i ruszył przed siebie. Bolało tak, jak się spodziewał, i przez chwilę miał wrażenie, że może nawet zemdleć, ale jakoś dał sobie radę. Dużo czasu zajęło mu odzyskanie czystego pola widzenia, bo oczy wciąż mu łzały, a kiedy widział już drogę przed sobą, w kącikach źrenic wciąż tańczyły nieznośne ogniki. Toczył się po asfalcie, pedałowując na tyle, na ile był w stanie. Bał się zbliżających podjazdów. Kiedy w końcu oddalił się od miejsca katastrofy i stwierdził, że może pedałowac pod górke, przyspieszył. Mimo że wiedział, iż w domu czeka na niego pas Vica.

6.

Droga A-32 prowadziła przez środek Pine Deep. Delikatnymi łukami meandrowała wzdłuż kanału, a potem wypadała prosto za miasto, między pola. To była główna droga, którą turyści dostawali się do miasta i je opuszczali i którą przyjeżdżały potężne ciężarówki z pustymi przyczepami, by odjechać załadowane po burty zebraną kukurydzą, dyniami, jabłkami i gruszkami. Za dnia poruszały się nią traktory i majestatycznie toczyły potężne kombajny, przysparzając nerwów wycieczkowiczom, którzy na jeden dzień wyrwali się z Filadelfii, Doylestown czy Willow Grove, by zrobić zakupy w słynnych antykwariatach i galeriach rękodzieła w

Pine Deep, zjeść coś w luksusowych restauracjach, napić się wyjątkowych gatunków win czy rzadkich odmian whisky w kawiarniach przy deptaku. Około piętnastu kilometrów za miastem A-32 krzyżowała się pod kątem prostym z niewielką, gruntową drogą. Nie nosiła ona żadnej oficjalnej nazwy, bo w rzeczywistości była dawną drogą dojazdową do nieistniejącej już farmy, ale i tak wszyscy nazywali ją Drogą do Mrocznego Jaru, bo tam właśnie prowadziła. Wieczorem i wczesną nocą podskakiwały na niej samochody nastolatków, którzy jechali do Passion Pit, miejsca nazwanego tak jeszcze w latach czterdziestych XX wieku, by oddawać się tam swoim zabawom. Niemal każdej nocy przydrożne drzewa oświetlały drżące światła reflektorów wozu podskakującego na koleinach, a wieczorną ciszę przerywało westchnienie kochanków.

Chociaż cała okolica nazywana była Mrocznym Jarem, prawdziwy jar znajdował się nieco dalej. Była to bardzo głęboka i wąska dolina, która wyla się między trzema wzgórzami. Najniższe ze wzniesień miało na jednym ze zboczy naturalną płaską platformę, którą nazwano kiedyś Passion Pit. Otaczały ją młodziutkie drzewka wyrastające między osmolonymi kikutami lasu, który spłonął kilka lat wcześniej w pożarze wywołanym niedopałkiem. Choć ogień był naprawdę groźny, nie wszystkie drzewa zginęły. O dziwo, sporo sosen przetrwało, tracąc jedynie igły i część gałęzi. Powoli, ale z determinacją, na spalone obszary wracało życie i kolor.

Nocą, szczególnie gdy po niebie płynęły chmury, kiedy księżyc nie oświetlał ziemi nawet odrobiną poświaty, Mroczny Jar był ciemny jak krypta grobowa, a wyglądem przypominał świeżo wykopaną mogiłę. Jednak w Pine Deep były miejsca znacznie gorsze, pulsujące złowrogim napięciem. Ale nie miały one nazwy i nikt nie myślał o nich z własnej woli. Mroczny Jar był wrotami, przez które można było się tam dostać, choć dla mieszkańców Pine Deep pozostawał najciemniejszym i najbardziej przerażającym ze znanych im miejsc.

Ostatnie koniki polne grały spokojnie w wysokiej trawie jaru, a w dziupli starego spalonego dębu siedziała sowa i przyglądała się wszystkiemu, co poruszyło się w ciemnościach. Przez cały dzień miejsce było bezлюдne, a teraz, w jednej chwili, pojawił się mężczyzna. Sekundę wcześniej stał jeszcze na drodze, a teraz nagle pojawił się tutaj. Rozejrzał się, jakby nie potrafił zrozumieć, jak to się stało.

Na jego twarzy malowało się napięcie i zmęczenie, ale też smutek. Spoglądał na cienie, które niczym chmury niebo wypełniały Mroczny Jar. Popatrzył na bagno, po czym usiadł powoli. Miał bladą skórę, która wyglądała, jakby świeciła w ciemności, i puste oczy. Nieopodal, oparta o resztki pnia spalonego drzewa, stała gitara. Przed nim znajdowało się stare wygaszone ognisko, przy którym miłe chwile

spędzili pewnie jacyś miejscowi. Drewno wypaliło się tylko częściowo, ale dziś było już zimne i wilgotne.

W ciemnościach rozległo się miękkie trzepotanie, a szary mężczyzna podniósł głowę wystarczająco szybko, by zobaczyć, jak ptak zeskakuje z gałęzi, na której siedział, na niższą. Stał na cienkich, patykowatych nóżkach i przekrzywiał główkę, jakby dawał do zrozumienia, że zna tego człowieka.

- Tak, bracie kosie. Znamy się. Ja ciebie, a ty mnie. - Mimo że usta mężczyzny się poruszały, nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Ptak rozłożył skrzydła i podleciał nieco bliżej. Człowiek obserwował jego poczynania, aż w końcu pomyślał jeszcze: Tak, znasz Szkieleta. Nikt poza nim nie słyszał słów, które chciał wypowiedzieć, więc nikt nie wiedział, ile kryją w sobie smutku. Znasz Szkieleta, tak jak wszyscy go znają i wiedzą, że nic nie znaczą.

Złapał gitarę i uderzył w struny. Dźwięk był wysoki i słodki, ale odległy, jakby dochodził zza zamkniętych drzwi.

- Zimno ci? - zapytał Szkielet ptaka. - Bo ja marznę jak cholera.

Ptak zakwilił jak zardzewiałe zawiasy.

- Ale mnie zawsze jest zimno. - Szkielet spojrzął na stare ognisko. Nic więcej nie powiedział, nawet kiedy niedopalone drewno zajęło się nagle ogniem. Ptak zatrzepotał gwałtownie skrzydłami i chciał odlecieć, ale zawahał się i został. Przyglądał się mężczyźnie, jego poświęcie i czuł jego ciepło. Polana przygasła i teraz paliły się przyjemnym niewysokim płomieniem, dziwnie niepasującym do tego opuszczonego miejsca.

Szkielet sięgnął do kieszeni i wyjął z niej wytartą, odpiłowaną szyjkę od butelki whisky. Pasowała na palec wskazujący jego lewej ręki. Prawą rękę położył na strunach, ale nie zaczął grać. Zamiast tego zwiesił głowę jak do modlitwy, a drzewa i wszystko dookoła pograżyło się w ciszy. Potem powoli, ledwie muskając struny, zaczął grać stary standard bluesowy *Black Ghost Blues*. Grał i grał, a niebo nad jego głową co rusz przecinały błyskawice.

Kiedy skończył, przez chwilę panowała cisza. Szkielet wsłuchiwał się w burzę. Potem zagrał inną melodię. Smutną piosenkę napisaną przez jego dziadka, wiele, wiele lat temu. Nosila tytuł *Ghost Road Blues*.

Niedaleko niego, wystarczająco blisko, żeby je czuł, na samym dnie Mrocznego Jaru znajdowało się miejsce, które było znacznie mroczniejsze niż cały Mroczny Jar. Miejsce pełne pleśni, zgnilizny i zepsucia, gdzie odrażające robactwo pędziło żywot wokół bagna pogrążonego w nieprzeniknionym mroku. Wysokie drzewa pochylały się nad brudną wodą jak żałobnicy nad trumną. Powykręcane i pozwieszane gałęzie przykrywały szczelnie błotnistą maź jak mech pokrywa głąz i odgradzały ją od słonecznego światła nawet w najdłuższe letnie dni. A dziś, jesienią, miejsce to było bez mała świątynią ciemności, chłodną i pogrążoną w przerażającej ciszy.

Mężczyzna skończył kolejną piosenkę i przez chwilę siedział nieruchomo, wpatrując się w ciemność. Czuł nieprzyjemny mrok tego miejsca, czuł, jak falami obmywa wszystko dookoła. Doskonale je pamiętał. Pamiętał, jak się go kiedyś bał. W głowie miał jego obraz skąpany we krwi i przemocy. Dawno temu Szkielet naiwnie myślał, że zło tego miejsca zniknęło wraz z człowiekiem, który wykorzystywał bagno jako swoją fortecę. Wierzył, że gdy mężczyzna zginie, jego zło odejdzie razem z nim. Teraz, spoglądając za siebie, na te wszystkie puste i samotne lata, w końcu zrozumiał słowa, które wtedy usłyszał. Zło nigdy nie umiera. Ono tylko czeka. Czai się w ciemnościach i nabiera sił. Dziś, trzydzieści lat po tamtych wydarzeniach, wciąż słyszał okropny chrzęst tych słów. Zło nigdy nie umiera. Ono tylko czeka.

Mężczyzna ubrudzony ziemią z cmentarza i ptak siedzieli przy ognisku i w milczeniu patrzyli w ogień.

Zło czaiło się w ciemnościach i nabierało sił.

ROZDZIAŁ 7

1.

Droga ciasno zakręcała, a potem pędziła naprzód prosto jak autostrada. Mike pedałowal jak dziki, starając się jak najpłycej oddychać, by uniknąć bólu, lecz płuca rozpaczliwie domagały się większej ilości powietrza. Noc była cicha i ciemna. Miał wrażenie, że zamieniła się w lepką maź, która nie pozwala mu nabrać prędkości. Nie odważył się spojrzeć na zegarek. Minęła już ponad godzina, od kiedy wariat w ciężarówce próbował go przejechać, a Vic nie będzie zadowolony ze spóźnienia. Mike zastanawiał się, czy złamane żebro może być usprawiedliwieniem i uratuje go przed laniem, ale uznał, że tak się nie stanie. Wyobrażał już sobie nawet, co usłyszy od ojczyma.

„Chłopcze, masz złamane żebro, a nie dupę. Na krzesło i nie chcę słyszeć żadnych wrzasków! Zachowuj się jak mężczyzna!”

Jak mężczyzna, pomyślał gorzko. Mężczyzna nie pozwoliłby na coś takiego.

Łzy same cisnęły mu się do oczu, ale głośno pociągnął nosem i nie pozwolił sobie na płacz. Nie będzie - już nigdy, przenigdy nie będzie płakał przez tego łajdaka. Nigdy więcej. Złość dodała mu sił i przez chwilę pedałowal w milczącej furii, ignorując, a nawet trochę ciesząc się z bólu.

Jeśli wytrzymuję ze złamanym żebrem, to wytrzymam też kolejne lanie pasem.

Przejechał niemal pięć kilometrów, kiedy drogę rozświetliła seria wyjątkowo mocnych wyładowań. Zwolnił i zatrzymał rower. Tuż przed nim, kilka centymetrów od przedniej opony, zobaczył na asfalcie dwa czarne jak smoła ślady. Z początku prowadziły łagodnym łukiem, by w pewnym momencie gwałtownie odbić i zjechać z drogi. Krzywiąc się z bólu, przełożył nogę nad ramą i zsiadł z roweru. Stał piętami na skraju twardej nawierzchni, z palcami wiszącymi w powietrzu, nad głęboką wyrwą w trawie, która ciągnęła się aż do rowu melioracyjnego, a po jego drugiej stronie zamieniała się w wielką, głęboką dziurę. Począł na kolejną błyskawicę, by zobaczyć, gdzie po drugiej stronie zaczynają się dalsze ślady i dokąd prowadzą. Tam były znacznie głębsze i poszarpane, a dookoła nich leżały powyrywane kępy trawy i grudy ziemi. Poruszając się w rytm błyskawic rozświetlających nocne niebo, przeszedł całą drogę od początku, od miejsca, w którym zaczynały się ślady poślizgu. Kawalek po kawalku zaczął łączyć kolejne fragmenty w całość, by dowiedzieć się, co wydarzyło się na drodze. Samochód musiał gwałtownie zahamować, a kierowca stracił kontrolę nad poślizgiem. Potem wypadł z drogi, jakimś cudem przedostał się na drugą stronę rowu melioracyjnego i żłobiąc głębokie koleiny w miękkiej ziemi, runął między wyrosnięte łodygi kukurydzy, ryjąc w niej głęboki ślad. Samochód się nie zatrzymał. Mike przesunął się w bok, żeby lepiej widzieć pole. Kolejna błyskawica obdarzyła go ostatnim kawałkiem układanki, kiedy wiele metrów w głąb kukurydzy zobaczył delikatny błysk metalu rozbitego wozu.

- O rany! - powiedział głośno. Niezdecydowany spojrzał na swój rower porzucony na drodze, a potem znów na pole kukurydzy. Domyślał się, że do wypadku doszło całkiem niedawno, bo kiedy jechał w tamtą stronę, na drodze nie było śladów hamowania. A więc najwyżej dwie godziny temu.

Holownik przyjechał z tego kierunku, pomyślał Mike, więc możliwe, że to jego kierowca zmusił ich do wypadnięcia z drogi.

Potem przyszła mu do głowy straszna myśl: we wraku wciąż mogą być uwięzieni ludzie.

Mike poczuł, jak serce zaczęło mu walić w piersiach. Wyobrażenie rannych uwięzionych we wraku samochodu było jednym z najgorszych obrazów, o jakich mógłby pomyśleć. Ratownicy, którzy wycinali jego tatę z auta, które rozbił, wracając z nocnej zmiany, powiedzieli, że zanim umarł, wykrwawiał się tam przynajmniej przez pół godziny. Pół godziny męczarni przerwanych w chwili, kiedy wyciekająca benzyna dotarła do rozgrzanych części silnika i doszło do zapłonu. Mike nie potrafił znieść myśli, że teraz ktoś też może tkwić w pogiętym wraku rozbitego wozu i czekać na pomoc, umierając powoli tak jak jego tata. To było coś, co pojawiało się w jego koszmarach.

Zanim uświadomił sobie, jaką podjął decyzję, zrobił krok i zszedł z asfaltu na grząską ziemię zбочa rowu.

Wtedy wydarzyło się coś naprawdę niepojętego.

Z miejsca, gdzie samochód połamał kukurydzę, wyszedł mu na spotkanie potężny jelen. Kroczył dostojnie, oświetlając swoją postacią wszystko dookoła, tak samo jak światło błyskawic oświetla ziemię. Mike westchnął głęboko i się zatrzymał. Nawet nie zwrócił uwagi na palący ból żeber, kiedy płuca rozepchnęły obolałą klatkę piersiową. Był zbyt zaskoczony, żeby choć mrugnąć okiem.

Jelen był wielkim samcem, chyba dwunastakiem, i już samo to wystarczyłoby, żeby zatrzymać chłopaka w pół kroku. Ale tym razem dochodziła jeszcze jedna szczególna cecha zwierzęcia: jego kolor. Było bowiem śnieżnobiałe. Białe białą, której tak naprawdę nie da się do niczego porównać. Kiedy kroczył powoli, potężne mięśnie wyraźnie grały pod skórą. Zatrzymał się kilka metrów od Mike'a, po drugiej stronie rowu.

Chłopak nie mógł oderwać oczu od zwierzęcia. Uśmiechnął się, czując jego majestat, choć zrobił to zupełnie bezwiednie. W tej chwili nie pamiętał o złamanym żebrze i o brutalnych rękach Vica, które czekają na niego w domu. Zapomniał o śladach na asfalcie i o wraku samochodu. Przepelniał go zachwyt nad pięknem i dostojnością wspaniałego stworzenia. Nie miał wątpliwości, że to największy jelen, jakiego w życiu widział. Ważył przynajmniej sto kilogramów... i stał tak niewiarygodnie blisko!

Jelen spojrział na niego szlachetnymi oczami, z których przebijała mądrość. Nie okazał przy tym najmniejszych oznak strachu. Nie odrywał wzroku od chłopca, kiedy ruszył i niewielkim łukiem minął go, odchodząc na bok.

- O rany... - westchnął Mike, a jego głos był miękki jak delikatna bryza.

Oczy jelenia miały w sobie coś nienaturalnie ekspresyjnego i intensywnego. Mike miał wrażenie, że emanują siłą, która przyciąga jego oczy i nie pozwala mu spoglądać w bok. Spróbował odetchnąć, ale miał trudności z nabraniem powietrza. Zwierzę znów się zatrzymało i ozdobioną wspaniałym wieńcem głowę odwróciło w kierunku pola. Potem jelen spojrział na Mike'a. Chłopak momentalnie przypomniał sobie o wraku i poczuł się rozdarty między pragnieniem pozostania na miejscu i podziwiania niesamowitego zwierzęcia a niesieniem pomocy ofiarom wypadku. Jelen opuścił łeb i zatrząsł porożem, a Mike poczuł w gardle kluchę wielkości melona. Trwali tak przynajmniej trzydzieści sekund, zanim odważył się zrobić kolejny krok. Między połamanymi i nadłamanymi łodygami przy każdym kolejnym błysku widział metal pogniętej karoserii. Zrobił jeszcze krok w stronę pola.

Roztaczając dookoła białą poświatę, jelen ruszył w jego kierunku.

Mike krzyknął ze strachu, kiedy potężne kopyta uderzyły w ziemię zaledwie trzydzieści centymetrów od jego stóp. Chłopak zatoczył się na asfalt, a nogi ślizgały mu się po mokrej trawie, kiedy próbował odzyskać równowagę. Ból złamanego żebra i zbitych pleców przesywał jego ciało jak rozgrzana do czerwoności włócznia. Po raz kolejny wrzasnął i upadł na plecy, a jeleni jeszcze raz skoczył. Mike nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy zobaczył, jak zwierzę zgrabnie ląduje na asfalcie za nim. Stał teraz na środku drogi, wyprężony i dumny, z ognistymi jęzorami między porożem, roztańczając blask.

Mike łapał otwartymi ustami powietrze, walcząc z szokiem i bólem. Obejrzał się i usiadł, a potem ostrożnie wstał. Świat lekko zawirował, ale, o dziwo, żebro nie bolało już tak strasznie, jakby upadając, przesunął obie uszkodzone końcówki kości na swoje miejsce. Jeleń nadal stał na środku jezdni z szeroko rozstawionymi kopytami i płonącymi czernią oczami.

Chłopak zastanawiał się, co powinien zrobić. Niepewnie ruszył w kierunku pola i szybko obejrzał się na jelenia, nie wiedząc, jak zwierzę na to zareaguje. A ono uniosło się na zadnich nogach i łupnęło kopytami o ziemię.

- Cholera! - Mike zaklął i cofnął się. Zachwiał się na brzegu rowu, zamachał rozpaczliwie rękami i z trudem odzyskał równowagę. Wysiłek sprawił, że ból znów przeszył jego ciało. Zacisnął powieki, powstrzymując łzy i krzyk bólu. Przez dłuższą chwilę czekał, aż będzie w stanie otworzyć oczy i myśleć o czymkolwiek poza ogniem rozrywającym jego bok. Kiedy znów spojrzął na drogę, jeleni stał metr bliżej. Gdyby się odważył, mógłby wyciągnąć rękę i pogłodzić jego bielutką skórę - ale się nie odważył. Ich oczy znów się spotkały, zatrzymały i przyciągnęły. Mike oddychał ciężko, czując w spojrzeniu zwierzęcia niesamowitą moc. W czarnych źrenicach coś błysnęło. Była w nich jakaś pierwotna nieposkromiona siła, coś prastarego, czego chłopiec nie potrafił pojąć. Ogarnęło go przerażenie, duma, zmieszanie i coś...

Coś między nimi powstało. Cienka nić zrozumienia, delikatny powiew wiedzy...

I na chwilę, na ułamek sekundy Mike znalazł się w innym miejscu. Nie stał już na drodze, w pobliżu nie było jego roweru i nie wpatrywał się w niego ogromny jeleni. Mike Sweeney był na dnie ciemnego, bagnistego jaru. Wszędzie dookoła płonęły ognie. W niektórych miejscach płomienie tańczyły na drzewach i krzewach, w innych paliły się ciała. Ciała ludzi, którzy uciekali, wrzeszczeli i usiłowali wyrwać się z ognistej pułapki. Mike spojrzął w dół i zobaczył, że w rękach trzyma miecz samurajski, którego ostrze pokrywała taka ilość krwi, że w czerwonej poświacie sprawiało wrażenie całkowicie czarnego. W nielicznych fragmentach stali nieubrudzonej posoką odbijał się blask ognia.

Mike się rozejrzył. Niedaleko na ziemi leżał Malcolm Crow, właściciel sklepu w mieście. Na plecach miał przymocowany duży zbiornik z długim węzłem, który wciąż ścisnął w dłoniach. Miał zamknięte oczy i pachniał benzyną. Ognista ściana zbliżała się do niego przez porastającą ziemię trawę. Twarz miał czerwoną od krwi, a oczy zamknięte.

Niedaleko niego zobaczył dwóch mężczyzn. Dużego białego faceta i starszego czarnoskórego. Obaj ociekali krwią i obaj wpatrywali się w niebo.

Chłopiec obejrzał się za siebie i zobaczył Val Guthrie, kobietę, która była właścicielką jednej z większych farm za miastem. Wiedział, że chodzi z Crowem. Kleczła i, płacząc, tuliła w ramionach starszego człowieka. Henry Guthrie był zakrwawiony i martwy.

Gdziekolwiek spojrzął, widział krew i śmierć, a jeśli nie śmierć, to ból i cierpienie. Była tam też jego matka. Uśmiechała się do niego zakrwawionymi ustami. Kiedy go zobaczyła, wstała i przyjrzała mu się oczami, które nie były niebieskie, a ogniście czerwone. Potem cofnęła się i zniknęła w płomieniach.

Następnie zobaczył przesuający się cień. Szybko spojrzął do tyłu, ciekaw, co go rzuca. Musiał spojrzeć w górę, wyżej i wyżej... i jeszcze wyżej... i wtedy zobaczył przerażające monstrum górujące nad płomieniami. Rozległ się śmiech przypominający serię grzmotów.

- Mój! - zasyczała kreatura i pochyliła się nad Mikiem.

Czas w jednej chwili wrócił do normalnego biegu, a Mike do rzeczywistości, która wydała mu się potężnym otrzeźwiającym policzkiem. Zatoczył się i potknął o rower. Jeleń zakołysał porożem.

W głowie wciąż płonęły mu ognie ze snu. A może raczej koszmaru, który przeżył na jawie. Na szczęście zaczynały gasnąć. Mike chciał je jeszcze raz zobaczyć i zapamiętać, bo nie wiadomo dlaczego zdawał sobie sprawę, że to coś bardzo ważnego. Po chwili już ich nie widział. Nie pozostała po nich nawet mgiełka, tylko przemożne uczucie strachu.

Zwierzę cofnęło się kilka kroków. Stało i przyglądało się chłopcu, jakby na coś czekając. Potem przeniosło wzrok na Maszynę Wojenną i delikatnie stuknęło w nią kopytem, i jeszcze raz, tym razem kierując łeb w stronę Mike'a. Przez kilka sekund zastanawiał się, o co chodzi. W końcu zrozumiał i ostrożnie wstał. Zachwiał się na osłabionych nogach i popatrzył na jelenia, a potem na pole kukurydzy z wrakiem samochodu. Kolejne potrząśnięcie porożem. Mike podszedł do roweru, a zwierzę się odsunęło. Ani na chwilę nie zerwali kontaktu wzrokowego, nawet kiedy chłopak podnosił z asfaltu swoją maszynę.

- Kim jesteś... - Mike zaczął, ale urwał. Zwierzę spoglądało na niego mądrymi pradawnymi oczami, a on poczuł, że pytanie go o cokolwiek byłoby nie na miejscu.

Wsiadł na rower, nie wiedząc, co czuje. Zaskoczenie? Niepewność? To tylko zwierze, pomyślał, starając się w to uwierzyć. Tylko jeleń.

Tak, akurat, odpowiedział sam sobie. Taki z niego zwykły jeleń jak z Vica pa-pież.

Powoli i z dużym wysiłkiem nacisnął na pedały. Spojrzał za siebie, dopiero gdy znalazł się tuż przed odległym zakretem. Wtedy zwolnił i odwrócił się dokładnie w chwili, gdy majestatyczne białe zwierzę przeskakiwało rów i znikowało między połamanymi łodygami kukurydzy.

- O kurka - mruknął do siebie Mike. - O kurka, kurka, kurka.

Popatrzył na drogę przed sobą i spróbował doprowadzić do porządku rozbiegane myśli i umęczone ciało. Musi jakoś dostać się do domu. Nie może myśleć o jeleniu. Ani o rozbitym samochodzie. Ani o holowniku, który próbował go rozjechać. Ani o bólu.

Ani o ciężkich rękach Vica.

Nie chciał myśleć o żadnej z tych rzeczy. Pragnął tylko znaleźć się w swoim pokoju. Zmusił się do jazdy, choć ręce miał już bardzo zmęczone i z trudem oddychał. Noc dookoła niego rola się od cieni.

2.

Białe zwierzę obserwowało Mike'a ze skrajów pola. Potem odwróciło się i krok za krokiem ruszyło przed siebie. Na jego futrze zatańczyły czarne cienie kukurydzy, zbudzone kolejną błyskawicą. Wydawało się znikać w największych rozbłyskach światła, a kiedy burza nadciągnęła nad Pine Deep, znowu się pojawiło. Potężny samiec wszedł w głęboki cień kukurydzy, a kiedy błysk kolejnego wyładowania rozświetlił pole, zamiast niego ukazał się mężczyzna w czarnym garniturze ubrudzonym ziemią z gitarą przewieszoną przez plecy. Poruszał się tak powoli, jak wcześniej zwierzę, szedł w tym samym kierunku, a pierwsze ślady jego stóp pojawiły się w miejscu, gdzie zniknęły ślady kopyt jelenia.

Szkielet zatrzymał się i obejrzał za siebie. Uśmiechnął się krzywo.

- Ciekawe, czy Tommy Johnson tak potrafi. - Powiedział głosem słabym jak podmuch wiatru. - Albo Robert Johnson.

Wszedł na szczyt wzniesienia i patrzył jeszcze przez chwilę, jak Mike wspina się na najdalszy podjazd. Głowa Szkieleta płonęła jeszcze obrazami, które zobaczył w umyśle chłopaka. Jego usta ułożyły się w pojedyncze słowo.

- Dhampir.

Gdzieś wysoko rozległ się wściekły łoskot. Nocne ptaszyska zerwały się i wzbily w niebo, a powietrze wypełnił ich jazgot, jakby wiatr przywiał jakieś zbłąkane dusze.

Księżyc był coraz wyżej, lecz krył się za chmurami, jakby miał coś na sumieniu. Do świtu pozostało wiele godzin, a noc miała jeszcze dużo do zrobienia.

3.

Crow gnał A-32, niebezpiecznie szybko pokonując zakręty. To go odprężyło. Jechał swoim samochodem, starą szeroką impalą z lat siedemdziesiątych. Jak w większości wozów z tamtych czasów, gigantyczny silnik popychał do przodu karoserię wielkości lotniskowca. Crow zresztą czasem żartował, że sama maska starczyłaby za pas startowy, i nie był daleki od prawdy. Z wyjątkiem przedniego prawego błotnika, który był zielonożółty, całość połyskiwała czekoladowym brązem. Podsufitka w kabinie zwisała smętnie jak podwieszony w hangarze spadochron i co chwila opierała się o kręcone włosy kierowcy. Wszystkie siedzenia upstrzone były taśmą klejącą, świadczącą o licznych naprawach tapicerki. Właściciel w ten sam sposób uratował kiedyś klosz tylnych świateł, a przekrzywiony przedni reflektor sprawiał, że krążownik szos wyglądał, jakby miał zeza.

Missy nigdy nie przemieszczała się z bezpieczną prędkością, a Terry, ilekroć rozmawiał o tym z Crowem, nazywał jego wóz „pościgowcem”.

Malcolm był lekko rozbawiony „misją”, którą powierzył mu Wolfe, i myślą, że w Pine Deep pojawili się prawdziwi przestępcy. To była nowość, na tyle nieprawdopodobna, że mogła tylko wzbudzać zainteresowanie i śmiech. Ale jeszcze kilka lat temu zareagowałyby inaczej. Spodobałoby mu się to, ponieważ pracował jako etatowy policjant. Krążyły nawet plotki, że będzie się starał wygryźć starego Gusa Bernhardta - a Terry twierdził, że wystarczy dać mu znać, to on mu tę robotę załatwi. Wszyscy w mieście bardzo liczyli się z Wolfe'em, ale Crow nie miał takich ambicji.

To był dziwny fragment jego życia, pełen gwałtownych wzlotów i jeszcze gwałtowniejszych upadków. Przez pierwsze lata paradowania z odznaką zdarzały się niemal same upadki, bo był wtedy czynnym alkoholikiem, a przez to kilka razy wpakował się poważne tarapaty. Czasami przychodził do pracy pijany, a raz spowodował kolizję, wracając ze służby, którą spędził, słuchając bluesa, z butelką whisky w ręku. Jakiś facet pędził sto czterdzieści na godzinę crossfire'em, więc Crow ruszył za nim. Gdy kierowca sportowego auta zobaczył światła radiowozu i usłyszał syrenę, nie próbował niczego głupiego, posłusznie zwolnił i zatrzymał się na poboczu. Ale Malcolm miał już tak w czubie, że nie potrafił właściwie ocenić swojej prędkości, wjechał w tył chryslera i spowodował szkody warte, lekko licząc, tysiąc dolarów u niego i osiemset w radiowozie.

O mało nie wyleciał po tym z roboty, ale interweniował Terry. Gus był czerwony z tłumionej wściekłości, kiedy oznajmił, że jedyną karą będzie zawieszenie w obowiązkach na pełne dwa tygodnie, bez prawa do pensji. Podczas tej przerwy Terry postawił mu ultimatum - albo przestanie pić, albo straci przyjaciela.

Malcolm w pierwszym odruchu poszedł się zeszmacić. Kiedy rankiem otrzeźwiał we własnym ogródku, ubrany był jedynie w skarpetki, zarzygany i obsrany przez ptaki. Uznał że niżej już upaść nie może, a na dnie wcale nie jest tak fajnie.

Trzęsącymi się rękami wylał do klozetu cały domowy zapas alkoholu, a pozostały czas z przymusowego urlopu spędził, wpadając w coraz większe uzależnienie od kawy, papierosów i opowiadania wszystkim, jakie życie jest do dupy. Niewielu jednak chciało go słuchać. Zaczął też chodzić na spotkania AA, z początku tak intensywnie, że bywał tam nawet trzy razy dziennie. Kiedy wrócił do służby, był lżejszy o pięć kilogramów, wyglądał na dziesięć lat więcej, miał żółtą skórę, czerwone oczy i trzęsące się ręce. Był też od dwunastu dni trzeźwy.

Jego życie zwolniło, jakby wrzucił niższy bieg i zaczął spokojnie opuszczać doliny, których dotychczas się trzymał. Im był wyżej, tym bardziej wszystko nabierało tempa. W ciągu roku dostał dwie pochwały za nienaganną służbę, nie opuścił nawet jednego dnia pracy i zaczął odkładać pieniądze na sklep, który chciał kiedyś kupić. W styczniu drugiego roku trzeźwości został instruktorem jujitsu w YMCA w Crestville, kupił Missy, wyremontował ją, zacieśnił przyjaźń z Terryem Wolfe'em i całą resztą świata - z wyjątkiem Vica Wingate'a, Gusa i Jima Polka. I się zakochał.

Osiem miesięcy przed tym, jak rzucił pracę, starł się z członkami Pine Barons - lokalnego gangu motocyklowego, który powoli zaczynał wszystkim działać na nerwy. Crow żałował, że dał się w to wciągnąć - nie z powodu tego, co wtedy zrobił, bo był przekonany, że postąpił słusznie, a prasa uznała, że nawet bohatercko. Mianowicie dlatego, że cała sytuacja z baronami była zbyt ostentacyjna, nagłośniona i źle zrozumiana przez mieszkańców.

Sprawy nie wyglądały dokładnie tak, jak widział je Crow. On i jeszcze dwóch oficerów, zostali wysłani w trzech radiowozach, żeby przepędzili sześciu baronów z parkingu dla tirów w pobliżu mostu. Interwencja była częścią większego programu zachęcania motocyklistów do znalezienia sobie nowych terytoriów. Poza nagminnym łamaniem ograniczeń prędkości, piciem, prochami i bójkami, kilku z nich zaczęło zaczepiać dziewczyny z liceum w Pineland, wciągając niektóre w poppersy, lekkie narkotyki i seks grupowy, a inne zadręczając w sposób, którego wstydziliby się nawet wulgarni robotnicy portowi. Do policji wpłynęło kilka skarg, była nawet

mowa o jednym gwałcie, ale domniemana ofiara nie chciała zeznawać. Najprawdopodobniej zastraszyli ją albo za bardzo się wstydziła. To, że członek gangu uniknął odpowiedzialności, wzburzyło miejscowych, a motocyklistom dodało pewności siebie.

Dwóch policjantów, którzy pierwsi pojawili się na miejscu, zignorowało zalecenie, żeby czekać na wsparcie. Weszli do zajazdu, demonstrując, że choć mają jaja, brakuje im mózgu. Zanim Malcolm Crow doszedł do drzwi, Jim Polk wydarł się na członków gangu i próbował wywalić ich na zewnątrz. W następnej sekundzie związał się na ziemi, trzymając kurczowo za krocze, z twarzą czerwoną jak rozdeptany pomidor. W takiej pozycji zastał go Crow, kiedy wszedł do środka. Drugi glina, Golub, leżał na podłodze, a wszyscy kopali go, gdzie popadnie.

Malcolm wrzasnął do barmana, że ma zadzwonić po policję, i po prostu ruszył z odsieczą. Kiedy potem analizował całą sytuację, uświadomił sobie, że powinien wyciągnąć pistolet i kazać wszystkim położyć się twarzami do ziemi. Nie zależało mu na Polku, ale szczerze lubił Goluba - policjanta na pół etatu, który zaliczał praktyki z prawa w ich komisariacie. Crow ruszył naprzód i, jak barman relacjonował później gazetom, „jak Bruce Lee skopał im wszystkim dupy”. Trzech motocyklistów wylądowało w szpitalu, dwóch zostało opatrzonych na miejscu i przekazanych policji. Szósty zwiął, schował się w toalecie i siedział tam, dopóki nie pojawił się kolejny patrol, który go aresztował.

Gazety zrobiły z tej bójki wiadomość dnia. Artykuły podkreślały niewysoki wzrost i wątłą budowę Crowa, wykorzystując wszystkie superlatywy, jakie znaleźli w słownikach, by przeciwstawić te cechy „bestialskim” członkom gangu, których „masywne sylwetki” i „zwierzęca agresja” były „śmiertelnym zagrożeniem” dla całego Pine Deep. Lokalni dziennikarze mogli poziomem konkurować z gazetkami szkolnymi. Relacjonując awanturę, duży nacisk położyli na czarny pas Crowa i używali przy tym terminu „sensei”, co strasznie go irytowało. Jedyne umiarkowanie rozsądny artykuł ukazał się w „Black Marsh Sentinel”. Dołączono do niego ramkę z opisem jujitsu i krótkie zestawienie aktów przemocy, jakich dopuścili się członkowie gangów motocyklowych w całej Pensylwanii.

Tamte wydarzenia stały się pożywką dla lokalnych legend, a stąd była już krótka droga do powstania plotek o aspiracjach Crowa do stanowiska szeryfa, i to w takim tonie, jakby wybory były tylko formalnością. Gus Bernhardt, który nie potrafił podjąć żadnych działań, kiedy baronowie pojawiali się wcześniej w mieście, był przez cały tydzień linczowany przez prasę. Nawet Crow, który nieszczególnie za nim przepadał, uważał, że to trochę nie fair. Poza tym, pomijając gang motocyklowy, Pine Deep było zbyt spokojnym miasteczkiem, żeby ktokolwiek mógł zapracować na reputację pogromcy nieprawości. Rozdźwięk polegał na tym, że Gus

chwalił się wcześniej na prawo i lewo, że to jego zasługa. Zanim Crow podjął decyzję, czy chce kandydować na szeryfa, Gus już prowadził swoją kampanię.

Kilka miesięcy później, dosłownie kilka chwil, zanim Crow musiał oficjalnie zadeklarować chęć kandydowania, znalazł się bank, któremu spodobał się pomysł dużego sklepu z rękodziełem i wyłożył pieniądze na pożyczkę. Malcolm zastanowił się nad plusami bycia szefem policji w miasteczku, w którym najpospolitszym czynem karalnym jest przejście na czerwonym świetle, i nad zaletami prowadzenia własnego sklepu. Mógłby sprzedawać w nim między innymi gumowe psie gówna, jak się nieogłędnie wyraziła Val. Decyzja zajęła mu niecałe czterdzieści sekund. Wręczył Gusowi wypowiedzenie i starał się nie uznać za obelgę słodkiego uśmiechu szeryfa. Odwiesił do szafy mundur, broń zawinął w naoliwioną szmatkę i został biznesmenem.

W takim razie, pomyślał, co robię ze spluwą wetkniętą za pasek od spodni na drodze, którą zwiewają jacyś kryminaliści?

- Niech mnie szlag trafi, jeśli zgadnę - powiedział na głos. Pistolet ciążył mu jak kowadło. Przez kolejnych kilka kilometrów próbował udawać, że go tam nie ma. Potem, kiedy minął wielką plantację czosnku, która należała do Millie i Gusa, nie wytrzymał.

- Terry, możesz pocałować mnie w dupę! - Podniósł koszulę i wyjął pistolet. Przechylił się, otworzył kciukiem schowek po stronie pasażera i wepchnął tam broń. W sekundzie, w której zatrzasnął klapkę, świat wydał mu się piękniejszy. Z bałaganu na siedzeniu obok wyłowił płytę, której szukał, i wsunął ją do odtwarzacza. Podkręcił głośność na maksimum, a z głośników popłynął blues Howlin' Wolfa o nocnej jeździe autostradą numer 41.

Na A-32 było sporo samochodów z turystami jadącymi do miasta, ale jego pas był pusty. Histerycznie rozdzwoniła się komórka, a Crow pomyślał, że jej dźwięk przypomina R2D2 posuwanego przez Jimmy'ego Cricketa. Przekręcił się na siedzeniu, z tylnej kieszeni spodni wyjął telefon i sprawdził, że to tylko SMS. Wcisnął odpowiedni przycisk, żeby go przeczytać, a na ekranie pojawiła się tylko cyfra 69. Uśmiechnął się. Jeden z pikantnych żarcików Val. A może zachęta? Zachował wiadomość, a potem wsunął słuchawkę do kieszeni na piersi. Pomyślał, że zadzwoni do niej, kiedy tylko upora się z „Przejażdżkami”. Jeśli Coop jest na miejscu, nie powinno mu to zająć więcej niż dziesięć minut, a w najgorszym razie pół godziny, jeśli będzie musiał wziąć quada i pojechać szukać go w terenie. Włącznie z wyproszaniem dzieciaków i dopilnowaniem zamknięcia całości maksymalnie godzinka.

Wyobrazil sobie Val i przez chwilę widział jej obraz unoszący się nad asfaltem. Gibkie ciało spowite w cień, połyskujące podniecającym potem, mięśnie napięte pod delikatną, opaloną skórą, leżała na plecach, jak wtedy, gdy się kochali. Crow

zabębnił palcami o kierownicę, przypominając sobie każdy smakowity centymetr jej ciała. Może znów będzie miała ochotę na późny spacer pod gwiazdami, mimo zbliżającej się burzy i chłodniejszej nocy?

Uśmiechnął się i wybijając rytm, wyjechał za miasto, wspinając się na kolejne wzniesienia, zjeżdżając po drugiej stronie i niebezpiecznie szybko pokonując zakręty, raz na czterech kołach, to znowu na dwóch. Missy, niezależnie od masy, była zwinna jak akrobatka.

Za kilka kilometrów skręci w Old Mill Road prowadzącą do „Przejażdżek”, a potem popędzi prosto do Val. Znów się uśmiechnął. Zaczął na cały głos śpiewać razem z płytą CD *I ain't superstitious* Wolfa. Wywrzaskiwał kolejne wersy głośnym i nieprzyjemnym tenorem, a potem o mało nie przejechał dzieciaka na rowerze.

4.

Bok bolał Mike'a jak diabli, mimo że złamane końcówki żebra ułożyły się mniej więcej na swoich miejscach. Dało się to wytrzymać, kiedy droga prowadziła płaskim terenem - tylko że Pine Deep w większości leżało na wzgórzach. Długa czarna wstęga A-32 wila się, wspinała i gwałtownie opadała przez całe kilometry wzniesień. Do dziś uwielbiał te zakręty i pieczenie mięśni na długich podjazdach - do dziś, bo teraz czuł do nich straszną nienawiść. Jechał na najwyższym przełożeniu, co nieco łagodziło ból, ale zmęczenie zmuszało do dyszenia, a dyszenie działało na złamane żebro jak mały diabeł dźgający go czerwonym trójzębem. Już nie jechał - teraz czołgał się na rowerze. Zastanawiała go zagadka czasu, bo kiedy myślał, ile go potrzebuje, żeby dostać się do domu, czuł, że noc mija go w szalonym pędzie. Natomiast kiedy podjeżdżał pod kolejne wzniesienie, każda minuta trwała jakies dwa tygodnie. Niezależnie od tego, jak liczył, nie miał szans dotrzeć do domu przed dwudziestą trzecią.

Uśmiechnął się gorzko na myśl o tym, że im później wróci, tym później dostanie lanie od Vica. Niewielkie pocieszenie, biorąc pod uwagę, że ojczym też robi się coraz bardziej wściekły. A w tym przypominał Hulka - im bardziej był wściekły, tym mocniej bił.

Mińło go kilka samochodów. Za każdym razem, kiedy widział zbliżające się światła reflektorów, zamierał ze strachu... ale holownik już nie wrócił, więc powoli przestał zwracać na nie uwagę.

Zrezygnował też z bezowocnych prób wyrzucenia z głowy wszystkiego, co mu się wcześniej przydarzyło. Bezsensowny wysiłek. Jak można nie myśleć o kimś, kto przed chwilą próbował cię zabić? Albo o wielkim białym jeleniu, który zrobił to, co zrobił? Zamiast przed tym uciekać, postanowił znaleźć jakieś logiczne wyjaśnienie.

Poza tym mógł się wreszcie zająć czym innym niż ból w klatce piersiowej i oczekująca go furia ojczyzna. Mike był bystry. Jak na swój wiek, przeczytał wiele książek i nieobce były mu zasady dedukcji. Podczas kolejnego długiego podjazdu spróbował zastosować wszystko, czego nauczył się z książek o Sherlocku Holmesie, Hercule-sie Poirotcie, Spenserze i Elvisie Cloe. Pamiętał aksjomat Sherlocka, że kiedy wyeliminujemy wszystkie niemożliwe rozwiązania, to to, co zostanie, niezależnie od tego, jak jest nieprawdopodobne, jest prawdą. W tym przypadku problem polegał na tym, że miał dwie niewytłumaczalne zagadki i w żadnej z nich nie dało się wyeliminować niczego niemożliwego. Wielki biały jeleni cały był nieprawdopodobny. Mimo iż Mike zastanawiał się, do czego mógłby go dopasować, wciąż był tak samo nierealny, jak w chwili spotkania. Wielkie zwierzę wyskoczyło z kukurydzy, w której tkwił rozbity samochód, a kiedy próbował go ominąć, jeleni zastępował mu drogę. Nie dało się tego ugryźć od żadnej strony. No i warczał na niego. A potem go odgonił. No i weź, Sherlocku, i wykombinuj coś z tego, pomyślał. Mike mieszkał w Pine Deep. W życiu widział tryliony jeleni, od maluchów do dużych samców, widział je pojedynczo, dwójkami i tuzinami, ale nigdy, przenigdy, nie widział śnieżnobiałego jelenia. I nigdy nawet nie słyszał, żeby jeleni kogoś odganiał. Zazwyczaj było na odwrót. Pewnie, zdarzały się przypadki, że jeleni zaatakował psa, który go gonił... ale przecież to było coś zupełnie innego. Ten jeleni przepędził człowieka. I to z miejsca wypadku samochodowego. Co to, do diabła, mogło znaczyć? Wewnętrzny Sherlock Holmes Mike'a był na rozdrożu.

No i jeszcze ten holownik. Tutaj też nie widział najmniejszego sensu. Przecież kierowca tego wozu celowo usiłował go przejechać! Specjalnie zmienił pas. Mimo wysiłku, Mike nie potrafił zrozumieć, co się wtedy stało. Czuł, że jest to w jakiś sposób śmieszne. Dlaczego ktoś mógłby chcieć zrobić coś takiego? Nawet Vic nie próbował go zabić, a on go przecież naprawdę nienawidził.

Nagle za gardło złapała go lodowata ręka i zmusiła do zatrzymania się. Przechylił się na bok i jedną nogą oparł o asfalt. Stał na poboczu i gorączkowo myślał o tym, co właśnie przyszło mu do głowy. Vic go nienawidzi. To jest poza dyskusją. Ale jak bardzo go nienawidzi? Jest psychopatą i pracuje w warsztacie samochodowym Shanahana. Shanahan na pewno ma jakieś holowniki. Mike przełknął kluchę wielkości pięści, która pojawiła się w jego gardle, odwrócił w stronę, z której przyjechał, i spojrzął na czarną wstęgę szosy znikającą w ciemnościach.

Czy to mógł być Vic?

Wrześniowy zimny wiatr w jednej chwili zamienił krople potu na jego czole w drobinki lodu. Wyeliminować nieprawdopodobne i to, co zostanie, to musi być prawda.

Czy to mógł być Vic?

- Jezu Chryste... - szepnął, a wiatr porwał jego słowa, wyrываяc je z jego ust, jak kat inkwizycji wyrывał zęby. Zaczęło w nim wzbierać przerażenie i niepewność, czego obawia się bardziej: tego, że Vic chciał go zabić, czy tego, że wcale go to nie zaskoczyło. Spojrzał na drogę przed sobą, na której końcu czekał na niego dom. Dom i łanie. Czy jeśli ma rację i Vic siedział za kierownicą holownika, to czy zamiast pasa czeka na niego coś znacznie gorszego? Poczłł pieczenie w żołądku.

Mike oblizal usta, wsiadł na siodelko i zaczął powoli pedałowac pod górkę. Serce waliło mu jak oszalale, a pot nieprzyjemnie chłodził twarz. Rower zatoczył się na bok, kiedy jego ciałem wstrząsnęły pierwsze dreszcze. Uspokajająca cisza - jego dobry przyjaciel - nagle wydała się pełna niewidocznych niebezpieczeństw. Przyjrzał się falującej kukurydzy, która ciągnęła się po obu stronach drogi jak okiem sięgnąć. Opanował go irracjonalny strach, że rośliny go obserwują. Kołysały się hipnotyzująco na wysokich łądygach, a kiedy niebo rozświetliła błyskawica, na ostrych jak brzytwa krawędziach liści zatańczyły białe ogniki. Teraz już wiedział, że otacza go armia dziwaczných wysokich stworzeń z ostrzami przyczepionymi do zielonych tułowi. Poczłł panikę. Nadepnął na pedały i Maszyna Wojenna zaczęła przyspieszać, choć jechał pod górę.

Był już blisko Zakrętu Shandy, jednego z kilku miejsc na A-32, gdzie droga niemal zawraca. Zwolnił, bo nie miał świateł i nic przed sobą nie widział, a nie uśmiechało mu się stoczenie gdzieś poza pobocze, na skały. Mike nienawidził Zakrętu Shandy, szczególnie kiedy jechał nim w godzinach szczytu, bo gęste krzaki rosnące wzdłuż drogi skutecznie zasłaniały wszystko, co jechał z przeciwka, a kiedy widoczność się poprawiła, było już za późno. Jeśli opowieści o duchach ofiar odwiedzających miejsce swoich wypadków byłyby prawdziwe, to musiałyby być ich tam wystarczająco dużo, żeby zapełnić cmentarz. Jego ojciec tam zginął, choć Mike o tym nie wiedział. John Sweeney wracał do domu z drugiej zmiany i przysnął za kółkiem w niewłaściwym miejscu. Jego umęczony stary malibu spadł piętnaście metrów w dół, do wąwozu między polami kukurydzy Maplewhitersów i czosnku Andersenów. Chłopak wiedział tylko, że jego ojciec zginął w wypadku samochodowym.

Chociaż nie rozumiał dlaczego, czuł, że boi się tego zakrętu, a w połączeniu z wcześniejszymi rozmyślaniami o Vicu miał wrażenie, że stoi na początku ścieżki prowadzącej wprost do piekła. Zwolnił tak, że poruszał się z prędkością szybszego kroku, kiedy znalazł się na początku zakrętu. Przed sobą widział tylko cienie, a wokół słyszał wszechobecny grzmot zbliżającej się burzy. Wydawało mu się, że coś patrzy na niego od tyłu, więc szybko się odwrócił, ale zobaczył tylko gęstą czerń nocy. Na zakręt przed sobą spojrział dopiero w chwili, gdy był w jego najostrzejszym

punkcie. Wtedy w oczy uderzyła go oślepiająca jasność, a powietrze wypełnił warkot wielkiego silnika. Coś pędziło prosto na niego.

Holownik! Mike'a zmroziło... tym razem nie miał dokąd uciec. Źródło jasnego światła wynurzyło się zza zakrętu dokładnie naprzeciwko.

5.

Nie minęło nawet dwadzieścia minut, od kiedy Ruger zniknął, a Boyd zaczął się trząść. Z początku myślał, że to tylko chłód podmuchów wiatru, ale kiedy odruchowo przetarł czoło, zobaczył, że jego ręka jest mokra od potu.

- Cholera - jęknął.

Jak na zawołanie, wstrząsnęła nim kolejna fala dreszczy. Zaczynając od kręgosłupa, wędrowała w górę, przez kark, aż do uszu. Jego ramiona pokryły się gęsią skórką. O szoku nie wiedział nic poza tym, że jeśli ktoś znajdzie się w takim stanie, powinno mu się rozluźnić kołnierzyk i przykryć go kocem. Czyżby teraz dotyczyło to jego? Nie miał pojęcia, ale na samą myśl, że mogłoby tak być, poczuł przerażenie. Nie znał skutków szoku, lecz wiedział, że są niebezpieczne. Może nie na tyle, żeby od tego umrzeć, ale na pewno niosą ze sobą spore ryzyko. Poluzował pasek od spodni i szczelniej owinął się płaszczem, który wcale go nie ogrzewał. Siedział, trząsł się i powoli docierała do niego powaga sytuacji. Czuł strach. Był sam... porzucony. Ruger zostawił go na pewną śmierć.

- Pieprzony sukinsyn! - krzyknął głośno. Potem coś przyciągnęło jego wzrok, więc zamknął usta. Obok niego leżała torba z narkotykami i kasą. Uczepił się tego jak tonący kawałek drewna. Przecież Karl by go nie opuścił, zostawiając mu cały łup. I już na pewno nie zostawiłby go żywego, bo dobry świadek, to martwy świadek. Nie, Karl nie popełnia takich błędów. Nie Karl Ruger, morderca z Cape May, który bezwzględnie musi opuścić kraj albo zapłacić za dwadzieścia śmierci. Na tę myśl Boydem wstrząsnęły jeszcze silniejsze dreszcze. Ruger nie domyśla się, że wie o Cape May, ale Boyd jest uważnym obserwatorem i miał niemal pewność, że to nie były tylko plotki. Od zawsze wiedział, że Karl to kawał sukinsyna, ale to, co zdarzyło się w Cape May, było straszniejsze niż filmy grozy. Gdyby udało mu się złapać za słuchawkę, zanim Ruger zapakował jego i resztę do wozu i urządził jatkę w supermarkecie, teraz pewnie by słuchał, jak Karl piszczy jak mała dziewczynka, z której ktoś kawałek po kawałku odkrawa żywe ciało.

Ale zabrakło czasu na ten telefon, Karl musi bezwzględnie uciekać z kraju, a Boyd jest jedyną osobą, która może mu to umożliwić. Nie, pomyślał, nie załatwi mnie.

Był już nieco spokojniejszy, choć strach nadal go nie opuszczał. Bał się tego, co dzieje się w jego ciele. Rana postrzałowa w lewe ramię nie była taka straszna, ale nie miał pod ręką czystej szmatki, więc wziął, co się nawinęło. Pewnie wdało się już zakażenie, pomyślał. Do środka pewnie dostały się kawałki koszuli wyrwane kulą. Zainteresowało go, ile czasu minie, zanim wda się gangrena. Zrobiło mu się od tego niedobrze i niemal zarzygał sobie kolana.

Zatrząsał się, choć tym razem nie był to dreszcz, a raczej spazm. Miał wrażenie, że jego włosy stoją dęba i kołyszą się razem z wysokimi łodygami kukurydzy na polach dookoła.

Trzepot.

Ten dźwięk tak go przestraszył, że odwrócił się gwałtownie. Poczul silne ukłucie w ramieniu i złamanej nodze. Ból, który ogarnął jego ciało, miał głęboko w dupie znieczulające działanie kokainy. Chwytał go i zaczął ścisnąć, aż Boyd nie wytrzymał i zawył głośno. Zamrugał szybko, odpędzając łzy, i uniósł głowę. Spodziewał się zobaczyć Rugera, jak z radosnym uśmiechem celuje do niego z pistoletu.

To spojrzenie dużo go kosztowało.

Na płocie siedział kruk, centymetry od jego głowy. Wyraźnie widział jego sylwetkę odcinającą się na tle kukurydzy i czarne błyszczące pióra. Zakrakał cicho, przechylając główkę, i wbił w Boyda malutkie oczka. Boyd przyglądał się przez chwilę ptakowi, by w końcu głośno się roześmiać. To był pusty śmiech niemocy - ale i tak lepszy niż krzyk, który chciał się wydostać z jego gardła.

- Pieprzone ptaszysko - powiedział głośno. Kruk znów zakrakał, równie cicho, jak wcześniej. - Nie próbuj więcej takich sztuczek. Lepiej nie próbuj!

Oczy ptaka spoglądały na niego z nieskończoną cierpliwością.

Boyd poczuł ciepło rozlewające się po nodze. Spojrzał w dół i zobaczył krople krwi ściekające po łupkach. Kiedy im się przyglądał, nagle jeden z kawałków drewna po prostu odpadł.

- No, kurwa, pięknie. Po prostu pięknie! - warknął. Sięgnął, by sprawdzić prowizoryczne bandaż, które założył mu Karl. Gdy podniósł ręce do oczu, były czarne i wilgotne. Boyd wpatrywał się we własną krew, najpierw trzęsąc się z wściekłości, a potem ze strachu i gorączki. Na tyle, na ile mógł, odwrócił się i zamachnął na kruka. - Widzisz, co mi zrobiłeś, popaprańcu?

Ptak odchylił się w bok i ręka Boyda minęła go o kilka centymetrów. Zatrzepotał skrzydłami i znów zakrakał dziwnie.

Boyd tym razem wychylił się najdalej, jak pozwalała mu złamana noga, i sięgnął w stronę kruka, ale jego gorączkowo poruszające się palce nie mogły go dosięgnąć. Ptak obserwował go beznamietnie. To było najbrzydsze zwierzę, jakie Boyd kiedykolwiek widział. Brudny, z piórkami w nieładzie i skrzydłami ociekającymi

oleistą mazią. Mężczyzna podparł się zdrową ręką o barierkę płotu, napiął pośladki i uniósł się trochę nad ziemię, opierając plecami o słupek. Ptaszysko znów się odchyliło, ale mimo to palce Boyda zacisnęły się na jego nóżkach. Kruk pochylił główkę i uderzył go ostrym dziobem.

- O cholera! - Boyd puścił ptaka i przycisnął dłoń do ust. Poczul słony smak krwi, a kiedy spojrzął na ranę, zobaczył długie, niemal trzycentymetrowe, głębokie i poszarpane cięcie biegnące od paznokcia aż za kostkę. Świeża krew płynęła nieprzerwanym strumieniem między palcami, do wnętrza dłoni i dalej, po nadgarstku.

Boyd spojrzął na ptaka z nieukrywaną nienawiścią.

- Ty sukinsynu! Wypatroszę ci pieprzone flaki, żałosna kupo gówna! Odgryzę ci łeb i naszczam w kręgosłup, śmierdzielu!

Ptak nic sobie nie robił z jego gróźb. Siedział na żerdzi i spoglądał w dół, kołysząc się w podmuchach wiatru.

Boyda ogarnęła kolejna fala chłodu, jakby wiatr specjalnie dmuchnął prosto na niego. Zatrząsł się tak gwałtownie, że usłyszał szczekanie swoich zębów. Na moment zapomniał o ptaku i zwinął się w kłębek, by nie tracić ciepła. Uniósł lewe ramię i wcisnął martwą dłoń pod płaszcz, a potem owinął się nim tak szczelnie, jak tylko mógł. Z przeciętej skóry nie przestawała kapać gęsta krew, zatrzymując się na chwilę na ziemi, skąd głodna gleba wciągała ją łapczywie w ciemność. Więcej krwi kapalo ze skaleczonego palca, znacząc płaszcz wzorem z błyszczącej czerni i czerwieni i siejąc w ziemi słonawe ziarna życia.

Kruk obserwował go przez długie minuty, siedząc nieruchomo, ale kiedy chmury się rozstały, uniósł w końcu głowę i z wysoka spojrzęło na nich oskarżycielskie oko księżycy. Boyd powoli zaczął zauważać zmianę światła i przez chwilę myślał, że majaczy. Kiedyś słyszał, że na samym końcu człowiek zaczyna widzieć wszystko jaśniej. Zanim przestraszył się na dobre, na ziemi przed sobą ujrzał rozciągnięty cień.

Świat znów zamarł na ułamek sekundy w paraliżującym przerażeniu. Boyd mógł zobaczyć też własny cień - zwinięty w brudzie obok, karmiony światłem księżycy, ale ponad nim i ponad jego cieniem pojawił się drugi kształt. Kształt człowieka z ramionami rozłożonymi, by go pochwycić.

Boyd wrzasnął i przewrócił się, próbując zobaczyć, kto za nim stoi. Osłonił głowę ręką, a zdrową nogę uniósł do kopnięcia.

Zobaczył stracha na wróble.

Wisiał na wysokiej żerdzi przymocowanej do słupa ogrodzenia, w starych wyłowiałych ciuchach poruszanych przez wiatr. Uśmiechnięta głowa zrobiona z dyni wbijała puste oczy w bezkresne pola kukurydzy. Kruk zakradał ironicznie.

Boyd zwinął się na ziemi, zakrwawiony i wstrząsany dreszczami. Śmiał się.

Czuł, jak chichot rodzi się w jego piersiach i zanim udało mu się go powstrzymać, wydostał się na zewnątrz. Wystrzelił z jego wnętrza jak gwałtowne wymioty, dusząc go i przyprawiając o skurcze, spazmatycznie unosząc pierś. W krótkiej chwili chichot zamienił się w histerię. Boyd śmiał się, aż z oczu pociekły mu łzy, a nos wypełnił się bulgocącym śluzem. Ziemia wokół została spryskana krwią, kiedy uderzał w nią pięścią. Trząsał się, podskakiwał, kołysał na boki, a ze złamanej nogi szerokim strumieniem płynęła krew i szybko znikła wysysana przez spragniony grunt.

Nie mógł przestać się śmiać. Gdy tylko spojrzął na stracha na wróble, wybuchął niepohamowanym chichotem. Tak samo, kiedy spojrzął na kruka. Spoglądał na wielką, bladą twarz księżycy, a jego śmiech wznosił się do nieba. Co chwila jego spazmy przerywało chrapnięcie, albo częściej szloch.

Śmiał się nawet wtedy, kiedy strach na wróble odwrócił głowę i uśmiechnął się do niego złowrogo.

ROZDZIAŁ 8

1.

Crow śpiewał na całe gardło, pokonując kolejny zakręt na dwóch kołach. Czuł, jak doskonale wyważona Missy unosi się i tańczy na drodze. Stara impala popędziła jak sportowy bolid. Czuł, że żyje, kiedy pędził przed siebie z zawrotną prędkością. Kierownica delikatnie drżała w jego dłoniach, kiedy prowadził wóz przez środek zakrętu, by zaraz po wyjeździe na prostą opaść na cztery koła.

Czyli mniej więcej w chwili, kiedy na drodze nagle pojawił się dzieciak.

- Jasna cholera!

Chłopak pojawił się znikąd i zamarł w miejscu jak jeleń oślepiiony reflektorami zbliżającego się samochodu. W ułamku sekundy z niewielkiej postaci urósł tak, że zasłaniał całą przednią szybę. Crow wyrzucał z siebie przekleństwo za przekleństwem. Wdepnął hamulec i zdecydowanym ruchem odbił odrobinę w prawo niemal w tej samej chwili, w której zrównał się z chłopakiem, a potem natychmiast delikatnym ruchem kierownicy odbił w lewo. Uniesione koła o kilkadziesiąt centymetrów minęły kierownicę roweru, a potem samochód opadł na asfalt. Missy

przejechała jeszcze kilkadziesiąt metrów, a Crow raz za razem wciskał hamulec, jeszcze zanim wóz przestał tańczyć na drodze.

Missy zatrzymała się w poślizgu. Koła znajdowały się na samym brzegu jezdni. Crow przesunął dźwignię automatycznej skrzyni na parkowanie, zgasił silnik, wypadł z kabiny i popędził w stronę chłopaka.

Dzieciak nie ruszył się jeszcze z miejsca. Stał i patrzył z niedowierzaniem, co się dzieje.

- Jezu Chryste! - wrzasnął Crow, jeszcze zanim do niego dobiegł. - To była najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem!

Chłopak patrzył na zbliżającego się mężczyznę, gotowy do obrony, ale kiedy usłyszał jego słowa, wydusił z siebie tylko zdziwione: „Co?”

- Chryste, mały, tak mi przykro. Przepraszam. - Crow oddychał głęboko. - Wszystko w porządku? Nic ci się nie stało? Boże, ależ to było idiotyczne! Co ja sobie, do cholery, myślałem!?

- Pan... co? - Mike nie potrafił wydukać nic więcej.

Crow złapał go za ramiona i spojrzał w oczy. Obaj wyglądali jak cienie pośród ciemności, jak pozbawione właściwości plamy mroku.

- Chryste Panie, Maryjo z Józefem, powiedz mi, proszę, że nic ci się nie stało!

- No... nic mi się nie stało - wydusił w końcu dzieciak.

- Dzięki Bogu! - Ulga wypełniła duszę Crowa, sięgając niemal tego samego poziomu, co wstyd i zażenowanie. Potrząsnął chłopakiem, by dodać mu otuchy, i przeraził się, widząc ból, jaki wywołał.

- Coś nie tak? Jednak cię zahaczyłem? Samochodem...?

- Nie, to nie to. - Chłopak zacisnął zęby. - To nie pan, to holownik.

Crow spoglądał na pogrążoną w cieniu młodą twarz i starał się znaleźć sens w tym, co przed chwilą usłyszał. Zamrugał.

- Hm... holownik?

- Tak.

- Ale jaki holownik? - zapytał, rozglądając się, szukając w pobliżu jakiegokolwiek holownika.

- Ten, który próbował mnie rozjechać. - Odpowiedział chłopak.

- Aaaa... - Crow zdobył się na delikatny uśmiech. - To ten... teraz rozumiem.

Dzieciak musi być w szoku, pomyślał. Biedak.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie, ni w ząb nie rozumiejąc jeden drugiego. Nad nimi jaśniał księżyc, którego światło przebiło się przez zasłone chmur i zalało jasną poświatą samochód i ich obu.

- Mike! To ty! - Crow nie potrafił ukryć zdumienia.

- Pan Crow...?

- Cholera jasna... - Znów się uśmiechnął.
- Ma pan rację. - Żelazny Mike Sweeney tym razem całkowicie się z nim zgadzał.

2.

Szkielet wyszedł z Mrocznego Jaru i stanął na A-32, na wzniesieniu, niecałe pięć kilometrów od miejsca, w którym Crow spotkał Mike'a. Powoli, niezgrabnym krokiem, jakby ubranie wisiało na samych kościach, wyszedł na środek drogi i się zatrzymał. Uniósł twarz, wystawiając ją na światło księżyca. Zaśniły struny gitary. Nad jego głową zawirowało stadko nietoperzy, których drobne ciała wyglądały jak podarte kawałki cienia na tle błysków zbliżającej się burzy. Szkielet stał i patrzył na nie, nieświadomie wyciągając rękę, jakby chciał do nich dołączyć. Nie spłoszył nietoperzy, ponieważ go znały. Wszystko, co żyło nocą, znało Szkieleta - znało cień mężczyzny, który nie rzucał cienia.

Wszyscy mieszkańcy nocy znali Szkieleta, wędrowca o smutnych oczach, uciekiniera z cementarza. Po chwili nietoperze odfrunęły w ciemność, a on został sam na zimnym wietrze.

Nagle ze wschodu nadleciał kruk z zakrwawionym dziobem i okrążył go raz, dwa, trzy razy, a potem, trzepocząc skrzydłami, pofrunął dalej na zachód, w kierunku samotnej farmy pośrodku bezkresu oceanu kukurydzy. Z miejsca, w którym stał, Szkielet widział jasne punkciki okien odległego domu.

Wpatrywał się w niego, wsłuchiwał w jego los i przeznaczenie, które potrafił wyczytać ze śpiewu świerszczy i szumu kukurydzy. W powietrzu poczuł krew. Wiedział, że została już przelana, a noc się dopiero zaczynała.

Potem odwrócił swoje chude ciało na wschód i wsłuchał w wiatr. Podmuchy niosły głosy: śmiechy, westchnienia i pojękiwania młodych kochanków, pisk opon, szum tira gdzieś w oddali, pohukiwanie sów, szczekanie psa. Głośny, ostry wrzask człowieka zdjętego śmiertelnym przerażeniem i niewyobrażalnym bólem. Ten dźwięk urwał się gwałtownie mokrym bulgotem dobywającym się z głębi trzewi.

Przez Szkieleta przepływały kolejne długie i mroczne wizje.

Jego oczy lśniły złością, frustracją i strachem. Noc stawała się coraz silniejsza i zbyt wiele rzeczy działo się naraz, by mógł wiedzieć o każdej. Jego pustym żołądkiem wstrząsnęły mdłości, kiedy wyczuł na bagnach obecność zła, które pokonał kiedyś własnymi rękami. Pochował je tam trzydzieści lat temu, pokonując jego moc.

Potężną moc...

Szkielec długo nie mógł podjąć decyzji. Wołanie nocnych ptaków powiedziało mu wszystko, co chciał wiedzieć, powiedziało mu zbyt wiele. Teraz nie wiedział, w którą stronę iść najpierw. Czyje życie jest teraz najwięcej warte? Która z niewinnych istot najbardziej potrzebuje jego pomocy? Którą musi poświęcić, żeby ratować inne?

Na wschodzie zagrzmiało.

Szkielec skierował się na północ i zaczął iść w kierunku Pine Deep. Jego patykowate nogi szeleściły, a patykowate ręce kołysały się w rytm kroków. Biała twarz błyszczała, jakby wykuto ją z marmuru. W oczach szalała lodowata burza.

3.

- Myślałem, że gotujesz coś dla Crowa.

Val nie oderwała się od krzyżówki, którą starała się rozwiązać. Ojciec uniósł pokrywkę i jego twarz owionęła aromatyczna para, która buchnęła z garnka.

- Pachnie całkiem nieźle.

- Nie udawaj zaskoczonego. Przecież umiem gotować.

Guthrie nie odpowiedział. Zamiast tego jeszcze raz powąchał zupę, zaskoczony, że naprawdę pachnie jak zupa, a nie jak pomyje. Dotychczasowe boje kuchenne Val za każdym razem okazywały się spektakularnymi porażkami. Może córka doznała jakiegoś kulinarnego oświecenia? Mimo dzwonek ostrzegawczych w głowie, poczuł, że leci mu ślinka.

- Nie ruszaj - odezwała się Val. - Przecież już jadłeś.

- A co to?

- Zupa z indyka, a teraz zabieraj z niej swój nochal.

Henry Guthrie westchnął i przykrył garnek.

- Chyba zrobiłaś za dużo. Taki chudziutki facet jak Malcolm Crow nie da rady zjeść wszystkiego.

- Ma starczyć na jutro, na drugie śniadanie. - Val w końcu odgadła hasło i podniosła głowę. Ojciec wciąż kręcił się wokół garnka, starając się pokazać, że mu kiszki marsza grają. Roześmiała się i pokręciła głową.

- Oj, tato, jeśli naprawdę jesteś taki głodny, to weź sobie trochę. Chodzisz dookoła tej zupy, jakbyś miał nadzieję, że sama wskoczy ci na talerz.

- O, to miło. - Guthrie też się uśmiechnął. - No, to nałożę sobie odrobinę. Naprawdę niewiele. Przecież nie chcę, żeby Crow chodził głodny.

- Aha...

Złapał szybko miskę i nalał do niej parującą zupę.

- W bufecie są krakersy.

- Nie zrobiłaś klusek?

- Tato...

- To gdzie te krakersy? - Henry sięgnął po paczkę słonych ciasteczek, wyjął z lodówki butelkę wody mineralnej i usiadł przy stole naprzeciwko córki. Uważne oko natychmiast zauważyłoby więzi pokrewieństwa między nimi. Val miała jego mocne kości i ciemne włosy, a czerwone i skóre do śmiechu usta odziedziczyła po marce - Irlandce. Senior Guthrie był z pochodzenia Szkotem, na co zresztą wskazywał jego wygląd, a czarne włosy zmieniły barwę na siwą, kiedy dwa lata temu pochował żonę. Miał zakrzywiony, szpiczasty nos. Brodę zasłaniała mu akurat łyżka zupy, na którą dmuchał, i w końcu z apetytem włożył do ust.

- No i jak?

- Zupełnie jakby twoja matka to ugotowała.

Val się uśmiechnęła.

- To jej przepis.

Guthrie uśmiechnął się ciepło, a na jego twarzy malowały się wielka miłość i dobry humor. Val też bardzo go kochała, z czego zdawał sobie sprawę, pomimo jej narzekania, że powinien bardziej o siebie dbać i lepiej się odżywiać. Zmarniał, kiedy odeszła Margie, ale Val w porę to zauważyła i zmusiła do jedzenia regularnych posiłków. Ograniczyła mu też alkohol. Teraz oddała się misji przestawienia go na kawę bezkofeinową, ale póki co nie odniosła na tym polu sukcesów. Czekala ją długa i ciężka batalia. Kawa bez kopa była świętokradztwem.

Ojciec z apetytem zjadł gęstą zupę z indyka, kukurydzy, selera, ziemniaków i fasolki szparagowej. Nie odważył się użyć soli, bo wiedział, że Val i tak by mu na to nie pozwoliła, a on musiałby wysłuchać kazania o zbyt wysokim ciśnieniu. Znał już na pamięć. Poza tym zupa była pyszna i nie potrzebowała żadnych przypraw.

Val z radością patrzyła, jak ojciec zajada. Rola pani domu była dla niej czymś nowym i nie do końca zgodnym z jej charakterem, ale nie czuła oporu, by zachowywać się tak przy ojcu. Gdyby dać mu wolną rękę, żyłby samą pizzą, whisky, czarną kawą i hamburgerami. Gdy o tym myślała, słyszała trzask jego pękających żył. Mimo to nie czuła się kuchennym zwierzęciem, jakim była jej bratowa, Connie, gotująca, sprzątająca i oporządzająca jej jedyne brata, Marka. Tak, ona czuła, że jest na swoim miejscu. Val pracowała za to na farmie, prowadziła traktor i kombajn do kukurydzy, walczyła z pośrednikami i ustawiała zawory w starym fordzie bronco. Connie pielęgnowała niewielki ziołowy ogródek i robiła przesłodkie wyklejanki z kociakami bawiącymi się kłębkami wełny, tak rozkoszne, że Val zbierało się na wymioty. Nawet kiedy pielęła ogródek, miała na sobie sukienkę. Crow żartował szeptem, że Connie to zdesperowana kura domowa, która w każdej

chwili może eksplodować, i że chowa jakieś mroczne sekrety. Natomiast Val, mimo wielu lat znajomości, nie mogła doszukać się w niej żadnej głębi. Dziwiła się, co Mark w niej widzi poza banalną urodą.

Przyglądając się ojcu, jak je przygotowaną przez nią zupę, poczuła falę ciepła. Ostatnio zastanawiała się, jak by się czuła, mieszkając z Crowem, i odkryła, że jemu by się to podobało. Musiałaby go tylko zmusić do gotowania, bo jej nie uśmiechała się kuchenna niewola. Ale takie domowe, rodzinne akcenty tu i ówdzie były jak najbardziej w porządku.

Stary Guthrie zanurzył krakersa w zupie i spojrzął na córkę.

- Coś cię gnębi, kochanie?

- Nie, nic szczególnego - mruknęła.

- Czyli coś cię gnębi. - Uśmiechnął się przebiegle. „Nic szczególnego” w jej ustach znaczyło to samo, co w ustach jej matki.

- Nie, to naprawdę nic ważnego.

- Coś nie tak z Crowem? Wy... pokłóciliście się? Wyglądał rano bardzo rześko. Śmiał się i pogwizdywał. Nie pytam, dlaczego.

- Nie, tato, to nie to. Ja się po prostu o niego martwię.

Guthrie opuścił łyżkę.

- A to dlaczego?

Val zaczęła stukać palcami w krzyżówkę leżącą na stole, a potem spojrziała na ojca poważnie.

- Robi coś, co może być bardzo niebezpieczne.

- Czy on... znowu? - Guthrie wykonał gest, jakby wychylał setkę.

- Tato!

- Tylko pytam!

- Crow już nie pije.

- Tylko nie zrozum mnie źle, ja naprawdę go lubię, ale alkoholikiem jest się do śmierci.

- Może i tak, ale nie o to chodzi - powiedziała nieco chłodniej. - Terry go o coś poprosił. - Opowiedziała mu o prośbie Terry'ego, by zamknął „Przejażdżki”.

Guthrie przeżuwał krakersa i się zastanawiał.

- Boisz się, że wróci do policji?

- Nie, to też nie to. Poza tym, nigdy by się na to nie zdecydował.

- No to przestań się zamartwiać. Terry ma denerwujący zwyczaj zmuszania ludzi, żeby wszystko robili za niego, i to zazwyczaj wbrew ich woli.

- Wiem.

- Poza tym oni bardzo się z Crowem lubią, a sama wiesz, że burmistrz potrafi być bardzo przekonujący.

- Hm... - Terry i Crow byli przyjaciółmi od przedszkola. Z Val spotkali się dopiero w drugiej klasie podstawówki, kiedy mieli po osiem lat. Przez dwa lata przed

Czarnymi Żniwami byli nierozłączni. Całą piątką, bo dołączył do nich brat Crowa, Billy, i siostra Terry'ego, Mandy, tworzyli zgraną paczkę. Przed końcem jesieni dwoje z nich już nie żyło, a Terry wylądował w szpitalu w śpiączce. Wszyscy byli ofiarami Rozpruwacza. Crow i Val bardzo się wtedy do siebie zbliżyli.

Wspomnienie tamtych czasów musiało nadać jej oczom jakiś szczególny blask, który stary Guthrie prawidłowo odczytał. Uśmiechnął się lekko i zmienił temat.

- I nie zapominaj, że Terry ze wszystkiego robi tragedię - powiedział. - Jest przekonany, że bycie burmistrzem takiego miasta jak Pine Deep to wielki honor.

- Tak, on i Rudy Giuliani w jednym rządzie.

- Widzisz? Robi z igły widły. Wycieczkę na pizzę i do kina w Crestville określa Wielkim Kulturalnym Transferem Regionalnym.

- Masz rację. - Val się roześmiała.

- Jeśli działałoby się tu coś poważnego, Terry nie brałby w tym udziału. Wspomniałaś, że Crow mówił o glinach z Filadelfii, którzy tu przyjechali, prawda?

- Tak.

- Więc Terry będzie się trzymał blisko centrum wydarzeń i robił ważne miny. Ale nie będzie musiał kiwnąć palcem, bo oni się wszystkim zajmą. Najwyżej pokieruje Gusem, żeby wiedział, komu przynosić kawę i komu polerować odznaki. On zawsze musi stać w pierwszym szeregu, musi być widoczny. No i ten władczy ton... A że Crow się akurat nawinął? Wiesz też, że twój chłopak ma dobre serce i nie potrafi nikomu odmówić.

- Z wyjątkiem mnie.

Guthrie udał, że parska śmiechem.

- Jakoś nie zauważyłem. Gdy przyjedzie, to się dokładnie przyjrzę.

- Nie powinnam go puszczać samego.

- Nie miałaś zbyt wiele do powiedzenia, kochanie. On przecież też za ciebie nie decyduje. Mamy XXI wiek, słoneczko. - Ojciec włożył sobie kolejną łyżkę zupy do ust i uśmiechnął się do Val. - Naprawdę przepyszna.

- Nie udawaj zaskoczonego! - Val skrzyżowała ręce na piersi. - Ja po prostu nie chcę, żeby był na każde zawołanie Terry'ego, ot co.

- Tak ci z tym źle?

Kiwnęła głową.

- Za dużo czasu z nim spędza, a Wolfe jest męczący, oj, naprawdę męczący.

- Chcesz powiedzieć, że powinien zerwać kontakty z naszym panem burmistrzem?

- Tak.

- A właściwie dlaczego tak nie lubisz Terry'ego? Nigdy za nim nie przepadałaś, co? Nawet jako dzieciaki skakaliście sobie do oczu.

- Nie mam pojęcia. Pewnie jakaś zła chemia. Zawsze coś było nie tak... Z nim było coś nie tak. Nie wiem nawet, jak to opisać. Po prostu nie chciałam, żeby Crow spędzał z nim tyle czasu, to wszystko.

- Oj, młoda damo, lepiej uważaj, zanim zaczniesz tłumaczyć swojemu chłopcu, z kim może się kolegować, a z kim nie.

- Uhm.

- Zupełnie jak twoja matka. Jedno mruknięcie wyraża tyle, co tysiąc słów.

- Uhm - znów mruknęła, ale tym razem z uśmiechem.

- Crow umie o sobie zadbać, nie bój się on niego. Przecież wszyscy o tym wiedzą.

- Tak, tato, ale przypomnij sobie, jak się potem czuł. Założę się, że gdyby nie poszedł do policji, nie zacząłby pić.

- Pewnie masz rację. Ale jest silny. Sam złapał się za czuprynę i wyciągnął z tego bagna, a potem poskładał życie do kupy. A wtedy jeszcze pracował jako glina. Nie każdy dałby sobie z tym radę. Naprawił się, jak mawiał mój tata. Zobaczył, że zepsuło mu się życie, więc wziął i je naprawił.

- Uhm.

- Skończysz wreszcie z tymi pomrukami?

- Hm... uhm.

Rzucił w Val krakersem, który, ku swemu zdumieniu, złapała. Zjadła go, a potem pokazała ojcu język cały w okruszkach.

Do kuchni weszła tanecznym krokiem Connie Guthrie, świeża i słodka, w sukience w kwiaty. Miała buty na obcasach, potrząsała złotymi lokami i uśmiechała się promiennie do wszystkich. Zamachała na powitanie i podeszła do kuchenki.

- Wspaniale, mamy zupkę!

- To dla Crowa - pospieszył Guthrie z wyjaśnieniem, zapominając, że trzyma łyżkę.

- Ty sobie nałożyłaś, to ja bym też chętnie spróbowała. - Spojrzała szybko na Val, jakby chciała zapytać o pozwolenie, ale tak naprawdę wcale nie miała takiego zamiaru. Wyjęła z kredensu miseczkę i złapała łyżkę. Stary Guthrie posłał córce przepaszające spojrzenie, a Val zbyła je machnięciem ręki. - Nie wiedziałam, że umiesz gotować.

Connie właśnie kończyła przygotowywanie miejsca, przy którym chciała zjeść posiłek. Położyła na stole mały obrusik, na nim złożoną serwetkę, dokładnie pośrodku znalazł się talerz z miseczką z zupą, a po prawej stronie idealnie równo

ułożona łyżka. Na talerzu rozłożyła pięć krakersów tak, żeby opierały się o siebie brzegami. Wtedy zadzwonił dzwonek.

- Ooo, ktoś przyszedł! - powiedziała Connie, jakby to był dowcip. - Akurat, kiedy chciałam usiąść. - Po czym usiadła.

Val spojrzała oburzona na ojca.

- W takim razie może ja otworzę? - zapytała oschle.

- Byłabyś tak uprzejma? - zaćwierkała Connie. - Nie chciałabym, żeby twoja przecudowna zupka wystygła i zrobiła się paskudna.

- Boże uchowaj. - Val wstała, nakazując ojcu pozostać na miejscu, bo też chciał iść otworzyć. - Już wstałam. Idę.

Val ruszyła do drzwi. Przeszła za plecami Connie, która robiąc uroczy dzióbek, dmuchała na pierwszą łyżkę gorącej zupy. Val zatrzymała się za nią i udała, że łapie ją za gardło i dusi. Connie tego nie zauważyła, a Guthrie udał, że się zakrztusił. Val westchnęła głośno, wychodząc z kuchni do długiego korytarza, a potem dalej, do salonu. Gość zapukał. Mocno i niecierpliwie.

- Idę, już idę! - krzyknęła Val, sięgając do klamki. Nacisnęła ją i otworzyła drzwi.

W progu stał mężczyzna, wysoki, blade i szczupły. Miał czarne włosy, zaczesane do tyłu na żel, czarne oczy i przyjazny uśmiech. W prawej ręce trzymał niewielki, wręcz delikatny pistolet. Lufa była skierowana w brzuch Val.

- Psikus albo cukierki. - Karl Ruger wyszeptał zawołanie przebierańców z Halloween i wepchnął ją do środka.

CZEŚĆ II

SZATAŃSKI BLUES

*Raz rzekła mi Cyganka,
że w nocy będę trwał,
Jak upadły anioł
stronił od światła dnia.*

Whitesnake *Nighthawk (Vampire Blues)*
(Nocny drapieżca [Wampirzy blues])

*W mojej duszy
zagościł mrok,
przyświeca mi jeden cel.*

Santana *Put Your Lights On (Włączcie światła)*

*Hej, nie jestem przesądny, czarny kot przebiegł mój szlak.
Hej, ja nie jestem przesądny, czarny kot właśnie przebiegł mój szlak.*

Willie Dixon *I Ain't Superstitious (Nie jestem przesądny)*

ROZDZIAŁ 9

1.

Eddie Holownik nie ruszył się z miejsca. Przez piętnaście minut siedział w szoferce, ze zdumieniem przyglądając się krwi na swoich rękach. Przez większą część drogi męczyły go wątpliwości, lecz teraz, kiedy mógł się dokładnie jej przyjrzeć, strach i niepewność rozprysnęły się w drobny mak i pozostała czysta, niezachwiana wiara.

- Dziękuję ci Boże - szepnął. Wdzięczność gwałtowną falą wypełniła mu pierś, że nie mógł powstrzymać łez. - Dziękuję ci, mój Panie!

Jakież cudowne to było... znaleźć tego człowieka przy rozbitym wozie pośrodku pola. Zadumał się nad nieprzeniknionymi zamiarami Boga, nad tym, jak on, skromny Eddie - Miecz Pana, był prowadzony Jego wyrokami przez sekretne ścieżki i jak po kolei ujawniał mu Pan swawolę.

Lata minęły od pierwszego objawienia, od dnia, kiedy po raz pierwszy usłyszał w głowie głos Boga.

Eddie miał wtedy dwadzieścia lat. Bóg przemówił kilka dni po tym, jak Eddie spotkał Bestię. Udawała kogoś innego - szatan jest ojcem wszelkiego kłamstwa - ale Eddie się na niej poznał i z kilkoma miejscowymi, Vickiem Wingate'em. Jimem Polkiem, Gusem Bernhardtem i jeszcze paroma chłopakami, dorwali zwyrodnialca i zabili go, przerywając serię morderstw, które wstrząsały miasteczkiem.

Po tamtej nocy głos Boga zaczął go nawiedzać podczas modlitwy. Nie za często, przynajmniej na początku zdarzały się długie przerwy, kiedy to niezależnie od tego, jak gorliwie się modlił, nie mógł się doczekać odpowiedzi z nieba. Za to przed kilkoma tygodniami Bóg zaczął przemawiać do niego niemal codziennie, a z czasem nawet kilka razy na dzień. Dzisiejszego ranka pokazał mu nową twarz Bestii, a Eddiego wypełniło poczucie misji i chwały, przez które omal nie eksplodował. Spojrzał we wsteczne lustro, by sprawdzić, czy z jego oczu, ust i nosa bije jasna poświata. Jeszcze się nie pojawiła. Jeszcze nie...

Krażył A-32 w poszukiwaniu Bestii, nie wiedząc, czy zabił ją wtedy, czy chybił. Kiedy wysiadł, nie znalazł ani śladu po uderzeniu w chłopaka czy w rower. Czy w takim razie Bestia w przebraniu nastolatka na rowerze została pokonana, czy jeszcze nie? Może po prostu rozplynęła się w powietrzu, rozpadła na cząsteczki, z których powstała? Eddie tego nie wiedział, a Bóg nie przemówił i nie pomógł mu znaleźć odpowiedzi. Wsiadł wtedy do szoferki i na wszelki wypadek zaczął jeździć tam i z powrotem, szukając Bestii, by w razie czego dokończyć dzieła. Bóg zaprowadził go do miejsca za farmą starego Guthriego, gdzie rozbił się obcy samochód. Natychmiast zatrzymał się na poboczu i poszedł sprawdzić, co się dokładnie wydarzyło. Czy Bestia była tam wcześniej? Może ten samochód wjechał wprost na Bestię i razem wypadli z drogi? Poczul ukłucie żalu, bo to przecież on miał pokonać Zło. Bo przecież to on był Mieczem w Rękach Pana, a nie kierowca jakiegoś innego samochodu.

Obszedł miejsce wypadku, ale nie mógł znaleźć kawałków rozbitego roweru. Nawet najmniejszych śladów stłuczki. Tylko czarne ślady na asfalcie i połamana kukurydza.

Eddie szybko posuwał się korytarzem wygniecionym przez rozbitą maszynę. Szedł z uniesionymi rękami, gotowy do obrony. Mimo że miał już pięćdziesiątkę na karku, był w doskonałej kondycji, a jego ciało - świątynia Pana - pulsowało napiętymi mięśniami wypracowanymi w czasie długich godzin ćwiczeń z hantlami, skakanką i gruszką bokserską. Musiał utrzymywać je w stanie gotowości, bo Pan mógł odezwać się w każdej chwili. Kąpał się z początku trzy, a potem cztery razy dziennie. Nieustannie mył ręce, a już absolutnie obowiązkowo, kiedy dotknął klienta lub innego mechanika. Musiał oczyścić skórę najszybciej, jak to możliwe, ale nie chciał się z tym obnosić. Inni zauważyli jego nienawiść do brudu i drwili, że Eddie znalazł sobie nową panią, której jędrne ciało zasługuje na czysty dotyk. Śmiał się razem z nimi, przelękając gorzki wstyd i wściekłość, którą czuł na samą myśl o tych bezbożnych sugestiach. Kobieta! Akurat! W takim czasie przecież nie może ulegać cielesnym pokusom! Z jaką zgrają idiotów, ograniczonych kretynów, tępych i ciemnych ignorantów musi pracować! Równie dobrze mogli być świniami. Nie mają pojęcia, nie wiedzą, co się dzieje i do czego Eddie się przygotowuje.

Jestem drapieźnikiem Pana, myślał, a potem biczował się za próżność. W końcu uznał, że najwłaściwiej będzie myśleć o sobie jako o Mieczu w Rękach Pana.

Na ciemnym lakierze otwartego bagażnika zatańczył refleks błyskawicy. Eddie podszedł do samochodu, by sprawdzić, co się stało. Był rozbity, miał urwane koło i drążek kierownicy. Widział to z odległości kilku metrów. Przesunął światłem lantarki po wozie, przyglądając się smutnym pozostałościom po jakiejś przygodzie, która się źle skończyła. Oświetlił wnętrze bagażnika i zobaczył zakrwawione

banknoty przemieszane z białym proszkiem. Z odrazą zmarszczył nos. Jeśli istniało coś, czego Eddie Holownik naprawdę nienawidził, to było to działanie przeciwko swemu ciału. Piwo było złem, ale nie mogło się równać z narkotykami, które jawiły mu się jako wcielenie zła. Cmoknął z odrazą i poszedł obejrzeć resztę samochodu. Podszedł do drzwi kierowcy i zajrzał do środka. Kabina była pusta. Światło latarki ukazało za to sporo krwi na siedzeniach i podłodze. Serce zabiło mu szybciej. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Zmarszczył czoło. Przesunął latarką po ścianie kukurydzy, ale nikogo nie zauważył. Potem obszedł samochód i znalazł człowieka skapanego we własnej krwi i błocie. Gdyby poświecił latarką na boki, kiedy zaglądał do bagażnika, pewnie by go zauważył. Mężczyzna musiał upaść i zniknął w cieniu. Jaskrawobiałe światło latarki sprawiło, że oglądał ten widok jak czarno-białą fotografię. Człowiek leżący na ziemi miał czarny garnitur, czarny krawat, białą twarz i wielką czarną plamę krwi, która rozlała się na cały przód koszuli.

Eddie przykucnął, dokładnie mu się przyglądając. Wodził wzrokiem od trupio bladej twarzy do zachlapanych krwią butów. Dziwne, jak czasem śmierć przypomina życie, pomyślał i podskoczył, kiedy mężczyzna poruszył ustami. Chciał coś powiedzieć, ale nie wydał żadnego dźwięku.

Eddie Holownik nie mógł się nadziwić, że facet jeszcze żyje. Obejrzał go dokładniej w świetle latarki i stwierdził, że plama krwi na koszuli wciąż mokro połyskuje. Znalazł też dwie poszarpane dziury w koszuli. Dostał dwa postrzały w brzuch. Wykrwawił się tak bardzo, że był biały jak kokaina w bagażniku wozu i dookoła niego na ziemi. Co za burdel, pomyślał Eddie, który z zasady nienawidził nieporządku, nieważne, czego dotyczył.

Powietrze było ciężkie od zapachu krwi, krwi rannego mężczyzny i rozerwanych na strzępy ptaków. Ta woń się Eddiemu podobała, niemal uzależniała... Zamknął oczy i pozwolił jej obmywać swoje ciało, wciągał ją w płuca. Zakręciło mu się w głowie i mrugał przez kilka sekund, zanim odzyskał ostrość widzenia.

Pochylił się nad rannym. Jeszcze nigdy w życiu nie widział człowieka tak bliskiego śmierci. Pewnie, że widywał chorych, pokaleczonych, wyciąganych z rozbitych wozów. Widział też zwłoki - ale jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś balansował dokładnie na granicy dwóch światów, z duszą szukającą ujścia z ciała jak świetlik zamknięty w dłoniach dziecka. Niewiarygodny widok. Piękny, delikatny i poruszający. Coś w nim przeskoczyło. W pierwszej chwili nie wiedział, co się z nim dzieje, ale potem przyjrzał się mężczyźnie sumiennie wykonującemu swoje zadanie umierania, i zaczął rozumieć zachodzącą przemianę.

Ranny podniósł wzrok i spojrzał błagalnie na Eddiego. W jego oczach była mieszanina strachu, bólu, nienawiści i desperacji. Holownik pochylił się nad nim i

smakował strumień najczystszych emocji opuszczający ciało u jego stóp. Szczególnie wyśmienity był ból. Oblizwał usta i wciągnął łapczywie zapach krwi.

- Jesteś ranny- stwierdził, rozkoszując się intensywną wonią bólu i umiarnia, najczystsze cierpienia, niczym niezakłóconego.

- Ja... dostałem... kulkę...

Eddie Holownik przewrócił mężczyznę płasko na plecy, żeby dokładniej obejrzeć obrażenia. Z obu dziur po kulach sączyła się krew. Nagle opanowało go pragnienie, by pochylić się i napić prosto z ran, ale wiedział, że jeszcze nie nadszedł na to czas, na...

Szukał właściwego słowa.

Sakrament? Czy to jest to? Tak, chyba tak. Sakrament. Jeszcze nie nadszedł czas na sakrament. Jeszcze nie. Wszystko ma swój czas i jeśli ma się zdarzyć, powinno zdarzyć się zgodnie z planem. Tak mówi Biblia. Nabrał powietrza i niemal krzyknął, kiedy ciężki zapach świeżo ciętej miedzi przeszył jego wnętrze jak prąd. Wytrzeszczył oczy i zatoczył się do tyłu, bo nagle, jedne po drugich, wszystkie dotychczas zamknięte drzwi w jego mózgu zaczęły się otwierać. Nagle zrozumiał! Nagle - w jednej chwili - wszystko nabrało sensu. Wszystko. Wszystko, o czym myślał i o czym snił przez kilka ostatnich lat, stało się kryształowo jasne. Zaśmiał się z radości.

Spojrzał zdziwiony na rannego i zobaczył to, kim naprawdę jest... czym naprawdę jest. Roześmiał się znowu i poczuł lzy zbierające się w kąciakach oczu. Oczywiście! Przecież to nie może być wypadek. Bo i jak? Jak w ogóle mógł coś takiego założyć? Jak ktokolwiek mógł być na tyle ślepy, żeby tak pomyśleć? To nawet nie jest zwyczajne miejsce przestępstwa. Nie, to coś zupełnie, ale to zupełnie innego i teraz potrafił już to zobaczyć. To coś specjalnego, coś pomyślanego specjalnie dla niego, ułożonego specjalnie dla niego i na dodatek obdarzonego potężną mocą.

Dotknął ran i przyjrzał się krwi na palcach. Błyszczała ciemno w świetle latarki.

W głowie Eddiego Holownika rozległo się głośne klik, kiedy doszedł do tych wszystkich wniosków.

Miał rację. To nie sakrament, w którym Pan obiecał mu uczestnictwo. Nie... to chrzest.

Usłyszał cichy głos Boga mówiącego przeciągle „Taaaak”.

Lzy popłynęły mu z oczu szerokimi strugami, a głowa zaczęła oddawać pełne wdzięczności pokłony. Nagle, pośrodku nocy, w odludnym miejscu, zrozumiał, czym i kim jest. Bóg, tajemniczy i delikatny, podarował mu tego człowieka, podarował mu chrzest. Po to go tutaj skierował. Poprowadził go przez przemoc i nienawiść.

A czy wcześniej Bóg nie poprowadził Jezusa do miejsca, gdzie Jan Chrzciciel dokonał Jego pomazania? Czy wtedy też nie panowała przemoc i nienawiść Rzymian okupujących Judeę? Może to niedokładnie to samo, ale przecież chodzi o kontekst, a ten był dla Eddiego oczywisty.

Ten człowiek... umierający... chrzciciel i jego krew były oczyszczeniem i zbawieniem. Nawet dziecko by to zauważyło.

Mężczyzna zakasłał i z jego ust wypłynęły rubinowe strużki, znacząc czerwone ślady na szyi. Niedługo umrze, a Eddie nie wiedział jeszcze, co powinien zrobić. Czy ma o niego zadbać? Ratować go?

Nie, to nie pasuje do całości. Ten człowiek, chrzciciel czy nie, został mu zesłany pod postacią kryminalisty, a Eddie nie mógł uwierzyć, że Bóg chciał, by Miecz w Jego Rękę ratował złych ludzi. Czas na nawrócenie minął.

W takim razie co? Obserwować, jak umiera? Może znajdzie w tym jakiś przekaz?

To już było bliższe prawdy, ale Eddie wciąż miał wrażenie, że to za mało. Pozwolić mu tak po prostu odejść, czyli zgodzić się na coś, co było niechybne i nieodległe, wydawało się niewykorzystaniem okazji.

Ściągnął brwi i momentalnie przestał się cieszyć z triumfu, bo zaczęły go zżerać wątpliwości. A jeśli źle to wszystko zinterpretował? Może opacznie zrozumiał święte znaki? Tak dużo zależy od tego, co z nich zrozumie, że poczuł mdłości, które przyniosła fala wahania i niepewności. Uśmiech zniknął z jego ust, a on stał i wodził wzrokiem od rannego faceta na ziemi, przez samochód i martwe ptaki, z powrotem do mężczyzny u swoich stóp. Może samo czytanie znaków od Boga ma być testem? Zagadką? Łamigłówką? Nie miał pojęcia, co się stanie, jeśli nie znajdzie odpowiedzi. Przez pełną minutę zastanawiał się, patrząc, jak ranny traci i odzyskuje przytomność.

- Nie - powiedział miękko do siebie. Wątpliwości są narzędziem Bestii, a nie Wszechmogącego.

Urywany szeptem ranny mężczyzna powtórzył, że jest ranny.

- Zostałem postrzelony.

- Aha. - Eddie Holownik mówił cichym głosem. Ból w oczach rannego był tak intensywny, że odczuwał go jak łaskotanie prądu. Z trudem mógł znieść jego wzrok, nie płacząc z radości. Miał sucho w ustach i czuł, że poca mu się dłonie.

- Pomożesz mi?

Ależ ekscytujący moment! Ranny błaga go o pomoc, a on ma już gotową odpowiedź. Nie przybył tu z pomocą i nie po to, by patrzeć i nic nie robić. To bezpośredni rozkaz od Boga, przekazany mu pod postacią testu.

- Kim jestem? - Eddie zapytał sam siebie, intonując słowa jak litanie. - Jestem Mieczem w Rękach Pana! - odpowiedział sam sobie.

- Jestem Mieczem w Rękach Pana! - Ryknął na cały głos, plosząc czarne ptaki. Uśmiechnął się, a jego serce i potężną pierś wypełniła radość.

- Czy przyszedłeś... mi pomóc? - Słowa umierającego chrzciciela stały się częścią jego świętej litanii, a Eddie usłyszał śmiech Bestii schowanej głęboko pod ludzkim bólem. To był klucz. Współczucie i powściągliwość były narzędziami Bestii, a Eddie wiedział, że to próba. Wszystko zależy od tego momentu i od jego odpowiedzi.

W jego głowie pulsowały wcześniejsze słowa: „Jestem Mieczem w Rękach Pana”.

Potem jego głos zagłuszył inny, wypełniając mu mózg grzmotem. „Zrób to dla mnie i otwórz wrota do rajów!”, powiedział Bóg.

- Czy przyszedłeś mi pomóc?

Eddie Holownik uśmiechnął się, a z oczu płynęły mu łzy.

- Nie - odpowiedział i z wielką czcią wziął w obie dłonie twarz rannego i na zakrwawionym czole złożył pocałunek. Potem pocałował zmasakrowane usta i trwał, spoglądając głęboko w jego oczy, starając się pokonać wszystkie przeszkody i dosięgnąć zniewolonej przez zło duszy człowieka.

Mężczyzna opierał się, starał się go oszukać, przetestować jego wiarę i zdecydowanie, ale Eddie był twardy. Patrzył mu w oczy i szukał, szukał, szukał.

Demon walczył, utrzymując rannego przy życiu, odmawiając Eddiemu krótkiego przebłysku nieskończoności, ale nie mógł mu przeszkodzić w odebraniu nagrody, której tak pożądał. Eddie złapał głowę mężczyzny jedną ręką i nie odrywając wzroku od jego oczu, drugą sięgnął po omacku do poszarpanych ran na brzuchu. Mężczyzna musiał to poczuć, bo w jego oczach zapłonęło przerażenie, ale Eddie Holownik uśmiechnął się łagodnie i wcisnął palce w poszarpane otwory, najgłębiej, jak tylko mógł.

Ranny krzyknął w czysto ludzkiej agonii, ale z mocą demona, którego Eddie wyrывał przemocą z jego ciała. Potem z jego ust nie wydobywał się już żaden dźwięk, choć wciąż otwierały się i zamykały, a pierś falowała.

- Pobłogosław mnie - mruknął cicho, wręcz uprzejmie Eddie Holownik. - Obmyj mnie w wodzie odkupienia, abym był czysty, bo jestem Mieczem w Rękach Pana!

Pozostał z człowiekiem, odprawiając z jego ciałem wszystkie ceremonie Nowego Przymierza. Stworzył więzy krwi i ciała, które miały stać się kamieniem węgielnym nowego świata.

Teraz, kilka godzin po tamtych wydarzeniach, siedział w szoferce holownika i spoglądał na zaschniętą krew. Myślał o tym wszystkim, co zobaczył i czego doświadczył. Śmierć rannego była wyrazista i wiele mu wyjaśniła, a to, co zrobił potem zgodnie z nakazami z jego ciałem, dało mu wiedzę. Płonął nią, kipiał

- Dzięki - rzucił Crow, a kiedy usłyszał w słuchawce sygnał oczekiwania, wykrzyknął „Alleluja!” Nigdy za nią nie przepadał, choć ona o tym nie wiedziała. Była przekonana, że bycie recepcjonistką, sekretarką i telefonistką w magistracie czyni z niej centralną postać władzy wykonawczej w całym regionie.

Czekając na połączenie, przyjrzał się Mike'owi Sweeneyowi, który siedział obok. Rower wepchnął do bagażnika, a żeby kłapa się nie otwierała, przywiązał ją elastycznym sznurkiem do zderzaka. Chłopak wyglądał bardzo krucho, i Crow poczuł jeszcze większe współczucie. Mike Sweeney, czy raczej Żelazny Mike, bo taką ksywkę wymyślił mu w zeszłym roku, był jednym z tych wybitnych, ale samotnych dzieciaków, których bujna wyobraźnia wystarczała, by zrekompensować im brak przyjaciół. Nie trzeba było być specjalistą, żeby zobaczyć, że jest na zupełnie innym poziomie intelektualnym niż jego rówieśnicy, i chociaż cecha ta zapewne pozwoli mu w przyszłości dołączyć do elity mieszkańców Pine Deep, teraz czyniła z niego zgorzkniałego samotnika. Crow znał też jego sytuację domową i wiedział, że nie ma lekko.

Mike zobaczył, że Crow go obserwuje, i się uśmiechnął.

Żelazny Mike był stałym klientem sklepiku Crowa. Za ciężko zarobione na rozwożeniu gazet pieniądze kupował modele do sklejania, komiksy i kopie Fangorii. O klasycznych horrorach wiedział niemal tyle samo, co Crow, a jeśli chodziło o science fiction, to nie miał sobie równych. Crow zdawał sobie sprawę, że charakter jego sklepu i czytanie książek grozy jest jego prywatnym sposobem na ucieczkę. Żeby potwór przestał być straszny, wystarczy jasno go oświetlić. Zaraz widać zamki błyskawiczne kostiumu i lateksową gumę maski. Tak jak butelka z alkoholem przez długi czas była dla Crowa ochroną przed zmierzaniem się z wydarzeniami podczas Czarnych Żniw. Zdawał sobie z tego sprawę, a na dodatek robił to w pełni świadomie.

Miał jednak wrażenie, że Mike w jakiś sposób musiał przekroczyć delikatną linię pomiędzy rzeczywistością a fantazją i tego nie zauważył. Wiedział, że chłopak nazywa swój rower Maszyną Wojenną i że często odpływa w jakieś nieznanne rejony w swojej głowie. Malcolm zastanawiał się, czy kiedyś z tego wyrośnie albo czy dojrzeje, by się z nimi skonfrontować. Terapia jest skuteczniejsza niż whisky.

Crow doskonale znał też Vica Wingate'a. Vic był starszy od niego i od wielu, wielu lat był lokalną legendą Pine Deep. Miał reputację zabijaki. W walkach w barach nie okazywał żadnego strachu, a z jego odwagą mogło się równać tylko to, że był skończonym dupkiem. Nieraz Crow widział Mike'a, jak idzie, powłócząc sztywnymi nogami - takie obrażenia powstają tylko od silnych razów szerokim pasem. Czuł wtedy wściekłość i jednocześnie frustrację, bo nie było niczego, co mógłby dla chłopaka zrobić, a wiedział o tym z własnego doświadczenia. Jego ojciec też miał ciężką rękę i zdecydowanie zbyt często jej używał. W głębi duszy

marzył, żeby złapać Vica i przeczłogać go trochę gdzieś na osobności. Nie był pewien, czy dałby mu radę, ale z chęcią by spróbował. Niestety, Vic trzymał się blisko z Gusem Bernhardttem i Jimem Polkiem i był zbyt przebiegły, by przyjąć wyzwanie. Każdy, kto próbował wystąpić przeciwko Vicowi albo zdecydował się dać mu po cichu w szczękę, najpierw lądował w szpitalu, a potem w areszcie lub w sądzie. Vic był równie przebiegły jak zły.

Wiedząc, że nie ma szans w ten sposób poprawić sytuacji Mike'a, postanowił zadziałać od drugiej strony i zaprzyjaźnił się z chłopakiem, pokazując mu, że jest wartościową osobą i traktując go jak człowieka. Czasem starał się rozmawiać z nim o wartościach i zasadach, które są przydatne w życiu. Pokazał mu kilka technik jujitsu, mając nadzieję, że zainteresuje go sztukami walki w taki sam sposób, w jaki ktoś kiedyś zainteresował jego. Crowowi jujitsu pomogło przeciwstawić się własnemu ojcu, więc może Mike też mógłby na tym skorzystać. Drapieżcy generalnie nie przepadają za sytuacjami, kiedy ofiara pokazuje kły i pazury.

Chłopak patrzył na niego przez szybę ze środka wozu. Już się nie uśmiechał. Crow wzruszył teatralnie ramionami i wskazał telefon. Mike dał znak, że rozumie. Malcolm wysiadł na czas rozmowy, żeby pasażer nie usłyszał o mordercach w Pine Deep. Wyglądał, jakby i bez tego miał już dość przeżyć.

- Crow? - Głos Terry'ego rozległ się w słuchawce nagle i bez ostrzeżenia, sprawiając, że Malcolm podskoczył.

- Terry, to ty? Cześć.

- Stary, powiedz mi, że w „Przejażdżkach” wszystko w porządku, co?

- Co? Nie, no coś ty, jeszcze tam nie dotarłem.

Zapanowała krótka cisza, a potem rozległ się chłodny głos przyjaciela:

- Słucham? Że jeszcze tam nie dotarłeś? Co... rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz. Przecież jadę tam i nie zlekceważyłem twojej prośby.

Tylko że pojawiło się coś nowego.

Znów chwila ciszy.

- Coś nowego? Crow, nie wiem, czy pamiętasz, ale w Pine Deep mamy poważny kryzys.

Malcolm odszedł jeszcze kilka kroków od samochodu.

- Mam tutaj Mike'a Sweeneya.

- Dobra, to pozwól, że zapytam: kto to jest Mike Sweeney.

- To ten dzieciak, który rozwozi gazety.

- Dobra. Pamiętam go. A co właściwie z nim robisz? Uczysz się jego trasy na pamięć?

- Nie. Omal go nie rozjechałem. Nie panikuj, przecież nie zrobiłem tego specjalnie... nie celowałem w niego w każdym razie.

- Mam nadzieję.

- Ale ktoś inny tak. Dziś wieczorem ktoś próbował go zabić. - Tym razem cisza była dłuższa. - Terry? - zapytał w końcu Crow.

Po drugiej stronie rozległo się głębokie westchnienie.

- Musisz mi to powtórzyć. Ktoś próbował...

- Ktoś chciał go rozjechać. Tak. Dzieciak jechał A-32, kiedy pojawił się holownik, a kierowca celowo starał się wziąć go na maskę.

- Chryste, Crow! Pewnie go nie zauważył. Dzieciak na rowerze na tak ruchliwej drodze... Zastanów się. Tak jak mówiłem, mógł go przeoczyć. Sam przecież zrobiłeś niemal to samo, nie?

- Dzieciak twierdzi, że kierowca zjechał na przeciwny pas, żeby go trafić. Mały jechał w stronę miasta, poboczem, a tamten w drugą stronę. Kiedy był w miarę blisko, przyspieszył i zjechał na prawy pas i na pobocze.

- Daj spokój!

- Terry, moim zdaniem on mówi prawdę. - Nagle spojrzął na całą sytuację z innej perspektywy. Ojczymem Mike'a jest Vic Wingate, znany ze stosowania przemocy wobec dzieciaka. Pracuje jako mechanik w warsztacie Shanahana, więc pewnie ma dostęp do jego holowników. Czy to mógł być on? Głowił się nad tym przez chwilę, ale uznał, że to zbyt przekombinowane.

- Crow, słuchaj, naprawdę mamy dość innych zmartwień niż jakiś narwany kierowca. Pewnie był pijany i nawet go nie zauważył. Odpuść sobie, dobrze?

- Dzieciak jest ranny.

Cisza.

- Ranny? Poważnie ranny? Mam wysłać karetkę?

- Nie, to nic aż tak poważnego. Złamane żebro czy dwa, siniaki i potłuczenia. Stracił też przytomność. Chyba powinien trafić do szpitala na obserwację. A jeśli nie, to w każdym razie niech jakiś lekarz obejrzy jego żebro i głowę.

- Gdzie jesteś?

- Na A-32, zatoczka przy Zakręcie Shandy. Nie będę dzieciaka ciągnął do „Przejażdżek”, a jeśli zawiozę go do szpitala, to nie zamknę całej imprezy przed jedenastą.

- To za późno.

- Wiem.

- Możesz zadzwonić do jego starych? Niech przyjadą po niego do „Przejażdżek”.

- Hm, no nie wiem...

- Spróbuj.

- Dobrze. A wiesz, kto jest jego ojczymem? Vic Wingate.

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

- Super.

- Aha. - W miasteczku wszyscy go znali. U tych, których z jakichś powodów nie przerażał, wzbudzał nienawiść. - Z powodu wypadku mały jest solidnie spóźniony. A Vic pilnuje, żeby zawsze wracał o czasie...

- I da mu pewnie po tyłku za to, że pozwolił sobie złamać żebro...

- Też tak obstawiam.

- Dobra, to czego ode mnie oczekujesz?

- Zadzwoń do niego. Powiedz mu, że jakiś wariat na drodze omal nie zabił Mike'a i że mały musi złożyć zeznania jako naoczny świadek.

- Wiesz, że nie mogę tego zrobić.

- Możesz.

- Nie uda nam się ustalić, kto siedział za kółkiem, to po pierwsze. A po drugie, dziecku nigdy nie zrobią świadkiem!

- Tak. Ja to wiem i ty też. Ale Vic nie ma o tym zielonego pojęcia. Ale jeśli pomyśli, że teraz co pewien czas Mike będzie musiał porozmawiać z glinami, może przejdzie mu ochota do lania dzieciaka za co popadnie. Przynajmniej na jakiś czas.

- Sam nie wiem...

- Daj spokój, Terry, przecież jesteś politykiem, więc go okłam. Nic cię to nie kosztuje, a przynajmniej możesz uchronić małego przed laniem.

- No dobra już, dobra. A co tam. I wiesz co, Crow? Kiedyś to twoje dobre serce się na tobie zemści.

- Bła bła bła. Terry, zadzwonisz czy nie?

- Zadzwonię, ale posłuchaj mnie uważnie. Masz jak najszybciej znaleźć się w „Przejażdżkach”. Musimy wysłać wszystkie dzieciaki do domów. Tutaj zaczyna naprawdę nieładnie pachnieć.

- Jeszcze ich nie złapali?

- Nie, ale uwierz mi, tu się już roi od glin z Filadelfii. Wygląda na to - Terry ściszył głos - że ci goście to poważna sprawa, a nie jakieś płotki. To naprawdę źli ludzie, stary.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Terry mówił już prawie szeptem.

- Jeden z nich to psychol o nazwisku Karl Ruger.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Słyszałeś.

- Nie...

- A słyszałeś o rzeźniku z Cape May?

- Tak. Złapali go?

Terry nie odpowiedział, tylko poczekał, aż Crow zrozumie, dlaczego o nim wspomniał. Nie musiał długo czekać.

- Chryste!

- Aha.

- Ja... mój Boże!
- Uhm.
- Matko Najświętsza, Terry, czy to pewne?
- Gliny z Filadelfii go zidentyfikowały.
- O mój Boże.
- No to już wiesz. Masz spluwę?
- Co? A tak, tak.
- Amunicja?
- Oczywiście, że tak.
- To się z nią nie rozstawaj, przyjacielu. Halloween zacznie się w tym roku znacznie wcześniej.
- Co masz na myśli?
- Dziś w nocy można spotkać potwory. - Mimo żartobliwych słów, w jego głosie na próżno by szukać wesołości.

Crow przerwał połączenie i przez kilka chwil wpatrywał się w ciemność. Potem wcisnął przycisk szybkiego wybierania i zadzwonił do Val, ale nie odebrała. W końcu usłyszał pocztę głosową. Nagrał prośbę o oddzwonienie i się rozłączył. Wrócił do samochodu, usiadł za kółkiem i znów przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu, wpatrując się w ciemność. Mike cierpliwie czekał. W końcu Crow na niego spojrział.

- Właśnie rozmawiałem z burmistrzem. Zadzwoni do twojej matki i... i Vica. Powie im, żeby przyjechali po ciebie do „Przejażdżek”.

- Do „Przejażdżek”?

- Tak, to trochę skomplikowane... Ale to tajemnica, rozumiesz? Nie możesz nikomu o tym wspomnieć. - Mike kiwnął głową, a Crow przedstawił mu nieco łagodniejszą wersję sytuacji, w jakiej się znaleźli. Zanim skończył, oczy chłopaka były wielkie jak spodki, przez co wyglądał jeszcze dziecinniej niż zazwyczaj. Nerwowo obliznął usta.

- Jeeezu.

- Dokładnie tak samo zareagowałem.

- W Pine Deep? - Mike nie mógł uwierzyć. - I burmistrz zrobił cię na powrót gliną?

- Na to wygląda.

- O rany...

- Uhm.

- Super.

- Super - zgodził się Crow.

Przez jakąś minutę patrzyli na siebie, a potem Mike się odezwał:

- Crow... jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć... ale nie chcę, żebyś myślał, że mi odbiło.

- Za późno. - Crow uśmiechnął się, a potem zorientował, że chłopak jest śmiertelnie poważny. - Hmm, no pewnie Mike, wal śmiało.

Mike opowiedział mu o spotkaniu z białym jeleniem. Opisał zwierzę, to, jak się poruszało i jak go odpędzało. Jediną rzeczą, o jakiej zapomniał powiedzieć, to ślady hamowania na drodze. Nie najszcześniejszy zbieg okoliczności.

Crow oparł się o drzwi i patrzył na chłopca. Przez głowę przebiegały mu najróżniejsze myśli, w tym jedna całkiem prawdopodobna, że Mike na tyle mocno uderzył się w głowę, że mogło to wywołać halucynacje. Dzieciak mówił bardzo składowo i mimo ekscytacji, nie gmatwał i nie mylił kolejności wydarzeń.

- Widziałeś kiedykolwiek coś takiego? Zakręcone, co? - zakończył Mike.

Cała ta noc jest zdrowo zakręcona, pomyślał Crow.

- Cóż, Mike, to trochę wyczesane.

Chłopak pokiwał głową i dotknął ramienia Crowa.

- Słuchaj, użyłeś slangu... a dorośli nigdy nie rozumieją znaczenia poszczególnych wyrażen.

Malcolm spojrział na niego.

- A wiesz, co to znaczy „nie w ciemni bity”?

- Nie.

- To dosłowne tłumaczenie z celtyckiego i oznacza kogoś czepialskiego.

Mike się uśmiechnął.

- To powiedz teraz, co o tym sądzisz?

- Szczerze? Nie mam zielonego pojęcia, co by to mogło oznaczać. Gdybyśmy żyli w średniowieczu, to dobra, biały jelen, jaśniejące serca - to oczywiście oznaki nadchodzącego końca świata. Ale nie żyjemy w średniowieczu i wydaje mi się, że po prostu zobaczyłeś albinosa, który się dziwacznie zachowywał.

- Dziwacznie?

- A co ja jestem, Animal Planet? Nie znam się na zwierzętach. Sprzedaję plastikowe szczury i gumowe maski. Ale jutro zadzwonię do Nata Hollanda i zapytam go o to. On jest strażnikiem leśnym, to powinien coś wiedzieć. Może zwierzak był chory?

- Może... - mruknął Mike, ale było słychać, że wcale tak nie myśli.

Crow spojrział na zegarek.

- Teraz to już naprawdę muszę się spieszyć do „Przejażdżek”, mały. Jedziesz ze mną, Żelazny Mike'u? - Uśmiechnął się.

- Odpal przetworniki R2, zaraz będziemy poruszali się z prędkością światła.

Crow zachichotał.

- Dobra, ale ja jestem Luke, a ty R2D2.

- Nie ma mowy!
- A kto prowadzi?
- Skoro chcesz być Skywalkerem, to gdzie masz miecz?

Crow uśmiechnął się, a w jego oczach pojawiła się zaduma. Potem pochylił się, otworzył schowek i wyciągnął berettę. Sprawdził jeszcze bezpiecznik i wsunął ją sobie za pasek. Znów poczuł, jakby jego skóry dotknęła kostka lodu.

- Taki miecz wystarczy?

Mike przełknął głośno.

- Chyba tak.

Crow uruchomił silnik i Missy ożyła. Prawie bez pisku opon wrócił na drogę i ostrożnie ruszył w kierunku „Przejażdżek”, starając się nie przekraczać bezpiecznych stu czterdziestu na godzinę.

3.

Terry się rozłączył i westchnął. Zapowiada się długa noc. Sala wokół niego pulsowała życiem. Policjanci wchodzili i wychodzili, telefony dzwoniły, a powietrze wypełniał gwar rozmów. Przez chwilę nie ruszał się z miejsca przy biurku i nie cofnął dłoni z klawiatury telefonu; myślał. Zastanawiało go tajemnicze spotkanie Crowa z Mikiem Sweeneyem. Irytowało go, że nie potrafi tego zrozumieć. Poza tym w tym dzieciaku było coś, co go od zawsze denerwowało. Za każdym razem, kiedy widział go na rowerze z płócienną torbą wypełnioną gazetami, czuł dziwny ucisk w żołądku. Właściwie nic wielkiego, nic, do czego mógłby się przyczepić, jedynie coś w rodzaju delikatnego niepokoju. Dziwny dzieciak, pomyślał i pokręcił głową. Ma dość problemów, żeby zaprzętać sobie głowę takimi drobiazgami. Teraz przede wszystkim musi zorganizować najprawdziwszą obławę. Boże, jęknął w duchu, akurat to mi potrzeba miesiąc przed Halloween.

Poszedł do toalety i zamknął drzwi na zamek. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął buteleczkę xanaxu, wrzucił jedną pastylkę do ust i popił wodą z kranu. Poranna dawka chemii działała - na wewnętrznościach zaciskała się żelazna obręcz. Nie czuł senności, przed którą ostrzegał go psychiatra, ale od kiedy zaczął łykać psychotropy, jelita nie pracowały tak jak dawniej. Łagodząc działanie wcześniejszego leku xanaxem, miał nadzieję, że jakoś dotrwa do końca dnia.

Nabrał pełne dłonie wody i obmył twarz, a potem przez dłuższą chwilę wycierał ją do sucha. Zanim wrócił do sali, poprawił jeszcze krawat.

Sierżant Ferro rozmawiał poważnie z Gusem Bernhardttem, ale szeryf, gdy zobaczył Terry'ego, przywołał go ruchem ręki.

- Ma pan minutkę?

- Pewnie - odpowiedział Terry, ale kiedy ruszył w ich kierunku, kątem oka zobaczył swoje odbicie w szybie za biurkiem. Ciemność na zewnątrz i światło w środku zmieniały ją w negatyw lustra, a jego twarz zamajaczyła w czarnej niemal głębi. Widział brwi, widział brodę i włosy, ale głębia rozmazywała niektóre fragmenty i je deformowała. Teraz miał niemal czarną czuprynę, a głęboko zapadnięte oczy nadawały twarzy wygląd obciągniętej skórą czaszki, która poza niezadowolaniem nie wyrażała żadnych uczuć. Stał i wbił wzrok w powykrzywiany obraz, przypominając sobie koszmary nawiedzające go nocami. Odbicie bestii w porozbijanych witrynach sklepów płonącego miasta. Wykrzywił usta zniesmaczony tym, że popada w paranoję, i odwrócił się do policjantów.

Powierzchnia szyby pozostała pusta jedynie przez chwilę. Potem powoli pojawił się na niej inny obraz. Wydawało się, że zwabiło go światło i płynie teraz ku niemu z głębi jak człowiek, który wychodzi z cienia i zbliża się do latarni. Można by nawet uznać, że ktoś pojawił się po drugiej stronie i szedł w kierunku okna, aż pełna refleksów światła szyba znów stała się przejrzysta. Ale to oczywiście nie mogła być prawda, bo po drugiej stronie nikogo nie było. Ulice były zupełnie puste. Nie było to również odbicie nikogo z wewnątrz, bo w środku nie było małej dziewczynki z burzą rudych loków, jasnoniebieskimi oczami, ubranej w zieloną sukienkę. Ten obraz należał do ciemności odbitej w szybie. Śliczne małe dziecko z owalną twarzą i pluszowym królikiem w ręku. Piękna buzia, choć spryskana krwią. Piękna sukienka, choć w zakrwawionych strzępach.

Mała rudowłosa dziewczynka spoglądała na wielkiego rudowłosego mężczyznę. Widziała jego zatroskane i zmęczone oczy, kiedy podszedł do policjantów i zaczął z nimi rozmawiać. Na jej policzku pojawiła się łza błyszcząca jak diament. Zatrzymała się, by po chwili spłynąć w dół przez smugi rozmazanego szkarłatu. Znacząc wilgotny ślad na skórze, zabarwiła się czerwienią i zmieniła w kroplę żywej krwi. Zanim dotarła do brody, postać małej dziewczynki zniknęła.

4

Val Guthrie wpatrywała się w czarny otwór lufy. Jej twarz nie wyrażała jakichkolwiek emocji, tylko na ustach błąkał się półironiczny uśmiešek.

- Słucham? - zapytała spokojnie.

Wygięte w uśmiechu wargi Karla Rugera wyglądały jak kciuk zmiażdżony uderzeniem młotka. Ciemne oczy promieniowały inteligencją i męskim wdziękiem. Zrobił krok do przodu, przycisnął lufę do jej brzucha i wepchnął z powrotem do

środku. Nie odrywając od niej wzroku, wysunął nogę i piętą popchnął drzwi. Zamknęły się z cichym trzaskiem.

Absurdalność sytuacji i szok, jaki Val przeżyła na widok tego mężczyzny z małym pistolecikiem w dłoni, sprawiały, że nie mogła się otrząsnąć z rozbawionego osłupienia. Spojrzała w dół, na miejsce, w którym broń wgniatała się lekko w jej brzuch.

- Co...? - zapytała ponownie. Poruszała ustami, chcąc dokończyć pytanie, ale nie mogła znaleźć słów pasujących do tej sytuacji.

- Val?! Kto to?! - Z kuchni dobiegł głos ojca, choć równie dobrze przestraszony mózg mógł płatać jej figle. A potem nagle wróciła do rzeczywistości, jakby zimny wiatr przywrócił jej przytomność. Pojęła sytuację, w jakiej się znalazła: obcy mężczyzna wbija jej lufę pistoletu w brzuch i wpycha do jej własnego domu.

- Tato! - krzyknęła nagle wysokim piskliwym głosem. Niemal w tym samym momencie poczuła uderzenie w twarz - tak silne, że dopiero co odzyskana trzeźwość umysłu odeszła w nieznane. Zatoczyła się i uderzyła głową w futrynę, podświadomie rejestrując, że to tylko cios, a nie postrzał. Mężczyzna musiał wyprowadzić go w taki sposób, że nie zauważyła nawet, kiedy się zamachnął, więc o uniku nie mogło być mowy. Cała prawa strona twarzy piekła ją, jak sparzona wrzątkiem. Z oczu płynęły łzy.

- Val?! - usłyszała wołanie ojca. - Jezu Chryste, a kim pan...

Nic nie widziała, bo przed oczami tańczyły jej chmury rozbłysków, a zanim udało jej się otrząsnąć, ktoś złapał ją za włosy i z przerażającą siłą pociągnął w tył. Zatoczyła się i oparła o coś miękkiego. Ciało. Czowała palce, które w żelaznym uścisku trzymały jej włosy, a potem pod uchem pojawiło się jeszcze coś - coś, co parzyło chłodem, było twarde i okrągłe.

Świat zamarł, kiedy usłyszała cichy szept:

- Nie ruszaj się z miejsca, staruszkule, albo z mózgu tej suki zrobię ci fototapetę w salonie. Chcesz tego? Nie? To stań tutaj.

Błyski zniknęły i Val zaczęła widzieć wyraźnie. Jej ojciec znalazł się na środku korytarza. Miał bladą twarz i nienaturalną postawę - był wyprostowany jak trzcina. Identycznie wyglądała zastygła nieopodal Connie, z tym że ona zakryła usta dłońmi.

- Kim pan jest? - zapytał Henry, zaciskając pięści.

- Bazyliżką - odpowiedział Karl Ruger charakterystycznym szeptem. - A teraz mordę w kubał.

Guthrie się zamknął, ale nie oderwał zdesperowanego wzroku od córki. Z oczu Val płynął nieprzerwany strumień łez bólu, a serce waliło dziko, jakby chciało wyrwać się z piersi.

- Hej, ty tam - szczeknął Ruger. - Tak, ty... zbieraj dupę i chodź tutaj. Już! Connie nie drgnęła.

- Nie będę ci wszystkiego powtarzał dwa razy. Chodź tutaj, ale to już. Zanim ja będę musiał pójść po ciebie.

- Ta... tato? - zapytała Val cieniutkim głosem.

Oczy Henry'ego i obcego mężczyzny się spotkały. Stary Guthrie starał się coś z nich wyczytać. Zrozumiał.

- Chodź, Connie. Rób, co mówi.

Wciąż się wahała.

- No, dalej, rusz się! - syknął Henry, odwróciwszy głowę.

To zmusiło ją wreszcie do działania i na sztywnych nogach przeszła korytarem.

Ruger przyjrzał się jej. Miała na sobie wyjściowy pojedynczy sznur perel i kolorową sukienkę. Roześmiał się.

- A ty co jesteś? Donna Reed?

W innej sytuacji ta uwaga mogłaby być i zabawna, i celna, ale dziś jedyną zadowoloną publicznością był Ruger. Mimo to zarechotał z uznaniem.

- Dobra, kto jeszcze tu jest? - zapytał, boleśnie wbijając Val lufę pistoletu w głowę.

- Jesteśmy tu sami. - Henry pokręcił głową.

- Lepiej, żebyś mówił prawdę, staruszk. Mam za sobą długi i męczący dzień i naprawdę nie jestem w nastroju do żartów.

- Dopóki trzymasz pan broń przy głowie mojej córki, nie będę robił niczego głupiego. Nie chcę żadnych problemów i nie chcę, żeby stało jej się coś złego. Jeśli chcesz pieniędzy, oddam wszystko, co mam. Tylko proszę, nie zrób dziewczynom krzywdy.

Ruger pochwalił go za rozsądek, ale Guthrie nie odpowiedział. Oczy miał twarde i niewzruszone.

- Panie...?

- Guthrie.

- Dobra, panie Guthrie. To do roboty. Weź Donnę Reed i jazda na kanapę.

Guthrie, milcząc, podszedł do Connie, położył jej dłoń płasko na plecach i poprowadził przez pokój. Ruger ruszył za nimi, wciąż trzymając Val jako zakładniczkę, choć nie spodziewał się, żeby stary próbował jakichś sztuczek. To go trochę uspokoiło. Wiedział, że większość ludzi nie jest wystarczająco głupia i odważna, by lekceważyć wycelowaną w nich broń. Dzisiaj wszyscy są bombardowani wiadomościami o przestępcach, więc nauczyli się traktować takie sytuacje w kategoriach transakcji biznesowych. Kiedy Guthrie i Connie usiedli, Ruger puścił włosy Val i popchnął ją w ich kierunku na tyle mocno, że niemal przeleciała przez pokój i upadła na Henry'ego. Ruger celował do nich z pistoletu, czekając, aż się pozbiorą. Connie zrobiła jej miejsce. Odsunęła się najdalej, jak mogła, jakby bała się

dotknąć kobiety, której przed chwilą dotykał mężczyzna z bronią. Val usiadła na środku, a ojciec natychmiast otoczył ją ramieniem.

- Wszystko w porządku, kochanie?
- Nic jej nie jest - wtrącił się Ruger. - A teraz cisza.

Obszedł salon, wyglądając na korytarz, w górę schodów i przez okna. Zadowolony przysunął sobie fotel bujany i usiadł kilka metrów od kanapy. Pistolet położył na kolanach i się uśmiechnął. Wciągnął głęboko powietrze i rozkoszował się jego smakiem, w taki sam sposób, w jaki palacze zaciągają się dobrym i drogim cygarem.

Val wpatrywała się w niego, walcząc z mdłościami i szokiem. Od ciosu wciąż kręciło jej się w głowie. Przez całe życie nikt nigdy nie uderzył jej z taką siłą, ale to nie ból, tylko sam fakt przemocy sprawiał, że chciało jej się płakać. Kim on jest? Czego może chcieć? Nigdy nie przeżyła czegoś takiego i nie miała pojęcia, jak powinna zareagować, poza trwaniem bez ruchu na brzeżku kanapy i czekaniem na to, co nastąpi. Czas płynął, a mężczyzna nic nie mówił. Bawił się tylko bronią i wydymał usta, jakby nad czymś myślał.

Val przyglądała mu się uważnie, choć unikała bezpośrednich spojrzeń. Nie miała wątpliwości, że to nie miejscowy i nie farmer. Ubrany był w czarny miejski garnitur poplamiony zaschniętą krwią, a na nogach miał uwalane błotem buty. Był raczej przystojny, w każdym razie w specyficzny sposób. Miał długi wąski nos i silną szczękę, ale usta nie pasowały do całości, ponieważ były za wąskie i zbyt okrutne. Ponury wyraz twarzy podkreślała spiczasta broda. Miał bardzo wystające kości policzkowe, wąskie, równe brwi i wysokie czoło. Kruczoczarne włosy zaczesywał do tyłu, używając żelu. Ale tym, co w tej twarzy budziło największy niepokój i strach, były oczy. Miały dziwaczny czarnoszary kolor i mimo skłonności do uśmiechu, nie można w nich było znaleźć nawet cienia człowieczeństwa.

Ruger sięgnął do kieszeni, wyciągnął z paczki papierosa, włożył go do ust i zapalił jedną ręką, ani na chwilę nie puszczać broni, mimo że wyglądała, jakby odłożył ją na kolana.

- Dobra, teraz słuchajcie. Przyszedł czas na pytania - odezwał się w końcu po niemal pełnej minucie. - Zasady są proste. Pytania zadają ja, wy odpowiadacie. Za każdą prawidłową odpowiedź dostajecie punkty, ale ostrzegam: za każdą złą będziecie je tracili. - Dla podkreślenia swoich słów uniósł broń. Popatrzył na Henry'ego. - Dobra, panie Guthrie, zaczynamy. Będiesz pan pierwszym uczestnikiem naszej zabawy.

Guthrie milczał, ale Val czuła, że jest bardzo spięty. To, co się działo, było tak oburzające i nierealne, że nie wiedział, co myśleć.

- Nie przypuszczam, żebyś był mormonem, a te panienki należały do harem, więc możemy przyjąć, że to twoje córki. Poza tym chyba słyszałem, jak Donna Reed woła do ciebie „tato”, co?

Guthrie zawahał się, ale tylko na ułamek sekundy.

- Tak, to moje córki.
- Świetnie. Masz pierwszy punkt. Jak się nazywają?
- Val i Connie.

- Aha. Która jest która? Nie... poczekaj, niech zgadnę. Ta wygląda mi na Connie. - Wskazał Connie. - Wygląda jak każda Connie, jaką w życiu znałem. Sztwy-niackie imię, co?

Guthrie uznał, że na to pytanie nie musi odpowiadać, więc siedział w milczeniu.

- A to oznacza, że ty jesteś Val? - Val potwierdziła skinieniem głowy. - Przykro mi, ale chyba nie usłyszałem odpowiedzi! - Ruger przyłożył dłoń do ucha, żeby lepiej słyszeć.

- Tak... Jestem Val Guthrie.

- To cudownie - ucieszył się, jakby Val właśnie wygrała konkurs ortograficzny. - Teraz, moje panie, proszę podnieść ręce do góry. Uhm, dziękuję. Val, nie masz obrączki. To przykre. Taki owoc jak ty nie powinien wisieć za długo na gałęzi. Ale... no, proszę, co my tu mamy. Connie ma na palcu piękny kawałek złota. Proszę, proszę... gdzie jest pan Reed?

- Co? - Dziewczyna nie zrozumiała.
- Twój mąż. Nie oglądasz telewizji? Mów, gdzie jest.

Nie odpowiedziała. Była zbyt przerażona, by wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk, choć usta miała półotwarte ze strachu.

- Connie, zapomniałaś o zasadach?
- Nie ma go w domu - wtrącił się Guthrie.

Ruger uśmiechnął się, wstał, podszedł do kanapy i spojrzał na starego, a potem z niesamowitą prędkością uderzył go w twarz. Głowa Henry'ego odskoczyła w tył. Oczy i policzki zaląła krew z rozbitych łuków brwiowych. Guthrie uniósł ręce, a Val natychmiast otoczyła go ramionami i próbowała zatamować krwawienie. Connie wcisnęła się w najdalszy kąt kanapy i zamarła.

Ruger stał nad nimi, a z jego twarzy zniknęły ostatnie ślady dobrego humoru.

- Słuchaj uważnie, stary głupcze. Ja zadaję pytanie, ty odpowiadasz. Jeśli pytam kogoś innego, trzymasz mordę na kłódkę. Jasne?

Guthrie powoli kiwnął głową. Oczy błyszczały mu bólem i złością.

- Nie usłyszałem.

- Tak, do diabła! - krzyknął Guthrie i zamarł w oczekiwaniu na kolejne uderzenie.

Ruger znów się uśmiechnął i tyłem wrócił na fotel.

- Dobra, to zacznijmy jeszcze raz.

Twarz Henry'ego była cała czerwona, a spomiędzy palców nadal ciekła krew.

- Connie, kim jest twój mąż?

Dziewczyna spojrziała na krew i się zakrztusiła.

- Mark jest na spotkaniu po pracy - powiedziała głosem małej dziewczynki.

- Jakim spotkaniu?

- Klub rotariański.

Ruger wybuchnął śmiechem.

- Dobry Boże! To przecież nie może być prawda! Klub rotariański, a w domu Donna Reed. Nie wierzę. Pani Doskonała, niech zgodnę, mężulek jeździ kombi?

- Skąd pan wie?

Znów śmiech.

- Amerykańska produkcja?

- Tak... ford.

Ruger zanosił się takim śmiechem, że zaczął uderzać się kolbą pistoletu po udach. Val wymieniła z ojcem szybkie spojrzenie. Connie ściągnęła brwi. Bała się.

W końcu Ruger się uspokoił.

- Dobra, staruszk, znów twoja kolej. Jak tam twarz?

- W porządku - odpowiedział Guthrie chłodno.

- Mnie to wygląda dość paskudnie. Ale jak tam chcesz. Czy poza tobą, Donna Reed, jej mężem i starą panną Val mieszka tu ktoś jeszcze? Jakaś starsza pani Guthrie?

- Nikt poza nami.

- A co z robotnikami? Przecież nie możesz tego wszystkiego oporządzać sam, nie?

- Mamy tylko kilku stałych. Reszta to sezonowi.

- Meksyki?

- Kilku emigrantów i kilku miejscowych.

- Któryś z nich sypia z Val?

Guthrie zacisnął z wściekłości zęby i zaczął szukać właściwej odpowiedzi, która nie przyniosłaby kolejnego ciosu, ale zanim otworzył usta, Ruger machnął ręką na znak, że nie musi odpowiadać.

- Zapomnij, to było trudne. Chcę tylko ustalić, czy ktoś może się jeszcze dziś tutaj pojawić.

Val stężała i wbiła palce w skórę ojca.

- Nie - odpowiedział.

- Co, nie masz chłopaka? - Teraz pytanie skierowane było do Val.

- Ma. Mieszka w mieście - odpowiedziała Connie i przycisnęła ręce do ust, orientując się, że odpowiedziała poza kolejnością. Karl wstał ze zmęczonym westchnieniem i podszedł do niej.

- Nie, proszę! - krzyknął Guthrie.

- Daj jej spokój! - poprosiła Val.

Ruger spojrział na nich i się zastanowił.

- Złamała zasady. Strata punktów, nie mam wyjścia.

- Jest przerażona. Przecież nie zrobiła tego celowo... - zaprotestowała Val, podnosząc się z kanapy.

Ruger zamachnął się z taką prędkością, że broń zakreśliła w powietrzu srebrny rozmazany kształt. Brzeg lufy spotkał czoło Val tuż poniżej linii włosów. Kobieta poleciała w tył i uderzyła w oparcie. Henry chciał się na niego rzucić, ale Ruger był niewiarygodnie szybki. Obrócił się i wyrzucił go w splot słoneczny. Płuca momentalnie wypuściły całe powietrze, a zakrwawiony Guthrie poleciał w tył na leżącą bez przytomności Val. Płatanina nieruchomych, okaleczonych ciał.

Ruger pokręcił głową i westchnął.

- Cholera, zapowiada się długa i ciężka noc. Ale co tam, czasem każdy wdepnie w gówno, nie?

Na jego wąskich ustach znów pojawił się okrutny uśmiezek, kiedy spojrział na Connie. Dziewczyna była tak przerażona, że nie mogła oddychać. Machała rękami, jakby się od czegoś oganiała. Ruger pochylił się i odsunął je na bok. Connie zaciśnęła powieki i wcisnęła się w róg kanapy. Oczekiwała na cios. Karl nie przestawał się pochylać w jej stronę. Zatrzymał się dopiero w chwili, kiedy ich nosy niemal się stykały. Nie dotknął jej, nie musnął nawet jednego włoska. Zamiast tego powiedział ostro:

- Buu!

Connie krzyknęła i zemdląła.

ROZDZIAŁ 10

1.

Eddie Holownik chodził po domu, jakby odkrywał nowe cudowne ziemie. Wszystko, na co spojrział, wyglądało świeżo, tajemniczo i wspaniale. Zatrzymał się na dłuższą chwilę w salonie i słuchał, jak stary zegar odziedziczony po dziadku odlicza kolejne sekundy jego nowej egzystencji. Zdał sobie sprawę, że w każdej chwili powstawały nowe światy, a stare ginęły chwalebną śmiercią. A wszystko to dla niego.

W kuchni wziął pomidora i rozgniół go silnymi palcami, rozumiejąc w końcu, że nawet warzywa zawsze chciały mu przekazać tajemnicę zawartą we krwi żywych

stworzeń. Jak mógł być tak ślepy, że wcześniej tego nie zauważył? Zlizął czerwony miąższ z dłoni i rozkoszował się jego smakiem, tak przypominającym świeżą posokę.

W sypialni na piętrze wziął żeliwny krążek z zestawu do ćwiczeń i przycisnął go do policzka, radując się chłodnym i chropowatym ciężarem.

W pralni zrzucił brudne ubranie i wcisnął je do maleńkiej pralki. Starannie odmierzył miarkę żelu i włączył zimną wodę. Stojąc nago, dokładnie obejrzał swoje ciało, podziwiając różnicę między skórą i mięśniami brzucha a tą na nadgarstkach, i różnicę w reakcji na zimne powietrze piwnicy skóry na łydkach i twarzy. Obejrzał luźno zwisającego penisa, zastanawiając się, jakie będzie jego nasienie teraz, gdy został synem Boga. Czy jego dzieci odziedziczą tę moc? Czy akt zapłodnienia kobiety uświęci też ją? Myśl o tym sprawiła, że penis zaczął się poruszać, nabrzmiewając od krwi. Szybko odpędził od siebie te rozważania. Nie powinny pojawiać się w takim momencie. Należą do jego poprzedniego życia. Pozwoli im nadejść dopiero we właściwym czasie i miejscu, a nie w pralni starego domu.

Nagi wbiegł po schodach na samą górę i tak dobrze się poczuł, że biegał tak przez dwadzieścia pięć minut. Pot wypływał z każdego pora skóry i pokrywał ciało błyszczącą warstwą. Podszedł do lustra w salonie i zobaczył każdy pojedynczy mięsień podkreślony wilgocią skóry. Obracał się na wszystkie strony, napinał bicepsy, klatkę piersiową i uda, tricepsy i mięśnie brzucha. Mimo tysięcy godzin, które spędził, podnosząc ciężary, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak doskonale stało się jego ciało - szczególnie jak na mężczyznę w jego wieku. Miał pięćdziesiąt lat, a wyglądał najwyżej na trzydzieści. Widział kształty doskonalsze niż te oddane na którymkolwiek z greckich pomników. Każda wiązka mięśni rysowała się wyraźnie pod napiętą skórą. Od szerokiego *pectoralis major* do wrzecionowatego *oeroneus brevis*. Wyglądał jak model ludzkiej doskonałości. Dopiero po godzinie udało mu się oderwać wzrok od swego odbicia. Cóż za doskonale kształty! - myślał. Doskonała budowa na siedzibę Ducha Świętego.

Uznał, że byłoby wspaniale, gdyby mógł się w jakiś sposób sklonować, by bezustannie patrzeć na te idealne formy... Może nawet dotykać się i całować. Kochać.

Jak by to było, kochać się z własnym ciałem? Zastanowił się. Uprawiać z nim miłość... Tak, to z pewnością byłby najdoskonalszy akt oddania, jaki człowiek kiedykolwiek przeżył.

Chodząc tam i z powrotem po domu, przyglądał się wskazówkom zegara, jak zbliżają się do dwudziestej drugiej. Wrócił ponad półtorej godziny temu, a stan podniecenia nie ustąpił nawet na milimetr.

Roześmiał się na cały głos, przepełniony czystą radością, i pośrodku salonu zakręcił szalonego pirueta.

2.

Vic Wingate przestawił dźwignię zabytkowego powielacza. Żółte ulotki wyjeżdżały spod wałka i zatrzymywały się na tacce. Chmury niebieskawego dymu tytoniowego mieszały się z piwnicznym powietrzem. Fascynował go widok pustych kartek wciąganych z jednej strony urządzenia i zaraz wyskakujących z drugiej, zabezpieczonych napisami i obrazkami. Mógł to zrobić znacznie prościej i szybciej na komputerze, ale wolał przygotowywać je ręcznie, zwykłym tuszem.

W podajniku skończył się papier, więc Vic przestał kręcić korbką. Zgasił papierosa w blaszanej popielniczce, którą ukradł z jedyne go dobrego hotelu, w jakim kiedykolwiek był, i wziął plik świeżo wyprodukowanych ulotek. Jego grube usta poruszały się bezgłośnie, w miarę jak odczytywał kolejne napisane przez siebie słowa: „Dlaczego biała rasa ma prawo rządzić światem” i poniżej, mniejszą czcionką: „I dlaczego Żydzi próbują sobie to prawo uzurpować”.

„Uzurpować”. Lubił to słowo. Vic zawsze korzystał ze słownika i tezauryusa, kiedy przygotowywał ulotki.

Odłożył kartki na tacę i wyrównał je. Po remoncie dwóch naprawdę maszynowych skrzyń biegów u Shanahana bolały go mięśnie. W warsztacie spędzał po osiem godzin dziennie, pięć dni w tygodniu. Praca była ciężka, ale dobrze płatna, i Vic ją uwielbiał. Kochał samochody i wszystko, co z nimi związane. Gdyby tylko miał pieniądze, wykupiłby Shanahana, ale nie przestałby pracować przy podnośnikach. Uśmiechnął się, uświadamiając sobie niedorzeczność takiego pomysłu. Przecież po Halloween nie będzie już Shanahana... a Vic już nie będzie dla nikogo pracował. No, poza Griswoldem, oczywiście. Mistrz zawsze pozostanie Mistrzem.

Jeszcze przez jakiś czas pracował nad ulotkami, ciesząc się, że wszystko się tak doskonale układa. Wiedział, że zbliża się Początek. Pan ma bardzo rozbudowany plan, i choć Vic mniej więcej wiedział, co się w tej chwili dzieje, nie wiedział przecież wszystkiego. Był jego generałem, ale nie był nim samym. Nie żeby mu to przeszkadzało. Kiedy Czerwona Fala uderzy w Halloween, Vic stanie się niemal królem.

Zebrał ulotki i związał je, a potem rozmasował bolący kark, zeszytywniały po kilku godzinach pracy przy powielaczu. Coś mu przyszło do głowy. Zegarek wskazywał dwudziestą pierwszą trzydzieści.

- Proszę, proszę - mruknął i się uśmiechnął. - Ten mały zasraniec znów się spóźnia. - Zastanowił się, czy dziś kolej na pas, czy na lanie rękami. Zdecydował się na drugą opcję. Gdy bije się pasem, nigdy nie ma się tego uczucia bliskości. Dzieciak czuje wszystko, ale on nie, a przecież ma do tego prawo. Lubił, kiedy piekły go dłonie, kiedy było już po wszystkim. Przy laniu pasem tego nie czuł, lecz ten

sposób też ma swoje zalety - zamach i dźwięk. Dobrze, dźwięk jest wspaniały, musiał to przyznać, ale szczypanie rąk wygrywało. Miał zgrubiałą skórę i musiał się naprawdę przyłożyć, żeby cokolwiek poczuć. Czasem zakładał się sam ze sobą, ile razy trzeba uderzyć, żeby pojawiły się drobne igielki, a ile, żeby w końcu poczuć pieczenie.

Vic pomyślał, że może nadszedł już czas, by rozprawić się z dzieciakiem na amen. Jeśli plan Mistrza, żeby się go pozbyć, nie wypali, to może powinien wziąć sprawy w swoje ręce, by wola Pana została spełniona? Może jeśli będzie lał go częściej i mocniej niż dotychczas, ale nie na tyle mocno, żeby gliny, które zresztą miał w kieszeni, zaczęły się wtrącać, to wreszcie do jego zasranej małej mózgowicy dotrze wiadomość? Tak, gówniarzu, życie to nie bajka i nigdy nie będzie lepsze, więc może pofatyguj się ze swoją dupą na jakiś most i skocz. Albo wymyśl lepszy sposób. Vic już nieraz zostawiał na umywalce paczkę żyletek, ale ten pajac jest chyba zbyt tępy, żeby zrozumieć tak proste przesłanie.

Nie po raz pierwszy miał chęć udusić małego skurwiela. To by było cudowne! Ale Pan był bardzo, ale to bardzo kategoryczny. Jeśli Mike zginie z przekupnej lub złej ręki, wtedy jego plan będzie do niczego. A to niedobrze, bo Vic zauważył, że szyja dzieciaka przypadkowo coraz częściej znajduje się blisko jego rąk. Gdyby tylko mógł, pozbyłby się smroda i uwolnił od tej pijanej suki, Lois. Od tej szmaty. Nie potrafi gotować i jest do niczego w łóżku, chyba że wcześniej jej wleje. A teraz na dodatek ona nigdy nie jest trzeźwa.

Poświęcam się dla Mistrza, pomyślał, czując złość.

Usłyszał telefon. Liczył dzwonki, jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... pięć? Chryste, ile razy ma tłumaczyć tej krowie, żeby podniosła słuchawkę najpóźniej przed trzecim dzwonkiem? Ale pięć razy?

Vic zamknął oczy i rozsmakował się w pierwszej dzisiaj przyjemności. Jeśli Lois i Mike nadal będą działali mu na nerwy, wieczór może być naprawdę udany. Naprawdę udany.

Był już na schodach, kiedy usłyszał ostrożne pukanie. Trzęsącym się i pełnym obaw głosem Lois zawołała:

- Vic?! Kochanie?!
- Co? - warknął, pokonując po dwa stopnie naraz.
- To do ciebie.

Otworzył gwałtownie.

- Słyszałem. Teraz popraw mnie, jeśli się mylę. Czy się przesłyszałem, czy telefon rzeczywiście zadzwonił pięć razy?

Lois stała ciasno owinięta szlafrokiem, z paskiem dookoła szczupłej talii. Włosy miała w nieładzie, jakby dopiero zwlokła się z łóżka, a oczy przekrwione i zamglone od wódki. Czaił się w nich strach.

- Przepraszam, kochanie. Spałam. Nie usłyszałam... to znaczy... wstałam na tychmiast, gdy...

Ostrzegawczo uniósł palec i kazał jej się zamknąć.

- Wracaj do salonu i czekaj na mnie. I nie waż się siadać, Lois. Gdy tylko skończę rozmawiać, przyjdę do ciebie i powtórzmy sobie zasady odbierania telefonów w tym domu, zrozumiano?

Lois wycofała się szybko, otwierając usta, jakby chciała zaprotestować albo o coś błagać, ale nie wydała żadnego dźwięku. Za każdym razem, kiedy prosiła go o wybaczenie, było znacznie gorzej, a kiedy skamlała o litość, stawał się nie do zniesienia. Przyciskając do szyi kołnierz szlafroka, wyszła z pomieszczenia.

Vic poczekał, aż zniknie, i dopiero wtedy pozwolił sobie na uśmiech. Podoba mu się w niebieskim. Sięgnął po słuchawkę.

- Vic, słucham.

- Pan Wingate? Tu Terry Wolfe.

Zesztywniał. Czego burmistrz może od niego chcieć?

- Tak? - zapytał ostrożnie.

- Panie Wingate, dzwonię w sprawie pana pasierba, Mike'a.

- Chryste, co ten skubaniec znów wywinął?

- Nie, nic z tych rzeczy, panie Wingate. Miał wypadek.

W sercu Vica pojawiła się nadzieja i tyle samo obaw.

- Tak? Jaki wypadek?

- Jechał rowerem A-32, kiedy jakaś ciężarówka zepchnęła go z drogi na wysokości Old Mill Road. Nie jest poważnie ranny, ale musiał zostać opatrzony. Przejżdżający samochód podwiózł go do „Nawiedzonych Przejazdów”. Zarządca dzwonił do mnie z prośbą, bym pana zawiadomił.

- „Przejażdżki”? Przecież to cały hektar stąd...

Burmistrz przerwał mu delikatnie:

- Wiem, że to pewien problem, panie Wingate, ale w grę wchodzi zdrowie chłopaka, więc nie sądzę, żeby nie chciał pan go stamtąd odebrać.

Żrenice Vica zwężyły się do małych kropek. Cała rozmowa podejrzanie śmieszna, ale nie miał innego wyjścia. Musiał się zgodzić.

- Tak, oczywiście. Co tam. Podjadę po niego.

- Dziękuję, panie Win...

Vic się rozłączył i stał ze skrzyżowanymi rękami. Myślał, zaciskając usta. Ciężarówka... Ciężarówka zepchnęła go z drogi. A może ta ciężarówka to był holownik?

Uśmiechnął się, przekonany, że ma rację. Jeśli uszkodził go holownik, to znaczy, że wszystko jest w porządku. Właśnie o to zabiegał Mistrz już od jakiegoś czasu. Vic nie wiedział, że ta część planu jest już realizowana.

Pokiwał głową i zachichotał.

- Super!

Potem przypomniał sobie o Lois w salonie.

Dzisiaj zdecydowanie będzie noc szybkich rąk, pomyślał uradowany, wychodząc z kuchni.

3.

- Czy burmistrz chce, żebyś go aresztował? - zapytał w końcu Mike.

- Kogo? Tego psychopatę na gościnnych występach? Mówiąc krótko, nie. Jadę tylko zamknąć interes, poczekać na autobusy, żeby rozwozily dzieciaki do domów, i kończę pracę.

- Ale przecież jesteś policjantem, nie?

- Niby tak... ale nie do końca. Zostałem przywrócony do służby tylko na dziś wieczór. Przecież nie można zmuszać cywilów do tego, żeby odwalali robotę za gliny.

- Kiedyś byłeś jednym z nich, prawda?

Crow nie odpowiedział, tylko skupił się na drodze.

- Panie Crow?

- Kiedyś, dawno, dawno temu, młody Jedi.

- Dlaczego odszedłeś?

Przejechali niemal kilometr, zanim zdecydował się odpowiedzieć. Zerknął na Mike'a i znów zapatrzył się na drogę.

- Czasem coś idzie nie po naszej myśli - wyjaśnił z uśmiechem. - Poza tym, gdybym nadal był gliną, gdzie kupowałbyś komiksy?

- Chyba u Nicka w Crestville. Albo może w Waldenbooks w...

- Mike, jesteś tam?!

- Tak?

- Siedź cicho i nie odzywaj się, gdy dorośli rozmawiają.

Mike się roześmiał. Za szybą rozciągały się ciemne pola oświetlone jedynie srebrną księżycową poświatą.

- Myślisz, że szeryf go złapie?

Crow już chciał odpowiedzieć, że Gus nie potrafiłby złapać syfa w burdelu, ale się powstrzymał.

- Może mu się uda - powiedział zamiast tego. - Przyjechała masa policjantów z Filadelfii, żeby mu pomóc. Do jutra rana będzie tutaj więcej glin niż turystów.

- Ale przyjezdnych pewnie i tak nie wypłoszy to, co się dzieje?

- Pewnie nie - prychnął Crow. - Gdy to się skończy, urządzimy jakąś paradę. Ludzie uwielbiają krew i flaki tak samo jak katastrofy naturalne. Lecą jak muchy do gó... eh, do śmieci.

- Chciałeś powiedzieć: „Jak muchy do gówna”.
- Owszem, ale nie powiedziałem i ty też nie powinienes.
- Chryste, panie Crow, ja już mam czternaście lat!
- Wyobraź sobie, że wielu twierdzi, iż czternaście lat oznacza bycie dzieckiem.

Taką plotkę słyszałem ostatnio.

- No... a co ty myślisz?

Crow popatrzył na niego i spojrział w głąb, poza Mike'a Sweeneya, którego ojciec nie żyje, matka jest ciągle pijana, a ojczym tak brutalny, że chłopak z powodu pobicia opuścił w zeszłym roku kilka tygodni szkoły.

Westchnął.

- Nie wszyscy dojrzewają z taką samą prędkością. Ale to nie znaczy, że zgam się słuchać jakichś wulgaryzmów!

- Dobra, szefie. - Chłopak się uśmiechał.

Obaj byli zadowoleni z tej rozmowy.

- Jak tam żebra? - zapytał Malcolm.
- Bołą jak jasna cholera - odpowiedział Mike.

Crow spojrział na niego i obaj wybuchnęli radosnym śmiechem. I to mimo bólu, jaki chłopak czuł w boku.

- I z tego się bierze młodociana przestępczość - wystękał.

Kilometr później minęli wielki billboard z wiedźmami, goblinami i czarnymi kotami, który czarną i czerwoną czcionką oznajmiał:

„Pine Deep - »Nawiedzone Przejazdźki«.

Największe na Wschodnim Wybrzeżu!

8 km”

Pojechali w tamtą stronę.

ROZDZIAŁ 11

1

Terry dopił odgrzewaną kawę i z grymasem obrzydzenia odstawił kubek na biurko Ginny. Xanax zaczął działać i czuł, jak napięte mięśnie powoli zaczynają się rozluźniać. Sekretarka błyskawicznie podniosła kubek, wsunęła pod spód karteczkę z notatnika i odstawiła z powrotem. Burmistrz skrzyżował ręce na pierśsiach, przysiadł na blacie i spojrział twardo na Gusa Bernhardta.

- No, to mamy pasztet - odezwał się.
- Aha - mruknął szeryf. - Popieprzone to wszystko.

- Proszę uważać na język! - syknęła Ginny.
- Pieprzone to nie przekleństwo, głupia dupo - mruknął pod nosem Gus, kiedy oddalił się na bezpieczną odległość. Podszedł do ogromnej mapy miasteczka i okolic.

Po drugiej stronie pomieszczenia stali Ferro i LaMastra, pogrążeni w rozmowie z policjantami z pierwszej fali filadelfijskich posiłków. LaMastra co kilka chwil spoglądał na burmistrza i unosił brwi na znak, że pamiętają, kto tu jest szefem.

Terry popatrzył na zegarek. Było tuż po dwudziestej drugiej. Od telefonu z wiadomością o całym zamieszczeniu minęło dwie i pół godziny. Większą część tego czasu spędził, tłumacząc przyjezdnym skomplikowaną topografię miasteczka. Z geograficznego punktu widzenia Pine Deep było wyspą odciętą od lądu wodami czterech rzek - Pine od zachodu, na południu Black Creek, na północy płynął wąski i kręty strumień Crescent Canal i w końcu szerokie koryto rzeki Delaware od wschodu. Za ostatnimi domami miasteczka, aż do Black Marsh, droga A-32 biegła przez wzniesienia, pagórki i niemal góry. Wspinała się na nie, wiała i przechodziła przez środek. Mijała też Park Narodowy Pine Deep, od którego miasto wzięło nazwę. Las otaczał farmy i wyciągał gdzieś palce aż do samej drogi. Co kilka kilometrów niewielki pas drzew stanowił naturalną granicę między kolejnymi gospodarstwami. Główna część parku znajdowała się daleko na zachód i sięgała aż do Newtons Reach, turystycznego miasteczka wyglądającego tak, jak za czasów kolonialnych, łącznie z czynnymi kuźniami i przewodnikami wycieczek w kapeluszach, czepcach i bryczesach.

Gdy spoglądało się na mapę i widziało morze zieleni, Pine Deep wydawało się niewielkim zapomnianym miasteczkiem. Z całą pewnością nie była to metropolia. Liczba mieszkańców, i to włączając farmerów z najdalszych terenów należących administracyjnie do miasta, wynosiła raptem dwa i pół tysiąca dusz, ale biorąc pod uwagę obszar, nie było to dużo. Większość z ludzi mieszkała w samym mieście. Domy stały wzdłuż kilku wyłożonych kamieniem ulic. Centrum, jak zwykle się mawiać na tę część miasta, położone było na przełęczy między dwoma wzniesieniami, przez co wyglądało, jakby znalazło się w dolinie. Mimo to wiele farm leżało ponad trzysta metrów niżej.

W centrum toczyło się życie miasta. Tutaj od pierwszych ciepłych dni marca aż do końca powigilijnych wyprzedaży przybywały rzesze turystów. Handlarze antyków przyjeżdżali nawet z Ohio i Bostonu, tkacze i handlarze gobelinów z Florydy przywozili całe ciężarówki pleców i koców w barwach Seminoli i Nawahów. W co piątym sklepie można było kupić wyroby z drewna i meble - od prostych stołów i taboretów do ozdobnych huštawek tarasowych z zadziwiająco delikatną snycerką.

Od szóstej rano cudowne zapachy rozsiewały ciasta i chleb pieczone przez amiszów z Lancaster, a każdy podmuch wiatru od strony Winifred Incense miał w sobie coś magicznego. Niemal zewsząd dobiegały dźwięki dzwonek wprawianych w ruch siłą wiatru, grzechotek, kołatek i innych ręcznie wykonanych zabawek. W witrynach rzędami stały rzadkie książki, płyty z egzotyczną muzyką, kryształowe stosowane przez znachorów, szklane kule do przepowiadania przyszłości, nieprawdopodobny wybór gatunków sera i największy w całej okolicy asortyment win z miejscowych winnic. Jeden ze sklepików nie sprzedawał niczego poza pamiątkami związanymi jedynie z Pine Deep - ognistymi kulami i broszkami z czerwoną szyszką, charakterystyczną tylko dla miejscowych gatunków. Niezliczone książki, pisane czy to uczonym językiem, czy prostymi słowami, opisywały dziwną historię miasteczka. Na stojakach piętrzyły się kalendarze z pięknymi kolorowymi zdjęciami jesieni, wiosny, zimy i lata, a na półkach kilkadziesiąt rodzajów lokalnych specjałów, dżemów, konfitur i kompotów, włączając słynne masło cynamonowo-dyniowe, które po reklamie w jednym z ogólnokrajowych programów stało się przyczyną najazdu na sklepy z miejscowymi pysznościami.

I właśnie gdzieś na ogromnych terenach dookoła miasteczka, porośniętych bujną wysoką roślinnością, pełnych żywopłotów, sadów, upraw, dzikich lasów i ugorów, zapuszczonych i porzuconych gospodarstw, jarów, dolinek i jaskiń, ukryło się trzech mężczyzn w czarnym samochodzie.

Terry spoglądał na mapę i wzdychał. Przetarł oczy i uśmiechnął się kwaśno na samą myśl o ogromie terenu, żałując, że tych trzech psychopatów nie zdecydowało się ukrywać w jakimś innym miejscu. Nabrał powietrza, przytrzymał je, a potem powoli wypuścił. Tak, zapowiada się bardzo, ale to bardzo długa noc.

Oderwał wzrok od mapy i popatrzył na sierżanta Ferro i detektywa LaMastrę, którzy w międzyczasie podeszli.

- Na czym stoimy? - zapytał.

- Cóż - zaczął detektyw - biorąc pod uwagę wszystkich pańskich ludzi, posiłki z okolicznych miasteczek i z Filadelfii, możemy wysłać w teren dwadzieścia radiowozów, każdy z podwójną obsadą. Podzieliłem ich tak, żeby prawie w każdym z wozów był ktoś z Filadelfii, żebyśmy niepotrzebnie nie ryzykowali, każąc lokalnym glinom podjąć próbę aresztowania Karla Rugera bez pomocy doświadczonych w takich akcjach ludzi.

Terry pokiwał głową. Zrozumiał, że LaMastra stara się, by nikogo nie obrażając, dać do zrozumienia, że lokalni policjanci do niczego się nie nadają, a działać powinni tylko zawodowcy. Gdyby Terry mieszkał w jakimkolwiek innym mieście, pewnie mógłby wziąć to sobie do serca, ale wiedział, że w przypadku Pine Deep jest to prawda. Gus Bernhardt naprawdę się do niczego nie nadaje. Wolfe kochał swoje miasto, ale nie miał dobrego zdania o lokalnej policji pod wodzą tego szeryfa.

Wystarczy spojrzeć, kogo zatrudniał. Shirley O'Keefe, która wygląda jak szczupła wersja dwudziestoletniej Meryl Streep. Wypluwa żołądek za każdym razem, kiedy pomaga przy większych wypadkach samochodowych. Golub jest inteligentny, ale brakuje mu jaj, Jim Polk to alkoholik i równie dobrze może aresztować różowego słonia, jak i przestępcę. I jeszcze najciekawszy przypadek, Dixie McVey, który poszedł do policji po to, by patrolować przejścia dla pieszych przy szkołach, bo nie może oderwać wzroku od przechodzących nastoletnich dziewczynek. Reszta była równie przydatna.

Dotychczas nie było potrzeby, żeby to zmieniać, dzięki czemu Gus mógł być pewny, że nie straci posady. Teraz jednak Wolfe postanowił, że sytuacja dojrzała do wprowadzenia zmian. Nie pierwszy raz zresztą pomyślał o wyłożeniu większej sumy, by skusić policjanta z Filadelfii i namówić go do wprowadzenia jego sposobu przestrzegania prawa.

- Myślę więc, że jesteśmy tak dobrze przygotowani, jak to możliwe w zaistniałych warunkach - ciągnął Ferro. - Niestety, w biurze czeka nas trochę nudy. Nie ma dla nas nic do roboty, dopóki nie będziemy mieli czegoś, czego moglibyśmy się chwycić.

- To nawet dobrze. Świetnie, sierżancie. - Terry sięgnął po kawę, zobaczył, że kubek jest pusty i odstawił go z westchnieniem. - Ginny, mogłabyś się tym zająć?

- Chyba tak... - mruknęła bez przekonania. - Zaparzę świeżą.

- Byłoby miło. - Obdarzył ją uśmiechem.

- Ale mamy też rozpuszczalną...

- Słuchaj, Ginny, może byś wzięła jakieś większe naczynie i zrobiła dla wszystkich, co?

- Rozpuszczalna będzie szybciej.

- Owszem, ale wszyscy wolą parzoną.

- Sama nie wiem. Mnie obie smakują tak samo.

- Słucham? - Z trudem powstrzymał się od uduszenia jej.

Gus puknął palcem w jej krzesło.

- Dalej, Gin, rusz dupsko i leć zaparzyć tą kawę.

Sekretarka wstała i z miną osoby, która poświęca się i z własnej woli kładzie głowę pod gilotynę, poszła do kuchni.

Czterech mężczyzn patrzyło, jak się oddala. Kiedy znalazła się poza zasięgiem głosu, Terry odezwał się do szeryfa:

- Gus, nadejdzie taki dzień, że ją zastrzelę.

- Szefie, osobiście załaduję ci pistolet.

- Ja już naprawdę nie mogę jej znieść.

- Ja też, ale nie mamy innego wyjścia. Kto inny wzięłby tę robotę?

- Nie wiem, może wytresowana małpa?

- Może, ale nie znajdziemy tresowanej małpy, która pracowałaby za kasę, którą jej płacimy.

LaMastra wybuchnął śmiechem, ale widząc niewzruszoną twarz szefa udał, że tylko się zakrztusił, a potem zajął się poprawianiem krawata. Ferro popukał palcem w mapę.

- Na razie strategia polega na jeżdżeniu A-32 tam i z powrotem i znajdowaniu każdego miejsca, w którym mogli z niej zjechać. Rozumiecie, polne drogi, jakieś przecinki i takie tam.

- Aha.

- Szeryfie, ilu ludzi przyjdzie na następną zmianę? - zapytał sierżant. Gus zbladł.

- No... - zaczął, ale Wolfe go ubiegł.

- Wszyscy nasi ludzie są tutaj. Gus wezwał ich jeszcze przed waszym przyjazdem.

Twarcz sierżanta Ferro zastygła, a Bernhardt kiwnął głową.

- Tak jest. Zazwyczaj mamy dwa czy trzy radiowozy z jednym policjantem w środku. Nie ma potrzeby wysyłać więcej ludzi na ulicę.

- W każdym razie dotychczas nie potrzebowaliśmy.

- Auć! - stęknął LaMastra.

- A jakieś rezerwy?

- Nie - odrzekł pospiesznie Gus. - Ale sporo dorosłych mieszkańców było przy różnych okazjach policjantami, a zwłaszcza ci, którzy chodzili do college'u w Pine-land i zrobili tam kurs prawa. Dodatkowo mieliśmy przez jakiś czas straż miejską, więc przynajmniej oni zaliczyli podstawowy kurs. Do dziś ich mobilizujemy na czas najazdów turystów na Halloween i w czasie świąt. Wie pan, mamy wtedy sporo kradzieży w sklepach i takich tam. A oni coś sobie zawsze dorobią.

- Chodzi o samą obecność. Ludzie tutaj czują się bezpieczniej, widząc mundur - wyjaśnił Terry. - Do diabła, przecież sam nawet kilka razy nosiłem odznakę. Oczywiście zanim zostałem burmistrzem.

- Rozumiem. - Ferro wyduł usta. - Jakież szanse, żeby przywrócić tych ludzi do służby?

- Przywrócić? - powtórzył szeryf.

- Tak. Jeśli poszukiwania będą trwały dłużej niż dwanaście godzin, policjanci, którzy zaczynali, będą bardzo zmęczeni. Potrzebujemy ludzi, którzy ich zastąpią, żeby nam się zwierzyzna nie wymknęła. Jeśli damy ciała, Ruger zniknie.

Toby mi akurat było na rękę, pomyślał Wolfe, i powiedział:

- Jednego już zmobilizowałem na dzisiejszy wieczór. Malcolma Crowa.

Gus wyglądał na zaskoczonego.

- Crowa? A po jaką cholere?

Ferro i LaMastra wymienili spojrzenia.

- Kto to?
- Sklepiarz - wyjaśnił burmistrz.
- I alkoholik... - zaczął szeryf, ale Terry zgasił go spojrzeniem.
- Nie pije już od wielu lat i doskonale o tym wiesz.
- Ale alkoholiem jest się przez całe życie.
- Może i tak, ale nie pije już od dawna. Poza tym nawet ty musisz przyznać, że był świetnym gliną. - Omal nie palnął: „Jedynym dobrym gliną, jakiego kiedykolwiek mieliśmy”, ale nie chciał mu tego robić przy gościach z Filadelfii.

Gus mruknął coś niezrozumiałego.

Ferro nie chciał brać udziału w tej rozgrywce, ale LaMastra był wyraźnie zainteresowany.

- Co z nim? Zapił się tak, że wyleciał?
- Nie. Przestał pić, zanim złożył odznakę - wyjaśnił Wolfe.
- To w czym problem?

Gus chciał coś powiedzieć, ale Terry znów nie dopuścił go do głosu.

- Nie ma żadnego problemu - odrzekł powoli, akcentując każde słowo. Potem popatrzył na sierżanta Ferro. - Malcolm Crow był doskonałym gliną. Gdyby tylko chciał, mógłby zostać szeryfem. - Miał nadzieję, że Gus zrozumie aluzję. - Ciągnęły się za nim problemy z dzieciństwa i wybrał nie najszcześniejszą drogę ich rozwiązywania, czyli z pomocą butelki. Przez rok czy dwa był na dnie, ale potem się pozbierał i przestał pić. Zaczął chodzić na spotkania AA i wszystko naprawił. Nawet go odznaczono. Gus był przeciwko zatrudnianiu kogoś takiego, ale wtedy się za nim wstawiłem i ręczę za niego teraz. Od lat jest trzeźwy, zyskał sobie szacunek jako biznesmen i jest ważnym filarem lokalnej społeczności. I - spojrzał na Gusa - moim przyjacielem.

Tak naprawdę Terry miał dużo wątpliwości co do przywrócenia Crowa do służby i w pewnym momencie nawet bardzo tego żałował. Pewnie gdyby nie był aż tak zmęczony i przepracowany, nie poprosiłby go o tę przysługę. Crow był świetnym gliną, świetnym kumplem i przez lata uczęszczał na spotkania AA. Ale broń nosił po raz ostatni lata temu i - do czego Terry nie chciał się sam przed sobą przyznać - Malcolm to wariat, którego trudno podejrzewać, że z należytą powagą potraktuje całą sytuację. Ale nie mógł przyznać się do wątpliwości - nie teraz, nie przy szeryfie i detektywach z Filadelfii.

Spojrzał na sierżanta Ferro i kontynuował:

- Zmobilizowałem go czasowo, na dziś wieczór, żeby pojechał i zamknął „Nawiedzone Przejazdki”. Dzięki temu ma więcej władzy niż jako jeden z pracowników parku rozrywki, a mogą się pojawić jakieś spory czy skargi. Sam pan rozumie,

jeśli ktoś przyjechał i każą mu się wynieść, może się zdenerwować.

- Tak, rozumiem. Widziałem drogowskaz, gdy jechaliśmy tutaj. Szeryf Bernhardt powiedział nam, że pan jest właścicielem.

- Tak, i z dumą mogę poinformować, że to największy taki park tematyczny na całym wybrzeżu. - Uśmiechnął się, tego dnia chyba po raz pierwszy szczerze. - Co wieczór mamy komplet odwiedzających, więc pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli zamknjemy dzisiaj wcześniej.

- Bardzo rozsądnie - pochwalił Ferro. - Jak rozumiem, tam wysłał pan pana Crowa?

- Tak, możecie mi wierzyć, to jeden z najlepszych.

Gus był oczywiście innego zdania, ale LaMastra i Ferro, widząc to „coś” w oczach Terry'ego, nie mieli wątpliwości, że postąpił słusznie.

- Czy gdy skończy z „Przejażdżkami”, mógłby nam pomóc, dopóki nie skończymy poszukiwań?

- Chyba uda mi się go namówić.

Szeryf głośno odchrząknął.

- Może w takim razie zadzwonię do kilku osób. Nie mamy co prawda dość mundurów i pistoletów, ale części wystarczą same odznaki i śrutówki. Albo druga zmiana pożyczycy sprzęt od kończących służbę.

- Nie będę się wtrącał w to, jak pan to załatwi, szeryfie. Z mojej strony, jeśli w ciągu kilku godzin nie zacznie się coś dziać, poproszę o dodatkowe posiłki z Filadelfii. Pewnie niedługo pojawi się też FBI - oznajmił Ferro.

- A co mają do tego federalni? - zdziwił się Terry.

- Zgodnie z tą mapą, A-32 przecina rzekę Delaware w dwóch miejscach, prawda? No właśnie. Niech pan spojrzy. Po tej stronie mamy New Jersey, a po tej już Pensylwanię.

- I co z tego? - Gus nadal nie rozumiał.

- Aaa... - Szeryf wreszcie zaskoczył. - Coś o ucieczce międzystanowej, tak?

- Dokładnie - potwierdził LaMastra. - Jeśli droga ucieczki przecina granicę stanów, sprawa staje się federalna i można poprosić Federalne Biuro Śledcze o włączenie się do akcji. Ale my ich nie poprosimy. Pewnie nie. - Ostatnie słowa skierowane były do sierżanta Ferro.

- Włączanie federalnych rzadko przynosi pozytywne rezultaty - powiedział. - Ale proszę nie zaprzętać sobie tym głowy. Mój szef obiecał przynajmniej dodatkowy tuzin policjantów.

- Wzywajcie wszystkich, którzy mogą nam pomóc. - Terry potwierdził swoje wcześniejsze słowa. - Powiedziałem to już dwa razy; więc mogę powtórzyć i trzeci: jeśli będzie trzeba, ściągnijcie tutaj Gwardię Narodową. Sierżancie, niech pan ma na uwadze jedno: ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to jakiś Kuba Rozpruwacz na

wolności. To źle wpływa na interesy i mnie zasmuca, bo przyjaźnię się z niemal każdym w tym mieście, więc jeśli kogoś skrzywdzi, skrzywdzi też mnie. Proszę zrobić wszystko, ale naprawdę wszystkiutko, co pan tylko może, żeby dorwać tych trzech gości i wywieźć ich w kajdankach z mojego ogródka.

Ferro uśmiechnął się w końcu i kiwnął z uznaniem głową.

- Panie burmistrzu, damy z siebie wszystko.

Terry kiwnął głową, a potem zwrócił się do szeryfa.

- Dalej, telefon w dłoń i sprawdź, kogo możesz tu ściągnąć.

- Tak jest. - Gus mruknął jeszcze coś pod nosem, ale posłusznie poszedł do biurka i złapał słuchawkę.

Ferro i LaMastra przyglądali im się jeszcze przez chwilę, a potem odwrócili się w stronę mapy i jeszcze raz zaczęli analizować ogromny obszar, na którym mieli dorwać Rugera. Jego wielkość ich przytłaczała.

- I co o tym myślisz?

- Szczerze? - Ferro wzruszył ramionami.

- Aha.

- Myślę, że tkwią po uszy w gównie, tylko jeszcze o tym nie wiedzą.

- Dokładnie. Nie ująłbym tego celniej.

2.

- Chryste, wyglądacie jak drużyna hokeja na ławce kar - stwierdził Ruger.

I miał rację. Val siedziała z ręcznikiem wypełnionym kostkami lodu i przyciskała go do czoła. Henry podobny kompres trzymał przy łukach brwiowych. Jeszcze nie doszedł do siebie po ciosie w splot słoneczny i z trudem łapał powietrze. Connie natomiast ścierała z twarzy wodę, którą ocucił ją Ruger.

Mężczyzna siedział naprzeciwko nich i z zadowoleniem sączył whisky z wysokiej szklanki.

- Musicie zrozumieć - zaczął chłodnym szeptem - że można było znacznie prościej. Jeśli będziecie postępowali zgodnie z moimi instrukcjami, nie będziemy musieli już przez to przechodzić. Przecież możemy żyć w zgodzie, prawda? - Roześmiał się, gdy to powiedział. Dowcip spodobał się chyba tylko jemu, bo nikt inny nie zareagował. Ściągnął brwi, ale nie pozwolił zepsuć sobie humoru. - Dobrze. Myślałem, że zdążyliście pojąć zasady, ale chyba się myliłem. Powtórzę więc: zadaję pytanie tylko jednej osobie. Może nawet nie jedno, a kilka pytań. Odpowiedzi oczekuję tylko od tej jednej osoby. Żadnych kółek dyskusyjnych, żadnych wspólnych oświadczeń. Tylko pytanie - odpowiedź. Proste, prawda?

Wpatrywali się w niego, życząc mu śmierci.

- Proste? - zapytał powtórnie, mocniej akcentując słowa.

- Tak - odpowiedzieli.

- To dobrze. - Napił się whisky i uśmiechnął, czując pieczenie w przełyku. - W takim razie, panno Val, o ile pamiętam, chciała mi pani powiedzieć coś o swoich licznych chłopcach.

Val przełknęła głośno, czując w gardle kluchę wielkości melona.

- Ja... ja nie mam chłopaka.

- Co? Żadnego? A co z tym, który mieszka w mieście?

- Nie, żadnego. To już od kilku tygodni skończone. Teraz nie mam nikogo.

Ruger uśmiechnął się oblesnie.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Taki kawałek mięsa jak ty? Samotny? Coś z tobą jest nie tak? Nie robiłaś mu dobrze?

Nie odpowiedziała.

- No, dalej. Jestem zainteresowany. Dlaczego zerwaliście?

Wzruszyła ramionami, mając nadzieję, że udało jej się zrobić to przekonująco.

- Po prostu nam nie wyszło.

- Aha. - Oczy mężczyzny błyszczały szklście jak u wypchanego rekina. - I nikt nowy się nie pojawił?

- Nie.

Val stężała, bojąc się dalszych pytań i tego, że Connie może powiedzieć prawdę i wszystko zepsuć. Poza tym nie była pewna, dlaczego zaprzeczyła istnieniu Crowa. Zrobiła to instynktownie. Nie ma męża, chłopaka i żadnych zobowiązań, które mogłyby zostać wykorzystane przeciwko niej lub przeciwko tym osobom. Nie może mu pozwolić na takie myślenie. Już i tak źle się stało, że Connie wspomniała o Marku, jej bracie, który ma niedługo wrócić do domu.

- Dobra, masz dwa punkty za odpowiedzi na moje pytania. - Ruger kiwnął. - Teraz tatusiek. Twoja kolej, staruszk. Jaki masz wóz?

- Forda bronco.

- Wspaniale. Który rocznik?

- Dziewięćdziesiąty szósty.

- Jeździ?

Z jakiegoś powodu stary Guthrie poczuł przypływ pewności siebie.

- W mieście pali jak smok, sprzęgło odskakuje i kierownica zaczyna latać na boki, gdy się jedzie ponad sto na godzinę - odpowiedział.

Ruger popatrzył na niego i się zaśmiał.

- Proszę, proszę - podniósł szklankę i wznosił toast. - Gdzie są kluczyki?

- Na haczyku przy tylnych drzwiach.

- Gdzie stoi wóz?
- Zaraz za domem.
- Kolor?
- Ciemnozielony.
- Tablice z napisami?

Henry patrzył na niego, nie rozumiejąc pytania.

- No, czy ma te specjalne tablice rejestracyjne z głupimi napisami?
- Nie. Ma takie zwykłe, z cyferkami.
- Ubezpieczenie i przegląd?
- Oczywiście.

- Oczywiście - powtórzył Ruger, kręcąc głową. - Włamuję się do twojego domu, daję ci w mordę, chcę ukraść twój samochód, a ty uważasz, że obraźliwe jest pytanie, czy zrobiłeś przegląd?

- Wóz jest w porządku. Weź go i zostaw nas w spokoju.
- Wezmę, wezmę. Nic się nie bój. Wszystko w swoim czasie. Jest jeszcze parę rzeczy, które muszę zrobić najpierw.

Zadzwonił telefon, ale mężczyzna się nie poruszył. Pozwolił mu dzwonić. Dołączył w tym czasie whisky i odstawił pustą szklanekę. Val nie mogła uwierzyć własnym oczom. Mężczyzna nalał sobie przynajmniej pół wysokiej szklanki alkoholu i wypił wszystko kilkoma łykami. Ile to było? Ćwierć litra? Co się stanie, kiedy procenty dostaną się do krwi?

- Kolejne pytanie: Czy masz tutaj nosze?
- Nosze?
- Tak.
- Nie. Po co mi nosze?
- A masz coś, czego mógłbym użyć jako noszy?

Henry się zastanowił.

- Chyba można wyjąć z zawiasów któreś drzwi. Ktoś jest ranny?
- Zaraz, zaraz... czy powiedziałem, że teraz twoja kolej na zadawanie pytań?
- Racja. - Guthrie się zmieszał. - Przepraszam.
- Nie ma sprawy. Masz taczkę?
- No pewnie. Nawet kilka.
- Gdzie?
- W szopie. Niewielki żółty budynek przy stodole.
- Zamknięta na klucz?
- Nie.
- Nie? Nie boicie się złodziei? - Zachichotał.

Guthrie spojrział na niego lodowato.

- W naszych okolicach nie ma tego problemu.
- Ruger pokręcił głową.

- W porządku. Znajdzie się jakaś lina? Albo taśma izolacyjna?
- Taka szara?
- Tak, taka szara. Masz ją?
- Kilka rolek.
- Gdzie?
- W piwnicy.
- Lina?
- Gdzieś w stodole. Jest jeszcze sznur od suszenia prania w piwnicy.
- Super.

Ruger kołysał się na fotelu. Uśmiech to pojawiał się na jego ustach, to znikał. Nie spuszczał z nich ciemnych oczu drapieźnika.

- Dobra - powiedział w końcu. - Mamy już plan. Val, ty skoczysz po linę i taśmę. Pójdiesz i natychmiast wrócisz.

Serce zaczęło walić jej jak szalone, gdy pomyślała o tych wszystkich rzeczach, które może znaleźć w piwnicy. Szybko wstała i obróciła się do wyjścia, ale w tym samym ułamku sekundy Ruger zerwał się na równe nogi. Złapał ją za ramię i gwałtownym szarpnięciem obrócił przodem do siebie. Patrzył jej w oczy, a ona nie wiedziała, co widzi. Jego twarz z początku wyrażała gniew, ale po chwili pojawił się znajomy uśmiech. Powoli pokręcił głową.

- Słuchaj, słoneczko, posadź swoją słodką pupcię z powrotem na kanapie. Sroce spod ogona nie wypadłem. Siadaj.

Val skuliła się i cofnęła. Kiedy usiadła, ojciec podał jej ręcznik z lodem, który upuściła, wstając gwałtownie. Przycisnęła go do czoła. Connie niczego nie rozumiała.

- Myślę - oznajmił Ruger, wyciągając nogę i trącając czubkiem buta kolano dziewczyny - że poprosimy o taśmę jedną z żon ze Stepfordu.

- M...mnie?
- C..ciebie. - Przedrzeźniał ją. - T...ak, ci...ciebie.
- Do piwnicy?

- Nie. Masz pojechać do apteki i kupić opakowanie aspiryny dla niemowląt. No pewnie, że do pieprzonej piwnicy! Nie słuchasz, o czym rozmawiamy?

- Po linę? - Connie miała głos pięciolatki.

- I taśmę. Idziesz, bierzesz je i wracasz tak szybko, jak się da. Żadnych głupot, żadnego grania na zwłokę. Chcę cię widzieć tutaj za kilka sekund.

- Mam iść sama? - Wyrażnie miała trudności z pojęciem skomplikowanych szczegółów przygotowanej dla niej misji.

Ruger przewrócił oczami.

- Chryste! Czy ty, kurwa, jesteś naprawdę taka głupia? - Przyjrzał się Val, która wbiła wzrok w skomplikowany wzór na dywanie. Westchnął. - Dobra, jak widzę,

naprawdę jesteś aż tak głupia. Nieważne. Po prostu idź tam, weź, co masz wziąć, i wracaj.

Connie cofnęła się, kiwnęła głową. Tyłem dotarła do drzwi, wpadła na futrynę, odwróciła i popędziła korytarzem. Otworzyła drzwi po drugiej stronie domu i Karl zobaczył, jak znika, schodząc po drewnianych schodach. Wychylił się, by na nią spojrzeć.

- Pamiętaj, mała, żadnych gierek. Bierz sprzęt i na górę. - Zerknął na starego Guthriego. - Nie jest zbyt bystra, co?
- Jest po prostu przestraszona.
- A ty? - zwrócił się do Val. - Czy ty się boisz?
- Pewnie, że tak - odpowiedziała gorzko.
- Może i tak, ale nie aż tak jak twoja głupia siostrzyczka.
- Boję się wystarczająco. - Przed oczami stanął jej nagle test ciężowy w szafce na piętrze. Zakręciło jej się w głowie i odwróciła wzrok.
- To dobrze - odezwał się Ruger po dłuższej chwili.

Kiedy Connie znalazła się w piwnicy, zeskoczyła z ostatniego schodka, nie rozglądając się na boki, minęła szafkę z bronią, regał z narzędziami, na którym leżała kolekcja dłut, śrubokrętów i noży ogrodniczych, telefon na ścianie i schyliła się, by sięgnąć do szafki, w której był sznur do bielizny. Złapała dwa ciasno zwinięte piętnastometrowe kawałki, a z niższej półeczki wielką rolkę szarej taśmy do pakowania. Z jakiegoś powodu przycisnęła je do piersi, jakby były czymś bardzo cennym, obróciła się na pięcie i popędziła po schodach do góry. Wychodząc, zgasiła światło, pograżając wszystkie przedmioty, które mogły przynieść im ratunek, w bezużytecznej czerni.

- Mądra dziewczynka. A teraz siadaj.

Connie posłusznie podeszła do kanapy, wygładziła sukienkę i, usiadła, grzecznie kładąc ręce na udach, i spuściła wzrok. Ruger patrzył na nią, jakby była stworzeniem z innej planety i nie mylił się, jeśli za Ziemię uznać planetę, na której kręca się ludzie jego pokroju. Dwa zwoje sznurka leżały na stoliku do kawy, a on bawił się rolką taśmy. Podrzucił ją wysoko, a potem złapał jedną ręką.

Val popatrzyła na Connie i poczuła żal. Widziała, że tamta uciekła, wycofała się w siebie. Poza nazwiskiem, które dostała na ślubie, nic ich nie łączyło. Żona brata dorastała w bogatym domu pod kloszem, gdzie chuchano na nią i dmuchano. Nie była inteligentna, za to miała dobre serce, kochała Marka, nie miała żadnych pasji, poza dbaniem o dom, i najwyraźniej mało czasu spędzała na myśleniu. Rozmowa z nią była trudna do zniesienia i Val, kiedy tylko mogła, unikała jej. Nigdy też nie udało im się polubić. Teraz, widząc, w jakim bratowa jest stanie, czuła, że ją kocha, że chce ją przytulić i ochronić.

Starala się też zgadnąć, czy kiedy nie była pilnowana w piwnicy, mimo wszystko wykreśliła numer na policję. Albo może schowała gdzieś nóż? Byłoby cudownie, ale Val nie miała złudzeń. Ona po prostu jest inna. Z dotychczasowych obserwacji wynikało, że nawet jeśli miała w sobie jakieś pokłady odwagi czy sprytu, to ukryte na tyle głęboko, że sama nie zdawała sobie z nich sprawy.

- Mam dla was zagadkę - odezwał się Karl, nalewając sobie kolejną porcję alkoholu. - Czy ktoś się domyśla, po co mi ten cały szajs? - Napił się. - Jakież propozycje? Nie? Nie wstydźcie się, przecież widzę to w waszych oczach. Jeśli myślicie, że was zwiążę, to tak, macie rację. To pewnie coś wam mówi, co?

Val pokręciła głową.

- To chyba oznacza - zaczął stary Guthrie - że skoro zada sobie trud wiązania nas, to zostawi nas przy życiu.

Spojrzała na Karla.

- Co, zdziwiona? Staruszek ma rację. Nie przyszedłem tutaj, żeby rozwalić kilku wieśniaków. Gdybym chciał to zrobić, już dawno gryźlibyście ziemię. Więc może nie jestem aż taki zły, na jakiego wyglądam?

Val w ostatniej chwili powstrzymała lekceważące parsknięcie.

- Ale sami rozumiecie, nie mogę pozwolić, żebyście zaraz pobiegli zawiadomić kogo trzeba.

- A jeśli będę musiała pójść do toalety? - zapytała Connie rzeczowo. Mówiła tak spokojnie i sensownie, że Val przestraszyła się o nianie na żarty.

- Uuu! - Ruger udał przerażenie. - Donna Reed chyba nas opuściła. Może uda mi się ją jakoś obudzić?

- Daj jej spokój.

W ułamku sekundy znalazł się przy Val z ręką uniesioną do ciosu, a ta szybko się cofnęła i dodała „proszę”.

Zawahał się na chwilę, po czym opuścił rękę.

- Eee, szkoda zachodu. I tak mam masę do zrobienia.

- Czy ktoś jest ranny? - Guthrie powtórzył wcześniejsze pytanie. Ruger spojrział na niego, więc szybko dodał: - Pytałeś o nosze. Czy ktoś potrzebuje pomocy?

- Tak. W gruncie rzeczy tak. Leży na polu i chyba ma ochotę pojawić się tutaj.

- Zostawiłeś rannego człowieka po ciemku na polu? - Val nie mogła uwierzyć.

- A co w tym dziwnego? I co cię to, do ciężkiej cholery, obchodzi?

- Jest ranny...

- I co z tego? Czy gdybym ja był ranny, martwiłabyś się o mnie?

- Oczywiście.

- Akurat! Bo uwierzę! - Roześmiał się głośno.

W oczach Val pojawiły się iskiereki.

- Pomogłabym każdemu zwierzęciu, gdyby było ranne. Nawet skunksowi czy wściekłemu psu.

Karl pokręcił z żalem głową.

- Rany, ty jesteś naprawdę wyjątkowa.

Przez chwilę wydawało się, że powie coś jeszcze, ale ktoś otworzył drzwi wejściowe.

Nikt nie słyszał samochodu, ponieważ warkot silnika utonął w szumie wiatru, a koła na wilgotnym żwirze podjazdu toczyły się niemal bezgłośnie. Za to wyraźnie słychać było szczeł kłamki i skrzypnięcie zawiasów.

- Crow! Uciekaj! - krzyknęła Val, odwracając się.

Jeśli nawet dodała coś jeszcze, i tak nikt tego nie usłyszał, bo wszystkie dźwięki zniknęły w huku dwóch wystrzałów, kiedy Ruger wypalił w otwierające się drzwi.

ROZDZIAŁ 12

1.

Z piersi mężczyzny leżącego na środku drogi sterczał wielki rzeźnicki nóż, a biały podkoszulek był czerwoną od krwi błyszczącej w świetle reflektorów zbliżającego się wozu. Crow zatrzymał się i wychylił przez okno.

- Jak leci, Barney?

Obnażając w uśmiechu zakrwawione zęby, ranny oparł się o dach chevroleta i zajrzał do środka.

- Dzisiaj w college'u była jakaś impreza, więc na razie nie ma dużego ruchu. Kogo wieziesz? Hej, czy to ty, Mike?

- Cześć Barney!

- Jak leci, mały?

- Nieźle.

Barney Murphy podrapał się po piersi, bo swędziały go miejsca, gdzie taśma przytrzymała plastikowy nóż. Rękojeść zakołysała się śmiesznie.

- A co ty tutaj robisz, co? - zapytał Crowa.

- Słuchaj, Barney, w mieście dzieje się coś niedobrego i musimy wcześniej zamknąć.

- Zamknąć? Żartujesz?

- Nie, nie żartuję. Musimy zamknąć na dziś. Gdzie jest Coop?
- W terenie z czwórka. - „Przejażdżki” miały cztery traktory, które ciągnęły przyczepy z siedzeniami dla klientów. Jeden stał u Shanahana, bo złamała się ośka, a pozostałe trzy krążyły z dziećmiakami po trasie, ruszając na kolejny kurs co dwadzieścia minut.
- Od jak dawna? I ilu ludzi ma ze sobą?
- Trzydziestu. A wyjechał jakieś dwadzieścia minut temu - odpowiedział Barney po namyśle.
- Cholera... znaczy, do diabła. - Crow spojrział na Mike'a, który wyszczerzył zęby. - Nie słyszałeś tego, nie?
- Cholera, pewnie, że nie!
- No to dobrze. - A potem dodał zrezygnowanym tonem: - Młodociany przestępca nam rośnie.
- Coop ma jeszcze jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut. Numer jeden będzie na bazie za pięć, a dwójka za dziesięć minut. - Barney wiedział, co i jak.
- Słuchaj, ja wezmę quada i pojedę poszukać Coopa, a ty czekaj i zawracaj wszystkich, jeśli ktoś się jeszcze pojawi. Z wyjątkiem rodziców Mike'a. Mają po niego przyjechać. Jego rower jest w bagażniku. - Barney wyglądał na zagubionego.
- Jakiś dupek zrzucił go z drogi. Opatrzyłem go trochę.
- Nic mi nie jest - zapewnił Mike.
- Ma złamane jedno czy dwa żebra i przygrzmocił głową w ziemię. Nie rób takiej miny, nie umrze ci tutaj. Jego starzy zawiozą go do szpitala na prześwietlenie.
- Niefajnie - mruknął Barney, ale Mike wzruszył ramionami.
- Crow ciągnął:
- Słuchaj dalej. Coś poważnego jest na rzeczy. Jacyś idioci z Filadelfii, którzy okradli bank, czy coś podobnego, ukrywają się gdzieś w naszych okolicach. Burmistrz chce, żeby wszyscy mieszkańcy miasta wrócili do domów. Dzieciaki mają zostać z rodzicami.
- Co? I to wszystko?
- Z tego, co wiem, to na razie tak.
- To niewiele wiesz.
- Niby nie, ale znasz Terry'ego.
- No fakt. Boi się własnego cienia. On tu nie przyjeżdża nawet za dnia.
- Pan Wolfe jest w porządku, Barneyu. Jest po prostu zajęty, to wszystko. „Przejażdżki” to nie jego jedyny interes. Ciągłe ma coś do roboty. Dlatego właśnie płaci mi, żebym się tym zajmował. - W głosie Crowa było najdelikatniejsze z możliwych ostrzeżenie, a pracownik bezbłędnie je wyłapał.
- Luz, stary.

- Jeśli zauważysz kogoś, kogo nie znasz... mówię o dorosłych, albo gdyby działo się coś dziwnego, dzwoni do mnie na komórkę.
 - Coś dziwnego? Stary... przecież to są „Nawiedzone Przejazdki”.
- Crow uśmiechnął się, machnął mu na pożegnanie ręką i wrzucił bieg.
- Chyba powinieneś pójść z tym do lekarza - zażartował na odchodnym.
 - Tak - podchwycił Barney. - Muszę się przebadać, bo czuję straszny ból w piersiach.

2.

Noc stawała się czarna i zbliżały się godziny, które nigdy nie zaznały światła słonecznego. Wszędzie wokół miasteczka Pine Deep serca biły coraz szybciej. Z minuty na minutę zwiększały tempo, a płuca łapczywie wciągały powietrze i wypuszczały je ze świstem. W ciągu zaledwie kilku godzin zmienił się rytm nocy - przyspieszył i stał się chaotyczny.

Ciemny wiatr niósł delikatną woń krwi i obietnicę znacznie intensywniejszych doznań. Opary zniszczenia i bólu docierały z kolejnymi podmuchami do każdej części miasta, nawet do najdalszych i najbardziej opuszczonych zakątków. Zapach wydawał się wsiąkać w glebę, szukając tych, którzy go pożyłali.

Głęboko w ciemności ktoś poczuł ten aromat. Ktoś wszystkimi zmysłami zaczął chłonąć zapach śmierci, energię strachu i dreszcz nienawiści. Wypełniała go esencja bólu i przerażenia, uśmiechał się. Między zębami od dawna miał ziemię pełną robaków, a wargi wyschły i cofnęły się, stając się grymasem obnażającym groźne zamiary. Tony czarnej ziemi dookoła podskoczyły, kiedy zaczął się śmiać.

3.

Półautomatyczny pistolet Rugera wypalił dwa razy, wypełniając salon błyskiem i hukiem. W górnej części drzwi wejściowych pojawiły się dwie niewielkie dziurki, a zapach dopalającego się kordytu uderzył wszystkich w nozdrza. Val wrzasnęła przerażona i rzuciła się do drzwi. Ruger był jednak szybszy. Zerwał się na równe nogi, przewracając fotel, na którym siedział, i silnym ruchem ramion pchnął ją na ojca. Guthrie upadł na kanapę, a Val wylądowała na nim. Po raz drugi tego wieczoru zalała go fala bólu i nie mógł zaczerpnąć tchu. Connie krzyknęła, ale nie ruszyła się z miejsca. Siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach i kwiczała jak mała dziewczynka.

Ruger podbiegł, złapał za klamkę i szarpnięciem otworzył drzwi, unosząc pistolet gotowy do strzału. Na werandzie stał Mark i nie mógł się poruszyć. Nie rozumiał, co się dzieje. Miał szeroko rozwarte oczy, był schylony i wielkimi jak spodki źrenicami wpatrywał się w wylot lufy skierowanej prosto w jego pierś. Nie znał mężczyzny, który do niego celował. Z policzka sterczały mu drzazgi, które wyrwała z drzwi kula, mijając jego twarz o centymetry.

- Witam w domu - syknął Ruger. Złapał go za koszulę, przyciągnął do siebie i z całej siły kopnął w krocze. Mark zgiał się wpół, wydając wysoki pisk. Connie i Val też krzyknęły, ale Karl je zignorował. Wciągnął skulonego z bólu mężczyznę do domu i rzucił przez pół pokoju. Mark myślał, że umiera. Przeleciał na drugą stronę salonu, wylądował na ścianie i upadł na stół, rozbijając go w drobny mak. Na podłodze leżała teraz mieszanina kawałków drewna, szkła, Marka i suszonych kwiatów.

Val chciała wstać, ale Ruger wyrznął ją grzbietem dłoni, posyłając z powrotem na kanapę. Ponownie upadła na ojca, którego ramiona uratowały ją przed wylądowaniem na podłodze. Karl odwrócił się do jej brata i kopnął go z całej siły w udo, a kiedy ten otworzył usta do krzyku, brutalnie podetknął mu lufę pod sam nos.

- Leż, kurwa, płasko.

Krzyk ucichł, zanim się rozpoczął.

Connie natomiast nie przestawała wrzeszczeć od chwili, kiedy usłyszała strzały.

- Mark! Mark! - piszczła wysokim głosem.

Ruger spojrzął na nią i uniół rękę z bronią.

- Zamknij jadaczkę, głupia dziwko!

Connie ucichła w ułamku sekundy, podobnie jak wcześniej jej mąż. Lecz podczas gdy ona rozpaczliwie pragnęła uciec i znaleźć się z dala od tego wszystkiego, jej ciało zerwało się z kanapy i ptasimi podskokami popędziło w stronę Marka, który, idiotycznie potrząsając głową, usiłował zrzucić z twarzy resztki suszonych kwiatów i kawałki ceramiki. Ruger odsunął się i pozwolił jej podskakiwać jak nerwowemu wróblowi. Dotykała go, głaskała, piszczła, całowała i otaczała drżącymi ramionami. Karla strasznie rozśmieszyła ta scena. Potem najgłośniejszy, jak pozwalało mu uszkodzone gardło, powiedział:

- A. Teraz. Wszyscy. Zamknąć. Się.

Każde słowo wymówił osobno, by nie pozostawić wątpliwości co do wagi polecenia.

Dom wypełniła grobowa cisza. Mężczyzna odetchnął z zadowoleniem. Spojrzął na Val, która zaciskała na brzegu sofy pobielające palce. Udało jej się uwolnić z objęć ojca. Jego twarz była szara i spocona.

- Co to za palant? - zapytał Ruger, wskazując zwiniętego na podłodze mężczyź-
nę. - Twój szwagier?

Val ściągnęła brwi.

- Co? Nie... to jest mój brat, Mark.

Ruger wyglądał na zbitego z tropu.

- Brat? Zaraz, zaraz, wiem, że to wiocha, ale przecież w Stanach siostry nie
wychodzą za mąż za braci.

Val pokręciła głową, nic nie rozumiejąc.

- Donna Reed to twoja siostra?

- Co? A! Nie, nie - odpowiedziała, łapiąc, o co mu chodzi. - Ona jest moją
szwagierką. Wyszła za mojego brata Marka.

- Aaa...

W tym czasie Connie pomogła mężowi usiąść pod ścianą i strzepywała z jego
ubrania okruchy rozbitych sprzętów. Nie przestawała przy tym szeptać.

- On ma broń. On ma broń. Czy coś ci się stało? Nie zrób nic głupiego, bo on
ma broń.

Mark spojrział na Rugera z twarzą wykrzywioną bólem i pokrytą potem.

- Co tu się, do cholery, dzieje? - zapytał, ale w zbolałym głosie nie było ani
cienia stanowczości.

- Nic ci nie jest? - wyszeptał Henry.

- Ja... - zaczął Mark, ale nie skończył. Spojrział na mężczyznę z bronią. - Kim
pan jest? I dlaczego pan do mnie strzelał? - Tym razem w jego głosie słychać było
nieskończone zdziwienie i niedowierzanie.

- Mylisz się - szepnął Ruger. - Gdybym strzelał do ciebie, już byłbyś martwy.
Strzelałem do drzwi. - Uśmiechnął się.

Val zauważyła, że do brata zaczyna docierać, co się dzieje. W następnej chwili
ogarnął go strach. Rozszerzonymi źrenicami wpatrywał się w obcego mężczyznę i
jego broń.

Rozejrzał się i zobaczył ojca leżącego pół na kanapie, pół na podłodze. I krew na
jego twarzy. Zbladł.

- Tato? Co...

- Spokojnie, Mark. Rób, co ci każe.

Ruger trącił go w nogę.

- Jak się domyślam, jesteś panem klubem rotariańskim, tak?

- Ja jestem... jak mnie nazwałś? - Mark niczego nie rozumiał. O czym on
mówi?

- Mark, uspokój się - poprosiła go siostra. - Słuchaj go.

Przyjrzał się jej, a potem ojcu i zapytał:

- Val? Henry? Co tu się wydarzyło? Co się stało z waszymi twarzami? Czy on
wam to zrobił?

- Nic im nie będzie - oznajmił oprawca. - Wszystko jest pod kontrolą.
- Ty im to zrobiłeś?

Ruger wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że takie rzeczy się po prostu zdarzają.

- Powiesz mi, o co tutaj chodzi?

W jego słowach zabrzmiało żądanie, choć ton na to nie wskazywał. Głos mu się załamał i Mark zaskrzeczał jak nastolatek przechodzący mutację.

- Nie ma sprawy. A w międzyczasie bądź tak uprzejmy, weź żonkę i dołączcie do wesołej gromadki na kanapie.

Mark chciał coś odpowiedzieć, ale czarne oko pistoletu powstrzymało go, a czarne oczy człowieka, który go trzymał, pozbawiły wolnej woli. Poczekał, aż Connie wstanie, a potem pozwolił sobie pomóc i ostrożnie, bardzo ostrożnie poszedł w stronę kanapy, posyjąc z bólu, który wypalał mu krocze. Na kanapie zrobiło się ciasno. Val siedziała po lewej stronie, obok ojca, a Connie robiła wszystko, co mogła, żeby zniknąć między starym a młodym Guthriem. Mark przyjrzał się z bliska twarzy ojca.

- Paskudne rozcięcie, tato.
- Przeżyję - mruknął Henry.
- Ale, tato...
- Daj spokój.

Mark spojrział na Rugera.

- Kim pan jest? Jakimś gangsterem? Twardzielem od bicia kobiet i starsuszków?

- Pieprz się. - Ruger postawił fotel na biegunach i wygodnie usiadł. - Dobra. Wrócimy do naszej gry. Znacie zasady. Jeśli nie będziecie ich przestrzegali, zastrzelę was. *Comprende?*

Mark spoglądał na niego przez dłuższą chwilę, a potem skinął głową.

- Wspaniale. - Ruger zapalił papierosa. - Słuchaj teraz uważnie, chłoptasiu. Nie znalazłem się tu, bo tak chciałem. Ale Bóg jeden wie, że nie miałem innego wyjścia. Zepsuł mi się wóz i potrzebuję nowego. W obecnej sytuacji wynajem nie wchodzi w rachubę. Poza tym na polu, w kukurydzy, czeka na mnie kumpel ze złamaną nogą. Wy mi pomożecie przynieść go tutaj, żebym go poskładał do kupy. Potem spadam stąd waszym fordem. Muszę się przyznać do złych zamiarów - chcę go ukraść.

Młody Guthrie zamrugał gwałtownie.

- Jak widzę, wcale nie pójdzie tak łatwo, jak bym chciał - mówił Ruger. - Optymalnym sposobem byłoby zaprząć was wszystkich do pomocy, a potem związać i odjechać w spokoju. Myślę, że mówię w imieniu całej naszej piątki, że to byłoby najlepsze rozwiązanie. Z drugiej strony, jeśli nie będziecie chcieli współpracować, mogę was wykończyć, wziąć wóz i koniec końców, też mnie tu nie będzie. Jak widzicie, nieszczególnie mnie obchodzi, jak osiągnę cel. Może tylko poza tym,

że robiąc wszystko sam, bardziej się zmęczone. A praca źle na mnie wpływa.

- Wykończyć nas? Czyli zabić? Pozbawić życia? - upewnił się Mark.

- Jak cholera - potwierdził Ruger.

- Jezu Chryste...

- To jak będzie?

- Nie wierzę, że nas po prostu wystrzelasz. Przecież nic ci nie zrobiliśmy!

- Mark... - szepnęła błagalnie Val.

- Wy? No pewnie, że mi nic nie zrobiliście. Gdyby mi się nie rozwalił wóz na waszym polu, pewnie nawet nie usłyszeli byście o moim istnieniu. I vice versa. Po prostu miałeś szczęście, Mark.

- Ale strzelać do nas?

Ruger przewrócił oczami.

- Której części nie rozumiesz?

- Dlaczego?

- Mark, zamknij się! - odezwał się Henry cichym, ale bardzo zdecydowanym głosem.

- Nie... tato, przecież on mówi o zabiciu nas wszystkich! - zaprotestował Mark.

Ojciec zacisnął silną dłoń na nadgarstku syna.

- Wiem. I jeśli się nie zamkniesz, to uzna to za pretekst. Więc cisza.

Mark tym razem posłuchał.

Ruger pokiwał z uznaniem głową.

- Masz ostrego staruszka, chłoptasiu. Jesteś z tych, których jadaczka zawsze ładuje w kłopoty.

- Po prostu staram się to zrozumieć.

- A co tu jest do rozumienia? Nie oglądasz telewizji? Ja jestem tym złym człowiekiem, który w co drugim odcinku serialu zwiewa przed policją. A wy jesteście niewinnymi ludźmi, których tacy jak ja wiążą i okradają. Koniec. Tutaj nie ma nic do rozumienia.

- Czego od nas chcesz? - Val chciała skierować dyskusję na tory czystych negocjacji. Patrzyła, jak zaciąga się papierosem, i zastanawiała się, dlaczego to wszystko tak długo trwa. Na co on czekał? Przecież mógł ich zwięzać, wziąć wóz i pół godziny temu byłby już w drodze. Zamiast tego bawi się z nimi, a ona nie może zrozumieć, po co. Już któryś raz zwróciła uwagę, że co pewien czas przechyla głowę, jakby wsłuchiwał się w jakiś głos za oknem. A może w swoim mózgu?

Ruger obliznął usta.

- Dwoje z was będzie niosło mojego kumpla na noszach. Czeka na nas na dworze.

- Gdzie dokładnie?
- Przy strachu na wróble. Jakiś kilometr stąd.

Henry pokiwał głową i spojrzął na córkę.

- Przy nowej części płotu.

Poczuła mdłości na myśl o tym, że typy pokroju Rugera i jego kompana zbezczeszczyły miejsce, gdzie nie dalej jak zeszłej nocy kochała się z Crowem.

- Co potem? - zapytała.

Miała spierzchnięte usta.

- Potem poskładamy go do kupy.

- Mówiłeś, że ma złamaną nogę? - zapytał Henry.

- Tak. - Ruger się zaśmiał. - Wpadł po ciemku w dziurę i załatwił nogę na amen. On ma to... jak wy to nazywacie? Jak kości wystają?

- Otwarte złamanie - mruknęła Val.

- Właśnie. Naprawdę paskudny przypadek. Nastawiłem je, mniej lub bardziej, i usztywniłem, ale trzeba to sprawdzić. Nie podejrzewam, żeby któreś z was było lekarzem?

- Znam się na pierwszej pomocy - powiedziała Val.

- Świetnie. Przydasz się.

- Ale tylko podstawowe rzeczy.

- Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.

Mark uniósł palec i pedantycznym, oficjalnym tonem zaczął przemawiać:

- Wyłumaczymy sobie jedno. Jeśli ci pomożemy, jeśli przyniesiemy twojego kumpla tutaj, opatrzymy go najlepiej, jak potrafimy, i oddamy ci wóz, pojedziesz sobie, nie robiąc nam krzywdy? Serio?

- Jak cholera.

- A dlaczego mielibyśmy ci ufać?

- Nie macie innego wyjścia. - Uśmiechnął się, obnażając zęby i połyskując czarnymi oczami. - Poza tym, dlaczego miałbym kłamać?

4.

- Hej, a to co?

Rhoda Johnson zatrzymała radiowóz. Uruchomiła szperacz i skierowała go w miejsce, które wskazał Head, policjant siedzący obok. Ciemny asfalt A-32 błyszczał w jaskrawym skupionym świetle reflektora. Wyraźnie odcinała się też żółta przerywana linia pasa i dwa ślady - intensywnie czarne kreski.

- Ślady hamowania. - Rhoda nie widziała w nich niczego podejrzanego. - Nic takiego.

- Nie, poczekaj. Wyglądają całkiem świeżo.
- Noi?
- Sprawdźmy je po prostu.

Head pociągnął za klamkę i wysiadł. Policjantka niechętnie zrobiła to samo. Razem podeszli do oświetlonego miejsca na asfalcie i zatrzymali się, rozglądając na boki. Mężczyzna odruchowo rozpiął zapięcie skórzanej kabury i poruszył broń, żeby w razie potrzeby łatwiej ją wyciągnąć. Rhoda przyglądała się temu z zaciekawieniem i żeby nie wyglądać na taką nowicjuszkę, jaką w rzeczywistości była, po raz pierwszy w życiu wykonała ten rytuał. Była zafascynowana. Pomyślała nawet, że Head wygląda jak Samuel L. Jackson, tyle że bardziej umięśniony i ogolony.

Jako partnerzy byli wyjątkowo niedopasowaną parą: Rhoda Johnson była drobna, miała na sobie szary mundur lokalnej policji i sześcioramienną gwiazdę na piersiach, błyszczącą równie jasno jak wszystkie guziki i plakietki. Head był starszy, wyższy, większy, cięższy, choć wcale nie tłusty. Ubrany był w niebieski mundur filadelfijskiej policji, na piersi miał numer identyfikacyjny, a zestaw służbowych utensyliów przy pasie nosił ślady jedenastoletniej ciężkiej służby w terenie, na ulicach wielkiego miasta. Rhoda wyglądała przy nim jak statystka w tanim filmie. Head był bardzo realny. Miał twarde oczy, które już wszystko widziały, surowe, ściągnięte usta i postawę drapieżcy. Kiedy stała obok tymczasowego partnera, wyglądała jak dziecko. I nie chodziło tu o płeć - bo partnerką Heada na co dzień była Maddie, policjantka równie doświadczona i twarda jak on. Dziś patrolowała z Jimem Polkiem A-32. Rhoda wiedziała, że poznaje właśnie prawdę o byciu gliną.

Head przykucnął i przesunął dłonią po spalonej startej gumie.

- Dzisiejsze - oznajmił. - Przyjrzyj im się dokładnie. Zjeżdżają z drogi. - Zapalił długą metalową latarkę i przesunął promieniem ostrego światła wzdłuż śladów. - Widzisz? Dokładnie tam ktoś zjechał z asfaltu i wyleciał w pole. - Zaświecił latarką między kukurydzę. Zobaczyli wycinek pola ze ściętymi i połamanymi roślinami. Zniszczenia układały się w kształt korytarza. - Bingo.

Rhoda podeszła i stanęła za nim.

- Myślisz, że mieli wypadek?
- Byłoby miło, gdyby sprawa okazała się aż tak prosta. - Head uśmiechnął się półgębkiem i dodał: - Byłoby super, gdyby rozwalili wóz i siebie razem z nim.
- Myślisz, że to możliwe?

Uśmieszek zamienił się w prawdziwy uśmiech. Pokręcił głową.

- Nie. Wypadek jest całkiem prawdopodobny. Ale jeśli rozwalili samochód, to zabrali stąd swoje tyłki kilka godzin temu. - Potarł czarny ślad na jezdni czubkiem buta. - Może opona im strzeliła? - Odwrócił się i przesunął snopem światła po całej

drodze, oglądając każde miejsce po kolei. - Wygląda mi to na jakiś duży samochód, który przy bardzo dużej prędkości wyleciał z drogi i wbił się w kukurydzę.

Rhoda przeszledziła każdy fragment, o którym wspomniał. Wąski snop światła wyłowił daleko w polu delikatnie połyskujący metal i szkło.

- O cholera.

- No właśnie - zgodził się Head, wyjmując broń. Nadgarstek dłoni, w której trzymał latarkę, oparł o drugi nadgarstek, dzięki czemu jego pistolet podążał za jaskrawobiałym kręgiem.

- Myślisz, że wciąż są w samochodzie? - spytała szeptem Rhoda.

- Nie sądzę. - Wsłuchał się w noc: odległe grzmoty, pohukiwanie nocnych ptaków i ruch na autostradzie. Przesunął językiem po zębach.

- Co chcesz zrobić? Idziemy sprawdzić?

- Nie, słońce. Nie podejść w pobliże tego wozu, dopóki nie będziemy mieli wsparcia. - Kiwnął głową w stronę jej broni. - Jaka jesteś w te klocki?

- Do niczego.

- Super.

- Lepiej mi idzie ze śrutówką - dodała z nadzieją w głosie. - Ze strzelby nie da się chybić.

- Racja. Masz w radiowozie?

- W bagażniku.

- Przynieś.

Razem wycofali się do samochodu. Rhoda otworzyła bagażnik, a Head stał nieopodal i bezustannie celował w kierunku korytarza w kukurydzy. Policjantka zwolniła zatrzaski i wyciągnęła powtarzalną strzelbę. To był mossberg bullpup 12 z pistoletową kolbą i czterdziestocentymetrową lufą. Nawet po ciemku było widać, że trzęsą jej się ręce. Przesunęła ruchomy magazynek.

Head spojrział na nią i unióśł brwi.

- Niezła spluwa, jak na małe miasteczko.

- Szeryf je lubi.

- A ty?

Wzruszyła ramionami.

- Dopóki nikt z tego do mnie nie celuje, mam to gdzieś.

Head uznał, że udzieliła uczciwej odpowiedzi. Lufą pistoletu wskazał na pole.

- Wyceluj ją tam. Ja wracam do wozu wezwać wsparcie. - Przez otwarte okno sięgnął do wozu i wziął czarny mikrofon. - Jaki jest twój numer wywoławczy?

- Dwójka.

- Wywołanie?

- Po prostu przywitaj się z Ginny.

Head uśmiechnął się i pokręcił głową. Uwielbia małe miasteczka. Uruchomił nadawanie i zbliżył mikrofon do ust.

- Dwójka do Ginny. Dwójka do Ginny. Odbiór.

- Kto mówi?

- Jerry Head. Jestem w dwójce z Rhodą Thomas.

- A, to pan. W czym mogę pomóc?

- Czy detektyw Ferro jest gdzieś w pobliżu?

- Tak. Pije kawę.

- Mogę go poprosić?

- Jest w sali konferencyjnej z... nie, po prostu nie... panie Wolfe, przecież tak nie powiedziałam... była... nie, ja...

Rozmowa wciąż transmitowana przez radio zmieniła się w intensywną kłótnię, w której brała udział Ginny i przynajmniej jeszcze dwie osoby. Potem zgłosił się ktoś inny.

- Dwójka, tu detektyw Ferro. Odbiór.

- Sierżancie, Jerry Head. Jestem z oficer Johnson na A-32, około dwudziestu kilometrów od centrum na wschód.

- Zrozumiałem.

- Zgłaszam kod sześć. Badamy ślady hamowania wskazujące na niedawny wypadek. Samochód wypadł z drogi i wjechał w pole kukurydzy. W wypadku wziął udział jeden wóz. Prawdopodobna przyczyna to pęknięcie opony, choć ślady są długie, czyste i nie ma na drodze kawałków gumy.

- Zbadaliście samochód?

- Nie. Czekamy na wsparcie.

- Prawdłowo. Wsparcie w drodze.

- Przyjąłem.

- Bez odbioru.

- Bez odbioru. - Wrzucił mikrofon na siedzenie i popatrzył na Rhodę. - Słyszałaś?

- No.

- To czekamy. Sama wiesz, kogo szukamy. Nie jestem Johnem Wayne'em i nie chcę niepotrzebnie ryzykować. Ty też nie wyglądasz na Annie Oakley.

- Nie mam pojęcia, kim ona jest, ale całkowicie się z tobą zgadzam. - Uśmiechnęła się. - Czekanie jest w porządku.

Stanęli po drugiej stronie radiowozu, używając go jako zasłony. Head wyjął z kieszeni paczkę gumy do żucia. Wziął sobie jedną, a resztę podał Rhodzie, ale odmówiła. Jego brązowe oczy miały w sobie coś z oczu rewolwerowca i bardzo ją to onieśmielało.

- Pewnie myślisz, że jesteśmy strasznymi ciamajdami z prowincji? - odezwała się.

- Nie, wcale nie - odrzekł Head ze śmiechem. - Po prostu ciesz się, że nie macie do czynienia z takimi psycholami na co dzień. To bawi przez pierwszy rok służby, a potem jest już tylko męczące.

Rhoda pokiwała głową i poprawiła broń. Head się uśmiechnął.

- Mówiąc prawdę, w ułamku sekundy zamieniłbym się z tobą na pracę. Pokochałem to miasteczko już jakiś czas temu. Co roku przywożę dzieciaki do „Nawiedzonych Przejazdów”. Ostatnio dwa tygodnie temu. Najmłodszego i drużynę zuchów, do której należy, przywożę pewnie jeszcze przed Halloween. Przyjeżdżam tu z moją żoną, Tracy, co roku na zakupy przed Bożym Narodzeniem. Taki zwyczaj. Najpierw idziemy na śniadanie na Salem Street... czekaj, jak się nazywa ta restauracyjka? Ciocia Ems?

- Tak. Świetne miejsce. Pracowałam tam jako kelnerka, gdy chodziłam do liceum.

- Fajnie. Może nawet nas kiedyś obsługiwałaś.

- Możliwe. Tam zawsze jest komplet.

- I są ku temu powody. Dają tak dobre śniadania, że palce lizać. Uwielbiam ich omlet z konfiturą jabłkową i cynamonem.

- „Strach na wróble”.

- Dokładnie. No, po prostu mistrzostwo świata. A Tracy lubi irlandzką owsiankę z mlekiem i miodem.

- Dobry wybór.

W oddali pojawiły się niebiesko-czerwone światła radiowozu.

- Już jadą.

Stali w milczeniu, nie przestając celować w kierunku pola.

- Panie Head?

- Jerry.

- Jerry. Czy to wszystko, co mówisz o podejrzanym - o Rugerze - czy to cię nie przeraża?

- Mnie? Nie. Pociął nożem bezbronnych ludzi. Emerytów. Już miałem z takimi do czynienia.

- I naprawdę się nie boisz?

- Pewnie, że tak! - Head się zaśmiał. - Robię w gacie na samą myśl o nim.

Rhoda poczuła ulgę.

- To dobrze. Bo ja też. Wiesz, u nas jest tylko kilku pełnoetatowych policjantów po akademii. Większość to studenci prawa. Na część etatu. Niby mamy podstawowe przeszkolenie, ale wszyscy wiedzą, że nie jesteśmy tam na stałe, więc walą w nas jak w bęben. A takie akcje jak ta nigdy się nie zdarzają.

- Dlatego zrobimy wszystko dokładnie tak, jak kazał sierżant Ferro. Punkt po punkcie i bez żadnych odstępstw, jak profesjonalni gliniarze. Żadnych zabaw w Rambo. Jeśli to samochód Rugera, a on leży w środku, to i tak będziemy postępowali tak, jakbyśmy mieli do czynienia z uzbrojonym i bardzo niebezpiecznym bandytą.

- Chryste - jęknęła cicho.

Jeśli tam naprawdę jest Ruger, pomyślał Head, i choćby za głośno pierdnie, wyślę jego czarną duszę do Pana Jezusa, zanim zdąży poczuć smród.

Podjechał drugi wóz i gwałtownie się zatrzymał. Po obu stronach jednocześnie otworzyły się drzwi i wysiadł Jimmy Castle, wysoki, szczupły, uśmiechnięty blondyn, i Coralita Toombes. Była dużą czarną kobietą z poważną twarzą. Miała na sobie mundur z Filadelfii. W prawej ręce dzierżyła glocka skierowanego lufą w niebo.

- Jaka sytuacja, Jerry? - zapytała.

Head przywitał się i w czwórkę stanęli na skraju szosy.

- Toombes, my idziemy. Jedno z was może iść z nami.

- Jimmy pracował kiedyś w Pittsburgu - wyjaśnił Head.

- Na ulicy? - spytała Rhoda.

- Tak, na ulicy - potwierdził Castle. - Cztery lata. Potem firma żony przeniosła się...

- Dobra - przerwał mu Head. - Już. Robimy tak. Rhoda, wróć do radiowozu. Weź mikrofon i cały czas raportuj sierżantowi Ferro. Nawet, jeśli miałabyś mówić, że nie masz nic do przekazania, powiedz to. Tak?

- Pewnie.

- I miej strzelbę pod ręką - dodał. - Ale celuj ostrożnie. - Potem spojrzął na Jimmy'ego Castle'a. - Masz kamizelkę?

- Oczywiście. Włożyłem ją pierwszy raz od Pittsburga. - Popukał się w opancerzoną pierś.

- Dobra. Idziemy jak na egzaminie. Sprawdzenie, raport, zabezpieczenie - poinformowała Toombes.

Head kiwnął głową.

- Wszyscy gotowi?

- Pewnie - powiedział Castle, ale już się nie uśmiechał. Kiedy wyciągnął pistolet i ruszył powoli z pozostałą dwójką, wyglądał jak stary twardy glina.

- Do dzieła - szepnęła Toombes.

Poszli.

ROZDZIAŁ 13

1.

Ruger nie potrzebował dużo czasu, żeby ruszyć z przygotowaniami. Kazał Val związać brata i jego żonę. Kiedy skończyła, polecił jej owinąć sznurek kilkoma warstwami taśmy, żeby wierząc się, nie rozluźnili pęt. Potem sprawdził, jak wykonała zadanie. Mark i Connie siedzieli na kanapie i patrzyli na niego nienawistnym wzrokiem. W międzyczasie kazał staremu Guthriemu pójść do kuchni, wyjąć drzwi z zawiasów i przynieść je do salonu. Były zrobione z lekkiej płyty wiórowej, ale na tyle wytrzymałej, że nadawały się na nosze. Val co chwila rzucała ojcu ukradkowe spojrzenia, zastanawiając się, czy ma jakiś plan, ale na jego twarzy malowała się troska o bezpieczeństwo dzieci. Kiedy w końcu nawiązali kontakt wzrokowy, pokręcił ze smutkiem głową.

Już drugi raz, od kiedy Ruger pojawił się w domu, słyszała swój telefon komórkowy, ustawiony jak zwykle tylko na wibracje. Czowała go w kieszeni spodni, ale nie robiła nic, żeby odebrać. To musi być Crow z wiadomością, że już jedzie do domu. Modliła się, żeby się pospieszył.

- Dobra, dzieciaki - powiedział Ruger, kiedy stanęli w trójkę przy drzwiach wejściowych. - Posłuchajcie, jaki mamy plan. Najpierw idziemy po taczkę. Potem zabieram was ze sobą, żebyście pomogli mi przywieźć tu mojego kumpla i nasze rzeczy z pola. Wracamy tutaj. Potem Val zwiąże tatusia, a ja sprawdzę wykonanie. Kiedy się z tym uporamy, zajmiesz się moim przyjacielem. Po wszystkim związę cię i znikniemy z waszego życia. Poza dziurami w drzwiach i fordem nie będziecie stratni. I jak to brzmi? Uczciwy układ? Chyba już prościej się nie da. Jeśli ktoś będzie za dużo myślał, wszyscy na tym stracą. Wszyscy, poza mną. - Spojrzał na nich. Val kiwnęła głową, a potem to samo zrobił Henry. Mark i Connie byli związani i zakneblowani, więc mogli tylko patrzeć. - Super. W takim razie, ruszajmy. Jestem już trochę tym wszystkim zmęczony. Chryste.

Stary Guthrie pochylił się i złapał kuchenne drzwi z jednej strony, Val sięgnęła z drugiej. Ruger ruszył za nimi. W jednym ręku trzymał pistolet, w drugim latarkę. Przez ramię przewiesił zwój sznurka. Wyszli i zniknęli na stopniach werandy.

- Dobra, odstawcie drzwi. - Ruger poczekał, aż wykonają polecenie. - Ty - powiedział do Val - przyprowadź taczkę.

Poczuła gwałtowne bicie serca na samą myśl o wszystkich ostrych narzędziach w szopie. I o telefonie. Ale Ruger przyłożył pistolet do potylicy jej ojca.

- Tylko taczkę, słoneczko. Rozumiesz?
- Tak - odpowiedziała głosem odrobinę głośniejszym niż szept.
- To dobrze. A teraz na kolana, staruszku, i czekasz na powrót córki.

Henry powoli opadł na kolana, twarzą do Karla, i założył ręce za głowę.

Ruger zamknął dużą białą dłoń wokół opalonych palców starego i ścisnął je delikatnie. To wystarczyło, żeby Henry się skrzywił. Val widziała ból na jego twarzy, tak jak chciał tego oprawca.

- Tak, to pewnie nie jest przyjemne. Wiem. A będzie bolało, dopóki nie przywleciesz się tutaj z powrotem z taczką. Dalej, głupia krowo, czas to pieniądz.

Val rzuciła się biegiem w kierunku szopy. Ruger nie kłamał - ścisnął palce starego Guthriego do chwili, gdy pojawiła się z dużą, czerwoną, brudną od błota taczka. Twarz ojca była wykrzywiona, zagryzał wargi.

Ruger pokiwiał z uznaniem głową, cofnął rękę i zrobił krok do tyłu.

Stary wstał i na przemian rozprostowywał i zaciskał palce, by przywrócić w nich krążenie. Czuł, jak całe dłonie pulsują bólem.

- Podnieście drzwi i lecimy. - Ruger włączył latarkę, którą ukradł z domu, i oświetlał nią plecy córki i ojca, kiedy oddalali się ścieżką wzdłuż bezkresnych pól. Dla wygody położyli drzwi w poprzek taczki. Val trzymała za ręczki, a ojciec podtrzymywał ładunek. Trzy kroki za nimi posuwał się Ruger z latarką w jednej i pistoletem w drugiej ręce.

Kiedy szli drogą, którą Ruger przebył od chwili opatrzenia Boyda, obserwował ich ze wzrastającą przyjemnością. Zdążył już polubić tego starego pierdołę i jego córcię. Oboje byli twardzi, a on potrafił to docenić. Przez cały czas się wahał, czy powinien ich zabić. Pewnie nie, zastanowił się. Bo i po co? Przecież nie trzeba świadków, żeby go zidentyfikować.

Myślał też, jaka Val jest w łóżku. Pewnie ostra. Może nawet bardzo. Gdyby nie brak czasu, pewnie zdecydowałby się to sprawdzić. Ciekawe, czy okiełznałby klaczkę. Niełatwe zadanie, pomyślał. Nie sprawia wrażenia osoby, która się ze sobą cacka. Pewnie walczyłaby przez cały czas, a na to, niestety, nie miał czasu.

Ale pozostaje jeszcze żonka ze Stepfordu. Tak, ładniutka sztuka. Utknęła na wsi, ale bez wątpienia jest ładna. Na nią może znajdzie trochę czasu i pokaże jej jedną czy dwie sztuczki. Szybki numer, nic wielkiego, ale przynajmniej zmniejszy napięcie, które powodowało ból karku. Spodobał mu się ten pomysł i uśmiechnął się. Nie sądził, że jest taka głupia, na jaką wygląda. Boże, takich ludzi przecież nie stworzyłeś? Zastanawiał się, co kryje to opakowanie. Może wystarczy dać jej malutką zachętę, a pokaże na co ją stać. Jej pierdołowaty małżonek nie ma dość pary, żeby ją rozgrzać do odpowiedniej temperatury.

Szli dalej między wysokimi ścianami dojrzalej kukurydzy, a tańczący krąg światła latarki zalewał ich żółtą poświatą.

„Ruger, jesteś moją lewą ręką!”

Nagle wróciło wspomnienie tych słów i głosu, który je wypowiedział, i zadziało jak grom z jasnego nieba. O mało się nie przewrócił. Przez cały czas, kiedy był w domu, odbijały się echem w jego mózgu.

Co miały oznaczać? Czuł, że zna ten głos... ale nie potrafi skojarzyć go z żadnym imieniem i nazwiskiem.

Teraz odezwał się znowu. Był przekonujący, natarczywy i... uspokajający.

„Ruger, jesteś moją lewą ręką!”

Nabrał powietrza, poprawił pistolet i skupił się na tym, co go czeka. Droga nie zajęła im dużo czasu. Zastanawiał się, jak Boyd zniósł oczekiwanie, choć miał to gdzieś. Jeśli wykitował, znajdzie sobie kogoś innego, kto wywiezie go z kraju. W kręgach, w których się obraca, jest dość ludzi z odpowiednimi kontaktami, a on ma wystarczająco dużo nieznaczonej kasy i czystego towaru, żeby przyspieszyć działanie tej dziwacznej maszyny. Nawet przy umiarkowanym szczęściu za tydzień będzie się opalał pod brazylijskim słońcem. A jeśli to nie wypali, zwieje do Kanady. Przyczai się na jakiś czas u kobiety, którą zna w Montrealu. Wykorzysta jej znajomości, żeby skombinować paszport, który pozwoli mu przedostać się do Afryki. Mógłby podłapać tam robotę jako najemnik.

Jeśli Boyd się przekreślił... to może nawet zostanie na noc na farmie. Porówna wtedy obie dziewczyny, a rano wyruszy dalej na północ. Wmiesza się w sznur turystów i pracowników zmierzających do Nowego Jorku.

„Ruger, jesteś moją lewą ręką!”

Uśmiechnął się w ciemnościach i zastanowił, czy zostawi choć jedną żywą osobę, kiedy będzie opuszczał farmę.

2.

Wysłużony dziewięciomilimetrowy glock wygodnie leżał w dłoni Jerry'ego Heada. Na wszelki wypadek przy kostce miał jeszcze jedną kaburę, w której tkwiła trzydziestkadwójka Smith&Wesson. Żadna zabawka, prawdziwa broń. Dwa razy w czasie swojej pracy w policji miał kłopoty z powodu pistoletu. Za pierwszym razem był to starszy typ, S&M, 439, który zaciął się w niewłaściwym momencie, a za drugim razem upuścił spluwę, kiedy w czasie pościgu musiał przeskoczyć z garażu na kontener na śmieci. Broń zanurkowała między worki z odpadkami, niedojedzone

pizze, pampersy i pudełka po płatkach śniadaniowych. W obu przypadkach życie ratowała mu mała trzydziestkadwójka z kostki. Co prawda brakowało jej morderczej siły kalibru 9 milimetrów i mieściła mniej kul, ale niewielki rewolwer miał tę cudowną cechę, że nigdy się nie zaciął i był pod ręką nawet wtedy, gdy jedyną amunicją, jaką mógłby odpowiedzieć na ostrzał, były przekleństwa. Czuł jej uspokajający ciężar. Znał Toombes i wiedział, że również nosi na kostce zapasową pukawkę, ale wątpił, czy Jimmy Castle też. Może i kiedyś pracował na ulicach wielkiego miasta, ale, na Boga, po co mu wsparcie tutaj, na zadupiu?

Posuwał się korytarzem połamanej kukurydzy, wyrwanej i zmiażdżonej przez samochód, najciszej jak potrafił. Mimo to każdy krok sprawiał, że suche liście głośno szeleściły. Nie było mowy, żeby podejść niepostrzeżenie. Po obu stronach za sobą słyszał podobne dźwięki i wiedział, że Toombes i Jimmy tak samo jak on denerwują się z tego powodu. Nie da się podkraść do trupa, robiąc tyle hałasu.

Wciąż też słyszał Rhodę, jak przez radio wywołuje sierżanta Ferro i zdaje mu relację sekunda po sekundzie.

Nie musieli iść daleko. Już po chwili światła latarek wyłowiły z ciemności błysk metalu i szkła. Był to duży czarny sedan, który zatrzymał się na niewielkiej polance wygniecionej w kukurydzy. Kłapa bagażnika była podniesiona, a prawa przednia część wydawała się opadać nienaturalnie nisko. Head spojrział na pozostałą dwójkę.

- Wchodzimy razem. Toombes, prawa, Jimmy, lewa, ja środkiem. Pamiętajcie, sprawdzamy i zabezpieczamy - powiedział cicho.

Skinęli głowami i sprawdzili broń. Palce oparły się na osłonach spustów i powoli weszli na polankę. Poruszali się wyjątkowo ostrożnie. Castle podszedł do drzwi od strony kierowcy, celując w miejsce, gdzie padało światło latarki.

- Policja! - krzyknął. - Nie ruszać się! Zaświecił i zajrzał do środka.

- Czysto!

- Czysto! - potwierdził Head, który sprawdził bagażnik i pod wozem. Czekali jeszcze na Toombes.

Nie odzywała się.

Head podniósł się z pozycji strzeleckiej i wyjrzał ostrożnie na jej stronę samochodu. Toombes stała przy wozie, patrząc na miejsce pasażera. Nic więcej nie mógł zobaczyć, bo zasłaniała całą resztę. Stała nieruchomo, z latarką skierowaną zgodnie z zasadami, ale pistolet zwiślał luźno i bezużytecznie, celując w ziemię u jej stóp.

- Toombes! - krzyknął Head. - Czysto?

Nie odpowiedziała i nie odwróciła się.

- Hej!

Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Head ruszył, żeby okrążyć samochód od przodu i dołączyć do partnerki. Razem z Jimmym stanęli przy drzwiach pasażera.

Czas się zatrzymał.

Jerry Head stał i wpatrywał się w ziemię przy samym wozie. Wpatrywał się w przesiąknięty krwią grunt. Wpatrywał się w ciała kilku ptaków rozerwanych na strzępy śrutówką. I w człowieka, który tam leżał.

Domyślał się, że to był człowiek.

Kiedyś.

Już nie był. Teraz... nie dało się tego opisać.

Head poczuł, że jego mózg przestaje normalnie pracować, a gdzieś z boku Jimmy Castle wymiotuje.

3.

Terry stał u boku Gusa, gdy ten wydzwaniał do kolejnych byłych policjantów, i wsłuchiwał się w jego błagania, przekonywania, trele, zaklęcia i nawet groźby, kiedy próbował szantażem zmusić kogoś z szanowanych obywateli miasta do wstąpienia na jeden wieczór do policji. W innych warunkach ta sytuacja by go bawiła, jednak dziś nic nie wyglądało zabawnie. Gus pocił się, a Terry czuł, że jego skóra powoli staje się wilgotna. Odwrócił się i przeszedł przez biuro, kierując się do detektywa Ferro i jego pomocnika, detektywa LaMastry. Znów stali nieco na uboczu pograżeni w burzliwej dyskusji.

Terry nie dołączył do nich, nawet nie zwolnił. Obszedł salę. Teoretycznie był najważniejszy w całym budynku. Jako burmistrz przewyższał rangą wszystkich lokalnych i przyjezdnych gliniarzy, ale mimo to czuł się jak dzieciak, który przyszedł ze swoim tatą do biura. Wszyscy gorączkowo pracowali, rozmawiali i mówili rzeczy, których nie rozumiał. Nie potrafił nikomu pomóc. Było to strasznie frustrujące, a co gorsza, poniżające.

Na biurku, które właśnie mijał, zadzwonił telefon. Terry rozejrzał się, czy ktoś odbierze. Nikt nawet nie spojrział, bo dźwięk ginał w kakofonii sztabu. Wzruszył ramionami i sięgnął po słuchawkę.

- Policja w Pine Deep - powiedział oficjalnym tonem.

- Terry? - zapytał ktoś.

Słyszał trzaski i stłumiony odległy głos. Miał wrażenie, że problem nie leży w linii, bo ta jest w porządku, ale w samym dźwięku głosu. W jego głębokości i echu, jakby rozmówca stał pustej piwnicy na końcu długiego korytarza.

- Halo? Kto mówi?
- Terry? - powtórzył głos. - Czy to ty, Terry?
- Kobieta. Raczej mała dziewczynka.
- Tak, tu burmistrz Terry Wolfe. Z kim rozmawiam?
- Terry... - powtórzył głos.
- Kto mówi? Proszę głośniej, bo nic nie słyszę!
- Terry, on wrócił! - Tym razem słowa były bardzo wyraźne.
- Słucham? Kto wrócił? Kto mówi?
- Terry, musisz coś zrobić.
- Słuchaj - powiedział powoli i wyraźnie - dodzwoniłaś się na posterunek policji w Pine Deep. Czy jesteś ranna albo coś ci zagraża?
- Cisza i sapanie.
- Dziewczynko? Słyszysz mnie?
- Detektyw sierżant Ferro wpatrywał się w niego z drugiego końca sali.
- Dziewczynko, jesteś tam?
- Terry? - Głos był czysty, ale przepełniony strachem, i dochodził z bardzo daleka. - On wrócił, Terry. Wrócił ranić ludzi.
- Kto? Dziewczynko? Kogo ranić?
- Wrócił...
- Jak się nazywasz?
- Cisza.
- Jestem burmistrzem. Powiedz, proszę, jak się nazywasz i skąd dzwonicz.
- Cisza. W jego stronę szedł Gus Bernhardt, marszcząc masywne czoło.
- Musisz go powstrzymać! - pisnął głosik.
- Skąd dzwonicz, dziewczynko? Dziewczynko? Halo? - Nie przestawał pytać o to kim jest, jak się nazywa i skąd dzwoni, ale dźwięk w słuchawce się zmienił. Teraz panowała w niej cisza.
- Gus wyjął słuchawkę z jego ręki i przyłożył do ucha. A potem odłożył na widelki.
- O co chodzi?
- Dziwaczny telefon. - Terry pokręcił głową i podrapał się po gęstej brodzie. - Jakiś dzieciak. - Znał ten głos, ale nie odważył się powiedzieć tego głośno. Jego ręka mimowolnie powędrowała do kieszeni, w której trzymał xanax i pozostałe leki.
- Słyszałeś przez telefon dzieciaka? - Gus się uśmiechał.
- Tak. Mówiła coś o...
- Sekundka, Terry, poczekaj. Wyjaśnijmy coś sobie... Ktoś zadzwonił na ten numer, ty odebrałaś i usłyszałaś dziewczynkę, tak?
- Tak, dziecko.
- Przez ten telefon?

- Nie, do cholery, przez dwa inne. - Terry był wkurzony. - Ogłuchłeś, Gus? Słyszałeś przecież, że z nią rozmawiałem.

- Słuch mam w porządku, ale jeśli odebrałeś telefon na tej linii i z kimś rozmawiałeś, to znaczy, że ty masz najlepsze uszy w całym cywilizowanym świecie.

- O czym, do cholery, gadasz?

Gus nie przestawał się uśmiechać. Złapał za kabel, który wisiał z tyłu urządzenia, i zaczął go podnosić z podłogi.

- Od kiedy zmniejszyliśmy liczbę etatów, nie potrzebujemy tyłu telefonów. Te tutaj nie są używane, więc zostały odłączone.

- Ale nie ten. Chryste Panie, przecież właśnie rozmawiałem...

Głos uwiązał Terry'emu w gardle, gdy szeryf podetknął mu pod nos odłączoną wtyczkę. Nie uwierzył. Schylił się, odsunął kosz na śmieci i zajrzał pod biurko. Nie znalazł gniazdka. Wyprostował się powoli i spojrzął na Gusa.

- Nie mógł być podłączony. Kabel wetknęliśmy za biurko, żeby lepiej wyglądało - wyjaśnił szeryf.

- Gus, przecież nie zwariowałem... usłyszałem dzwonek, odebrałem i rozmawiałem z tym dzieciakiem.

Szeryf wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, a potem wzruszył ramionami.

- Co chcesz ode mnie usłyszeć?

Terry wyrwał wtyczkę z rąk policjanta i popatrzył na nią pustym wzrokiem. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Słyszał już ten głos. Jej głos.

Głos Mandy.

Wszystko zawirowało i gdyby nie słowa sierżanta Ferro, Terry odwróciłby się i wybiegł.

- Mamy miejsce wypadku! - krzyknął głośno policjant. - Znaleźli coś!

4.

- Hej, Boyd! Ruszaj dupę! - krzyknął Ruger, kiedy minęli zakręt i zbliżali się do stracha na wróble.

Córka i ojciec stanęli, trzymając między sobą białe kuchenne drzwi. Val Wpatrywała się w liczne kałuże krwi, które połyskiwały w ciemności jak ciemne plamy oleju silnikowego. Stary Guthrie skupił wzrok na żerdzi stracha na wróble, która była poznaczona krwawymi odciskami rąk do wysokości butów kukły.

Karl Ruger stał na skraju pola. Z jego ust zniknął charakterystyczny uśmiezek.

- Tyle krwi... - szepnęła Val.

Ruger powoli się zmieniał. Najpierw na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia i niedowierzania, ale zaraz ustąpił miejsca bezgranicznej wściekłości porównywalnej ze sztormem na morzu. Z jego oczu sypały się iskry, a wąskie wargi odsłaniały zaciśnięte białe zęby. Węszył jak wilk przegryzający gardło ofiary, a źrenice zwały się do rozmiarów łebków od szpilki. A potem wybuchnął.

- Boyd! - ryknął, a jego głos przetoczył się nad polem jak grzmot. - Boyd!

Imię kompana zamieniło się w jego ustach we wściekły ryk rozpacz i furii, w warkot i bulgot, kiedy ruszył przed siebie, kopiąc wszystko, wyrывая pojedyncze rośliny... Przechylając się przez płot, szukał, szukał, szukał...

Boyd zniknął. Razem z nim zniknęły narkotyki i pieniądze.

Pozostała tylko krew.

Krew na pojedynczym pięćdziesięci dolarowym banknocie, który utknął przy samych butach stracha. Był tak lepki, że przykleił się i furkotał na wietrze.

Ruger wył z wściekłości. Padł na kolana i zaczął walić w ziemię latarką i kolbą pistoletu. Szkło pękło, żarówka błysnęła i wszystko skryła ciemność.

- Boyd - krzyczał. - Boyd, ty pieprzony sukinsynu!

Val puściła taczkę i przytuliła się do ojca. Razem zaczęli się cofać, byle znaleźć się jak najdalej furii i wściekłości tego szaleńca.

- Boyd! Gdzie są moje pieprzone pieniądze!

Odrzucił na bok rozbitą latarkę, zacisnął pięść i raz za razem zaczął nią uderzać w ziemię. Wściekłość napędzała jego ramię, dodawała mu mocy i prędkości. Ból rozrywanej i przecinanej skóry, kiedy trafiał w szkło zepsutej latarki, tylko go podkręcał. Nie przestawał podnosić i opuszczać pięści.

- Gdzie są moje przeklęte pieniądze, ty kupo gówna!

Silne podmuchy nadchodzącej burzy uniosły jego słowa do nieba. Henry złapał córkę za ramię, odwrócił ją twarzą do siebie i szeptem rozkazał:

- Wiejemy!

Nie dał jej czasu na sprzeciw, tylko mocno pchnął w stronę ścieżki, która wiodła do wyjazdu i dalej, do głównej drogi. Val potknęła się, niemal upadła, ale w następnym ułamku sekundy pochyliła się, obniżyła środek ciężkości jak zawodowa sprinterka i złapała równowagę. Wystrzeliła do przodu jak pocisk, wbijając stopy głęboko w wilgotną ziemię. Była tak prędką, że przebiegła ponad dwadzieścia pięć metrów, zanim Karl zorientował się, co się stało.

Stary Guthrie też nie marnował czasu. Wypchnął córkę w jedną stronę, a sam popędził w kierunku domu. Może i nie był już młody, ale w razie czego potrafił

biec, jakby gonił go sam diabeł. Co w tym przypadku było akurat prawdą.

Ruger potrzebował pełnych dwóch sekund, by zorientować się, co się święci. Wziął się w garść i błyskawicznie podjął decyzję, co robić z ptaszkami, które właśnie uciekały z jego klatki.

- Cholera - ryknął i zerwał się na równe nogi. Popatrzył za Val, ale jeszcze zanim ruszył, wiedział, że nie ma szans jej dogonić. Mijała właśnie najdalszy zakręt. Pędziła jak wiatr.

- Dziwka! - wrzasnął i się odwrócił. Obiema rękami uniósł broń i wycelował w plecy starego Guthriego. Seria błyskawic oświetliła mężczyznę, pokazując go w ostrym, elektrycznym świetle. Kiedy pociągał za spust, na jego ustach igrał charakterystyczny uśmiezek.

ROZDZIAŁ 14

1.

Terry Wolfe z pozostałymi policjantami dostał się na miejsce w mniej niż dziesięć minut. Pędzili najnowszym modelem forda, zostawiając Gusa i całą resztę miejscowych w pięcioletnich radiowozach daleko z tyłu. Terry siedział z tyłu, trzymając się rączki w drzwiach i oparcia fotela sierżanta Ferro. Twarz miał wykrzywioną strachem, ale jego zdecydowanie miało źródło w rozmowie telefonicznej. To nie mogła być Mandy, pomyślał, kurczowo czepiając się argumentu, że rzeczywistość to rzeczywistość i niezależnie o tego, co się dzieje i co sobie myślał, nie mógł słyszeć jej głosu. To przecież niemożliwe.

Samochód zatoczył się, poślizgnął, i popędził jak demoniczny wiatr. To go otrzeźwiło.

- Boże! - szepnął, kiedy wóz wziął kolejny zakręt na mniejszej ilości kół niż planował Henry Ford, a potem wylądował na wszystkich czterech i runął w dół wzniesienia. Minęli kolejny zakręt i w oddali zobaczyli migające czerwono-niebieskie koguty dwóch innych radiowozów. LaMastra przyspieszył na zjeździe, a potem zablokował koła, postawił auto bokiem i zatrzymał się w obłokach dymu i kawałków gumy.

- O mój Boże! - Terry z trudem łapał oddech, a palce wciąż miał zaciśnięte na fotelu. - Gdzie się pan tego nauczył?

LaMastra uśmiechnął się do niego we wstecznym lusterku.

- Stare filmy ze Steve'em McQueenem.

- Serce mi stanęło już kilka kilometrów temu - dodał Terry z uznaniem. Ferro wydawał się rozbawiony.

- Proszę wybaczyć detektywowi, on żyje tylko dla takich chwil.

- To właśnie robię w przerwach między normalnym życiem - zachichotał LaMastra i wyskoczył z wozu. Zaraz potem wysiadł sierżant Ferro, biorąc ze sobą dużą teczkę.

Terry powoli puścił oparcie siedzenia przed sobą i sięgnął do klamki. Wysiadł z takim samym uczuciem, z jakim opuszcza się wagonik kolejki górskiej. Zupełnie, jakby się bał, że nie będzie w stanie ustać na nogach.

Podbiegła do nich Rhoda Thomas. Była blada i zagubiona, w ręku trzymała wielką strzelbę.

Ferro nie czekał na żadne oficjalne formułki.

- Proszę powiedzieć, co się tu dzieje. Meldunki przez radio były trochę... nieskładne.

Rhoda spojrzała prosto w jego zimne oczy.

- Pozostała trójka wciąż jest przy wraku samochodu podejrzanych. Nie pozwolili mi nawet pójść popatrzeć.

- A to dlaczego? - zainteresował się LaMastra.

- Oficer Head powiedział, że mają tam jednego trupa.

- Aha. I?

- I nic więcej. - Rhoda oblizła usta. - Nie powiedzieli tego wprost, ale wyczułam, że chyba jest w nie najlepszym stanie. Ani słowa nie pisnęli na ten temat, ale kiedy wrócili z pierwszych oględzin, nie wyglądali za dobrze. No, sam pan rozumie... byli roztrzęsieni. A potem wszyscy się porzygali.

- Oj, proszę dać spokój! - LaMastra się roześmiał. - Jerry Head i Coralita Toombes? Nie wierzę.

Rhoda popatrzyła na niego. Ferro klepnął go w ramię.

- Chodź, pójdziemy sprawdzić.

- A ja? - zapytała Rhoda.

- Zostań tutaj. Stań przy radiu. Twój szef i dodatkowe jednostki są tuż za nami. Gdy przyjadą, wyślij ich do nas.

- Dobrze.

Ferro popatrzył na burmistrza.

- Chce pan iść z nami?

- Nieszczerze. - Ale i tak poszedł.

Gdy znaleźli się kilkanaście metrów od wraku, Ferro krzyknął na cały głos:

- Swoi!

- Jacy swoi? - zapytała ostro Toombes.

- Ferro, LaMastra i burmistrz Wolfe.
- Czysto. Prawie. Możecie iść.

Kiedy stanęli pośród połamanej kukurydzy, zobaczyli czarny samochód, przechylony, pokryty kawałkami roślin i krwią. Jimmy Castle siedział na ziemi, opierał się plecami o zderzak i palił papierosa. Nawet na nich nie spojrzął, za to trójka przybyłych wymieniła zdziwione spojrzenia. Okrążyli samochód, kierując się w stronę Heada i Toombes, którzy latarkami oświetlali im drogę. Strona wozu, po której leżało ciało, była skryta w cieniu.

Head zrobił krok do przodu, jakby chciał zastąpić im drogę, zanim zobaczą to, co leży z tyłu. Miał spiętą twarz i widać było, że walczy z mdłościami. Skóra z ciemnobrązowej zmieniała kolor na szaropopielaty, a na czole kroplił się pot. Przywitał się skinieniem głowy.

- Sir, miejsce zbrodni jest nienaruszone - oznajmił grobowym głosem. - Poza tym, panowie, zanim zobaczycie ten burdel, powinniście wziąć bardzo głęboki oddech. Jest naprawdę źle. To znaczy... jeszcze nie widziałem czegoś takiego. - Patrzył na nich twardymi oczami doświadczonego gliny. - Nigdy.

- Dobra, miejmy to za sobą - odezwał się ostro Ferro wkurzony melodramatycznym wstępem Heada.

Jeny skinął szybko głową i odsunął się na bok. Odwrócił się i uniósł latarkę, oświetlając bok wozu.

- O... - szepnął Ferro.
- ... mój... - jęknął LaMastra.
- ...Boże! - dokończył Terry.

Wolfe otarł pot z czoła i twarzy i spojrzął na detektywa, którego opalona twarz zrobiła się zielona. Ferro starał się wyglądać profesjonalnie i niewzruszenie, ale nad jego górną wargą perlily się wielkie krople potu. Head dołączył do Jimmy'ego Castle'a i palił papierosa z tyłu wozu, a Toombes wpatrywała się w księżyc, jakby nagle odkryła w sobie pasję do astronomii.

- Wyjmuj aparat - rzucił Ferro zachrypniętym głosem. - Nie mamy czasu, żeby czekać na techników. - Spojrzął w niebo. Ze wszystkich stron nadciągały chmury, a powietrze pachniało deszczem i ozonem. - Zaraz lunie i wszystko stracimy.

LaMastra nie odpowiedział, tylko ukląkł i położył płasko na ziemi dużą walizkę. Otworzył ją i wyjął z niej nowoczesny aparat cyfrowy z bardzo silnym fleszem. Upewnił się, że jest nastawiony na robienie zdjęć w złych warunkach.

- Zrób zdjęcia z całości. Plan ogólny.

- Uhm. - LaMastra nabrał powietrza, ale zrobił, co mu kazano. Ostrożnie zbliżył się do miejsca, gdzie leżały zwłoki, zatrzymał się niecałe trzy metry od auta i uniósł aparat. Patrzył przez wizjer, ale nie mógł... nie mógł się zmusić, żeby nacisnąć

migawkę. Stał i bezwiednie uderzał nerwowo palcem w obudowę.

- Vince! - Opuścił aparat i odwrócił się, słysząc miękki głos. Ferro nigdy jeszcze nie mówił do niego tak delikatnie. - Vince, jeśli nie chcesz tego robić...

LaMastra znów nabrał powietrza i wypuścił je przez nos.

- Nie, Frank, dam radę. To tylko... - Nie dokończył. Język, którym mówili, nie zawierał odpowiednich przymiotników oddających wygląd miejsca zbrodni.

Ferro pokiwał głową i klepnął go w ramię, by dodać mu otuchy. LaMastra jeszcze raz uniósł aparat, wciągnął powietrze, uspokoił oddech i zaczął dokumentować horror.

Błysk!

Tony Macchio, były przestępca. Były rzeźmieszek. Były cyngiel. Były reketer. Były kompan Karla Rugera. Tony Macchio, była istota ludzka.

Błysk!

Usta wykrzywione w niewyobrażalnym bólu i przerażeniu. Nie tylko bólu umierania, ale okrucieństwa ponad ludzką miarę.

Błysk!

Oczodoły pozbawione gałek ocznych. Rozmazane czerwone łyzy na białych policzkach. Oczodoły, przez które można było zobaczyć ciemną duszę tego człowieka, ciemność, której nie mogła rozświetlić poświata księżycy ani lampa błyskowa.

Błysk!

Klatka piersiowa rozerwana i pozbawiona sekretów, które kryła. Serce i płuca wyrwane.

Błysk!

Ręce oddzielone od ramion. Rozczapierzone palce konwulsyjnie zaciśnięte na progu samochodu. Ramiona pozbawione rąk, bezużytecznych, porzuconych na rozsypanych po ziemi flakach wyrwanych spod żołądka.

Błysk!

Nogi, złamane w kilku miejscach, wykręcone jak u szmacianej lalki.

Błysk!

Mięso wydarte, pocięte i pogryzione. Nie było kawałka skóry, który nie zostałby pokąsany, poszarpany czy w inny sposób zbezczeszczony. Destrukcja tak totalna, że tylko po dokładnym spisaniu i zbadaniu wszystkich znalezionych części będzie można stwierdzić, co jest czym w tej układance.

Błysk!

Błysk!

Błysk!

Lampa nie przestawała błyskać. Zdjęcie za zdjęciem rejestrowało kolejne ujęcia rzeźni. W końcu karta była pełna i migawka przestała reagować, jakby nie mogła znieść horroru, który dokumentowała.

Ferro znów podszedł do LaMastry i położył mu rękę na ramieniu.

- Dobra, Vince, w porządku. Dobra robota.

Detektyw opuścił aparat i pomyślał, że to niepojęte, żeby bezduszna maszyna mogła widzieć to wszystko i zapamiętać. Ukłękł i schował wielką lustrzaną do walizki.

- Wiesz, Frank, widziałem zdjęcia z latarni morskiej.

- Aha?

- Tam było dokładnie to samo. Ciało porozrywane na kawałki.

- Aha.

- Jakby to zrobiła wataha wilków, a nie jedna osoba.

Ferro wciągnął przez nos powietrze.

- Tak - potwierdził.

LaMastra rozejrzał się i usiadł na ziemi, nie zwracając uwagi na połamaną kukurydzę i zmiażdżone kaczany pod tyłkiem. Nie myślał też o Gusie Bernhardtcie, który nadszedł po cichu i rzuciwszy tylko jedno spojrzenie, popędził w kukurydzę. Przyciskał ręce do ust, żeby nie zarzygać miejsca zbrodni. W końcu odwrócił się i obojętnie wbił wzrok w plecy szeryfa.

Ferro po cichu zakładał lateksowe rękawiczki.

- Jeśli pogoda się utrzyma, technicy zdążą sprawdzić odciski palców. Jeśli nie, będziemy musieli... uratować, ile się da.

LaMastra westchnął i spojrzał na błyskawicę. Zaraz może zacząć padać, ale wiedział, że w całym niebie nie ma dość deszczu, żeby zmyć z ziemi te potworności.

Po kilku minutach dołączył do nich Terry Wolfe. Jego twarz miała kolor zsiadłego mleka. Stał tak, by samochód znajdował się za jego plecami. Kilka razy próbował coś powiedzieć, ale głos go zawodził. Potem odetchnął głęboko kilka razy i wyduśił:

- Czy to jeden z tych, których szukamy?

Ferro prychnął.

- Na pewno bandziory jechały tym samochodem. W bagażniku zostało sporo koki i pieniędzy. Natomiast jeśli chodzi o identyfikację zwłok... to patolog będzie musiał odpowiedzieć na to pytanie. Jak sam pan widzi... albo lepiej nie, proszę nie odwracać głowy... w każdym razie nie mamy dość pozostałości twarzy, żeby ustalić tożsamość. Opuszki palców zostały... eee... przeżute, więc nici z odcisków.

Terry nie dosłuchał do końca. Popędził w kukurydzę i przyciskając rękę do ust, padł na kolana koło Gusa. Na wyścigi charczeli i pluli. Ferro próbował uśmiechać się z wyższością, ale uśmiech nic a nic mu nie smakował, więc szybko go wypłuł.

Po chwili Terry otarł usta i wrócił do sierżanta. Był jeszcze bledszy, jeśli to w ogóle możliwe.

- Burmistrzu, dobrze się pan czuje? - zapytał Ferro.

- A jak pan myśli? - Nabrał powietrza. - Zakładacie, że zrobił to Karl?
 - Mam taką nadzieję.
- To zbiło Terry'ego z tropu.
- Ma pan nadzieję?
 - No tak, mam nadzieję, panie burmistrzu. Bo jeśli to nie on, to by oznaczało, że ma pan w swoim miasteczku na wolności jeszcze jednego nieobliczalnego psychopatę mordującego ludzi.
 - O nie...
 - Niech się pan nie martwi. Wie pan, jakie jest prawdopodobieństwo?

2.

Crow zamknął klapkę telefonu i wsunął go do kieszeni spodni. Zaczynał się niepokoić. Już dwa razy dzwonił do Val, a ona nie odbierała. Potem zadzwonił na domowy i też nikt nie podniósł słuchawki. Chciał jak najszybciej skończyć i pojechać do swojej dziewczyny.

Firmowe quady były dzielnymi maszynami firmy Kawasaki o wielkich oponach i motocyklowych kierownicach. Ilekroć Crow dosiadał jednego z nich, czuł się jak na ścigaczu z *Powrotu Jedi*. Kopnął starter i uruchomił silnik, a potem dodał gazu i w chmurze pyłu wyskoczył naprzód.

- Hej, hej! - krzyknął. - Trzymajcie się!

Barney i Mike patrzyli, jak odjeżdża, stojąc obok siebie: osiemnastolatek z plastikowym nożem sterującym z piersi i czternastolatek ze złamanym żebrem i wyraźnymi śladami spotkania z ciemnością, która chciała pozbawić go życia. Patrzyli, aż tylne światła maszyny zniknęły za zakrętem.

- Crow to niezły wariat - stwierdził Barney, drapiąc się w taśmę klejącą przytrzymującą nóż.

Żelazny Mike pomyślał przez chwilę i odrzekł:

- Tak, jest w sam raz odjechany.

Kilka minut po tym, jak Crow zniknął w ciemnościach, parking oświetliły reflektory dużego kombi, które wtoczyło się do zatoczki i zatrzymało. Mike zawahał się na moment, ale szybko wykrzywił buzię w uśmiechu i uniósł rękę, by pomachać.

Otworzyły się drzwi od strony kierowcy i wysiadł Vic Wingate. Był potężnym mężczyzną, miał ponad metr osiemdziesiąt, masywne mięśnie, krótkie, po wojskowemu obcięte włosy i kanciastą szczękę komandosa. Szczęka była zaciśnięta, kiedy szedł w stronę pasierba.

- Cześć, Vic! - Mike starał się, by jego głos brzmiał radośnie. - Powiedzieli ci, co się stało? Mój rower jest...

Vic go uderzył.

To był błyskawiczny i ogłuszający cios. Nie uderzenie dłonią, ale walnięcie twardą pięścią. Trafił go w brzuch, miażdżąc wszystko, co znajdowało się między koszulką, a kręgosłupem. Chłopak jęknął zaskoczony. Siła, z jaką oberwał, wycisnęła z niego każdą najmniejszą odrobinę tlenu. Nie był nawet w stanie krzyknąć. Ból był gorszy niż wszystko, co do tej pory przeżył. Gorszy niż złamane żebro. Gorszy niż siniaki i obicia po wypadnięciu z drogi. Gorszy niż ból po jakimkolwiek wcześniejszym laniu. Poza tym Vic po raz pierwszy uderzył go pięścią. Wcześniej owszem, dostawał, ale zawsze otwartą dłonią. Teraz cios był tak potężny, tak niszczący i tak zaskakujący, że chłopak poczuł, jakby całe jego ciało w ułamku sekundy zamieniło się w kłębek przeszywającego bólu. Zwinął się na ziemi w pozycji embrionalnej i próbował złapać oddech.

- Zaraz! Proszę pana! - zaczął krzyżeć Barney i ruszył do przodu. Vic spojrział na niego i wycelował palec w czubek jego nosa. Palec był grubości stalowego przecinaka i zatrzymał nastolatka w pół kroku.

- Chciałeś coś powiedzieć, gówniarzu?

Barney nie mógł wydusić słowa. Szok sparaliżował jego mięśnie, język i wolę. Z przerażeniem obserwował, jak Vic szarpnięciem otwiera tylne drzwi wozu, potem schyla się, łapie Mike'a za pasek od spodni i włosy, podnosi z ziemi i dosłownie wrzuca do środka. Chłopak przeleciał przez całe tylne siedzenie i wyrznął w drzwi po przeciwnej stronie.

Matka siedziała przez cały czas na siedzeniu pasażera, ze wzrokiem wbitym w wykładzinę. Barney próbował nawiązać z nią kontakt wzrokowy, poprosić o pomoc, ale na próżno. Żałował, że Crow już odjechał, choć nie miał pojęcia, co jego szef mógłby zrobić, mając przed sobą taką górę mięśni.

- Gdzie jest pieprzony rower? - Vic zrobił krok w stronę Barneya.

Chłopak nie był w stanie mówić, więc tylko wskazał palcem. Vic wyciągnął rower z bagażnika, ale nie zadał sobie trudu zamknięcia kłapy. Wepchnął go z tyłu do swojego kombi, zatrzasnął kłapę i usiadł za kierownicą. Zanim zamknął drzwi, spojrział groźnie na chłopaka na parkingu.

- To jest sprawa rodzinna, rozumiemy się?

Barney kiwnął głową.

- To dobrze. Więc buzia na kłódkę, bo coś innego może ci wystawać z piersi, a nie plastikowa zabawka. A teraz zjeżdż mi z drogi.

Barney odsunął się i w niemym przerażaniu obserwował, jak Vic zawraca i odjeżdża, obsypując go żwirem przyskakującym spod kół.

3.

Crow podskakiwał, jadąc ścieżką, którą znał niemal na pamięć. „Nawiedzone Przejazdźki” obejmowały ogromny obszar, wchodzący w skład trzech farm. Dwie z

nich stały się już własnością Terry'ego, a trzecią dzierżawił na potrzeby swojego parku rozrywki. Teren miał kształt podkowy zawiniętej dookoła północnego końca kampusu Pineland College. Z drugiej strony graniczył z wielkim parkiem narodowym. Spora część pól obsadzona była dyniami, kukurydzą i pszenicą. Właśnie trwały żniwa, więc większość upraw została już zebrana, choć część pól zostawiono na później. Wielu farmerów dzieliło zbiory na wcześniejsze i późniejsze, żeby zawsze sprzedawać świeży towar. W ten sposób lokalne rynki aż do początku zimy oferowały świeże warzywa i owoce.

Crow kochał to miejsce. Mimo że sam zaprojektował każdy kawałek trasy i znał wszystkie teatralne sztuczki, uwielbiał uczucie nienaturalnej grozy, która towarzyszyła mu za każdym razem, gdy przemierzał ciemne ścieżki trasy. Dla hecy spędził kiedyś kilka nocy jako jeden z potworów, strasząc klientów, którzy za możliwość bycia straszonymi zapłacili po dziesięć dolarów od głowy.

Trasa „Przejażdżek” była tak zaprojektowana, by przechodziła przez wszystkie pułapki po kolei. Pułapkami Crow nazywał miejsca, w których czekali przebrani pracownicy i wyskakiwali zgodnie z rozpisany harmonogramem lub według własnej inwencji. Niektóre z pułapek nie polegały na prostym wrzasku „Buu!” - część była o wiele bardziej skomplikowana. Na gości czekały scenki, na przykład proces czarownicy, która, skazana na śmierć, zostawała stracona przez łamanie kołem albo przywiązywana do krzesła i topiona. Było też miejsce kaźni, w którym niewinne ofiary stały w kolejce przy pniaku kata, gdzie czekał je topór i skrócenie o głowę. Większość pułapek miała straszyć przez zaskoczenie. Były albo obsadzone przez pracowników, albo wyposażone w skomplikowane mechanizmy. W obu przypadkach miały zrobić coś, żeby zaskoczyć klientów. Crow opracował też kilka pułapek interaktywnych - w jednej z nich potwór z *Teksańskiej masakry piłą mechaniczną* wskakiwał na gości i porykiwał silnikiem piły. Łańcuch na narzędziu był pozbawiony ostrzy, więc kiedy rzucał się, żeby przeciąć burty przyczepy i dostać się do środka, robił tylko hałas, ale żadnej szkody. Crow nie był zadowolony z jej pierwotnej wersji, więc wymyślił paczuski z trocinami, które piła rozrywała i wyrzucała w powietrze. Atrakcja natychmiast zyskała na realizmie i można się było obawiać, że ostrze zaraz przejdzie na wylot i rozczłonkuje kogoś z gości.

W tym roku absolutnym hitem była Dolina Żywych Trupów. Zupełnie nowe miejsce i największa duma Malcolma. Pokonawszy połowę trasy, traktor wjeżdżał w głębokie błoto - takie w każdym razie miało sprawiać wrażenie, bo naprawdę była to niezbyt gruba warstwa utrzymywana w wilgoci przez automatyczne spryskiwacze. Po ciemku jednak wyglądała bardzo prawdziwie i każdy, kto siedział na przyczepie, był przekonany, że znalazł się w pułapce. Coop, albo inny kierowca, wyrzucał wtedy bieg i przegazowywał silnik, głośno przeklinając (oczywiście bez

wulgaryzmów). Gdy kierowca się miotał, żeby uwolnić pojazd, z ciemności zaczynały wynurzać się mroczne postacie i powoli, bardzo powoli podchodzić do przyczepy. Miały białe twarze, rozkładające się ciała, bulgotały i kołysały się na boki z wdziękiem świeżo wskrzeszonych zwłok. Dzieciaki na przyczepie prawie rzucały się na Coopa, żądając, by jak najszybciej ruszał, zanim otoczy ich legion zombie.

Tak, wycucie czasu jest najważniejsze. Coop miał uwolnić się z pułapki o chwilę za późno, kiedy żywe trupy znajdowały się już przy samej przyczepie. Porywały jedną osobę i zaciągały ją w krzaki. Krzyki niewinnej ofiary były naprawdę przerażające. Traktor ruszał, a z przyczepy widać było dokładnie zbiegowisko zjaw. Niektóre trzymały w rękach wyrwaną nogę, inne obgryzały zakrwawioną rękę, a niektóre żuły długie jelita.

Ta pułapka oczywiście była dokładnie wyreżyserowana i obliczona na osiągnięcie konkretnego efektu. Szczególnie dobrze działała na dzieciaki, które nigdy wcześniej nie były w takim miejscu. Zamierały i siedziały bez ruchu, nie ważąc się nawet pisać. Ale tylko do chwili, kiedy kolejne zjawy ruszały w pogoń za traktorem. Ofiara była oczywiście na etacie w „Przejażdżkach”, a dzięki opracowanemu starannie harmonogramowi nigdy jeszcze nie doszło do rozpoznania przynęty przez klientów, którzy odwiedzali ich po kilka razy.

W „Przejażdżkach” było wiele atrakcji i pułapek, ale Dolina Żywych Trupów była tegoroczną miss. Opisali ją w każdej gazecie na całym Wschodnim Wybrzeżu i w branżowych pismach dla fanów science fiction. Crow okazał się geniuszem, jeśli chodzi o projektowanie pułapek budzących najprawdziwsze przerażenie. Zwariowanym geniuszem o ogromnych pokładach czarnego humoru.

Teraz ten zwariowany geniusz pędził quadem wąską ciemną ścieżką. Zatrzymywał się co pewien czas, przywoływał pracowników i informował ich o zamknięciu parku. Zjawę z Czarnej Laguny poprosił, żeby wracała przez bagna i ściągnęła po drodze potwory urzędujące na moczarach. Wilkołaki z lasu też miały zebrać kilka mniejszych stworzeń i jak najszybciej zjawić się w bazie. Kuba Rozpruwacz dostał polecenie powrotu na quadzie i zawiadomienia o zmianie planów wampirów i strzyg.

Dziesięć minut później Crow dogonił traktor. Trafił na moment, w którym Henry Pitts był wywlekany przez barierki w ciemność. Crow patrzył przez chwilę, jak rozwija się akcja, a potem zatrąbił i zamrugał światłami. Zjawy wyprostowały się zaskoczone, a Pitts nagle ozdrowiał i usiadł, choć z rozerwanego brzucha zwisały mu flaki.

Coop zgasił silnik traktora i Dolina Żywych Trupów pogrążyła się w ciszy. Przerzywały ją tylko podekscytowane głosy dochodzące z przyczepy.

Malcolm zeskoczył z siodełka i podszedł do kierowcy.

- Hej... co się dzieje? - zapytał Coop. Był mężczyzną w średnim wieku, z krzywą szczęką, a wyraz jego twarzy świadczył o bezbrzeżnej głupocie.

Crow odwrócił się do zdenerwowanych i lekko przestraszonych turystów.

- Bardzo mi przykro, ale mam złe wiadomości. Z przyczyn, na które nie mamy wpływu, jesteśmy zmuszeni przerwać trasę i zamknąć „Nawiedzone Przejazdźki”. - Musiał podnieść głos, żeby przebić się przez szum podenerwowanych krzyków. - Każdy z państwa otrzyma pełen zwrot za bilet, plus kupon uprawniający do darmowego wejścia w dowolnie wybranym terminie. Pan Wolfe z żalem musiał podjąć taką decyzję, ale nie miał innego wyjścia.

- A co się stało? - zapytał ktoś w ciemnościach.

Crow całą drogę pracował nad formułką, która będzie jednocześnie przekonująca i nie wzbudzi paniki.

- Niecały kilometr dalej jest most. Został podmyty i nie utrzyma ciężaru traktora. Musicie państwo zawrócić i wrócić na farmę tą samą drogą. Nie mamy możliwości kontynuowania jazdy bez narażania was na ryzyko. Jestem przekonany, że państwo nas zrozumieją.

Sądząc po okrzykach, przekleństwach i jękach zawodu, nie tylko nie zrozumieli, ale byli bardzo niezadowoleni. Na szczęście byli też zrezygnowani, bo Crow mówił na tyle pewnym głosem, że nie pozostawił miejsca na kłótnie.

Nad ich głowami przetoczył się grzmot, a niebo rozświetliła błyskawica. Spadło też kilka kropel deszczu - niewiele, ale wystarczająco, by ostudzić najbardziej zapalczywe głowy.

Malcolm zajął miejsce kierowcy, sprawnie wyprowadził traktor z błota, skręcił w pobliską przecinkę i zawrócił. Słyszał narzekania dobiegające z tyłu, jednak nikt nie odważył się otwarcie zaprotestować. Zjawy i zakrwawiona ofiara czekały, aż przyczepa się zatrzyma. Kiedy wszyscy wsiedli, Crow ruszył, a Coop podążył za nim na quadzie.

Odważnie dodawał gazu i wkrótce pędzili polnymi polami z całkiem przyzwoitą prędkością. Zwykle przejazdka trasą odbywała się w tempie niewiele szybszym niż krok piechura, by umożliwić ukrytym gdzieniedzie potworom wybranie najwłaściwszego momentu na atak. Teraz pędzili pięćdziesiąt na godzinę, a kierowca zwalniał tylko po to, żeby oszczędzić nocne stworzenia, które spacerowały po drodze.

Zadanie, ba, święta misja zlecona mu przez Terry'ego Wolfa została wykonana i zakończyła się sukcesem tak szybko i tak łatwo, że Crow czuł się niemal zawiedziony. Nie, żeby marzyły mu się jakieś kłopoty - co to, to nie. Ale myśl o prawdziwych potworach, które krążą gdzieś tam, w ciemnościach nocy wokół miasteczka, wypełniała jego żyły adrenaliną. Nie mógł usiedzieć na miejscu.

W biurze nadzorował wypłacanie zwrotów za bilety i wydawanie darmowych kuponów. Znalazł też chwilę czasu, by wziąć Coopa i kilku najstarszych pracowników

i wyjaśnić im prawdziwy powód zamknięcia parku na noc. Na wszystkich jego opowieść wywarła duże wrażenie.

- Dobra - zakończył. - Plan jest zatem taki. Rigger, ty i Bailey odprowadzacie klientów do samochodów. Sprzedajcie im standardową formułkę o zamkniętych oknach, zablokowanych drzwiach, pasach i unikaniu autostopowiczów. Tom i Del, wy z latarkami wyprowadzacie samochody na jezdnię i to na właściwy pas. Nie chcę powtórki z zeszłego roku - żadnych wgniecionych błotników i zderzaków, tak? Reszta zamyka budynki i zgłasza się do Coopa. Coop, ty natomiast masz zrobić spis pracowników. Nie, nie patrz tak na mnie. Przed opuszczeniem terenu masz mieć nazwiska wszystkich obecnych odhaczone na kartce. Nie poruszamy się pojedynczo, tylko dwójkami. Pod żadnym pozorem nie pozwalamy kumpłowi złamać tej reguły. Jeśli chce się odlać, idziemy z nim i mu otrząsamy. Nikt, ale to absolutnie nikt nie jedzie sam do domu. Jeśli przyjechaliście osobnymi wozami, jedziecie jeden za drugim i odprowadzacie się nawzajem. Ci goście są naprawdę niebezpieczni, więc bardzo was proszę o zachowanie ostrożności. Dobra, teraz zamykamy i spadamy stąd.

Zaczęli realizować jego plan.

Crow w tym czasie poszedł do biura, gdzie Barney liczył utarg.

- Jak tam Mike Sweeney?

Kiedy chłopak podniósł wzrok, Crow natychmiast zauważył szok w jego oczach.

- Jego starzy przyjechali zaraz po tym, jak zniknąłeś.

Crow przyjrzał mu się badawczo.

- Mów, co się stało.

Barney rozejrzał się, czy nikt nie może ich podsłuchać, i szeptem zdał relację.

Malcolm patrzył na niego w milczeniu z zaciśniętymi ustami i złymi oczami.

Barney pokręcił głową.

- A ludzie przyjeżdżają tutaj i płacą, żeby oglądać potwory.

ROZDZIAŁ 15

1.

Vic zatrzymał się na podjeździe przed domem i zgasił silnik. Jedynym dźwiękiem był teraz jego miarowy oddech. Wciągał i wydychał powietrze przez nos

jak wściekły byk. Lois Wingate zasłaniała dłonią usta i ostentacyjnie odwracała głowę, wyglądając przez boczną szybę. W rzeczywistości na nic nie patrzyła. Od kiedy zatrzymali się przy „Przejażdżkach”, nie odezwała się słowem.

Na tylnej kanapie leżał zwinięty Mike i wpatrywał się w sufit. Czuł wszechogarniający ból.

Jeszcze nigdy w życiu nie został uderzony z tak wielką siłą. Wiedział, że zapamięta to do końca życia. Vic po raz pierwszy uderzył go zaciśniętą pięścią i ta świadomość była znacznie trudniejsza do zaakceptowania niż ból, który był jej konsekwencją. Przychodziła do niego znikąd i wypełniała mu głowę jaskrawobiałą eksplozją, spychając w cień wszystkie pozostałe myśli. Wcześniej dostawał lanie, ale tylko otwartą dłonią albo pasem. Nigdy pięścią. Vic zepchnął go w ten sposób jeszcze niżej, w jeszcze głębszą ciemność. Wiedział, że od teraz lanie będzie inne. Vic przekroczył pewną granicę i nie było już odwrotu. Leżąc na tylnej kanapie, Mike widział to z przerażającą klarownością.

Vic wysiadł, zatrzasnął drzwi i szarpnięciem otworzył tylne.

- Wysiadaj. - W jego głosie była zaskakująca miękkość, która na chwilę obudziła w Mike'u optymizm. Może tamten cios to było wszystko, co na niego czekało? Może to miało wystarczyć?

Ostrożnie, jakby żebra i żołądek miał zrobione z okruszków szkła, chłopak wysiadł z samochodu. Odsunął się, kiedy ojczym wziął zamach i zatrzasnął drzwi.

- Do domu.

Mike szybko wszedł do środka i ruszył w stronę schodów, kiedy usłyszał za sobą głos Vica:

- A ty dokąd?

Świat się zatrzymał. Gdyby Mike miał przycisk, którym mógłby wszystko zakończyć w tej jednej, jedynej sekundzie, nie zawahałby się. Jedną rękę trzymał na poręczy, drugą na ścianie. W żołądku czuł ból znacznie większy niż jednostajne klucie połamanego żebra.

Wtedy odezwała się jego matka. Mówiła cichym i drżącym głosem, ale mówiła.

- Daj spokój, Vic. Nie sądzisz, że ma już dość?

Następna chwila była najdłuższą w całym jego młodym życiu. Czekał na to, co odpowie ojczym. Odwrócił się i spojrzał na Vica, który stał w połowie drogi między nim a matką. Mężczyzna uniósł palec w taki sam sposób, jak na parkingu przy „Przejażdżkach”, kiedy groził Barneyowi.

- Jeśli jeszcze raz otworzysz buzię, choćby jeden jedyny raz, to tak ci wpierdole, że przez miesiąc będziesz sikała krwią. I wiesz, że nie blefuję, Lois.

Matka zbladła i zamknęła usta. Weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi, minęła Vica i uciekła do salonu. Przechodząc, sięgnęła po butelkę wódki. Chwilę później Mike usłyszał włączony telewizor.

Chłopak spojrział na uśmiechniętego ojczyma. Potężna, nieprzejednana postać u podnóża schodów.

- Chodź na dół. Natychmiast.

Mike gorączkowo zastanawiał się, jakie ma szanse. Być może udałoby mu się nawet zwać do swojego pokoju i zamknąć drzwi, zanim ojczym go dopadnie - tylko co potem? Vic bez trudu kopniakiem rozwali zamek i wtedy jego rozpaczliwa próba ratowania się podzielała jak kanister benzyny wrzucony do ogniska.

Jego nogi same się poruszyły, zanim mózg zdał sobie sprawę, że się poddał. Zszedł na dół i ruszył do salonu.

Vic ani na chwilę nie przestał się uśmiechać, kiedy uderzeniami i kopniakami wytarł Mikiem wszystkie podłogi w domu.

Mike niewiele zapamiętał. Być może raz czy dwa razy stracił przytomność, a może po prostu mózg nie może pomieścić niczego powyżej pewnej granicy? Duże fragmenty tego, co się wydarzyło, zniknęły, ewentualnie pojawiały się jako rozmazane obrazy, które nie do końca rozumiał - uniesione ręce, mocne słowa, uśmiech Vica, który po każdym uderzeniu przyglądał mu się, jakby czekał, aż ciało zacznie pękać.

Kiedy zaczęło się lanie, Mike wił się, błagał i skomlał... i płakał. Zazwyczaj łzy przerywały bicie, jakby były nagrodą dla Vica za włożony trud. Dziś nic nie dały, a jeśli, to tylko tyle, że kolejne razy były mocniejsze.

Lanie rozpoczęło się w przedpokoju, lecz kiedy mózg chłopaka zaczął działać na tyle, by zrozumieć obrazy, które widzi, zorientował się, że jest w kuchni. Leżał na podłodze wciśnięty w kąt. Nie pamiętał, jak się tam znalazł. Wczołgał się w wąską przerwę między lodówką i kredensem. Osłaniał rękami twarz. Vic stał nad nim. Oddychał ciężko i miał mokrą od potu twarz.

- Ty mały kawałku gówna! Czy ty sobie zdajesz sprawę, ile ja mam przez ciebie problemów? Wyobrażasz sobie, jaki mi przynosisz wstyd? Żeby mnie po ciebie wzywali? Wyobrażasz sobie, kurwa, ile wstydu musiałem się najeść, kiedy pieprzony burmistrz do mnie dzwonił, żebym cię odebrał? Przez takie coś twoja matka i ja wyglądamy jak źli rodzice. Pozwalamy ci się włóczyć po nocy! Kurwa, czy zdajesz sobie sprawę, że z tobą są same problemy, zasrańcu?

- Proszę... - wycharczał Mike. Z jego oczu płynęły łzy.

- I teraz jeszcze, głupia cipo, będziesz mi tutaj ryczał? Ja przecież jeszcze nie zacząłem cię bić!

I tak w kółko. Wywłókł go z kąta i przesuwał po podłodze kopniakami i uderzeniami, aż w świetle Mike'a nie został nawet kawałek miejsca na cokolwiek poza razami.

Ale wtedy coś się wydarzyło.

W jednej sekundzie istniał tylko ból, strach i szok, a w następnej jakby ktoś wduślił przycisk w pilocie i wszystko zniknęło. Umysł Mike'a wyszedł gdzieś poza ciało. Chłopak nigdy wcześniej nie czuł czegoś takiego, a co najdziwniejsze, był zupełnie świadomy. Czuł fizyczną zmianę, jaka w nim zaszła, kiedy jego świadomość przesunęła się w inny wymiar istnienia. Nie był daleko od swojego ciała, na które wciąż spadały straszne razy. Uczucie było podobne do opisywanych w gazetach przypadków śmierci klinicznej i wyjścia poza ciało. Widział Vica, jak pastwi się nad ciałem, które było jego. Tyle że już w nim nie przebywał. Żaden cios już się nie liczył. Nie czuł ich - a jeśli nawet, nie dbał o to. Kiedy umęczony organizm otrzymywał kolejne uderzenie, odczuwał coś dziwnego, coś na kształt wibracji. Czuł drgania od ciosów, ale nie towarzyszył im ból. Jak basy z głośników telewizora, kiedy nie ma już dźwięku.

W pierwszej chwili chłopak wpadł w panikę, że właśnie umiera. Vic, bijąc na oślep, mógł przecież spowodować jakieś poważne uszkodzenia. Coś pękło, coś się złamało i ciało powoli umierało, a dusza to obserwowała. Czy to może być śmierć kliniczna? Jeśli tak, to dookoła brakuje zgrai lekarzy z defibrylatorem.

Strach odszedł, ale chłopak czuł, że jego duch najwyraźniej nie potrafi długo utrzymać tak intensywnego uczucia. A może emocje to tylko procesy chemiczne zachodzące w naszych mózgach? Kiedyś tak właśnie powiedział jeden z jego nauczycieli. Będąc poza ciałem, nie mógł wymagać, by w bezcielesnym bycie zachodziły jakiegokolwiek reakcje chemiczne.

Mike poczuł, że panika odpływa, a na jej miejsce pojawia się spokój. A może to nie spokój, tylko brak zainteresowania?

Obserwował ojczyrna i przyglądał się jego wielkim mięśniom, jak naprężają się i rozprężają. Widział, jak się przykłada do każdego uderzenia. Był zafascynowany. Miał wrażenie, że patrzy na maszynę, z którą nie łączy go żaden związek emocjonalny. Ręce unosiły się nad głowę i spadały, czy to jako uderzenia otwartą dłonią, czy jako ciosy pięściami.

Zobaczył coś jeszcze. Zobaczył twarz Vica, która robiła się coraz bardziej czerwona. Widział pot tryskający z każdego pora jego ciała, widział ręce, które unosiły się, za każdym razem coraz bardziej czerwone, kiedy tylko trafiły na łokieć chłopca, kolano czy twarde czoło.

To było bardzo, ale to bardzo interesujące. Jak objawienie, które zamieniło mózg Mike'a w promień lasera przechodzący przez pryzmat. Mógł myśleć. Rozumiał wszystko i potrafił uzasadnić, a jego głowa pękała nowymi możliwościami.

Spojrzał na Vica i zobaczył go wyraźniej niż kiedykolwiek. Po raz pierwszy w życiu zobaczył prawdziwego ojczyma - człowieka. Człowieka. To było jak iluminacja, bo jeszcze nigdy nie myślał o ojczymie jak o człowieku. To była nowa jakość, coś, co z całą pewnością będzie można wykorzystać. Mike, mimo że pozbawiony ciała, uśmiechał się. Jego duch się uśmiechał.

Okazuje się, że Vic jest tylko człowiekiem. Ma ciało, krew i oddycha. Mięso, mięśnie i kości. Można go zmęczyć, można zabić. Jest człowiekiem, więc nie może być jednocześnie niezniszczalny i nie do pokonania.

Do dziś Mike żył w przekonaniu, że oba te przymiotniki odnoszą się do Vica - tymczasem on jest tylko człowiekiem.

Pomimo braku reakcji chemicznych, bezcielesne istnienie Mike'a było podeksytowane tą wiedzą. Bez dwóch zdań, to najważniejsza informacja dnia - informacja, na którą dotychczas nie zwrócił uwagi. Nigdy by się tego nie spodziewał.

Vic jest człowiekiem.

Zastanowił się. Ojczym ma czterdzieści siedem lat, a więc jest w średnim wieku. Nieważne, ile ma siły, i nieważne, jak dużo trenuje, jest w średnim wieku i każdy kolejny dzień oddala go od czasów, kiedy był młody i najsilniejszy. Z drugiej strony, Mike ma czternaście lat. Za dziesięć lat będzie miał dwadzieścia cztery lata, a Vic pięćdziesiąt siedem.

Chyba że Vic wcześniej go zabije. Ale nawet Mike nie wierzył, by mógł się do tego posunąć. Jeśli zatem przeżyje, to pewnego pięknego dnia stanie się młodym mężczyzną, a Vic staruszką.

Wystarczy przeczekać.

Vic jest człowiekiem.

Mike czuł ból. Wszędobylski i wszechogarniający. Wypełniał każdy kawałek jego ciała, do którego chłopak nagle wrócił. Nie unosił się już pod postacią ducha odłączonego od posiniaczonego chłopca. Nie był już postronnym obserwatorem rozgrywającego się horroru, lecz jego przedmiotem. Z jego ust i nosa ciekła krew. Jedno oko miał tak spuchnięte, że nic nie widział, drugie zasnuwała czerwona mgiełka. Połamane żebro bolało znacznie bardziej niż przedtem, a każdy mięsień palił, jakby był naciągnięty, stłuczony i naderwany. Na napuchniętym języku czuł krew.

Vic stał nad nim, niewiarygodnie wysoki i silny, z nabitymi mięśniami i dłońmi zaciśniętymi w pięści. Dyszał ze zmęczenia i spoglądał na zwiniętego na ziemi pasierba. Na jego ustach pojawił się uśmiech triumfu.

Ale tylko połowiczny.

Nad wykrzywionymi ustami oczy Vica wypełniało zwątpienie, a na czole pojawiły się pionowe zmarszczki.

- Masz już dosyć, zasrańcu?

Mike leżał jak rozdeptany robak, z rozrzuconymi, powykrecanymi kończynami, pokryty siniakami i krwią, ze zmasakrowaną twarzą. Ból wypełniał każdy kawałek, każdą komórkę jego ciała. Vic był gotów kontynuować.

Ale Mike Sweeney nie dbał o to.

Uniósł głowę, uchylił zapuchnięte oczy i zakrwawione usta i... uśmiechnął się do swojego oprawcy.

W tym uśmiechu musiało być coś więcej niż tylko radość ze świadomości, że wytrzyma. Że dostał najgorsze lanie w życiu i je przetrwał. Musiało być coś jeszcze, jakiś błysk w nabiegłych krwią oczach czy zmiażdżonych ustach, coś, co Vic odczytała opacznie albo właściwie, bo zrobił krok do tyłu i Mike zobaczył na jego twarzy coś, czego nigdy nie spodziewał się zobaczyć.

W co wcześniej nigdy by nie uwierzył.

Strach.

Nie jakiś wielki strach, nie, mały - ale zawsze.

Vic jest tylko człowiekiem.

Vic jest człowiekiem, a Mike - cóż, on go przetrzyma. Żelazny Mike Sweeney, Wróg Zła, wytrzyma.

Strach, który na najkrótszą z możliwych chwil zagościł w oczach ojczyrna, zniknął i wróciła intensywna ciemność. Opuścił ręce.

- Teraz wstawaj i spadaj do łóżka. Nie chcę cię widzieć.

Mike długo walczył z nogami i rękami, zanim udało mu się nakłonić je do działania na tyle, by podźwignęły ciało na kolana, a potem podniosły je do pozycji stojącej. Zatoczył się, ale złapał równowagę.

W drzwiach kuchni przystanął na chwilę, obrócił się i spojrzał na ojczyrna. Posłał mu krwawy i bolesny uśmiech.

Vic nic nie powiedział, kiedy Mike ruszył dalej i z trudem wspinał się po schodach.

2.

Crow stał na parkingu i obserwował, jak ostatnie samochody turystów i pracowników wyjeżdżają na szosę. Westchnął ze zmęczenia i ulgi. Tak, był już zmęczony, chciał jak najszybciej wrócić do domu i znaleźć się w łóżku, ale... uśmiechnął się, kiedy przyszło mu coś do głowy: ktoś czeka na niego z późnym obiadem.

Wrócił do biura, żeby zgasić światła, ale zanim to zrobił, sięgnął po telefon.

Mark Guthrie usłyszał dwa dźwięki w jednej chwili. Pierwszym z nich był dzwonek telefonu. W ułamku sekundy uświadomił sobie, że ktokolwiek próbuje się dodzwonić, może sprowadzić dla nich pomoc. Gdyby tylko udało mu się dostać

w pobliże aparatu, zrzucić słuchawkę i wydać jakiś dźwięk... osoba z drugiej strony zorientuje się, że dzieje się coś niedobrego. W tej samej chwili dotarł do niego drugi dźwięk. Wystrzał.

Mimo kluchy w gardle i strachu, usiłował wykrzyknąć imię ojca i siostry i wzywał Boga.

Telefon nie przestawał dzwonić.

Crow odsunął słuchawkę od ucha. Był rozczarowany, ale w ostatnim momencie, zanim odłożył ją na widelki, usłyszał coś dziwnego. Coś niemego, niewypowiedzianego... poderwał rękę ze słuchawką, ale było już za późno. Połączenie zostało przerwane.

- Cholera!

Wcisnął widelki i ponownie wybrał numer, ale było zajęte. Spróbował jeszcze raz. To samo.

Jeszcze raz. Nic. Crow wkurzył się i odłożył słuchawkę na dobre. Stał i się rozglądał. Wszystko zamknięte i ciemne.

- Dobra - powiedział do siebie i popatrzył na podłogę pod nogami.

Sięgnął do klamki, ale zanim jej dotknął, podbiegł do telefonu, podniósł słuchawkę i szepcząc „ostatni raz, na szczęście”, wykręcił numer.

Zajęty.

- Cholera.

Zadzwoił na komórkę Val. Poczta głosowa.

- Co to ma być? - powiedział głośno i wyszedł z biura. Zamknął za sobą drzwi, potem przeszedł przez parking i wszedł do Missy. Uruchomił silnik, ale zanim ruszył, wyjął zza paska pistolet i odłożył go do schowka.

Potem, wyrzucając spod kół fontanny żwiru, wyjechał i skręcił w kierunku farmy starego Guthriego.

3.

Val biegła, jakby goniły ją wszystkie demony.

Poza krótkimi błyskami piorunów panowały egipskie ciemności. Na twarzy czuła uderzenia liści kukurydzy, ukłucia w nogi, czuła, jak obejmuje ją w pasie, spowalniając bieg, i łapie za nadgarstki. Odpychała łodygi i liście i pędziła naprzód. Gnała przed siebie, donikąd i gdziekolwiek.

Biegła i biegła, i biegła, i biegła.

Silne nogi poruszały ciało z zadziwiającą mocą, a umięśnione ramiona torowały ścieżkę dla szczupłego tułowia. Nagle wdepnęła w coś śliskiego i w następnej chwili leciała głową naprzód. Zanim upadła, zasłoniła się rękami. Ręce uderzyły w ziemię, znacznie wcześniej niż oczekiwała, a impet szarpnął kolejno mięśniami

ramion, barków i pleców. A potem eksplodowało coś gorącego i białego. Lewe ramię poddało się, odmawiając wsparcia dla choćby grama dodatkowego obciążenia, a reszta ciała wykręciła się tak nieszczęśliwie, że przygniotła płonący bark do ziemi.

Nie chciała krzyknąć, ale nie potrafiła się powstrzymać. Czowała ból, jakby ktoś wbijał w nią niezliczone noże. Nie miała pojęcia, jak długo leżała ogłuszona, nie mogąc złapać tchu, przytłoczona nagłym cierpieniem. Mogła poruszać palcami, ale cały odcinek od łokcia do samego ramienia bolał, jakby ktoś polewał ją wrzącym olejem.

- Crow! - zapłakała w ciemność. - Crow! Ratuj!

Ale Crowa nie było. Była tylko ciemność, ból i szaleniectwo z pistoletem. Przez cierpienie przedarł się głęboki grzmot. Val zdawała sobie sprawę, że musi, ale to koniecznie musi wstać.

Ma dwa wyjścia: albo uciekać, albo leżeć i czekać na mordercę.

Wtedy usłyszała pojedyncze suche szczeknięcie pistoletu. Ledwie się przebiło przez zwodzenie wiatru.

Pół sekundy zabrało jej domyślenie się reszty.

- Tato! - wrzasnęła.

Zerwała się z ziemi. Nigdy nie udało się jej dociec, jak wstała, ale jakoś jej się udało. Miała lepkie i śliskie buty, ale stała pewnie na nogach, na tyle pewnie, na ile pozwalały jej mdłości i zawroty głowy.

- Tato... - powiedziała ciszej, wpatrując się w ciemność.

Nie wiedziała, co robić. Wahanie zrodzone ze strachu zatruwało jej wolę.

Jeśli pobiegnie dalej, ten szaleniectwo zabije jej ojca. Może nawet już go zabił!

Jeśli wróci, może zginąć. Co się stanie z Markiem i Connie?

Sekundy mijały z błyskawiczną prędkością, a ona nie chciała się nawet domyślać, jaki czeka ich los.

Poczuła, że coś dotyka jej policzka, więc uniosła zdrową rękę, by to coś odpuścić. Dotknęła palcami ust, nosa, policzka...

Nagle wrzasnęła i odwróciła się, a potem rzuciła w tył, niemal upadając.

- Val... - powiedział miękki głos.

Zamarła. Miała wrażenie, że widzi jakiś kształt, jakby czarny kontur na tle jeszcze głębszego cienia.

- Wracaj - szeptał głos.

- Co... co?

Niebo rozświetliła błyskawica i Val przez ułamek sekundy widziała wysokiego mężczyznę, wychudzonego i smutnego, w brudnym ubraniu, z twarzą ubrudzoną błotem. Przez plecy miał przewieszoną gitarę.

- Wracaj - powtórzył.

Znała go... ale nie potrafiła powiedzieć skąd.

Kolejna błyskawica przecięła niebo i na krótką chwilę krzyżyk, który nosiła na cienkim łańcuszku, zapłonął jakimś wewnętrznym ogniem. Potem wszystko zniknęło tak nagle, jak się pojawiło.

Val została sama.

Głowa pulsowała jej szokiem i przerażeniem, w palcach ścisnęła krzyżyk, a skóra na piersi wciąż piekła.

- Wracaj... - mruknęła pod nosem.

I zawróciła. Kulejąc, przytrzymując bolące ramię i płacząc, ruszyła w stronę domu.

4.

W tej samej chwili, czternaście kilometrów dalej Crow pędził A-32. Z głośników płynął głos Jeda Davenporta, który śpiewał *Mr. Devil Blues*, a on razem z nim, niby blisko linii melodycznej, ale nie do końca.

Dogonił go wóz policyjny błyskający kogutami i wyjący boleśnie syrenami. Crow zwolnił do prędkości w okolicach dozwolonej i westchnął głęboko. Radiowóz zrównał się z Missy, a policjant na siedzeniu pasażera włączył latarkę i oświetlił mu twarz. Popatrzył przez chwilę, potem kliknął wyłącznik i gwałtownie przyspieszył. Zjechał na właściwy pas, i już go nie było.

Crow był pod dużym wrażeniem prędkości, z jaką jechali policjanci. Pewnie mógłby próbować się ścigać, ale nie widział niczego zabawnego w gonitwie za policyjnym radiowozem. Poczekał, aż całkiem zniknie mu z oczu, i dopiero wtedy pozwolił sobie na powrót do uspokajających stu czterdziestu na godzinę.

Muddy Waters śpiewał właśnie *Screaming and Crying*, więc się dołączył.

Zwolnił tylko na chwilę, żeby skręcić w Johnson Wells Road, starą lokalną szosę prowadzącą dookoła wielkich pól wprost pod drzwi domu Val. Nawierzchnia była tak nierówna i dziurawa, że nawet Missy nie mogła jechać ze swoją standardową prędkością. Crow ciągnął się teraz dziewięćdziesiątką i zaciskał zęby.

W głowie wciąż kołatał mu się obraz pędzącego radiowozu. Dokąd oni gnali? Co takiego wydarzyło się na A-32?

Nawet gdyby przez jego siedzenie przebiegło tysiąc woltów, nie wyprostowałby się szybciej, niż zrobił to teraz.

Tak daleko od miasta była tylko jedna rzecz w pobliżu A-32.

- Val! - ryknął na cały głos i wdepnął gaz do dechy. Chrzanić dziury i nierówności. Missy wyskoczyła naprzód. Nikt nie odbierał telefonów... Ty cholerny głupcze!

Wóz pędził starą drogą, a długie światła ją oświetlały. Nad farmą Henry'ego zadudnił grzmot.

Crowowi szumiało w głowie. Słyszał tylko jedno słowo: „Szybciej!”

- O mój Boże! - zawył. - Val...

ROZDZIAŁ 16

1.

Ferro starannie odwinął z papierka pasek gumy do żucia i położył go sobie na języku. Odczekał, aż rozpuści się cukier na powierzchni, i dopiero wtedy zaczął poruszać szczękami. Zwinął papierek i wsunął go do kieszonki na piersiach. Przez długie minuty stał i patrzył. Potworność, którą miał przed oczami, wypalała się w jego głowie, a on czekał, aż wygasną ostatnie pojedyncze płomyki. Czekał, by w końcu widzieć tylko miejsce zbrodni: fakty, dane, dowody i wskazówki. Nic poza tym. Żadnych emocji.

Ferro spojrział w górę. Księżyc skrył się za ciemnymi burzowymi chmurami.

- Vince, wygląda na to, że lunie, zanim przyjadą techniczni. Wszystko stracimy. Sam zajmę się wstępnymi oględzinami. Pomożesz?

LaMastra podniósł się z ziemi, otrzepał spodnie i kiwnął głową.

- Dobrze - powiedział Ferro. - Szeryfie? - Bernhardtowi jakoś udało się pozbierać i teraz stał jak najdalej od samochodu, żeby nie widzieć ciała. - Szeryfie, czy zorganizowałyby pan nam jakąś plandekę? Chcę zabezpieczyć miejsce na tyle, na ile się da.

Bernhardt mruknął coś niezrozumiałego, co Ferro wziął za zgodę, i ruszył rozkołysanym krokiem w kierunku szosy.

Ferro ukląkł obok otwartej walizki i zabrał się do roboty. Najpierw rozłożył płachtę plastiku i przycisnął ją w rogach kolbami kukurydzy, tak jak rozkłada się koc piknikowy. Potem położył na niej szereg przedmiotów z walizki: niewielki plik pustych woreczków foliowych różnej pojemności, od takich, do których dałoby się wcisnąć kilka jednocentówek, do wielkich jak torby na lunch. Czyste próbówki, plastikowe zakraplacze do oczu w sterylnych opakowaniach, papierowe torebki, zestaw do wykrywania prochu, pincety, nożyczki, plakietki do oznaczania dowodów i niewielki magnetofon z mikrofonem uruchamianym głosem.

Ferro wziął jeden zakraplacz i jedną fiolkę i podszedł do kałuży zaschniętej krwi.

- Ja będę pobierał próbki, a ty opisuj i kataloguj - rzucił przez ramię do La-Mastry.

- Dobra.

Terry nie przeszkadzał. Zostawił ich samych i wyszedł na drogę. Gus stał koło radiowozu, odpalał jednego papierosa od drugiego i rozmawiał z kimś przez radio. Wyglądał, jakby był bliski zawału serca. Łysa głowa zaczerwieńnięła się lekko i pokryła potem, który ściekał i zalewał mu oczy. Niewiele pomagało ocieranie twarzy rękawem. Wolfe pomyślał, że Gus wygląda jak zapłakane dziecko.

Kiedy skończył rozmawiać, podszedł do Terry'ego.

- Niezłe bagno, co? - mruknął.

Terry kiwnął głową.

- Nie rozumiem tylko jednej rzeczy. Po jaką cholerę Ruger robiłby to któremuś ze swoich?

- Różnica zdań przy podziale łupów? Kto wie... Z tego, co się zorientowałem, uważają go za ojca wszystkich psycholi. Ja natomiast jestem pod wrażeniem jego luzu. Popatrz na to tak: ściga cię policja z całego Wschodniego Wybrzeża, a ty zatrzymujesz się przy drodze i robisz takie coś. Chyba musiało mu do reszty odbić.

- Racja. - Gus skończył palić papierosa, rzucił niedopałek na ziemię i przydepnął go obcasem.

- Myślisz, że wciąż są tu gdzieś w pobliżu?

- Chryste Panie, mam nadzieję, że nie.

- Nie mogli zwać za daleko, bo rozwalili wóz. Jeśli Ruger zmarnował masę czasu na to coś, to tym bardziej muszą gdzieś tu być. Dwóch mężczyzn piechotą, z kupą kasy i prochów, o których mówił Ferro. Są gdzieś tutaj. W okolicy jest kilka sporych wzniesień, a pola są tak gęsto porośnięte, że niełatwo się przez nie przebić. Na sto procent są w promieniu kilku kilometrów.

- Okolice są dosyć puste. - Gus się zamyślił. - Niedaleko jest droga do Mrocznego Jaru, ale to odludzie. Co jeszcze? Kilka polnych dróg. Dojazdy do farm.

- Czyich?

Gus zmarszczył czoło i podrapał się po skroni. Zastanawiał się.

- Nie jestem pewien, ale to chyba jest północna granica pól Henry'ego Guthriego. Na południe będzie Hobie Devlin. - Zwinął rękę w trąbkę i krzyknął. - Rhoda, czyje to pola?!

- Chyba starego Guthriego!

- Dzięki, tak myślałem.

Terry stęzał.

- Guthrie... masz rację. To musi być ich pole, to, które Henry nazywa odległym. Najdalej od domu. - Nagle szeroko otworzył oczy. - Gus... wyślij szybko radiowóz do nich na farmę. Szybko!

Szeryf zamrugął zaskoczony, a potem zrozumiał.

- O cholera, święta racja! To przecież jedyne miejsce, gdzie mogliby pójść! - Odwrócił się i podbiegł do Rhody i pozostałych policjantów.

Terry patrzył za nim i czuł lodowate palce zaciskające się wokół serca. Farma Guthriego. Val Guthrie jest dziewczyną Crowa. A Crow miał do niej jechać zaraz po zamknięciu „Przejażdżek”.

- Dobry Boże... - wyszeptał.

2.

Grzmot był dość głośny, żeby obudzić burzę. Podbrzusze nieboskłonu przecięła błyskawica, topiąc w ogniu niebo i ziemię. Wściekle lunęły potoki deszczu, lży rozgniewanych chmur.

Val Guthrie wydostała się z pola na drogę pomiędzy dwoma potężnymi grzmotami, które wstrząsnęły ziemią. Wszystko dookoła załało niebieskie światło błyskawicy, która zawirowała gdzieś niedaleko na niebie.

Z całej siły przycisnęła do boku uszkodzone ramię, żeby uchronić się przed dalszym bólem. Niewiele to dało, bo z każdym krokiem pozrywane mięśnie i ścięgna wypełniały jej ciało zimnymi igielkami cierpienia. Nie wiedziała, ile jeszcze zniesie. Mdłości ogarniały ją potężnymi falami, bulgocąc w gardle, wyciskając lży i tłocząc żyłami gorączkę wywołaną szokiem.

- Tato! - krzyknęła i zatoczyła się w strugach deszczu.

Białe kuchenne drzwi leżały tam, gdzie je porzuciła. Nieopodal stała pusta taczka, błyszcząc czystą czerwienią farby umytej przez wodę lejącą się z impetem z góry.

Szaleńca z bronią nigdzie nie było.

Val chwiała się i nie mogła się zdecydować, co robić.

Niebo nad nią zrodziło grzmot tak potężny, że krzyknęła przerażona. W pierwszym odruchu pomyślała, że Ruger zaczął się za jej plecami i strzelił jej w głowę. Odwróciła się, ale nikogo za nią nie było.

Potem w błysku kolejnej błyskawicy zobaczyła ciemny, bezładnie rzucony na ziemię kształt, zaledwie kilkadziesiąt metrów od siebie. Wiatr targał częściami ubrania człowieka, który leżał z rozłożonymi szeroko rękami i nogami.

- Tato!

Podbiegła do niego, odsuwając od siebie ból. Nie widziała nic poza ciałem na drodze. Ślizgając się i brnąc po kostki w błocie, dobiegła do Henry'ego, wyciągnęła ręce i padła na kolana tuż przy nim. Leżał na brzuchu z twarzą w mokrej ziemi.

Jedną rękę wyciągał przed siebie, jakby coś wskazywał. W świetle kolejnych roz-
błysków Val zobaczyła między jego łopatkami otwór po kuli. Na ubraniu nie było
już śladów krwi - urwanie chmury wyprało jego rzeczy do czysta.

- Nie! - krzyknęła zrozpaczona i przyciągnęła go do siebie.

Był bardzo ciężki. Walczyła z osłabieniem, z omdlewającymi rękami, ale w koń-
cu znalazła w sobie dość siły, by przewrócić ojca na plecy. Nie miała pojęcia, czy
tak należało zrobić. Nie myślała logicznie.

Na klatce piersiowej nie było rany wylotowej. Jakaś część jej mózgu natych-
miast przypomniała sobie, że pistolet, którym bandzior im groził, był mały jak
zabawka.

O, nie! Boże! Modliła się, pochylając się nad ojcem.

- Tato... tatusiu...

Jego twarz była blada i brudna od błota, które przywarło do brody i krzacz-
stych brwi. Starła brud i delikatnie potrząsnęła jego ramieniem.

- Tato... proszę...

Henry Guthrie uniósł dłoń i dotknął jej ręki. Nie był w stanie zrobić niczego
więcej.

- Tato! - W serce Val wstąpiła otucha. Nie mogła powstrzymać łez, kiedy Hen-
ry powoli uniósł powieki. Mrużył oczy, by nie zalewała ich woda.

- Daj... mi... sweter... - wyszeptał nieprzytomnie. - Jest mi... zimno...

- Och, tato...

Oczy starego Guthriego otworzyły się na chwilę szerzej i zapłonęło w nich ja-
śniejsze światło.

- Val?

- Jestem tutaj, tatusiu. Wszystko będzie dobrze. Nie ma go nigdzie w pobliżu.

Zamrugał. Światło, które tliło się w jego źrenicach, wyraźnie przygasło.

- Val...

- Tak, tato?

- Musisz ostrzec... - zaczął, ale urwał, zanosząc się okropnym kaszlem. Jego
twarz wykrzywił grymas bólu, a z nosa popłynęła krew. Minęły długie minuty,
zanim znów zaczął mówić. Teraz jego głos był cichszy niż szept, ledwie słyszalny
przez szum burzy. - Val... musisz ostrzec... Mark i... Con... - Zamilkł i zwiotczał.
Zapadł się w ramiona córki, na jej kolana, a potem w grząskie błoto.

Val zaczęła krzyczeć. Przycisnęła ucho do piersi ojca i wsłuchiwała się... szuka-
ła...

Tak, serce jeszcze biło, ale to był najslabszy puls, jaki kiedykolwiek słyszała.
Ledwie była w stanie go wyłapać w pomruku wiatru. Uderzenie, potem długo,
długo nic... kolejne uderzenie.

Cichło. Val czuła, że jej serce też bije coraz wolniej. Ale ojciec się nie poddawał. Walczył. Chciał żyć.

Próbowała go podnieść, zaciągnąć do domu, ale była zmęczona, poobijana, wyczerpana i miała tylko jedną sprawną rękę. Samotna kobieta pośrodku wielkiej burzy, a do domu trzeba było iść przynajmniej kilometr. Ogrom tego wszystkiego spadł nagle na jej barki z takim impetem, że znów uknęła w błocie.

Przez chwilę trzymała głowę ojca na kolanach, dłużej niż mogła sobie pozwolić. Potem położyła go delikatnie na drodze, pocałowała w mokre czoło i policzki, po czym wstała. Spojrzała w stronę domu, a jej usta wykrzywiły się w grymasie bezgranicznej i nieludzkiej nienawiści. Przycisnęła ramię do ciała i puściła się biegiem.

3.

Mark Guthrie leżał na podłodze i napinał każdy mięsień. Pot lał się z niego strumieniami, w uszach szumiała krew. Walczył z krępującym go sznurem i taśmą klejącą.

Kiedy tylko usłyszał pojedynczy wystrzał, rzucił się do przodu i spadł z kanapy. Potem przeczołgał się przez pokój w kierunku dzwoniącego telefonu. Miał wrażenie, że zajęło mu to ze dwadzieścia lat, choć przy ósmym dzwonku był już na miejscu. Rzucił się naprzód i uderzył ramieniem w nóżki niewysokiego stolika. Mebel przewrócił się, a telefon spadł na podłogę. Mark przekręcił się i przycisnął ucho do słuchawki tylko po to, by usłyszeć trzask przerwanej połączenia.

Jęknął.

Connie siedziała na kanapie i obserwowała jego zmagania szeroko otwartymi oczami. Spojrzała na nią, chcąc dodać jej otuchy. Wiedział, że pewnie wygląda dość żałośnie, spocony, skrępowany i oklejony taśmą.

Spróbował się rozłączyć, przyciskając brodą widełki. Na próżno. W końcu udało mu się na tyle głęboko wcisnąć widełki, że w słuchawce rozległ się długi sygnał. Niestety, to był stary, tarczowy model, więc nie było szans, by do kogokolwiek zadzwonić - nawet pod 911.

Mimo to nie poddawał się. Próbował czubkiem nosa trafić w odpowiednią dziurkę i przekręcić tarczę. Pracował nad tym jak szalony, ale cała operacja wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Kiedy już mu się udawało, sygnał zmieniał się na przerywany i musiał od nowa celować w widełki. To była żmudna, nerwowa i frustrująca praca.

Karl Ruger sprawił, że była też bezcelowa.

Mark nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest w domu, do chwili, w której padł na niego jego cień. Odwrócił głowę i zobaczył nad sobą wysokiego silnego mężczyznę w mokrym od deszczu ubraniu i z półautomatem w ręce.

- Cześć - szepnął. - Dobrze się bawiliście?

Mark chciał zrobić unik, rzucał się jak wąż chory na alzheimera, ale Ruger tylko się śmiał i patrzył na niego. W końcu brat Val dotarł do kanapy i nie miał już do-
kąd uciekać.

Ruger pochylił się, podniósł słuchawkę i przez chwilę ważył ją w dłoni.

- Wiesz, kiedy rano wstawałem z łóżka, nawet nie podejrzewałem, jaki total-
nie kurewski dzień mam przed sobą. Najpierw zostaliśmy ostrzelani, potem gonila
nas policja, rozbiliśmy samochód, Tony się dograł, Boyd złamał nogę, a ja utkną-
łem w pieprzonym domku na prerii! A wiesz, co mnie spotkało przed chwilą? -
zapytał, patrząc na Marka nieruchomymi oczami. Wyglądał jak aligator, bo ani
razu nie mrugnął. - Skoro się domagasz, to ci powiem. - Klepnął go telefonem w
plecy. - Zadałem sobie trud, żeby zorganizować jakieś nosze, zatargałem je na
miejsce, gdzie zostawiłem mojego kumpla Boyda, i wiesz co? I wiesz co do chole-
ry? - zapytał, waląc go przy każdym słowie telefonem. - W jakiś sposób mój kum-
pel Boyd ze złamaną nogą, mój dobry przyjaciel Boyd zwiął z moją częścią kasy i
prochów! Cudowny dzień, co?

Mark spojrzął na Rugera. Bał się nawet oddychać. Powietrze zatrzymane w
płucach zaczynało go palić.

Karl westchnął i przyjrzał się telefonowi.

- Niektóre dni są po prostu do dupy i nic na to nie poradzimy - mruknął. - Na
dodatek twój staruszek postanowił zostać bohaterem ostatniej akcji. Wyobrazasz
to sobie? Ubzdurał sobie, że ucieknie staremu dobremu Karlowi. Nie sądzisz, że to
było niegrzeczne?

Mark wpatrywał się w swego oprawcę, bojąc się, co zaraz usłyszy. Pamiętał huk
wyrzutu.

- Twoja siostrzyczka też nawiała. Szybka była, suka. Nawet jej nie goniłem. A
szkoda, bo nauczyłbym ją miejskiej oglady. - Ruger uśmiechnął się i puścił do nie-
go oko. - Założę się, że wiesz, o czym mówię. - Wciąż kucał i bawił się telefonem. -
Ale staruszek... nie umie biegać, nie? Zupełnie nie. No, szkoda.

Serce młodego Guthriego waliło jak szalone, chciało mu się wyć.

- No więc stary dobry Karl wycelował i... - mówiąc to, dotknął jego policzka
zimną lufą broni - pif-paf! I nie ma staruszka.

Tym razem Mark spróbował wrzasnąć. Krzyk zrodził się w zbolanych wnętrzo-
ściach i przesuwając się w górę, wyrывał i unosił kawałki cierpiącej duszy i biją-
cego szaleńczo serca. Nawet taśma i knebel nie były w stanie powstrzymać takiego
dźwięku.

Ruger się zaśmiał. Tylko wyjątkowy ból i wyjątkowe cierpienie zaspokajały jego
głód doznań. To było znacznie, ale to znacznie lepsze niż kokaina i heroina, a po
tym, jak wszystko dzisiaj się waliło w gruzy, potrzebował takiego kopa, żeby jego
mózg znów zaczął normalnie pracować.

Mark rzucał się, jęczał i wyginał. Oczy piekły go od łez, które wkrótce znalazły drogę w dół, po policzkach.

Connie zaskomlała, a Ruger spojrział, jakby dopiero sobie o niej przypomniał. Jego uśmiech się zmienił. Coś błysnęło w ciemnych oczach i jego usta zaczęły przypominać wijące się robaki.

- Proszę, proszę... - powiedział miękko. - Przynajmniej nie odejdę stąd z pustymi rękami. Cholera, przecież coś mi się należy za tę całą fatygę. Mam rację?

Mark pisnął, przewrócił się na bok i z całej siły uderzył obiema związanymi w kostkach nogami w tyłek Rugera. Karl jednak nie dał się zaskoczyć. Odsunął się, złapał równowagę i kiedy młody Guthrie unosił nogi, by znów go kopnąć, pochylił się i przycisnął pistolet do jego ramienia. Mark znieruchomiał, podobnie jak wszystko dookoła.

Ruger znów się uśmiechnął i pokręcił głową.

- Oj, oj, oj. Nie ułatwiasz mi zadania. Nie, nie zastrzelę cię. Jeszcze nie. Na razie mam dla ciebie miejsce w pierwszym rzędzie na mój mały show z Donna Reed.

Mark próbował go kopnąć, ale Ruger był szybszy. Z przerażającą siłą zamachnął się aparatem telefonicznym i wyrzucił go w policzek. To było ogłuszające uderzenie, ale jeszcze nie mordercze. Poza tym nie chciał, żeby jego ofiara straciła przytomność. To zepsułoby mu zabawę. Włożył jednak w zamach wystarczająco dużo siły, by głowa Guthriego odskoczyła i odbiła się od drewnianej podłogi. Z oczu Marka pociekły łzy, a usta wypełniły się krwią.

Ruger podniósł się z podłogi, ostrożnie odłożył pistolet na stół i spojrział na Connie, a jego uśmiech robił się coraz szerszy i szerszy.

4.

- Tato... - powtarzała Val, ale tylko wiatr mógł ją usłyszeć.

Deszcz lał się z nieba strumieniami, a ona, na tyle, na ile pozwalała jej boląca ręka i złamane serce, starała się ochronić go przed burzą. Zrobiła, co mogła, żeby opatrzyć ranę na plecach, ale Henry stracił bardzo, bardzo dużo krwi. Zbyt dużo.

Błyskawice waliły w ziemię raz za razem, niemal bez przerwy, a kanonada gromotów zagłuszała prawie wszystko. Mimo to gwałtowny powiew wiatru przyniósł nowy, obcy dźwięk. Wysokie, samotne wycie syreny policyjnej.

Val podniosła głowę i wsłuchiwała się w odległe echo. Chciała zlokalizować jego źródło, ale wiatr zabrał je ze sobą. Mimo to była w stanie określić mniej więcej, skąd się wziął. Dojazd. Ten, który łączy ich farmę z A-32.

Syrena. Gliny! Jadą w tę stronę. Są jeszcze daleko, ale bez wątpienia zmierzają w ich kierunku. Popatrzyła na ojca.

- Tato, muszę cię zostawić. Tylko na chwilę. Sprowadzę pomoc i wrócę najszybciej, jak będę mogła. Proszę... poczekaj na mnie, tatusiu. - W oczach miała szaleństwo. - Nigdzie się stąd nie ruszaj. Czekał tu na mnie.

Wstała, odwróciła się i popędziła w stronę domu.

5.

Mark nie przestawał krzyżeć. Usiłował zerwać więzy, których żaden człowiek nie potrafiłby zerwać, i przedrzeć kilka warstw taśmy, którymi dla pewności Ruger owinął mu nadgarstki. Krzyki jego żony zagłuszały jego własne i zatruwały ducha i ciało.

Ruger wyciągnął ostry jak brzytwa nóż i szybkimi wprawnymi ruchami rozciął więzy na nogach Connie. Próbowala go kopnąć, przynajmniej tyle zostało jej zdrowego rozsądku, ale uderzył ją kilka razy otwartą dłonią, szarpnął mocno i zostawił pobitą, mentalnie i fizycznie. Potem rozpoczął się prawdziwy horror.

Poszarpał na niej ubranie, obnażając w najokrutniejszy sposób, okradając z resztek godności, które zachowywała mimo knebla i więzów. Nóż albo przecinał materiał skrywający jej ciało, albo naciskał boleśnie miękką skórę jej gardła - ale ani na chwilę nie znikał z pola widzenia, jakby był nieodzownym przedłużeniem chorego pożądania oprawcy.

Mark krzyżał całym sobą.

Ruger roześmiał się głośno i stanął nad nią, powoli rozpinając pasek spodni. Posyłał jej buziaki i przeciągał torturę.

Nic nie zwiastowało pioruna, który w niego uderzył.

W jednej chwili Ruger stał i sięgał do rozporoka, w kolejnej został zwalony z nóg i poleciał bezwładnie na oparcie kanapy obok Connie, pchany przez coś, co wydawało nieludzki wrzask pełen furii. Zaskoczony wypuścił z ręki nóż, który przeleciał w powietrzu i zniknął między poduszkami fotela. Mało brakowało, a sam upadłby na podłogę, lecz kolanami zahaczył o siedzenie i poleciał dalej, nie mogąc pozbyć się z pleców ciężaru tego czegoś, co uderzyło go ze zwierzęcym impetem.

Większość ludzi po takim ciosie straciłaby na chwilę orientację i zaczęła się rozglądać, kręcąc głową.

Ale Karl Ruger nie był jak większość ludzi.

Syknął jak kot i odwrócił się, uderzając na oślep łokciem, jeszcze zanim zdążył zobaczyć napastnika. Kiedy łokieć sięgnął celu, rozległ się agonalny krzyk i Val spadła z jego pleców, trzymając się rozpaczliwie za lewe ramię. Łokieć Rugera uderzył w już porozrywane ścięgna i mięśnie.

- Ty pieprzona suko! - warknęła, złapała ją za włosy i szarpnęła, stawiając na nogi. Potem uderzył w twarz, w to samo miejsce, w które trafił za pierwszym razem. Taki ból nie mógł jednak jej powstrzymać. Zamachnęła się nogą, by kopnąć go w krocze, ale Ruger znów był szybszy i kopnięcie trafiło go w biodro. Mimo to było na tyle silne, że pozbawiło go na chwilę równowagi.

Puścił ją, zatoczył się, walcząc z grawitacją, i znalazł się blisko Marka, który natychmiast uniósł obie nogi i kopnął, posyłając go na podłogę.

Val rzuciła się do drzwi, mając nadzieję, że wywabi go na zewnątrz, na pola, z dala od Connie. Chciała uciekać przynajmniej na tyle długo, żeby zdążył dojechać radiowóz, który słyszała wcześniej. To był ich jedyny ratunek.

Ruger w ułamku sekundy zerwał się na nogi. Nie tracił czasu na karanie Marka - rzucił się za jego siostrą, warcząc z wściekłości jak pies myśliwski. Popędził za nią bez broni. Zapomniał o pistolecie i nożu. W głowie miał tylko jedną myśl, zabić ją gołymi rękami.

Val wypadła na werandę. Przycisnęła ramię do boku, zeskoczyła na dół i pobiegła w stronę drogi. Mimo grzmotów i deszczu słyszała, że Ruger jest bardzo blisko.

Biegła.

Dwa razy niemal jej dosięgnął, ale dwa razy udało się jej go zmylić i zmienić kierunek. Odskakiwała kilka kroków dalej, kiedy on ślizgał się na błocie.

- Ty dziwko! - ryknął.

Val zawróciła w stronę domu, minęła drzewo, traktor, boczną ścianę budynku i wbiegła na tylne podwórze, gdzie Henry parkował swojego bronco. W bagażniku była łopata. Gdyby tylko udało jej się ją złapać...

Pisnęła, kiedy poczuła, że palce Rugera muskają jej włosy.

Klucząc, rzucając się raz w prawo, raz w lewo, minęła narożnik budynku.

Jasne światła zadziały na nią jak pole siłowe. Zatrzymała się, poślizgnęła i upadła.

Ruger złapał ją za włosy i ślizgając się, przystanął na widok reflektorów wozu Crowa.

ROZDZIAŁ 17

Karl Ruger zacisnął pięść i nie puścił włosów Val. Wyprostował się, patrząc wprost w oślepiające światła. Kiedy otworzyły się drzwi od strony kierowcy, złapał zakładniczkę za szyję.

Oślepiiony reflektorami i padającym deszczem nie widział dokładnie, kto wysiadł z auta. W ciemnościach zobaczył jedynie, że ma naprzeciwko siebie szczupłego niewysokiego mężczyznę. Drzwi się zatrzasnęły, ale tamten się nie ruszył.

- Val? - zapytał, a wiatr zagłuszał jego głos.

- Cr... - chciała odpowiedzieć Val, ale palce Rugera zacisnęły się na jej gardle, nie pozwalając, by wydobył się z nich jakikolwiek dźwięk.

- Spadaj, chłoptasiu! To są sprawy rodzinne - krzyknął. - Spadaj.

Szczupły mężczyzna poruszył się niepewnie i znów zawołał.

- Val?

- Powiedziałem ci już, żebyś spieprzał, więc na co czekasz?

- Nie wiem, kim jesteś, palancie, ale masz zaraz puścić dziewczynę. I to już.

- Pieprz się. - Ruger roześmiał się szyderczo.

Mężczyzna przy samochodzie zgasił światła i zrobił krok do przodu, unosząc dłoń. W błysku pioruna Ruger natychmiast rozpoznał berettę.

- Nie, to ty się pieprz - powiedział Crow i zrobił dwa kolejne kroki. - A teraz ją puszczaj.

Val wyraźnie widziała jego twarz rozświetlaną kolejnymi błyskawicami. Chciała się wyrwać, pobiec w kierunku swojego mężczyzny, wziąć jego broń i wycelować w Rugera, ale ten mocno ją trzymał, nie pozwalając wstać z kolan. Ręka na jej gardle zacisnęła się z taką siłą, że zaczynało jej brakować powietrza. Zdrową ręką chciała podważyć jego palce, ale równie dobrze mogła drapać kamień paznokciami.

Ruger wpatrywał się w lufę pistoletu i nie wierzył własnym oczom. Prawie się uśmiechał. Jak to możliwe, żeby jednego dnia zdarzyło się tyle nieszczęść naraz? Z warknięciem poderwał Val z ziemi i zasłonił się nią.

- No, dalej, strzelaj, chłoptasiu. Ale lepiej, żebyś był naprawdę dobrym strzelcem, bo inaczej podziurawisz tę panienkę.

- Tak się składa, że jestem bardzo dobrym strzelcem - odpowiedział Crow.

Wypalił. Kula przeleciała dwadzieścia centymetrów od ucha Rugera. Ten odskoczył i skulił się, ale po pierwsze za późno, a po drugie niepotrzebnie, bo Crow nie celował, żeby zranić jego ciało, tylko żeby zranić jego dumę.

- A teraz ją puść.

Ruger tak mocno zacisnął palce na gardle Val, że przed oczami zatańczyły jej iskierki, a świat zawirował. Przystawało do niej docierać, że stoi naprzeciwko Crowa, bo jej pozbawiony tlenu mózg zaczynał wysiadać.

Crow wystrzelił kolejny pocisk, jeszcze bliżej głowy Rugera, lecz tym razem bandzior nawet nie drgnął. Podniósł za to Val jeszcze wyżej i zasłonił się nią jak tarczą.

Malcolm zrobił kolejny krok i wycelował, trzymając pistolet obiema rękami. Dzieliło ich już nie więcej niż trzy metry.

- To był ostatni strzał ostrzegawczy. To maleństwo mieści piętnaście nabojów. Następnym trafi cię w twarz.

Mimo że facet trzymał Val przed sobą, Crow wiedział, że może trafić go w rękę albo nogę. Ale uznał, że na razie nie chce ryzykować. Potem zobaczył jej poszarzałą twarz i zaciśnięte palce Rugera. Wezbrała w nim bezgraniczna furia. Strach o ukochaną kobietę zmroził mu wnętrzności i wysuszył usta. Przełknął, chcąc zwilżyć gardło.

- Powiedziałem, puść...

W tej chwili Ruger skoczył do przodu i pchnął Val prosto na Crowa. Włożył w to całą siłę i kobieta niemal uniosła się w powietrze. Crow w ostatniej chwili poderwał pistolet, by nie uderzyć jej lufą. Zrobił krok, żeby ją złapać, ale nie przewidział, że z taką samą siłą, z jaką ją pchnął, Ruger rzucił się do przodu. Użył jej jak tarana i tarczy i runął na Crowa z prędkością pociągu pospiesznego. Val nagle znów mogła oddychać, ale znalazła się między dwoma szarżującymi mężczyznami. Krzyknęła.

Malcolm chciał zrobić zbyt wiele rzeczy naraz, złapać Val, bo zataczała się i mogła upaść, odciągnąć ją od psychopaty, utrzymać pistolet i uniknąć zderzenia.

Zawalił każdą z nich, i to zawalił na całej linii. Strach o Val i strach przed obcym mężczyzną sprawiły, że wahał się o ułamek sekundy za długo.

Ruger wpadł na niego, kipiąc siłą i furją. Niemal stratował Val. Widział, że ma za mało czasu, by wyrwać pistolet, więc zdecydował się na inne rozwiązanie i wytrącił go z ręki obcego mężczyzny. Beretta wyleciała łukiem w powietrze i wylądowała gdzieś w błocie. Impet Rugera sprawił, że Crow zatoczył się do tyłu, a Karl poszedł za ciosem i dosiadł go jak surfer dosiada fali. Crow wylądował na plecach i z rozpędu zaczął się ślizgać po błocie. Zanim się zatrzymał, Karl siedział na nim i z niewiarygodną prędkością młócił go twardymi jak skała pięściami.

Karl w całym swoim życiu przegrał tylko jedną walkę. Kiedy miał jedenaście lat, chłopak starszy o pięć lat zmusił go do płaczu. Spuścił mu takie manto, że Karl długo jeszcze leżał na chodniku, zalany łzami i szczynami, starając się zatamować jasnoczerwoną krew kapiącą z nosa. Zwycięzca roześmiał się i kopnął leżącego, a widownia, dzieciaki w ich wieku, wśród których byli też jego kumple, patrzyła i chichotała.

To była jedyna walka, którą Karl kiedykolwiek przegrał.

Tydzień później szesnastolatek zginął pod kołami pociągu podmiejskiego. Wepchnął go tam dzieciak, któremu spuścił lanie. Ruger podbitymi oczami obserwował, jak ciało zabijaki zamienia się w krwawą, bezkształtną masę.

Od tamtego czasu nikomu nie udało się go pokonać. Nikomu nie udało się nawet długo utrzymać na nogach. Najbardziej zabójcza była wściekłość, z jaką Ruger

rzucal się do ataku. Zaczynał zawsze na pełnych obrotach, a nie jak inni, powoli się rozgrzewając. Każdy cios był poparty głęboką wiedzą, jak i gdzie uderzać, i jak uderzać szybko i boleśnie. Wszystkiego nauczył się za kratkami więzienia stanowego w południowej Filadelfii, w celach aresztów i podczas niezliczonych pojedynków na bocznych uliczkach wielkich miast. W pewnym momencie zaczął sprawdzać, jaki jest naprawdę dobry. Potrafił przetrwać wszystko, co spotykało go w czasie walki. Wszystko. Jeśli ktoś odważył się przyjąć jego wyzwanie, to niezależnie, jaki był silny, wytrenowany czy uzbrojony, przegrywał, jeszcze zanim uniósł pięści. Ruger ich niszczył. Zostawiał za sobą krew, śmierć i zamknięte trumny.

Rzucił się na Crowa, czerpiąc siłę i prędkość z kipiącej frustracji i rozczarowania, które spotkały go tej nocy. Czuł, że dzięki temu ma twardsze i szybsze pięści, niż kiedy walczył tylko dla zabawy.

Usiadł na przeciwniku, który upadł, ulegając taranującej sile jego ataku. Objął go nogami, żeby nie dać się zrzucić na ziemię, i wziął się do bicia, które miało zakończyć się śmiercią. Krew trysnęła z łuków brwiowych i nosa Crowa, pękła skóra policzka, ale pięści Rugera nie zwalniały. Spadały raz za razem, szerząc dzieło zniszczenia.

W następnej sekundzie leżał w błocie.

Crow podciągnął kolana, z impetem wbił płasko podeszwy butów w mokrą ziemię i z potężną siłą i prędkością wygiął grzbiet, robiąc mostek. Karl wyleciał w powietrze jak kowboj dosiadający byka na rodeo, a kiedy Malcolm w kulminacyjnym momencie przekreślił się w bok, stracił równowagę i obaj upadli w błoto. Jeszcze będąc w ruchu, Malcolm zacisnął pięść, i kiedy tylko dotknęła ziemi, dwa razy z całej siły uderzył przeciwnika w górną część uda.

Ból był tak potworny, że Ruger zaskowyczał.

Warcząc z zaskoczenia, uwolnił się kilkoma kopnięciami i potoczył w bok jak kot, stając w końcowej fazie ruchu na nogach. Crow nie tracił czasu na wstawanie, tylko wystrzelił za nim. Zamarkował wysoki atak, jakby chciał objąć go w zapaśniczym uścisku tuż pod ramionami, a kiedy był tuż-tuż, opadł na kolana i wyprowadził potężny hak w nieosłonięte, bolesne miejsce po wewnętrznej stronie uda, o centymetr mijając krocze. Noga się poddała i Ruger upadł na plecy.

Crow nie czekał na lepszy moment i bez zastanowienia skoczył na przeciwnika. Karl, widząc, co się dzieje, zaczął rozpaczliwie wierzgać nogami. Kiedy trafił obcasem w pierś Crowa, wykorzystał jego impet i przerzucił nad sobą.

Crow zwinął się w kłębek i wylądował na stopach. Płynnym ruchem obrócił się, by dalej walczyć.

Karl zerwał się na nogi, nie zważając na ból uda. Otwierał i zamykał ręce, jakby ścisnął coś, czemu mógłby zadać cierpienie.

Ruszył się, mrużąc oczy. Nagle walka zmieniła oblicze. Po morderczym otwarciu - strategii, która przez tyle lat przynosiła mu same sukcesy - Ruger musiał przejść do prawdziwej wymiany ciosów. Kimkolwiek jest człowiek, który stoi na przeciwko, potrafi walczyć. W jakiś sposób Karl cieszył się z tego.

Przez kilka sekund krążyli wokół siebie, robiąc zwody, wyprowadzając krótkie uderzenia i czekając na właściwą okazję.

Ruger pierwszy runął do właściwego ataku, a poruszał się przy tym szybciej niż błyskawica. Zmodyfikował jeden z trików Crowa: udał wysokie uderzenie, a w rzeczywistości zanurkował w kierunku nóg przeciwnika. To była jedna z jego ulubionych technik: unieruchamiał nogi oponenta tuż ponad kolanami i rzucał się naprzód. Przeciwnik padał na kość ogonową, skręcając oba kolana.

Kiedy jego ramiona otoczyły Crowa, ten uderzył pionowo w dół z siłą prasy hydraulicznej, trafiając Rugera prawą ręką dokładnie między łopatki. Cios poparł całą swoją masą w desperackiej próbie złamania mu kręgosłupa. Uderzenie było niszczące, ale złagodziło je miękkie błoto, a przeciwnik był wyjątkowo silny. Mimo to Ruger przez chwilę nie mógł złapać tchu, a jego usta wypełniła wilgotna ziemia.

Crow stał nad nim i ciężko dyszał. Jego serce waliło jak oszalałe, napędzane strachem i zmęczeniem. Nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś poruszał się z taką prędkością i walczył z taką niepojętą zwierzęcą furią. Zaryzykował spojrzenie w kierunku Val. Dziewczyna klęczała nieopodal w błocie i masowała sobie gardło. Jej twarz wykrzywił bolesny skurcz. Crow chciał przesłać jej pocieszający uśmiech i nawet otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdążył. Ruger poderwał się na kolana i uderzył go pięścią prosto w jaja.

Crow jęknął, zatoczył się, obiema rękami osłonił krocze i na tyle, na ile był w stanie, odskoczył do tyłu, żeby zyskać trochę przestrzeni.

Ruger stanął na nogach. Pokryty błotem wyglądał jak golem. Uśmiechnął się, odsłaniając brudne od ziemi zęby.

- Załatwię cię tak, że będą cię grzebali na raty.
- Żałosne, baranie. - Crow miał wrażenie, że jego jądra płoną żywym ogniem.

Ruger rzucił mu w twarz pełną garść lepkiego błota i skoczył do przodu.

Z Crowem nie było aż tak źle, jak chciał, żeby wyglądało. Uderzenie w krocze, nawet bardzo silne, nie powoduje poważnych uszkodzeń, tylko wywołuje ból. Faktem jest, że większość ludzi kończy wtedy walkę, zwijając się w agonii - ale są też tacy, którzy nie zwracają na to uwagi. Znają ból, przyzwyczaili się do niego, może jeszcze się z nim nie zaprzyjaźnili, ale są dobrymi kumplami. Crow znał ból od bardzo, bardzo dawna - nawet taki, który jest wynikiem silnego uderzenia w krocze. To tylko uczucie, a z tym nadal można walczyć.

Odczekał chwilę zgięty wpool, udając, że strasznie cierpi, i czekał na właściwy moment. Pozwolił Rugerowi się zbliżyć, a potem wykorzystał jego siłę i impet.

Zawirował, wymykając się spomiędzy jego ramion. Złapał go jedną ręką za nadgarstek, drugą za ubranie na plecach, a potem dokończył obrót najszybciej, jak potrafił. Impet Rugera w połączeniu z prędkością, z jaką się poruszał, skierowane przez Crowa poderwały go z ziemi i posłały łukiem prosto na drzwi wielkiej brązowej impali. Wyrznął w nie plecami, odbił się, zostawiając potężne wgniecenie, i runął na ziemię. Potrzęsnał głową i chciał wstać, ale nie mógł.

Crow podszedł i złapał go za włosy, odciągnął jego głowę kilkadziesiąt centymetrów od samochodu, żeby spojrzeć mu w oczy. Sapnął zdegustowany, a potem dosłownie cisnął nim w to samo wgniezione miejsce. Ruger wyrznął czaszką z twardego metalu, a potem bezwładnie opadł na ziemię i już się nie podniósł. Deszcz rozmywał krwawą kałużę wokół jego twarzy.

Crow przyjrzał mu się uważnie, sprawdzając, czy to nie gra. Karlowi nie drgnęła nawet powieka. Żeby się upewnić i dlatego, że pokiereszowana twarz zaczynała go boleć jak jasna cholera - i jeszcze dlatego, że wciąż czuł wewnątrz lodowate ostrze strachu - kopnął go prosto w usta, łamiąc wszystkie przednie zęby.

Ruger przewrócił się na klatkę piersiową, twarzą w błoto.

Crow nadal stał nad nim i się kołysał. Czuł, że jego kolana najchętniej by się poddały. W kącikach oczu pojawiły się delikatne rozbłyski i poczuł, że coś jest nie tak z jego głową - miał wrażenie, że coś w niej popękało, jakby czaszka trzymała się w kupie tylko dzięki taśmie klejącej. Zbierało mu się na wymioty i nie mógł dłużej stać wyprostowany. Zatoczył się, jęknął, przycisnął dłoń do krwawiącego nosa i ruszył w stronę Val. Kiedy znalazł się przy niej, upadł na kolana i otoczył ramionami, uważając, by nie urazić jej zranionej ręki i posiniaczonej twarzy. Potrzebował jej bliskości, jej dotyku i realności jej istnienia. Zaczął całować brudną od błota twarz dziewczyny, jej oczy i włosy. Płakała, wstrząsana strasznymi spazmami, które Crow odczuwał jak bolesne ukłucia.

- Kochanie, kochanie, kochanie... - mamrotał. - Co tu się stało? Co on ci zrobił? Moja słodka...

Ucisk Rugera uszkodził jej struny głosowe i nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku, poza nieludzkim charkotem. Balansowała na granicy wielkiego wodospadu, który chciał ją porwać w ciemność i pozbawić przytomności.

Gdzieś z oddali słyhać było zbliżającą się syrenę radiowożu. Przypomniała sobie.

- Tata! - wycharczała. - Mój Boże, Crow... tata tam został!
- Gdzie? Gdzie?

- Na polu. Potrzebuje pomocy. Chciałam go ratować, ale nie mogłam... - Wpadła w histerię. Nagle wszystkie przeżycia i emocje zaczęły wracać. Żelazna determinacja, która dotychczas utrzymywała ją na nogach, zniknęła.

- Val! - Crow starał się ją podtrzymać. - Co z twoim ojcem? Co mu się stało? Gdzie jest? Co tu się stało?

Syrena była coraz głośniejsza.

- Na polu. Pomagaliśmy rannemu. Potem uciekaliśmy. Tata... on...

- Jezu Chryste, czy ten skurwiel postrzelił Henry'ego? To chcesz mi powiedzieć?

- Chciałam mu pomóc... naprawdę... ale nie mogłam. Moje ramię... nie mogłam.

- Cii... - uspokoił ją. - Wszystko będzie dobrze. Po prostu powiedz mi, gdzie on jest. Pójdę po niego. Widzisz? Policja już przyjechała. Oni też pomogą.

- Pomogą? - zapytała głosem małej dziewczynki, który wyrwał bolesną dziurę w jego sercu.

- Tak, kochanie, pomogą. Powiedz tylko, gdzie jest Henry. Powiedz, żebym mógł mu pomóc.

Radiowóz zatrzymał się przed frontem domu. Syrena ucichła, ale czerwone i niebieskie światła nadal migotały. Crow usłyszał trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Obrócił się i najgłośniej, jak potrafił, krzyknął.

- Hej! Tutaj, z tyłu! Potrzebujemy pomocy!

Pospieszne kroki zaczęły się zbliżać, a po chwili zobaczył jasny promień latarki. W ich kierunku biegła dwójka policjantów w pistoletami w dłoniach.

- Pan Guthrie?! - krzyknął jeden z nich.

- Nie, to ja, Malcolm Crow. Jest ze mną Valerie Guthrie. Wezwijcie karetkę, jest ranna.

Jeden z policjantów pobiegł do wozu, drugi podszedł bliżej i zaświecił mu latarką w twarz. Crow zorientował się, że to kobieta. Rhoda Thomas. Znał ją.

- Mój Boże - jęknęła Rhoda. - Co tu się stało?

W oczach Val malował się szok. Nie mogła mówić, tylko pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia, co się tu stało - odezwał się Crow. - Kiedy przyjechałem, Val uciekała przed jakimś wariatem. Złapał ją i zaczął dusić. Chyba coś zrobił z jej ramieniem, więc ostrożnie.

- Gdzie on jest?

Wskazał głową w kierunku Missy.

Rhoda spojrzała na skuloną postać.

- Co mu się stało?

- Zamieniliśmy parę słów.

- Kto to?
- A skąd ja mam wiedzieć? Chyba jeden z tych, których szukacie. Może. Słuchaj, Rhoda, Val powiedziała, że ten pajac postrzelił jej ojca. Chyba tak. Henry został gdzieś na polu. Musimy to sprawdzić.

- Rhoda! - Crow obejrzał się i zobaczył nieznanego glinę. - Rhoda, w domu jest dwoje ludzi. Kobieta i mężczyzna. Mężczyzna jest związany, kobieta chyba została zgwałcona. Wezwałem karetkę.

- Chryste - jęknęła policjantka.

- Mój Boże, Connie! - Malcolm patrzył na Val, dom i na pole. Nie wiedział, dokąd ma iść najpierw. Pochylił się i pocałował swoją dziewczynę, szepcząc jej do ucha: - Kochanie, idę szukać Henry'ego. Musisz mi powiedzieć, gdzie on jest. Kochanie?

Val zamrugała i powoli skupiła na nim wzrok. Z powracającą świadomością wrócił też ból. Syknęła przez zaciśnięte zęby.

- Cii, kochanie - uspokoił ją. - Musisz mi powiedzieć, gdzie jest Henry.

Walcząc z uszkodzonymi strunami głosowymi i falami nieludzkiego bólu wyjaśniła mu, którą ścieżką poszli. Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nie mogła. Jej powieki opadły i pograżyła się w ciemności. Crow trzymał ją w ramionach i całował w oczy i policzki, a potem ostrożnie położył na miękkiej ziemi. Krew kapła z jego poranionej twarzy, znacząc jej usta czerwienią, ale szybko je wytarł. Spojrzał na Rhodę.

- Pójdę poszukać Henry'ego. Ty zostań tutaj. A, i jeszcze jedno. Jeśli...

- Tak?

- Nie pozwól, żeby coś jej się stało, dobrze?

- Obiecuję.

Crow wstał, krzywiąc się. Bolał go każdy centymetr ciała.

- I lepiej załóż kajdanki temu skurwielowi, zanim się ocknie. Uważaj, jest naprawdę niebezpieczny.

Rhoda spojrzała w miejsce, gdzie leżał Ruger. Crow patrzył w inną stronę, ale kątem oka dojrzał jej rozszerzające się źrenice.

- Uważaj! - krzyknęła i odepchnęła go na bok, podnosząc broń. Dźwięk beretty rozległ się jak uderzenie młotem. Crow upadł, ale zobaczył jeszcze wykwyty szkarłatnych plam na piersiach Rhody. Zawirowała, odruchowo naciskając spust, ale pociski z jej broni uderzyły w ziemię. Upadając, niechcący uniosła ciężki pistolet i ciągnąc go bezwładem ciała, wyrznęła Crowa ręką w skroń.

Crow miał wrażenie, że świat został zbudowany z białego światła i nagłych rozbłysków, które wypełniały jego czaszkę. Zamrugał, rozpaczliwie walcząc z mroczkami, i z przerażeniem zobaczył zabłoconą beretę, jego beretę, w zakrwawionej dłoni Rugera. Szalenciec stał, wypływając spomiędzy zmiażdżonych ust ślinę zmieszaną z krwią i kawałkami połamanych zębów i celował z jego broni. Poczul

bolesne pieczenie w prawym boku. Nie wiedział, czy został trafiony, czy tylko drażnięty. Przestał myśleć. Miał wrażenie, że patrzy na coś, czego nie można pokonać. Jak ten gnojek mógł przetrwać? Jak mógł się podnieść po takim laniu? Jak znalazł jego broń w deszczu i błocie? Jak może stać wyprostowany? Beretta znów wypaliła. Raz i jeszcze raz.

Crow przetoczył się w bok, żeby uniknąć kolejnych kul. Jedną rękę wbił w ziemię, żeby się zatrzymać, drugą sięgnął do ręki Rhody. Wymacał po ciemku jej bezwładne palce i odnalazł broń. Wszystko działo się w zwolnionym tempie. Nad podwórzem przetoczył się potężny grzmot burzy i mniejszy, ale groźniejszy grzmot wystrzału. Crow ścisnął pistolet w rękę, zerwał się na kolana i oparł palec na osłonie spustu. Coś uderzyło go na wysokości paska, po prawej stronie. Uderzenie było na tyle mocne, że poderwało go z ziemi i obróciło jak szmacianą lalką. Bezwiednie wyrzucił ręce w powietrze, jakby się poddawał. Mało brakowało, a wypuściłby broń. W obu bokach czuł pożar. Na świecie zabrakło powietrza i zrobiło mu się ciemno przed oczami. Wyjąc z bólu, obrócił się, podrywając do góry ręce z pistoletem. Mimo że ugiwały się pod nim kolana, raz za razem pociągał za spust. Ruger zataczał się do tyłu, w miarę jak trafiały go kolejne kule wystrzeliwane przez Crowa.

Ale nie upadł.

Potem Crow usłyszał od strony domu jakiś głos, następnie zobaczył światło i ktoś wpadł na podwórze, z bronią uniesioną do strzału. Wypalił, ale Ruger właśnie rozmyślał się w ciemności jak cień. Zataczał się, chwiał jak pijany i uciekał w kierunku zwartej ściany kukurydzy. Policjant nie przestawał strzelać. Jedna z kul rozbiła w drobny mak boczną szybę Missy, ale nie dało się stwierdzić, czy którakolwiek trafiła Rugera.

Crowowi kręciło mu się w głowie, ale mimo to ruszył w pogoń. Jednak po kilku krokach nogi odmówiły mu posłuszeństwa i ciężko upadł na kolana. Nie wypuścił broni. Celował teraz wysoko w niebo. Oczy uciekły mu pod powieki i runął na plecy, strzelając w noc, w burzę, strzelając, dopóki iglica nie szcęknęła sucho w pustym leżu. Pistolet wypadł mu z ręki, a on sam pogrążył się w ciemności.

ROZDZIAŁ 18

1.

Koniec pracy i koniec burzy.

Sine chmury odpływały niedbale i z niemą satysfakcją, pozostawiając za sobą spustoszenie i okrutną ciszę. Zimny beznamiętny księżyc spoglądał w dół

zadowolony z bólu i cierpienia na ziemi i obojętny na to, co skrada się w kukurydzy.

Stada nocnych ptaków, dotąd stłoczone pod mokrymi drzewami, wyruszały na podbój nieba, zapelniając je po horyzont, a ich ironiczne pokrzykiwania zlewały się z wyciem policyjnych syren.

Przed dom starego Guthriego zajeżdżały coraz to nowe samochody, a mrok przecinał blask czerwonych, niebieskich i białych świateł. Trzaskały drzwi, z aut wyskakiwali ludzie i zalewali miejsce zbrodni. Pochylali się nad zwłokami, zapalali latarki, otwierali apteczki, szukali śladów życia, starając się powstrzymać krew tryskającą ze zbyt wielu ran.

Sierżant Ferro obcesowo przedarł się przez tłum policjantów i przykucał przy Rhodzie. Jerry Head przyłożył jej palce do szyi i spojrzał z niepokojem na Ferro.

- Żyje - powiedział. Ferro odwrócił się i nakazał:
- Lekarza, szybko!
- Jestem, sir - odezwał się ktoś tuż przy jego boku. - Proszę zrobić mi trochę miejsca.

Head dotknął ramienia detektywa.

- Sierżancie, to był Ruger. Widziałem go i oddałem kilka strzałów. To na pewno był on.

- Gdzie?
- Uciekł w kukurydzę.
- Trafiłeś go?
- Chyba... tak, sir. Ale nie dam głowy. Wydaje mi się, że facet, który prowadził chevroleta, go załatwił, ale sam też dostał.

Ferro uważnie wpatrywał się w jego twarz.

- Trudno stwierdzić... była burza i w ogóle... - dokończył Jerry.

Terry przedzierał się przez błoto z twarzą stężałą od widoku krwi i ciał. Śmierć. Nie wiedział, gdzie patrzeć, nie wiedział, co myśleć. Czuł się jak na wojnie.

Zauważył Crowa i natychmiast do niego podbiegł.

- Lekarza! - wrzasnął, przyciskając palce do szyi przyjaciela.

Brak pulsu.

Odwrócił się zrozpaczony i napotkał wzrok Val. Leżała zwinięta w kłębek, a jej ciało było tak zmasakrowane, że Terry z trudem ją rozpoznał. Miała otwarte oczy. Popatrzyła na Terry'ego i zrozumiała powód jego bólu.

I wrzasnęła.

2.

Była to cholernie krwawa robota i cholernie paskudna.

Czas włókł się niemiłosiernie, odliczając minuty do północy. Burza odeszła daleko na zachód, ale teraz z północy wiał zimny, przenikliwy wiatr, gryząc ostrymi zębami i drapiąc pazurami. Ludzie, drżąc z chłodu, pracowali bez ustanku.

Policja i ratownicy zajęli się przewiezieniem trzech ofiar. Dwie policjantki, Coralita Toombes i Melanie White, pomogły Connie Guthrie się ubrać i zabrały ją do szpitala policyjną furgonetką. Policjanci usunęli się na bok, intuicyjnie wyczuwając, że szlochająca kobieta bardziej potrzebuje teraz towarzystwa innych kobiet niż widoku munduru. Mark z innym funkcjonariuszem pojechali za nimi. Wciąż był ogłuszony i w szoku i nie miał głowy, by zainteresować się ojcem i siostrą. Teraz mógł myśleć - na tyle, na ile w ogóle był w stanie myśleć - tylko o żonie.

Wciąż nadjeżdżały wozy patrolowe. I karetki. Liczba ludzi na farmie starego Guthrie'go rosła, podobnie jak masa świateł wzdłuż drogi.

Terry Wolfe starał się to wszystko ogarnąć, chciał zachować się jak burmistrz, ale był złamany i tak zmęczony, że nie miał na nic siły. Po pewnym czasie wypadki zaczęły toczyć się same i odpływać od niego, a on stał się biernym obserwatorem, pozostawiając wszystko w rękach specjalistów. Wysepił papierosa od Jimmy'ego Castle'a i odpalił go od LaMastery, który, rzuciwszy mu słaby uśmiech, pospieszył za sierżantem Ferro. Wciągając głęboko dym, Terry okrążył dom, wszedł do środka i wyszedł, przeszedł się w obie strony podjazdem wśród samochodów, starając się, by go widziano, w razie gdyby ktoś go potrzebował, ale mając nadzieję, że wszyscy zostawią go w spokoju.

Patrzył, jak ratownicy krzątają się przy leżących obok karetki noszach, zaciągając pasy, a policjanci przestawiają auta, robiąc miejsce. Stanął bliżej, odprowadzając wzrokiem rannych.

Pierwsza we wnętrzu karetki zniknęła Rhoda. Miała poszarzałą spokojną twarz, zapadnięte oczy. Leżała pod respiratorem, a rany po kulach na klatce piersiowej i brzuchu pokrywały bandaże. Ratownicy dożylnie zaaplikowali jej płyn Ringera i kontaktowali się przez radio z psychologiem w izbie przyjęć w Pinelands. Terry'ego ogarnął smutek. Wyglądała jak czternasto-, najwyżej piętnastoletnie dziecko. Studentka prawa, która chciała po prostu od-bębnić praktykę w spokojnym miasteczku, by przekonać się, jak to jest. I co, pomyślał gorzko, jak to jest? Koszmarnie.

Wsunęto nosze do karetki i zatrzaśnięto drzwi.

Następna była Valerie Guthrie. Tonęła w bandażach, z lewą ręką usztywnioną wzdłuż ciała i zacisniętymi powiekami. Co jakiś drżała, jakby oglądała przerażający film. Terry nie mógł wydobyć z niej ani słowa, ale z tego, co mówili lekarze, nie była w stanie mówić prawdopodobnie z powodu szoku, a nie urazu. Zastanawiał

się dlaczego. Nie przepadał za Val, zawsze wydawała mu się gruboskórna, zbyt szczerą, ale ponieważ wiedział, że ona i Crow się kochają, starał się ją polubić. Nie wyglądała na szczególnie poszkodowaną, więc zachodził w głowę, co ją tak załamało? Zaciągnął się dymem, patrząc, jak znika we wnętrzu ambulansu.

Ostatni był Crow.

Jego twarz, poprzecinana ranami i zadrapaniami, była ciemna od sińców i woskowata niczym maska. Terry czuł napływające do oczu łzy. Wciąż na nowo przeżywał chwilę, gdy starał się wybadać jego puls i niczego nie poczuł. A potem jeszcze przeraźliwy krzyk Val. Zastanawiał się, czy to może on sprawił, że oszalała, a jeśli tak, to po części ponosił odpowiedzialność za jej stan. Skąd miał wiedzieć, że szuka pulsu w złym miejscu?

Kiedy pojawili się ratownicy, wymacali tętnicę szyjną i oznajmili, że Crow żyje, Terry poczuł ogromną ulgę i palący wstyd. Szukał pulsu przyjaciela nie tam, gdzie trzeba, więc nie ma się co dziwić, że niczego nie wyczuł. Chciał powiedzieć o tym Val, wytłumaczyć jej i błagać o wybaczenie, ale ona straciła przytomność. Śpiączka pourazowa. Miała odjazd, ale nie ma tego złego... Terry zastanawiał się, czy aby na pewno. Gdyby wiedziała, że Crow żyje, na pewno poczułaby się znacznie lepiej.

Terry dotknął twarzy przyjaciela, czując lodowaty chód i śliski pot.

- Chryste, Crow... - szepnął.

- Kula drasnęła twarz z lewej strony - poinformował rzeczowo ratownik po krótkich oględzinach. - I z prawej. Wygląda jak lustrzane odbicie.

- Czy on umrze? - zapytał ze strachem Terry.

Ratownik wzruszył filozoficznie ramionami i powiedział:

- Może ze starości. Dostał dwa razy i nic. Ma facet sporo szczęścia. Stracił dużo krwi i ktoś go nieźle poharatał. Siniak na głowie wygląda, jakby oberwał rurą czy czymś takim. A teraz, jeśli mogę...

Terry musiał pozwolić im wrócić do pracy. Patrzył na Crowa przypiętego pasami i gotowego do odjazdu do szpitala na spotkanie z chirurgiem.

- Dobra, Jack, dawaj go! - zawołał ktoś ze środka karetki. Ratownik, który wcześniej zaliczył rannego do świata żywych, teraz podszedł sprawdzić pasy przy noszach.

- U mnie w porządku.

Dwaj ratownicy kucnęli i unieśli nosze z niezwykłą delikatnością i wprawą.

- Uważajcie na niego - nakazał Terry tonem burmistrza.

Mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Słyszeli te słowa co najmniej pięćdziesiąt razy na tydzień, jakby ludzie myśleli, że zwykle nie uważają.

- Auć! - odezwał się ktoś tonem pełnym skargi.

Terry zaniemówił.

Crow otworzył oczy, rozejrzał się, zacisnął powieki i westchnął:

- Cholera. Co jest?

Nie wierząc własnemu szczęściu, rozpromieniony Terry przypadł do noszy i wziął przyjaciela za rękę.

- Ty cholerny idioto - wypalił.

- Też cię kocham - wychrypiał Crow i zamrugał kilka razy. - Chryste, aż tak się urżnąłem?

- Nie, durniu, dostałeś kulkę.

Crow otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Na wspomnienie ostatnich wydarzeń twarz mu stężała.

- Val! - Spróbował usiąść, ale potężny ból i ratownicy powalili go z powrotem na nosze.

- Ćśśś, z nią wszystko w porządku - uspokoił go Terry. - Jest w drugiej karetce i w dobrych rękach. Wyjdzie z tego.

Z trudem oddychając, Crow wyszeptał:

- Bogu niech będą dzięki. - Miał trudności z formułowaniem myśli. Po kilku próbach wycedził jeszcze: - Terry... czy mi się... udało?

- Co? Czy co ci się udało?

- Zabić tego skurwiela.

Terry poklepał go po ramieniu.

- Z tego, co powiedział jeden z ludzi sierżanta Ferro, staliście, strzelając do siebie, ty upadłeś, a kiedy policjant też zaczął strzelać, Ruger zwał.

- Ruger? - Crow zrobił wielkie oczy. - To naprawdę był... on?

- Tak... Co, jesteś z siebie dumny?

- Niech to, Terry, twardy był. Prawie... nie mogłem dać mu rady...

- Biłeś się z nim?

Crow oblizał poranione wargi, po czym, wprawdzie nieco niespójnie, ale opisał przyjacielowi przebieg wypadków:

- Daliśmy sobie nawzajem niezły wycisk... a potem do mnie strzelił. I do tej biednej dziewczyny, Rhody, też. - Złapał Terry'ego za rękaw. - Czy ona żyje?

- Żyje, ale źle z nią. Zabrali ją do szpitala.

- Jesteś pewien, że z Val wszystko w porządku?

- Wyjdzie z tego. - Terry czuł, że nie mówi całej prawdy.

Nagle przed Crowem jak spod ziemi wyrosło dwóch mężczyzn: jeden wysoki, czarnoskóry, w średnim wieku, drugi wyższy, biały i młodszy. Wyglądali na policjantów.

- Mamy przyjemność z panem Crowem? - zapytał czarnoskóry.

- Z tym, co z niego zostało.

- Czy może nam pan pomóc zrozumieć, co tu się wydarzyło?

- Przyjeżdżam, widzę, że jakiś dupek bije moją dziewczynę, więc nie będę stał i się przyglądał... Potem nie wiem, co dokładnie się stało.

- Wszedł pan do domu?

- Nie. - Crow poczuł skurcz serca. - Rodzina Val...

- ...jest w drodze do szpitala. Jej brat i szwagierka są cali i zdrowi.

Crow odetchnął, po czym dotarło do niego, że policjant słowem nie wspomniał o tacie Val.

- A co z Henrym... jej ojcem?- Ze wszystkich sił starał się przypomnieć, co Val próbowała mu powiedzieć. - Chryste! On chyba wciąż jest na polu! Musi być ranny!

- Jest pan pewien?

- Tak! Natychmiast tam kogoś wyślijcie!

Policjanci przez chwilę stali bez ruchu, po czym odeszli. Słysząc było, jak wydają rozkazy.

Crowowi wydawało się, że jego ciało jest jedną wielką raną. Do tego nie był w stanie myśleć, czuł, że odpływa.

- Terry... - Przyciągnął przyjaciela za rękaw, którego wciąż kurczowo się trzymał.

Ten pochylił się nad nim i zapytał:

- Tak?

- Znajdź... Henry'ego!

Po tych słowach ogarnęła go ciemność.

Terry opadł na krzesło, wzdychając z przygnębienia i odrazy.

- Dobra, zabierajcie go. Kiedy dotrzecie do szpitala, powiedzcie, że to na rachunek miasta. Aha, i niech doktor Weinstock do mnie natychmiast zadzwoni. Podkreślam, natychmiast po operacji pana Crowa - powiedział tonem nieznośnym sprzeciwu, patrząc na wysokiego i barczystego kierowcę karetki.

- Zrozumiano?

Ratownicy skinęli głowami.

- Dobrze, możecie jechać.

Ambulans odjechał tak szybko, jak pozwalał stan chorego. Terry patrzył za nim, po czym obrócił się na pięcie i kazał zawołać sierżanta Ferro. Detektyw był pogrążony w cichej rozmowie z LaMastra.

- Jak twój przyjaciel? - zapytał Ferro.

- Stracił przytomność. Właśnie odwieźli go do szpitala - poinformował Terry.

- Powiedział coś jeszcze?

- I tak, i nie. Starł się z mordercą i choć twierdzi, że prawie go pokonał, wygląda na to, że walka była wyrównana.

- W takim razie Jerry Head musiał widzieć Boyda wbiegającego w kukurydzę - dedukował LaMastra. - Gdyby twój kumpel wdał się w bójkę z Rugerem, musielibyśmy go zeskrobywać z ziemi.

Terry uśmiechnął się słabo.

- Może tak, a może nie. Nie doceniacie Crowa. Może nie jest wielki, ale ma jąja.

- Umie się bić? - spytał LaMastra.
- I to jak. Mógłbym wam opowiedzieć...
- ...może innym razem - przerwał im Ferro. - Co jeszcze powiedział?
- Że postrzelił tego drugiego. Zdziwił się, kiedy mu powiedziałem, że Ruger, czy ktokolwiek to był, wbiegł w kukurydzę. Powiedział, że facet dostał cztery czy pięć razy.

Ferro chrząknął.

- Oficer Head również oddał strzał do podejrzanego, ale nie jest pewien, czy trafił. Mówi, że dobrze mu się przyjrzał. Opis pasuje do Karla Rugera.

- Niemożliwe, to musiał być Boyd - powtórzył LaMastra, kręcąc głową.

- Tak czy siak, facet zostawił pobojuwisko, a my ciągle jesteśmy w tym samym miejscu, co przed godziną - podsumował Ferro z miną grabarza.

- Crowowi musiało się tylko wydawać, że kilkakrotnie go trafił - stwierdził LaMastra. - Było ciemno, lało, dostał kilka ciosów, źle widział. No, a Jerry strzelał z ganku... to jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów?

- Pewnie miał na sobie kamizelkę - skwitował Ferro. - Dziś każdy może taką dostać. Mogło go odrzucić na parę metrów, powalić, ale podniósł się i zwiął.

Terry, choć niechętnie, musiał przyznać mu rację. Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie, po czym popatrzyli na skąpane w świetle księżycy pola.

- To znaczy, że i Boyd, i Ruger wciąż są na wolności - stwierdził Terry. - Tak jak Henry Guthrie.

Ferro pociągnął nosem i wskazał podbródkiem przed siebie.

- Moi ludzie właśnie przeczesują pola. Jeśli pan Guthrie - lub ktokolwiek inny - tam jest, znajdziemy go.

Przez chwilę stali w milczeniu, podczas gdy policja, technicy i ratownicy kręcili się wokół nich i ani oni, ani żaden z dziesiątków funkcjonariuszy nie zauważyli stojącego na skraju pola szczupłego mężczyzny o poszarzałej skórze, w czarnym płaszczu, z gitarą na ramieniu. A kiedy niebo przecinały błyskawice, cień wysokiej kukurydzy padał na ziemię po drugiej stronie, jakby go tam wcale nie było.

ROZDZIAŁ 19

1.

Leżał w ciemności.

Krew wypływała z niego, przesiąkała przez ubranie, wnikała w ziemię pod jego plecami, pozwalając wygłodniałej glebie się pożywić. Ponad nim księżyc w towarzystwie

okalających go gwiazd spoglądał w dół z typowym dla siebie chłodem. Nocny ptak zawodził żałośnie w oddali wśród wycia syren, krzyków ludzi i ryku samochodowych silników.

Wiedział, że wciąż znajduje się zbyt blisko domu, bezpieczny tylko pod osłoną nocy i dlatego, że nikt nie ma pojęcia, w którą stronę poszedł. Jednak nie może tu pozostać. Niedługo skończą się babrać z tymi dupkami w domu i zaczną go szukać z latarkami, a może nawet z psami.

- Cholera! - warknął.

Musi wstać, był tego świadom.

Ale teraz chciał po prostu leżeć.

Nawet nie ze względu na ból. Karl Ruger wiedział wszystko na temat bólu i nie po to przez całe życie go zwalczał, by teraz się nim przejmować.

Nie, przepelniała go nienawiść. Nienawiść pozwoliła mu stanąć na nogi i odkuśtykać na bezpieczną odległość od tego gnoja, który zrobił z niego sito. Nienawiść pchnęła go daleko od glin i całego zamieszania. To nienawiść pozwoliła mu zachować świadomość, kiedy rany i upływ krwi chciały uspić go i przynieść niechaybną śmierć.

To w końcu nienawiść nauczyła go cierpliwości.

Nienawiść sprawiała, że chciał żyć, a nie umrzeć. Nienawiść obmyślała sposoby na zachowanie świadomości, siły i życia tak długo, aż znajdzie pomoc, aż tę pomoc wymusi. Tylko nienawiść i nic innego zmusiły ręce do wepchnięcia kawałków koszuli w otwory po kulach i powstrzymały go od wrzasku. Nie zatamowało to upływu krwi, ale go spowolniło.

Nienawiść była też mądra. Wiedziała, że jeśli Ruger nie odpocznie choćby przez moment, zginie na miejscu i sukinsyny będą górą. Sukinsyny udowodnią, że są silni. O nie, Karl Ruger nie może do tego dopuścić. To nienawiść była powodem, dla którego biło jego czarne serce. Ona zimno i sprawnie pompowała ocet do żył, ona sprawiała, że uśmiechał się i ślinił na widok strachu w oczach innych ludzi. Nienawiść była jego alter ego, definicją jego samego, jego dopełnieniem. Teraz była mu tarczą, zdradzając sekret, jak przeżyć tę długą kurewską noc.

Jakby tego było mało, nienawiść stała się jego jedynym bogiem. Bogiem mrocznym, który nocami wysłuchiwał jego bluźnierczych modlitw, oferując w zamian nie rozgrzeszenie, a przyzwolenie, zachętę, pokusę.

Leżąc tak, umierając, krwawiąc, starając się zebrać resztki sił, by raz jeszcze powstać i ruszyć, na swój własny sposób modlił się o siłę.

Modlił się o siłę, by móc żyć tak długo, by odnaleźć tego małego sukinsyna i go zabić. Powoli i boleśnie. Wyrafinowanie. Modlił się o siłę, by odszukać tę wiejską sukę ze złamanym nosem i nauczyć ją wielkomiejskich zwyczajów. Jego własnych. Modlił się, by starczyło mu siły, by zranić ich wszystkich. Zranić ich do żywego, tak, że nawet jeśli jakimś cudem przeżyją jego zemstę, będą modlili się, by nie

dożyć jutra. On modlił się o siłę, by odszukać Boyda i swoją kasę i sprawić, żeby Boyd żałował, że jego ojciec kiedykolwiek wypieprzył jego matkę. Żeby żałował, iż w jego ptasim mózdzku kiedykolwiek zaległa się myśl, by zdradzić Karla Rugera i że nie zginął podczas kupowania prochów w Filadelfii.

Ruger modlił się o siłę, by być dla nich wszystkim tym, co jest tak czarne jak czerń jego serca.

Przez bezchmurne niebo niczym przebrzmiałe echo powracającej burzy przeto-
czył się niesamowity grzmot.

„Ruger, jesteś moją lewą ręką”.

Nagle w jego umyśle pojawiły się słowa, wyraźne i mocne, jakby ktoś wymówił je głośno.

Karl Ruger leżał na polu kukurydzy, karmiąc głębę swoim życiem, nienawiścią i czarną modlitwą.

Coś poruszyło się w zwieszającym się nad polem bezmiarze nocy. Coś, co usłyszało szept Rugera i wściekle wrzaski jego duszy. Coś, co zostało powołane do życia przez tę samą siłę, która sprawiła, że Karl Ruger rozbił się w Pine Deep. Siła podniosła się, ciągnąc za sobą przerażenie, i jak apostoł piekła, przybywający jako odpowiedź na modlitwy Rugera, ruszyła w kierunku pól, gdzie leżał.

2.

Gdzie podziewa się Val? Przecież dopiero co ją widział. Henry najpierw był przekonany, że tak było, po chwili stwierdził jednak, że niczego nie pamięta. Może to był sen?

A co z Markiem? Mark by mu pomógł. Jest tak silny, że zaniósłby go nawet do domu i zadzwonił po karetkę.

Mark? Był pewien, że krzyknął, ale słowo odbiło się echem w jego głowie i wiedział, że nie ma na tyle odwagi, by wymówić głośno imię syna.

Henry Guthrie znów zamknął oczy, powstrzymując cisnące się do oczu łzy.

Proszę, Panie Boże, błagał w duchu, proszę, pomóż im.

Coś zaszeleściło w kukurydzy niedaleko i Guthrie uniósł powieki. Wymagało to tyle siły, co podniesienie ciężarówki przy zmianie koła. Zamglonym wzrokiem rozejrzał się po zalegających wokół cieniach z nadzieją, że może...

Ale to nie Val nadchodziła mu z pomocą. I nie Mark. Ujrzał nieznajomego, który zbliżył się do niego i zatrzymał. Jego twarz była szara jak mgła zbierająca się między łądogami kukurydzy. Tani garnitur miał przemoknięty do suchej nitki, a w jego kręconych włosach połyskiwały jak brylanty krople deszczu.

Guthrie próbował coś powiedzieć, ale udało mu wyszeptać tylko:

- Kim...

Mężczyzna ukucnął powoli, a następnie usiadł na ziemi, krzyżując nogi. - Nie obawiaj się mnie, Henry - powiedział.

- Kim... - wychrypiął Henry.

- Starym znajomym. Przyszedłem, by dotrzymać ci towarzystwa.

- Pomóż... mi...

Szkielet pokręcił ze smutkiem głową.

- Nie, Henry, przykro mi, ale na to jest już za późno.

Guthrie przyknął na chwilę oczy, czując naciągającą pustkę.

Był pewien, że kiedy je otworzy, mężczyzna zniknie i okaże się, że to jedynie umierający mózg płata mu figle. Ale on wciąż tam był.

- Val... - Guthrie zebrał wszystkie siły, by wymówić to jedno słowo. Ale musiał wiedzieć, choć bardzo się bał.

- Żyje.

- Mark?

- On i Connie też. Wszyscy żyją.

- Dzięki... - zaczął, a dokończenie zajęło mu dużo czasu - ...Bogu.

Szkielet pozostawił to bez komentarza, ale wyraźnie posmutniał. Położył sobie gitarę na kolanach.

Guthrie próbował unieść rękę i go dotknąć. Widząc nadludzki wysiłek, Szkielet ujął dłoń mężczyzny. Jego szczupłe palce były chłodniejsze niż pozbawiona krwi skóra.

- Kim... jesteś...?- Guthrie domagał się odpowiedzi. - Czy... ja... cię... znam...?

Na ustach Szkieleta pojawił się słaby uśmiech.

- Znałeś. Dawno, bardzo dawno temu - powiedział nieobecny głosem. - Kiedyś jako jedyny okazałeś mi dobroć.

- Nie... pamiętam...

- Przypomnisz sobie. Niedługo. A teraz odpocznij, Henry. - Na twarzy szarego mężczyzny malował się smutek, a w kącie oka zablęśla łza. - Zaśnij. Nie myśl o niczym. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Po prostu śpij, Henry. Śpij.

Powieki Guthriego opadły, a ręka w dłoni Szkieleta zwiotczała. Wydawało się, że starszy mężczyzna się poddał. Wyraźnie uszło z niego napięcie, oddech się wyrównał.

Szkielet jeszcze przez chwilę siedział bez ruchu, wciąż trzymając wiotką dłoń. Potem pochylił się i złożył na czole mężczyzny pocałunek. Łza z kącia oka kapnęła prosto na twarz Guthriego. Szkielet dotknął mokrego miejsca, a następnie wziął gitarę i zaczął śpiewać.

- Śpij dobrze, Henry - szepnął na koniec. Powiew zimnego wiatru omiół ich i uniół dźwięki bluesa prosto do nieba.

3.

Karl Ruger czuł zamykającą się wokół niego ciemność i przeklął ją.

Ale ciemności nie dało się przekląć, była odpowiedzią na przekleństwa rzucane przez jego duszę, jego nienawiść i jego gniew.

Ciemność nie była bezkształtna. Wylazła z cienia, stanęła nad nim i spojrzała na niego, potężniejsza od odległego księżyca.

Rugerowi zapało dech w piersiach, kiedy uświadomił sobie potęgę rozlanego wokół mroku. Miał wrażenie, że to, na co patrzy, ma ludzką sylwetkę - ramiona, nogi, korpus... tylko z głową było coś nie tak, nie należała do człowieka. Kiedy zjawą pochyliła się nad nim, zauważył wykrzywione szerokim uśmiechem usta. Jej głowa przypominała nieudolnie wydrażoną dynię ze złowieszczym grymasem i płonącymi oczami.

W końcu w nie spojrzał: wszechwiedzące, płonące jak węgle. Kreatura wyciągnęła po niego żelazne pazury i uniosła w górę. Jego ciałem wstrząsnął ból, ale nawet tego nie zauważył. Cała uwaga koncentrowała się na wpatrzonych w niego pożądliwie przerażającej twarzy, która była tak blisko, że poczuł gorący i kwaśny odór piekła. Ciało ohydny wydawało się skręcać i zwijać, a ubranie falować i wybrzuszać. Na jego oczach z fałdów starego garnituru wylazło robactwo, by zaraz wleźć z powrotem. Trzymające go ręce nie wydawały się należeć do człowieka: były silne, ale wyglądały dziwnie. One także marszczyły się, jakby wypełniały je nie skóra i kości, a tysiące oddzielnych części poskręcanych i upchniętych pod tkaniną. Nawet on, rozpustny, umierający i zły do szpiku kości, zadrzał pod ich dotykiem.

Mimo to się nie opierał, nawet nie próbował. Nie chodziło o to, że nie miał tyle siły, ale czuł, że nie warto. Nie przeciwko temu czemuś.

„Ruger, jesteś moją lewą ręką”. Znów w głowie echo tych samych słów.

Może właśnie wtedy zaczął rozumieć, dlaczego zwlekał z opuszczeniem domu rodziny Guthrie i dlaczego pozwolił prowadzić Tony'emu. Te wybory przywiodły go do Pine Deep i tu zatrzymały. Analizując przebieg wypadków, doszedł do wniosku, że musiały zadziałać jakieś siły, że czyjaś wola - silniejsza niż jego własna - pociągała za sznurki.

„Ruger, jesteś moją lewą ręką”.

Teraz wydawał się rozumieć i akceptować rozwój wypadków. Cieszył się. Trzymająca go w ciemności zjawą pochyliła się i zaczęła szeptać mu do ucha straszne tajemnice.

Po jakimś czasie nawet ptaki odlatywały spłoszone dzikim śmiechem Karla Rugera.

CZEŚĆ III

CHRZEŚT SZKIELETÓW

*Czarny duch jest obrazem, czarny duch jest cieniem.
Czarny duch jest obrazem, czarny duch jest cieniem.
Z jego mrocznych ust słowa nie płyną,
Czarny duch się nie kala mówieniem.*

Lighting Hopkins, *Black Ghost Blues* (Blues mrocznych duchów)

*Grób mą poduszką,
zimna ziemia to łóżko.*

Blind Willie McTell

*Tu na płycie nagrobnej leży broń ma i czeka
żąda kul marmurowych wprost w serce człowieka.
Ja popalam proch i popijam dynamit,
jestem gotów do walki i wszystkich mam za nic.*

Muddy Waters (za Williem Dixonem) *I'm Ready* (Jestem gotów)

ROZDZIAŁ 20

1.

Malcom Crow był pogrążony w ciemności i bardzo długo w ogóle nie śnił - ani na izbie przyjęć, ani podczas operacji. Nie śnił również, kiedy odurzono go narkotykami, pozszywano i obandażowano. Nie śnił na oddziale pooperacyjnym ani przez kilka godzin w izolacie.

Dopiero później, kiedy noc miała się ku końcowi i świt rozjaśnił horyzont, jego mózg przestał stawiać opór i Crow miał sen...

Szedł przez płonące Pine Deep. Patrzył na zwęglone sklepy i ziejące pustką okna. Z otwartych drzwi buchały kłęby dymu, chodnik zaśmiecały okopcone cegły, powyginane markizy i miliony odłamków szkła.

Dotarł do centrum Horn Hill. Miał na sobie dżinsy, adidasy i krótki podkoszulek - wszystko podarte, pokryte plamami krwi i sadzy. Wiedział, że krew nie jest jego; była ciemnoczerwona i gęsta, a do tego śmierdziała zepsutą rybą.

W jednej ręce niósł samurajski miecz z pogiętym ostrzem pokrytym zakrzepłą krwią. Miecz zwisał z jego prawej ręki, tęnym końcem znacząc w pokrywającym ulicę kurzu jego drogę.

Niebo było czarne i puste jak rozwieszona nad miastem płachta, lecz mimo to Crow wiedział, że ponad smolistą nicością chmur jest księżyc, biały i ponury jak błada czaszka.

Kiedy szedł ulicą, mijając stojące w płomieniach samochody, usłyszał słodki dźwięk bluesa. Nadstawił ucha i po chwili rozpoznał początek starej piosenki Roberta Johnsona *Hellhound on My Trail*. Ktoś grał ją na gitarze, trochę zmieniając refren... Wydawała mu się teraz mniej złowroga, bardziej melancholijna.

Nie, to nie to. Nie była melancholijna, tylko po prostu smutna, jakby coś opłakiwała.

*Blues spada na mnie jak grad, blues spada na mnie jak grad.
Mmm, blues spada na mnie jak grad, blues spada na mnie jak grad. Nieubła-
ganie czas pcha mnie do przodu, ogar z piekła złapał mój ślad.
Ogar z piekła złapał mój ślad, ogar z piekła złapał mój ślad.*

Ktoś zagrał piosenkę do końca, a potem od nowa. Crow wszedł na sam szczyt Horn Hill, aż dotarł do wejścia do szpitala uniwersyteckiego. Na przyszpitalnym parkingu panował bałagan: poprzewracane samochody w ogniu, karetka oparta dwoma kołami o radiowóz, przednie koła radiowozu bez powietrza, setki ciał.

Spojrzał na zwłoki i serce mu zamarło.

Znał ich.

Wszystkich, co do jednego.

Henry Guthrie siedział oparty plecami o rozbitego forda bronco z piersią podziurawioną kulami. Parę metrów dalej Terry Wolfe leżał twarzą do ziemi na ogromnym lustrze z ozdobną ramą i popękana taflą deformującą jego odbicie. Żaden z kawałków szkła nie ukazywał twarzy Terry'ego, wszystkie odbijały wielkiego psa. Naprzeciwko wejścia Mike Sweeney, dzieciak, który roznosił gazety, leżał z piersią przebitą samurajskim mieczem. Kiedy Crow spojrzał na swoją dłoń, nie miał już w niej klingi. Patrzył na znajome twarze: przyjaciele z miasta... właściciele sklepów, farmerzy, nauczyciele, pracownicy szpitala... gliny. Zna ich wszystkich. Albo prawie wszystkich. Cztery osoby na pewno zna z widzenia, ale w tej chwili nie mógł skojarzyć nazwisk. Był tam niski pulchny chłopak leżący na wznak. W jednej ręce trzymał magnetofon, a w drugiej pistolet. Atrapę. Obok niego ujrzał wysoką czarnoskórą kobietę, która kiedyś musiała być piękna. Kiedyś, zanim została zmasakrowana przez kogoś lub coś. Niewiele z niej zostało. Odwrócił wzrok z odrazą i smutkiem. Dwóch mężczyzn leżało opartych o koła radiowozu: czarnoskóry w średnim wieku i biały, młodszy od niego. Obaj mieli zawieszona na szyi odznaki, ich broń leżała na ziemi. Prawa dłoń czarnoskórego i lewa białego złączone były w uścisku. Nie wyglądali jak zakochani, a raczej jak żołnierze dodający sobie otuchy w obliczu śmierci. Czuł, że skądś ich zna, i było mu przykro, że nie żyją, ale ponieważ nie kojarzył ich nazwisk, ruszył dalej między ciałami.

Rozglądał się w poszukiwaniu Val... Szukał, mając nadzieję, że jej tu nie znajdzie.

Dotarł do wejścia do szpitala i zajrzał do środka. Wszędzie mnóstwo krwi i ciał. Ta rzeź zaczynała go przerażać. Postanowił skoncentrować się na poszukiwaniu Val.

Właśnie zamierzał przekroczyć próg budynku, kiedy usłyszał za plecami:

- Nie robiłbym tego na twoim miejscu, Scarecrow*.

* *Crow*, nazwisko bohatera, oznacza „wrona”, a jego przydomek, *Scarecrow* - „strach na wróble” (przyp. tłum.).

Odwrócił się zdziwiony. Od dzieciństwa nikt go tak nie nazywał.

Zobaczył mężczyznę. Siedział po turecku na masce zwęglonego saaba z gitarą na chudych kolanach. Jego twarz miała kolor kawy zabieleną mlekiem. Wydawał się znajomy. Wtedy, to jest w latach siedemdziesiątych, nosił fryzurę afro. Ubrany był w brązowe robocze spodnie i rozpiętą do połowy białą bawełnianą koszulę, ukazującą małe różowe blizny na klatce piersiowej i rękach. Jak na tak szczupłego człowieka, miał bardzo duże dłonie. Crow przyjrzał mu się uważnie.

- Naprawdę nie chcesz tam wejść, Scarecrow - zapewnił obcy. Uśmiechnął się, ale w jego uśmiechu był smutek.

- Muszę odnaleźć Val - powiedział Crow.

- Wiem. Ale nie powinieneś wchodzić do szpitala. Tam nie ma Val... a wierzę mi, z pewnością nie chcesz oglądać tego, co jest w środku.

Akcent grajka, głęboki i miękki, wskazywał, że musi pochodzić z okolic Missisipi, i Crowowi bardzo się podobał.

- Znam cię, prawda? - zapytał.

- Prawda. I niestety, będziesz musiał poznać mnie lepiej.

- Czy byliśmy przyjaciółmi? - chciał wiedzieć Crow. Jego głos stał się przytłumiony, co niechybnie zwiastowało koniec snu.

- Trochę. Byliśmy na dobrej drodze.

- Wiesz, gdzie jest Val?

- Wiem. Nie tu. Będziesz musiał jej poszukać. Znajdź ją, bo źle się dzieje, a ona jest kluczem do wszystkiego. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Crow pokręcił głową.

- Czy pamiętasz, co dawno temu powiedziałem ci na temat dobra i zła?

- Nie bardzo...

- Nie martw się, jeszcze sobie przypomnisz. A teraz posłuchaj uważnie - grajek pochylił się nad gitarą, a jego głos przeszedł w szept - bo musisz o czymś wiedzieć.

Crow również nachylił się w jego stronę.

- Zło nigdy nie umiera - mężczyzna rozejrzał się. - Nigdy nie umiera. Czeka.

- Nie rozumiem.

- Rozumiesz, ale nie chcesz zrozumieć. - Usiadł prosto i się roześmiał. - Piekło się zbliża, Scarecrow. Piekło się zbliża i wszyscy będziemy musieli nauczyć się czuć bluesa. Bo wiesz... w końcu chodzi tylko o bluesa. - Uśmiechnął się szeroko i trzącił struny gitary. - Zawsze chodzi tylko o bluesa.

Crow odpłynął w kolejne miejsce pozbawione snu, ale dźwięki bluesa go nie opuściły.

2.

Na zewnątrz świt ustąpił miejsca olśniewającemu słońcu. Z południowego wschodu wiał ciepły wiatr. Deszcz oczyścił powietrze, i stojąc w oknie szpitalnego pokoju Crowa, Terry miał piękny widok na miasto. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio widział tak rześki poranek. Ptaki śpiewały, pielęgniarki się uśmiechały, a wszystko wydawało się świeże i tętniące życiem.

Terry czuł się podle. Uważał, że jest brudny, nieświeży i stary. Wyglądał niechlujnie, trzęsły mu się ręce, a kiedy stanął przy lustrze w łazience, dokąd poszedł się odświeżyć, wyglądał jak kloszard. Wziął xanax na uspokojenie, poczłapał z powrotem do pokoju Crowa i opadł na fotel.

Kiedy Crow obudził się o świcie, Terry zdał mu relację z nocnych wydarzeń, ale tak naprawdę nie wiedział, ile do niego dociera. Weszła pielęgniarka i podała mu środek uspokajający - Terry nigdy nie mógł pojąć szpitalnej filozofii - i wyszła, zostawiając Terry'ego z wyrzutami sumienia.

Czuł, że wysyłając Crowa do „Przejażdżek”, stał się poplecznikiem Rugera w ataku na dom starego Guthriego. Może gdyby Crow po prostu pojechał do Val, jak miał zamiar, Henry by żył, a Crow nie musiałby zwiedzać szpitala. Z jednej strony wiedział, że takie myślenie jest idiotyczne i że nikt nie ma do niego pretensji, z drugiej jednak nie był w stanie sam sobie wybaczyć i czuł przy śpiącym przyjacielu.

Zastanawiał się, kiedy będzie mógł wziąć kolejną tabletkę. Nie poczuł szczególnej różnicy po zażyciu pierwszej i musiał ze wszystkich sił powstrzymać się, żeby nie zacząć wrzeszczeć w niebogłosy.

3.

Przebudzenie nie miało większego sensu, więc Crow natychmiast znów zapadł w sen. Spał wiele godzin i śniło mu się, że ktoś siedzi przy jego łóżku i gra mu słodkiego bluesa na starej hawajskiej gitarze.

Po kilku godzinach znów otworzył oczy. Tym razem ból głowy nie był tak intensywny i nudności minęły, ale bolała go każda część ciała i czuł, jakby jego rozpalony brzuch był jak wielki pyton.

Kiedy się rozejrzył, ujrzał Terry'ego Wolfe'a rozpartego na pomarańczowym plastikowym krześle, z nogami opartymi na stoliku i ramionami skrzyżowanymi

na piersi. Miał poluzowany krawat, potargane włosy i wyglądał, jakby przespał noc pod mostem. Czytał „Black Marsh Sentinel”.

- Dzień dobry - powiedział.

- Uhm. - Crow czuł, że mu zaschło w gardle. - Żałuję, że taki widok nie budzi mnie Codziennie.

Jego uśmiech sprawił, że Terry poczuł się jeszcze gorzej.

- Jak się czujesz?

- Paskudnie.

- I tak wyglądasz.

- Która godzina?

- Dochodzi dziesiąta - poinformował Terry i dodał: - Rano.

- Byłeś tu przez całą noc?

- Nie. Jak widzisz, wróciłem do domu i włożyłem najlepszy garnitur.

Crow oblizał wargi, a Terry podsunął mu szklanekę wody ze słomką.

Crow upił trochę, westchnął, znów upił i skinął głową.

- Nie przyzwyczajaj się do tego, że na ciebie czekam - powiedział Terry, odstawiając kubek. Kiedy usiadł, popatrzył uważnie na przyjaciela. - Odpłynąłeś, kiedy rozmawialiśmy. Nie wiem, ile zapamiętałeś.

- Z tego, co się wydarzyło? Hm... - Zmarszczył czoło, starając się przypomnieć sobie, co usłyszał. Po chwili westchnął głęboko. - Taa... Mówiłeś, że Henry nie żyje i że Val, Mark i Connie są w szpitalu. Powiedz mi, czy Val wie o śmierci ojca?

- Tak, wczoraj jej powiedziałem, ale była naszprycowana morfiną, więc dziś rano musiałem przechodzić przez to jeszcze raz. W sumie całkiem nieźle to zniosła, ale jest zupełnie rozbita.

- Kiedy będę mógł ją zobaczyć?

Terry pokręcił głową.

- Pytałem Saula Weinstocka, ale powiedział, że powinieneś spędzić w łóżku przynajmniej pełną dobę. Poza tym jest na silnych środkach uspokajających. Moim zdaniem trochę spokoju dobrze jej zrobi.

Crow skinął głową, ale nie wyglądał na przekonanego.

- Nie mogę uwierzyć, że ten sukinsyn się wywinął. Nie wiem, jak to możliwe. Wydaje mi się, że to wszystko było snem. Kiedy obudziłem się rano - chyba na OIOM-ie - czułem się jak wtedy, gdy piłem. Ciągle jeszcze czuję się, jakbym był nieźle narąbany. - I w dodatku oddałbym wszystko za drinka! Dodał w myślach, marząc o szklaneczce jacka danielsa albo zimnym kuflu sama adamsa.

- Byłoby dobrze, gdyby na tym się skończyło.

- A ta policjantka? Ta, która oberwała? Rhoda?

Terry zmarszczył czoło.

- Żyje, jej stan jest stabilny. Wyjęli z niej kilka kulek, ale jest młoda, a to ma duże znaczenie.

- A co z rodziną Val?

Przez twarz Terry'ego przemknął cień. Potarł oczy.

- Connie mocno oberwała. Na szczęście nie została zgwałcona, ale za to pobita i zastraszona. Wciąż jest na silnych prochach. Mark ma złamany nos, stracił dwa zęby i jest w szoku, ale się wyliże.

- Chryste. Ani śladu Rugera?

Terry westchnął głęboko, wstrzymał oddech i wypuścił powietrze.

- Nic. - Pokręcił głową. - Ani śladu z wyjątkiem odcisków butów prowadzących donikąd. Val też zeznała, że to był Karl Ruger, co wyraźnie jest nie w smak glinom. Nie chce im się wierzyć, że stawiliś mu czoło i że go postrzeliliś. Zgadają się co do jednego: albo go nie trafiłeś, albo miał na sobie kamizelkę kuloodporną.

- Sukinsyn - syknął Crowe. - Powinienem być go zabić gołymi rękami. Powinienem się upewnić. To moja wina, że Rhoda jest ranna i że Henry nie żyje. Gdybym go załatwił, może zdążylibyśmy uratować Henry'ego.

- Opuść - poprosił Terry i potarł podkrążone oczy. - Wczoraj odwaliliś kawał dobrej roboty, więc nie gdybaj. Teraz musisz dojść do siebie i zająć się Val. Będzie cię potrzebowała. - Próbował się uśmiechnąć, ale nie wyglądało to zbyt przekonująco. - Poza tym dostałeś dwie kulki i możesz odjechać w stronę zachodzącego słońca jak prawdziwy bohater.

- E tam, wielkie rzeczy. Draśnięcie w brzuszki i biodro. Nawet od pielęgniarki usłyszałem, że to nic takiego. Pięć nędznych szwów i obita kość.

- Za co powinieneś podziękować swojej szczęśliwej gwiazdzie. Kilka centymetrów niżej i miałbyś dziurę w nerce. Poza tym wyglądasz, jakby cię napadł pluton zawodowych bokserów.

Crow w odpowiedzi rzucił mu smętny uśmiech.

- No właśnie. Matko, ten facet to dopiero potrafi się bić. Ma pięści jak ze stali. No i jest szybki.

- To dlatego masz dziewięć szwów na facjacie, nie licząc tych małych pedalskich opatrunków. Twoja buźka jest kolorowa jak zachód słońca w tropikach. Będziesz ślicznie wyglądał na zdjęciu w gazecie.

- Jakim zdjęciu?

- Kochany, teraz jesteś gwiazdą.

- Bo dałem się nafaszerować ołowiem?

- Bo skopałeś dupę Rugerowi.

- O ile sobie przypominam, on też skopał dupę mnie.

- Aha, ale z relacji Val i ze śladów z miejsca zbrodni wynika, że dałeś mu niezły wycisk.

- Dusił Val, a ja trzymałem go na muszce. Zasłaniał się Val, żeby odebrać mi broń. Szamotaliśmy się i ja wyszedłem z tego obronną ręką. Powiedzmy.

Terry uśmiechnął się i powtórzył, naśladując przyjaciela:

- „Szamotaliśmy się i ja wyszedłem z tego obronną ręką”. O rany, to się dopiero spodoba gliniarzom. - Popatrzył na Crowa z rozbawieniem, ale i z podziwem. - Jesteś nie tylko pierwszą osobą, która dokopała Rugerowi, ale również jedyną, która próbowała go zabić i jeszcze oddycha.

- Przez respirator - zauważył Crow, stukając w rurkę doprowadzającą tlen do jego nosa.

- Chcę powiedzieć - Terry założył ręce za głowę - że dałeś mu popalić i dlatego gliny uważają cię za supermana.

- Więc czym oberwałem? Kulą z kryptonitu?

- Zgodnie ze słowami sierżanta Ferre, najwyraźniej.

- Super. Kiedy przyjdzie pielęgniarka, wykorzystam mój rentgen w oczach i ją prześwietlę.

- Proszę bardzo, wygląda jak Steve Buscemi.

- A kto to jest ten cały sierżant Ferrei, czy jak mu tam?

- Gliniarz z Filadelfii - odparł Terry, wyjaśniając przy okazji podział kompetencji.

Crow wlepił wzrok w sufit, rozważając ogrom zbrodni. Tak bardzo chciał zobaczyć Val, przytulić ją i pocieszyć.

- Jezu, i to wszystko zrobił jeden człowiek?

- Aha.

- Hmm, czy nie miało być ich trzech?

- Dobre pytanie. Jeśli chodzi o Kennetha Boyda, ani widu, ani słychu. Mark zeznał, że Ruger organizował ekspedycję ratunkową dla kumpla, który leżał połamany na polu. Tyle że gdy tam poszli, już go nie znaleźli.

- Może dał nogę, kiedy usłyszał radiowozy?

- Tak przypuszczają. Zabrał kasę i tyle go widzieli. Podobno miał złamaną nogę, ale mamy na to tylko słowo Rugera, więc jest warta tyle, co nic. W każdym razie gliny nie zwracają sobie nim głowy.

- A ten trzeci?

- Martwy.

- Dorwali go?

Terry zawahał się.

- Nie. Myślą, że to Ruger go załatwił. Mogło chodzić o podział kasy, kto wie? W każdym razie Ruger nieźle go poharatał.

- Co ma znaczyć: „nieźle”?

- Nie chcesz wiedzieć.

Twarz Terry'ego nabrała zielonkawego odcienia i Crow uświadomił sobie, że przyjaciel widział ciało. Nie drażył więc tematu.

- W takim razie rozumiem, że obława trwa.

- Tak, i to na ogromną skalę. W tę sprawę zaangażowana jest cała masa ludzi. Nawet lokalna policja.

- O, kto na przykład?

Terry wymienił kilka nazwisk.

- Hm - mruknął Crow z powątpiewaniem - to raczej zapchajdziury, nie policjanci, nie wydaje ci się? Większość z nich chyba nie bardzo się do tego nadaje?

- Zgadza się, ale znają swoje podwórko i mają prawo jazdy. Poza tym nie wszyscy są tacy źli. Jack Tunny jest w porządku. Eddie Oswald to solidna firma.

- Nawiedzony kaznodzieja.

- Był dobrym gliną i przestrzegał prawa. No i B.B. Harrison też jest do rzeczy. Połączyliśmy ich w pary: jeden gliniarz nasz, jeden z Filadelfii, no i mamy posiłki z Black Marsh i Crestville. Pół godziny temu ludzie z Filadelfii mieli się spotkać z kimś z FBI, więc niedługo będzie nam tylko brakowało Gwardii Narodowej.

- O kurde. Wszystko, żeby złapać jednego człowieka.

- Tak między nami, to nie wydaje mi się, żeby komukolwiek naprawdę zależało, by złapać tego gościa. Raczej, żeby go zastrzelić.

- I może jeszcze wbić kulek w serce?

- Może. - Terry znów potarł oczy i westchnął.

- Wiesz, że wyglądasz co najmniej tak żałośnie, jak ja?

Terry uśmiechnął się słabo.

- Pomijając fakt, że nie pamiętam, żebym w ostatnich tygodniach porządnie się wyspał, zarazę, Halloween i Karla Rugera... to czuję się do-sko-na-le.

- Jasne. - Crow popatrzył na niego uważnie. - A ty i Sara?

- Co? Nie, nic z tych rzeczy. Sara jest super. Tylko mówiłem ci, że ostatnio mam te koszmary. Bardzo żywe i prawdziwe,

- Hm. - Crow zmarszczył czoło.

- Co miało znaczyć to „hm”?

- Ja też mam koszmary. Odłot.

Patrzyli na siebie przez chwilę i kiedy Terry już miał coś powiedzieć, do sali weszła pielęgniarka. Crow zerknął na nią. Naprawdę była podobna do Steve'a Buscemiego, ale nie dorównywała mu urodą. Kiwnęła na Terry'ego i rzuciła stanowczo:

- Do widzenia.

- Ja? - Terry zamrugnął zdziwiony.

- Pan. Sio.
- Czy pani zdaje sobie sprawę, że jestem burmistrzem tego miasta?
- Padnę zemdlona innym razem, a teraz proszę się wynosić. - Odwróciła się i wbiła wzrok w Crowa: - Czas na badania.
- Ale ja...

Spojrzała na niego złym okiem, nawet bardziej agresywnie niż Ruger. Przyjaciele wymienili bezradne spojrzenia, a Terry zaczął zbierać się do wyjścia. Za plecami pielęgniarki uniósł prawą rękę i powiedział bezgłośnie: *Sieg heil!*, po czym zniknął za drzwiami. Kiedy Crow chciał go pożegnać, kobieta wepchnęła mu do ust termometr.

4.

Nikt nie śmiał się z dowcipu, więc Dixie MacVey spróbował jeszcze raz:

- Powiedziałem, że wyglądacie jak policyjne okazanie. - Zarechotał, akcentując puentę. Nikt nie podzielił jego wesołości. Zwarty szereg nieporuszonych twarzy, mieszanka szarych, błękitnych i czarnych mundurów. - Rozumiecie? Po-li-cyj-ne okazanie.

- Rozumiemy - odezwał się Shanks.

- Rany, nie macie poczucia humoru.

Oficer Jerry Head prychnął.

- Masz rację, powinniśmy śmiać się do rozpuku. Wszystko jest takie cholernie zabawne.

- Cha, cha - dodała Toombes. - Boki zrywać.

- Dobra! - zawołał Ferro, wstając zza biurka Gusa Bernhardta. - Proszę o ci-szę! - Funkcjonariusze stanęli prosto, a MacVey dołączył do nich z nadąsaną miną.

- Przykro mi, że nie ma dla wszystkich krzeseł - bąknął Bernhardt ze swojego miejsca przy drzwiach. Mundurowi stali w rzędzie z rękami opartymi na biodrach albo założonymi z tyłu. Polk i MacVey siedzieli na rozkładanych krzesłach, a La-Mastra na parapecie. Ferro przesunął wzrokiem po zebranych, zauważając kilka znajomych, jak również całą rzeszę nowych twarzy.

- Panie i panowie, przede wszystkim chciałbym wam podziękować za przybycie. Wiem, że nie wszyscy pracujecie w policji, ale to, że zgłosiliście się do tego zadania, jest godne pochwały. Raz jeszcze bardzo dziękuję. - Osiemnastu nowych rekrutów skinęło głowami. - Podsumowując: udało nam się pożyczyć osiemnaście wozów patrolowych z sąsiednich miast, tak więc większość z was będzie mogła od razu udać się na poszukiwanie zbiega. Po odprawie przydzielę wam zadania.

Otrzymałem z Filadelfii kamizelki z kevlaru, powinno wystarczyć dla wszystkich. Kto wyrusza na akcję, musi się dobrze zabezpieczyć, rozumiano? Każdy oficer ma mieć broń wyczyszczoną i gotową do użycia. Żadnych błędów, żadnego bohaterstwa i żadnego niechlujstwa. Wszyscy jesteśmy profesjonalistami i nieczęsto mamy szansę udowodnić, jacy jesteśmy świetni. Jednak to jest właśnie jedna z tych chwil. Ruger jest bardzo niebezpieczny. Zabija bez wahania i bez wyrzutów sumienia zarówno niewinnych obywateli, jak i policjantów. Nie ryzykujcie. Nie chcę, żebyście na własną rękę choćby ściągali kota z drzewa, rozumiano? Zginął policjant na służbie i jeden w stanie spoczynku. Wszyscy widzieliśmy, do czego Ruger jest zdolny, nawet jeśli chodzi o jego własnych ludzi - wyobraźcie sobie, co zrobiliby z wami.

Mowa skierowana była przede wszystkim dla lokalnych, ale Ferro z poważną miną zatrzymywał wzrok na każdej twarzy. Nawet oficerowie z Filadelfii odpowiadali mu spojrzeniem, a Head skinął głową. Większość lokalnych była w stanie wytrzymać jego wzrok najwyżej przez kilka sekund, po czym spuszczała oczy. Jeden z mężczyzn przywróconych do służby nie odwrócił wzroku i wpatrywał się w szefa intensywnie. Ferro pomyślał, że wygląda na twardziela. Zastanawiał się, czy to wojskowy, może nawet z żandarmerii?

- Są pytania?

Przez kilka sekund nikt nawet nie drgnął, po czym blondyn podniósł rękę.

- Mam pytanie, sir.

- Nazwisko?

- Edward Oswald, zmobilizowany ochotnik, sir.

- Dziękuję. Jakie macie pytanie, oficerze Oswald?

- Ten mężczyzna, Karl Ruger...

- Tak?

- Aż huczy od plotek na jego temat. Mówi się, że to on jest mordercą z Cape May. Czy to prawda?

Ferro zacisnął wargi.

- To tylko przypuszczenia.

Oswald nie dawał za wygraną:

- Sir, proszę wybaczyć pytanie, ale jeśli to on jest mordercą z Cape May, to chyba powinniśmy o tym wiedzieć. Choć jesteśmy tu tylko na chwilę, też możemy na niego trafić. Chyba powinniśmy wiedzieć, z kim zadzieramy. - Rozległ się pomruk poparcia.

Ferro zastanawiał się przez całe pięć sekund, po czym popatrzył na Gusa, a ten rozłożył ręce.

- Dobrze, uważam, że macie do tego prawo, ale pozwólcie, że powiem wam jedno: złożyliście przysięgę, nawet jeśli na krótko. Jesteście zobowiązani do

zachowania tajemnicy i macie to uszanować wszyscy, co do jednego. W tej chwili nie mogę ujawnić wszystkich faktów. Są ku temu pewne powody. Jasne? - Zebrani kiwnęli głowami. - Tak więc Karl Ruger jest poszukiwany w związku z zabójstwami w latarni Cape May w celu złożenia zeznań. Jest nie tylko głównym podejrzanym, lecz jedynym podejrzanym. Czy zamierzam głośno powiedzieć, że to on jest zabójcą? Nie, ale zdziwiłbym się, gdyby nie był. Czy to pana satysfakcjonuje, oficerze Oswald?

- Tak, proszę pana.

- Czy jeszcze są jakieś pytania? Nie? W takim razie czekajcie na wywołanie swojego nazwiska i przydział. Oficer Burke...?

5.

Przez całą długą noc i jeszcze dłuższy dzień podawano jej środki uspokajające, a ona za każdym razem broniła się przed narkotykami, odpychając macki snu. Za każdym razem przegrywała jednak nierówną walkę i spadała w otchłań. Val Guthrie nie lubiła ciemności. Wciąż uparcie płynęła w stronę odległego i słabego światła i wciąż opadała w dół. W ciemności mniej bolało, ale ona pragnęła światła.

W ciemności uśmiechał się do niej Karl Ruger. Gonił ją po polu kukurydzy z płonącymi oczami i połyskującymi ostrymi zębami. Gonił i próbował pochwycić bardzo długimi ramionami, ranił ją potwornie długimi pazurami. Biegając, wciąż potykała się o krwawiącego i umierającego ojca. Nieważne, gdzie skręciła, nieważne, dokąd pobiegła, zawsze tam był - żaloszny, zakrwawiony, z twarzą mokrą od łez i deszczu, błota i krwi. Za każdym razem, gdy go mijała, ojciec wyciągał do niej rękę, błagając o pomoc, o ratunek. Prosił, by zabrała go z deszczu, wołał jej imię, plując krwią.

Ona nigdy się nie zatrzymywała, czując na plecach jego oddech.

Za każdym razem, gdy docierała do światła na tak długo, na ile pozwalały zmęczenie i morfina, zjawia przegrywała wyścig, gubiąc się na polu kukurydzy. Val wiedziała jednak, że kiedy znów spadnie w otchłań, Ruger będzie na nią czekał.

Obudził ją dzwonn z wieży ratusza. Dźwięk, którego nie powinna słyszeć zważywszy na odległość, grubość ścian i okien. Każde uderzenie przybliżało ją do światła, zostawiając ciemność i ścigającą ją potwora coraz dalej i dalej.

Kiedy zegar wybił dziesiątą, otworzyła oczy. Zobaczyła zwykły szpitalny pokój - bzyczące urządzenia, kroplówki, połyskujący metal. W powietrzu unosił się zapach kwiatów. Dziesiąte uderzenie zegara odbijało się echem w jej głowie. Wszystkimi zmysłami starała się chłonąć otaczającą ją rzeczywistość, ciesząc się, że dotarła do światła, nawet jeśli oznaczało ból.

Usłyszała ciche pukanie i po kilku próbach udało jej się wymówić słabe i chrapliwe:

- Proszę!

Kołnierz na szyi uniemożliwiał jej swobodne poruszanie głową, ale kątem oka zobaczyła otwierające się drzwi i usłyszała szuranie stóp. Do jej pokoju wchodził ktoś ranny lub chory. Wiedziała, kto to.

- Crow?

Szuranie ustało, ale tylko na moment. Crow wszedł do środka, obszedł otwarte drzwi i stanął przed nią.

I wtedy cały świat zamarł ze strachu.

To nie był Crow.

To był Karl Ruger.

Stał przy jej łóżku, ukazując w uśmiechu zęby wysmarowane czarnym błotem i szkarłatną krwią, z czerwonymi szczurzymi oczami, potarganymi włosami i skórą pokrytą setkami larw i czerwi. Stał przed nią w pomiętym ubraniu poplamionym krwią i podziurawionym od kul. Miał dłonie białe jak marmur zakończone grubymi i ostrymi paznokciami. Zbliżył się do niej.

Poczuła w dłoni coś ciężkiego i ujrzała pistolet Crowa. Jeszcze przed chwilą go nie było, ale to nie miało znaczenia. Poczuła rozsadzającą ją wściekłość, tak wielką, a potem większą niż jej strach, i uniosła broń, celując w Rugera.

- Zabiłeś mojego ojca! - wrzasnęła i nacisnęła spust. Kula trafiła go w pierś. Oddała serię strzałów prosto w jego czarne serce.

On tylko się śmiał. A kiedy opróżniła magazynek, rzucił się na nią.

Krzyk palił jej gardło i nagle znów ogarnęła ją mokra i wibrująca ciemność. Ciemność brała ją w posiadanie, pochłaniała ją, i zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy od niej nie uciekła, nigdy nie odnalazła światła. Ciemność ją przechytrzyła.

Uciekająca ciemności Val była tak samo ranna, słaba i bezradna, jak Val leżąca w świetle pod kroplówką.

6.

Vic Wingate przedłużył sobie przerwę na lunch i jechał właśnie autostradą A-32, popalając cygaro i słuchając Trvisa Tritta, rozkoszując się widokiem swojego błyszczącego w słońcu pick-upu. Właściwie był w świetnym humorze. Wczoraj miał podły nastrój z powodu tego cholernego dzieciaka, ale dał sobie radę. Spełnił swój obowiązek i odebrał gówniarza z pedalskich „Nawiedzonych Przejazdów”, a kiedy dotarł do domu, odprężył się z pomocą Mike'a. Cieszyła go myśl, że

„wprowadził go w dorosłość” i pokazał mu, jak wygląda prawdziwa męska walka na pięści. Najwyższy czas. Prędzej czy później chłopak i tak musiałby się tego nauczyć. Ale Vic nie był zadowolony, że wszystko tak się zakończyło. Kiedy on w pocie czoła wybijał mu z tyłka „Nawiedzone Przejazdźki”, zdarzyło się coś, co wyprowadziło go z równowagi. Dzieciak nagle się do niego uśmiechnął. Zakrwawione usta, podbite oczy, krwawiący nos - a ten nagle się uśmiecha do gościa, który prze-fasonował mu twarz.

Nie tylko odebrało mu to radość z łomotu, ale sam uśmiech był trochę... dziwny.

Nigdy wcześniej chłopak się tak nie uśmiechał. Prawie zważyło go to z nóg, bo przez moment - króciutki nerwowy moment - dzieciak wyglądał jak... Griswold. Tak właśnie złoczyńca uśmiecha się po morderstwie. Jako nastolatek Vic nieraz widział ten uśmiech i dobrze go znał. Wciąż widywał go w snach.

Nie podobało mu się, że zobaczył ten uśmiech na twarzy Mike'a, i postanowił zapytać o to swojego Mistrza. Ze zmarszczonym czołem nacisnął pedał gazu.

Minęło go kilka policyjnych wozów. Jeden prowadził Jim Polk, który pomachał mu, a on skinął mu głową. Postanowił zadzwonić później do Polka. Teraz musi się zająć kilkoma rzeczami, a Polk jest dobrym chłopcem na posyłki.

Sześć kilometrów przed miejscem, gdzie policja znalazła skasowany wóz, skręcił ostro w lewo. Była to wiejska droga prowadząca przez kilkanaście większych gospodarstw po wschodniej stronie miasta do lasu państwowego, gdzie tłuczeń najpierw przechodził w szuter, a następnie piach. Pick-up doskonale radził sobie ze zmianami nawierzchni. Zresztą dobrze znał tę trasę.

Droga ciągnęła się jeszcze pięć kilometrów w głąb lasu, po czym się urywała. Vic zatrzymał samochód i wysiadł. Mimo że jak okiem sięgnąć nie było nikogo, rozejrzał się uważnie, nasłuchując. Zadowolony z wyniku, skinął głową i podszedł do gęstwiny na końcu drogi. Znów się rozejrzał, kucnął, złapał ukrytą w gąszczu linę i mocno pociągnął. Cała kępa krzewów uniosła się, ukazując bramę na zawiasach. Odciągnięcie jej kosztowało go sporo wysiłku, a bez bramy kryjówka stała otworem. Tak naprawdę krzewy stały rzędem w niskim korycie o płaskim dnie, zapewniając idealny kamuflaż. Z zewnątrz były to tylko zarośla - od środka brama. Vic otworzył ją na oścież, następnie wrócił do auta, podjechał siedem metrów, po czym wysiadł i starannie zamknął. Przypadkowi goście niczego by nie zauważyli, chyba że wiedzieliby, gdzie i czego mają szukać. Vic co jakiś czas upewniał się, czy brama jest zarośnięta i czy rośliny są zdrowe. Wybierał te wiecznie zielone, tak by

podjazd pozostawał niewidoczny przez cały rok. Wszystko od lat działało bez zarzutu.

Wsiadł do pick-upu i ruszył serpentyną pełną ostrych zakrętów. Dróżka była tak wąska, że auto Vica ledwie się na niej mieściło, ale jemu to nie przeszkadzało. Gdyby była nieco szersza, ktoś mógłby dostrzec ją z głównej drogi.

Jechał tak kilkanaście kilometrów, śpiewając przy akompaniamencie piosenki country nadawane w radiu. Wreszcie wijąca się droga rozszerzyła się, łącząc z główną. Wjazd był od lat całkowicie zarośnięty, a Vic przycinał krzaki tylko na tyle, by umożliwić sobie przejazd. Trasa prowadziła przez las wzdłuż gigantycznych starych dębów i klonów, a następnie dużo młodszych, bo najwyżej trzydziestoletnich drzew. Nie zatrzymywał się, aż dotarł do pola, przy którym stało opuszczone gospodarstwo. Wtedy zaparkował i wyłączył silnik.

Kiedy to zrobił, kątem oka zauważył jakiś ruch.

Zamarł na chwilę, a następnie wyskoczył z auta z przyciśniętym do piersi re-mingtonem. Minał wejście i patrząc na miejsce, w którym przed chwilą coś mignęło, skręcił za rogiem budynku i poszedł obok stojących przy ścianie beczek. Stworzenie, za którym szedł, oddalało się od niego. Po chwili chyba go wyczuło, bo zatrzymało się i powoli odwróciło. Vic przyjrzał mu się ze zmarszczonym czołem.

Opuścił broń i spojrzał na frontowy ganek, gdzie na górnym schodku stały dwa worki. Skinął głową, rozumiejąc, co ma zrobić, i znów spojrzał na postać.

Stała na skraju lasu, niemal zlewając się z otoczeniem. Wiedział, czym jest, choć nigdy wcześniej jej nie widział, może z wyjątkiem przerażających snów, które nawiedzały go czasem za jego sprawą. Był pewien, że stworzenie po części jest żywe. Patrzył mianowicie na homunkulusa - byt o ludzkiej postaci, wtłoczony w nią przez moc większą od siebie. Homunkulus miał na sobie podniszczone ubranie - wysłużone płócienne rękawiczki, znoszone byle jakie buty - pokryte smugami zakrzepłej krwi, najwyżej sprzed dwóch dni, zauważył Vic. Na jego ramionach spoczywała wydrążona dynia ze złośliwym grymasem. Vic pomyślał, że bardzo do niego pasuje, i również się uśmiechnął. Czuł, że z otworów łypie na niego co najmniej tysiąc czarnych oczu. Wycięty uśmiech wydawał się być odzwierciedleniem umysłu kierującego wszystkim w tym miejscu. Vicowi wydawało się, to jest prawdziwy uśmiech jego pana, a nie ten na zmasakrowanej twarzy Mike'a.

Brakowało mu Ubela, jego towarzystwa, przebywania z nim, tak jak trzydzieści lat temu.

Nagle rozległ się odgłos, na którego dźwięk Vic i stworzenie drgnęli. Psy. Vic zmarszczył czoło. Pewnie policyjne.

- Cholera - powiedział głośno. Teraz nie da rady dotrzeć do bagna, by porozumieć się z Ubelem. Ale kanał.

Psy ujadły jakieś półtora kilometra od nich, ale zbliżały się, prawdopodobnie wabione zapachem krwi na ubraniu homunkulusa.

- Nie możemy im pozwolić zbliżyć się do tego miejsca.

Stworzenie stało przez chwilę bez ruchu, jakby rozważając konsekwencje tych słów, po czym skinęło ogromną głową. Następnie, jakby ktoś nacisnął jakiś guzik albo zatrzasnęły się drzwi, siła woli, utrzymująca przy życiu tę groteskową formę, ustąpiła. Nawet gdyby stworzenie chciało, nie byłoby w stanie dłużej go kontrolować. W jednej chwili homunkulus rozprysł się na dziesiątki tysięcy mniejszych kształtów, które wyrwały się, walczyły, trzepotały i rozpierzchały się, chcąc uciec z dusznej bliskości i ścisku innych form. Ogromna i zdeformowana wydrążona dynia, służąca stworzeniu za przebranie, zakołysała się i spadła na ziemię, eksplodując pomarańczową miazgą, tak jak ludzki kształt eksplodował szczurzymi, karaluzymi, robaczymi i mysimi bytami, które pospiesznie zniknęły w zaroślach.

Psy były coraz bliżej. Vic podniósł porzucone ubranie, wytrzepał pojedyncze pająki i karaluchy, a następnie wrzucił je do pick-upu.

Następnie poszedł na ganek, by przyjrzeć się workom. Były to plecaki wypakowane po brzegi białym proszkiem i pieniędzmi. Góry pieniędzy. Vicowi z wrażenia aż zaschło w ustach.

- Niech mnie kule biją.

Uniósł plecaki, z których każdy był bardzo ciężki, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech chciwości. Po chwili uświadomił sobie, jaki skarb wpadł mu w ręce. Całą noc spędził na analizowaniu wiadomości w telewizji.

- Niech mnie kule biją i pies zje.

Rzucił plecaki na przednie siedzenie, podśpiewując pod nosem. Niespodziewane znalezisko rekompensowało niejako brak możliwości wizyty w Mrocznym Jarze. Może później się uda.

Vic spędził tu wystarczająco dużo czasu, by dobrze przyjrzeć się drzewom rosnącym jedno przy drugim obok przejścia prowadzącego do jaru.

- Zrobię z tego dobry użytek - rzucił w kierunku lasu. - Obiecuję.

Po tych słowach wszedł do auta i odjechał. Kiedy ogary dotarły na miejsce, znalazły jedynie roztrzaskaną dynię z resztkami złośliwego grymasu.

7.

Żelazny Mike Sweeney leżał na łóżku i wpatrywał się w zacieki na suficie. Jedna z plam wyglądała jak myśliwiec TIE z *Gwiezdných Wojen*. Jeden z tych zwykłych,

nie bombowiec Dartha Vadera. Mike wołał myśleć o tym, a nie o bólu. Czasem mu się udawało. Przez cały ranek próbował wszystkich sztuczek, by zapomnieć o wstydzie. Chciał go powstrzymać, zamknąć w czarnym pudle, gdzie jego miejsce, wykopać przez okno. Deklamował całe pasáže z filmów, układał w kolejności alfabetycznej tytuły powieści science fiction, obsadzał klasyki kina ulubionymi aktorami. Zwykle pomagało, ale nie dziś. Dziś wszystkie jego wysiłki nie zdały się na nic. Rana wciąż jeszcze się nie zabiłiła. Wspomnienie ostatniej nocy było zbyt świeże, zbyt dziwne.

Wciąż myślał o tym, że odkrył ludzkie oblicze Vica, ale im bardziej dawało o sobie znać fizyczne cierpienie, tym bardziej zachwył Mike'a małał. Tak, tym razem stawił mu czoła, ale jak długo jeszcze?

Nie był pewien, ile będzie w stanie znieść. Bolała go każda, nawet najmniejsza część ciała. Do ust i policzków przykładał lód, a kiedy poszedł do łazienki, zobaczył, że w jego moczu jest krew, co naprawdę go przeraziło.

Pewnie wytrzyma kolejne lanie Vica, ale czy warto tak żyć? Miał wątpliwości.

Z drugiej strony...

Od dania za wygraną powstrzymywało go to, co zdarzyło się pod koniec - wyraz twarzy Vica. Trwało to nie dłużej niż ułamek sekundy, ale dostrzegł to coś. Nie rozumiał tego, ale przez sekundę Vic wyraźnie się przestraszył. Jego, Mike'a.

Ale... dlaczego? To nie ma sensu. To Vic tu rządzi. Zbił go na kwaśne jabłko, a on jedynie osłaniał się rękami. To Vic miał nad nim przewagę.

W takim razie, dlaczego na końcu się cofnął? Co zobaczył albo co wydawało mu się, że zobaczył? Mike pamiętał, że uśmiechnął się mimo woli. Nie wiedział, z jakiego powodu.

A Vic zmarł.

Dlaczego?

Usiadł i syknął z bólu. Musi wyjść, zobaczyć promienie słońca, znaleźć się z dala od domu. Pokuśtykał do łazienki. Mocz nadal był bardziej czerwony niż żółty. Może dostanę zatrucia krwi i umrę, pomyślał z nadzieją. Otworzył apteczkę i wyjął lek przeciwbólowy. Jedno megaopakowanie na miesiąc. Wysypał na dłoń cztery kapsułki advilu i popił dwiema szklankami wody.

Całą wieczność zajęło mu włożenie bluzy, dzinsów i butów. Bolały go żebra, choć nie aż tak bardzo, jak twarz. Kiedy spojrział w lustro, by się uczesać, jedyne, co rozpoznał, to niebieskie oczy wpatrujące się w niego zza purpurowej maski. Dzięki kompresowi z lodu opuchnięta powieka wyglądała już lepiej, ale za to wokół oka malowała się żółto-brązowa obwódka.

Spuścił głowę. Znowu zobaczył Vica i poczuł, jak narasta w nim gniew. Żałował, że nie ma bronii.

Nagle przypomniał mu się pistolet Vica zamknięty w pudełku. Stał przez kilka minut, obmyślając plan. Otwarcie pudełka nie byłoby trudne, byleby ojczym się nie zorientował. Musi jedynie je wykraść, stłuc szybę i młotkiem rozwalić zamek... to nie jest trudne. Nigdy wcześniej nie strzelał, ale dużo naoglądał się w telewizji i doszedł do wniosku, że to żadna filozofia załadować, odbezpieczyć, wycelować i strzelić.

Pytanie tylko: do kogo? Czy rozwalić łeb Vica, czy swój? Obie opcje wydały mu się pociągające.

Bardzo pociągające.

Zszedł ostrożnie na dół. Był pewien, że Vic wciąż jest w pracy, choć czasem lubił przychodzić na lunch. Dom pogrążony był w ciszy. Mama spała u siebie przed telewizorem, a jej kubek nawet o tej porze pachniał ginem i limetką. Ma szczęście: Vic jest w warsztacie, a Mike życzył mu, by przygniótł go samochód. Na samą myśl o tym miał ochotę się uśmiechnąć, ale nie odważył się naciągnąć zmasakrowanych mięśni.

Gdy zaglądał do szafy w poszukiwaniu wiatrówki, usłyszał w wiadomościach coś o wprowadzeniu zakazu lotów w jakiejś pipidowie. Już miał wyjść, kiedy usłyszał nazwę: Pine Deep. Przystanął zdziwiony.

„...w hrabstwie Bucks, gdzie trwa śledztwo w sprawie strzelaniny, w wyniku której przynajmniej jedna osoba nie żyje, a trzy są ranne, w tym jeden policjant”.

Mike wstrzymał oddech, starając się nie uronić ani słowa.

„Według szefa policji w Pine Deep, Gusa Bernhardta, wczoraj wieczorem około godziny dwudziestej pierwszej nieznany sprawca włamał się do domu jednego z najbardziej zamożnych farmerów, Henry'ego Guthriego, w celach rabunkowych. Nie mamy jeszcze oficjalnego komunikatu, ale wiadomo, że napastnik ranił członków rodziny. Kiedy pojawiła się policja, otworzył ogień. Po krótkiej, ale intensywnej wymianie ognia, napastnik uciekł. Sześćdziesięcioczeroletni Henry Guthrie, szanowany członek Związku Farmerów miasta Pine Deep, został postrzelony i zmarł w wyniku odniesionych obrażeń”.

Mike z przerażenia zasłonił posiniaczone usta.

„W wymianie ognia ucierpiała policjantka, Rhoda Thomas, lat dwadzieścia sześć, studentka prawa odbywająca praktykę w Pine Deep, i Malcolm Crow, lat czterdzieści, lokalny biznesmen, przywrócony do służby w policji. Rhoda Thomas ma dwie rany postrzałowe i przebywa w stanie ciężkim w szpitalu, podobnie jak Malcolm Crow, którego stan lekarze oceniają jako stabilny. Podczas włamania obrażenia odnieśli także Mark Guthrie, lat trzydzieści sześć, syn Henry'ego Guthriego, jego żona, Connie, lat trzydzieści jeden, i siostra - Valerie, lat czterdzieści.

Córka zmarłego Henry'ego Guthriego jest narzeczoną oficera Crowa. Stan całej trójki jest dobry. Z nieoficjalnych źródeł wiemy, że sam napastnik również mocno ucierpiał podczas wymiany ognia. Szef policji, Gus Bernhardt, prowadzi dochodzenie. Trwa również pościg za zbiegłym mordercą. A w wiadomościach jeszcze o...”

- Crow... - wyszeptał. - Tylko nie to! - Wybiegł z domu tak szybko, jak pozwalało na to jego obolałe ciało.

8.

Crow próbował policzyć maleńkie dziurki widoczne w panelu podwieszanego sufitu - musiał się czymś zająć. Doszedł już do trzeciej setki, gdy usłyszał nieśmiało pukanie.

- Proszę!- odpowiedział.

Drzwi się otworzyły i do środka weszło dwóch mężczyzn. Nie znał ich, ale domyślał się, po co przyszli. Pomimo kilkudniowego zarostu, podkrążonych oczu i potarganych włosów wyglądali na gliny. Jeden był wysoki, łysiejący, z ponurą miną grabarza, a jego partner - młodszy, wyższy i bardziej muskularny. Wydawał się Crowowi również bardziej pogodny, choć w tej chwili jego twarz pokrywała maska zmęczenia. Miał krótko przyszczyżone blond włosy, a z kącika ust zwieszał się papieros. Obaj ubrani byli w wygniecione garnitury, jakby dostali je po jakichś wólczech.

- Pan Crow? - zapytał łysiejący z grobową miną.

- To, co z niego zostało.

- Czy możemy zadać panu kilka pytań?

- Zważywszy na to, że nudzę się jak mops, moglibyście sprzedać mi polisę na życie, a ja nie miałbym nic przeciwko temu.

Młodszy uśmiechnął się, starszy zachował kamienną twarz. Przysunęli sobie pomarańczowe krzesła na aluminiowych nóżkach, które wyglądały, jakby jedynym celem ich powstania było to, by nie siedzieć na nich za wygodnie. Usiedli, zgodnie wzdychając ze zmęczenia.

Crow popatrzył na nich z uśmiechem.

- Niech zgadnę. Panowie z Filadelfii?

- Zgadza się. Nazywam się LaMastra, a to mój parter - detektyw sierżant Frank Ferro.

- Chyba już was widziałem.

- Tak, byliśmy wczoraj na miejscu zbrodni.

Crow miał zabandażowane ręce, a w jednej tkwił wenflon, więc tylko wymienili skinienia głowami. Crow nadzwyczaj ostrożnie. Głowa wciąż bolała go tak bardzo, jakby ktoś użył jej jako piłki futbolowej.

- Panie Crow - zaczął Ferro - przede wszystkim w imieniu mojego partnera i własnym chciałbym pogratulować panu odwagi i pomysłowości.

- E, tam - mruknął Crow - nie ma o czym mówić.

- Mówię poważnie. Uratował pan życie czterech osób, nie licząc swojego, i załatwił bardzo niebezpiecznego faceta.

- Nie ma sprawy.

- Niech pan nie żartuje - ciągnął LaMastra. - Nie tylko stawiał pan czoło Ruge-
rowi, ale nieźle skopał mu pan tyłek.

- Szczerze mówiąc - Crow potarł brodę otartą kostką palca - to było obustronne kopanie tyłka. A tak w ogóle, to wszyscy chyba robią z igły widły. Dobra, wygra-
łem walkę, ale patrząc na wszystko z szerszej perspektywy, co z tego?

- Eee... - zaczął znów Ferro - panie Crow...

- Po prostu Crow. Ostatnim „panem Crow” był mój stary, nawiasem mówiąc, skończony dupek. Ja jestem tylko Crow.

- Powiedz nam, Crow - ciągnął więc Ferro - jak to jest, że dałeś radę Karlowi Ruge-
rowi? Uprawiasz boks?

Crow pokręcił głową.

- Sztuki walki.

- Karate?

- Jujitsu.

LaMastra wyraźnie się rozchmurzył.

- Serio? Ja w college'u trenowałem judo i...

Ferro popatrzył na niego znacząco, po czym, kiedy ten zamilkł, znów zwrócił się do Crowa:

- Burmistrz i połowa miejskich glin opowiada o twoich wyczynach. Podobno zwalczałeś gangi motocyklowe. - Ton Ferro świadczył o tym, że nie dowierza plot-
kom.

Crow nie zamierzał się chwalić, a poza tym pewnie część faktycznie była ste-
kiem kłamstw.

- Ludzie mają tendencję do przesady.

- Zdarza się - powiedział cicho Ferro.

Czy ten gliniarz go podpuszcza?

- Jedno wam powiem. Nigdy wcześniej nie walczyłem z nikim tak twardym. Ani tak szybkim. Ten sukinsyn był inny. Nie macie pojęcia, jaki jest cwany. Jest tak niebezpieczny, jak się mówi, a może nawet bardziej. Zero wyrzutów sumienia. Strzelił do Rhody i do mnie bez mrugnienia okiem.

- Zabił wielu ludzi - zauważył LaMastra. - To dla niego nie nowość.

- To dla niego pestka - podsumował Ferro. Przekrzywił głowę, jakby oceniał Crowa. - Pominąwszy fakt, że jesteś obandażowany jak mumia, to żyjesz i nieźle funkcjonujesz.

- Normalnie mam ochotę tańczyć i śpiewać.
- Nie, poważnie, Ruger ludziom, których nie lubi, robi zwykle bardzo nieprzyjemne rzeczy.
- Tak, słyszałem o Cape May.
- To tylko jedno z wielu - poinformował LaMastra. - Nieźle załatwił jednego ze swoich kumpli. Rozplątał go, rozerwał na...
- Myślę, że pan Crow rozumie, co chciałeś powiedzieć.
- Tak, Terry Wolfe coś wspominał - zgodził się Malcom. - A wiadomo dlaczego?

Ferro wzruszył ramionami.

- Mogło chodzić o to, kto będzie szefem, i Ruger wpadł we wściekłość i załatwił kolegę.
- Cały on.
- To tylko spekulacje. Mogło chodzić o podział drągów i kasy, co mnie akurat wydaje się bardziej prawdopodobne. Mówimy o grubej forsie i o bardzo drogiej kokainie. Ludzie zabijają się o mniejsze ilości, a co dopiero, gdy chodzi o całą górę koki.

Crow odburknął coś i pokręcił głową. Kryminalny aspekt całej sprawy go nie interesował. Wierzył - wiedział - że trafił Rugera i że drań leży i zdycha gdzieś w polu albo w lesie niedaleko farmy Henry'ego. Pewnie w lesie, a to znaczyło, że zmieni się w proch, zanim ktoś go znajdzie. Las wokół Mrocznego Jaru jest gęsty i rzadko zwraca umarłych. Nie chcąc być niemiłym, zapytał:

- To jakie macie plany?

Ferro machnął ręką.

- Śledztwo posuwa się naprzód. Podążamy kilkoma tropami. Kilka zespołów bada możliwe drogi ucieczki...

- Czyli gównno macie.
- Czyli - Ferro pokiwał powoli głową - gównno mamy.

Crow pociągnął nosem.

- Wiecie, że nigdy go nie znajdziecie?
- Spokojna głowa - odparł Ferro. - Jeśli Karl Ruger wciąż jest w Pine Deep, na pewno go znajdziemy.

Crow otworzył szerzej oczy i uważnie przyjrzał się policjantowi.

- Jest pan pewien, panie Ferro? Wie pan, że wokół Pine Deep rosną złe lasy?

LaMastra poczuł się nieswojo, zakaszłał i strzepnął pyłek z ubłoconego rękawa. Ferro uśmiechnął się blado do Crowa.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, panie Crow.

Crow zamknął oczy, oparł się o poduszki, spojrział w ciemność wewnątrz siebie i pomyślał: Bzdura. Nigdy go nie znajdziecie.

ROZDZIAŁ 21

1

Doktor Saul Weinstock naciągnął lateksową rękawiczkę, poprawił maseczkę i udał się do kostnicy szpitala Pinelands, by przeprowadzić autopsję. Z magnetofonu leciała piosenka Johna Hammonda *Wicked Grin*, którą lekarz od zawsze uważał za dobre tło do pracy. Na swoją kolej czekały dwa albumy Elvisa Costello, *Physical Graffiti* Led Zeppelin i druga składanka hitów The Eagles. Zapowiadał się długi poranek.

Czekały go dwie sekcje zwłok. Dziewczynka z Crestville, prawdopodobnie śmierć łożeczkowa, a pozostałe dwie związane były z niedawnymi wydarzeniami w mieście. Biednego Henry'ego Guthrie'go zamierzał zostawić koledze. Już jego dziadek przyjaźnił się z rodziną Guthrie i Weinstock nie zamierzał odzierać z godności człowieka, którego podziwiał. Czułby się makabrycznie i nieprzyzwoicie.

Trzeci przypadek spoczywał przed nim na stole z nierdzewnej stali, nadal w czarnym worku, prosto z miejsca zbrodni na drodze A-32.

Weinstock zdjął podkładkę z haczyka i włączył dyktafon poprzez naciśnięcie stopą pedału umieszczonego nisko w rogu stołu.

- Trzydziesty wrześnie, godzina dziesiąta trzydzieści pięć. Sekcję przeprowadza Saul Weinstock, zastępca głównego koronera Bucks County i starszy lekarz szpitala uniwersyteckiego w Pinelands, na zlecenie sędziego miasta Pine Deep, Evana Doyle'a. Nazwisko nieboszczyka... - zerknął na podkładkę - Anthony Michael Macchio, lat trzydzieści siedem, mieszkaniec Filadelfii, Pensylwania.

Powiedziawszy to, otworzył worek i rozsunął go na boki. Saul Weinstock stał bez ruchu, spoglądając na dzieło Eddiego Holownika, Miecza Pana.

- Ciężka cholera! - powiedział, co zostało uwiecznione na taśmie.

2.

Kiedy Vic dotarł do Shanahana, w warsztacie nie było nikogo. Wraz z nim na zmianie powinno być pięciu mechaników. Jednego rozłożyło przeziębienie, drugi po prostu nie przyszedł do pracy, Sammy wyjechał przetestować samochód i pewnie stoi gdzieś, objadając się i popijając zimne piwo, a czwarty został wezwany do komisarjatu w celu złożenia zeznań. Wingate poczuł wzbierający gniew, uświadamiając

sobie nawał czekającej go pracy, między innymi naprawę zaworu, czego serdecznie nie cierpiał. Sammy powinien się zajmować właśnie tym, a nie ujeżdżać po mieście w bmw doktora Srenshawa. Jazda testowa, jasne, pomyślał Vic. Zerknął na ścienny zegar. Nie ma szans, by wyrwał się stąd przed osiemną, pewnie znacznie później.

Czuł się niepewnie z workami wypełnionymi zakrwawioną gotówką. Chciał dotrzeć do domu, oczyścić forszę i zacząć ją wydawać dla dobra Pana - i oczywiście własnego. Nie może jednak zaważyć roboty, bo gliny zwrócą na niego uwagę. Już i tak podpadł burmistrzowi i temu durniowi, Crowowi, przez Mike'a, więc chciał pozostać niezauważony.

Wziął rozpiskę dotyczącą chrzanionego małego saturna w zatoczce numer dwa i spojrzął na nią groźnie. Hamulce. To przynajmniej nie jest takie złe. Żmudne, ale nie najgorsze. Znalazł w biurze kluczyki, przestawił samochód na podnośnik, zaciągnął ręczny hamulec i wyskoczył. Prastara hydraulika jęknęła, unosząc jasnoczerwone auto dwa metry nad pokrytą smarem podłogę. Przyczepił do karoserii dodatkowe światło i złapał klucz pneumatyczny. Pracując, rozmyślał o Mike'u. Pieprzony dzieciak, pieprzona czterooka ciota. Nienawidził go, nienawidził od chwili, gdy zobaczył go wiszącego u cycka Lois. Mały chudy zasraniec. Nie mógł uwierzyć, że ktoś taki jest synem... potomstwem kogoś tak potężnego.

Zastanawiał się, czy dzieciak byłby inny, gdyby wiedział, kto jest jego prawdziwym ojcem. Bo przecież nie ten osioł Jack Sweeney, nieudacznik, za którego wyszła Lois. Może gdyby wiedział, kto jest jego ojcem, miałby jaja. Ale nie... On sobie nie życzył. Chciał to ze zrozumiałych względów trzymać w tajemnicy, ale cała sprawa nie dawała Vicowi spokoju. Dzieciak powinien szanować ojca. Ktoś taki jak On zasługuje na szacunek, szczególnie ze strony własnego syna, ale nie, On chciał, żeby Mike był chroniony. Na szczęście, co Vic radośnie akceptował, nie musiał trzymać rąk z dala od tego śmiecia. Jeśli Vic chciał, mógł go prac od rana do wieczora, byle go tylko nie zabić. Zdaniem Vica, On za bardzo przejmując się tym gnojkiem. Jak ten dzieciak bez jaj kiedykolwiek będzie mógł stanowić zagrożenie dla Wielkiego Planu? Nigdy. Vic święcie w to wierzył, niezależnie od tego, co mówiły legendy. To tylko bezużyteczny kawał miecha, ale...

Westchnął, rozmyślając o tym wszystkim, rozmyślając o Nim, o powrocie i o dzieciaku. Rzygać mu się chciało, gdy widział go z nosem w książce. Uważa się za takiego mądralę, a gówno wie. Nie umie nawet utrzymać piłki, a co dopiero kopnąć. Cały pokój okleił plakatami superbohaterów. Vic pokręcił głową. Kiedy on miał czternaście lat, wisiała u niego Farrah Fawcett i Barbara Carrera, a nie Green pieprzony Lantern i pedalskie cyklopy. Prawdziwe kobiety z prawdziwego świata, a nie popieprzone kulturystki. Kiedy on miał czternaście lat, miał w szafce stos

„Penthouse'ów” do samego sufitu. On w wieku czternastu lat co tydzień kupował dureksy. Wątpił, żeby ten dzieciuch wiedział, jak to założyć, nie mówiąc o tym, co z tym robić.

Cholera! Dlaczego musi być z niego taki wrzód na dupie? Dlaczego musi tak go wkurzać? Jak choćby ten złowieszczy uśmiech wczoraj. Vic tyle dla niego robi, stara mu się pokazać, jak być mężczyzną, nawet jeśli szef tego nie wymaga. A chłopak sam się o to prosi. Zawsze się prosi, a Vic tylko stara się mu pokazać, gdzie jest jego miejsce. Jak inaczej gnojek nauczy się czegoś o życiu? Jeśli w ogóle ma jakiś mózg, powinien się domyślić, że Vic chce, żeby wyszedł na ludzi, żeby był twardy i silny. W końcu to jedyne ludzkie dziecko Mistrza. Vic nie mógłby tak spokojnie patrzeć, jak jego jedyne dziecko rośnie na takiego mięczaka. A co na to dzieciak? Nic! Potrafi tylko ryczeć jak baba. Wczoraj to był dopiero numer. Nie kto inny, tylko pieprzony burmistrz dzwoni i każe mu odebrać dzieciaka, i to skąd? Z „Nawiedzonych Przejazdów”? Chryste! Vic zastanawiał się, czy dzieciak wie, jakie ściągnął na siebie niebezpieczeństwo? Pewnie nie. Bo i jak? Nie domyśla się, co kryje się w lesie za Mrocznym Jarem.

Uśmiechnął się. Już niedługo się dowie. Wszyscy się dowiedzą.

Wciąż się uśmiechając, wrócił do naprawy hamulców, zadowolony z nowych perspektyw, jakie się przed nim otwierały. Pracował w ciszy, nie zwracając uwagi na błękit nieba rozpościerającego się tuż za przymkniętymi drzwiami garażu i świecącego słońca. Nie zwrócił także uwagi na szarą zjawę stojącą po przeciwnej stronie ulicy, przyglądającą mu się z cienia przeredzonego starego klonu. Wiatr rozwiewał połę jego płaszcza, unosząc kawałki wysuszonego cementarnego błota.

Nagle Vic poderwał się i spojrzał w górę - nie na drugą stronę ulicy, gdzie cień Szkieleta blaknął w promieniach słońca, ale w siebie. Przechylił głowę i słuchał.

Opuścił rękę z kluczem i wsłuchiwał się z błogą miną w miękką, tajemniczą szep. Wykrzywił twarz w złośliwym grymasie i odłożył narzędzie. Chrzanić robotę. Szybko wytarł ręce, wyłączył światła, wywiesił szyld informujący o tym, że warsztat jest nieczynny, i zamknął za sobą drzwi na klucz. Wskoczył do pick-upu i drugi raz tego dnia wyruszył do opuszczonego gospodarstwa położonego na skraju Mrocznego Jaru. Z jego twarzy nie schodził uśmiech.

3.

Terry już od trzydziestu minut siedział w toalecie, próbując opanować dreszcze, które były tak silne, że wywoływały biegunkę. Ze spuszczonej spodniami i twarzą

ukrytą w dłoniach czekał, aż xanax zadziała. Każda kolejna tabletkę zaczynała działać trochę później i słabiej, ale przynajmniej już się nie trząsał.

Kiedy upewnił się, że w łazience nikogo nie ma, wyszedł, umył się nad umywalką, uczesał i przyglądał ubranie. Następnie poszedł na spotkanie z Gusem w dyżurce lekarskiej.

- Ach, tu jesteś - powitał go Bernhardt. Siedział na sofie przy automacie z kawą.

Cholera! - zaklął w myślach Terry, zastanawiając się, czy nie lepiej uciec. Po chwili dostrzegł sierżanta Ferro i LaMastrę siedzących na krzesłach obok. A to sukusyn, pomyślał o Gusie.

- Panie burmistrzu - zaczął spokojnie Ferro. - Właśnie rozważaliśmy, jak się zachować wobec mediów. Szef policji chce nagłośnienia sprawy, ale ja i mój partner wolimy siedzieć cicho. Nie ma sensu siać paniki wśród obywateli i przyciągać gapiów.

- Właśnie - włączył się LaMastra. - Obława jest gorsza od zarazy, bo przyciąga tłumy idiotów z kamerami.

Wciąż stojąc na progu dyżurki, Terry miał ochotę krzyczeć. Czy oni powariowali? Kogo obchodzi, co pomyślą media? Albo turyści? Albo w ogóle wszyscy święci? Chciał się stamtąd wyrwać - pozbyć się własnej skóry i uciec. Jego najlepszy przyjaciel leży w szpitalu wraz ze wszystkimi żyjącymi członkami rodziny swojej dziewczyny. Henry Guthrie, jeden z najbardziej szanowanych i wpływowych farmerów w okolicy, jest martwy. Szaleńcy biegają po okolicy, a w ciągu ostatniej doby jego młodsza siostra - jego nieżyjąca młodsza siostra - po prostu do niego zadzwoniła. Gównu go obchodzi, co znajdzie się w prasie.

Ale, jak mówią, przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka. Udało mu się przywołać niemal normalny wyraz twarzy. Odchrząknął, wszedł do dyżurki i usiadł w fotelu.

- Zróbmy jak pan radzi, sierżancie - powiedział lakonicznie. - Nie uśmiecha mi się komentowanie wydarzeń przed kamerami. Nie teraz.

- Całkowicie się z panem zgadzam... - zaczął Ferro, ale Terry mu przerwał:

- Prawdę mówiąc, nie chcę niczego zdradzać mediom, bo niczego nie mamy.

LaMastra zagwizdał przez zęby i wymienił ukradkowe spojrzenia z sierżantem Ferro, który zachował kamienną twarz.

- Jak pan sobie życzy, panie burmistrzu.

Terry potarł podkrążone oczy i westchnął. Wciąż słyszał szept Mandy. Zmusił się do uprzejmego uśmiechu.

Ferro otworzył usta, żeby coś powiedzieć, kiedy drzwi dyżurki otworzyły się i do środka wszedł wyraźnie zmęczony lekarz z czepkiem i fartuchem pokrytym wielobarwnymi lepkiemi plamami. Póływy uniósł rękę na powitanie, podszedł do automatu i nalał mocnej czarnej kawy do wyszczerbionego kubka z napisem „Superta”.

Upił łyk i opadł na kanapę obok Gusa. Kiedy oparł nogi o stolik, Terry zauważył, że jego ochraniacze na buty pokrywają ciemne plamy płynu odkażającego. Lekarz popatrzył ze znużeniem na zebranych i westchnął ciężko.

- Doktorze, poznał pan już detektywa sierżanta Ferro i detektywa LaMastrę? - Terry przedstawił policjantów, a mężczyźni wymienili skinienia głowy.

- Tak, ale wczoraj nie było okazji do rozmów towarzyskich. Saul Weinstock. - Chirurg uniósł kubek.

Zdjął czepkę, popatrzył przez chwilę na plamy potu pokrywające papierowy materiał i rzucił go na stół. Miał trzydzieści pięć lat, ale wyglądał na trzydzieści, a jego twarz do złudzenia przypominała twarz Hala Lindena. Zza rozcięcia koszuli wystawał złoty łańcuszek z napisem *Chai*.

- Doktor Weinstock jest szefem szpitala, jak również głównym chirurgiem i koronerem okręgowym.

- W małych miasteczkach jesteśmy bardziej uniwersalni - wyjaśnił Weinstock z uśmiechem. - Co pewien czas roznoszę też listy i siedzę w remizie.

- Serio? - Zdziwił się LaMastra.

- Żartowałem.

- Aha.

Lekarz popatrzył na Terry'ego.

- Chryste, paskudnie wyglądasz.

- To było długich kilka dni, Saul - odparł Terry. - To, co mamy?

- To trudne pytanie. Od czego mam zacząć: od dobrej wiadomości, od takiej sobie, złej, czy bardzo złej?

- Może w tej kolejności?

- Niech będzie. Dobra wiadomość jest taka - ciągnął uprzejmie Weinstock - że oficer Rhoda Thomas to bardzo twarda sztuka. Wyjęliśmy z niej wczoraj dwie kule dziewiątki i świetnie się trzyma. Odzyskała przytomność.

- Rokowania? - chciał wiedzieć Ferro.

Weinstock wzruszył ramionami.

- Wyjdzie z tego. Jej życiu nic nie zagraża. Miała uszkodzone jedno płuco, ale z tym już sobie poradziliśmy. Przy właściwej rekonwalescencji na wiosnę będzie grała w tenisa, a za parę miesięcy praktycznie nie będzie widać blizn.

- Świetnie - ucieszył się Terry. - A co z Crowem?
- Też dobrze. Powiedziałem mu, że powinien się wstydzić, że zajmuje miejsce w szpitalu. Oboje z Rhodą mieli dużo szczęścia. Powiedziałem Crowowi, że gdyby tak się nie opychał hamburgerami, kula nie trafiłaby w tłuszcz na brzuchu. Wychodzi jutro.

- Co z jego twarzą?

- Rany, widziałeś go? - Weinstock uśmiechnął się złośliwie. - Wygląda jak potwór Frankensteina, ale to tylko sińce i skaleczenia. Nic takiego. Zostanie mu oczywiście kilka blizn, ale nadal będzie śliczny.

- A co z jego dziewczyną? - zainteresował się LaMastra.

- Val? To właśnie ta wiadomość taka sobie. Kilka złamanych żeber, zmiażdżonych chrząstek, cała masa sińców i skaleczeń. Miała wybity bark, ale to jedynie zwichnięcie. Dostała zastrzyk kortyzonu i obejrzał ją nasz fizjoterapeuta. Mówi, że za parę tygodni będzie mogła stawać na rękach i robić gwiazdy. Krótko mówiąc, okaleczenia cielesne to betka, gorzej z psychiką. - Podmuchał na gorącą kawę i upił łyk. - Doznała urazu emocjonalnego i psychicznego. Chodzi mi o to, że została zaatakowana przez szaleńca, musiała walczyć o życie, widziała, jak Ruger strzela do ojca i chłopaka. Tamtej nocy bardzo dużo przeżyła.

- Saul, Val jest twarda jak żelazo - przypomniał Terry.

- Zgadzam się - lekarz skinął głową - znam ją od wieków. Mój wuj, David, pomógł jej przyjść na świat... Zajmowała się mną i moją siostrą. Wiem, że jest twarda i myślę, że kto, jak nie ona poradzi sobie z taką traumą? Dziś rano długo z nią rozmawiałem i muszę ci powiedzieć, że zżerają ją wyrzuty sumienia.

- Wyrzuty sumienia? - zdziwił się Gus. - Z jakiego powodu?

- Że zostawiła ojca na pastwę losu i wróciła ratować brata i szwagierkę, że była w szoku i nie pobiegła go szukać, kiedy było po wszystkim. Wiem, co chcesz powiedzieć, że to tylko żal po stracie ojca, ale żal w połączeniu z taką traumą może nieźle namieszać w życiorysie. Widziałem to już nie raz.

- No to wyjdzie z tego czy nie? - spytał Terry. - To znaczy, twoim zdaniem.

Weinstock znów upił parującej kawy, po czym wpatrzył się w ścianę naprzeciwko.

- Powiem ci szczerze, cholera wie. W każdym razie będzie potrzebowała pomocy psychologa.

- Dobra, a co z Connie?

- I to właśnie jest ta zła wiadomość. Fizycznie nic jej nie jest, jest jedyną osobą, o której można powiedzieć, że wyszła z tego obronną ręką. Ma kilka siniaków, ale nie takich jak reszta, jednak najgorszy jest szok, którego doznała, większy nawet niż Val. Niemal została zgwałcona, i w jej mniemaniu tak się stało. Prawdopodobnie więcej

nie mogła już znieść. Musicie zrozumieć, panowie, że to bardzo staromodna, skromna kobieta. Pewnie trochę naiwna, jedna z tych osób, które nie wiedzą, jaki naprawdę jest świat, a już na pewno nie są gotowe na noc w towarzystwie wilków. Czy da sobie radę? Być może. Nie wiem, czy potrafi zapomnieć o wszystkim i puścić to zdarzenie w niepamięć. - Pokręcił głową. - Naprawdę nie wiem, panowie. Jestem chirurgiem, nie psychiatrą. A ona będzie potrzebowała naprawdę dobrego psychologa.

- Podobnie jak jej mąż - dodał LaMastra. - Rozmawiałem z nim, a raczej próbowałem, ale on ciągle powtarza, że nie chce o tym mówić. Uparcie chce o wszystkim zapomnieć, uważa, że jest winny śmierci ojca. Nie może się pozbierać po tym, jak widział Rugera drącego ubranie na jego żonie i obłapiającego ją, a on tylko siedział i krzyczał.

Weinstock pokiwał głową.

- Tak, Ruger zranił go najbardziej, każąc mu patrzeć. Gdyby faktycznie doszło do gwałtu, nawet nie chcę myśleć, co by się stało z Markiem i Connie.

LaMastra zrobił kwaśną minę.

- Widziałem podobne historie. Jeden trzyma gościa z lufą albo nożem przy skroni, a reszta używa sobie z jego kobietą. Jaki facet mógłby coś takiego znieść?

- Ja na pewno nie - odezwał się Weinstock ponuro.

W pokoju zapadła cisza. Mężczyźni spuścili głowy, zaglądając na zakurzone dno swoich serc, starając się zrozumieć, co mógł czuć Mark Guthrie. Była to przerażająca i ohydna myśl, zwłaszcza kiedy postawili się na miejscu Connie. Wprawdzie trudniej im było odnieść się do jej cierpienia i traumy, ale samo wyobrażenie sprawiało im fizyczny ból.

Gus z sykiem wypuścił powietrze.

- Uff, jeśli to była zła wiadomość, to ciekaw jestem, jaka jest ta bardzo zła.

Weinstock znów upił łyk kawy i przez chwilę smakował czarny płyn.

- Właśnie skończyłem sekcję Toniego Macchia. - Westchnął ciężko. - Powiem wam, że nigdy nie zamierzałem robić takich rzeczy. Jestem tylko wiejskim lekarzem, a moi pacjenci to dobrze sytuowani rezydenci Pine Deep cierpiący na efektowne przypadłości i widowiskowe choroby. Kiedy umierają, umierają w łóżku albo ze starości. Dostają zawału podczas seksu analnego albo na polu golfowym i z uśmiechem na ustach wjeżdżają do kostnicy. Ale to gówno... te zwłoki, które wczoraj dostałem... sam nie wiem. Jestem lekarzem na tyle długo, by nie mdleć z powodu krwi. Składałem już do kupy obdarte ze skóry nastolatki wyciągnięte z wra-ków sportowych aut, z tym sobie radzę. Ale to... to było jak z koszmaru...

- Saul, widzieliśmy ciało - przypomniał cicho Terry. - Wiemy.

- Nie. - Saul odstawił kubek. - Nie wiecie. Nie macie pojęcia. - Patrzył na nich przez chwilę i dodał: - Po pierwsze, wyjąłem mu z brzucha dwie kulki, każda innego kalibru: dziewięć i trzydzieści dwa. Drugi strzał został oddany dużo później, wnioskując z sińców i plam na ubraniu, ale prawie w to samo miejsce.

- Po raz pierwszy oberwał podczas transakcji w Filadelfii - zauważył Ferro. - Prawdopodobnie około dziewiątej rano, a Ruger miał broń kalibru trzydzieści dwa, marki Ravel Mars, automat.

- Pierwszy strzał oddano z daleka. Rana była czysta, nie było poparzenia prochem. Druga to typowa kontaktowa rana postrzałowa, kula przeszła przez ubranie. Na ciele jest wyraźny ślad poparzenia, więc wasz znajomy, Ruger, musiał wbić mu pistolet pod żebra i nacisnąć spust. Żadna z ran, moi panowie, nie doprowadziła do śmierci pana Macchio, co byłoby dla niego dużo lepsze. Z obrażeń na ciele wnioskuję, że po strzale żył jeszcze jakieś pół godziny, a może dłużej, i to, co się wtedy stało, przeraża mnie najbardziej.

- Wiemy, że go torturowano - powiedział Ferro.

Weinstock przechylił głowę.

- Nie powiedziałbym, że określenie „tortury” najlepiej oddaje sens tego, co zaszło. Słowo „tortury” jest zbyt... bezbarwne. Sprawca włożył coś w rany postrzałowe, być może własne palce, i dosłownie rozerwał mu brzuch. Wyjął jego trzewia jak zwiniętą linę, a następnie... pogryzł skórę wokół rany.

- Pogryzł? - zapytał cicho Terry. Pobladł i cofnął się pamięcią trzydzieści lat wstecz, gdy coś wielkiego i potężnego dobierało się do niego pazurami, wgrzyzało w ramię... Wzdrygnął się.

- Pogryzł. Odgryzł. Zeżarł! Wokół rany znaleźliśmy wyraźne ślady zębów. Palce ofiary miały przeżute końce, odgryziono mu nos, usta, brwi, uszy... Zwróciliście uwagę na rozczłonkowane zwłoki? Najpierw myśleliśmy, że dłonie zostały brutalnie odcięte scyzorykiem albo tępym toporem, ale szczegółowa analiza wykazała, że mięśnie i ręce zostały odgryzione przez bardzo ostre zęby.

- Kurwa - zaklął Gus.

- Zabezpieczyliśmy ślinę z ran i właśnie jest w laboratorium. Na innych częściach ciała także były ślady ugryzień: na udach, jądrach, szyi i tak dalej. Jeśli kiedykolwiek go znajdziecie, nie będzie problemów z identyfikacją.

- Eee, dzięki za wyczerpujący raport - wymamrotał Ferro z poszarzałą twarzą.

- To jeszcze nie wszystko - powiedział cicho Weinstock.

- Nie wszystko?

- Tak, z ilości krwi wnioskuję, że w jakiś sposób - nie pytajcie mnie, jak to możliwe - Tony Macchio był świadomy tego, co się z nim dzieje. Bezpośrednią

przyczyną śmierci było to, że ten obleśny, zboczony sukinsyn sięgnął w głąb klatki piersiowej i dosłownie wyrwał mu serce.

Na te słowa wszyscy umilkli. Po chwili dał się słyszeć szept Ferra:

- Czy to możliwe? Wyrwać komuś serce?

Weinstock popatrzył na niego uważnie:

- Gdybym usłyszał to pytanie rano, roześmiałbym się panu w twarz. Serce jest dość dobrze zabezpieczone. Musi tak być, by mogło właściwie pracować. Wyrwać je z wewnętrznej struktury, w której jest umocowane... to dla mnie nowość. I jeszcze na zakończenie: - Wszyscy spięli się, nie wiedząc, czego oczekiwać: - Ktokolwiek to zrobił, zabrał serce ze sobą.

4.

Telewizor był zepsuty, więc Crow spędzał niekończący się wieczór nad sfatygowaną - jedyną dostępną - książką pod tytułem *Wszystko o prowadzeniu domu*, którą dała mu jedna z pielęgniarek. Val wciąż była pod działaniem silnych środków uspokajających i odwiedzenie jej nie wchodziło w grę. Wejścia do jego izolatki pilnował policjant, więc miał ograniczone możliwości wyjścia. O dwudziestej drugiej był już tak znudzony, że gotów był choćby zagrać w Piotrusia nawet z Rugerem i jego kompanami. Z jednej strony wykańczał go brak zajęcia, a był człowiekiem, który nie był w stanie usiedzieć w spokoju dłużej niż pięć minut. Zwykle słuchał głośnej muzyki, najchętniej bluesa albo awangardowych kawałków, jak choćby późnego Toma Waitsa, albo coverów punkowych przebojów w wykonaniu Leonarda Cohena. Nie mógł znieść głosów w swojej głowie i wspomnień, jakie się z nimi wiązały. Z drugiej strony niemożność zobaczenia się z Val doprowadzała go do szaleństwa. Chciał wziąć ją za rękę, po prostu być obok, kiedy się obudzi i będzie musiała zmierzyć się z bólem.

Do tego jeszcze gotów był zaprzedać diabłu duszę za kieliszek czegoś mocniejszego. No, może za kilka kieliszków. Zastanawiał się przez chwilę, czy powinien jutro zadzwonić do opiekuna z AA. Im dłużej tkwił w szpitalu, tym silniejsza była chęć sięgnięcia po alkohol.

Nudne jak flaki z olejem wywody, jak udekorować stół na śniadanie wielkanocne, podziały na niego jak dawka kodeiny i odpłynął w sen. Opadły mu powieki, broda oparła się o pierś i kiedy za oknem gromadziły się cienie, chrapał jak zmęczony niedźwiedź.

Poczuł na ramieniu dotyk czyjejś dłoni. Lekki, niepewny, delikatny. Niczym duch, pomyślał, uśmiechając się przez sen, wiedząc, że to Val. Znajdował się głęboko w otchłani, walcząc ze wszystkich sił z unoszącym go prądem, by powrócić

do tego dotyku, przełamać żelazną obręcz snu, otworzyć oczy i ją zobaczyć. Walczył, walczył...

Dotykająca jego ramienia dłoń rozcapierzyła palce i zamknęła się na jego bicepsie. Mocno i pewnie.

Wciąż pogrążony we śnie, poczuł skurcz serca. Co się działo? Czy wszystko z nią w porządku?

Poruszał się coraz szybciej w górę, tam, gdzie na niego czekała.

Uścisk dłoni znów się zmienił. Palce ścisnęły go, sznurując się na muskule.

Jego ciałem wstrząsnął ból i podskoczył z szeroko otwartymi oczami, dysząc i wołając jej imię.

I wtedy zobaczył przed sobą Karla Rugera.

Widok mordercy zupełnie zbił go z tropu. To niemożliwe. On przecież nie może tu być!

Twarz przestępcy była biała jak światło księżycy, a na jego ustach igrał uśmiezek. Crow otworzył usta, by krzyknąć, ale dłoń Rugera wystrzeliła i zacisnęła się na jego szyi jak lodowate imadło.

- Ćśśś! - Zbliżył twarz do ucha Malcolma. - Spróbuj choćby pisnąć, a rozerwę ci gardło. Wiesz, że nie żartuję, prawda?

Dłonie zaciskające się na jego ramieniu i gardle były niewiarygodnie silne i zimne jak śmierć. Kiedy Crow złapał napastnika za nadgarstek, miał wrażenie, że trzyma żelazny pręt. Lodowate ciało nie ustępowało ani na milimetr, a ścięgna i mięśnie pod skórą trzymały mocno jak liny podwieszanego mostu.

Ruger wbił głowę Crowa w poduszkę i zbliżył twarz do jego twarzy na odległość kilku centymetrów. Kiedy się uśmiechnął, Malcom zobaczył dziury po zębach - zębach, które wybił mu, uderzając jego głową w błotnik Missy. Usta napastnika były czerwone jakby używał szminki, a skóra pozbawiona koloru i ubrudzona błotem. Najgorszy jednak był jego oddech... cuchnął. Każdy wydech był jak smród z rzeźni. Czuć go było zepsutym mięsem, krwią i odchodami.

- Nie martw się, ogierze - szepnął Ruger - twój czas jeszcze nie nadszedł. Niedługo... ale jeszcze nie teraz. - Zachichotał. - Nie... bo przez ciebie straciłem wszystko. Forse, kokę i te dwie dziwki na farmie. Czy ta ze złamanym nosem jest twoja? Val? Twoja? - Potrząsnął nim jak lalką i ścisnął jeszcze mocniej. Crow zaczął mieć mroczki przed oczami. - Posłuchaj mnie teraz uważnie. Ty zabrałeś mi wszystko, więc teraz ja odplacę ci tym samym. Wszystko, na czym ci zależy, co kochasz, co posiadasz... będzie moje. Podoba ci się? - Znów wzmocnił uścisk i Crow zaczął uderzać w nadgarstek zamkniętą pięścią, ale miał wrażenie, że uderza w konar. - A potem, kiedy już wszystko ci odbiorę, kiedy stracisz to, co kochasz,

wtedy przyjdę po ciebie, sukinsynu.

Crow chciał odepchnąć jego rękę, ale mógł równie dobrze uderzać w posąg.

- A najlepsze jest to, że wypieprzę tę dziwkę ze złamanym nosem tak, że będzie błagała o kulkę. Bła-ga-ła! - Z każdą sylabą zaciskał dłoń coraz mocniej, aż Crow zaczął tracić siły. Poczul, że ogarnia go ciemność, a on sam odpływa w otchłań.

Czyjaś ręka dotknęła jego ramienia. Lekko, niepewnie, delikatnie. Zerwał się z wrzaskiem, wymachując ramionami i kopiąc, próbując wyplatać się z kroplówek i prześcieradła.

Val także krzyczała i o mało nie spadła z łóżka, próbując uniknąć ciosu.

- Crow! - wrzasnęła. Krzyk, który wydobył się z jej obolałego gardła, był żeńską imitacją lodowatego szeptu Rudera. - Crow, przestań!

Malcolm otworzył oczy i oprzytomniał. To nie był żaden sen, żaden koszmar. To była rzeczywistość... i to była Val. Nie Ruger, nie odpychająca zjawą, tylko Val. Obok niego, ciepła i prawdziwa.

Usiadł, wziął ją w ramiona i przytulił tak mocno, na ile pozwalały mu ich sińce.

- Mój Boże! - szlochał. - Kochanie, tak cię przepraszam!

Val odwzajemniła uścisk i przez chwilę siedzieli przytuleni tak mocno, jak tylko się dało. Ona płakała, jej łzy spływały mu po szyi, i on też płakał. Jej smutek i ból były tak samo prawdziwe dla niego, jak jego własne. Henry Guthrie był dla niego znacznie lepszym ojcem niż ten biologiczny, i Crow nie mógł się pogodzić z jego śmiercią. Odszedł... tak po prostu, pozostawiając w jego sercu wielką pustkę.

Wreszcie po długiej chwili przestali płakać i rozluźnili uścisk. Val pociągnęła nosem, wzięła chusteczki ze stolika obok łóżka i usiadła wygodniej. Na szpitalną koszulę narzuciła różowy szlafrok. Miała nieumyte włosy, a jej lewa ręka spoczywała na temblaku. W prawej tkwił wenflon i Crow przypuszczał, że odłączyła kroplówkę i wymknęła się ze swojego pokoju bez pozwolenia.

Pochyliła się i delikatnie pocałowała go w obolałe usta, a potem, dłużej i z zamkniętymi oczami, w czoło. On pogłaskał ją po potarganych włosach i zaczął szeptać jej do ucha czułe słowa.

Wreszcie usiadła i popatrzyła na niego szklistym wzrokiem. Jej twarz była pokryta siniakami, zadrapaniami i zapuchnięta od płaczu. Zmęczenie i żal zaznaczyły się liniami wokół jej ust. Patrzenie na nią sprawiało Crowowi fizyczny ból.

- Tata... - zaczęła, na nowo pograżając się w rozpacz. Oparła głowę o jego pierś.
- Wiem, kotku - szepnął. - Wiem. - Jemu też do oczu cisnęły się łzy. Pozwolił im spłynąć gorącą strużką po policzkach prosto w jej włosy.
- Och, Crow, dlaczego on? - Spojrzała na niego. - Dlaczego tatuś? - Pokręcił głową. - Nigdy nikogo nie skrzywdził. - Skrzywiła się, coś sobie uświadomiwszy. - Kazał mi uciekać, ratować życie.
- Wiem.
- Ten mężczyzna, ten drań, zabił jego zamiast mnie!
- Moment, moment, nie pozwalam ci myśleć w ten sposób. Nic tu nie było twoją winą.
- Crow, po prostu uciekłam. Ja uciekłam, a on zastrzelił tatę... a ja... ja...
- Cśśśś. Posłuchaj mnie, posłuchaj, dobrze? To był bardzo zły człowiek. Nie jakiś zwykły bandzior, ale człowiek zły do szpiku kości. Nie masz pojęcia, jak bardzo zły. Kiedy już dostałby to, po co przyszedł, zabiłby was wszystkich. Twój tata pewnie to wiedział i zrobił to, co uznał za właściwe. Kazał ci uciekać na pole, a sam wystawił się na gniew Rugera. Umarł po to, żebyście ty, Mark i Connie przeżyli. I udało mu się, kotku. Nie obwiniaj się, bo inaczej śmierć twojego taty nie będzie nic warta. A przecież tak nie jest, prawda?
- N... nie... - wydukała z wahaniem.
- Twój tata był wspaniałym człowiekiem i ja też go kochałem, dobrze o tym wiesz. To, co zrobił, wymagało dużo odwagi i dużo miłości, i musisz o tym pamiętać. Podjął heroiczną decyzję. Niewielu ludzi zdobyłoby się na coś podobnego. Niewielu miałoby takie pokłady miłości dla dzieci i tyle męstwa. Słuchasz mnie?
- Skinęła głową z szeroko otwartymi oczami, choć teraz miały nieco inny wyraz. Była w nich dziecięca niewinność, która ani trochę nie była dziecięca. Crow znów ucałował jej rękę.
- Gdybyś wtedy nie uciekła i gdybyś tak szybko nie biegła, Ruger z całą pewnością zabiłby was oboje. Wróciliby do domu, napadł na Connie, a potem zabił ją i Marka. Ale twój tata popsuł mu szyki. Pomógł ci uciec i uratować Connie, a tobie udało się powstrzymać go aż do mojego przyjazdu. To twój tata dał nam ten cenny czas. - Przyłożył do ust koniuszki jej palców. - To była jego decyzja i umarł jak bohater. Musisz tak na to spojrzeć.
- Och, Crow... - powiedziała łamiącym się głosem, ale tym razem się nie rozszochała. Tym razem w jej oczach i linii podbródka pojawiła się dawna siła.
- Crow dotknął przytwierdzonego do jej nadgarstka wenflonu i uśmiechnął się.

- Związałaś z pokoju, ty niegrzeczna dziewczynko.
- Nie pozwalali mi do ciebie przyjść... no i miałam złe sny. - Skrzywiła się. - Okropne sny.
- Sny? - zapytał powoli, wciąż mając w pamięci wspomnienie koszmaru. - O... czym? - Natychmiast po wypowiedzeniu tych słów uświadomił sobie bezsens pytania.
- Val zadrżała.
- No wiesz... o nim. - Znów się rozszlochała. Płakała cicho, a łzy spływały po jej posiniaczonych policzkach. Crow też się rozplakał.

5.

Eddie Holownik leżał na plecach i wpatrywał się w gładki bezmiar sufitu nad głową. Przez okna wpadały promienie słońca, przecinając jego nagość. Od powrotu do domu po rozmowie w sprawie pracy nie ruszył palcem. Wszedł na górę, rozebrał się do naga i runął na łóżko. Tylko ogromna klatka piersiowa unosiła się i opadała w regularnych odstępach. Dobrze było tak leżeć. Przez otwarte okna wlatywał przyjemny popołudniowy wiatr, chłodne powietrze pieściło jego nagie ciało, przyprowadzając o gęsią skórę, co było doznaniem niemal erotycznym. Poczul twardniejące sutki, a potem...

- Nie! - krzyknął ze złością.

Czując obrzydzenie do samego siebie, wstał z łóżka, podszedł do szafy i zajrzał do środka. Ubrania leżały równo poskładane w identycznych stosach. Sięgnął po czarne spodnie od dresu, z okrutnym upokorzeniem ukrywając nagość. Już ubrany, stanął, by dojść do siebie. Ciepło bawełny oddaliło napięcie skóry wraz z gęsią skórą i wstydliwą erekcją. Stał z zamkniętymi oczami, przywołując zdarzenia minionej nocy. Na jego twarzy powoli pojawił uśmiech wywołany obrazem konającego człowieka, Chrzyciela, jak odtąd myślał o nim Eddie. Przypomnił sobie jego ciało, całe we krwi, podzielone na rytualne fragmenty i odpowiednio ułożone. Eddie Holownik wiedział, że postąpił właściwie i dopełnił rytuału, i ta wiedza wyparła myśli o własnej cielesności.

Odwrócił się i zobaczył relikwiarz, na który padał snop słonecznego światła. Pomyślał, że jasność pochodzi od Boga, i to wyraźnie poprawiło mu nastrój.

Przeszedł przez pokój, uklęknął przy relikwiarzu i pogrążył się w modlitwie. Kierowane do Boga słowa były nieskładne, zlepek myśli i obrazów płynący z głębi duszy, które chciał ofiarować Ojcu. Na dworze w dereniu śpiewały ptaki i wydało to mu się najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek słyszał - niczym śpiew aniołów.

Przeżegnał się, sięgnął po drewniany młotek i siedem razy uderzył w dzwonek, ponieważ siedem było cyfrą boską. Mimo że niewielki, dzwonek brzmiał czysto, a pogłos rozchodził się po całym pokoju. Eddie sięgnął do tabernakulum, które wykonał samodzielnie z sękaty sosny. Zawsze był zręczny, ale przecież był z zawodu cieślą, w jego dłoniach drewno zamieniało się z nieprzydatnych przedmiotów w niemal święte. Otworzył drzwiczki i wyjął ze środka naczynia z eucharystią. Postawił je na blacie zrobionym z boku tabernakulum, zamknął drzwiczki i odwrócił się do przedmiotów, znów się żegnając. Wziął patenę i postawił ją na blacie, postanawiając, że będzie jego ołtarzem. Nie miał czasu na wykonanie tradycyjnych naczyń, więc za patenę służył mu duży obiadowy talerz, który przed konsekracją przeszedł szereg kąpiel. Kielich mszalny miał postać cynowego pucharu, który kiedyś dostał jako trofeum po wygranej walce bokserskiej. Znalazła się w nim kupiona tylko na tę okazję czysta woda Evian, jako że Eddie nie wierzył w dobroczynną moc żadnego alkoholu, nawet wina. Wreszcie uniósł drugi kielich, którym był plastikowy pojemnik najedzenie. Będzie musiał się tym zadowolić - przynajmniej na razie, zanim zdobędzie prawdziwy. Uniósł pokrywę, ważąc w dłoniach ciężar komunii, którą zamierzał przyjąć. Zbliżył ją do nosa, chcąc nacieszyć się jej zapachem. Był niepowtarzalny.

Odstawił pojemnik na blat i wyjął specjalnie przygotowany na tę okazję nóż.

- Kiedy po raz pierwszy wszedłem między was - powiedział głośno, zwracając się do całego świata - moja krew została przelana, a ciało zbrukane przez wrogów. Moja krew przemieniła się dla was w wino, a moje ciało w chleb, byście jedli z niego wszyscy na znak Nowego Przymierza. Lecz teraz ustanawiam Ostateczne Przymierze: nie będziecie już spożywali mojej krwi ani mojego ciała, lecz ja ić będę krew waszą i spożywać wasze ciało. W ten sposób Syn Chwały pozna swoje miejsce i w ten sposób prawi poznają Pana. Dziś, biorąc was za świadków, ustanawiam się Synem Człowieczym, synem Króla Niebios, jedynym i nieugiętym mieczem w rękach Pana. Przyjmuję ofiarę z człowieka, który był bestią, i człowieka bezbożnego. Oto dziś jest dzień pierwszej komunii Ostatecznego Przymierza. Niech chwała będzie Najwyższemu!

Eddie Holownik wyciął cienki płatek eucharystii i spuścił pokornie głowę przed obliczem Ojca. Modlił się długo, po czym uniósł głowę i przyjął eucharystię. Kiedy ją spożył, uniósł kielich, pobłogosławił go i wypił.

Natychmiast poczuł przyływ siły. Poczuł, jak w nim wzrasta, jak eksploduje światłem tysięcy słońc w jego mózgu i zapłakał z radości na widok cudu. Z jego oczu popłynęły łzy, a ciałem wstrząsnął szloch. Pochylił się i uderzył czołem o podłogę, dziękując Bogu.

Podniósł się dopiero po dłuższej chwili, wciąż ciesząc się tym, co przed chwilą przeżył. Następnie usiadł, by trochę się uspokoić, i oddychał powoli, starając się

powstrzymać lzy. Potem wziął czysty ręcznik i zaczął czyścić naczynia liturgiczne. Na samym końcu podniósł eucharystię i umieścił ją w pojemniku. Zdziwił się, jaka jest duża i ciężka, choć zrobiła się nieco lżejsza, kiedy usunął całą krew Chrzciciela. Szczelnie zamknął pojemnik i umieścił go w tabernakulum, zadowolony, że starczy mu jeszcze na wiele dni. Nie martwił się, że może się zepsuć - w takim przypadku po prostu załatwi sobie nową. Świat pełen jest grzeszników.

Eddie Holownik wstał i zaczął przygotowywać się do wyjścia do pracy.

6.

Wielki glina rzucił na Mike'a okiem, po czym zmarszczył czoło, zauważywszy jego posiniaczoną twarz.

- Zapisaleś numery tej ciężarówki?

Mike zamrugał szybko.

- Słucham?

- Ciężarówka, która ci to zrobiła.

- Aaa... - zająknął się Mike z wymuszonym uśmiechem. - Eee... spadłem z roweru i sturlałem się ze wzgórza prosto na kamienie.

- A co potem? Przejechała po tobie ciężarówka?

- To wygląda gorzej niż w rzeczywistości - skłamał chłopak. - Właściwie nie boli.

- Jasne - mruknął z powątpiewaniem gliniarz z widniejącym na plakietce nazwiskiem Golub. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Chciałbym wejść do środka. - Mike skinął głową w stronę wejścia.

- Do kogo?

- Eee...

- Środki ostrożności. Nie oglądałeś wiadomości?

- No tak. Ja do pana Crowa. Malcolma Crowa.

- Nazwisko?

- Mike Sweeney.

Golub zerknął na podkładkę i pokręcił głową.

- Przykro mi, ale nie ma cię na liście.

- Liście? Jakiej liście?

- Osób uprawnionych do odwiedzin. A ciebie, mój fioletowy kolego, na niej nie ma. Więc do widzenia, jeśli łaska. - Uśmiech policjanta był uprzejmy, ale nieprzejednany.

- To idiotyczne. Po prostu chcę go odwiedzić.

- Której części „nie” nie zrozumiałeś?

Mike popatrzył na niego uważnie.

- Czy wszyscy gliniarze są tacy dziwacznicy?
- Z tego, co mi wiadomo, tak.
- To mam przesrane.
- Hej, nie wyrażaj się, kolego.
- To nie fair. Czy nie może mnie pan po prostu wpuścić? Nie będę mu przeszkadzał.
- Drogi panie Sweeney, czy zdaje pan sobie sprawę, ilu ludzi chciało się dziś widzieć z panem Crowem?
- Eee, nie.
- Masa. Czy wiesz, ilu zaklinało się, że nie będą mu przeszkadzali?
- Nie.
- Wszyscy. A teraz pytanie dodatkowe: Czy wiesz, ilu wpuściłem do tego przybytku Hipokratesa?
- Nie.
- Dokładnie rzecz biorąc, nikogo - poinformował Golub. - Widzisz tego gościa na ławce? To dziennikarz. On też nie miał szczęścia. Wydajesz się miłym dzieckiem, więc nadal bądź miły i spadaj.

Przygnębiony Mike powłókł się do roweru, i starając się nie krzywić z bólu, pochylił się, by otworzyć kłódkę i zdjąć z koła zapieczętowanie. Właśnie zawieszał je na ramie pod siodełkiem, kiedy padł na niego cień. Kiedy uniósł głowę, ujrzał przed sobą przysadzistego reportera, o którym mówił oficer Golub. Wyglądał trochę jak George z Seinfelda. Do klapy marynarki miał przypiętą plakietkę z napisem „Prasa”.

- Hej, mały, czy mogę zadać ci kilka pytań?
- Mike podniósł się bardzo powoli i ostrożnie i popatrzył nieufnie na nieznanego.
- Na jaki temat?
- Przypadkiem podsłuchałem twoją rozmowę z tym gestapowcem. Nazywam się Willard Fowler Newton z „Black Marsh Sentinel”. - Wyciągnął rękę, a Mike uściskał ją po krótkim wahaniu. - Dobrze usłyszałem, że nazywasz się Mark Sweeney?
- Mike Sweeney.
- Jasne, Mike. Słuchaj, Mike, czy to prawda, że znasz Malcolma Crowa, tego faceta, który został postrzelony?
- Prawda, to mój przyjaciel. Często wpadam do jego sklepu.
- Do „Crowiego Łajna”? Gdzie sprzedają rzeczy związane z Halloween? Chodzi o to, Mar... to znaczy Mike, że piszę artykuł... to znaczy chciałbym... na temat strzelaniny i zbieram materiał o panu Crowie i innych. Myślisz, że mógłbym zapytać cię o kilka rzeczy?
- Mike się zawahał.

- Postawię ci obiad.

Oczy chłopaka się zwięzły. Cofnął się o krok, zerkając na gliniarza stojącego nieopodal.

- Słuchaj, nie jestem pedofilem, tylko dziennikarzem.

- Aha.

- Jeśli mi nie wierzysz, spytaj pana Godzilli, on ci powie.

- Muszę spadać do domu. Robi się późno.

- Może mógłbym cię podwieźć...

- Jasne.

- Nie, nic z tych rzeczy... - zapewnił pospiesznie Newton, unosząc ręce w geście poddania. Odetchnął głęboko i spróbował jeszcze raz: - Słuchaj, chcę napisać artykuł, nic więcej. To jak będzie, Mike? Piętnaście minut? Możemy usiąść na tamtej ławce z pięknym widokiem na pana policjanta.

Mike zerknął na ławki, z których trzy były wolne, a czwartą zajmował bezdomny, pan Pockets, smacznie śpiąc pod kołdrą z gazet. Chłopak nadal nie wyglądał na przekonanego.

- Nie wiem, co jeszcze mógłbym panu powiedzieć. Wie pan, kto został ranny i w ogóle, i pewnie wie pan, że sprawcą był prawdopodobnie morderca z Cape May i...

Dłoń Newtona wystrzeliła jak z procy i zacisnęła się na nadgarstku chłopaka z taką siłą, że Mike jęknął z bólu. Oficer Golub popatrzył na nich, ale dziennikarz cofnął rękę i odsunął się o krok. Jego twarz przechodziła dziwne metamorfozy, a usta nie mogły wyartykułować ani jednego dźwięku. Zatrzymał się, przełknął ślinę, oblizal wargi i ze szklistymi oczami wyszeptał:

- Momencik... Co powiedziałeś o mordercy z Cape May?

- To znaczy, tak mi się wydaje... - Mike pokiwał głową. - Po tym, co burmistrz powiedział do pana Crowa...

Newton wyglądał, jakby miał zamiar się rozplakać. Położył dłonie - tym razem bardzo delikatnie - na ramionach chłopca.

- Mike, czy ktoś już ci mówił, że jesteś najwspanialszą osobą, która kiedykolwiek stąpała po ziemi?

ROZDZIAŁ 22

Są na świecie miejsca, których należy unikać. Mroczne miejsca, gdzie ciemność przylega do dolnej strony liści i kamieni niczym grzyb.

Takich miejsc nie unika się świadomie, nie są aż tak bardzo godne uwagi. Być może wystrzegają się ich najstarsze i najmniej ważne części naszego umysłu jak koliber wystrzega się więdnącego kwiatu albo niedźwiedź zepsutej ryby. Miejsca trwają tak rok za rokiem, wiek za wiekiem. Czasem błędą jak kurz na starych kościach, złowrogi ogień przygasa, ale nigdy, przenigdy nie znika całkowicie. Bywa, że mroczna energia wybuchą ze zdwojoną mocą posilona śmiercią niewinnego stworzenia albo żądzą jakiegoś nienawistnego serca.

Miejsce takie może być przesycone nawet większą ciemnością, jeśli panuje tam wystarczająco dużo zła: krew i łzy, strach i bezprawie odciskające piętno na glebie, skałach i drzewach; plamy zepsucia, których nie zmyje ani deszcz, ani dłoń, ani żadna gąbka. Istnieją domy, które były świadkami takiego koszmaru, że stały się swoistymi akumulatorami naładowanymi złem. Podobnie jest z niektórymi polami walki; nasiąknięta krwią gleba wciąż wibruje echem zamierających serc, zimna od zanikających oddechów padłych żołnierzy, którzy krwawili i błagali o zbawienie, by przekląć Boga w chwili śmierci. W lepszym świecie takie straszne miejsca byłyby odgródzone lasem nie do przebycia, zakopane głęboko pod górami z granitu, zagubione w piaskach odległej nieprzebytej pustyni. W lepszym świecie tak strasznych miejsc byłoby niewiele i nie miałyby mocy sięgania do świata ludzi i przekazywania nauki ciemności, by kusić umysły wygłodniałych zepsutych umysłów, by natchnąć skażone serca apostołskim oddaniem, lecz w tym świecie istnieje dosyć dowodów na to, że takie rzeczy miały miejsce w historii ludzkiego cierpienia. W lepszym świecie miejsca takie zostałyby zrównane z ziemią, oczyszczone, odkażone. Może w lepszym świecie, ale na pewno nie w tym. Bo w naszym świecie wiele jest mrocznych miejsc, czekających, cierpliwych, wiecznie głodnych.

Przyciągają ludzi o mrocznych sercach, którzy czują się tam jak w domu.

Miasteczko Pine Deep spoczywa w objęciach gór, spoglądając na lasy i gospodarstwa, potoki i strumyki, jary i bagna, i jedno zapomniane przez Boga miejsce. Leży ono na południowym wschodzie, zepchnięte w cień trzech wysokich wzgórz wyrastających nad doliną zwaną Mrocznym Jarem.

W jarze tym, ukryte głęboko, jest pewne miejsce, gdzie na ziemi zawsze zalega czarne błoto, a powietrze pełne jest much i komarów. Liście i igliwie, które spada na glebę, natychmiast czernieje i zaczyna cuchnąć jak zepsute jaja albo mięso. Pod dywanem czarnych liści płynie ciemna posoka, która co jakiś czas wypuszcza bąble i wydostaje się na brzegi bagna. Ma zapach świeżej krwi, lecz smak łez.

Przed trzydziestoma laty na brzegu bagna popełniono morderstwo. Czarnoskóry chudzielec znad Missisipi i zwalisty mężczyzna z Niemiec, którzy przybyli do

tego miejsca długą i krętą drogą, stoczyli tu walkę przy świetle księżycy, a czarno-skóry zabił białego. Pokonał go i zadźgał gryfem roztrzaskanej gitary, a następnie pochował w bagnie. Godzinę później też nie żył, pobity na śmierć przez bandę prostaków, którzy uznali, że to on był wcielonym diabłem, a nie mężczyzną, który uwolnił miasto od potwora. O czymś takim powinno się śpiewać pieśni, może nawet bluesy, ale nigdy nie powstał ani jeden utwór o tym, jak Szkielet zabił diabła gitarą.

Przez trzydzieści lat bagno było tajemnicą, krążyły o nim plotki. Dostać się do niego mogli jedynie nieustraszeni wędrowcy, ale dziwnym trafem nikt się nigdy tam nie zapuszczał. Przychodził tam tylko jeden człowiek, ale nie był wędrowcem, a jedynie sługusem oddającym cześć złu na skraju Mrocznego Jaru.

Dusza i umysł Vica Wingate'a były tak czarne i zepsute, jak zalegające na ziemi gnijące liście. Stał się dozorcą tego straszliwego grobu. Znał jego sekrety - znał je od chwili, kiedy przyczynił się do zamordowania Szkieleta. Z początku myślał, że zabicie chuderlaka było zemstą, ale teraz widział, że stanowiło część wielkiego planu, który toczył się jak przeznaczenie. Był w niego uwikłany i kochał to.

Vic nawet wtedy był już jego częścią. Nawet jako nastolatek sercem i duszą należał do diabła, którego grób czcił. Kiedy Ubel Griswold mieszkał jeszcze w Pine Deep, Vic był kimś pomiędzy uczniem a pokojowym pieskiem, a teraz stał się kimś pomiędzy księdzem a generałem. Przez długie lata robił wszystko, by utrzymać swój sekret w absolutnej tajemnicy, przygotowując drogę zakopanemu złu, zgodnie z nakazem mrocznych szeptów. W nagrodę za jego oddanie prastary głos zdradził mu wiele sekretów, otwierając mu oczy na wiele rzeczy i zmuszając do zachowania tajemnicy, co było możliwe jedynie przy odrzuceniu miłości, współczucia i zahamowań. Zwiastował mu czas, kiedy zbudzą się nawet umarli, a wtedy cały świat - nie tylko Pine Deep - zaleje fala krwi. W nienasyconych cieniach Mrocznego Jaru duch Ubela Griswolda zmienił Vica Wingate'a w zwolennika Czerwonej Fali.

Vic czekał cierpliwie całymi latami, ale ostatnie dni sprawiły, że jego serce zaczęło bić mocniej, bo spodziewał się rychłego końca oczekiwania. Był czwartek, trzydziesty wrzesnia, dobiegł po tym, jak Karl Ruger wpadł do miasta niczym burza, przynosząc przemoc i śmierć. Za kilka godzin będzie październik, jego miesiąc. Miesiąc uspiętego w odmętach. Vic wiedział, że zanim minie październik, skończy się czas ludzi w Pine Deep, ludzi w ogóle. Kiedy myślał o tym po raz pierwszy, wydawało mu się to wspaniałe, ale teraz rozumiał, jak miało działać, i wierzył - wiedział - że zadziała. A on będzie wtedy po prawej stronie Mistrza - generał silniejszy od królów.

Pracując u Shanahana, myślami był w tym mrocznym miejscu, przy tym, który spoczywa na dnie bagna, a który ostatnio co noc się budzi. Słyszał jego wołanie,

wołanie do innych serc jemu podobnych, podobnych Rugerowi. Choć tego nie pojmował, wiedział, że Ruger jakimś sposobem trafił do Pine Deep, że Mistrz maczał w tym palce. Tak jak i Boyd. W końcu Mistrz potrzebował go i posłał po niego na farmę starego Guthriego. Vic wiedział, że Mistrz każdej nocy wysyła swoich apostołów, by nieśli potępionym przewrotną ewangelię. Kochał to - kochał Mistrza - śpiącego na progu przebudzenia.

Vic czekał też, aż Mistrz obudzi tego, który miał być jego lewą ręką, drugiego generała w armii Czerwonej Fali. Rozumiał z tego niewiele, bo pomimo mrocznej duszy, wciąż był stworzeniem światła i nie pojmował wszystkich praw rządzących światem nocy. Starał się poszerzać wiedzę dotyczącą mistrza i jego planu, ale wciąż był tylko człowiekiem, nie tak jak Boyd czy Ruger. Nie, Mistrz wyznaczył mu specjalną rolę...

Kucnął na brzegu bagna. Robiło się późno. Do zachodu słońca pozostała najwyżej godzina. Lois była w domu i pewnie jak zwykle zaglądała do kieliszka. I lepiej, żeby gówniarz też już wrócił. Niezależnie od tego, jak bardzo jego uśmiech wyprowadził go wczoraj z równowagi, to jeśli choćby pomyśli o złamaniu jakiejś zasady, tym razem Vic pogruchoce mu kości. Może na przykład złamie mu rękę albo obojczyk - coś, co będzie tak cholernie bolało, że smrodowi odechce się śmiać. A co tam. Już on zadba, żeby było wiadomo, kto tu rządzi.

Czuł, że Mistrz go przyzywa, więc stawił się jak zwykle, ale na razie panowała cisza. Umysł zaprzętały mu tylko jego własne myśli.

Nie ruszał się jednak, wiedząc, że nie został wezwany bez powodu. Przyglądał się z rosnącym zainteresowaniem, jak tysiące robaków - żuków, mrówek, modliszek, dżdżownic - wychodzą spomiędzy drzew i maszerują w kierunku bagna. Wpełzły pod dywan szerniałych liści, a te większe znikwały pod powierzchnią z dźwiękiem przypominającym trzask. Mniejsze nurkowały bezgłośnie. Mistrz musi być głośny, pomyślał z uśmiechem Vic. Pamiętał, jak kiedyś uwielbiał obserwować posiłki Ubela. Czasem przynosił mu związane zające i wrzucał do bagna, przyglądając się, jak zostają wessane pod wodę.

Słyszając trzask łamanej gałęzi, odwrócił się z lugerem gotowym do strzału. Kiedyś broń należała do Ubela, a Vic znalazł ją przed laty w błocie prawie dokładnie tam, gdzie w tej chwili stał. Był to jego największy skarb - ostatnia rzecz, której dotknął Griswold, zanim odszedł.

Czuł, że zaraz wystrzeli. Uważnie wpatrywał się w otaczającą go gęstwinę, kiedy krzaki się rozsunęły. Na widok przybysza opuścił pistolet i uśmiechnął się lekko. Schował broń do kabury pod wiatrówką.

- No, wreszcie - powiedział, znów kucając. - Wyglądasz koszmarnie.

Nieznajomy popatrzył na niego wzrokiem zamglonym gorączką, ledwo trzymając się na niewiarygodnie ubłoconych nogach. Ubranie miał podarte, ukazujące

blada, pozbawioną krwi skórę. Na jego twarzy perlił się pot, usta miał otwarte, a zęby brudne od krwi i błota. Jego twarz była mokra od potu, a klatka piersiowa i brzuch podziurawione kulami. Z niektórych ran wciąż sączyła się krew i ropa.

Vic przekrzywił głowę i przyjrzał mu się uważniej:

- Jeśli mnie słyszysz, to rób to, po co tu przyszedłeś - powiedział. - Jesteś na granicy, więc musisz to zrobić dobrze. A dobrze, znaczy teraz.

Postać zrobiła krok i opadła na kolana. Może była bezrozumna, ale mimo to spojrzała na Vica błagalnym wzrokiem. Mechanik jednak pokręcił głową:

- Nie, szefie. To twoja działka. Nie mogę ci pomóc. Nie chcę popsuć ci zabawy.

Wyjął z kieszeni paczkę wykałaczek, wyjął jedną i włożył między zęby. Mmm, miętowa. Super.

Umierający nieznajomy upadł na twarz i znieruchomiał. Vic zmarszczył czoło, ale po chwili się rozluźnił, dostrzegając ruch klatki piersiowej. Wciąż żywy, ale już na granicy. Bezmyślnie przesunął wykałaczkę językiem z jednej strony ust na drugą.

- No, dalej, śliczniutki. Jeszcze tylko parę metrów. Jeśli naprawdę tego chcesz, to leż.

I konający usłuchał. Najpierw powoli zgiął białe palce i lekko poruszył stopą, a po chwili wbił dłonie w szlam i mocniej odepchnął się nogami. Znalazłszy oparcie w zagłębionym w ziemi korzeniu, spróbował się czolgać, wijąc się w trawie i błocie jak niezdamny wąż.

Vic obserwował go z zachwytem. Czytał kiedyś o tym w jednej z książek znalezionych w domu Ubela i w Internecie, ale nigdy wcześniej nie miał okazji obserwować tego na żywo. Całkiem inaczej niż na filmie.

Mężczyzna dotarł do brzegu bagna i Vic poczuł ukłucie radości. To jest to, to się naprawdę dzieje!

Nieznajomy był już u kresu wytrzymałości. Resztką sił odepchnął się i znalazł się w bagnisku. Z jego ran wciąż płynęła krew, zlewając się ze szlamem, stając się jego częścią. Vic słyszał, jak łapczywie błoto wsysa się w otwarte rany, jak spija z nich sok.

- O tak - jęknął.

- Tak... - odezwał się konający. Bardzo cicho, ale Vic słyszał go przez dźwięki dochodzące z bagna, przez odgłos zachłannego chleptania krwi. - O, tak!

Potem w nozdrza uderzył go smród siarki i spalonego mięsa, a z bagna wystrzełyły gazy, rysując kręgi na wodzie po obu stronach głowy mężczyzny. Chwilę później pochłonęła go ciemność, a Vic przysunął się bliżej, nie chcąc uronić ani sekundy z przedstawienia. Woda w bagnie była gęsta jak krew, choć atramentowoczarna.

Parowała z pluskiem na całej długości ciała mężczyzny, tworząc na powierzchni wiry. Największy wir utworzył się w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była jego twarz.

Vic czekał, co się teraz stanie. Mężczyzna wyglądał na trupa, nie ruszał się. Po chwili rozległ się jakiś dźwięk, cichy odgłos, jakby niemowlę ssało pierś.

Złapał się brzegu i zbliżył głowę do powierzchni tak, by dojrzeć twarz nieznanego. Teraz widział dokładnie - zmarły pił czarną ciecz.

Vic usiadł z uśmiechem, czując się szczęśliwy i potężny. Po dziesięciu minutach mężczyzna uniósł głowę i nabrał powietrza, po czym nieskończenie powoli opadł na dno bagna i leżał, a jego ciałem wstrząsały dreszcze gorączki.

Vic odrzucił wykałaczkę i wyjął papierosa. Zapalił jednego, a kiedy skończył, natychmiast sięgnął po następnego. Kiedy skończył, mężczyzna usiadł, a głowa opadła mu na kolana. Z jego nosa i ust wypływała lepka maź.

- Jak zdrówko? - zapytał rozbawiony Vic.

Karl Ruger pokręcił głową. Jego piersią wstrząsnął gwałtowny kaszel i mężczyzna zwymiotował mieszaniną czerwonej i czarnej krwi.

- Dziwnie się czuję...

- Co ty powiesz - mruknął Vic.

- Mój łeb... wszystko mi się miesza...

- Kochany - parsknął Vic - ciesz się, że nie wiesz, co tu się dzieje.

Ruger podniósł na niego załzawione oczy.

- A kim ty w ogóle jesteś? - Jego spojrzenie nie należało do przyjaznych.

- Pozwól, że przełożę to na prawdopodobnie zrozumiały dla ciebie język - powiedział. - Jam jest prawa ręka Ubela Griswolda.

Umierający ze zdumienia otworzył szeroko oczy.

- Tak, kochaniutki. Dwa pieski na tej samej smyczy. - Pochylił się do przodu i uderzył dłońmi w uda. - Więc słuchaj uważnie. Nazywam się Vic Wingate i Mistrz ma zadanie dla nas obu.

Ruger ze zmarszczonym czołem spojrzał na swoją pierś. Patrzył na rany postrzałowe, z których wylewała się czarna maź.

- No to powodzenia, bo ja tu, kurwa, umieram.

Vic wzruszył ramionami.

- I co z tego? Ponieważ teraz należysz do niego, to Griswold zdecyduje, jak i kiedy umrzesz i co się z tobą stanie. Teraz nie masz tu nic do powiedzenia, tak samo zresztą jak Bóg. Nowy szef, nowe zasady.

Ruger odkaslnął krwią.

- Bredzisz bez sensu. Chryste, mam cztery kulki.

- A dokładnie pięć. Ale chciałbym zauważyć, że jeszcze nie umarłeś. I co ty na to? - Vic przechylił głowę, rozważając to, co powiedział. - W każdym razie jeszcze nie do końca umarłeś. I nie umrzesz tak długo, jak długo będziesz potrzebny Mistrzowi. Bo widzisz, Ruger, pan ma dla ciebie plan.

A ty zresztą masz pewne niezalatwione sprawy, no nie?

Oczy przestępcy zapłonęły.

- Pieprz się. Jedyne, co zrobić przed śmiercią, to odnajdę sukinsyna, który mnie postrzelił, i rozszarpie mu gardło. I tej dziwce ze złamanym nosem też.

Vic wstał, otrzepując spodnie.

- Wydaje mi się, że jedziemy na tym samym wózku, więc chciałbym, żebyś mnie posłuchał. Masz do wyrównania rachunki, dobra. Dupek, którego trafiłeś, nazywa się Malcolm Crow, jest facetem dziwki nazwiskiem Guthrie. Tak się składa, że Mistrz chce, by przestali mu włączyć w paradę. On też ma na pieńku z Crowem i byłoby miło, gdybyś przekazał mu od niego pozdrowienia. - Ruger roześmiał się lodowato, na co Vic ciągnął spokojnie i z kamienną twarzą: - Musisz coś zrozumieć, złotko. Nieważne, jak to zrobisz, masz się zatroszczyć o to, żeby było o tym głośno. Ma odejść w wielkim i wrednym stylu. Odejdź w chwale razem z sukinsynami, którzy ci to zrobili. Każdy to kupi, mój drogi, a wiara jest właśnie tym, czego nam trzeba.

- Dlaczego?

- Jak powiedziałem, Mistrz ma swoje powody. Jest jeszcze coś...

- Co takiego?

Powiedział mu. Kiedy mówił, z ust Rugera popłynęła czarna maź. Oblizwał czerwone wargi, cmokając z zachwytem. Znów zaniósł się kaszlem, plując krwią, ropą i błotem, ale tym razem płuca wydawały się czystsze. Wciąż jednak był trupio błądy z powodu upływu krwi i rozpalony gorączką.

Vic również się uśmiechnął. Wciągnął do płuc dym papierosowy i wypuścił go nosem.

- Do zobaczenia - rzucił i ruszył do samochodu. Kiedy usiadł za kółkiem, nie przestawał się uśmiechać.

ROZDZIAŁ 23

1.

Nie zwrócił na nią uwagi, kiedy wszedł do windy: drobna, milcząca postać w kącie. Głowa pulsowała mu mieszaniną przeplatających się obrazów. Terry nacisnął

guzik z czwórką i ssąc cukierek o smaku kiwi, myślał o Malcolmie i Val, Marku i Connie, i jeszcze o Henrym Guthriem, umierającym samotnie na polu. Był bliski przedawkowania xanaksu, ale nie dbał o to. Miał plan: wyjść, kupić butelkę czegoś bardzo, bardzo mocnego - może burbona, może whisky - wrócić do szpitala, usiąść z tym w poczekalni i siedzieć do samego rana, kiedy wypiszą Crowa. Nie chciał wracać do domu, do Sary, a myśl o zaśnięciu napawała go strachem.

Terry miał wrażenie, że niewiele brakuje, a zacznie krzyczeć. Wysilek, który wkładał w zachowanie spokoju, doprowadzał go do szału. Za każdym razem, kiedy działo się coś takiego, chciał biegać i wrzeszczeć na wszystkich, żeby dali mu wreszcie spokój. Bezustannie był gotów do ucieczki. Wszystko dookoła zaczynało wymykać się spod kontroli, zupełnie, jakby chciał utrzymać śliskie węże między palcami, a one ciągle zwiwały. Przez ostatnie kilka tygodni, od kiedy zaczęły go dręczyć koszmary, zapomniał, jak może wyglądać spokojnie przespana noc. Żywił coraz głębsze przekonanie, że każdy element jego życia został wypaczony. W mieście zapanował chaos, zbiory niszczyła zaraza, banki zaczynały przejmować zadłużone po uszy farmy należące do ludzi, wśród których się wychowywał, ludzi, którzy patrzyli na niego, czekając na jakąś radę, bo jest ich burmistrzem.

A ukoronowaniem tego pasma nieszczęść były ostatnie wydarzenia, kiedy to Pine Deep zamieniło się w strefę wojny. Stary Guthrie nie żyje, a reszta jego rodziny leży w szpitalu. Czuł, że to jakiś obłęd, którego nie potrafi objąć rozumem. Crow został postrzelony! Policja kręciła się wszędzie i przejmowała kontrolę nad miastem. W domu było gorzej niż źle. Sara naciskała, żeby wrócił na terapię i wyleczył się z koszmarów. Normalnie Terry z ulgą powitałby terapeutyczne katharsis - ale nie teraz. Nie przy koszmarach, które go nawiedzały. Bał się usłyszeć, że to choroba umysłowa. Chciał krzyczeć, ponieważ był coraz głębiej przekonany, że po prostu traci rozum. Dzień po dniu, noc po nocy, koszmar po koszmarze. Od psychiatry oczekiwał tylko recept, kiedy kończył się zapas leków. Coraz silniejszych leków. Psychotropi i antydepresanty nie spełniały już jego oczekiwań, więc musi jakoś nakłonić doktora Caldera, żeby wypisał mu papierek na coś znacznie mocniejszego. Cokolwiek, byle tylko mógł wreszcie przespać w spokoju choć jedną noc.

Stał w windzie i wpatrywał się w polerowaną stal rozsuwanych drzwi. Stał i patrzył na swoje odbicie. Nie, nie na swoją twarz. Na tę inną twarz.

Twarz... czego? Co to jest? Nie miał bladego pojęcia, jak to nazwać.

To była twarz, którą widywał w snach, jak pochyła się nad ciałem śpiącej Sary i wyciąga w jej stronę pokręcone łapska. I jak otwiera pysk pełen ogromnych...

Zadrżał i zamknął oczy. Nie chciał nawet o tym myśleć, bo ilekroć starał się nadać temu jakieś imię albo nazwę, jego myśli wędrowały w przeszłość. Cofał się o trzydzieści lat, przypominając sobie Pine Deep z dzieciństwa. Miasto było zupełnie inne niż teraz. Mniejsze i ciemniejsze. Ciemniejsze, bo nie było tylu sklepów i nikt nie przyjeżdżał oglądać strachów, które zapewniły mu późniejszy dobrobyt. Terry starał się nie myśleć o tamtych czasach. Za każdym razem wkładał w te starania wiele wysiłku, ale rzadko mu się udawało. A już na pewno nie wtedy, gdy za dnia spoglądał w jakąś wypolerowaną powierzchnię i widział coraz większe zmiany, które sprawiały, że jego twarz była coraz mniej jego, a coraz bardziej i bardziej bestii z koszmaru. Tamte dawno minione dni odcisnęły na nim swoje piętno. Stracił wtedy kogoś, kogo kochał ponad wszystko. Mandy. Małego rudzielca Mandy. Była młodsza od niego o trzy lata i o wiele bliższa, niż bliskie są małe dziewczynki starszym braciom. Zawsze szczęśliwa, zawsze uśmiechnięta - zupełnie inna niż on. A ona zawsze znajdowała sposób, by zmusić go do śmiechu. Ale nie żyje już od trzydziestu lat. Pozostała w tamtych dawnych mrocznych czasach.

- Terry?

Zmartwił, słysząc za plecami dziecięcy głosik, zeszywniał. Pochylił się do przodu, nie zamierzając się odwrócić.

- Terry...? - powtórzył głosik.

Wpatrywał się w drzwi windy, zbyt przerażony, żeby choćby drgnąć. Wiedział, że jest sam w kabinie. Tak, to jest właśnie to, pomyślał z mieszaniną rezygnacji i akceptacji. Tak to się odbywa. Najpierw pojawiają się sny, potem halucynacje, a na końcu głosy. Tak ludzie popadają w szaleństwo. Tak czuje się człowiek, kiedy umiera jego umysł. Boże!

- Terry, proszę...

- Odejdź! - syknął przez zaciśnięte zęby. Machnął ręką, jakby odganiał kota. - Nie ma cię tu!

- Terry, proszę... popatrz na mnie!

- Nie! - Zazgrzytał zębami. Winda zatrzymała się na właściwym piętrze, ale drzwi ani drgnęły. Raz za razem dźgał przycisk, ale nic się nie działo.

- Proszę, popatrz na mnie... zobacz, co mi się stało.

Poruszyła się i podeszła bliżej, tak że mógł teraz zobaczyć jej odbicie w metalowych drzwiach. Drobna, szczupła sylwetka, typowo dziewczęca, w poszarpanej i przekrzywionej zielonej sukience. Mimo że jej odbicie było rozmazane i zniekształcone, widział jej twarz, rany na policzkach, krew, która z nich kapiała jak deszcz na sukienkę, i pobrudzone, zakrwawione rude loki.

- O Boże... - westchnął i zamknął oczy, żeby jej nie widzieć. Spod jego opuszczonych powiek płynęły łzy. - Tak mi przykro...

- Terry, nie chcę, żebyś płakał z mojego powodu...
- To odejdz!
- Nie mogę, Terry. Dobrze wiesz. - Głos należał bez wątpienia do małej dziewczynki, ale słowa, ich dobór i sposób mówienia świadczyły o dorosłości.
- Na miłość boską, dlaczego nie możesz zostawić mnie w spokoju?
- Wzywasz Boga? - powtórzyła kpiąco. - Bóg mnie nie ocalił, Terry. Ciebie też nie. Bóg nie ocali również twojego miasta. Jeszcze tego nie pojąłeś? On nie umarł, Terry!

Niewiele brakowało, a odwróciłby się, by spojrzeć jej w twarz.

- Co? Co powiedziałaś?
- On żyje, Terry - powtórzyła cicho. - Wciąż tu jest. Cały czas, po tych wszystkich latach...

- Nie, to nie może być prawda!

- A jednak, Terry, jest i dobrze o tym wiesz. On nie odszedł, wciąż tu jest. I znów wróci do tego, co robi najlepiej.

- Nie!

- Tak. Wszystko zacznie się od nowa. Ból, śmierć... jeszcze nie czujesz w powietrzu zapachu krwi? On wraca, Terry, ale tym razem będzie inaczej. Jest znacznie silniejszy. Bycie martwym bardzo go wzmocniło. - Mówiła teraz prastarym głosem, pełnym spokoju i bezwzględności. - Myślisz, że wtedy był potworem? Teraz jest znacznie gorszy. Wiesz, że mam rację. Widziałeś to wszystko w snach. I wiesz, czego od ciebie chce. Czym masz być. Widzisz to za każdym razem, kiedy patrzysz w lustro.

- Zamknij się! Proszę...

- Ale możesz go zatrzymać.

- Nie potrafię! Jak mógłbym to zrobić? Nie potrafiłem go powstrzymać wtedy...

- Przed skrzywdzeniem mnie? - dokończyła za niego. - Wiem, Terry, ale próbowałeś. Wiem, że próbowałeś, i za to cię kocham. Ale i tak skrzywdził mnie, potem skrzywdził ciebie, a jeszcze potem Szkielet skrzywdził jego.

- Zabił.

- Nie, tylko zranił. Zredukował - wyjaśniła dziecinnym głosem. - Jeszcze nie rozumiesz? Zło nigdy nie umiera. Czeka. Rośnie w siłę. On nie może umrzeć. On nie jest jak człowiek. Nie jest prawdziwy.

- Ty też nie!

- Wiem - powiedziała szeptem. - Wiem. Dlatego wszystko spoczywa na twoich barkach, Terry. To ty musisz stanąć do walki.

- Nie, to ty nie rozumiesz. Jak miałem z nim walczyć nawet wtedy, gdy żył? - Zapadła cisza, a potem Terry poczuł, że Mandy wsunęła malutką dziecinną

rażkę w jego męską dłoń. Miała drobne, zimne i mokre palce. Chciał się wyrwać, ale się powstrzymał.

- Wiesz, jak z nim walczyć, Terry.

- Jak? - sapnął. - Niby jak mam walczyć z kimś takim jak on? Z czymś takim jak on?

- Zostań ze mną. Nie upodabniaj się do niego.

- O czym ty w ogóle mówisz? Nie jestem taki jak on!

Odpowiedziała mu cisza. Mandy odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

- Terry, jedynym sposobem, żeby nie być takim jak on, jest być takim jak ja.

Tym razem wyrwał dłoń.

- Co masz na myśli?

W końcu odważył się na nią spojrzeć, ale ona zniknęła, pozostawiając jedynie chłód na jego palcach. Spojrzał na swoją rękę, na każdy palec osobno, i zobaczył na nich drobne kropelki krwi.

- Mandy... - szepnął.

Drzwi się otworzyły i Terry wypadł na pusty korytarz.

2.

Jim Polk wsunął płaską buteleczkę morelówki do kieszeni na biodrze i poprawił bluzę munduru, żeby zakryć wybrzuszenie. Był zmęczony, ale czuł się zrelaksowany.

Nie był przystojny i to niezależnie od tego, pod jakim kątem oceniać jego wygląd: niewysoki, przeciętnej wagi, przeciętnej budowy ciała i nijakiej karnacji. Wszystko psuło jednak jego spojrzenie, które świadczyło o skąpstwie i małostkowości. Miał pięćdziesiąt lat i wyglądał jak komiwojażer siłą wtłoczony w policyjny mundur. Zresztą poza ubraniem nic nie świadczyło o tym, że od trzydziestu jeden lat strzeże porządku i przestrzegania prawa. Nie dbał o to. Do szczęścia potrzebował butelki z czymś słodkim i mocnym. Uspokajająca waga butelki z alkoholem sprawiała, że miał ochotę się uśmiechać.

Po drugiej stronie ulicy, w wozie zaparkowanym przy krawężniku, siedziała jego tymczasowa partnerka. Miała ręce skrzyżowane na piersiach i opuszczoną głowę. Uśmiechną się. Podszedł do niej i przez kilka chwil stał nieruchomo, patrząc, jak śpi. Polkowi spodobało się, że przydzielili mu kobietę. Nawet bardzo. Jeszcze nigdy nie pracował w parze z Rhodą Thomas ani z Shirley O'Keefe, ale zawsze zastanawiał się, jak by to było pełnić służbę z laską. Laska z bronią. Laska, która potrafi strzelać, używa wulgarnych słów i jest brutalna.

Pomyślał, że ma dobry dzień.

Przyjrzał się jej. Melanie White, mimo kamizelki kuloodpornej, miała niezłe cycki. Już on umiał to ocenić. Co prawda nosiła luźne i niezgrabne spodnie policyjne, ale wyobraził sobie, że pewnie ma kształtne pośladki. To mu się naprawdę podobało. Nie był tylko zadowolony z jej twarzy - trochę za surowa, nos był nieco zbyt długi i zakrzywiony, a usta za wąskie. A co tam, pomyślał. Po ciemku i tak wszystkie wyglądają tak samo.

Uśmiechnął się i wyjął z kieszeni małą buteleczkę whisky, wprawnym ruchem zerwał banderolę, odkręcił korek i pociągnął spory łyk. Potem oblizał usta, rozejrzał się i ukrył alkohol. Ulica była pusta i nikt nie patrzył - nikt poza lokalnym bezdomnym, panem Pocketsem, stojącym przy koszu na śmieci, który przed chwilą przeszukiwał. Pozdrowił Polka miłym uśmiechem i wrócił do swoich zajęć. Jim go zignorował. Uśmiechał się i był szczęśliwy.

Nagle zamarł z zachwytem malującym się na twarzy. Wykombinował sobie, że jeśli przycisnie mocno czoło do zimnego obramowania drzwi radiowozu, być może uda mu się zajrzeć Melanie pod koszulkę. Hmm... Wyczuł językiem resztki smaku alkoholu i zanim zaczął realizację planu, rozejrzał się po ulicy. Zimny metal przyjemnie chłodził czoło, a kiedy przesunął się wyżej, żeby spojrzeć pod lepszym i bardziej obiecującym kątem, z cienia wyłoniły się pierwsze centymetry szpary między piersiami, ginącej w całkowitej ciemności białej koszulki i sztywnej kamizelki z kevlaru. Ale była tam, nie miał wątpliwości. Skórę na piersiach pokrywały delikatne piegi, ale to mu się akurat podobało.

- Oj, Jimmy, wciąż lubisz sobie popodglądać, co? - usłyszał za plecami.

Podsłoczył przerażony i szybko się odwrócił. Serce waliło mu jak szalone. Niecałe dwa metry od niego stała półciężarówka na jałowym biegu. Nawet nie słyszał, jak podjechała. Vic Wingate opierał się o błotnik. Silne ramiona skrzyżował na piersiach, przechylił głowę i uśmiechał się nieprzyjemnie. Polk wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem rzucił pełne poczucia winy spojrzenie śpiącej Melanie White, po czym znów popatrzył na Vica. W końcu wzruszył ramionami i z błędą twarzą podszedł do niego.

- Mój nowy partner - wyjaśnił cicho.

- Żartujesz. - Vica niezbyt to interesowało. - Już ją dymałeś?

- Ciii! Chryste, przecież cię usłyszy.

Vic zachichotał.

- I co z tego? I tak jest brzydka. Ma twarz atrakcyjną jak kawał kamienia. - Zastanowił się przez chwilę. - Ale cycki niczego sobie.

Polk ostrożnie przesunął się na bok, żeby zasłonić mu widok.

- O co chodzi, Vic? Czego chcesz?

- A co? Zawsze muszę czegoś chcieć? Nie mogę się zatrzymać, żeby pogadać ze starym kumplem?

Polk wydał wargi.

- Tak, akurat. Nie odlałbyś się na mnie, gdyby mi się portki zapaliły, więc nie ściemniaj. Jestem teraz na służbie, więc gadaj, o co chodzi.

Vic odsunął się od błotnika i sięgnął do kabiny po coś, co leżało na podłodze po stronie pasażera. Potem odwrócił się do Polka. W ręku trzymał starą, ubrudzoną olejem szmatę, którą podał policjantowi. Jim ściągnął brwi, a potem poczuł wagę i kształt pakunku. Już chciał odwinąć zetlały materiał, ale Vic wyciągnął rękę i pokręcił głową. Polk jeszcze raz zważył przedmiot w dłoni i na jego twarzy pojawił się wyraz zaciekawienia.

- Czy to...

- Tak - potwierdził Vic.

- Ale... dlaczego...

Vic pochylił się i zbliżył twarz do twarzy Polka.

- Mam u ciebie przysługę - powiedział szybko.

- Jaką przysługę? Nie rozumiem... Przecież nic dla ciebie nie robiłem, od kiedy...

- Dobra, powiem to inaczej. To przysługa, którą niedługo będziesz mi winien.

- Winien?

Polk niczego nie rozumiał, a jego twarz robiła się coraz chmurniejsza. Przez chwilę nic nie mówił, tylko spoglądał na samochody, które ich mijały. Vic dał mu czas. Po kilku chwilach Polk zrozumiał, a jego wyraz twarzy świadczył o szoku. Otworzył szeroko oczy i poczuł, że zaczynają mu drżeć kolana.

- Vic, nie wygłupiaj się...

- To nie jest dowcip, Jimmy. Wiedziałeś, że kiedyś nadejdzie ten czas.

- Daj spokój. To jakieś szaleństwo! To były wygłupy! Po raz ostatni gadaliśmy o tym w liceum, a ja byłem naćpany jak cholera! - Polk kiwał głową w przód i w tył.

- Jimmy... - Vic mówił miękkim głosem - nie pogrywaj ze mną. Wiesz, o czym rozmawialiśmy i wiesz, co to oznaczało. I nie pieprz głupot, że to wszystko wina prochów. Wiesz doskonale, musisz wiedzieć!

Polk wpatrywał się w niego przez dobrą minutę, nie przestając kiwać głową. Poczuł pieczenie w kącikach oczu i dziwne drapanie w nosie i gardle. Nagle zdał sobie sprawę, że zaraz zacznie płakać. Zrobił głupią minę i odwrócił się.

- Co za pieprzenie...

Vic złapał go za ramię tak szybko i szarpnął z taką siłą, że Polk obrócił się wokół własnej osi i zatrzymał, patrząc potężnemu mechanikowi prosto w twarz. Na ziemię upadł zwitek banknotów.

- Nie waż się odejść, Jimmy! - Vic pochylił się, a jego głos był zimny i ostry jak brzytwa. Polk nie chciał spojrzeć mu w oczy, ale ten wpatrywał się w niego tak

intensywnie, że nie potrafił się oprzeć. Był przerażony i wiedział, że znalazł się w pułapce.

- Jimmy, już wcześniej wzięłeś ode mnie kasę. Cholera, ty idioto, przecież wzięłeś kasę od niego! Myślisz, że możesz brać jego pieniądze i nie zapracować na nie? - Zaciśnął rękę i przyciągnął policjanta jeszcze bliżej do siebie. Polk poczuł wyraźny zapach papierosów i delikatniejszą, kwaśną woń, ale jej nie rozpoznał. - Wzięłeś jego kasę, Jimmy. Wzięłeś swoje srebrniki, tak samo jak ja. A to oznacza, że teraz należymy do niego. Rozumiesz? On nas ma, a my jesteśmy jego własnością! Powinieneś się cieszyć, że ktoś taki jak on zalicza cię do swoich wybrańców! To wielki honor i zaszczyt, idioto, i lepiej o tym nie zapominaj. Nigdy! - Puścił Polka i pchnął go lekko, ale wystarczająco mocno, żeby mężczyzna się zatoczył i oparł o jego pick-upa.

Kiedy Polk złapał równowagę, rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy ktoś widział, jak został poniżony. Jego partnerka spała spokojnie na przednim siedzeniu radiowozu, a jedyną osobą, która mogła cokolwiek zauważyć, był bezdomny pan Pockets. Żebrak popatrzył na niego przez chwilę i nie przejawiając zainteresowania, wrócił do grzebania w śmieciach.

- Dobra - powiedział Vic spokojniejszym tonem. - Weź pieniądze. Oczy miał twarde i zimne jak stal.

Polk nie starał się nawet wytrzymać jego spojrzenia. Szybko spuścił wzrok, pochylił się i podniósł zawiniątko.

„Wzięłeś swoje trzydzieści srebrników, tak samo jak ja”.

Vic pokiwał z zadowoleniem głową i nagle się uśmiechnął.

- Już wkrótce wszystko się zacznie. To tylko początek, pamiętaj! To jak zaliczka. Tam, skąd to przysłano, czeka na nas cała masa dóbr. Kiedy nadejdzie czas, zadzwonię do ciebie i powiem dokładnie, co masz robić, żeby zarobić na całą whisky i wódkę na świecie. Zadzwonię już wkrótce. - Przerwał i wycelował w niego palcem. - A ty lepiej bądź gotowy.

Potem odwrócił się, wszedł do auta, wrzucił bieg i włączył się w ruch na ulicy. Po chwili zniknął za zakrętem. Polk nie mógł ruszyć się z miejsca. Patrzył za oddalającymi się światłami pick-upu. Miał szeroko otwarte oczy, serce waliło mu jak oszałałe, a w głowie kotłowały się możliwe scenariusze. Melanie przespała całe zajście, ale kiedy ze złością zatrzasnął klapę bagażnika, obudziła się. Otworzyła zaspane oczy i spojrzała na Polka, jak gramoli się na siedzenie obok.

- Coś nie tak? - zapytała.

„Wzięłeś swoje trzydzieści srebrników, tak samo jak ja. Należymy do niego!”

Polk otarł pot z czoła i znad górnej wargi.

- Nie - odpowiedział ochryple. - Ja... jakoś gorzej się poczułem.

Melanie wzruszyła ramionami i uruchomiła silnik. Po chwili jechali na południe.

3.

- Dałem jej środki uspokajające, więc będzie teraz spała - oznajmił Weinstock, siadając w fotelu koło łóżka.

Crow skinął głową. Piętnaście minut po tym, jak do jego pokoju wślizgnęła się Val, w drzwiach pojawił się pluton pielęgniarek i przypuścił na niego atak, jakby to, że Val uciekła z łóżka, było jego pomysłem. Odprowadziły ją do pokoju, a wychodząc, rzucały jeszcze Crowowi pełne wyrzutu spojrzenia. Kilka minut później odwiedził go Saul Weinstock.

- Powiedziała ci, dlaczego uciekła?

- Złe sny. Przecież nie można jej za to winić. - Weinstock wzruszył ramionami. - Na mnie pewnie też czekają tej nocy.

- Aż tyle to mi nie powiedziała. Wspomniała tylko o śnie z tym złym gościem, Rugerem. Żadnych szczegółów.

- Ona twierdzi, że widziała w swoim pokoju Karla Rugera. Oj, daj spokój, nie patrz tak na mnie. Po tym wszystkim, przez co musiała przejść, byłbym skłonny obawiać się o jej zdrowie psychiczne, gdyby nie miała koszmarów. Wpompowaliśmy w nią tyle chemii, że do rana nie będzie śniła o niczym niebezpieczniejszym niż Święty Mikołaj.

- Dobrze by było - mruknął Crow.

- Słuchaj, przez chwilę musimy pogadać poważnie - zaczął lekarz. - Obaj wiemy, że Val to twarda sztuka i gdyby była w dobrej formie, nigdy bym się nie odważył jej przeciwstawić. Ale po tym, co się stało, może się trochę posypać. A ty - puknął Crowa palcem w kolano wystające spod szpitalnego koca. - Ty musisz pełnić funkcję stabilizującą. Musisz dać jej pewność i spokój. Masz być wcieleniem rozsądku i porządku, żeby umożliwić jej powrót do stanu sprzed tego wszystkiego.

- Rozsądek i porządek? Ja?

- Wiem, że to dla ciebie wyzwanie.

- Pocałuj mnie w...

- Nie jesteś koszmerny.

- A skąd wiesz?

- Jestem lekarzem, wiem wszystko.

- Ups...

- Poza tym... ona będzie potrzebowała dużo czasu i jeszcze więcej miłości. I cierpliwości. Uporanie się z tym wszystkim może trwać nie tygodnie, a miesiące. Jesteś na to przygotowany?

Crow się roześmiał.

- Sal, czy mogę zdradzić ci jedną tajemnicę?
- No pewnie, wal.
- Ostatniej nocy i tak zamierzałem zaprosić Val na wspólny weekend do New Hope. Wiesz, w miłym hotelu, atmosfera... przy kolacji, pijąc dobre bezalkoholowe wino chciałem zaskoczyć ją wiadomym pytaniem.

Twarz lekarza rozjaśnił szeroki i radosny uśmiech.

- No, to mogę zakładać, że naprawdę wiesz, co cię czeka.
- Jak to szło? W zdrowiu i w chorobie.

Weinstock poklepał go po nodze i wstał.

- Dobry chłopak z ciebie.

4.

Saul Weinstock wyszedł i zamknął za sobą drzwi, ale zamiast pójść dalej, zatrzymał się i popatrzył na korytarz, w stronę pokoju Val. W połowie drogi między pokojami stał policjant. Gdy zauważył, że patrzy na niego lekarz, spuścił wzrok i się zaczerwienił. Barry Whistover, bo tak się nazywał, był zawstydzony tym, że nie dopilnował Val i pozwolił jej się wymknąć, ponieważ zszedł na dół na papierosa. Weinstock wziął młodego człowieka na bok i tak go zwymyślał, że Barry do teraz miał czerwone uszy. Saul wyjaśnił mu w oględnych słowach, że jedynie współczucie dla ludzi dotkniętych tępotą i innymi chorobami umysłowymi powstrzymuje go przed złożeniem skargi Gusowi Bernhardtowi. Policjant nie miał nic na swoje usprawiedliwienie, więc kiedy Weinstock skończył, wrócił na stanowisko z ulgą, ale też płonął ze wstydu i upokorzenia.

Ale Weinstock nie patrzył teraz na niego. Wpatrywał się w drzwi pokoju Val i zastanawiał nad tym, co Crow właśnie mu oznajmił: oświadczyzny. Uśmiechnął się. Nie potrafił sobie wyobrazić lepszego wyczucia czasu. Zaręczyny przede wszystkim pozwolą jej skupić się na czymś radosnym, bo wszystko dookoła niej stało się strasznie dołujące. A co ważniejsze, to bazując na wywiadzie lekarskim, badaniach krwi i moczu Sal wiedział, że są na najlepszej drodze do założenia rodziny.

Ruszył na obchód, pogwizdując wesoło na przekór strachowi, który wisiał nad miastem.

ROZDZIAŁ 24

1.

Kiedy cicha jesienna ciemność zawładnęła Pine Deep, Vic Wingate zaparkował w miejscu zwanym Passion Pit, nad samym zboczem stromo opadającym do Mrocznego Jaru. Zgasił silnik, zapalił papierosa i rozsiadł się wygodnie. Czekał. Nie włączał radia, nie wydawał żadnych dźwięków.

Przepehniało go szczęście. Wszystko szło zgodnie z planem, sprawy posuwały się naprzód - zgodnie z resztą z Jego zapewnieniami, że nie będzie żadnych problemów. Ale to w końcu On wszystko obmyślił. Zgodnie z przewidywaniami, w mieście pojawił się Ruger. Utknął tutaj i poddał się Zmianie. Eddie Holownik miał zająć się Mikiem, a znając tego człowieka, powinien szybko uporać się z problemem. Biorąc pod uwagę to, czym Mike jest, lepiej się go pozbyć, zanim zrozumie swoją naturę. Im wcześniej zniknie, tym lepiej - dla wszystkich. Vic od początku walczył z chęcią, by zająć się nim osobiście, ale Pan zabronił mu tego robić. Mike nie może zginąć ze zdeprawowanej ręki, bo konsekwencje mogłyby pokrzyżować ich plany. Musi to zrobić ktoś czysty, o niesplamionych dłoniach, albo wszystko spali na panewce. A czyje ręce są czystsze niż ręce Eddiego Holownika? Ten gość to chodzący święty. Pierwsza liga popaprańców w mieście, ale jeśli chodzi o kwestie ducha, jest czysty jak łąza. Działając jego rękami, lada chwila zneutralizują Mike'a i jego potencjał. Kiedy i ta przeszkoda zniknie z drogi, nie już nie będzie mogło powstrzymać Czerwonej Fali. Ta świadomość podziałała na zmysły Vica z taką siłą, że poczuł erekcję.

Palił papierosa i zastanawiał się nad Rugerem. Wokół tego gościa wciąż za dużo się dzieje. Stanowczo za dużo, żeby mógł cokolwiek zrobić. Jeśli ten psychopata wykona w końcu swoje zadanie, wszystko natychmiast ucichnie. Vic zastanawiał się, jak Ruger ma się zabrać do roboty i jakie dokładnie zlecenie na niego czeka. Czy oprócz Crowa weźmie ze sobą Val? Jeśli mu się uda, wszystko stanie się jeszcze prostsze. Vic nienawidził Crowa, bo był ostatnim, który przez te wszystkie lata wciąż im się wymykał. Jedynym, któremu się upiekło. Griswold był dosłownie o jeden ruch ręką od rozerwania gardła temu gówniarzowi, kiedy pojawił się Oren Morse i go uratował. To był punkt zwrotny. Wtedy wszystko się posypało. Trzydzieści lat temu Morse uratował młodego Crowa i zabił Griswolda.

Vic pokręcił głową. Nie mógł się nadziwić, jak taki chudy czarnuch brzdąkający bez przerwy na gitarze pokonał Pana. To przekraczało jego zdolność pojmowania.

Potem uśmiechnął się pod nosem, bo przypomniał sobie, jak to się skończyło dla Szkieleta. To był z jego strony głupi krok, bo nie tylko dał Vicowi pretekst do zorganizowania linczu - swoją drogą super się przy tym bawił - ale też rozpoczął Wielką Przemianę Griswolda. Nawet Pan nie miał o tym pojęcia. Wingate uważał, że trup to trup, i choć mu wtedy służył, wiedział, że jest mniej lub bardziej śmiertelny. Dobrze, był wilkołakiem, ale przecież żył i można go było tego życia pozbawić. Potem został zabity i pochowany w bagnie. Nie miał pogrzebu na cmentarzu, z trumną i księdzem, nie, został wepchnięty pod śmierdzącą powierzchnię bagna tak, jak umarł: w połowie drogi między człowiekiem i potworem.

Właśnie wtedy Vic dowiedział się, że zło nigdy nie umiera. Czeka, zmienia się, ale zawsze wraca. Chyba że jego moc zostaje zablokowana przez modlitwy i odpowiedni pochówek - inaczej zawsze wraca, i wraca silniejsze. W przypadku Pana wracało pod inną postacią. Już nie był wilkołakiem i z całą pewnością nie miał w sobie niczego ludzkiego. Pan stał się czymś poza zasięgiem pojmwania mieszkańców Pine Deep. Nie był podobny do Boyda ani Rugera. Cholera, kiedy Pan zyska swoje nowe ciało i powstanie z bagna, nic nie będzie mu już zagrażało, a osinowe kołki i czosnek będą sobie mogli w dupę wsadzić.

Vic przerwał na chwilę i się zamyślił. Czosnek i kołki. Właściwie to nie miał pojęcia, czy dałoby się w ten sposób zatrzymać Boyda czy Rugera. Będzie musiał sprawdzić. Nie dlatego, że ich nie lubił - nie, musi się upewnić, że nie znikną, jeśli jakiś pacan po kebabie kichnie w ich stronę. Kołki sprawdzi z ciekawości, czy legenda mówi prawdę. Jeśli działają, to cóż, niewiele będzie mógł poradzić. Ale z czosnkiem sprawa jest prostsza. Trzeba będzie ograniczyć jego hodowlę na tym terenie. Zapamiętał, żeby jutro się tym zająć.

Zapalił kolejnego papierosa i kiedy opuścił szybę, żeby wyrzucić niedopałek, usłyszał trzask gałązki pod czyjąś stopą. Odruchowo złapał starego mauzera c-96 bolo. Nosił go w kaburze pod ramieniem. Pistolet został wyprodukowany w 1920 roku i wcześniej należał do Ubela. To sprawiało, że Vic traktował go jak relikwię.

Oparł lufę o dolną krawędź otwartego okna i czekał, aż ktoś się pokaże. Jeśli będzie to ktokolwiek, poza człowiekiem wysłanym przez Pana, rozwali mu łeb. Mauzer nie był nigdy rejestrowany i nie figurował w żadnym spisie. W ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat Vic zastrzelił z niego pięć kobiet i trzech włóczęgów, za każdym razem poświęcając ofierze tylko jeden strzał. Kochał wydajność i nienawidził marnotrawstwa.

Krzaki na samej górze zбочa zakołysały się i zaszeleściły suchymi liśćmi. Coś zamigotało w blasku księżyca, a w następnej chwili na parking wyszedł mężczyzna. Był cały w mule i krwi, a jego prawa noga była wyraźnie wykręcona. Mimo to szedł

i nie pokazywał, że coś go boli. Miał śnieżnobiałą zakrwawioną twarz, ciemne oczy i obwisłą szczękę, a w ustach zęby posklejane skrzepniętą krwią i kawałkami surowego mięsa. Kiedy zobaczył Vica, jego twarz wykrzywił grymas nieludzkiej nienawiści. Vic uspokoił się i wcisnął bezpiecznik.

- Tutaj, dupku - powiedział. - Wsiadaj, bo tylko marnujemy czas.

2.

- Jezu! - Terry otworzył gwałtownie oczy, budząc się ze snu, jakby ktoś uderzył go w twarz. Impet, z jakim się poderwał, wytracił dopiero na samym brzegu fotela, na którym siedział. Zaciśnął palce na podłokietnikach i pochylił się do przodu, jakby miał zamiar wymiotować. Jego serce waliło z siłą grzmotu, a oczy wypełniały błyskawice. Był mokry od potu. Poczekalnia była pusta, spokojna i skąpana w wieczornych cieniach.

Rozejrzał się, szukając przyczyny tak gwałtownego obudzenia - ale nie zauważył niczego, co mogłoby spowodować podobny szok. Przez jedną okropną chwilę pomyślał, że duch siostry powrócił, aby zadrećcać go błaganiem. Nie widząc jej nigdzie w pobliżu, szybko się uspokoił.

Nie czuł nic, poza ulotnym i ledwo wyczuwalnym przekonaniem, że właśnie stało się coś naprawdę strasznego. Strach krążył wokół jego serca jak ćmy dookoła żarówki. Świadomość, sen czy może uczucie - cokolwiek to było, stopniowo słabło. Serce przestało walić.

Ktoś szedł korytarzem, wystukując obcasami rytm. Kroki były coraz bliżej, aż w końcu do sali wsunęła się uśmiechnięta pielęgniarka.

- Przepraszam, wydawało mi się, że usłyszałam...

Terry spojrział na nią czerwonymi ze zmęczenia oczami. Spierzchnięte wargi wykrzywił w wymuszonym uśmiechu i rozluźnił palce zaciśnięte na fotelu.

- Wszystko w porządku? - zapytała pielęgniarka.

- Uhm... tak, tak, wszystko w porządku. Uciałem sobie drzemkę.

- W takim razie przepraszam, że przeszkadzam, panie burmistrzu. Dziwne, myślałam, że gra telewizor. - Spojrzała na czarny ekran. - Chyba jestem zmęczona i zaczynam słyszeć rzeczy, których nie ma.

- Co ma pani na myśli?

Roześmiała się zawstydzona.

- Pewnie pan pomyśli, że jestem pomyłona... ale przez moment słyszałam ryk.

- Ryk? - zapytał Terry ze ściśniętym gardłem.

- No właśnie, to idiotyczne, prawda? Ryk, taki jak lwa albo niedźwiedzia. Albo czegoś podobnego.

- Tutaj?

- Wiem, wiem... jestem jeszcze za młoda na alzheimera! - Zaśmiała się z dowcipu. - Przepraszam, że przeszkodziłam.

Pielęgniarka wycofała się i zamknęła za sobą drzwi.

Terry nie mógł się ruszyć. Wpatrywał się w drzwi. Pod palcami czuł poharataną skórę fotela. W końcu odważył się spojrzeć najpierw na jeden podłokietnik, potem na drugi. Twarda skóra była poprzecinana, jakby ktoś rozorał ją kilkoma ostrymi nożami. Po cztery cięcia na każdą stronę.

- Boże, miej mnie w swojej opiece! - szepnął i gdzieś w zakamarkach mózgu usłyszał słowa Mandy: „Bóg mnie nie uratował, Terry”.

- Nie!

„Ciebie też nie, Terry. I Bóg nie uratuje twojego miasta”.

- Wynos się z mojej głowy! - wrzasnął, uderzając zaciśniętymi pięściami w czołosek.

Doskonale wiesz, czego on od ciebie chce. Kim masz się stać. Za każdym razem, gdy patrzysz w lustro, widzisz przeznaczenie.

Pochylił się, ukrył twarz w dłoniach i zapłakał nad utraconymi zdrowymi zmysłami i swoją duszą.

3.

Jim Polk leżał na plecach i wydmuchiwał dym w kierunku sufitu. W radiu Jerry Garcia śpiewnie zapewniał, że każdy kumpel diabła jest też jego kumplem. Obok niego spokojnie spała Donna Karpinsky. Mruknęła coś przez sen i przewróciła się na bok. Polk przyjrzał się jej. Była ładną dziewczyną. Miała jakieś dwadzieścia pięć lat, czarne włosy, płaską pupę i oczy, które często były bardzo ładne, ale czasem zamieniały się w brutalne pięści, kiedy miała humory. Polk zawsze rozumiał jej spojrzenie. To było spojrzenie kurwy, bezkompromisowe i twarde jak stal. Tak właśnie na niego patrzyła, kiedy przed dwiema godzinami zatrzymał ją na ulicy. Była przekonana, że tylko się jej czepia albo chce wymusić darmowy numer. Widok pliku zielonych banknotów zadziałał łagodząco. Obdarzyła go głębokim, powłóczyście spojrzeniem. Polk wiedział, że może zmusić ją, żeby zajęła się nim za darmo, machając jej po prostu odznaką przed nosem, ale uznał, że jest znacznie ciekawiej, kiedy zyskuje całą jej uwagę i nie musi znosić niezadowolenia.

Dał jej dwieście dolarów, co było poczwórną stawką za zwykły numer. Dodatkowo zapłacił za hotel i butelkę napoleona, która opróżniona do połowy stała

na stoliku obok. Polk byłby zadowolony, gdyby była po prostu dla niego miła, ale chyba bardzo ucieszyła ją dodatkowa kasa, bo przez godzinę całowali się i wygłupiali jak dzieciaki z liceum. Dla odmiany udawali czułość. Potem przyszedł czas na interesy. Zajęła się nim z wprawą zawodowca. Mimo to był zadowolony. Starła się, by wyglądało to jak spotkanie dwojga ludzi, nie jak pijanego gliny i hotelowej dziwki.

Teraz Polk leżał, palił i myślał o pieniądzach, które pozwoliły mu tak przyjemnie spędzić wieczór. O pieniądzach od Vica. Za każdym razem, kiedy o nim myślał, czuł niepokój. Dawniej załatwiał dla niego wiele rzeczy. Takich, które czasem były całkiem w porządku, a czasem zmuszały do wymiotów. Przez te wszystkie lata tylko raz spróbował się uwolnić i powiedzieć Vicowi, że to koniec. Tylko jeden jedyny raz, po którym przez cztery tygodnie był na zwolnieniu, bo Vic bardzo źle przyjął odmowę. Cztery tygodnie, podczas których Polk sikał krwią, unikał głębokich oddechów i mógł jeść tylko papki i kleiki. Gusowi Bernhardtowi powiedział, że miał straszny wypadek na motorze. Ani Gusowi, ani nikomu innemu nie miał zamiaru się przyznać, że Vic skopał go niemal do utraty przytomności, a potem wepchnął w usta psie gówna i celując w głowę, zmusił, by wszystko dokładnie przelknął.

Leżąc w łóżku, wrócił myślami do tego dnia przed osiemnastu laty i poczuł, że zaczynają mu się trząść ręce.

Żeby się uspokoić, wciągnął dym do płuc i mrugał, aż pozbył się łez wstydu. Osiemnaście lat, a on wciąż czuł się tak samo. Kiedy powiedział, że to koniec, Vic zaczął go kopać, tłumacząc, że opuścił światło. Jimmy uwierzył mu z całego serca. Z biegiem lat prace dla niego stawały się coraz mniej ważne, coraz drobniejsze, aż w końcu dostawał coś tylko od wielkiego dzwonu, żeby nie wyszedł z wprawy. Ale teraz dał mu tyle kasy, że nie mógł jej upchnąć w kieszeni.

Czego on może chcieć? Co jest aż tyle warte?

Zawsze się bał, że któregoś dnia dostanie polecenie zabicia kogoś, a po tamtym laniu nie był przekonany, czy potrafiłby mu odmówić. Nic, ani diabeł, ani więzienie - nic nie było dla Polka bardziej przerażające niż Vic Wingate.

Tym razem dał mu dużo pieniędzy. Małą fortunę. A nigdy nie przepłacał za jego usługi.

Boże, proszę, modlił się w ciszy. Zakasłał i szybko usiadł. Przycisnął do ust zaciśniętą pięść, żeby zagłuszyć kaszel. Donna odwróciła się na drugi bok i zaczęła chrapać. Polk poczuł na skórze dłoni coś wilgotnego i ku swemu zaskoczeniu odkrył na niej drobne krople czegoś czarnego.

Wyglądały jak błoto albo jak bród, ale pachniały...

Pachniały jak krew.

Zmarszczył brwi i poczuł, że pot ścieka mu po plecach.

Wpatrywał się w ślady na skórze i nie wiedział, co o tym myśleć. Zamrugał kilka razy i zauważył, że zmieniło się oświetlenie pokoju. Przyniósł dłoń do oczu, żeby dokładniej przyjrzeć się czarnym plamom na skórze. Nagle już nie były czarne. Nie, to musiał być jakiś dziwaczny cień. Były po prostu przezrzyste jak ślina.

Powąchał je. Na jego usta wrócił uśmiech. Musnął językiem kilka drobnych kropel na skórze i zaśmiał się. To nie krew. To napoleon. Zlizał resztkę alkoholu.

Po chwili położył się na plecach i znów wpatrzył w sufit. Był zadowolony. Uśmiechał się. Kiedy zakaszał i zobaczył czarne ślady na dłoni, przestał myśleć o Vicu i o tym, o co go poprosi. Teraz jedyne, co miał w głowie, to smaczny papieros i dziewczyna obok, która dziś w nocy się nie wyśpi. O nie, jeśli chce zarobić dwieście dolców.

4.

Żelazny Mike Sweeney wymiotował. Przy każdym skurczu złamane żebro sprawiało ogromny ból. W oczach czuł wzbierające łzy. Klęczał na drodze, z rękami wspartymi o krawężnik. Schylał się i przez umęczone gardło wyrzucał z siebie ogromne ilości czarnego lepkiego płynu. Miał słony smak, jak łzy albo jak krew.

Mike był w połowie drogi do domu ze szpitala. Przechodził na drugą stronę Mayfair Street, kiedy nagle jego żołądek zwinął się w tak potężnym skurczu, że ugięły się pod nim kolana, a sam zgiął się z bólu nad kierownicą. Zatrzymał się gwałtownie, zszedł z Maszyny Wojennej i pozwolił jej upaść na ulicę. Oparł się jedną ręką o parkometr, a drugą przycisnął do brzucha. Potem nogi się pod nim ugięły i z impetem klapnęły na krawężniku. Pierwszy skurcz minął i przez dłuższą chwilę Mike próbował wyzwolić umysł z lepkiej mgły, jaka spowiła go wraz z falą bólu. Potem przyszedł drugi skurcz, znacznie mocniejszy. Poleciał do przodu, zatrzymując się na kolanach i opierając na rękach. Zwymiotował wprost na żeliwną kratkę studzienki burzowej. Prędkość, z jaką się to wszystko wydarzyło, przejęła go strachem, a kiedy zobaczył, czym zwymiotował, strach zamienił się w przerażenie.

Pomyślał, że ma krwotok i że wymiotuje krwią, która leje się z jakiejś pękniętej żyły. W jego głowie pojawiło się przypuszczenie, że w końcu Vicowi się udało, że w końcu tak bardzo go skrzywdził, że właśnie umiera, na ulicy, wstrząsany spazmami bólu. Wymioty powoli ustawały, a on już tylko pokasływał. Z bólu zacisnął powieki. Przez niemal dwie minuty klęczał na pustej ulicy i się nie ruszał, czekając na kolejne skurcze. Powoli, bardzo powoli zaczęło ustępować nieprzyjemne napięcie

w żołądku. Nie mógł się za to pozbyć obręczy na gardle, która go dusiła, a przeżywający ból żeber niemal pozabawiał zmysłów. Ale nie miał już wrażenia, że w żołądku coś faluje i bulgoce.

Powoli, bojąc się spojrzeć na krew, którą przed chwilą z siebie wyrzucił, uniósł powieki.

Na kratce ściekowej nic nie zostało. Zaledwie kropla czy dwie. Nic więcej.

Mike patrzył i starał się cokolwiek zrozumieć. Widział przecież krew, widział jej czerń, czuł zapach i widział, jak kaskadami wylatuje z jego ust. Tak było. A może wcale nie?

Mike Sweeney wpatrywał się w studzienkę kanalizacyjną i czuł, że ogarnia go fala śmiertelnego strachu.

5.

Coralita Toombes i jej tymczasowy partner, Dixie MacVey, patrolowali odległy odcinek A-32, a nad ich głowami niebo błyszczało rojem gwiazd. Nadciągały chmury, które znów chciały spowić całą okolicę burzową ciemnością. Policjanci zmierzali w kierunku granicy pomiędzy Pine Deep a Black Marsh. Krążyli po tych okolicach już od siedmiu godzin, więc znali na pamięć każdy kawałek trasy. Zaczynali od skrzyżowania A-32 z Old Mill Road, potem posuwali się na południe na tyle prosto, na ile pozwalała meandrująca nieustannie droga, mijali farmę Guthriego, potem jechali dalej, do mostu nad Delaware, do Black Marsh w New Jersey. Tam skręcali na zachód drogą Peddler's Trail, którą wracali przez pordzewiały most Swallow Hill, a za nim skręcali ponownie na północny zachód i docierali do Old Mill. Cała pętla miała dokładnie czterdzieści osiem kilometrów, choć gdyby zmierzyć tę samą trasę liniami prostymi, pomijając zakręty, pętle i zatoczki, nie miałyby więcej niż piętnaście kilometrów.

Toombes i MacVey jechali w milczeniu, po części dlatego, że byli zmęczeni, po części z nudów, ale też dlatego, że nie mogli na siebie patrzeć. Z punktu widzenia lokalnego gliny, Toombes była przemądrzałą suką podkreślającą co krok, że jest z dużego miasta i wszystko wie lepiej. MacVey uważał, że traktuje go z lekceważeniem, bo jest typem policjanta, który z pogardą patrzy na funkcjonariuszy z małych miasteczek, ponieważ jej zdaniem nie są prawdziwymi glinami i nie mieli nigdy do czynienia z prawdziwą przestępczością. Więc się dla niej nie liczyli. MacVey z tych samych powodów, dla których jej nie lubił, czuł się onieśmielony.

Toombes natomiast traktowała MacVeya jako jednego z tych białych narwańców, którzy noszą spluwy, i to im większe, tym lepsze, bo nie są zadowoleni z

rozmiaru swojego ptaszka i mają mokre sny o prawdziwych strzelaninach z prawdziwymi gangsterami. Jest zwykłym małomiasteczkowym chłystkiem (choć здаwała sobie sprawę, że w dużych miastach jest ich tyle samo) z kupą kolorowych gazet poświęconych wojskowości koło łóżka, który nie przepuszcza żadnego odcinka serialu o policjantach i potrafi wymienić dane każdego modelu broni ręcznej, jaka ukazała się na rynku po 1950. Krótko mówiąc, czuła, że ma obok dziecinka przebranego za policjanta. Myśląc o tym, coraz bardziej tęskniła za swoim partnerem z miasta, Jerryem Headem, bo dla spokoju ducha każdego prawdziwego gliny najważniejszą rzeczą jest mieć obok siebie profesjonalistę, który celując do bandytów, nie postrzeli cię w plecy. Toombes była przekonana, że w razie jakichś kłopotów MacVey niemal natychmiast odstrzeli sobie jaja, mocując się z gigantyczną czterdziestkączwórką, którą nosił w błyszczącej i drogiej kaburze przy pasku.

Tak, to nie jest spełnienie jej marzeń o idealnym partnerze.

Wśród starych policjantów panuje przesąd, że w sprzyjających okolicznościach i przy odpowiednio silnej negatywnej stymulacji nawet najlepszy glina zacznie zniżać się do poziomu kompetentnej i przygłupiego partnera. Głupota, zgodnie z przysłowiem, jest przeciw zaraźliwa. Podobnie rzecz ma się z lenistwem i niedbalstwem. Krążąc po swoim odcinku drogi byli tak zajęci rozpracowywaniem profilu psychologicznego partnera, że zupełnie zapomnieli o podstawowym zadaniu, jakie spoczywało na ich barkach, czyli na obserwacji drogi i poboczy.

Nie wypatrywali Kennetha Boyda, który szedł wzdłuż A-32, utykając na złamanej nodze. Zmierzał prosto w kierunku mostu, do Black Marsh.

Gdyby jechali wolniej, gdyby się rozglądali, gdyby uruchomili szperacze i oświetlali co pewien czas pobocze, gdyby nie kręcili nosami na siebie nawzajem, prawdopodobnie by go zauważyli. Ale stało się inaczej. Minęli go w pełnym pędzie i skręcili w lewo. Po dziesięciu minutach radiowóz zniknął w oddali.

Vic Wingate obserwował z rosnącą irytacją, jak policjanci mijają Boyda.

- Jezu Chryste! - ryknął. - Czy można być aż takim osłem?

Odpałił silnik, wyjechał na drogę, zrównał się z Boydem, zatrzymał i otworzył drzwi auta.

- Właz do środka, do cholery.

Boyd patrzył na niego z nienawiścią i rosnącym głodem.

- Powiedziałem do środka! Dalej, nie mamy czasu! I tym razem nie chcę, żeby wypadło z ciebie jakieś robactwo!

Kreatura wdrapała się na siedzenie pasażera i zatrzasnęła drzwi.

- To by było na tyle. Nici z dalszej zabawy z dwiema profesjonalnymi glinami. Kurwa, jakim trzeba być popieprzonym idiotą, żeby nie zobaczyć przy drodze czegoś równie odrażającego jak ty? Może powinienem przyczepić ci do głowy żarówkę?

Boyd milczał.

- Dobra, mamy nowy plan. - Vic wrzucił wyższy bieg. - Zawiozę cię do Black Marsh. Upewnij się, że przynajmniej ze dwie, trzy osoby cię zobaczą. Narób hałasu, wybij jakieś okno... ale masz nikogo nie gryźć ani dać się złapać! Słyszysz, co do ciebie mówię? Mają cię zobaczyć, ale nie mogą cię złapać. Rób, co ci się żywnie podoba. Masz się znaleźć z powrotem po naszej stronie rzeki. Ukryj się gdzieś na polach i czekaj na dalsze polecenia od Niego. - Puknął go w czoło. - Hej, słyszysz mnie?

Oczy Boyda miały postać czerwonych płomyków, tłących się głęboko w oczodołach. Otworzył usta i przez rozpadające się wargi wysunął poczerniały język. Zaciśnął palce, jakby chciał coś złapać i ścisnąć.

Vic wjechał na most. Rozległ się turkot opon po drewnianych balach. Obserwując pasażera, odezwał się:

- Chciałbyś rozerwać mi gardło, co? No, dalej, śmiało. Możesz próbować. Zobaczysz, co on ci za to zrobi. A i to tylko pod warunkiem, że nie skopię ci tej robaczywej dupy.

Kreatura poruszyła ustami, wymawiając bezgłośnie „Griswold”.

- Tak, Griswold. Wiesz, że z nim nie można pogrywać. Nie myśl sobie, że to, że jesteś martwy, ochroni cię przed nim. On zje twoją duszę! - Ton Vica był poważny i złowrogi, a kiedy mówił, w każde słowo wkładał dużo mocy. Już się nie uśmiechał. Boyd przestał poruszać palcami. - Tak, tak, są znacznie gorsze rzeczy niż śmierć, i uwierz mi, nie chcesz się dowiedzieć, co to takiego.

W oczach kierowcy szalał ogień. „Nie chcesz wiedzieć, co to takiego”, powtórzył powoli i bezgłośnie, w miarę jak zbliżali się do Black Marsh.

6.

Eddie Holownik wsiadł za kółko swojej ciężarówki i poczuł, że ma coś między zębami. Zmarszczył czoło, podniósł wielką dłoń do ust, a potem obejrzał palce. Zdziwił się, że błyszczą mokrym, ciemnym światłem. Jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy je powąchał. Pachniały jak krew. Eddie dotknął czubka języka. To coś nie miało smaku krwi. Smakowało jak lzy. W nagłym przeblysku zrozumienia uniósł dłoń i dokładnie zlizął krew z palców, delektując się jej smakiem.

7.

Nocne ptaki siedziały na gałęzi poczerniałego od ognia drzewa na samym skraju Mrocznego Jaru. Szkielet tkwił na pniaku i wpatrywał się w ogień, czytając sekrety płomieni. Wiatr przynosił wciąż nowe wiadomości, a on ich słuchał. Słyszał odległe bicie serc. Szkielet wciąż jeszcze czuł na języku smak krwi, która tak niespodziewanie pojawiła się w jego ustach. Kiedy poczuł ją pierwszy raz, krzyknął z odrazą i splunął w ogień. Płomienie ją spaliły, lecz dźwięk, jaki przy tym wydawała, bardziej przypominał odległy szept niż parowanie wilgoci.

Z północy wciąż napływało lodowate powietrze i Szkielet trząsł się z zimna. Zawsze było mu zimno, nawet gdy siedział tak blisko ognia. Zawsze zimno. Teraz, czując paskudny smak krwi na języku i wsłuchując się w wiatr, zobaczył nadchodzące dni.

I zapłakał.

ROZDZIAŁ 25

1.

Mike nie dostał się do szpitala, ale udało mu się dodzwonić do Crows. Musiał przy tym skłamać, że jest jego młodszym bratem, żeby przekonać operatorkę, iż powinna go połączyć.

- Tak?

- Crow? - Mike nie był pewien, czy zmęczony głos starszka po drugiej stronie należy do jego przyjaciela.

- Tak. Kto mówi?

- To ja, Mike. Mike Sweeney.

- Żelazny Mike... Jak tam żebra?

Żebra bolały go teraz najmniej, gorzej było z resztą ciała.

- Wszystko dobrze... ważniejsze jest, jak ty się czujesz? Przecież on... on cię postrzelił.

- I to dwa razy. Obie kule przeszły przez rdzeń kręgowy, zabijając mnie na miejscu.

Mike się roześmiał.

- Czy „jak się masz” to aż takie głupie pytanie?

- Nic mi nie jest. Po prostu mały zamach podczas melanżu, kiedy siedziałem z ziomalami i obalaliśmy gin z soczkiem.

- Crow... mówiłem ci już coś o slangu. Trochę kulawo to wygląda, kiedy próbujesz być równiacką.

- Wybacz, mały.

- Nic się nie stało, ale na przyszłość uważaj.

- Tak na serio to nie jest źle. Najdalej pojutrze powinni mnie stąd wypuścić.

- Super. Chciałem cię odwiedzić, ale nie pozwolili mi wejść. Policja nikogo do ciebie nie wpuszcza.

Crow milczał przez chwilę.

- Słuchaj Mike, jeśli załatwię, żeby ciebie wpuścili, zrobisz coś dla mnie?

- No pewnie.

Wy tłumaczył mu, czego potrzebuje.

- Rany, ale ekstra!

- Zrobisz to dla mnie?

- No pewnie! Już pędzę!

- Dzięki Mike. Mam u ciebie dług.

Chłopak zamilkł na chwilę.

- Crow... nie masz u mnie żadnego długu - powiedział i rozłączył się.

Po raz pierwszy tego dnia na jego posiniaczonej twarzy pojawił się szczery uśmiech.

2.

Detektyw Frank Ferro i Vince LaMastra siedzieli w holu hotelu Harvestman. Ferro pił małymi łykami Millera Genuine Draft z kufła, a Vince LaMastra był w połowie czwartego lokalnego piwa dyniowego. Chmury, które spowijały niebo nad miastem w noc ich przybycia, odpłynęły gdzieś w dal, a temperatura spadała z taką prędkością, że w telewizji nadawali komunikaty o możliwych przymrozkach. Było ledwie kilka stopni powyżej zera, a księżyc zalewał wszystko lodowatym blaskiem.

Zjedli kanapki z kurczakiem i frytki, przesłuchali całą dyskografię z grającej szafy, obgadali wszystkie tematy, jakie przychodziły im do głowy, a teraz siedzieli i od dwóch godzin zamienili zaledwie kilka słów. Raport przysłany im przez doktora Weinstocka odebrał im optymizm i wstrząsnął nimi. Dzielili jedynie frustrację, że śledztwo utknęło w martwym punkcie.

LaMastra wpatrywał się we wskazówkę zegara nad barem, jak przeskakuje z dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt osiem na dwudziestą trzecią pięćdziesiąt dziewięć. Podniósł szklanekę i wypił wszystko, co w niej zostało. Ferro pociągnął kolejny łyk. Wpatrywał się w niezbyt pomocny bursztynowy brąz w kufłu.

Następnego dnia mieli pojechać z krótką wizytą do Black Marsh. Nie dalej jak godzinę temu spłynęły do nich zeznania trzech świadków, w tym listonosza, którzy utrzymywali, że widzieli kogoś odpowiadającemu rysopisowi Kennetha Boyda. W dwóch przypadkach podejrzany osobnik szedł, a w jednym biegł, więc sprawa wyglądała dziwnie, bo nie było mowy o złamanej nodze, o której z kolei Karl Ruger mówił na farmie. Czyżby Boyd udawał, żeby mu zwać? Tak, to możliwe. Teraz najwyraźniej starał się uciec najdalej, jak się da od miejsca, gdzie zostawił swojego kompana. Jeśli tak było, to z jednej strony mają na głowie o połowę mniej kłopotów, a z drugiej poszukiwania powinny objąć o wiele większy teren. Ferro uważał, że Boyd to pionek i jazda do Black Marsh jest marnowaniem czasu. Jedyne, co skłaniało go do odwiedzenia sąsiedniego miasteczka, to możliwość, że Boyd wie, w jaki sposób Ruger chce opuścić te okolice albo gdzie zamierza się ukryć.

- Cholera - mruknął LaMastra.

Ferro uniósł brwi.

- To się kupy nie trzyma - orzekł Vince. - Boyd był widziany przez trzech świadków. Chodzi sobie, jak gdyby nigdy nic wśród ludzi, a potem znika, kiedy tylko zbliżają się radiowozy. Dziwaczne, nie sądzisz?

Ferro wyduł usta, ale się nie odezwał.

- Mówię ci, Frank, coś w tym wszystkim jest nie tak.

- To oczywiste.

- Nie, mam na myśli, że to wszystko jest nienormalne. Czegoś nie zauważamy. Nie patrzymy we właściwą stronę.

- A gdzie powinniśmy patrzeć?

- Cholera, nie mam pojęcia. Crow twierdzi, że Ruger dostał... ale sam już nie wiem... Trochę to dziwne.

Ferro przyjrzał mu się uważnie.

- Hmm, ciekawa teoria.

LaMastra wzruszył ramionami.

- Tak, wiem. „Dziwaczne” to chyba właściwy przymiotnik. Kurewsko dziwaczne. - Pokręcił głową. - Pieprzyć to. Idę do pokoju pooglądać telewizję.

Wstał, rzucił kilka banknotów na bar i odszedł chwiejnym krokiem. Ferro został i wpatrywał się w niemą bursztynową zawartość kufla.

3.

Crow powiadomił ochronę, że mają dodać Mike'a do listy osób uprawnionych do odwiedzin. Potem zadzwonił z podziękowaniami do przyjaciół, którzy przysłali mu kwiaty, prosząc, żeby wstrzymali się z kupnem wieńców. Wszyscy prosili o

przekazanie kondolencji i pozdrowień Val, Markowi i Connie. Kiedy skończył z rozmowami, których wymagało od niego dobre wychowanie, wybrał numer Terry'ego. Przyjaciel nie odbierał.

Gdzieś w mózgu Crowa zabrzmiał ostrzegawczy dzwonek. Zapytał pielęgniarkę, czy widziała go ostatnio. Potwierdziła. Powiedziała, że wyszedł na jakieś spotkanie i że ma jeszcze wrócić, ale nie wiadomo kiedy.

Odczekał pół godziny i zadzwonił ponownie. Tym razem Terry odebrał po drugim sygnale.

- Tak? - zapytał oschłym, zachrypniętym głosem.
- Terry... tu Crow. Zadzwoniłem w złym momencie?

ZAŚMIAŁ SIĘ.

- Wszystko, co wydarzyło się od klapsa w dupę i słów. „Ma pani chłopca”, to zły moment. Więc mów.

- Aż tak źle? - Crow zastanawiał się, co to może oznaczać, że Terry użyła słowa „dupa”. Pierwszy raz w życiu słyszał, żeby powiedział choćby najmniej brzydkie słowo.

- Źle? Od pół godziny przekonuję radnych, że miasto jeszcze stoi i nic nie wskazuje na to, żeby miało się zawalić. Wcześniej pół dnia spędziłem w towarzystwie policji i przeczytałem raport z autopsji kompana Rugera. Nie spałem od czterdziestu pięciu godzin, a ręce trzęsą mi się tak, że jakby ktoś dał mi pałeczki, to mógłbym zagrać jazzową improwizację, przy której Hal Roach brzmiałby jak uczeń. - Mimo iż żartował, w jego głosie próżno szukać było wesołości.

- To może wróc na trochę do domu i się prześpij, co? Za sześć czy osiem godzin miasto powinno jeszcze stać w tym samym miejscu.

- Tak. A co ze mną?
- Co masz na myśli?
- Nic, wygłupiam się. Słuchaj, Crow, muszę kończyć. Wpadnę później i sprawdzę, jak sobie radzisz.
- Chyba lepiej będzie, jeśli pojedziesz się przespać.
- Do zobaczenia. - Terry się rozłączył.

Crow popatrzył na telefon. Nie podobało mu się napięcie w głosie przyjaciela. No i powiedział „dupa”. Pewnie to nic nie znaczy, ale Crow zaczął się o niego niepokoić.

Myślał o tym, kiedy do pokoju wszedł Jerry Head, niosąc dużą papierową torbę. Zatrzymał się tuż za progiem i zapukał w otwarte drzwi.

- Można?

Crow przez sekundę nie wiedział, co się dzieje, ale szybko zobaczył policjanta i zaprosił go gestem do siebie. Duży mężczyzna usiadł na krześle i się rozejrzył. Miał na sobie mundur, ale poluzował krawat i widać było, że jest już po służbie.

- Panie Crow...
- Mów mi Crow.
- Super. Crow... widziałem samą końcówkę tego, co się tam wydarzyło. Nie widziałem, jak Ruger dostawał od ciebie po dupie, ale widziałem, jak pomagasz Rhodie. Stary, dawałeś radę, nikt nie może mówić inaczej.

Crow nie wiedział, co odpowiedzieć, więc tylko wzruszył ramionami.

- Więc wpadłem tylko zobaczyć, jak się czujesz i... - przerwał.

- I co?

- I... po prostu chciałem uścisnąć ci dłoń. - Mówiąc to, wyciągnął rękę.

Crow zawahał się, trochę zawstydzony. W końcu ją uścisnął. Head podał mu lewą dłoń, pamiętając o ranach. Jego dłoń była wielka i w dotyku przypominała surowe drewno.

- Przyniosłem ci coś jeszcze. - Otworzył torbę. - Sam spędziłem sporo czasu w szpitalach - dwa wypadki samochodowe, kilka operacji kolan, nóż w robocie... Wiem, że z nudów można zacząć łązić po ścianach. - Wyjął dwie książki i trzy magazyny. W środku były jeszcze dwie puszki coli i kilka paczek ciastek czekoladowych.

Crow był wzruszony.

- Chryste, człowieku, jesteś chyba święty!

- Przynajmniej to mogłem dla ciebie zrobić. Mimo że tylko przez kilka godzin, Rhoda była moją partnerką.

Crow pokiwał głową.

- Zostań chwilę, pogadamy. Otwórz paczkę ciastek i zaczynamy imprezę.

Czas szybko mijał na rozmowie o pracy. Crow opowiadał historyjki z komisariatu w małym miasteczku, Head rewanżował się poważną przestępczością z Filadelfii.

Niemal natychmiast poczuli się jak starzy przyjaciele, a Crow polubił tego wielkiego gliniarza. Wzruszył go wrażliwością i lojalnością wobec Rhody.

- A jak wyglądacie z tym bałaganem? - zapytał Crow.

- Nie mam pojęcia. - Opowiedział mu o Boydzie. - Macchio nie żyje, więc został już tylko Ruger.

- Dokładnie.

- A to drugi powód, dla którego chciałem z tobą porozmawiać.

Crow kiwnął głową.

- Byłem przy domu i widziałem samą końcówkę waszej strzelaniny. Nie wiem, czy pamiętasz, ale ja też do niego strzeliłem.

- Coś mi chodzi po głowie - mruknął Crow. - W tym czasie byłem już nieźle załatwiony.

- Słuchaj, czy trafiłeś Rugera? To znaczy, czy masz pewność?

- Twój szef zadał mi to samo pytanie. I wszyscy, którzy ze mną rozmawiali. Minimum trzy trafienia, a może nawet pięć.

- Żadnych wątpliwości?
- Żadnych. Widziałem trafienia. Widziałem, jak podskakuje po każdej kulce.
- A kamizelka? Mógł mieć na sobie kamizelkę kuloodporną?
- Mowy nie ma. Wcześniej walczyłem z nim na pięści. Uderzałem w mięśnie, a nie w metal czy kevlar - zapewnił Crow.

Head pokiwał głową i napił się coli.

- Ja też miałem takie wrażenie. Widziałem, jak strzelasz. Ja chybiłem, ale przed każdym sądem zeznam, że widziałem przynajmniej dwa, trzy twoje trafienia.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Ty chcesz o to zapytać, czy ja mam to zrobić? - odezwał się wreszcie Crow.
- Słuchaj... stu ludzi w tyralierze, pięć zespołów z psami i nic. I powiedz mi teraz, jak człowiek z pięcioma kulami w ciele może zniknąć?

- O to samo chciałem spytać.

- Człowieku, ja nie mam pojęcia. Tu chyba działała jakaś magia.

- Dokładnie.

Drzwi do pokoju się otworzyły i pojawiła się w nich głowa Mike'a Sweeneya. Chłopak zobaczył policjanta i zamarł.

- Wskakuj - przywitał go Head. - Ja już wychodzę. Podał Crowowi rękę. - Mam nadzieję, że twoja kobieta i jej rodzina jakoś się pozbierają.

- Dzięki. Dzięki w jej imieniu.

Head, wychodząc, przyjrzał się Mike'owi i jego siniakom. Spojrzał na Crowa, unosząc znacząco brwi, i wyszedł bez słowa.

Chłopak podszedł, przysunął krzesło bliżej łóżka i usiadł.

- O w mordę! - krzyknął. - Ale ci załatwili buźkę.

- Lepiej popatrz na siebie. Co ci się stało? - zapytał Crow i natychmiast tego pożałował. Przypomniał sobie słowa Barneya, jak przywitał się z nim Vic.

- Ja...

- Znów spadłeś z roweru... - dokończył za niego, unosząc brew.

- Tak jest.

- Tak. - Crow wiedział, że musi zmienić temat, bo Mike nic więcej nie powie. Nie dał tego po sobie poznać, ale przysiągł w duchu, że gdy już wyjdzie ze szpitala, znajdzie sposób, żeby sprowokować Vica i skopać mu dupę, nie kończąc w areszcie ani na sali sądowej.

Westchnął.

- Dzięki za odwiedziny, mały. Masz... Mike uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni.

- Klucze wzięłem od kobiety ze sklepu z wełną. Dałem kotom jeść.

- O masz, zupełnie o nich zapomniałem.
- Nalały ci na dywan.
- Co tam. One w ten sposób pokazują swoje niezadowolenie.
- Nalały też na stół. Wywaliłem gazety, bo śmierzdziały, i część poczty, bo zamokła. Zostawiłem ją w zlewie.

- Co za bydlaki.

- No i oczywiście mam pudełeczko, o które prosiłeś.

Podał mu niewielki sześcian w niebieskim kolorze. Crow wziął go ostrożnie do ręki i otworzył.

Pierścionek zaręczynowy rozświetlił pokój blaskiem. Kamień był wielki - miał niemal dwa karaty i zgodnie ze słowami sprzedawcy był wspaniale pocięty - kolor G, czystość VS1. Zrobił poważną wyrwę w jego oszczędnościach, ale to się w ogóle nie liczyło.

- I co? - zapytał.

- Jest prawdziwy? - sapnął Mike.

- Stary!

- O kurde. Chcesz się oświadczyć? Jej? Tutaj, w szpitalu?

Crow się uśmiechnął.

- Czy kiedykolwiek słyszałeś o leczeniu szokowym?

- Nie. Ale chyba rozumiem, o co w nim chodzi.

Crow zamknął pudełeczko i schował w szafce przy łóżku.

- Słuchaj, Mike, jest coś jeszcze, o czym chciałbym z tobą porozmawiać.

Mike zamarł. Crow to zauważył i uśmiechnął się szybko, żeby dodać mu otuchy.

- Chodzą plotki, że zostałem postrzelony. Jako osoba śmiertelnie ranna, nie mogę zajmować się prowadzeniem interesu równie wyszukanego jak mój. No, bo jeśli ktoś będzie potrzebował wampirzej krwi, to jak mam ją podać? Gospodarka miasteczka może stanąć na skraju bankructwa.

Mike uśmiechał się szeroko.

- No pewnie.

- Więc jako właściciel najlepszego i najbardziej prestiżowego sklepu pomyślałem, że najmę kogoś do pomocy. Ty masz chyba wystarczającą wiedzę... Co ty nato?

Twarz Mike'a promieniała szczęściem.

- Zamierzasz dać mi pracę?

- Jeśli chcesz tak nazywać niekończące się godziny układania, sprzątania i inwentaryzowania za skromne wynagrodzenie, to tak.

Chłopak zerwał się z krzesła.

- Ała! - Zachwiał się z bólu, ale krzyknął. - Oczywiście! No pewnie! Dziękuję!

4.

Burmistrz Terry Wolfe czekał w poczekalni i popijał whisky z plastikowego kubeczka. Łokcie opierał na kolanach i siedział wychylony do przodu. Wpatrywał się ponuro we wzorki na ściankach kubeczka i oddychał powoli przez nos. Co osiem czy dziewięć oddechów głośno wzdychał.

Spędził godzinę na bezsensownym spotkaniu z radnymi. Starał się ich pocieszyć i podnieść na duchu, uspokoić i wyjaśnić, że wszystko jest pod kontrolą. Mimo że nic, nawet najdrobniejsza rzecz nie była już pod kontrolą. W ciągu ostatnich dwóch dni całe Pine Deep pograżyło się w gównie. Tak właśnie myślał. Żadnego owijania w bawełnę, żadnych synonimów. Nie, już nie. Nie po dzisiejszej przejażdżce windą. Nie po tym, co widział ostatniej nocy. Nie po tym, jak pielęgniarka usłyszała ryk dobiegający z jego pokoju, kiedy spał. I nie po tym, co się stało ze skórzanym obiciem fotela.

Nie po tym, jak pięć minut temu spojrzął w lustro w łazience.

Terry pociągnął trochę whisky i się skrzywił. Uwielbiał szkocką, ale nie dziś. Dziś smakowała jak woda po praniu skarpetek. Po drodze ze spotkania do szpitala zatrzymał się na chwilę w monopolowym. Zamienił czterdzieści cztery dolary na butelkę, którą w normalnych warunkach opróżniłby, delektując się każdym łykiem. Teraz ją po prostu pił, mając nadzieję, że alkohol albo zmyje wszystko, co przywarło do jego mózgu, albo pozbawi go zmysłów i oślepi. Każde rozwiązanie jest dobre. Miał nawet nadzieję, że mieszanka alkoholu i xanaksu przyniesie efekt, którego nie osiągnąłby po każdym tym składniku spożytym osobno. Nie przyniosła. Nawet nie może się znieczulić.

Nigdy w życiu nie czuł się taki bezradny.

Nie, właściwie to nie była prawda.

Dokładnie trzydzieści lat temu czuł się jeszcze gorzej. W dniu, w którym zginęła Mandy, a on sam ledwo uszedł z życiem. Spędził w szpitalu kilka tygodni i nawet teraz, po kilku operacjach plastycznych i trzydziestu latach, jego ramię i plecy wyglądają jak patchwork.

Myśl o tamtych wydarzeniach sprawiła, że zaczął pić szybciej. Przełknął wszystko, co miał w kubku, i nalał sobie kolejną porcję. Butelka była już w jednej trzeciej pusta, a on zaczynał czuć, że na ścianach jego mózgu łuszczy się farba. Wciąż był zbyt trzeźwy i zbyt żywy.

Uniósł szkło i zastanowił się, ile musi jeszcze wypić, zanim alkohol zatruje jego krew i czy organizm zdąży się obronić wymiotami. Być może. Jelita paliły go, jakby napił się kwasu.

Wszystko się wali. Wszystko. Policja i federalni udają, że szanują go i informują o wszystkim, jakby był kimś ważnym, ale widział w ich oczach, że mają go za pozoranta z zapadłej dziury, gdzie największą zbrodnią dokonywaną przez lokalnych

gangsterów jest niepłacenie za parkowanie, a słowo kryzys rozumieją jako deszcz w sobotnie popołudnie, kiedy odbywają się wyprzedaże. Jego najlepszy przyjaciel leży w szpitalu. Najlepszy gospodarz w mieście i okolicy został zamordowany. Rada miejska wpadła w panikę. Każdej nocy nawiedzają go koszmary - koszmary, które właśnie zaczęły atakować go na jawie.

A moja młodsza siostrzyczka chce, żebym popełnił samobójstwo.

Uniósł kubek, wychylił zawartość i nalał do pełna.

- Mandy, za ciebie. Może to coś da.

Zaniknął oczy, odchylił głowę i wlał do gardła całą zawartość kubka. Poczul w przełyku straszne pieczenie. Otworzył oczy. Nic. Ciągłe żyje, cholera.

Znów zamknął oczy, zaczerpnął powietrza i uspokoił oddech. Potem wypuścił je przez nos, najwolniej jak potrafił. Sięgnął po telefon komórkowy i nacisnął przycisk szybkiego wybierania. Po czterech sygnałach zgłosiła się kobieta:

- Tak?

- Cześć, kochanie. - Terry przywitał się najdelikatniejszym tonem, jaki udało mu się wydobyć z gardła w ciągu ostatnich kilku dni.

- Terry? - Jego żona natychmiast wyczuwała, kiedy coś jest nie tak. - Gdzie jesteś? Nie było cię przez cały dzień. Nagrywałam się chyba z dziesięć razy.

- Saro, kochanie, mam tu straszny kocioł...

- Tak, wiem... - powiedziała po chwili milczenia. - Rachel Weinstock do mnie zadzwoniła i zdała mi relację z najnowszych wydarzeń. Powiedziała też, że Saul był przerażony sekcją, którą musiał zrobić.

- Tak, jest źle - przyznał Terry. Czuł, jak oczy wypełniają mu się łzami.

- Kochanie, a z tobą wszystko w porządku?

„Bóg cię też nie uratował. Bóg nie uratuje twojego miasta, Terry”.

- Ja...

„Wiesz, czego od ciebie chce. Wiesz, czym chce, żebyś się stał. Ty też wiesz. Wiesz to za każdym razem, kiedy patrzysz w lustro”.

- Terry?

„Terry, jedynym sposobem, żeby nie być kimś takim jak on, jest stać się kimś takim jak ja”.

- Jestem zmęczony, Saro.

- Możesz się na trochę urwać? Możesz przyjechać do domu?

Lzy spływały mu po twarzy. Wyjął z kieszeni buteleczkę xanaxu, otworzył ją kiucikiem i wysypał wszystkie pigułki na stolik przed sobą. Dwadzieścia dwa guziczki. Więcej niż potrzebuje.

- Terry, możesz się urwać?

- Jeszcze nie wiem - powiedział miękko. - Może. Może jest jakiś sposób, żeby się uwolnił.

- Wracaj do domu, Terry - błagała Sara. - Nie możesz się tak zameęczać.

- Wiem.

- Postarasz się?

- Obiecuję.

- Czekam na ciebie.

Terry zamknął oczy i jego głowę wypełniła fala smutku i bólu. Obraz żony zapłonął w mózgu - ciemne błyszczące oczy, grube proste włosy, zaledwie kilka pasemek siwizny. Uśmiech - walczył, żeby nie zacząć płakać na głos.

- Kocham cię, Terry.

- Kocham cię, Saro. Kocham cię całym sercem.

Rozłączył się i upuścił telefon na podłogę. Z pomrukiem wściekłości, strachu i bólu zgarnął wszystkie pigułki na dłoń i uniósł w zaciśniętej pięści do ust.

Ręka drżała - ścierały się w nim dwie siły. Potem powoli, jakby pokonując wielki opór, przysunął ją do samych warg. Łzy zalewały mu oczy, płynęły po policzkach i kapały na koszulę.

- Nie! - Jego szorstki, chropowaty głos był przepelniony wściekłością.

Sara powiedziała, żeby wracał do domu, pomyślał.

Siedział tak przez kilka minut, ściskając xanax. Czuł, że tabletki kruszą się i rozpadają na proszek. Buteleczka na krześle obok wciąż roztaczała wizję ucieczki.

Wracaj do domu.

Wstał i wepchnął rękę z tabletkami do kieszeni. Naprawdę niewiele brakowało, a poszedłby do łazienki i splukał swoje pokuszenie w sedesie. Nie zrobił tego. Ostatecznie nie potrafił. Musi mieć świadomość, że to wciąż pozostaje jakąś opcją. Podobnie z butelką whisky. Zakorkował ją i włożył do torby. Potem mimo wszystko poszedł do łazienki, odkręcił zimną wodę i przez ponad minutę polewał sobie twarz, po czym wytarł ją do sucha. Wciąż było widać, że płakał, ale nic się nie dało z tym zrobić.

Wrócił do poczekalni i zobaczył Mandy. Miała pociętą i zakrwawioną twarz, a płynące łzy żłobiły jaśniejsze ślady na skórze. Patrzyła na niego ze strachem i wyrzutem.

Terry stał w drzwiach i trzymał się framugi, wbijając paznokcie w drewno. Co miał powiedzieć? Jak zareagować na oskarżenie w jej oczach?

- Nie potrafię! - jęknął. - Nie mogę! Mam Sarę! Mam przyjaciół... miasto! Nie możesz mnie o to prosić.

Mandy podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy. W jednej chwili wyraz jej twarzy zmienił się z przerażonego w zrezygnowany. Pokręciła głową, zamknęła oczy i przygarbiła się.

- Teraz będzie już tylko gorzej - powiedziała, ale głos miała tak cichy, że niemal nie było go słyhać. Potem, między jednym mrugnięciem zażawionych oczu a drugim, zniknęła.

Terry stał jeszcze przez chwilę, nie mogąc się poruszyć. Serce waliło mu jak oszałałe, a u podstawy kręgosłupa czuł mokrą plamę lodowatego potu. Na nienaturalnie sztywnych nogach podszedł do krzesła.

5.

Mike niemal podskakiwał z radości, kiedy wychodził z pokoju przyjaciela. Przez całą drogę na parter i do wyjścia uśmiechał się radośnie. Praca dla Crowa w jego sklepie była spełnieniem jego najskrytszych marzeń. Mógłby rzucić rozwożenie gazet, za które co prawda dobrze płacili, ale trzeba było jeździć nawet w deszcz. Mógłby też kupować komiksy ze zniżką. Crow obiecał mu osiem dolców za godzinę na początek, a to przecież majątek! Cokolwiek będzie chciał kupić w sklepie dla siebie, dostanie to bez marży. Crow powiedział też, że gdy w mieście się uspokoi, mógłby nauczyć go jujitsu. Gdyby nie bezustanny ból całego ciała, Mike pomyślałby, że to wszystko mu się śni.

Kiedy wysiadał z windy i szedł do drzwi wyjściowych, z jego ust nie schodził szeroki uśmiech. Mijając pielęgniarce, widział ich grzeczne uśmiechy. Minął dwóch policjantów, którzy wchodzili akurat do środka. Jeden średniego wzrostu, szczupły, a drugi potężny i umięśniony. Szczupły uśmiechnął się do niego, a większy spojrzał tylko szeroko otwartymi oczami, obrócił się i spoglądał za nim, jak wychodzi na zewnątrz. Mike tego nie zauważył. Wyszedł ze szpitala i podszedł do roweru.

W holu policjanci zatrzymali się, a większy wyjrzał przez okno. Był bardzo skupiony.

- Co się stało? Znasz tego dzieciaka? - zapytał drugi.

Tymczasowo zmobilizowany oficer Edward Oswald zaciskał szczęki, nie słuchając partnera. Serce waliło mu w piersi, jakby chciało ją rozerwać.

Drugi glina, Norris Shanks, klepnął go w ramię.

- Yo! Holownik! Co się z tobą dzieje?

Eddie Holownik Oswald zamrugał i zmusił się, żeby odwrócić wzrok od sceny za szybą, gdzie Bestia... żywa Bestia odpinała rower ze stojaka.

- Nic... - powiedział nieobecny, głosem. - To nic takiego. Już wszystko w porządku.

Głos Boga wołał w jego głowie: „Poczekaj! Masz czekać, aż będziecie sami!”

- Tak jest- mruknął.

- Co? - zapytał Shanks.

- Nic. - Eddie Holownik ruszył korytarzem.

6.

Val nie spała, kiedy do pokoju wszedł Crow. Ucieszyła się na jego widok.

- Czy ktoś zamawiał pizzę?

Wyciągnęła w jego kierunku zdrowe ramię.

- Natychmiast chodź tutaj, idioto, i mnie pocałuj - zażądała.

Na tyle, na ile był w stanie unikać urażenia poranionych i posiniaczonych miejsc na jej ciele, wziął ją w ramiona i zasypał twarz pocałunkami. Przytulał się do niej tak, że mogła poczuć bicie jego serca na swojej piersi. Pochyliła się i zaczęła całować go w szyję i wdychać jego zapach - zapach potu i środków odkażających. Wyczuła jeszcze czekoladę. Poczowała się znacznie lepiej niż przez cały miniony dzień. Dawała jej to jego realność i bliskość.

Val dotknęła jego dłoni, gdzie wciąż miał wbity wenflon. Pokazała mu swoją, też z wenflonem.

- Bawisz się w papugę?

- Aha. Poczekalem, aż mi podłączą świeżą kroplówkę, a kiedy tylko pielęgniarka wyszła, zawiązałem supełek na wężyku i zwałem. Policjant, który nas pilnuje, to Norris Shanks, mój stary znajomy. Gdy się wymykałem, stał na czatach. Jeśli nas złapią, musimy skłamać, że poszedł do ubikacji.

Usiadł na brzegu jej łóżka i zaczął przypatrywać się ukochanej twarzy.

- Dobrze się czuję i nie mam już koszmarów - powiedziała Val, siląc się na uśmiech.

- Dobrze spałaś?

- Tylko trochę. Musieli dać mi coś mocnego, bo nic nie pamiętam. Nawet jeśli mi się coś śniło, to nie...

- To nie on?

- Nie, dzięki Bogu. - Pokiwała głową.

- Mnie też się nie śnił. Chociaż nie, miałem jeden koszmar: zakradł się do mojego pokoju. Zastanawiam się, czy każdy, kto coś takiego przejdzie, musi mieć koszmary? - Pocałował ją w czoło. - Nieważne, kochanie. Przynajmniej nie musimy się już o niego martwić.

Opowiedział jej o swojej rozmowie z Headem i tym, że policjant widział, jak trafił Rugera.

- Najprawdopodobniej umarł gdzieś na polach i leży w kukurydzy. W najlepszym wypadku dotarł do drogi i na drugą stronę do Passion Pit. Nie dalej.

Oczy jej płonęły, ale w głosie był chłód Antarktydy.

- Mam nadzieję, że spadł z urwiska aż na samo dno Mrocznego Jaru. I że leży tam i kona w strasznych męczarniach.

Jad w jej słowach nie zdziwił Crowa nic a nic. Mógł się tylko z nią zgodzić. Więcej nie rozmawiali na ten temat. Siedzieli przez pewien czas w milczeniu i trzymali się za ręce. Myśleli, jak by się zemścili, gdyby tylko mieli ku temu okazję, a czas mijał. Zbliżała się północ. Za pół godziny będzie pierwszy październik. Może pech odejdzie wraz z wrześniem, a rozpoczynający się sezon Halloween przyniesie miastu szczęście?

- Długo rozmawiałem z Saulem - Crow przerwał w końcu milczenie. - Uważa, że oboje moglibyśmy jutro wyjść ze szpitala. Connie i Mark też.

Val pokiwała głową, ale nic nie powiedziała. Crow domyślał się, że nie chce po prostu wracać na farmę. To miejsce nosiło jeszcze zbyt świeże wspomnienia przemocy. Kiedy Val spała, on zatroszczył się, żeby nadzorca gospodarstwa wymienił uszkodzone drzwi i albo je spalił, albo przekazał policji, jeśli do czegokolwiek mogą im się przydać. Miał też posprzątać salon. Wyraźnie zaznaczył, że w całym domu nie może pozostać nawet najmniejszy ślad tamtych zająć. Taśmy policyjne, torebki na dowody i cokolwiek, co zostało po tłumach policjantów, miało zniknąć.

Mimo to nie zamierzał zabierać Val na farmę, jeśli rzeczywiście ich wypiszą.

- Mam plan.

- Tak?

- Gliny mówią, że jeszcze nie możemy wrócić na farmę - skłamał. - Zarezerwowałem pokój w hotelu dla Marka i Connie. Tym, w którym mieszkają policjanci z Filadelfii. Będą tam bezpieczni i nie będą mieli daleko do szpitala, kiedy będą musieli iść na badania i... i leczenie.

Val pokiwała głową. Doktor Weinstock wyjaśnił jej dokładnie, na czym będzie polegała terapia Connie. Mark najpewniej też jej potrzebuje.

- A co z nami?

- My pojedziemy do Pine Manor na noc albo dwie.

- Super! - Uniosła brwi.

- Troszkę luksusu nam nie zaszkodzi. Wanna w podłodze, jacuzzi, masaże... Żarcie. Butelka wina dla ciebie i pepsi dla mnie.

Zamknęła oczy i oparła się o niego.

- Boże, ależ to cudownie brzmi. Ale...

- Nie ma żadnych „ale”, kochanie. Rozmawiałem z Saulem i powiedział, że gdy przyjdzie, wypisze nam na to receptę.

- Chodzi mi tylko o to, że tam pokój kosztuje majątek! Nie stać nas...

- Nie, wcale nie jest tak drogo - zapewnił Crow. - Poza tym nic nie jest zbyt drogie dla mojej narzeczonej.

Poczuł, że cała zeszytniała, kiedy wypowiedział te słowa. Potem otworzyła oczy, odsunęła się trochę i spojrzała na niego niepewnie.

- Co ty powiedziałeś?

Po chwili zobaczyła, co wyjął z kieszeni, gdy miała zamknięte oczy. Na jego otwartej dłoni leżało niewielkie niebieskie pudełko.

Val otworzyła szeroko oczy, a jej usta ułożyły się w doskonałe O.

Ponieważ miała tylko jedno sprawne ramię, Crow otworzył pudełko i podał pierścionek z diamentem.

- Chciałem ci go dać w jakiejś milej restauracyjce w New Hope, ale wszystko się pogmatwało i... chciałem, żeby to było szczęśliwe zakończenie całości. Dla mnie to będzie najwspanialsza chwila w życiu, jeśli zgodzisz się zostać moją żoną. Kocham cię najbardziej na świecie i jeśli powiesz „tak”, uczynisz mnie najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

- O mój Boże! - powtórzyła Val kilka razy.

- Mogę przyjąć, że to oznacza „tak”? - zapytał.

Val zaczęła płakać ze szczęścia. Zdrowym ramieniem przyciągnęła Crowa do siebie i zaczęła obsypywać pocałunkami.

- Tak! Tak! Tak! - powtarzała raz za razem.

Poruszając się w nawałnicy jej całusów, Crow znalazł ustami drogę do jej ust. Zwarli się w długim, głębokim i gorącym pocałunku. Czuł, że jego łyzy szczęścia mieszają się z jej łzami. Przerwał, żeby nabrać powietrza i wsunąć jej pierścionek na palec. Znów przytulili się do siebie.

- Kocham cię - powiedzieli jednocześnie, muskając się ustami.

Wtedy w całym szpitalu zgasły światła.

ROZDZIAŁ 26

1.

Crow! Co się dzieje?

Odsunął się od niej i spojrzał przez otwarte drzwi, ale niewiele zobaczył, poza pędzącymi w różne strony postaciami, czasem padającymi na ziemię, czasem wpadającymi na siebie.

- Nie mam pojęcia - powiedział i wstał. - Może awaria zasilania? - Podeszedł do okna i odsunął ciężkie zasłony. - Ale na parkingu światła się pała.

Do pokoju wpadło delikatne światło z zewnątrz. ~ Zaraz powinni uruchomić zasilanie awaryjne. Po minucie nic się nie zmieniło.

- Dziwne - uznał Crow i podeszedł do drzwi. Przyglądał się panice na korytarzu. Przy dyżurce pielęgniarek stał policjant, który miał ich ochraniać.

- Hej, Norris! Co się dzieje?

Norris Shanks odwrócił się i skierował latarkę wprost na niego.

- Crow? Wracaj do pokoju. Mamy awarię.

- Serio? Nigdy bym nie zgadł. - Wyszedł na korytarz. - Shanks. - Delikatnie skierował jego latarkę na bok. - Jesteś pewien, że to tylko to? Przecież to szpital. Powinni mieć jakieś zasilanie awaryjne.

W ciemności nie widział jego twarzy, ale widział, że policjant się wyprostował i sięgnął po radio.

- Baza, tutaj Shanks. Pilnuję w szpitalu Crowa i panny Guthrie.

- Tu baza. Co się dzieje? - usłyszeli leniwy głos Ginny.

- Zgasły światła w całym budynku. Zasilanie główne i awaryjne nie działa.

Proszę o wsparcie.

- Jak to, wszystkie światła?

- Tak - szczeknął. Crow słyszał, że Shanks się trochę boi. - To może nie być usterka. Przyślij, proszę, wszystkie wolne jednostki. Szybko.

Mówił takim głosem, że Ginny się nie klóciła.

- Do wszystkich jednostek, tu baza. Wsparcie potrzebne w szpitalu. Awaria zasilania. Nie działa zasilanie główne i awaryjne. Powtarzam, do wszystkich jednostek, potrzebne wsparcie.

Rozległ się szum potwierdzeń i raportów, że są już w drodze.

- To powinno pomóc, co? - Shanksowi wyraźnie ulżyło.

- Chyba - mruknął Crow, ale wcale się nie uspokoił.

Na korytarzu panował tłok, chorzy wyszli ze swoich pokoi, krzyczeli na pielęgniarki, pielęgniarki starały się wszystkich uspokajać, biegały, wpadały na siebie, wpadały na lekarzy, którzy też wyszli na korytarz i starali się wydawać polecenia, których i tak nikt nie słuchał.

Crow krzyknął do pokoju Val:

- Kochanie, zaraz będę. Już wezwaliśmy pomoc.

Zaczął odwracać się z powrotem do Shanksa, ale zamarł, nie słysząc odpowiedzi.

- Val?

Nic.

Wpadł do pokoju i rozejrzał się. Val leżała na łóżku przykryta kołdrą, plecami do niego. Niewyraźny kształt na łóżku.

- Kochanie, wszystko dobrze? - zapytał.

Nie odpowiedziała, więc wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej ramienia. Zamarł. Val leżała na lewym boku, twarzą do okna.

Na lewym boku.

Na tym uszkodzonym.

Z krzykiem strachu i rozpaczliwie złapał za kołdrę i ściągnął ją z łóżka.

Odwróciła się twarzą do niego, zalana srebrzystym światłem księżycy wpadającym przez okno. Crow zamarł, a jego wnętrzności zamieniły się w bryłę lodu.

To nie była Val!

Postać na łóżku, która uśmiechała się do niego szeroko, prezentując rządę połamanych zębów, to był Karl Ruger!

2.

Kiedy zadzwonił telefon, detektyw sierżant Frank Ferro właśnie skończył myć zęby, włożył spodnie od piżamy i usiadł na brzegu łóżka. Wziął z krzesła obok i odczepił komórkę od paska.

- Ferro.

- Frank? - To był jego partner, Vince LaMastra. Mówił zmęczonym, ale zdenerwowanym głosem. - Coś się dzieje w szpitalu.

- Co?

LaMastra powiedział.

- Cholera - zaklął Ferro. - W holu za dwie minuty. Rozłączył się i sięgnął po spodnie.

- Jezu Chryste - powiedział tylko.

3.

Crowa ogarnęła panika. Ruger leżał na miejscu Val - a jej nigdzie nie było. I to wszystko było niemożliwe.

- Niespodzianka! Niespodzianka! - Ruger bez żadnego ostrzeżenia wyprostował nogę, kopiąc Crowa w klatkę piersiową. Uderzenie miało ogłuszającą moc. Malcolm poleciał w tył i wyrznął plecami i głową w ściankę łazienki. Przed oczami eksplodowały sztuczne ognie, a kolana nie wytrzymały ciężaru ciała.

Ruger zerwał się jak błyskawica i złapał go, zanim Crow upadł na ziemię. W obu rękach ścisnął teraz jego szpitalny szlafrok. Kiedy postawił go na nogi, Crow poczuł niewyobrażalny smród jego oddechu - zapach zgnilizny i ścieków. Taki sam, jak we śnie.

- Założę się, że nie wiesz, gdzie jest twoja mała dziwka, co? - Ruger uderzał nim o ścianę. Crow niemal stracił przytomność, a świat kręcił mu się jak szalony.

- Val... - szepnął.

Ruger przestał. Przysunął się tak blisko, że mógł szeptać mu prosto do ucha.

- Suka już jest moja, głupcze. Rozetnę ją na pół. - Znów rzucił nim o ścianę. - Ale ty... z tobą chciałem się przywitać, zanim wyrwę ci serce! - Puścił go na ułamek sekundy, ale zanim upadł na podłogę, zamknął w potężnym uścisku jego szyję i przygniótł do ściany. Drugą ręką zaczął bić go po twarzy.

To były najsilniejsze policzki, jakie Crow kiedykolwiek przeżył. Jakby ktoś walił go po głowie kamieniem. Ręce Rugera były zimne jak lód i niewiarygodnie silne, a głowa Crowa skakała z prawa na lewo. Za każdym uderzeniem jego twarz była miażdżona na krwawą miazgę. Kolejny cios rozdarł mu wargę o zęby, tak głęboko, że na twarz Karla trysnęła fontanna krwi.

Przestał go bić, otworzył usta i wystawił język - szary i suchy. Język żył własnym życiem. Wił się jak robak, szukał najdrobniejszych kropelek krwi i dokładnie je zlizywał. Za każdym razem, kiedy wciągał go do ust, przymykał oczy, rozkoszując się smakiem.

- O mój Boże... - jęczał i wyglądał, jakby przeżywał intensywny orgazm. - O mój Boże...

Crow potrząsał głową jak pijak, rozpaczliwie walcząc o odzyskanie zmysłów. Karl nagle otworzył szeroko oczy, a ich wygląd sprawił, że serce Crowa dosłownie zamarło. Zmieniły się - już nie były brązowe i ciemne tak, że niemal czarne. Teraz były czerwone jak krew, którą właśnie zlizał z ust.

Crow krzyknął mimo ręki zaciśniętej na jego gardle.

Ruger obnażył czarne dziąsła, jak pies, który rzuca się do ataku. Schylił się w kierunku gardła ofiary i kiedy już niemal go dotykał, Norris Shanks wrzasnął na całe gardło:

- Co się tu, kurwa, dzieje!

Sycząc, Ruger obrócił się do policjanta stojącego w drzwiach pokoju. W jednej ręce trzymał latarkę, a drugą sięgał właśnie do kabury. Ruger uniósł Malcolma nad głowę i rzucił nim przez cały pokój. Malcolm wrzasnął ze strachu, obrócił się w powietrzu i wylądował na policjancie. Impet był tak potężny, że obaj wpadli na ścianę po drugiej stronie. Shanks osunął się bezwładnie na podłogę, a Crow padł, miażdżąc krocze policjanta i zrywając sobie wszystkie szwy założone przez lekarzy.

Shanks zaczął krzyczeć, ale Ruger niewiarygodnie szybko zrobił dwa kroki do przodu i kopnął go w czoło. Głowa policjanta odskoczyła w tył z okropnym trzaskiem, który w jednej sekundzie zakończył krzyk.

Crow sturlał się z Shanksa i stanął na czworakach. Mimo paraliżującego bólu bioder, mózg zaczął otrzymywać tlen, którego wcześniej pozbawiała go biała zimna ręka. Serce zaczęło pompować adrenalinę.

- Crow...?

Obrócił się i zobaczył Val. Stała przy oknie po drugiej stronie łóżka. Żył!

Ruger sięgnął po niego, ale tym razem ofiara ubiegła kata. Crow ruszył naprzód i wbił pięść w kroczę mordercy. Kiedy ból złamał oprawcę wpół, Crow wyrzucił obie ręce w górę, złapał go za włosy i szarpnął z całej siły w dół. Ruger padł na podłogę z impetem, który przeszył dreszczem jego ramiona. Crow nie wahał się ani chwili, uniósł jego głowę i grzmotnął nią o podłogę. I jeszcze raz. Słyszał chrupnięcie łamanych kości.

Kiedy unosił ją po raz trzeci, Ruger schwycił go za nadgarstki z siłą dwóch imadeł. Nie było na świecie człowieka, który po takich uderzeniach mógłby się jeszcze poruszać. Nawet Ruger, kiedy był sprawny, nie byłby w stanie znieść czegoś takiego. Ale teraz trzymał Crowa za nadgarstki i z tak niewyobrażalną siłą odciągał jego ręce od swojej głowy, że Crow, który też nie rozluźnił uchwytu, czuł, jak wyszarpuje mu dwie kępy włosów i odrywa skórę od czaszki. Karl wstał, trzymając Crowa za nadgarstki. Nie pozwolił mu podnieść się z kolan. Uniósł tylko jego ręce, jakby w geście poddania.

Crow nawet w ciemności widział jego czerwone oczy. Widział oczy i widział głębokie cięcia biegnące przez twarz mordercy. Z żadnego nie kapła krew.

Malcolm klęczał, pokonany przytłaczającą siłą, i patrzył na Karla. Starał się cokolwiek z tego zrozumieć. Nic, ani jeden fragment tego, co się działo, nie miał prawa się wydarzyć. Może jeszcze śni? Może koszmar go nie opuścił? Przez jedną straszną chwilę pomyślał, że mógł na farmie Henry'ego zostać postrzelony znacznie poważniej, niż mu się wydawało, a wszystko, co się potem wydarzyło, było zwidem, który tworzył jego umysł pogrążony w śpiączce.

Ruger zaciskał palce, miażdżąc mu kości nadgarstków. Musi coś zrobić, sen czy nie, prawda czy nie. Musi zacząć działać.

Wykorzystując nadludzka siłę przeciwnika, Crow podniósł się z ziemi i podebrał obie nogi w górę. Przez chwilę wisiał w powietrzu jak gimnastyk na kołach, by ułamek sekundy później dociągnąć oba kolana do piersi i z całym impetem wyprostować je i kopnąć oprawcę. Celował w kolana, chcąc złamać oba, ale nie mógł zaatakować pod odpowiednim kątem. Obie pięty z ogromną siłą trafiły Karla w twarde mięśnie łydek.

Ale i to wystarczyło. Ruger zawył z bólu - dając pierwsze świadectwo, że jeszcze jest w nim coś ludzkiego - i rozluźnił uchwyt. Zatoczył się, tracąc równowagę, i żeby uniknąć lądowania na ziemi, złapał się poręczy łóżka.

Kiedy znów rzucił się na Crowa, ten trzymał pistolet Shanksa. Uniósł go, by wycelować, ale Ruger był szybszy. Rycząc z wściekłości, zamachnął się i wytrącił mu go z rąk. Broń przeleciała przez cały pokój i uderzyła w szybę, pokrywając ją pajęczyną pęknięć. Ruger atakował dalej. Chciał złapać Malcolma, ale ten przewrócił się na plecy i wyrzucił w górę nogi, kopiąc go w podbródek. Ruger zatoczył się do tyłu, ale w niezrozumiały sposób otrząsnął się i wyprostował.

- Co tu się dzieje?! - krzyknął ktoś od drzwi. W wejściu tłoczyły się pielęgniarki i pacjenci.

- Wezwijcie policję! - nakazał Crow, ale nie miał pojęcia, czy ktoś go posłucha. Pierwszy zareagował Ruger. Chwycił klamkę, wziął zamach i zatrzasnął drzwi, zanim ktokolwiek zdążył się odsunąć. Na korytarzu rozległy się krzyki bólu i zawođenje.

Potem odwrócił się do Crowa i wyszczerzył nierówne połamane zęby. Stracił je, kiedy walczyli na dworze, za domem. Teraz wyglądał jak rekin. Wszystkie połamane kawałki wyglądały na niebezpiecznie ostre i nienaturalnie długie.

- Zabiję ciebie i wszystko, co kochasz - wysyczał i ponownie ruszył do ataku.

Crow kopnął i trafił go w klatkę piersiową, ale miał wrażenie, że kopnął w pień drzewa. Karl nawet nie zwolnił. Chwycił nogę Crowa, kiedy ten znów usiłował go kopnąć. Potem pociągnął go jak rybak ciągnie złowioną rybę, żeby ją zmęczyć. Malcolm rzucał się i szarpał, stosował wszystkie sztuczki, jakie znał, ale i tak nie uwolnił się z uchwytu. Jedyнным efektem tych starań było skręcone kolano i otarta skóra na kostce.

Kiedy morderca znów sięgnął do jego gardła, pomieszczenie wypełnił najgłośniejszy dźwięk, jaki Crow kiedykolwiek słyszał. Ruger zatoczył się, ale znów w jakiś niepojęty sposób odzyskał równowagę. Obrócił się, spojrzął na Crowa, a potem gdzieś za niego. Przy łóżku klęczała Val i ścisnęła w rękę pistolet Shanksa. Z jego lufy unosiła się smużka dymu. Ruger z trudem się wyprostował i stanął naprzeciwko Val. Zasyczał na nią jak wąż i wyciągnął ręce. Wtedy wystrzeliła jeszcze raz. Kula trafiła go w ramię. Crow schował głowę w ramionach i padł płasko na podłogę. Kolejna kula przeszła klatkę piersiową mordercy i zniszczyła stelaż od telewizora. Kawałki metalu i szkła zasypały podłogę, a Ruger wrzasnął, ale nadal stał.

- Zabiłeś mojego ojca! - krzyknęła Val. Strzeliła, trafiając go w drugie ramię. Siła uderzenia rzuciła nim jak lalką i obróciła w powietrzu.

Malcolm dopełził do ciała policjanta pod ścianą i gorączkowo zaczął obmacywać jego kostki, mając nadzieję, że ma przy sobie zapasową broń. Nad jego głową przeleciał kolejny pocisk i posłał Rugera na ścianę.

- Ty suko! - krzyknął bandzior, ale wciąż stał.

Crow szarpnął za rzep i rozpiął kaburę. Wyciągnął z niej trzydziestkęósemkę Smith and Wesson z krótką lufą. Przewrócił się na plecy i zaczął strzelać niemal równocześnie z Val. Pociski z jego rewolweru raz za razem uderzały Rugera w tułów.

Morderca znalazł się w krzyżowym ogniu. Pociski ciskały nim jak lalką i nie wiadomo było, czy nie mógł, czy nie chciał upaść na ziemię. Val celowała w klatkę piersiową, brzuch i krocze, rzucając nim w tył, a Crow trafiał raz za razem w plecy, niejako równoważąc impet strzałów Val.

Crow pięć razy pociągnął za spust i pięć razy rozlegał się huk. Za szóstym razem iglica trzasnęła sucho, trafiając na pustą komorę. Val strzeliła jeszcze dwa razy i też skończyła się jej amunicja.

Ruger opierał się twarzą o ścianę. Crow obserwował, jak uginają się pod nim kolana i kłęka na podłodze. Zakolysał się, ale nie wytrzymał długo i upadł na plecy. Otwarte usta, zamknięte oczy, rozluźnione mięśnie.

Val upadła na kolana i upuściła broń.

- Zabijeś mojego ojca, sukinsynu!

Popatrzyła na Crowa ciemnymi oczami, a on zobaczył nowy siniec na jej twarzy. Pomyślał, że właśnie tam musiał ją uderzyć, kiedy wszedł do pokoju.

- Poczekaj... muszę... sprawdzić...

Uniósł broń, by w razie czego użyć jej jak młotka, i przysunął się do ciała leżącego na podłodze. Drugą ręką sięgnął do gardła Rugera, szukając pulsu. Nic. Sprawdził w innym miejscu. Też nic.

Crow opuścił głowę.

Karl Ruger był martwy.

- Jezu Chryste - wyszeptał Malcolm.

Uklęknął i złapał Val w chwili, kiedy oczy uciekły jej pod powieki i zaczęła bezwładnie osuwać się na łóżko.

Crow przycisnął ucho do piersi. Nie odważył się zaczerpnąć oddechu, dopóki nie usłyszał bicia jej serca.

- Chwała Bogu! - jęknął i pocałował ją w miejsce, do którego przed chwilą przyciskał ucho. - Dzięki Bogu...

Na korytarzu zaroilo się od policji. Słyszał krzyki i rozkazy. Frank Ferro wrzeszczał: „Policja! Z drogi! Policja!”

Głosy były coraz wyraźniejsze, kroki coraz głośniejsze.

Wokół jego nadgarstka zacisnęła się czyjaś dłoń. Poczul miażdżącą siłę. Podniósł wzrok i ku swojemu przerażeniu zobaczył Karla Rugera i jego czerwone błyszczące oczy.

Ruger podciągnął się nieco w górę i przysunął do Crows, po czym grobowym głosem wyszeptał wiadomość:

- Ubel Griswold przesyła pozdrowienia.

A potem zaśmiał się najzimniejszym śmiechem, jaki Crow kiedykolwiek słyszał, i padł na podłogę.

Crow nie odważył się ruszyć. Zamarł z szeroko otwartymi oczami, sercem boleśnie dudniącym w piersiach i otwartymi ustami, ponieważ cztery słowa, które właśnie usłyszał, zamieniły jego świat w całkowite szaleństwo.

EPILOG

1.

Północ nadeszła i minęła i nikt w Pine Deep nie zauważył, że oto przeminął wrzesień i nastał zimny październik, rodząc się pośród cieni, syren i migających świateł.

Detektyw sierżant Frank Ferro przejął śledztwo na terenie szpitala i powoli odtworzył przebieg wydarzeń. Główne zasilanie zostało odcięte poprzez przestawienie zwrotnic w stacji transformatorowej, a generator unieruchomiono, przecinając kable i przewody paliwowe. Szef ekip technicznych, Carl Wilkerson, został znaleziony nieprzytomny w szopie na zapleczu. Miał pękniętą czaszkę, ale żył. Uderzenie zostało zadane potężnymi nożycami. Te same nożyce zostały wykorzystane, aby dostać się do szopy i uszkodzić generator. Główne zasilanie zostało przywrócone niemal natychmiast, a do rana naprawiono też generator. Wilkerson znalazł się w szpitalu, pod ochroną policji, ale kiedy dwa dni później odzyskał przytomność, niczego nie pamiętał. Amnezja, zawyrokował doktor Saul Weinstock.

Weinstock spotkał się z sierżantem Ferro, LaMastrą i Gusem około drugiej nad ranem, kiedy tylko sytuacja w szpitalu zaczęła się uspokajać. Przy kawie - dla Ferra była to już czternasta filiżanka tego dnia - zdał im relację ze wszystkiego, co się wydarzyło.

- Oficer Shanks ma potężnego guza i mocno obolałe krocze. Bardzo mu współczujemy, ale wydobrzeje. Zatrzymuję go na obserwacji.

- Co z panną Guthrie? - zapytał LaMastrą. - Ona naprawdę bardzo dużo przeszała.

Weinstock się uśmiechnął.

- Tak, nigdy nie wolno lekceważyć Val. Ona potrafi się odnaleźć w każdej sytuacji. Jeśli chodzi o uszkodzenia ciała, to założyliśmy jej dwa szwy na policzku, a rano zrobimy dokładne badania oczodołu. Rentgen wykazał, że doszło do pęknięcia kości, ale chcemy wykluczyć uszkodzenie oka.

- Chryste - stęknął Gus. - Ona twierdzi, że jedyne, co jej zrobił, to raz przyłożył na odlew.

Ferro pokręcił głową.

- A Crow?

- Przeżył silny wstrząs, i nie ma szans, żebym wypuścił go jutro ze szpitala. Zostanie tu przynajmniej na kilka najbliższych dni. Czternaście szwów w ustach. Oba policzki. Trzy wybite zęby. Lewy nadgarstek ma najdziwniejszy siniak i krwiak uciskowy, jakie kiedykolwiek widziałem. Jakby ktoś złapał go w imadło.

- Twierdzi, że Ruger chwycił go za oba nadgarstki.

Weinstock pokręcił głową.

- Nie, to niemożliwe. Musiał przytrzasnąć je drzwiami albo uszkodzić w podobny sposób. Ludzka ręka fizycznie nie jest w stanie wypracować takiego nacisku na centymetr kwadratowy powierzchni. Ale biorąc pod uwagę wszystkie ciosy, jakie zniósł, może nie pamiętać wielu rzeczy.

- To by wiele wyjaśniało - dodał LaMastra. - Twierdził, że oczy Rugera zmieniły się i były czerwone.

- Tak jak mówię, jest zdezorientowany.

Ferro wypił łyk kawy. Była paskudna. Na pewno odgrzewana - ale nie dlatego się skrzywił.

- A Ruger? Co powie pan o tym przyjemniaczku?

- Jego ciało trafiło do prosektorium. Jutro jeden z waszych ludzi przeprowadzi autopsję. Chociaż ja uważam, że jemu należy się jedynie kompostowanie.

- Amen. - Gus i LaMastra zareagowali w taki sam sposób.

- I właśnie tu dochodzimy do części, której nie mogę zrozumieć. Nie wiem, może na ulicach krąży jakiś nowy narkotyk, który zamienia człowieka w supermana. Ale jeśli nie, to nie mam pojęcia, jak wyjaśnić następującą sprawę: pierwsze oględziny ciała Karla Rugera ujawniły ponad dwadzieścia pięć postrzałów. - Weinstock przerwał, żeby do wszystkich dotarło znaczenie jego słów. - Pięć starych ran, które zaczęły się już zasklepieć. Tak, dobrze mnie słyszycie. Jego rany się goiły. Rany sprzed dwóch dni. Do tego dochodziły wszystkie postrzały w szpitalu. Z jednej strony waliła do niego Val, z drugiej Crow. Może byście mi teraz wyjaśnili, jak człowiek z pięcioma postrzałami w brzuch i klatkę piersiową przez dwa dni wymyka się waszej nagonce, a potem włamuje się do szpitala, pozbawia przytomności dozorcę, policjanta i o mało nie zabija gołymi rękami kolejnej dwójki? A pada martwy dopiero po poszatkowaniu go z dwóch pistoletów z odległości półtora metra? - Uśmiechał się, bo taką miał naturę, ale jego oczy były twarde, chłodne i chyba też trochę przestraszone. - Zawrzyjmy układ. Wy mi powiecie, jak to możliwe, a ja załatwię nam okładkę najpoważniejszego pisma branżowego dla chirurgów. Co wy na to? To jest cud stulecia.

Gus spoglądał na swój kubek. LaMastra wpatrywał się w szefa, a Ferro jako jedyny wytrzymał wzrok lekarza. Po kilku sekundach i on pokręcił głową.

- Ale teraz jest martwy, tak? - upewnił się szeryf.

- O tak, bez dwóch zdań. Jest bardzo martwy. Jak porządny trup leży zawinięty w plastik w szufladzie w chłodni. Ale jeśli miałbym być szczery, chłopaki, to nie chciałbym robić mu autopsji. Nie znam się na medycynie aż tak, żeby go otworzyć i zrozumieć. I nie, tym razem nie żartuję.

2.

Vic Wingate słuchał wieczornych wiadomości, kiedy zadzwonił Jim Polk z przeciwkiem policyjnym.

- Tak, jest martwy - powiedział. - Crow i Val rozwalili go z dwóch pistoletów.

- Dobrze.

Na chwilę zapanowała cisza, którą w końcu przerwał Polk:

- Vic?

- Tak?

- Czy to jest... no wiesz... czy to jest część planu?

Vic się roześmiał.

- Jimmy, Jimmy, wszystko jest częścią planu. Wszystko.

- Ale... może źle to wszystko zrozumiałem, ale miałem wrażenie, że ten patach Ruger miał być po twojej stronie? Znaczący... naszej stronie.

- Ależ jest.

- Nie, już nie jest.

Vic znów się roześmiał i odłożył słuchawkę.

Rozsiadł się wygodniej w fotelu i skrzyżował nogi. W domu panowała cisza. Lois leżała zapita na kanapie, a Mike poszedł już do łóżka. Opuścił mu dzisiaj łanie. Za dużo spraw miał na głowie. Jutro znów zacznie działać, by wystawić pasierba Eddiemu. Ale to akurat może poczekać. Jeszcze ma miesiąc, zanim nadejdzie dzień, kiedy Mike koniecznie musi być martwy. To dość czasu.

Na razie może odpocząć, bo wszystko, co On przewidział, że się wydarzy, wydarzyło się. Szkoda tylko, że Ruger nie dał rady zdjąć Crowa i Val. Ale na to też jeszcze mają czas. Wszystko idzie tak, jak powinno, i jest dość czasu, żeby plan realizował się zgodnie ze słowami Griswolda. Aż do kulminacji, do Halloween i początku Czerwonej Fali.

Zadowolony i szczęśliwy usnął.

3.

Malcolm Crow leżał w łóżku i wpatrywał się w sufit. Mimo zastrzyku z morfiny miał szeroko otwarte oczy i twarz mokrą od potu. Panowała cisza. Val była bezpieczna i chroniona. Mimo że Ruger im już nie zagrażał, w jej pokoju przez cały czas przebywał policjant, tak jak z jego pokoju nie wychodził Jerry Head.

Weinstock pozwolił mu z nią zostać, dopóki nie odpłynęła na prochach. Wtedy ją pocałował - pocałował narzeczoną! - i dał się odwieźć na wózku do swojego pokoju. Niezależnie od ilości przyjmowanych środków przeciwbólowych, czuł każdy kawałek ciała, ale nie zwracał na to uwagi. Val jest bezpieczna.

Val ma zostać jego żoną.

Żoną.

Zanim zupełnie odpłynęła, złapała go za rękę i ścisnęła. Jej drobna dłoń z plamami poparzeń od prochu strzelniczego na jego palcach.

- Czy to już koniec? - zapytała.

Crow pocałował ją w usta i w dłoń.

- Tak, kochana, to koniec. Jest martwy. - Na ustach miał szwy i każde słowo sprawiało mu ból, ale to było coś, co oboje chcieli usłyszeć. - Nie żyje.

Uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że jego dusza smaży się w piekle. - W jej oczach wciąż jeszcze czaił się strach, ale widział tam też niezłomną stal. Kochał ją za tę twardość i odwagę. O mało nie pękło mu serce. - Na wieki wieków - dodał i pogładził jej włosy. - Val, zrobiliśmy to razem. Powstrzymaliśmy go. Ty i ja, kochanie. Twój ojciec może spoczywać w pokoju. Już po wszystkim.

- Po wszystkim - szepnęła Val i zamknęła oczy na tak długo, że Crow myślał, że to leki przejęły kontrolę nad jej ciałem. Ale ona jeszcze uniosła powieki, przysunęła dłoń do twarzy i przyjrzała się połyskującemu na palcu pierścionkowi zarczynowemu.

- Jest taki piękny... - mruknęła i tym razem odpłynęła na dobre.

Crow ucałował jej czoło, usta, oczy i policzki i pozwolił pomóc sobie usiąść z powrotem na wózek inwalidzki. Czuł, że jego ciało jest wymęczone i stare, choć serce miał młode. Kiedy wrócił do pokoju, wszystko w nim tańczyło i śpiewało z radości, bo przyszłość miał spędzić z Val. Ale miał też wrażenie, że siedzi na jednym końcu huśtawki. Z drugiej strony czaił się horror i przerażenie. Kiedy był z Val, tę drugą część siebie spychał jak najgłębiej w podświadomość. Kiedy jednak zostawał sam, wracały ostatnie słowa Rugera:

„Ubel Griswold przesyła pozdrowienia”.

Skąd Ruger wiedział o Griswoldzie? Skąd dowiedział się o mordercy i skąd, do cholery, wiedział, że to nazwisko podziała na niego jak uderzenie młotem? Skąd? To nie miało sensu.

„Ubel Griswold przesyła pozdrowienia”.

Griswold jest martwy - już od trzydziestu lat. A przynajmniej wszyscy tak sądzą. Zniknął pod sam koniec Czarnych Żniw. Szkielet został zlinczowany jako sprawca wszystkich wcześniejszych mordów. Griswold nie może żyć. Niemożliwe. Więc... skąd Ruger o nim wiedział i dlaczego powiedział to, co powiedział?

„Ubel Griswold przesyła pozdrowienia”.

Tylko dwoje ludzi w całym Pine Deep wiedziało, jakim człowiekiem był Ubel Griswold. On i Terry. Griswold o mało nie zabił Terry'ego. Pozbawił życia Billy'ego i siostrę jego przyjaciela, Mandy. I wielu innych. Próbował zabić Crowa, ale Szkielet go uratował. Przez przypadek był na miejscu. Rzucił się na ratunek, wymachując łopata i wrzeszcząc na cały głos, żeby obudzić wszystkich, którzy byli w pobliżu. Może Ubel zabiłby ich obu, ale kiedy sąsiedzi wybiegli na dwór - masa ludzi napędzana wielką wściekłością - Griswold uciekł.

Wiele lat temu Malcolm Crow zobaczył Griswolda bardzo wyraźnie w świetle księżycy. Widział jego twarz, widział jego przemianę. Widział, jaki jest naprawdę. Opowiedział o tym ojcu i dostał lanie za kłamstwa.

Szkielet też to widział. Dlatego ruszył na polowanie na człowieka i bestię. Dopadł go i naprawdę zabił, a w podziękowaniu lokalna tłuszcza rzuciła się na niego i zlinczowała, a potem powiesiła na strachu na wróble. Crow zawsze wierzył, że.... Ale teraz się zastanawiał.

„Ubel Griswold przesyła pozdrowienia”.

Griswold był potworem. Podobnie jak Karl Ruger. Crow widział jego przemianę. Ciągle powracał do niego obraz czerwonych oczu oprawcy. Nie wymyślił ich sobie. Nie ma mowy. Czyżby to była taka sama zmiana? Czy obaj należą do jednego gatunku? A może jednak Ruger był inny? Pomyślał o jego ciele głęboko w prosektorium, w chłodni. Myślał. Czy szuflady mają zamki? Czy całe prosektorium jest zamykane na noc?

Walczył z bólem w ustach, który był przytłaczający, ale nie chciał brać środków przeciwbólowych. Usnąłby po nich, a nie był przekonany, czy kiedykolwiek jeszcze będzie chciał zasnąć z własnej woli. Wczoraj śnił o Rugerze, a następnego wieczoru Ruger się pojawił. Nie identycznie, jak we śnie, ale wystarczająco podobnie, żeby przyprawić go o dreszcze. Jeśli położy się spać, co mu się przyśni? Na samą myśl o tym poczuł gęsią skórkę.

Crow spjrzał na Jerry'ego Heada, który usiadł w fotelu i przeglądał jakiś magazyn.

- Hej, Jerry...?

Policjant podniósł głowę. Był błądy z niewyspania, ale miał oczy dobrego gliny.

- Tak?

- Słuchaj... nie zaśniesz, gdy będziesz mnie pilnował, nie?

Head przez krótką chwilę był zaskoczony pytaniem. Potem uśmiechnął się ze współczuciem.

- Nie, stary. Nic się nie bój, pilnuję twoich pleców. Prześpij się chwilę. Ja będę tu jeszcze godzinę, a potem zmieni mnie jakiś lokalny. O, Eddie Oswald. Zostanie tu do rana.

Ulżyło mu. Head był wielki i twardy, a Eddie Holownik jeszcze większy i jeszcze twardszy.

- Dzięki...

Morfina zaczynała działać. Kąty pokoju falowały.

„Ubel Griswold przesyła pozdrowienia”.

Zanim ciemność zamknęła się nad nim, Malcolm Crow zrobił coś, czego nie robił od wczesnego dzieciństwa: przeżegnał się i zmówił modlitwę. Za siebie... i za Val.

Jeszcze usłyszał, albo może już tylko mu się wydawało, że słyszy, że ktoś gra na gitarze słodkiego bluesa. Poczul spokój, który nie opuszczał go przez całą noc.

4.

Cztery piętra poniżej sali, w której spał Crow, w prosektorium w piwnicy szpitala, w szufladzie numer czternaście leżało ciało Karla Rugera zawinięte w plastikowy worek.

Pozostałości po Tonym Macchio znajdowały się trzy szuflady w lewo. Po prawej była szuflada Henry'ego Guthriego. Od karambolu półtora roku temu w Black Marsch nie było zajętych tyle szuflad naraz.

Zegar na ścianie odmierzał kolejne minuty i sekundy. Z trzeciej w nocy zrobiła się czwarta.

Ciało w szufladzie numer czternaście było zimne i nieruchome. W żyłach nie krążyła już krew. Płuca były zapadnięte, a serce zimne jak kamień. Mięśnie, kiedyś twarde i zabójcze, teraz zwiotczały. Podobnie jak bezwładne ręce.

Tylko oczy pozostawały otwarte. Wielkie, rozszerzone, ani razu nie mrugnęły, wpatrując się ciemność panującą w szufladzie.

„Czekaj!” - odezwał się głos w jego głowie. Karl Ruger wysunął język, przesunął nim po wargach, raz, dwa razy, a potem wciągnął z powrotem w czarną dziurę ust. Po chwili zamknął oczy.

Czekał.

PODZIĘKOWANIA

Autorzy, którzy piszą długie książki, potrzebują wsparcia (można to rozumieć dwojako), w tym porady technicznej. Niżej wymienionym osobom należą się serdeczne podziękowania za ogromną pomoc przy tworzeniu Bluesa duchów.

Dziękuję szefowi policji Tullytown w Pensylwanii Patowi Priore za informacje dotyczące policyjnych procedur. Za wszelkie błędy winę ponosi wyłącznie autor.

Arthurowi Menschowi i Randy Kirsch dziękuję za przeczytanie książki i za szczere i konstruktywne komentarze.

Mojemu zespołowi projektującemu stronę internetową, Davidowi Kramerowi i Geoffowi Straussowi z www.careerdoctorforwriters.com, którzy są równie uzdolnieni, co wspaniali. Dziękuję za to, że stworzyli dla mnie wspaniałą stronę.

Johnowi Westowi zbiorczo za całą masę rzeczy.

Dziękuję również Bucks County Center for Writers w Doylestown, Pensylwania (wcześniej Writers Room of Bucks County) i moim kolegom i koleżankom z Philadelphia Writers Conference.

Podziękowania należą się mojej agentce Sarze Crowe z Agencji Harvey Klinger.

Dziękuję także przyjaciółom i współpracownikom w Horror Writers Association oraz lokalnym kapitułom: Garden State Horror Writers i NJ-PA Horror Writers Association.

Oczywiście szczególne podziękowania należą się mojej żonie Sarze Jo i synowi Samowi za nieustające wsparcie i entuzjazm podczas procesu tworzenia... i po nim.

Wszystkim Wam dziękuję z całego serca!